

KSIĘGA WOJNY



ANNA BRZEZIŃSKA

JAKUB ĆWIEK

MICHAŁ KRZYWICKI

JAKUB NOWAK

ŁUKASZ ORBITOWSKI

PAWEŁ PALIŃSKI

JACEK PIEKARA

KRZYSZTOF PISKORSKI

ANDRZEJ SAWICKI

MARCIN WEŁNICKI

Anna Brzezińska, Jakub Ćwiek, Michał Krzywicki, Jakub Nowak, Łukasz Orbitowski, Paweł Paliński, Jacek Piekara, Krzysztof Piskorski, Andrzej W. Sawicki, Marcin Wełnicki

Księga wojny

Runa

Wydanie I

Warszawa 2011

Copyright © by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2011

"Jeden dzień" copyright © 2011 by Anna Brzezińska

"Bajka o trybach i powrotach" copyright © 2011 by Jakub Ćwiek

"Głosy" copyright © 2011 by Michał Krzywicki

"Ciężki metal" copyright © 2011 by Jakub Nowak

"Kanał" copyright © 2011 by Łukasz Orbitowski

"Wszystko, co przyjdzie, już pozostanie" copyright © 2011 by the Author; copyright © for interior illustrations by the Author

"Artur Potter Lwie Serce" copyright © 2011 by Jacek Piekara

"Prawo losu" copyright © 2011 by Krzysztof Piskorski

"Bóg jest z nami" copyright © 2011 by Andrzej W. Sawicki

"Lato księżycowych ciem" copyright © 2011 by Marcin Wełnicki

Copyright © for the cover and interior illustrations by Artur Sadłós / Red Flying Robot

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Artur Sadłós / Red Flying Robot

Opracowanie graficzne okładki: własne

Redakcja: Ewa Cieślak – "Głosy", Renata Lewandowska – "Jeden dzień", Maria Radzimińska – "Bajka o trybach i powrotach", "Ciężki metal", "Kanał", "Wszystko, co przyjdzie, już pozostanie", "Artur Potter Lwie Serce", "Prawo losu", "Bóg jest z nami" i "Lato księżycowych ciem"

Korekta: Krzysztof Wójcikiewicz

Skład: własny

Wydanie I

Warszawa 2011

ISBN: 978-83-7787-000-6

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 436

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową: www.runa.pl

Konwersja: [NetPress Digital sp. z o.o.](#)

Anna Brzezińska

JEDEN DZIEŃ



Mag pojawił się pod bramami ogrodu znienacka – choć oczywiście nie można zaskoczyć innego czarodzieja, zwłaszcza zaś tak umiejętnego jak Cardo di Valle dei Ruscelli. Argosi wypatrzyli gościa z wieżyc castello, zanim jeszcze wjechał w granice posiadłości. Ultramarynowy płaszcz unosił się nad nim jak skrzydła drapieżnego ptaka, kiedy przekraczał most nad Mairą. Melissa odważyła się wychylić zza głowicy kolumny i w oczy uderzył ją błysk odbity od rękojeści sztyletu, symbolu godności maga. Cofnęła się, a może to niania pociągnęła ją za rękaw.

– Czas na ciebie, dziecko.

Pomiędzy balaskami, tuż pod jej oknem, śpiewał drozd.

Potem szykowano ją, nakładano warstwy halek, ściągano sznurówki, mocowano wałki wypchane pakułami z konopii, fiszbiny i obręcze. Służebne podnosiły się i opadały w swoich sukniach z bladozielonego adamaszku, i promienie słońca

również tańczyły na posadzce wyłożonej mozaiką z piaskowca i malachitu. Melissa zamknęła oczy. Demony zaryczały z głębi marmurowych lwów, kiedy mag wjechał na dziedziniec castello, kakusi z chrzestem sprezentowali broń, ale gość nie odezwał się ani słowem. Jego koń zarżał z cicha pod triumfalną bramą portyku i wszystko znowu umilkło, pochłonięte przez pieśń ogrodu.

Ruchy służebnych stawały się coraz szybsze. Magowie nie lubili czekać. A gdy Melissa wreszcie była gotowa, dwie panny musiały ją podtrzymywać na wachlarzowatych schodach, żeby nie upadła pod ciężarem stroju i klejnotów, jakimi ją ozdobiono, i ani odrobina słońca nie przesączała się przez bielidło z merkuriusza i ołowiu.

– Moja córka. – Głos ojca wiódł ją przez arkady loggii, a maszkarony cmokały spomiędzy liści kapiteli i wychylały szpetne, kudłate głowy, żeby jej przypomnieć o grzechu śmiertelnych.

Dzisiejszego ranka nie śmiały jednak zbiec w dół i otrzeć się o ramię księżniczki. Magia syczała w powietrzu, liście winorośli skręcały się od żaru, którego nie wyczuje zwyczajny śmiertelnik – a może jedynie zakręciło się jej w głowie od woni ziół w giardino secreto i dlatego nie zdołała zobaczyć twarzy gościa, kiedy podniósł się z ławy, żeby ją powitać. Wciąż miał na ramionach płaszcz. Ultramarynowa materia kłębiła się jak żywa, wyłuskując błękitnawy połysk z głębi marmuru i powlekając trawy trupią sinością. I wewnątrz casolaro wydało się jej nagle obce, głębokie jak Abisso delle Odine, której nigdy nie widziała, bo córki książąt Valle dei Ruscelli nie opuszczają doliny i całym jej światem był ogród, rozkrzewiony na dziewięciu tarasach, a każdy z nich miał demony jemu tylko przynależne i właściwe.

Na szczęście jej ciało poruszało się, wyrzeźbione w suknie, atłasie i bielidle i okiełznane równie nieodwracalnie jak cztery niobe, które łkały w rogach casolaro. Demony unosiły ku niebu ułamki nadgarstków, a ich łzy przelewały się przez marmurowe konchy i spadały do ruczaju okalającego z trzech stron pawilon. Ale woda kryła się tu wszędzie, tryskała z ust posągów, z muszli

w ramionach trytonów, oczodołów masek i kaskadami przetaczała się pomiędzy tarasami, żeby wkrótce wznieść się na nowo w rozbryzgach fontann, tłoczona przez niezliczone duchy, ściągnięte tu z nadksiężycowego świata. To była Valle dei Ruscelli, Dolina Strumieni, duma i chluba książąt Torrinese o tysiącu wież, i nic nie pozostawiono tu przypadkowi.

Pędy winorośli jak zielone węże pełzły z szelestem po gzymsie loggii i gdzieś od strony Grotta del Centauro odbywały się żaby. Melissa nigdy nie umiała zgadnąć, który z cudów ogrodu wyczarowano sztuką ogrodników – a przybywali tutaj od pokoleń z całego Półwyspu – który zaś zawdzięczała ułudnej magii czarodziejów.

Pośrodku pawilonu alabastrowy pastuszek wygrywał na fletni starą melodię, nad kielichami z trebbiano i tacą z waflami wisiały przejrzyste ważki. Owszem, w wielu innych miejscach powitano by gościa bardziej wystawną ucztą, lecz w wiejskiej siedzibie książąt Torrinese hołdowano prostym obyczajom albo przynajmniej przybierano pozór prostoty, w istocie polerując każdy gest i każde słowo jak cynowe posążki dawnych mistrzów. Dlatego magom nie towarzyszyła służba, tylko pojedynczy ganimed rozlewał wino i podawał ręczniki, ostrożnie, żeby nie zakłócać biegu myśli swego pana i nie mącić pieśni drozda, który przysiadł nieopodal w gałęziach tamaryszku.

– Panowie – powiedziała Melissa, gnąc się nisko pod ciężarem sukni i ponieważ tak przystoi córce maga, kiedy wita gości dostojniejszych od siebie.

Corvo di Montenegro ujął ją za przegub i odsunawszy służebne, pociągnął ku górze.

– Wiele mówiono mi o urodzie ogrodów – odezwał się, trzymając ją blisko przy sobie, i wtedy po raz pierwszy usłyszała głos mężczyzny, który miał ją poślubić – lecz nikt nie oddał sprawiedliwości najpiękniejszemu z cudów Valle dei Ruscelli i najbaczniej strzeżonemu.

– Czyż nie tak powinno być? – Cardo uśmiechnął się. – O urodzie kobiet powinno się milczeć, podobnie jak im samym

milczenie dodaje przymiotów.

Milczała więc, jasna i nieruchoma jak odcięta głowa ladona, emblemat jej ojca. Zresztą sama także była emblematem jego potęgi, córka ukształtowana na podobieństwo perły w muszli perłopława, głęboko pod powierzchnią wody.

– To prawda. – Gość także uśmiechnął się nieznacznie, lecz nadal nie zwalniał uścisku. Poprzez opuszczone rzęsy widziała błękit jego oczu i rozmazaną smolistą smugę włosów, którym zawdzięczał przydomek. Le Corvo. Kruk. – A uroda nie jest największą z ich zalet.

Miał rację: córki ksiąząt Valle dei Ruscelli nie gustowały w zakazanych sztukach. Dojrzewały wśród alabastrowych posągów i rozchybotanych liści, nasłuchując głosów demonów, które od pokoleń łączono z kamieniem, metalem czy szkłem, lecz żadna nie zhańbiła się krwawą magią. Szarzy braciszkanie nigdy nie stanęli pod bramą castello i nie domagali się, by wydano im panią zamku, jak czyniono z kobietami, jeśli zanurzyły się w niebezpiecznie kunszty i zmieniły w stregi. Jednakże księżniczki z Doliny Strumieni nie musiały dowodzić swojej czystości podczas Prove, co często przydarzało się kobietom, jeśli posiadały zbyt dużo wiedzy. Przechadzały się tylko pomiędzy kwadratami i kołami z gładko przystrzyżonego bukszpanu, wyniosłe i jasne jak lilie. I tak je właśnie nazywano. Liliami z Valle dei Ruscelli.

Dlatego wielu magów prosiło o nie, pragnąc zanurzyć się w tę spokojną turkusową magię, która tliła się pod ich powiekami, a potem przekazać ją swoim synom.

Gość odsunął ją delikatnie.

– Przywiozłem dla ciebie dar – powiedział, wciąż się uśmiechając, tak pewny siebie i niewzruszony, jak tylko magowie potrafia.

Corvo pochylił się ku niej nieznacznie. Zbyt lekko, żeby mogła się cofnąć, nie narażając się na gniew ojca. Dziś nie mogła sobie pozwolić na niezręczność, ale doprawdy nie wiedziała, jak ich zadowolić.

Ultramarynowa materia skłębiła się w zagłębieniu jego

ramienia.

Melissa była przerażona. Tego dnia lęk nosił mnóstwo imion i żadnego z nich jeszcze nie odgadła.

Cokolwiek to jest, pomyślała, bo przecież żadna kobieta, choćby bardzo młoda, nie mogła pozostać nieświadoma losu Sirocco, Arachne, Luany oraz wielu innych, którym nie poskapiono przeklętych darów czarodziejów, cokolwiek to jest, niech się stanie szybko. Tak szybko, by nie pozostał już czas na rozpacz, ból i strach. Odwróciła wzrok ku strzępowi trawy pomiędzy kolumnami loggii. Włosy zmarłych, pomyślała, przyszywane codziennie, wciąż wybijają spośród kamieni, osaczają nas wonią robaków, butwiejących liści, ocierają się korzeniami o posadzkę pawilonu, niesłyszalne i niepokonane. Sirocco, Arachne i Luana. Nie da się wykarczować śmierci. Nie da się zapomnieć.

Miała piętnaście lat.

– Czarna pantera w naszym zwierzyńcu urodziła małe. – Mag odezwał się tak cicho, jakby byli zupełnie sami, i teraz nie wydawał się już taki pewny siebie, jej i całej reszty. – Sześć kociąt, a to jest najstarsze i najsilniejsze ze wszystkich. Pomyślałem, że umili ci oczekiwanie na wyjazd do Montenegro.

I będzie moim strażnikiem, pomyślała z rozpaczą, dopóki nie stanesz się nim ty. Zaraz jednak kociak wychylił się spośród ultramarynowej tkaniny, puchaty i niezgrabny. Kichnął, odsłaniając ostre zęby i czarno pręgowane podniebienie.

Ojciec rozpromienił się i dał jej znak, że może przyjąć podarunek. Czarne pantery z rzadka mnożyły się w niewoli, więc narodziny w książęcym zwierzyńcu, zwłaszcza w przededniu zaślubin, stanowiły niezwykle szczęśliwy prognostyk. Ale i bez tego wiadano, że córki panów Valle dei Ruscelli rodziły silnych synów i przelewały w ich żyły magię, a także tę osobliwie jasną barwę oczu i włosów, dzięki której przyciągały moc słońca, podobnie jak melissa, krokusy i heliotrop, kwitnące w ich ogrodach.

A później wiele z nich umierało młodo. Co również często

poczytywano im za zaletę.

Kociak podniósł łapę, żeby uderzyć Melisę w twarz. Uchyliła się, a pantera natychmiast wczepiła się w jej ramię, szarpiąc delikatne hafty sukni.

Cardo przywołał ganimeda i z ulgą podała zwierzę demonowi. Pantera rzucała się wściekle w jego uścisku, syczała nienawistnie i darła pazurami marmur, wyczuwając naturę sługi.

– Kiedy dorosną, używamy ich – wyjaśnił Corvo – żeby polować na zbiegłe demony. Jeśli raz złapią trop, nie ustają, póki nie dościgną zdobyczy.

– To się wciąż zdarza? – Cardo zdziwił się uprzejmie, chociaż wiedział, że po Guerre dei Gierofanti, Wojnach Hierofantów, wiele rodów wygasło i wiele okolic popadło w ruinę, a po ścieżkach Półwyspu krążyły gromady demonów, które osłabły w ludzkim świecie tak dalece, że po śmierci swych ciemnych nie potrafiły się już wznieść ponad księżyc.

Uciekały więc jak najdalej od siedzib magów i wielkich miast, gdzie ktoś mógł je rozpoznać. Dużo z nich chroniło się w Monti Serpillini, inne kryły się aż na Arcipelago della Rugiada Rossa, gdzie dzikie szczepy, za nic mając groźby czarodziejów i napomnienia wędrownych braci, mieszały swą krew z przekłętą posoką demonów. Tak właśnie powstawały monstra, potworne i bluźniercze, z pozoru przypominające śmiertelników, w głębi serca wszelako nienawidzące rodzaju ludzkiego. Magowie ścigali je bez litości, jeśli były wystarczająco głupie, żeby zbliżyć się do ich siedzib.

Do Valle dei Ruscelli nie śmiały jednak podchodzić. Ogrody, od pokoleń w ręku tej samej rodziny, nigdy nie zostały splądrowane i wystawione na łup obcych mocy. Władcy Torrione, bardziej jeszcze arogancy i zuchwali niż większość ich pobratymców, nie otoczyli ich warownym murem. Od pól i okolicznych posiadłości oddzielały je jedynie niskie murki, które w istocie były cielskiem ladona i wiły się wokół wszystkich dziewięciu tarasów. Jednakże nawet zwykły wieśniak mógłby przeskoczyć nad nimi, a potem przejść przez bukszpanowe żywopłoty, uformowane starannie w

kwadraty, prostokąty i koła – jeśli spoglądało się na nie ze szczytu wieży, zdawały się wirować wokół castello, harmonijne i uporządkowane jak niewidzialne tory gwiazd. Ścieżki stały otworem, schody o wydłużonych stopniach łagodnie rozwijały się na powitanie przybysza. I dopiero tchnienie maga sprawiało, że ladon zaciskał węzowe sploty wokół intruzów, a drzewa o koronach wystrzyżonych w kształt twarzy demonów zaczynały krzyczeć głosami, od których kości rozsypują się w proch.

– Tak, to się wciąż zdarza – odpowiedział spokojnie Corvo, chociaż Montenegro daleko bardziej ucierpiało podczas Guerre dei Gierofanti i dopiero pod rządami dwóch ostatnich władców mozolnie dźwigało się z upadku.

Wiedziała, że to nieprzyjazna ziemia, uboga w wodę i pełna drapieżnych ptaków. Kopalnie ałunu i srebronośne strumienie. Ciemne skały wysoko pod sinym, skłębionym niebem. A także Passo dei Lupi, skalna gardziel broniąca wstępu na Półwysep wszystkim demonom Monti Serpillini.

Tutaj, w Valle dei Ruscelli, trudno było uwierzyć, że naprawdę istnieją. I chociaż z jakichś powodów ojciec Melissy postanowił poprzeć maga z Montenegro i oddać mu własną córkę w małżeństwo, przecież nie zamierzał żadnym gestem tłumić przepysznego splendoru ogrodów i zaprzeczać swemu dziedzictwu.

Corvo di Montenegro musiał to również bardzo dobrze rozumieć.

– To piękne miejsce – rzekł, obracając w palcach czaszę kielicha. – Czy twoja córka mogłaby mnie po nim oprowadzić?

Prośba była tak zaskakująco zuchwała, że Melissa wstrzymała oddech. Nigdy dotąd nie pozostawiono jej samej z mężczyzną. Owszem, książę Torrione kochał swoją córkę i ufał jej, oczywiście na tyle, na ile można wierzyć kobiecie, a w castello, w cieniu drzew kasztanowca, pistacji i mirtów lekceważono wiele dworskich zwyczajów. Melissa mogła więc w lekkiej sukni tańczyć pomiędzy tamaryszkowcami, zrywać figi, morwy i bergamotki, a czasami nawet wyprawiać się na okryte

niebieskim lnem i żółtym janowcem wzgórza wokół ogrodów. Zawsze jednak towarzyszyły jej dwórki i kiedy rozkładały śnieżnobiałe obrusy na trawie albo słuchały baśniarza pod rozłożystym dębem, pyzate putta fikały wokół fikołki, błyskając w słońcu marmurowymi piętami, albo przygrywały im na kitharach. Jednakże ich zadaniem, wpisanym w naturę zaklęcia, które połączyło je z kamieniem, było strzec córki pana choćby przed nią samą i żadna pieśń, żaden hymn o urodzie jej przejrzystych oczu nie mógł tego zmienić. Tak samo zresztą działo się na wszystkich dworach Półwyspu.

Teraz jednak putta pozostały w castello i z pewnością zdecydował o tym sam Cardo.

– Nosi mój pierścień – powiedział cicho Corvo.

To prawda: w największym rozkwicie lata posłaniec przyniósł jej ciężki, kuty w złocie pierścień z głową pantery, herbowym znakiem jej narzeczonego. Piastunka straszyla ją, że oczy zwierzęcia, wycięte z górskiego kryształu, będą śledzić każdy jej ruch, a ojciec odczytał dewizę rodu magów Montenegro, ukrytą w płątaniu drobnych znaków po wewnętrznej stronie obrączki – "Niechaj powstanie kiedyś z naszych kości mściciel".

Przestraszyła się wtedy. Wszyscy przestrzegali ją, że Montenegro jest miejscem surowym i smaganym przez wichry.

– Nosi również naszyjnik z topazów – odparł ojciec.

Corvo uniósł brwi.

– Czy Lilia z Valle dei Ruscelli naprawdę go potrzebuje? – zapytał gładkim, uprzejmym głosem maga.

Pomyślała, że tym razem posunął się za daleko, rzucając gospodarzowi w twarz niemal nieprzesłoniętą obrazę. Nawet pospólstwo wiedziało, że topazy miały moc studzenia namiętności i dlatego często stanowiły ozdobę dziewczycych córek magów.

– Nie, nie przypuszczam. – Ku jej zaskoczeniu, ojciec ustąpił z westchnieniem. – Melisso, pokaż naszemu gościowi to, czego pragnie. Ale nie zapuszczajcie się zbyt daleko.

– Nigdy nie naraziłbym jej na niebezpieczeństwo.

Cardo uśmiechnął się zimno.

– Nigdy nie wątpił w twój rozsądek, synu.

Ukloniła się przed ojcem, wciąż tak oszołomiona, jakby ją również napojono trebbiano.

– Jak sobie życzyście, panie – wyszeptała, pochylając głowę tak mocno, żeby chociaż przez chwilę nikt nie widział jej twarzy ani nie odczytał lęku zamalowanego warstwą rózu i bielidła.

Ojciec nigdy nie był dla niej okrutny, nigdy też nie wystawiał jej dla rozrywki na pokusę. Złośliwi powiadali zresztą, że jego dobrotliwość została sownie podlana krwią patrycjatu Torriner, bo choć wobec domowników łagodny, bunty tłumiał równie zajadle jak jego ojciec i dziad. Nie tłumaczył jednak swych planów Melissie. Wystarczało mu, że była cicha i skromna jak ziele, którego imię nosiła. Niekiedy przyglądał się, jak tańczy na brzegu strumienia, wybijając stopami fontanny wody, a kiedy przybiegała, żeby mu się pokłonić, łaskawie kładł dłoń na jej włosach.

Innych córek nie miał. Od dziecka Melissę otaczały jedynie geniusze wody i służące. Nawet jeśli ojcu towarzyszyła jedna z kurtyzan, nie spotykała się na ogrodowych alejkach z księżniczką. Czasami tylko z oddali mignęła Melissie suknia w barwie purpury i złota i włosy upięte w koronę, żeby odsłonić gładkie czoło, które tak wysoko cieniono na Półwyspie.

Nie miała pojęcia, co powinna teraz zrobić.

Czarnowłosy mag znów ujął jej ramię i pomógł się wyprostować. Próbowwała jeszcze obejrzeć się na ojca i poszukać w jego oczach jakiejś wskazówki, lecz Corvo już wyprowadzał ją pomiędzy rzeźbami niobe z casolaro.

Słońce przetoczyło się na zachodnią stronę, rozścielając w dolinie rdzawe i gołębie cienie. W dole, widoczne poprzez krystaliczne górskie powietrze, rozpościerało się przed nimi Torriner o tysiącu wież, opasane kręgami wiejskich willi i złocistych pól.

Zaskoczyło ją, że minęło tak wiele czasu, odkąd obwieszczono przybycie gościa. A może magowie zabawili się w casolaro czasem, usypiając ją pomiędzy jednym a drugim uderzeniem serca, żeby nie usłyszała, jak rozprawiają o niepojętych sprawach czarodziejów. Nigdy nie umiała zgadnąć, jak daleko sięga ich władza. Nie zastanawiała się zresztą. Moce nie pociągały jej ani odrobinę. Wystarczyły kępy ziół, miodowa woń kwiecica i roztańczone strugi wody. I nawet one nie przemijały w tej zaklętej krainie, gdzie kwiaty rozchyłały się o świcie i drzewa wydawały owoce, lecz nic nie ginęło ani nie gniło i spełniało się odwieczne marzenie czarodziejów, żeby zdobyć coś, nie dając nic w zamian.

– Więc ten obraz zobaczysz pod powiekami, kiedy będziesz zapadała w sen w Montenegro – odezwał się cicho Corvo.

Odwróciła wzrok ku sienie, rozmazanej chmurze gór daleko na północ od Torrino. To nie było jeszcze Montenegro, zaledwie pierwsze pasmo Monti Aquilino, za którymi rozciągały się Monti Sacri, kolebka szarych braci, a dalej Monti Lunari, puste i jałowe, i na ostatek Montenegro, porośnięte lasami, za którym były już tylko Monti Serpillini, siedziba zbiegłych demonów i najdalsza krawędź świata. Oczywiście istniały jeszcze inne ścieżki, prowadzące ku odległym, obcym ziemiom, gdzie władali królowie pozbawieni magii, lecz równie jak wszyscy łapczywi na cudowne posągi, organy ożywiane przez demony wichru, a także barwione błękitem sukno, kosztowności, przyprawy, wreszcie srebro, które wydobywano w sztolniach Montenegro. Melissa nie wiedziała o nich jednak zbyt wiele – Cardo trzymał posłów, kupców i dworaków z daleka od córki, ukrytej w sercu castello. Wystarczała jej delikatna koronka pól, willi i oliwnych gajów, która pokrywała wzgórze wokół Valle dei Ruscelli.

– Nie znam innego – odpowiedziała cichym, modulowanym głosem.

Staruszek zamiatacz postępował za nimi, starannie wygladzając na żwirze ślady stóp i przywracając ogród do jego pierwotnego kształtu. Oczywiście istnieli słudzy dokładniejsi i piękniejsi niż ten wieśniak w szarym kaftanie i kapuzie – jej

tasiemki opadały prawie do ziemi, kiedy przystawał zgarbiony i ze świstem wciągał powietrze. Wystarczyło związać pośledniego demona choćby i z chocholim wiechciem, aby do śmierci swego poskromiciela nie ustawał w pracy, do jakiej go przypisano. Lecz tutaj, w Valle dei Ruscelli, magia była jedynie tworzywem, nie twórcą. Książęta castello chełpli się tym przed konfratrami, a Cardo ostentacyjnie trzymał się dawnych zwyczajów, zupełnie jakby nie upadła Brionia i wszyscy magowie Półwyspu kłoniли się nadal przed Principi dell'Arazzo.

Minęli Arco di Fuoco, Bramę Ognia, wchodząc na drugi z tarasów, rozpostarty szeroko tuż pod giardino secreto, obrębionym nićmi z róż i purpurowej szaławii. Cardo pozwalał wędrowcom zachodzić tutaj swobodnie i zachwycać się pięknem ogrodu, o ile bez przeszkód pokonali kamienne cielsko ladona. Melissa przystanąła na chwilę, by Corvo mógł nacieszyć oczy harmonią bukszpanowych kwadratów i kół, wypełnionych kwieciem w barwie zmiennego nieba. On jednak nic nie mówił. Poszli więc dalej pomiędzy porośniętymi różanymi pnączami pergolami, które otwierały się na posągi roztańczonych bachantek. Posągi gięły się przed nimi w ukłonach, otwierały kamienne księgi, symbol mądrości czarodziejów, a ich idealnie ukształtowane ciała lśniły perłowym połyskiem jak skóra po kąpieli. Wedle legendy tak właśnie magowie Valle dei Ruscelli upamiętniali swoje kochanki, łącząc je z demonami i zaklinając je po wiek wieków w głazie.

Nigdy nie ośmieliła się zapytać ojca, czy to prawda. "Bądź grzeczna" – powtarzały jej piastunki, odkąd urosła na tyle, żeby rozumieć ich słowa. "Bądź grzeczna, posłuszna i cicha, bo inaczej przyjdzie mag i zmieni cię w kamień".

Z ksiąg w dłoniach posągów tryskała woda – drogocenna moc, która wydarła to miejsce dzikiemu zwierzowi i przemieniła w jeden z największych cudów Półwyspu.

– Zaczekajmy. – Mężczyzna zatrzymał ją delikatnie. – Ze względu na starca.

Wielokrotnie zastanawiała się później, w którym momencie spostrzegła, że Corvo jest zupełnie inny niż ta postać z magii i

mroku, jaką wymyśliła sobie w bezsenne wieczory, kiedy wykrochmalone prześcieradła parzyły nagą skórę i nocne straszidło – puchacz – odzywało się nad jej oknem głosem spierzchniętym ze strachu. Ale w istocie nie spostrzegła niczego. Zanadto pochłaniały ją własne lęki. I czasami wydawało jej się, że nic, żaden krok i żadne słowo nie wydarzyły się naprawdę i stworzyła je dopiero potem, bo bitwa pod Capo Grande nie okazała się jednak końcem świata, jakkolwiek bardzo mogła tego pragnąć. Nie, świat istniał nadal, przesypany się ziarna piasku w klepsydrach i posągi toczyły łzy, a Melissa musiała z wysiłkiem przemierzyć drogę wstecz, by pomiędzy eksedrami i kolumnami z krzewów poszukać jakiejś wskazówki.

Tymczasem jednak nie wydarzyło się nic, po prostu zanurzyli się w kępy lawendy, połączeni przez moment wspólną tajemnicą i tym odruchem litości, który tak ją zdziwił u człowieka, który zwykł naginać innych do swojej woli.

Pszczoly brzęczały, ospałe od upału i woni ziół.

Z tyłu zamiatacz dyszał z mozołem.

– Przypomina, czym naprawdę jesteśmy. – Corvo przesunął palcami po bladofioletowych kwiatach. – Czyż nie?

Skinęła głową, niepewna, co ma na myśli – starca, kwiaty czy jeszcze coś innego.

Balustradę schodów na kolejny taras tworzyły meduzy, gorgony i chimery, wykrzywające ku nim spotworniałe w cierpieniu gęby. Tkwiły tu od tak dawna, że nie mogły się już poruszyć: ich sploty porosły mchem, w zagłębieniach dłoni i zapadniętych piersiach zagnieździły się kłęby ziół. Przyśpieszyła. Przerazały ją te miejsca, w których ogród odsłaniał swoje drugie oblicze i wystarczał jeden krok, by z gęstwy traw wysunęło się trujące pnącze. Cardo uważał jednak, że są niezbędne, aby ludzie nie zapomnieli nigdy, czym naprawdę jest magia.

Umiała je rozpoznać – każde z ziół, te, co kryją truciznę na dnie purpurowego kwiatu, i te, które odpowiadają na dotyk jej dłoni zapachem jabłek, i te chroniące od złego. Nie musiała słuchać ogrodników ani rozpoznawać miniatur w dawnych księgach,

gdyby jakiś szaleniec naprawdę postanowił je pokazać córce maga. Po prostu miała tę naturalną pewność, z jaką kielki wybijają ku słońcu, i pewność ta nie opuściła jej także później, kiedy posągi rozsypały się w pył i srebrne pawie uciekły z krzykiem z ogrodów. Wtedy była już zupełnie sama w ogromnym, pustym castello, gdzie echo zwielokrotniało wszystkie strachy. Lecz dla niej poza Valle dei Ruscelli nie istniało nic. Tak w każdym razie sądziła i miała prawo w to wierzyć, kiedy patrzyła na nadchodzących z dłonią na głowie ladona i ślepy, bezzębny potwór dygotał z lęku pod jej dotykiem.

Z paszcz gorgon ciekła zielonkawa ślina.

– Ostrożnie. – Corvo pochwycił ją wpół, kiedy potknęła się na wysokich obcasach.

Tojad zachłannie wysunął ku niej fioletowy jęzor i cofnął się zaraz pod spojrzeniem maga.

– Tak będzie lepiej. – Czarnowłosa mężczyzna wypowiedział kilka szybkich, cichych słów.

Znów się zachwiała, bo ucisk na żebrach zelżał gwałtownie i zniknął ciężar pysznej, odświeżonej sukni, zupełnie jakby mag zdarł ją jednym gestem.

– Co zrobiłeś?! – zawołała ze strachem, zanim jeszcze zdążyła pomyśleć, że nie powinna zadawać pytań czarodziejowi, zwłaszcza zaś takiemu, który miał zostać jej mężem.

Z góry schodów starzec przyglądał się im ze znużeniem. Jego ojciec, dziad i pradziad dwa dni z każdego tygodnia spędzali na służbie w posiadłości maga i kiedy dostał swój pierwszy kaftan, również wspiął się do castello, by stawić czoło złowróżbnej sztuce czarodziejów. Podobnie działo się ze wszystkimi wieśniakami z wiosek w dolinie. Należeli do pana castello, tak samo jak stada owiec, i musieli jak one zobojeźnić na magię. Wszelkie odmiany magii.

– Montenegro jest inne. – Mag w skupieniu spoglądał w dół ponad poręczą schodów na labirynt, wystrzyżony starannie z niskich krzewów. Ściany roślin przesuwają się nieustannie, odsłaniając posągi cherubów z berłami w rękach. – Dziwsze,

przytłumione pyłem nawiewanym z gór. Pozostawiamy jednak więcej swobody. Światu i sobie.

Nie sądziła, żeby jej ojciec to pochwalił.

Nie sądziła również, żeby pochwalił to, co zrobiła cztery miesiące później, gdy nieodwracalnie zniweczyła harmonię ogrodów, zarzucając na nie woal z cierni i dusząc je pod oparem tojadu, pokrzyku i wilczej jagody. Tyle że w cztery miesiące później Cardio nie żył. Dźwięk żałobnych dzwonów Torrione dobiegł aż do doliny. Podczas ceremonii pogrzebowych deszcz nie ustawał, spłukując wszelki smutek. A ponieważ padało od trzech miesięcy, odkąd demony Monti Serpillini zanurzyły się w miękkie, odsłonięte ciało Półwyspu, obywatele Torrione, dotąd ślepo posłuszni rodowi panów z Valle dei Ruscelli, uznali, że Cardio zaprzedał duszę diabłu i ściągnął na lud gniew Przedwiecznego. Na darmo synowie księcia usiłowali ich powściągnąć: wszak magia nie zdołała zatrzymać najeźdźców, a klęska zawsze naznaczona jest winą. Dlatego nie pochowano go w poświęconej ziemi i nic nie wskórali szarzy bracia, którzy chcieli udzielić ciała schronienia w murach swego klasztoru. Lud pochwyił trupa władcy, z takim trudem podniesionego z pobojuwiska, i włókł ulicami Torrione o tysiącu wież, a armia z Monti Serpillini przybliżała się coraz szybciej.

– Wszystko jest jak wcześniej – dodał Corvo po chwili. – Nie zaszyłem ci demonów w fiszbinach sukni, jeśli właśnie tego się obawiasz.

Wzdrygnęła się, zupełnie jakby poczuła na nagim ciele zimny, niematerialny dotyk duchów. Ale tego przecież Corvo nie śmiałby zrobić, bez względu na to, z jak dzikiej i nieokiełznanej krainy pochodził.

Jeszcze nie teraz, pomyślała. Nie przed ślubem.

– Ale chcę iść dalej – ciągnął mężczyzna. – O wiele dalej.

– Do labiryntu? – zapytała.

Mag uśmiechnął się.

– Czy już w nim nie jesteśmy?

Istotnie, kiedy później wspominała ten spacer i ten dzień, widziała jedynie, jak błędzą z Corvo pomiędzy zmiennymi, rozedrganymi plamami zieleni, błękitu i purpury, przesuwają się wśród posągów i figur, a one odwracają do nich niewidzące oczy i kłonią się nisko przed dwoma srebrnymi sztyletami maga, gibkie i martwe w swej marmurowej, ogołoczonej ze wszelkich barw jasności. Wszystko było tak przerażająco, niezasłużenie nierzeczywiste. Nawet ramię mężczyzny, który wciąż trzymał ją w pól.

– Muszę cię dotykać – powiedział, kiedy spróbowała się uwolnić albo przynajmniej odsunąć na tyle, żeby nadać ich spacerowi choć odrobinę przyzwoitości.

– Z powodu sukni?

– Również.

Musiał wyczuć jej strach, kiedy pod Arco della Terra hekatonchejroni wyciągali ku nim bezsilne, skrępowane tysiącem pnączy ramiona. Zwykle starała się omijać tę część ogrodu, bo ziemia drżała tu pod stopami jak konające zwierzę, a uwięzieni pod korzeniami winorośli giganci nie przestawali krzyczeć. W mrocznej głębinie bramy ich ogromne kamienne ręce ocierały się o siebie, prostowały monstrualne palce, strząsały cząstki żwiru i odłamki kamienia. Cała konstrukcja dygotała, jakby się miała lada moment rozpaść, a jednak zakłęcie wiązało ją mocno, podobnie jak nie pozwalało uwolnić się hekatonchejronom. Dostrzegała w ich ruchach wyraźne piętno swego ojca – elegancję, wyrefinowanie i pewien rodzaj przesyty, którego nie umiała jeszcze nazwać.

Kiedy Cardo chciał przerazić któregoś z gości, prowadził go właśnie tutaj, w długą czeluść Arco della Terra, gdzie nie dociera światło słońca. Ogrody Valle dei Ruscelli kryły wiele cudów, lecz to miejsce stworzył i napełnił własną mocą, i tutaj czuł się równy wszystkim magom, którzy niegdyś zasiadali w L'Azzurro.

Czary, złudzenia i dym, myślała cztery miesiące później. Hekatonchejroni zapadli się w grząską od deszczu ziemię, niobe rozdarły na sobie kamienne suknie i brocząc z kikutów

potrzaskanych ramion, uniosły się ku niebu. Cuda odeszły, jedno po drugim, bo dzieła stworzone przez czarodzieja rzadko potrafią przetrwać jego śmierć. I nie była to jedyna strata tamtej jesieni, bo nikt nie powstrzymał górskich plemion i niebawem stanęły nad Mairą, mętną i spienioną od deszczów.

Ladon dygotał z bezsiły. Wieki temu jeden z przodków Cardio złamał zaklęcie i ściągnął demona spośród gwiazd, a później nie poskąpił własnej krwi i własnej mocy, żeby go uwięzić na zawsze pośród dębów, oliwek i tamaryszkowców. Nie mógł uciec, podobnie jak Melissa. Stojąc na najwyższym tarasie, otulona w muzykę ogrodu, w śpiew słowików i drozdów, w woń lawendy i macierzanki, nacięła na krzyż nadgarstki, bo w wyludnionym castello nic innego nie potrafiła zrobić i zanadto bała się świata poza Valle dei Ruscelli, żeby rzucić się do ucieczki.

I nawet to nie wydarzyło się tak, jak miało być. Nie szukała magii, lecz magia wybuchła wokół niej, nieproszona. Ogród odpowiedział gęstwą łądyg, liści, źdźbeł i pnączy – i te ostatnie okazały się najwytrwalsze, podczas gdy krew Melissy ściekała pomiędzy gałęzie i skrzepami zestalała się wśród listowia. Zapewne umarłaby wtedy, podobnie jak wielu innych, bo zaświaty wypełniły się tamtej jesieni tysiącem nowych głosów – gdyby jeszcze potrafiła. Ale gałązki owinęły się wokół jej ran i liście wcisnęły się pod powieki.

Nic nie było za darmo. Ciernie rosły wokół, przesłaniając sadzawki i strumienie, aż przewyższyły najstarsze z dębów i wspięły się ponad krawędź nieba. Czar rozsnuwał się coraz szerzej, dziki, szaleńczy czar, zrodzony z rozpacz, samotności i strachu i nikt już nie potrafił go cofnąć. Dlatego właśnie magowie i szarzy braciszkanie z jednaką zjadłością tropili stregi: bo od niechcienia czyniły to, co czarnoksiężników kosztowało tak wiele trudu i napięcia woli, i nikt pod srebrnym księżycem nie potrafił nad nimi zapanować.

O wiele, wiele wcześniej Corvo przesunął palcami po chropawym ramieniu hekatonchejrona, wciąż trzymając Melissę tak blisko, że kilka ziaren piasku opadło jej na policzki, gdy

potwór cofnął się i znieruchomiał.

– Nie są prawdziwi – rzekł mag. – Wiedziałaś o tym?

Potrząsnęła głową.

Staruszek zamiatacz, zgarbiony, czekał przy wejściu do Arco della Terra, kryjąc strach pod pozorem pokory. Obejrzała się: jego sylwetka wydawała się rozpaczliwie skromna w otoku z jasności i mięsistej zieleni listowia. I zaraz kamienne ramię przesunęło się, ścierając jego obraz.

– To jedynie glina, zakłęcie i krew maga, a także duch, który nigdy wcześniej nie słyszał o potędze dawnych bogów – ciągnął Corvo – lecz ściągnięto go sponad księżyca, z najodleglejszych ścieżek, żeby nadać kształt naszej pysze. Robimy to bezustannie. Zbieramy martwe odpryski niegdysiejszych cudów i wlewamy w nie życie, raz i znów, i bez końca. Ale one pozostają martwą dekoracją. Igraszką. Nic się nie zmienia.

Wyczuwała, że wypowiada to przeciwko jej ojcu, ale nie rozumiała zarzutu. I nie wiedziała, jak na niego odpowiedzieć, żeby nie sprzeniewierzyć się żadnemu z nich.

– Ogród... – zaczęła niepewnie.

– Ogród jest piękny – przerwał niecierpliwie. – Podobnie jak ty. Ale potrzebuję czegoś więcej i dlatego przejechałem tę całą drogę, choć, Przedwieczny świadkiem, ten czas nie zasługuje, żeby go marnować.

Czekała. Wysoko pod sklepieniem bramy, w ciemności głębokiej jak strach, ślepe graje monotonnie mamrotały przekleństwa.

– Będzie wojna, Melisso – powiedział, odwracając ją ku sobie.

Wszystko było czarne – jego twarz, płaszcz, powietrze przesycone oddechem demonów. Wszystko.

– Ludy spoza Passo dei Lupi runą wreszcie na Półwysep i nie zdołamy ich zatrzymać – mówił, pochylony do niej, z ustami przy samych włosach. – Demony będą chodzić po naszych pałacach i układać się w naszych łóżkach. Górskie plemiona znów śpiewają o powrocie synów Sirocco.

Wstrzymała oddech.

– O czarnoksiężniku, który je poprowadzi i sięgnie po swoje dziedzictwo. Wojna nadchodzi, Melisso. Jest coraz bliżej.

– Kiedy? – zapytała bezdźwięcznie.

– Jeszcze tego lata. – Zacisnął palce na jej ramionach.

Miała ochotę się roześmiać. Miała zaledwie piętnaście lat i bardzo długo obawiała się tego mężczyzny, lecz wojny nie umiała się przerazić. Valle dei Ruscelli trwało od niezmiernie dawna i oparło się wielu grozom.

Później, znacznie później na darmo szukała w portretach i twarzach posągów tamtej nieświadomej, beztroskiej dziewczyny, która brała za pewnik kształty z metalu, drewna i kamienia. Bezskutecznie. Za każdym razem, gdy się rozpoznawała w jednym z tuzinów wizerunków – a Cardo miał hojną rękę i chętnie zapraszał do castello mistrzów, żeby podziwiali jego słodką, eteryczną córę – umykała jej jasnowłosa księżniczka i w wykrzywieniu kącika ust, w pionowej zmarszczce na czole, w wąskim, patrycjuszowskim skrzydełku nosa widziała stregę. Zawsze i jedynie stregę, która wymyśliła sobie wcześniejsze życie, schwyciła je w siatkę z potrzaskanych posągów, zetłałych sukien, starych ksiąg oraz klejnotów, które nie nabiorą już blasku w cudzym zachwycie.

– Tutaj nie dotrze – odezwała się bezmyślnie, zanim pomyślała o jego ojczyźnie, o Montenegro, daleko za Monti Lunari, gdzie jej ojciec zapuścił się jeden raz za młodu, kiedy miał zachciankę, żeby polować na łanie o rogach ze złota i spizowych kopytach.

Niewiele wiedziała o rodach z pogranicza. Młoda magia, mawiał jej ojciec z tym nieuchwytnym odcieniem pogardy, na jaką może sobie pozwolić ktoś, kto spogląda na głowy ladona, poskromionego przez jego przodków tak dawno, że ich rysy rozsypały się w pył.

Zignorował ją.

– Nawet twój ojciec to widzi, Melisso. Dlatego mi cię oddał. Ale nie robi nic więcej, czyż nie?

Naprawdę jednak nie oczekiwał od niej odpowiedzi, bo przecież nic nie mogła wiedzieć o zamysłach władcy Valle dei Ruscelli.

– Owoce spęczniałe od soku, marcepan, oliwki i trebbiano – mówił mag w ciemności Arco della Terra. – Stare dęby, pistacje, mirty i wawrzyny. I kwiaty narcyzów, które każdego dnia zwijają się z żądz, bo tutaj nie sięgają pory roku ani podmuchy tivano.

Stali samotnie zbyt długo i zamiatacz niepewnie szurał nogami w żwirze. Dźwięk przesączał się przez zasłonę z bluszczu, rozpływał się wśród ramion hekatonchejronów, ale naiwnością byłoby sądzić, że mag ugnie się przed trwogami starego wieśniaka.

– Dlatego się nie poruszają. Żadne z sześciu miast Pianura Leodiana nie wyśle wojsk. Jeszcze jedna górską ruchawka, powiedzą sobie. Może dadzą nam dwa oddziały kondotierów z łaski, jak rzuca się ochłap psu, kiedy zbyt głośno skowyczy. Nie darmo się mówi, że niziny płacą złotem, góry zaś płacą krwią. A jeśli jakiś ród padnie, tym gorzej dla niego. Zresztą magowie i tak zawsze umierają samotnie.

Podobnie jak żyją, przemknęło jej przez głowę i była to niebezpieczna myśl nawet tutaj, w głębi Arco della Terra, gdzie nikt nie mógł wyczytać jej z twarzy Melissy.

– Czego chcesz ode mnie? – wyszeptała.

Jak to możliwe, zapytywała się później, kiedy róże przemieniły się w pokrzywy, a oliwki wypuściły ciernie, jak to możliwe, że byłam taka głupia?

Zwolnił uścisk i odsunął się, ponownie ujmując jej łokieć.

– Przyjechałem błagać twego ojca o pomoc – odparł, znowu gładkim, układnym głosem maga. – A także przekonać się, co jest tak cennego w tym miejscu.

– I znalazłeś to? – spytała przed gęstwiną pnączy, która przesłaniała wejście do bramy, tak zbita i bujna, że nie przepuszczała ani odrobiny światła.

Milczał. Jedno, dwa uderzenia serca.

– Nie – odparł, popychając ją naprzód w melodię ogrodu, woń kwiatów i brzęczenie pszczół.

Jasność oślepiła, ale przecież tak miało być, ponieważ tuż przed nimi rozpościerał się kolejny taras, rozświetlony od potoków, strug i wodospadów, po mroku Arco della Terra migoczący jak klejnot. I wszystko wydawało się jak wcześniej, chociaż właśnie się odmieniło ze szczętem.

Wieśniak dreptał za nimi i ulga dźwięczała w każdym jego kroku.

– Pozwól mi spojrzeć w swoje ludzkie oczy – poprosił, ujmując jej nadgarstek, sztywny w obręczy ze srebrzystych nici.

Podniosła głowę i trwali tak, nieruchomi w pełnym blasku. Mag starł z opuszka bielidło, odsłaniając na jej dłoni gładki krążek nagiej skóry, a jej krew pulsowała pod jego palcem w rytm słońca. Zamknęła powieki i nie pamiętała później, ile czasu minęło. Może chwila, może znacznie dłużej.

A srebrny paw wyłonił się zza cyprysu i również na nich spoglądał tysiącem tęczowych oczu, i każde z nich było pełne magii.

– Czy chciałbyś, żebym z tobą pojechała?

Oboje oczywiście wiedzieli, że nie może tego uczynić bez zgody ojca, on zaś nie przystanie, żeby księżniczkę z Valle dei Ruscelli powierzono w małżeństwo ukradkiem, jak córkę koniokrada. Jednakże słowa także miały znaczenie, tak jej się wydawało.

Potrząsnął głową.

– Tu będziesz bezpieczniejsza.

Odwróciła spojrzenie w bok, na drzewka oleandru w błękitnych majolikowych donicach, na kępy hiacyntów, niezapominajek, fiołków, stokrotek, jaskrów i rumianku, wyrastających z gładko przystrzyżonej trawy.

– Co zatem...?

– Pójdziemy dalej – powiedział lekko. – Opowiem ci o Montenegro, a ty pokażesz mi kwiaty i nie zrobimy nic, co

mogłoby rozjrzeć twego ojca.

Już to zrobiliśmy, pomyślała, i to więcej razy niż przez całe moje dotychczasowe życie.

A jednak cofnęła się i nie odezwała wtedy. Niezmiernie mało wiedziała o życiu, które przeznaczono jej u boku tego mężczyzny, lecz rozumiała bardzo dobrze, że każde wypowiedziane dzisiaj słowo może obrócić się przeciwko niej. Starła się milczeć, posłuszna temu, jak ją wychowano, i melodii ogrodu.

Żyła później jeszcze wiele lat. Żadne nie przypominało tamtego, kiedy spacerowała z Corvo po ogrodach Valle dei Ruscelli. I wszystkie wydawały jej się zbędnym snem, podczas gdy ten jeden, jedyny prawdziwy dzień minął, zanim go naprawdę zauważyła.

Kiedy dotarli na sam skraj ogrodów, pod Arco dell'Aria, od ziemi bił już chłód i niebo zaczynało ciemnieć. Wzdrygnęła się, gdy z nieboskłonu stoczyła się gwiazda w koronie z płomieni.

– Każda jest demonem – mag odgadł jej myśli – którego ktoś pochwyił w sieć zaklęcia i ściągnął z jego orbity.

I większość z nich nigdy nie zdoła powrócić, pomyślała, opierając dłoń o jedną ze stu głów ladona, który niegdyś również był duchem i błędził pomiędzy gwiazdami, a teraz zrósł się tak bardzo ze skałą, że nie marzył już o niczym.

– Chciałbym zabrać coś, co przypomni mi o tym miejscu – powiedział Corvo, kiedy powrócili na najwyższy z tarasów.

Świetliki wirowały ponad jego głową.

Nachyliła się i zerwała na oślep jakiś kwiat, chociaż nawet on nie należał do niej.

– Miłek – rzekł z rozbawieniem mag. – Starożytni wierzyli, że powstał z krwi martwego boga, rozszarpanego przez dziki.

W dwa tygodnie później Corvo też był martwy, przysypany kamienną lawiną w Passo dei Lupi. Nie dowiedziała się, czy zatrzymał kwiat i o czym myślał w tej ostatniej chwili, zanim górskie demony uderzyły w niego z całą niepohamowaną furją.

Próbowała coś powiedzieć, odwrócić jakoś ten przerażający prognostyk, lecz Cardo już na nich czekał, jowialny, pełen uśmiechów i serdecznych gestów, a woda szemrała wokół casolaro.

– Jak znajdujesz moje ogrody, synu? – zapytał łaskawie, wyciągając ku nim upierścienioną dłoń.

Corvo wypuścił jej łokieć i ciężar sukni znów opadł, wyciskając z płuc oddech.

– Zaskoczyły mnie kwiaty – odparł powoli i z namysłem. – Niektóre z nich.

Miała się potem zastanawiać, dzień po dniu i w nieskończoność, jak wiele zdołał wówczas dostrzec.

I każda odpowiedź była równie gorzka.

Wtedy jednak nie dotknęli się więcej, nie wymienili nawet spojrzeń. Skłoniła się tylko nisko pod lampionami z salamander i odeszła. Lecz kiedy mijala utrudzonego starca, zatrzymała się. Wieśniak odpoczywał, oparty na drzewcu miotły nad splątanymi odciskami ich stóp, i zapragnęła go powstrzymać, zanim do reszty zetrze ze ścieżki ślady ich istnienia.

– Zostaw – poprosiła Melissa i sama nie rozumiała, skąd się jej wzięła ta śmiałość.

Czas prawdziwego wymazywania miał dopiero nadejść.

Cztery miesiące później na całej Pianura Leodiana, w sześciu miastach z białego kamienia, wykopywano trupy czarnoksiężników, którzy tak rozpaczliwie zawiedli w bitwie pod nawisem Capo Grande, wleczono je na powrozach po bruku, przywiązywano do kołatek albo nadrzecznych wierzb, chłostano i topiono. Lecz deszcz, grad i wichura nie ustawały, podobnie jak nie ustawał pochód plemion Monti Serpillini. Nie pomagały modły szarych braci ani zaklęcia ukryte w dziecięcych rymowankach. I nikt już na koniec nie wiedział, czy demony ze sztyletów czarnoksiężników, uwolnione w chwili ich śmierci, mszczą się za niewolę, czy też Przedwieczny zwiastuje nowe kary i klęski.

Na razie jednak Melissa przycisnęła czoło do zimnej kolumny. Za nią niobe nadal płakały w rogach casolaro, a marmurowy pastuszek odjął od ust fletnię i zaśpiewał doskonałym głosem demona wiersz władcy, który również był magiem:

Jakżeż piękną jest młodość

A jednak prędko mija!

Kto chce być wesoły, niech będzie,

Bo jutro jest niepewne.

Jakub Ćwiek

BAJKA O TRYBACH I POWROTACH



*Dziadkowi Wieškowi,
pierwszemu pośród bajarzy. Temu, którego dzieciństwo
przerasta moją wyobraźnię.*

- Wróci, zawsze wraca – mówi Wiesiek.
- Wróci – powtarzają pozostali.

Najpierw starsi, potem młodszy, szeptem, jak się odmawia modlitwę podczas mszy, tak, by Bóg usłyszał, ale żeby nie przeszkadzać księdzu. Wróci, szumią jak las, gdy mocno wieje, zawsze wraca.

Wiesiek patrzy w ogień, gapi się na czerniejącą rękę Arlekina, tłące się włosy jego Kolombiny, nieopierzony kuper Złotej Kaczki, pokryty bąblami łuszczącej się farby. Na berło i koronę starego króla.

Patrzy na płomienie, bo nie ma gdzie podziąć oczu. Jeśli uniesie je tylko trochę, napotka pytające spojrzenia maluchów. Nieco wyżej zaniepokojone twarze Małgośki, Karola i Janka. A ponad nimi są już tylko gruzy pod zawalonym sklepieniem, walające się wszędzie kukły i wszechobecne kolorowe kostiumy. Te ostatnie, przywalone cegłami, wyglądają jak pogrzebane w gruzowisku ciała.

Wiesiek zna się na tym, jak zresztą wszyscy tutaj, nawet maluchy. Odkąd zaczęła się wojna, widział wiele trupów. Zbyt wiele jak na czternastolatka, zbyt wiele nawet jak na starca. Dziesiątki, jeśli nie setki, a wszystkie z oczami jak dyndające wokoło marionetki. Namalowanymi. Pustymi.

Ale on nie jest trupem, myśli Wiesiek. Na pewno nie jest. Wróci. Zawsze wraca.

W końcu unosi wzrok. Maluchy są głodne i musi je czymś nakarmić.

– Chcecie posłuchać jeszcze raz o tym, jak Franek został bohaterem? Jak to się wszystko zaczęło? – pyta.

To nie kiełbasa i nie ziemniaki, ale cóż może poradzić. Nie mają nic więcej. Do czasu, aż wróci, została tylko opowieść.

METALOWY CZŁOWIEK

Przed wojną tata Franka był zegarmistrzem. Nie dlatego, że tym zajmował się wcześniej jego ojciec czy dziadek. Po prostu pewnego dnia, jako bardzo mały chłopiec, tata Franka – pan Joachim – powiedział sobie, że chce naprawiać zegarki. Dlaczego, zapytacie? Cóż, nikt nie zna prawdziwego powodu, ale ten, który w dzieciństwie podawał ciekawskim kolegom, zawsze brzmiał tak samo:

– Jestem leniwy, więc chcę się zajmować najmniejszymi rzeczami, jakie znam, bo małe rzeczy to mało pracy. A cóż jest mniejszego od trybów zegarka? Z drugiej jednak strony mam ambicję i chcę, by to, co robię, miało znaczenie dla całego świata. A któż ma na niego większy wpływ niż rządzący czasem?

Były to bowiem dni, kiedy tata Franka wierzył głęboko, że cofając wskazówki zegara, może też cofnąć godziny, zatrzymując mechanizm, zatrzymać świat, a pchając je do przodu, przyspieszyć wydarzenia.

Lata mijały, pan Joachim dorastał, w wiele rzeczy przestał wierzyć, ale marzenie o zegarmistrzowskim fachu pozostało i po kilku latach terminowania za pieniądze pożyczone od rodziców stworzył własną pracownię.

Nie była ona jak inne pracownie zegarmistrzowskie w mieście. Oprócz zegarka, który krył się w kieszonce kamizelki pana Joachima, i tego, nad którym zegarmistrz akurat pracował, nie było tam żadnych innych. Nic nie tykało w tle, nie kołysały się żadne wahadła, żadna kukułka nie pojawiała się o pełnych godzinach. Był tylko stół, nisko zawieszona żarówka i maleńki pokrowiec z kilkoma maleńkimi śrubokrętami. Pan Joachim pracował tylko nad jednym zegarkiem naraz, nie brał innych, dopóki go nie naprawił.

Był tak dobry w swoim fachu, że wszyscy przychodzili właśnie do niego, a nawet zapisywali się z miesięcznym wyprzedzeniem, byleby tylko przyjął ich zegarek do naprawy. Inni zegarmistrzowie w mieście musieli się zadowolić wymianianiem pasków, łańcuszków czy pękniętych szkiełek chroniących cyferblaty. Żaden jednak nie miał tego panu Joachimowi za złe. Był dla nich wzorem, a poza tym wszyscy wiedzieli, że on kocha zegary prawie tak bardzo jak swojego jedyne go syna. Tego nie mógł o sobie powiedzieć żaden inny zegarmistrz w mieście.

Może dlatego, że to nie była rodzinna tradycja – a może powodem było spóźnione odkrycie pana Joachima, że praca z zegarowymi trybami nie jest wcale taka lekka i łatwa, jak mu się kiedyś wydawało – zegarmistrz nie należał, by syn poszedł w jego ślady. Owszem, uczył małego Franka dokręcać maleńkie śrubki, sprawdzać i wymieniać sprężyny, mocować wskazówki i równomiernie dociskać szybkę, ale liczył się z tym, że chłopiec powie kiedyś:

"Chcę zostać podróżnikiem, bo czytałem fajną książkę o podróżnikach".

Albo:

"Chcę zostać piłkarzem, bo oni podobają się dziewczynom".

Czy wreszcie:

"Chcę polecieć na księżyc, bo Bolek mówi, że mieszkają tam księżycowi ludzie".

Jedynym zawodem, jakiego pan Joachim nie chciał dla Franka, był zawód żołnierza. Zegarmistrz brzydził się bowiem wojną jak niczym innym na świecie. A że przeżył jedną, nie była to niechęć w rodzaju tej, gdy ktoś piszczy na widok myszy albo pająka. Na wojnie pan Joachim stracił mamę.

Tak czy owak tata Franka był otwarty na pomysły syna, ale im bardziej się otwierał, tym bardziej syn utwierdzał się w przekonaniu, że chce pójść w ślady ojca. A że miał chłopak sprawne palce i bystre oko, radził sobie naprawdę nieźle. Wkrótce na stole pod żarówką pojawił się więc kolejny zegarek – ten reperowany właśnie przez Franka.

I tak było aż do owego strasznego dnia, kiedy wybuchła wojna.



Tamtego dnia Franek i jego tata naprawiali zegar stojący – taki, co to wygląda jak szafka, a za drzwiczkami z szybką ma dwa wahadła, które robią BIM i BAM.

I to właśnie owo bim i bam w pierwszej chwili zmyliło pana Joachima i Franka. Gdy usłyszeli głośny dźwięk, pomyśleli, że to zegar.

A to było tupanie, takie ŁUP-TUP, ŁUP-TUP.

W jego takt drżała sklepowa witryna i rozłożone na stole maleńkie narzędzia.

– Co to takiego, tato? – zapytał Franek – Te odgłosy?

Stary zegarmistrz uniósł głowę, zdjął okulary i rozmasował sobie nasadę nosa.

– Brzmi niemalże jak zegar. Czy raczej jak bardzo dużo

zegarów – powiedział. Sięgnął do kieszonki, wyciągnął z niej srebrną cebulę i przez chwilę wpatrywał się we wskazówki. – Do tego, trzeba przyznać, są punktualne. Sekunda trwa dokładnie sekundę i ani chwili dłużej.

Franek wiedział, że w ustach ojca to prawdziwy komplement, bo pan Joachim prawie w każdym zegarku, nawet szwajcarskim, wynajdywał wady, które powodowały opóźnienia albo przyspieszenia. W rzadko którym sekunda trwała sekundę.

– Pewnie jakiś nowy sprzedawca przyjechał do miasta. A może ktoś chce otworzyć fabrykę – powiedział wreszcie stary zegarmistrz i już-już miał się na powrót zabrać do pracy, gdy nagle zmarszczył czoło, poruszył nozdrzami jak królik i nadstawił ucha.

Franek wiedział, co to znaczy. Gdzieś w pobliżu źle pracuje mechanizm.

– Oho! – powiedział pan Joachim i uśmiechnął się pod nosem. – Wygląda na to, że ktoś nas dzisiaj odwiedzi z pilną potrzebą.

I przynajmniej w tym jednym się nie pomylił.



Zjawili się godzinę później. Z przodu rozczochrany pan Buckner, nauczyciel języków obcych mieszkający w sąsiedztwie, a za nim dwóch metalowych ludzi w czarnych skórzanych płaszczach.

Franek pierwszy raz widział takie dziwadła. Mieli głęboko osadzone czerwone żarówki zamiast oczu, dolne szczęki zamocowane na ogromnych śrubach, a z głów w kształcie walców wystawały im tysiące maleńkich kabelków, po których nieustannie przeskakiwały srebrzystobłękitne iskry. Gdy się poruszali, źle naoliwione stawy skrzypiały, a z otworów na szyi z cichym gwizdem uchodziło powietrze.

– Drogi mistrzu Joachimie – powiedział pan Buckner drżącym głosem. Tak naprawdę wcale się z zegarmistrzem nie lubili, ale

dorośli czasem tak mówią bez sensu. – Ci dwaj dżentelmeni mają do pana wielką prośbę. Poza kolejką.

Pan Joachim, któremu wystarczyło jedno spojrzenie na przybyłych, a potem jedno westchnienie, by skwitować ich obecność, tylko pokręcił głową. Jednocześnie wsunął małą pęsetę między tryby i z mechanizmu zegara wydobył tycią sprężynkę. Przyjrzał się jej pod światło, skrzywił się z niesmakiem i odłożył ją ostrożnie na biurko.

– Panie Buckner – powiedział, odkładając pęsetę. – Przecież doskonale pan wie, że nie zajmuję się dwoma zegarkami naraz. Nigdy. Nie przyjmuję też zleceń poza kolejnością. To byłoby nieuczciwe.

Nauczyciel zerknął najpierw przez jedno ramię, potem przez drugie na jedną pozbawioną wyrazu metalową gębę, potem na drugą i do obu uśmiechnął się nerwowo.

– Chwileczkę – rzekł i przeszedł na drugą stronę biurka.

– Panie Buckner, co pan... – zaczął pan Joachim, ale sąsiad nie pozwolił mu dokończyć. Złapał go za ramię, odciągnął w ciemny koniec pracowni i zaczął coś szeptać.

Franek stał za daleko i nie słyszał dokładnie, ale dotarło do niego, że chodzi o jakąś wojnę, okupanta i wielkie maszyny w powietrzu i na ulicach. Dla chłopca, który i tak nie miał mamy – o traceniu ojców na wojnie tata przecież nigdy nie mówił – brzmiało to naprawdę fajnie. Zwłaszcza te maszyny w powietrzu: Franek wyobrażał je sobie jako wielkie mechaniczne ptaki, zdolne pożreć samolot.

I gdy tak Franek rozmyślał o samolotach, z końca pokoju wrócili pan Joachim i pan Buckner. Ten ostatni był blady jak ściana.

– Na pewno nie zmieni pan zdania, mistrzu? – zapytał. – Ci panowie potrafią się odwdzięczyć.

– Nie wątpię – odparł pan Joachim. – Mam swoje zasady i nigdy od nich nie odstępuję. W przyszłym miesiącu proszę bardzo, nawet po specjalnej cenie, ale dziś...

Bezradnie rozłożył ręce, co sprawiło, że czerwone żarówki metalowych ludzi zamigotały. Jeden z nich uniósł metalową rękę, kantem lewej dłoni odbił czubek palca wskazującego prawej i BACH, BACH! – strzelił do pana Joachima. Oddał sześć strzałów, wszystkie w równych odstępach, niczym zegarowe bim-bam. Pierwsze cztery trafiły w zegarmistrza, pozostałe wryły się w mechanizm wielkiego zegara, niszcząc go całkowicie i na amen. Wskazówki i wahadła zegara zatrzymały się. Czas nie, choć Frankowi wydawało się, że powinien.

Jeden z metalowych, ten z dymiącym palcem, odwrócił się do chłopca i popatrzył mu prosto w oczy swoimi czerwonymi żarówkami.

– TY ZE_GAR_MISTCH?



Franek zerknął w stronę ojca. Dostrzegł, że pan Joachim w zaciśniętej ręce trzyma swój zegarek, a ten wciąż chodzi. Skoro działała cebula taty, to znaczyło, że i on ma szansę.

– Tak, jestem zegarmistrzem – powiedział. – Pójdę z wami, dokąd chcecie, pod warunkiem, że sprowadzicie lekarza do taty.

Żarówki w oczach metalowego człowieka zamigotały. Franek był pewien, że zaraz sam zginie od pocisku wystrzelonego z dziurawego palca. Zamknął oczy, ale zamiast wystrzału usłyszał metaliczne, zgrzytliwe:

– DO_BSCHE!

Cóż więc Franek miał począć? Poszedł.

Wiesiek przerywa opowieść. Dorzuca do ognia drewniany karabin i papierową konchę. Wie, że następnie przyjdzie kolej na marionetki: Jasia i Małgosię, stara się więc nie patrzeć im w oczy. Nie myśleć, że bajkowe rodzeństwo nazywa się dokładnie tak jak

dwójka jego towarzyszy niedoli, że są wzrostu maluchów zgromadzonych przy ogniu, a ich oczy wyglądają jak ludzkie. Bezskutecznie próbuje zapomnieć, jak pierwszej nocy w ciemności wydawało mu się, że są prawdziwi, i nawet coś do nich mówił.

Wysoko nad nimi burza grzmotów. Zapadnięty dach zrujnowanego teatru drży, sypie się kurz i gruz. Wiesiek zastanawia się, jak długo ich kryjówka wytrzyma. Czy Franek, gdy wróci, każe im się stąd wynosić?

O ile wróci, myśli Wiesiek.



I zaraz potem: Wróci, zawsze wraca.

Maluchy patrzą na niego, żadne się nie odzywa, ale to oczywiste, że czekają na dalszy ciąg historii. To ciekawość, nie strach, sprawia, że ich oczy są wielkie jak spodki.

Oby tak dalej, myśli Wiesiek i podejmuje opowieść.

Franek szedł ulicą pomiędzy dwoma metalowymi ludźmi. Pan Bruckner z przodu, jako przewodnik. Kierowali się w stronę budynku poczty.

Pozornie nic się na ulicy nie zmieniło. Na oknach jak co dnia wietrzyły się wielkie poduchy, przy straganach, w drzwiach sklepów i punktów usługowych stali kupcy wyczekujący klientów, wzdłuż krawężników tu i ówdzie parkowały samochody zamożniejszych mieszkańców okolicznych kamienic. Dzień jak co dzień, tyle że jedynym dźwiękiem, jaki unosił się nad ulicą, było ciche tykanie tysięcy zegarowych mechanizmów. Równe, miarowe, sekunda dokładnie co sekundę.

Franek przymknął powieki i wsłuchał się w ciche tik-tak, chrup, zgrzyt, tink-tink, cyk-cyk. A potem otworzył oczy i uniósł

głowę.

I wtedy ich dostrzegł.

Byli wszędzie. Szarzy jak ściany kamienic, trwający w bezruchu, dlatego w pierwszej chwili niedostrzegalni. Metalowi ludzie w mundurach. Wypukłe czoła gładko przechodziły w hełmy, przez co trochę przypominali grzyby. Ich oczy nie świeciły na czerwono. W ogóle nie świeciły, jakby przepaliły się tkwiące w nich żaróweczki.

Na gzymsach i dachach siedziały olbrzymie machinoptaki. Skrzydła miały z ozdobnych parawanów, metalowe brzuchy jak kotły, a pod dziobami jak wielkie nożyce – reflektory. Z grzbietów niczym kolce na smokach sterczały rzędy kominów, z których uchodziły w niebo kłęby czarnego dymu.

Gdyby teraz spadł deszcz, skrzydła ptaków na pewno by zamokły i porwały się na wietrze jak wilgotny papier, pomyślał Franek. Kto wie, może porzewieliby też metalowi ludzie.

To była miła myśl, ale zaraz doszło do niego, że jeśli nawet ulewa zaszkodziłaby wszystkim metalowym ludziom w mundurach, to nie zrobiłaby nic jego eskorcie, bo ci dwaj mieli skórzane płaszcze. Porzucił więc wszelką nadzieję i ze zwieszoną głową wkroczył do budynku poczty. Im szybciej odrobi swoją pracę, tym szybciej wróci do taty.

A tam na stole do segregowania listów leżał... kolejny metalowy człowiek, też w skórzanym płaszczu. Od kolegów różnił się tym, że miał w piersi otwartą klapkę, z której unosił się dym.

– PO_MUSCH MÜ! – polecił metalowy stojący na lewo od Franka, ten sam, który postrzelił pana Joachima.

Jego palec wciąż wyglądał jak lufa, więc chłopiec posłusznie podszedł do stołu i odgarnawszy listy, kartki pocztowe i stemple, uklęknął na blacie i zajrzał do wnętrza metalowego człowieka.

Oj, co się tam w środku wyrabiało! Z tysięcy zębatek wiele było już tak zdartych, że wyglądały prawie jak kółka, powyginane sprężyny powchodziły między tryby, niedokręcone śrubki chybotwały się na wszystkie strony. Nic, zupełnie nic nie było w

porządku i właściwie trudno było stwierdzić, co sprawia, że mechanizm w ogóle działa.

Franek odwrócił się i już miał o tym powiedzieć panu Bucknerowi, ale wtedy pan Buckner podszedł i postawił na blacie dużą czarną torbę. W środku zabręczały monety.

– Musisz go naprawić – szepnął. – Inaczej zginiemy.

To powiedziawszy, otworzył torbę, w której, jak się okazało, były części do zegarków. Chłopiec natychmiast zabrał się do pracy. Kto wie, jak by się potoczyła ta historia, gdyby nie to, że przejęty, podenerwowany Franek zapomniał o pierwszej zasadzie wpojonej mu przez ojca: "Gdy widzisz mechanizm po raz pierwszy, nie wyciągaj całego naraz, bo wszystko pomieszasz i potem nie będziesz wiedział, co jest do czego".

Franek bez myślenia wyciągnął po kolei wszystkie części. No i wszystko pomieszał.



Coś drgnęło w tunelu, plusk w rurze zabrzmiał jak stąpanie, coś szarpnęło za potykacz i rozdzwoniły się dzwoneczki.

Wszyscy reagują odruchowo: Małgośka niczym kwoka zagarnia maluchy i pcha je w stronę dekoracji z królowny Śnieżki, w których schowali pistolet i kilka butelek z benzyną, Karol rzuca się w stronę sklejkowych drzewek opartych o gruzy i wyciąga karabin maszynowy, a Wiesiek z Jankiem gaszą ognisko resztką kurtyny.

Trwa to ledwie chwilę. Potem przez długie minuty wyczekują, wpatrzeni we wlot rury kanalizacyjnej, będący jedynym wejściem do ich kryjówki. Maluchy wstrzymują oddechy, Małgośka i Karol z palcami na spustach modlą się o spokój. Wiedzą, że jeśli strzelą, stracą kryjówkę, bo huk poniesie się kanałami, więc nie mogą sobie pozwolić na pomyłkę.

W końcu po czasie, który równie dobrze może być kwadrans, jak i godziną, wszyscy gromadzą się znowu w

jednym punkcie wokół zagaszonego paleniska. Karol mówi, że trzeba je rozpałcić na nowo, i znika gdzieś. Z przeciwnego końca sali słychać pękające drewniane karki ostatnich dwóch spośród czterdziestu rozbójników. Wiesiek myśli, że zawsze to lepiej niż Jaś z Małgosią, ale przecież ich też to w końcu czeka. Wojna na górze nie skończy się przecież dziś w nocy.

A może? – myśli i w tym momencie słyszy piśnięcie. Najpierw jedno, potem kolejne. Zjawia się Karol i rzuca im coś pod nogi.

– Znalazłem gniazdo szcurów – mówi z dumą. – Nie mam pojęcia, jak się tam, cholery, zachowały.

– Nie zachowały się. To nie gniazdo, dopiero przyszły – mówi Janek. – Pewnie to one szarpnęły za linki. Kto wie, może szukały tu schronienia?

– Jeśli tak, to źle trafiły.

– Jak my wszyscy, prawda? – wtrąca Wiesiek.

Polewa benzyną szczątki rozbójników, rzuca na nie zapalną i patrzy, jak rodzą się płomienie.

Najszybciej zajmują się brody, płoną intensywnym zielonobiałym ogniem.



– Czy pan Joachim przeżył?

– Co się stało z pacjentem z poczty? – Jak Franek uciekł metalowym ludziom?

Maluchy pytają i pytają, apetyt rośnie wszak w miarę jedzenia, a pożywiwszy się szczurzym mięsem, mają więcej sił i proszą o deser. O historię.

Wiesiek najchętniej przełożyłby dalszą opowieść na jutro, ale cóż to znaczy jutro? Tu, w ciemności, zawsze jest dzisiaj, zawsze jest teraz. Rozsiada się więc wygodnie, wzdycha i wlepiwszy wzrok w ogień, kończy historię.

– Pan Joachim niestety nie przeżył... – mówi.



Metalowi ludzie nie posłali po lekarza. Za to Franek przy swojej pierwszej samodzielnej pracy spisał się na medal, bo choć zapomniał o zasadzie ojca, użył dokładnie tylu nowych części, ile wyjął starych, a gdy w końcu znalazł kluczyk na plecach metalowego człowieka, nakręcił go, maszyna natychmiast ruszyła, pacjent usiadł, wstał i zamknął sobie klapkę na piersi.

To ostatnie zrobił tak szybko, że nikt – ani jego metalowi koledzy, ani pan Buckner, ani nawet Franek – nie zorientował się, że teraz wszystkie tryby kręcą się odwrotnie. Nie jak wcześniej, wbrew zegarowym wskazówkom, tylko zgodnie z ich ruchem. Co już niebawem miało przynieść zaskakujące skutki.



Wiesiek milknie, pokazuje, że zaschło mu w gardle. Skrzypią stawy, gdy podnosi się z klęczek, chrząści gruz, gdy po omacku rusza w stronę postawionego pionowo rzędu teatralnych foteli. Ostrożnie wspina się na nie i sięga po słoik ustawiony pod pękniętą rurą. W samą porę, bo z naczynia zaczynało się już przelewać.

Zabiera słoik i podstawia szyszak woja z bajki o Popielu i myszach. Potem ostrożnie schodzi po zaimprovizowanej drabinie, upija łyk wody i przekazuje słoik dalej. Najpierw starszym, bo maluchy są łapczywe i wypłyby wszystko, nie oglądając się na resztę.

No cóż, myśli, są tylko dziećmi.

Tymczasem Małgośka podjęła przerwana opowieść. A może opowiada własną? Trudno się połapać – historie, jak w życiu, splatają się ze sobą, koniec jednej jest początkiem drugiej. Wszystko jest wspólne. Jak jedzenie, które przyniesie Franek, gdy wróci. Jeśli wróci.

– Wróci – pociesza się Wiesiek. – Zawsze wraca.
A potem siada, dołącza do kręgu.

SŁONIOSMOKOMASZYNOZWIERZ

Metalowi ludzie, którzy zajęli miasto i kraj, nie przyszli sami. Przeprowadzili ze sobą najdziksze zwierzęta na świecie, tym bardziej przerażające, że sztuczne jak ich właściciele.

Były więc bykorówki z grzbietami obciążonymi plandeką i tygrycykle z przyczepkami. Długaśne węzozwierze połykające własne ogony i w ten sposób okalające miasto kolczastym pierścieniem oraz szybkostrzelne CeKaMamby, wijące się na dzikochodach. Z nieba zaś i dachów nieustannie łypały na mieszkańców miasta machinoptaki: lekkie, zwiewne trybwronki i ciężkie, opancerzone bombdory.

Wszystkie te maszyny były straszne, miały ostre zębiska, pazury, jedne pluły, inne ziały ogniem, wszystkim jednak daleko było do Słoniosmokomaszynozwierza. Tego bowiem stworza bali się nawet metalowi ludzie.

Było to bydlę szerokie jak ulica, z wielką trąbą, na której końcu wiecznie żarzyła się mała główka. Może i wyglądało to nieco zabawnie, biada jednak temu, kto by się z bestii zaśmiał choćby raz. Wówczas okazywało się bowiem, że maleńka główka jest jedynie na pokaz, by się wściekać i wykrzykiwać brzydkie słowa, a prawdziwa wielka paszcza stworza kryje się niżej. Właściwie, jeśli się dobrze zastanowić, Słoniosmokomaszynozwierz był w całości – od spętanych gąsienicami łańcuchów łap po tupecik metalowego włazu – jedną wielką paszczą. Gdy się rozdziawiał, mógł naraz połknąć trzech ludzi stojących obok siebie. Wystarczyłoby, że ugięliby kolana.

I właśnie w ludziach ów wstrętny stwór gustował. W tych prawdziwych, z krwi i kości, choć i metalowymi nie wzgardził, gdy nachodził go głód. Dlatego okupanci pilnowali, by potwór był zawsze najedzony. W tym celu urządzali mlaskanki.



Gdy Małgośka opowiada, maluchy często się śmieją, bo Małgośka zna się na opowiadaniu historii jak mało kto. Franek, gdy jej słuchał, zawsze powtarzał, że będzie dobrą matką, i patrzył wtedy na nią tak, jakby się zastanawiał, czy nie jego przyszłych dzieci. Wiesiek już dawno stracił nadzieję – nie ma przecież szans z bohaterem.

Ale patrzeć nikt mu nie zabrania, więc patrzy. I słucha.



Frankowi zwykle udawało się uniknąć mlaskanek. Pomagał mu w tym zegarek jego taty, pana Joachima. Z zazdrości, że jakiś inny mechanizm podaje prawidłowy czas głośniej niż on, w obecności cudownie wyregulowanego Słoniosmokomaszynozwierzka drgał nerwowo. Wystarczyło więc, że kieszeń chłopca zaczynała wibrować, i mały zegarmistrz natychmiast odwracał się na pięcie i czmych -czmych, uciekał w inną stronę. Tak to złość i zazdrość cebuli pana Joachima raz po raz ratowała jego synowi życie.

Aż pewnego dnia coś się stało. Może zegarek, mimo iż nienakręcony, starał się pilnować, by sekunda trwała dokładnie sekundę, i nie usłyszał trybów potwora? A może jego nerwowe drżenie utonęło pośród karmelków w kieszeni Franka? Trudno powiedzieć.

Niezależnie jednak od powodu tamtego dnia Franek wszedł prosto w mlaskanę, z czego zdał sobie sprawę dopiero wtedy, gdy bykorówka i dzikochody zablokowały oba wyloty ulicy, a w oknach i bramach pojawili się metalowi ludzie z wycelowanymi we wszystkich naładowanymi palcami.

Raz-dwa metalowi ustawili wszystkich złapanych w kolejce i wyciągnęli grube zeszyty, by zapisać sobie nazwy wszystkich smakołyków dla swojego najgroźniejszego stwora. Prowadzili

bowiem badania nad gustem i smakiem Słoniosmokomaszynozwierza i szukali jego ulubionych potraw.

Szło im marnie, bo do tej pory nie potrafili się zorientować, czy Zdzisie smakują bestii bardziej niż Grzesie, a może Kubusie, Kasie albo Michalinki. Im bardziej im nie wychodziło, tym gorliwiej próbowali. I właśnie ta gorliwość i upór metalowych ludzi uratowały Frankowi życie.



Ogień w oczach Małgośki budzi w sercu Wieśka bohatera. Nie po raz pierwszy, ale za każdym razem to nieodparte uczucie, gorące pragnienie, by zrobić coś wielkiego, coś, co przyćmi dokonania Franka, jest silniejsze. Raz zawiodło go nawet do okrągłego wylotu kanału, do chatki z tekturowego piernika, zasłaniającej wejście do ich kryjówki. Ale, niestety, ani kroku dalej.

Tym razem jest inaczej. Tym razem Wiesiek wie, że jeśli Franek nie wróci, zanim położą się spać, on przejmie na siebie jego obowiązki i zadba o resztę. Zdobędzie jedzenie, a może nawet więcej broni. I świeczki.

To wszystko mówią mu tańczące płomienie w oczach Małgośki. W uszach brzmi jej słodki głos.



Franek nie rozpoznał metalowego człowieka siedzącego na grzbiecie tygrysocykla. W pierwszej chwili nawet go nie zauważył, bo – jak wszyscy złapani w mlaskance i ustawieni w kolejce – patrzył tylko przed siebie i myślał, co to będzie, gdy weźmie go w obroty bestia. Czy zmieli go w swoich trybach, czy rozszarpie ostrymi zębiskami? Zdepcze na kotlet, upraży jak ziemniaka w ognisku? A może przełknie na surowo, mlaszcząc głośno, jak miała w zwyczaju? To były problemy, które

zaprzętały głowę Franka.

– PAMIETASZ MNIE? – zapytał metalowy człowiek chrzęszcząco-żwirowato-szurnym szeptem. – URATOWALES MNIE NA POCZCIE. JESTEM GERRAPHIT.

Franek zmrużył oczy, ale nawet wtedy nie zauważył w walcowatym obliczu metalowego niczego znajomego. Oni wszyscy wyglądali tak samo. Choć, gdy się zastanović, ten mówił trochę inaczej – prawie jak ludzie, uciekały mu jedynie ze słów kreski i ogonki – i jakby się uśmiechał. To ostatnie mogło się jednak Frankowi zdawać.

– WSLUCHAJ SIE – polecił Gerraphit.

I Franek się wsłuchał.

Usłyszał szaleńcze BUM-BUM-BUM kilkunastu serc swoich towarzyszy niedoli.

Głośne MLASKU-MLASK Słoniosmokomaszynozwierz, czającego się najpewniej za rogiem, bo stamtąd padał wielki jak dom cień.

Miarowe TIK-TAK-TIK-TAK-TIK tysięcy mechanizmów, które zawładnęły miastem. W każdym z nich sekunda trwała dokładnie sekundę, jak w zegarku pana Joachima.

Właśnie, Franek słyszał też zegarek w swojej kieszeni, jego dokładne i piękne jak zawsze TIK-TAK. Tym razem brzmiało... podwójnie?

Niemożliwe, pomyślał chłopiec, i już-już miał sięgnąć do kieszeni, kiedy Gerraphit pochylił się nad przyczepką tygrysocykla i złapał go za rękę. Następnie rozejrzał się, odchylił skórzany płaszcz i odpiął maleńki haczyk zamocowany na piersiowej klapie. Błysnęły wciąż lśniącej nowością tryby mechanizmu.

– JESTEM TERAZ NA ODWROT. DOBRY, NIE ZLY – wyszeptał. – CHCE CI POMOC.

Sięgnął do przyczepki i wyjął z niej lalkę, która wyglądała jak dziecko, ruszała rączkami i cicho pochlipywała.

– TO JEST NIEMOWLE – wyjaśnił Gerraphit. – TYLKO

ZAMIENIONE W SRODKU. TO, CO TAM BYŁO, SIE ZEPSULO, WIEC ZAMIENILEM NA TRYBY.

Franek wziął dziecko na ręce, popatrzył na nie, a ono popatrzyło na niego.

– GDY BEDZIE TWOJA KOLEJ, DAJ SŁONIOSMOKOWI NIEMOWLE JAKO PRZEKASKE, POCZEKAJ, AZ PRZEZUJE, I DAJ SIE POLKNAC.

Franek chciał zaprotestować, ale Gerraphit nagle spiął tygrysocykla, szarpnął za uzdę i ruszył, kryjąc metalową głowę w ramionach.

– ZAUF AJ MI – powiedział jeszcze na odchodne i pognął przed siebie.



Kolejka przesuwała się na raz i dwa. Raz znaczyło szybkie spisanie danych, dwa – wypchnięcie człowieka za róg ulicy. Potem było już tylko mlaskanie Słoniosmokomaszynozwierza, ale ono nie liczyło się jako trzy, bo wtedy metalowi ludzie już spisywali kogoś następnego.

Franek powoli przesuwał się do przodu, w rękach ścisnął niemowlę, miękkie jak ludzkie, ale tykające jak zegarek. Myślał, czy może zaufać Gerraphitowi. Raz już przecież zaufał metalowym ludziom i jak to się dla niego skończyło? Wojna dopiero się zaczęła, a on już nie miał taty.

W końcu przyszła jego kolej. Zapytany o swoje imię, powiedział prawdę. Zapytany o imię dziecka, podał pierwsze słowo, jakie przyszło mu do głowy: Kontrabas.

Metalowi ludzie ucieszyli się, bo takiego jeszcze nie mieli. Wypchnęli Franka i Kontrabasa za róg ulicy, gdzie w całej swej okazałości stał on – Słoniosmokomaszynozwierz!

Wyglądał tak, jak się nazywał, czyli długo, wielko, głupio i wcale nie strasznie. Miał ciało słonia i spętane ugięte łapy. Trochę przypominał klęczącego wielbłąda. A może właśnie

słonia?

Franek nigdy nie widział klęczących słońi, za to wielbłądy owszem, aż cztery.

Z czoła, spomiędzy dwóch ogromnych reflektorów oczu, wyrastała mu sztywna, długa armatrzaba z płonąca główką. Głóvka podobna do balonu wykrzykiwała coś wściekle w niezrozumiałym języku i co chwila krzywiła się, jakby miała kichnąć. Pewnie płomieniami.

Nie, Słoniosmokomaszynozwierz wcale nie wyglądał groźnie. Przynajmniej do chwili, gdy rozdziawił potężną szczękę, błysnął potwornymi zębiskami i pokazał wewnątrz pełne śrub, imadeł i pił tarczowych kręcących się jak bączki, tak że prawie nie było ich widać – zostawała wyłącznie smuga światła. Wtedy robiło się przerażająco.

Opowieść przejmuje Karol. To jego ulubiony fragment, a poza tym Karol umie naśladować głosy. Małgośka uśmiecha się do niego z wdzięcznością, a Wiesiek złości się, że Bóg poskąpił mu talentów. Jedynym, czego Wiesiek zdążył się nauczyć prócz liter i tabliczki mnożenia, była gra na łyżeczkach i rzucanie kamieniami. To pierwsze za głośne, drugim trudno zaimponować dziewczynie, zwłaszcza gdy oboje siedzą w kryjówce pod ziemią.

Pod pretekstem rozprostowania kości Wiesiek wstaje i kopie wystającą spod gruzów rękę. Wydaje mu się, że to przedramię gajowego z *Czerwonego kapturka*, choć po chwili jakiś głos mówi mu, że nie kopnął w drewno ani w gałgany. Nie sprawdza, czasem niewiedza jest błogosławieństwem.



Karol ciągnie opowieść.



MLASK – mlaszcze Słoniosmokomaszynozwierz. A potem jeszcze MLASK, MLASK, MLASK na wspomnienie już zjedzonych i z radości na myśl o tych, których dopiero pozre.

Jego jęzor wygląda jak stalowa siatka. Spomiędzy jej oczek wystają podarte rękawy, czapki, czasem ludzkie dłonie. Jest też jeden pistolet. I głowa metalowego człowieka.

Wobec takiego widoku trudno przewyciężyć lęk, ale Franek nie był przecież byle kim. Już wtedy w jego sercu tliła się odwaga, która później uczyniła go bohaterem. Gdy więc stwór wychylił się w jego stronę, Franek uniósł trzymane w rękach sztuczne niemowlę i cisnął je do paszczy bestii.

– Zanim mnie zjesz, odśwież sobie oddech, bo śmierdzi ci z pyska smarem i starymi ludźmi – zadrwił. Założył ręce na piersi i czekał, aż potwór przeżuje niemowlaka.

Co, jak się okazało, wcale nie było takie łatwe, bo przerobione przez Gerraphita dziecko pełne było kleju i lepkiej smoły, która raz-dwa posklejała śruby i imadła, zatrzymała piły i zatarła zębaki.

Słoniosmokomaszynozwierz próbował wszystkiego, by pozbyć się z pyska zdraдлиwego przysmaku.

Próbował ugryźć budynek, ale tylko przykleił sobie do języka fragment muru. Próbował wypluć, ale wtedy posklejał sobie zęby. W końcu krzyknął coś przez ognistą główkę i znieruchomiał.

Na ten właśnie moment czekał Franek. Czym prędzej wskoczył do paszczy bestii, stamtąd przesunął się do brzucha i dalejże używać sobie między trybami. Skręcał, wykręcał, dłubał, przestawiał, a gdy uznał, że dzieło jest gotowe, wspiał się po zębatkach do głowy Słoniosmoka i zerknął przez oczodół. Zauważył, że na dole zgromadziła się już spora grupa

zaskoczonych ofiar mlaskanki. Dziwili się zapewne, że jeszcze żyją.

Co powinienem teraz zrobić, pomyślał Franek, żeby metalowi ludzie nie nabrali podejrzeń?

I wtedy przypomniał sobie o starym teatrze z kukiełkami, do którego chodził z ojcem w wolnych chwilach. Od dawna nikt tam nie zaglądał; mówiono, że budynek może się zawalić i pewnie wszystko tam pokryło się kurzem, ale główna sala z pewnością pomieści Słoniosmokomaszynozwierza i garstkę ocalonych ludzi. Gdyby chcieli, mogliby w tym teatrze stworzyć miasto w mieście, wolne od metalowych ludzi i bronione przez najstraszliwszą z bestii.

Franek szarpnął za kilka sprężyn, wprowadził w ruch zębátky i nim się jeden z drugim spostrzegł, pożarł pyskiem Słoniosmoka najbliższe cztery osoby. Następnie, naśladowując głos metalowych ludzi, zawołał donośnie przez tubę w armatrzebie:

– DOSZCZ MAM NA DZISZAJ LUDZI. TERAZ CZE JABLEK I PIECZENI. I PLACKA Z JAGODAMI. I KOMPOTU, I...

Długo tak jeszcze wyliczał, a potem śmiał się, gdy widział, jak metalowi ludzie znoszą to, czego zażądał. Czwórka kompanów, trzech chłopcy i dziewczyna, układali wszystko we wnętrzu bestii, aż zapełnili ją po brzegi.

Wtedy Franek szarpnął za kolejne sprężyny, odwrócił się na spętanych słoniosmocznych piętach i ile sił w łańcusienicach pognął do teatru.



Mogłoby się wydawać, że maluchy już śpią, ale wystarczy krótka pauza i już przecierają oczka, siadają i zadają pytania:

– To wy, prawda? To was uratował? A gdzie teraz jest Słokosłomomaszycośćam? Czy Franek nadal w nim jeździ? Czy my też możemy?

Wiesiek, Małgosia i Karol zerkają na Janka. Historia z teatrem

to jego opowieść.

Janek wzrusza ramionami. Mus to mus.

TEATROTRACHIA, TEATROLUPSJA

Franek chciał, żeby w teatrze było gwarno i wesoło, tak jak gwarno i wesoło było kiedyś w całym mieście. Dlatego nie tylko zaprosił do niego ludzi, ale ożywił także część kukiełek i marionetek. Te, których tułów wypełniały gałgany, wypatroszył i włożył do środka zegarki. Tym z drewnianymi korpusami wydłubał dziury i umieścił we wnętrzu taktometry. Obłożonych metalem nie ruszał, bo już wtedy uważał, że wszystko, co metalowe, jest z gruntu złe. Jak metalowi ludzie i ich bestie. Jak karabiny i pistolety...

Dziwnie mieszkało się w tym teatrze pod kryształowym żyrandolem, śpiąc na rozkładanych fotelach albo w łoży, otulając się strzępami kurtyny i jedząc na proscenium z talerzyków-rekwizytów, rozłożonych na afiszowych obrusach.

Dziwnie było co wieczór patrzeć na Słoniosmoka, który wczołgawszy się przez dwuskrzydłowe drzwi, rozsiadał się na środku widowni niczym wyjątkowo gruby widz, a potem zawijał armatrabę i wsadzał ją pod pachę przedniej łapy jak gęś, która chowa głowę pod skrzydłem, i tak zamierał aż do następnego nakręcenia.

Najdziwniejsze były jednak żywe lalki, które kręciły się wszędzie, przyglądały się światu z dziecięcą ciekawością i o wszystko, dosłownie wszystko, dopytywały się po kilka razy.

– Czemu ten domek jest taki płaski? – pytał Jaś na widok tekturowego domku więdźmy.

– Kto wreszcie wpadł na pomysł, żeby ich powywieszać? – dopytywał się Alibaba na widok dyndających na sznurkach nieożywionych rozbójników.

– Czy wam też się czasem wydaje, że jesteście nadzy? – chciał wiedzieć cesarz.

Chodząca za nim krok w krok dziewczynka pytała raz po raz:

"Nie potrzebujecie może zapalek?", jakby nie widziała czerwono-białej tabliczki z napisem "Zakaz palenia".

Tak, życie z lalkami było doprawdy dziwne.



Po miesiącu jednak, gdy dziwność przestała być dziwna, w teatrze zapanowała rutyna. Każdy dzień wyglądał niby trochę inaczej, a jednak tak samo jak wczorajszy i przedwczorajszy.

Każdego ranka jeszcze przed świtem Franek i Słoniosmokomaszynozwierz ruszali na łowy, a wszyscy pozostali przebierali się w teatralne kostiumy i wystawiali przedstawienia.

Brzmi to może ładnie i miło, ale nie było takie ani-ani, bo zamiast deklamowanych kwestii wszędzie słychać było kłótnie.

Po pierwsze, każdy chciał być na scenie, a nikt na widowni.

Po drugie, każdy chciał przydzielać role.

Po trzecie, gdy już role rozdano, nikt nie chciał grać tej przydzielonej, tylko inną.

Po czwarte, ludzie nie lubili grać z lalkami, a lalki z ludźmi.

A kostiumy i dekoracje wyniosłym milczeniem dawały do zrozumienia, że nie chcą grać z nikim.

Z tych to właśnie powodów, choć próby trwały od świtu, premiera opóźniała się aż do wieczora. Przedtem jednak pojawiał się Franek w Słoniosmoku i wszyscy ludzie rzucali się na jedzenie, a lalki na opowieści. A czasem odwrotnie.

Tak więc gdy po ulicach miasta snuli się metalowi ludzie w poszukiwaniu pieczeni dla odmienionego Słoniosmokomaszynozwierza, w teatrze odbyły się premiery *Cesarza Alladyna i czterdziestu szczurołapów*, *Jasia i Roszpunka* oraz największego widowiska ze wszystkich: Baśni o braciach zaklętych w brzydkie kaczątka z udziałem siedmiu krasnoludków Śnieżki i ich dalekiego kuzyna, irlandzkiego skrzata z kredensu w teatralnym bufecie.

I to właśnie tego dnia wszystko potoczyło się inaczej niż zwykle.



Pauza w tym miejscu oznacza, że przyszedł czas na ulubiony i zarazem najbardziej znienawidzony fragment opowieści. Maluchy to już tylko wielkie oczy, wielkie uszy i rozdziawione buzie – małe wilczki ze zwariowanej wersji *Czerwonego kapturka*.

Czekały na ten fragment od pierwszego słowa. Wiesiek myśli o nim jak o *Symfonii trachów*. Tylko Janek potrafi ją odtworzyć.

Patrzą po sobie Wiesiek, Małgośka i Karol. Potem jedno zerka na potrzaskane sklepienie, drugie na rury, trzecie łapie za broń. "Teatrotrachia" – mówi na ten fragment opowieści Małgośka. Tylko Janek wie, jakie dźwięki i trzaski następują w niej po sobie.

Cisza, nawet woda przestaje kapać do szyszaka, chybotliwa konstrukcja złożona z nadwerężonych wsporników, szkieletu rur i prętów nie trzeszczy pod naporem gruzu na zapadniętym dachu przybytku sztuki.

Wszystko, cały ten mały świat, wstrzymuje oddech, czekając na Janka. Czekając na Teatrołupsję. Tak nazywa ją Karol. Janek nabiera powietrza w płuca...

Oczy maluchów ogromnieją, już nie mogą być większe.



Tego dnia żaden aktor – nieważne, prawdziwy czy kukielkowy – nie wszedł na scenę. Samozwańczy reżyser dzisiejszego spektaklu, jajowaty Humpty Dumpty, najpierw na wszystkich nakrzyczał, a potem zaczął znosić dekoracje między fotele, prosto do legowiska Słoniosmokomaszynozwiera. Zniósł i domek wiedźmy, i wieżę księżniczek, warsztat szewca i wrota

Sezamu. Wreszcie zmęczony usiadł sobie na małym murku. Nagle... ŁUPOTRACHOPACOPEKŁ. Z tępobrzdękiem rozsypały się skorupy. Humpty Dumpty jęknął przeciągle.

Zaraz rzucili się ku niemu konni i dworzanie nagiego cesarza, woje króla Popiela i kto tam się tylko znał na wielkich jajkach. Na nic się to jednak nie zdało, bo z głowy Humpty'ego Dumpty'ego ciekło już rdzawopomarańczowe żółtko, a on sam był w stanie tylko trzepotać długimi rzęsami. A potem nawet to się skończyło.

Wtedy ktoś krzyknął:

– Utuczyl się dość, do pieca z nim!

Ktoś inny zawołał:

– Może go uratować tylko pocałunek prawdziwej miłości!

Dziewczynka, ta od zapalek, znalazła gdzieś tubkę kleju. Ale nikomu nie udało się zebrać Humpty'ego Dumpty'ego do kupy.

Urządzili mu więc pogrzeb. Tam gdzie stali, w samym środku słońiosmoczego legowiska.

Pech chciał, że gdy tak śpiewali żałobne pieśni, wspominali zmarłego i rozpaczali zgodnie, zgrzytoskrzypnęły wielkie wrota i do środka wielkiej sali wtoczył się Słońiosmokomaszynozwierz, bardziej jeszcze niż zwykle wypchany jedzeniem.

Nie bacząc na nic, runął między fotele prosto na żałobników i luzując sprężyny wewnętrznych zegarów, usnął.

I wtedy rozległo się TRACHUCHRUP i zaraz potem TRZASKUWIZG. Chwilę później CHROBOCHROBOKRACH.

I na to właśnie głośne KRACH teatr się zakołysał, roztrzeszczał i zapadł pod ziemię z głośnym FLHRUUUP, jak w odpływie wanny, do którego ktoś wrzucił kawałeczki szkła i spuścił wodę. A wtedy...



Janek milknie, ale jego trachy, trzaski i inne dźwięki wciąż

niosą się echem po zapadniętej sali. Teatr miał kiedyś dobrą akustykę. Kanały mają jeszcze lepszą.

To zawsze był najtrudniejszy fragment, nie dało się go opowiedzieć cicho. Zwykle coś na górze – wybuch, wrzaski, kolumna opancerzonych dudnień – zagłuszało Jankowe onomatopeje.

Tym razem jest tylko echo, niosące się dalej i dalej, jak wiwat wyśpiewany o jeden raz za dużo. A potem cicha odpowiedź. Szur-szur na granicy słyszalności. Płuca pęcznieją od wstrzymywanego oddechu. Przyciągnięty karabin zgrzyta o żwir. Oczy przepatrują ciemność.

– Może to Franek? – mówi Małgośka i jej głos brzmi tak, jakby w to wierzyła.

Kto wie, myśli Wiesiek, może wystarczy uwierzyć i wszystko będzie dobrze? W końcu do tej pory tak było, a Franek...

– Wróci. – Karol jakby czytał w jego myślach. – Wróci jak zawsze.

Janek tylko kiwa głową. Nie odzywa się, bo liczy na to, że jeszcze podejmie opowieść. Wtedy każde słowo, każde wtrącenie nie na temat będzie jak plama na białym obrusie.

Maluchy nie wiedzą, co się dzieje, więc milczą. Oczy im maleją, buzie się domykają, gaśnie płomień ciekawości. Dzieci tak łatwo tracą zainteresowanie.

Coś zgrzyta przy wylocie rury i zaraz potem pojawia się Franek. Właściwie nie tyle wchodzi, ile wpada do środka. To czarne na jego twarzy, stwierdza Wiesiek, to krew.

Doskakują ku niemu. Janek już wspina się po wodę, Małgośka kładzie sobie jego głowę na kolanach.

– Co ci jest? – pyta. – Co się stało?

Franek – nie widać mu oczu, ma dwie napuchnięte, nacięte poziomo śliwki, nie ma zębów, tylko wykarczowane pole dziąseł, w miejscu nosa tkwi złamana bałwanowa marchew – wciąga ze świstem powietrze, spluwa krwią i mówi:

– Eeeeeaaszaaa.

To ma chyba znaczyć "przepraszam". Do środka wpadają ci, którzy przyszli za nim.

OPOWIEŚĆ O DŁUGOŻYJSTWIE

Było ich stu, dwustu, a może pięć tysięcy. Ledwo wpadli, rozwarli klapki na piersiach i zdjęli z trybów wygłuszające szmatki. Naraz rozległo się tykanie jakby miliona zegarów. Czego nie wytikalili oni, wytakało echo tak głośno, że nie sposób było zrozumieć słów.

W końcu się jednak udało.

– MAMY_WASCH! – wołali metalowi ludzie. – NARESCHTZCHE!

Okazało się, że długo nas szukali. Posyłali swoje mechaniczne bestie na łowy i kazali im brodzić w kanałach. Karmili tygrysocykle i bykorówki tymi, którzy nie chcieli powiedzieć, gdzie jesteście. Jakby ktoś to wiedział.

Jeden z metalowych wycelował do mnie z palca-lufy i powiedział:

– MAMY_WASCH I TERAS WASH ZABIJEHMY.

Jak na rozkaz pozostali metalowi ludzie również unieśli palce i już-już miało się stać coś niedobrego, gdy nagle...

...wszyscy zamarli w bezruchu. Umilkło tykanie, kapanie wody, umilkło echo. Słyszać było tylko nasze oddechy. I ciche postękiwanie Franka.

Odwróciliśmy głowy i dostrzegliśmy, że oto stoi z zegarkiem pana Joachima w jednej ręce i kamieniem w drugiej. Zegarek miał zbite szkiełko.

– Aszyae aszsz – wyszeleścił bezzębny Franek.

Znaczyło to: zatrzymałem czas.

Upuścił zegarek i dodał.

– A aaszeeee.

To znaczyło: na zawsze. Czyli bardzo długo.

Doskoczyliśmy do niego wszyscy – Małgośka, Karol, Janek, maluchy i ja. Wzięliśmy go na ręce, ostrożnie, by nie zrobić

krzywdy, i wynieśliśmy z pogrążonego w kanałach teatru na górę.

Do miasta, w którym zatrzymał się czas. By żyć w nim długo i szczęśliwie.



Wiesiek milknie, przeciera usta pasiastym rękawem i uśmiecha się. Jak zawsze, gdy udaje mu się dokończyć opowieść. Jak zawsze, gdy widzi, że od ostatniego opowiadania nikogo nie ubyło.

– To już koniec – mówi, podciąga nogi i rozkłada się na górnej pryczy piętrowego łóżka. Zaplata ręce pod głowę.

– A gdzie jest teraz Franek? – pyta ktoś.

Nieważne kto, tu wszyscy wyglądają tak samo.

Wiesiek wzrusza ramionami i nie przestając szczyrzyć poczerniałych zębów, mówi bardziej do siebie niż do wciąż zgromadzonych wokół łóżka słuchaczy:

– Wróci. Zawsze wraca.



Michał Krzywicki

GŁOSY



Przed wejściem turyści zakładają słuchawki i nastawiają fale radiowe tak, by przewodnik mówił w znajomym języku. Pierwsze jego słowa brzmią złowroźnie: "Proszę nie oddalać się od wycieczki, nie iść za głosem". Kilka sekund później jakaś krótka melodia i zachęta, by wejść do środka. Nad bramą niewyraźny napis, jakby z odległej epoki. Trzask w słuchawkach i wszyscy już mają przetłumaczone hasło, że praca czyni wolnym. Parę kroków dalej tablica, słychać dźwięki we wszystkich możliwych językach: "Zostaniesz ukarany za to, że byłeś karany przez całe życie". Po tej złowieszczej przepowiedni młody Stürm z południowych Niemiec szuka swoich kolegów. Na ich twarzach nie dostrzega jednak nic prócz lekkiego uśmiechu albo znużenia, na nielicznych odlane są maski zadumy.

Przed turystami szeroka droga między rzędem czerwonych budynków z cegły, nieco dalej straszą ponure baraki. Elektroniczny przewodnik zdradza, że zarząd muzeum dokłada wszelkich środków i starań, żeby wszystko wokół wyglądało jak

dawniej – w zimie oczywiście jest śnieg, a we wrzeźniu błoto, choć są też kwiaty, a najwięcej przy domu byłego komendanta obozu.

Turyści nudzą się i niecierpliwią. Przewodnik prosi, by skierowali się w stronę baraków, kilka z nich to oryginały, większość jednak nie przetrwała ostatniej wojny światowej.

Której? – zapytasz, to ci powiem. Dla twojego dziadka ostatniej. Dobrze, że miał potomka – szczęśliwie dorósł i spłodził takiego bękarta jak ty, inaczej nie usłyszałbyś tego, o czym chcę ci powiedzieć...

Przerażony chłopak zrywa z głowy słuchawki, przystaje oszołomiony, ale starszy pan karci go i namawia, by włożył je z powrotem. Stürm, nadmiernie gestykulując, próbuje mu wyjaśnić, co przed chwilą usłyszał, ale mężczyzna chyba nie zna jego języka albo tylko udaje, bo uśmiecha się i ponagla Stürma, by dołączył do reszty. Chłopak niechętnie wykonuje polecenie. Wzdycha z ulgą, gdy w słuchawkach znów rozbrzmiewa głos przewodnika.

Turyści, jak pielgrzymi, wpierw suną wężykiem w wyznaczonych przez słupki i liny tunelach, by wejść do poczekalni. Chwilę oczekiwania mają wypełnić im czarno-białe zdjęcia z bloku A, który nie przetrwał do dzisiejszych czasów – jednocześnie, wyjaśnia elektroniczny przewodnik, jest to zapowiedź tego, co dziś zobaczą odwiedzający, a co kiedyś spotkało ludzkość.

Więcej jest czerni niż bieli.

Trwanie w sali z ekspozycją na kredowym papierze nieco się wydłuża, ktoś traci cierpliwość, kuca, potem siada. W jego ślady idą inni. Staruszek zwraca im uwagę, że to nie wypada w takim miejscu, ktoś na odczepnego mówi, że ma niskie ciśnienie i nie może zbyt długo stać.

Znam to. Komendant kazał czasami wystawać Żydkom w pasiakach w zimie albo w deszczu, ale sam przy tym cierpiał. Nie mógł stać i napawać się widokiem poddanych, musiał iść do swojego gabinetu – tylko tam mógł usiąść przy biurku i poczekać,

aż krew zacznie normalnie krążyć nieco szybciej, by podnieść ciśnienie.

Chłopak jest wystraszony. Chce powiedzieć o tym, co usłyszał, ale zwiedzający w tym samym momencie podnoszą się jak fala, jednak nie na prośbę starszego pana, który kiwa z rezygnacją głową, tylko na dźwięk dzwonka, cichego i przytłumionego. Nad jednymi drzwiami po chwili zapala się zielone światelko.

– Można wejść. – Przewodnik zaprasza wszystkich gestem ręki.

– No to wchodzimy – mówi jeden z turystów i uśmiecha się.

Ktoś powtarza złowieszczo, z przekorą: "Uwaga na głosy".

Ale zaraz wszyscy milkną, bo ze słuchawek dociera do nich wyjaśnienie przewodnika.

"Jesteśmy tutaj, ponieważ..." Nużący szept, nudna historia, daty, nieprawdopodobne liczby martwych.

Kiedy Hans dostał przydział do tego obozu, nie wiedziałem jeszcze, co mnie czeka. Ale szybko nauczyłem go nie tylko, jak należy wykonywać z góry przydzielone mu zarządzenia, ale i jak je wyprzedzać. Przyznaję, że zrobiłem tu ludziom piekło na ziemi, przyznaję.

Mechaniczny przewodnik prosi o minutę ciszy albo modlitwę za dusze zmarłych w obozie.

Ta suka, ten Kościół, on kpi. Powiadam ci, nie ma żadnej duszy w człowieku. Śmiem twierdzić, że ludzkie ciało to przede wszystkim woda i miejsca tam tyle, by jedynie duszę utopić. Woda, zapamiętaj ten dar.

Inną pragnę wyznawać wiarę, czcić samego człowieka.

Człowiek jako świątynia, a pomnij, przybyły, że tych świątyń jest wiele, a każdą można czcić na swój sposób, a najlepiej te się mają, które przykuwają wzrok, są po prostu piękne, mają kształtne ciało, rysy i przymioty wyróżniające je na tle innych. Szkoda, by plugastwo zakłócało ciągle ład tej ziemi. Świątynia musi mieć wiernych, rozsiewa więc swe nasienie, a wrogów swych zwalcza wojną.

Komendant to rozumiał. Miał krótko przystrzyżone blond włosy

i niebieskie oczy, poza tym wyglądał jak Adonis.

I należał do mnie.

Hans...

Nie tolerował kalekich.

Nienawidził Żydów.

Nie znosił tych, no jak im tam... Cyganów.

Nie liczył się ze słabszymi.

Uwielbiał swój czarny mundur.

Delektował się, gdy witali go "Heil Hitler", tytułowali go – Panem Kapitanem.

– Hauptsturmführer!

Zarządca obozu ocknął się z zamyślenia. Zastanawiał się właśnie, że odkąd otrzymał awans, ktoś jakby przez cały czas zmuszał go do coraz bardziej wyętej pracy.

– Tak?

Spojrzał na oficera, a ten wskazał na przybyłych.

– Ach, prawda. – Kapitan jakby dopiero teraz przypomniał sobie swoje zadanie. – Proszę oprowadzić wycieczkę – rozkazał z szyderczym uśmiechem.

Esesmani rozpoczęli żmudną pracę ustawiania turystów w dwuszeregu na niewielkim placu, zaraz za bramą. Towarzyszyły im mechaniczne psy. Cztery grube łapy podobne do nagwintowanych śrub wbijały się głęboko w ziemię, głowa kiwała się w przód i w tył, osadzona na grubym drucie, wokół niego wiło się kilka kabli, które znikwały w korpusie z pofałdowanej blachy.

Zwiedzający musieli zdjąć słuchawki, z lekkim niedowierzaniem i niechętnie wykonywali rozkazy strażników. Ci, którzy mówili po niemiecku, starali się przetłumaczyć polecenia pozostałym, ale wszystko odbywało się zbyt wolno, bo esesmani zaczęli poszturchiwać więźniów, krzyczeć i batem rozdawać razy.

Chaos powiększył się, gdy do obozu przez wielką bramę wjechał pociąg i zatrzymał się z piskiem z przy długiej rampie. Strażnicy pootwierali przedziały, masa ludzi zaczęła wylewać się na zewnątrz, szybko dołączyła do tych, którzy już szli błotnistą drogą w stronę baraków.

Większość wydawała się zaskoczona tym, co widzi, inni byli smutni, ale zdarzali się też znudzeni, zaspani, zamyśleni, kilku nawet uśmiechało się głupkowato, z niepewnością. W połowie drogi esesmani krzykiem nakazywali wszystkim rozebrać się do naga. Stürm spytał nieco starszego od siebie mężczyznę, który niezdarnie walczył z podkoszulkiem, czy ma też zdjąć buty. Nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. W końcu sam postanowił, że lepiej będzie wyglądał bez niczego niż w samym obuwiu. Rozsznurował i ściągnął trampki, położył je obok. Przez chwilę czuł się tak, jakby to była jego decyzja, przecież nie słyszał, że ktokolwiek mu to rozkazał.

Pies stojący obok zaczął nagle ujadać.

Chłast, chłast – z jego poskręcanej grubymi śrubami szczęki wydobył się metaliczny dźwięk. Chłopak zastanowił się, czy ten odgłos był zamierzony, czy to po prostu konstrukcja nawala.

Po chłast nastąpił schnell do wszystkich tych, którzy się ociągali ze ściągnięciem kurtek i bluz: Adidasa, Pумы i Nike; widać było metki *made in China*. Na samym szczycie wielkich stert, powstających w ciągu zaledwie kilkunastu minut, znalazła się bielizna. Wymieszał się jedwab, półsyntetyk, wełna – wszystko stworzyło wielkie kolorowe wysypisko niepotrzebnych już barw.

Bo w tym miejscu rządziły trzy kolory: szarość, czerń i biel.

Szare było niebo i baraki, ale czarna ziemia, nawet gdy wsiąkała w nią krew. Z czerni utkano mundury esesmanów, za to biel ich zębów widać było bardzo wyraźnie, gdy uśmiechali się szyderczo do przerażonych turystów.

Stürm z niedowierzaniem gładził się po świeżo ogolonej głowie. Rozglądał się po twarzach innych ludzi, ale jedyną, którą poznał, była blada, wystraszona maska rudej dziewczyny, która siedziała przed nim w autokarze. Podczas podróży marzył, by

tylko położyć się obok niej – to wystarczy, był Asem, a teraz widział ją nagą, ale chwilę później zaczęto oddzielać kobiety od mężczyzn.



Kąpiel, fryzjer, wymiana ubrań, na końcu numery boleśnie wytatuowane na rękach.

Jestem tyranem.

Chłopak stał potulnie jak inni na placu, w cieniu baraków. Gładził swój tatuaż z numerem trzysta dwa, z niepokojem zerkał na kapitana, który w lekkim rozkroku, z rękami skrzyżowanymi za plecami, przyglądał się przestraszonym ofiarom.

– Teraz interesują mnie tylko wasze numery! – krzyknął Hans.

A krzyczeć, to on potrafił...

Stürm pokręcił głową, nie miał słuchawek, a wciąż słyszał ten sam głos.

– Co się tu dzieje? – spytał niespodziewanie wyłysiały turysta w okularach.

– Myślałem, że już nikt o to nie zapyta. – Komendant zaśmiał się. – Proszę się pokazać.

Śmiałek wystąpił trzy kroki przed szereg.

– Lubię odważnych ludzi. Ktoś jeszcze do takich należy? Mam dla nich specjalne zadanie

Kilku następnych śmiazków wyszło do przodu, jeden z nich splunął nawet i przybrał wyzywającą postawę z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Był z nich największy i musiał być łysy jeszcze przed przyjazdem do obozu, bo całą głowę miał ogorzałą od słońca.

– Potraktujcie tę lekcję – zarządca obozu zwrócił się do więźniów – jako wskazówkę dla was wszystkich. – Wskazał tych, którzy odważyli się wyjść, trzem esesmanom.

Krwawy spektakl trwał kilka minut. Kaci bili turystów

pięściami, kolbami karabinów, pejczami, pałkami. Ciosy wymierzali niby na oślepa, ale wybijali zęby, łamali nosy, tłukli po nerkach i kręgosłupach; najczęściej razów otrzymał łysy, choć właśnie on przeżył. Zginął chwilę później od strzału w głowę.

Ktoś z szeregu w przypływie paniki wyrwał się do przodu, mechaniczny pies rzucił się na niego i rozszarpał w jednej chwili.

Jeden z turystów zaczął się śmiać nerwowo, a później krzyczeć, że chce do domu.

Odpowiedział mu strzał w głowę, potem dwa kolejne.

Na placu zapadła grobowa cisza.

– Kilka kul zawsze wystarczy, by usadzić całą resztę – zaszydził komendant, a potem rzucił wyzwanie i niby zdradził tajemnicę, że przecież w magazynku zostało ich tak niewiele.

Chłopak przełknął ślinę i zastanawiał się, ilu z jego towarzyszy niedoli myśli o tym, by rzucić się na esesmanów, zaryzykował nawet spojrzenie na sąsiada. Nic. Żadnego ruchu. Żywi, a jednak martwi. Stali i milczeli.

Dlaczego reszta nie walczy? Jeden potrafi ubezwłasnowolnić stado, setka szablonowych potrafi zakpić z miliona owiec.

Też tak myślałem, zarządca czekał jeszcze przez chwilę na placu. Gdy odszedł, turyści otrzymali od esesmanów dalsze rozkazy – każdy z nich trafił do określonego baraku.

Jakie są kryteria? Nie ma żadnych. Ale zawsze można je wymyślić na potrzeby chaosu.

Mali i chudzi skierowali się do północnej części obozu, ci duzi, często z nadwagą, do południowej. Esesmani wyróżnili także tych w okularach, kopniakami pognali ich do części wschodniej.

Wszyscy jednakowo biegli w błocie, świeżutka biel krańca nogawek po paru nieudolnych susach stała się czarna, twarze – z każdą chwilą stawały się coraz bledsze.

Baraki okazały się szopami nie tylko z zewnątrz. Dach, brudne ściany, zimna podłoga, polepa, okna zabite deskami, w środku poustawiane prycze, większość już zajęta, tylko na nielicznych

leżały sienniki. Stęchlizna i duszący smród potu.

Nie wiadomo kiedy między więźniami rozgorzała walka o wolne miejsca, w jej trakcie do środka wszedł esesman, rzucił dwa koce – powód do wszczęcia kolejnej wojny.

Trwało to wszystko może dwie minuty, a może kwadrans, tego Trzysta Dwa nie mógł określić. Gdy walka się skończyła, rozejrzał się w nadziei, że dostrzeże kogoś znajomego. Napotkał tylko wystraszone, obce oczy, większość unikała czyjegokolwiek wzroku.

Nie miał odwagi ruszyć wzdłuż łóżek w głąb nędzy tego nieznanego świata. Wydawało mu się, że smród pełza po ścianach, a tutaj przy drzwiach czuł powiew świeżego powietrza. Nie stała tu też żadna prycza, mógł się nawet przespacerować, nie przeszkadzając nikomu. Dwa kroki w prawo, jeden w lewo, cztery z powrotem, jeden w prawo, cztery kroki...

To jakiś pieprzony koszmar, pomyślał.

Zaczął spacerować bez celu.

W końcu zaczął się modlić.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie.

Spojrzał w górę, zobaczył sufit, nie było nieba.

Święć się imię Twoje.

Przyjdź królestwo Twoje.

Czy to jest właśnie ono? Przystanął, by znów spojrzeć na tonące w półmroku pomieszczenie.

Bądź wola Twoja.

Trzysta Dwa był tak wściekły i zdesperowany, że gdyby tylko mógł, ukrzyżowałby jeszcze raz Bożego Syna za to, że Jego Ojciec na to pozwalał.

I nieważne kiedy:

czy teraz,

czy wtedy,

I nieważne gdzie:

czy tu,
czy tam...
Jako w niebie...
Nieba nie ma, myślał.
Tak i na ziemi.
Na ziemi jest piekło.

Chłopak stanął. Jego drżąca i przepocona dłoń odruchowo sięgnęła do kieszeni w poszukiwaniu papierosów. Zanim zrozumiał, że nie ma szans na zaciągnięcie się nikotynowym dymem, namacał coś w czeluści spodni. Wyciągnął całą paczkę lucky strike'ów.

– Co jest, kurwa?!

Nic tutaj nie dzieje się bez woli nieba...

Machnięciem ręki odgonił natarczywy głos i patrzył z niedowierzaniem na twarde pudełko, wyciągnął zmiętego, bo zmiętego, ale prawdziwego papierosa z filtrem.

...komendanta i piekła.

Instynktownie włożył fajkę do ust. Dopiero po chwili zorientował się, że nie ma ognia. Znów sięgnął do kieszeni, ale nic tam nie znalazł.

Rozejrzał się po baraku.

Tym razem nikt nie unikał jego wzroku. Niedowierzenie więźniów mieszało się z nieskrywanym podziwem.

Domyślał się, że rzadko goszczą tu takie uczucia, a jeżeli już, to zawsze przyprawione są strachem.

Jeden z więźniów podszedł do niego, w kościstej ręce trzymał kawałek siarki i zapalnik.

Przez chwilę trwała walka o ogień. Chyba cały barak przyglądał się scenie, jak Trzysta Dwa próbował odpalić papierosa. Udało mu się to za trzecim razem.

Chłast, chłast, chłast – dobiegł odgłos psów, które węszyły tuż obok baraków, ale władca ognia jak gdyby nigdy nic po prostu zaciągnął się dymem.

Nagle smród panujący w pomieszczeniu gdzieś znikł, zapach palonego tytoniu można było porównać do powiewu świeżego wiatru.

Ktoś podszedł do Stürma i wcisnął mu w rękę kawałek chleba.

Trzysta Dwa nie odczuwał głodu, ale wiedział, że wkrótce to się zmieni, więc przyjął podarunek z ochotą. W zamian wyciągnął z paczki papierosa.

W jednej chwili obstąpili go ludzie. Każdy chciał coś zamienić na papierosa. Chłopak odpychał od siebie połamane łyżki, szczerbate widelce, jakieś szmaty i zużyte chodaki, bez ustanku kręcił głową, gdy nagle ludzie zaczęli się rozstępować. Korytem zbudowanym teraz z dwóch grzbietów wychudzonych ciał szedł w jego stronę żylasty, blady więzień. Pomimo chłodu nie miał koszulki, tylko spodnie. Bose stopy. Wykrzywioną w triumfalnym grymasie twarz. Pod pachą trzymał koc. Wyciągnął rękę z tatuażem dwadzieścia dwa w stronę Trzysta Drugiego. Jednocześnie drugą dłonią pokazał pięć palców. Stürm długo nie myślał, wyszarpał wełniany skarb z ręki Żylastego i odliczył mu pięć papierosów.

Dwadzieścia Dwa poczekał, aż ktoś podpali mu fajka, i odszedł w cień, za nim podążył tłumek oddanych mu więźniów.

Chłopakowi udało się też kupić miejsce na łóżku wychudzonego chłopaka z jednym uchem.

– Nazywam się Czterysta – przedstawił się.

Nowe miejsce kosztowało dziesięć bezcennych skarbów zawiniętych pieczołowicie w bibułkę. Zmęczony, od razu się położył. Przytulił się do pleców leżącego mężczyzny. Niemal jednocześnie zasnął. Gdy się obudził, wciąż była noc.

Przypomniał sobie, że miał dziwne fantazje. Śnił o potężnym wytrysku, sperma lała się jak mocz grubym, jednostajnym strumieniem wprost na twarz pięknej kochanki. Nie wiedział, co o tym myśleć. Był Asem, jego kontakty z kobietami ograniczały się wyłącznie do uścisków, ewentualnie pocałunku. To wystarczyło. Przekręcił się na drugi bok. Jego partner zrobił to samo. Stürm poczuł ciepło na swoich plecach i wzwód.

Z trudem przełknął ślinę, zamroził na chwilę wszystkie myśli w oczekiwaniu, ale nic się nie stało, może po prostu bezduszna chudzina miała sen równie męczący jak jego.



Świt nie oddał butów Nike ani pachnącej bielizny.

Było coraz gorzej.

Na śniadanie więźniowie otrzymali kawałek suchego chleba, margarynę, jakąś breję w kotle. Obsługa obozu zapomniała rozdać misek.

Zresztą i tak nikt nie zdążyłby zjeść, bo komendant zarządził apel, który ograniczył się do liczenia.

– Jeden, drugi, trzeci skurwysyn! – krzyczał esesman.

A po apelu praca.

Podzielono ich na kilka komand. Komando Stürma zostało przydzielone do pracy w polu. Polecenie okazało się proste. Do południa mieli wykopać długi rów, a gdy tylko słońce osiągnie zenit, zakopywać go.

Turyści przy akompaniamencie ryków, przezwisk i ponagleń starali się wykonywać jak najlepiej to bezsensowne zadanie, ale słońce nie pozwalało im przyspieszyć ruchów, wypalało ich zapał.

Chłast, chłast, chłast, szczekały nadbiegające psy. Niby węszyły, ryły piach wokół. Były nie do okiełznania; poszarpały kilku więźniów w okularach jakby dla zabawy. Trzysta Dwa zasłonił instynktownie twarz rękami, gdy jeden z mechanicznych psów biegł wprost na niego. Dziwnym trafem w ostatniej chwili zrezygnował, zawrócił i poczekał, aż jego towarzysz przytaszczy trupa w brudnej od ziemi i krwi koszuli.

Chłopak starał się nie patrzeć na martwego więźnia, postanowił skupić się na pracy i wbił nerwowo szpadel w ziemię. Zaczął liczyć, byle tylko nie widzieć rozrywanych przez psy

zwłok.

Jeden, mrucał pod nosem i wciskał koniec szpadla w ziemię. Dwa, naciskał na niego stopą, na trzy ostrze z blachy wchodziło w ziemię. Na cztery wciągał powietrze, na pięć nabierał piachu, robił zamach, odrzucał go na kupkę obok.

Jeden, dwa, trzy...

Jeden, dwa, kurwa...

Co to za koszmar?! Przerwał pracę, starł pot z czoła i spojrzał w prawo, bo usłyszał jakiś dziwny odgłos. Ryży chłopak kopiący kilka metrów dalej zdecydował się, by zabić. Pewnie pierwszy raz w życiu – pomyślał Stürm, widząc jak więzień na ślepo uderza kilka razy szpadlem stojącego obok strażnika, a potem ucieka.

Rozpoczął się spektakl.

Biel – więzienny uniform – sunęła po ziemi, by zniknąć w nieskończonej szarości, bo tutaj nawet las był szary. Za bielą zaczęła sunąć czerń – mundury z epoletami – wylazła z kilku miejsc naraz. Na wynik starcia bieli i czerni przyglądający się więźniowie nie musieli długo czekać. Chwilę później z lasu dobiegły odgłosy: *chłast, chłast, chłast*. A potem wystrzały.

I śpiew:

Pam, pam, pam...

Chłastu, chłastu

Nie mam rączek

Jedenastu.

Chłastu, chłastu,

Nie mam nawet jednej.

Na początku Stürm myślał, że tylko w głowie słyszy słowa piosenki, ale już po chwili zobaczył esesmana, który wyszedł z lasu, podśpiewując radośnie. W jednej ręce trzymał zwyczajną siekiere, w drugiej głowę chwyconą za czerwoną czuprynę. Parę kroków dalej szło jeszcze kilku esesmanów z karabinami. Marsz pogrzebowy zamykały mechaniczne psy, jeden z nich taszczył

bezglówce zwłoki.

Praca została wstrzymana na dobre, tym razem na rozkaz. Komando ustawiło się w szeregu i czekało na przybycie komendanta.

Po godzinie przybył w lektyce w towarzystwie esesmanów i psów.

Stanął przed szeregiem wystraszonych więźniów i zaczął do nich przemawiać głosem pełnym żalu, czyniąc im wyrzuty.

– Nie wierzę, że mogliście do tego dopuścić. Przecież tak nie można. Nie możecie pozwolić, by jeden z was robił takie głupstwa. To tak jak z chorym domem. Znacie tę opowieść, prawda? Jeżeli na skraju osiedla stoi opuszczony dom i ktoś wybije w nim szybę, i nikt przez kilka kolejnych dni nie wstawi nowej, to jakiś inny chuligan wybije kolejną, a potem jeszcze raz i jeszcze. Dlaczego? – spytacie. Bo nie poniesie konsekwencji, poza tym wydaje mu się, że ten dom jest niczyj. Potem ktoś wywali drzwi, wejdzie do środka, aż w końcu ktoś całą chałupę puści z dymem. Jeżeli będziecie postępowali tak jak zwyczajni chuligani – wskazał ręką na zwłoki esesmana – nie ukończycie pracy przed zmrokiem i będziecie wyglądać tak – wskazał drugą ręką na trupie, bezrękie monstrum w okularach. – W moim obozie są konsekwencje, bo to MÓJ obóz. I koniec przemówienia. – Zarządca obozu się uśmiechnął, wpakował się z powrotem do lektyki, machnął więźniom na pożegnanie i ruszył z powrotem do obozu.

Komando na krzykliwą komendę jednego ze strażników wróciło do bardziej wytężonej pracy.

Chłopak nie mógł ścierpieć chaotycznej pracy swoich kolegów, więc kazał im usypywać ziemię po dwóch stronach rowu w równych odstępach i tej samej wielkości kupkach, wyjaśniając, że łatwiej będzie wtedy przysypać z powrotem doły.

Jeden z esesmanów, wiedząc, że Stürm porozumiewał się z innymi, wpierw uderzył go kilka razy, ale potem pozwolił mu wydawać dalsze komendy. Sam usiadł w cieniu i zapalił papierosa, zadowolony, że z dzisiejszej warty wróci wcześniej do

swojej kwatery, bo jego komando pracowało nadzwyczaj wydajnie.



W czwarty dzień pobytu w obozie Trzysta Dwa zamienił kilka papierosów za dodatkową kromkę chleba, krzywą łyżkę i nową bieliznę.

Piątego dnia podszedł do niego jeden ze współwięźniów z cebulą. Zażądał papierosów, chłopak musiał odmówić.

– Skończyły się – wyjaśnił przepraszająco.

Niepokojąca wieść szybko rozniosła się po baraku.

W ten sam dzień wieczorem Dwadzieścia Dwa, który za pięć papierosów podarował mu koc, kazał go oddać z powrotem.

– Nie rozumiem, przecież mi go dałeś.

– Wypożyczyłem na pięć dni – wyjaśnił Żylasty i wyszarpał podarunek.

Trzysta Dwa chciał się na niego rzucić, ale Czterysta go powstrzymał.

– Zostaw! Oni zatłuką cię jak psa, kamieniami – przestrzegł, gdy właściciel koca odszedł.

– Jacy oni?

– Ci, którzy nie uwierzą, że oddał ci koc za pięć papierosów, a nie tylko wypożyczył. A wierz mi, ten Żylasty ma wielu oddanych przyjaciół. Nabrał cię, oszukał. Ale spójrz na to w ten sposób: przynajmniej przez kilka dni spałeś w cieple.

– A ty?

– Ja cię nie oszukam. Nadal masz miejsce w moim łóżku.



Stürm, odkąd przybył do obozu, zawsze spał czujnie, ale tej nocy wyraźnie coś nie dawało mu spokoju. Otworzył oczy. Przez chwilę wyobraził sobie, że widzi lipcowe słońce, wkradające się do jego pokoju w domu, w którym mieszkał od dzieciństwa. Zobaczył tylko niknący w ciemnościach sufit baraku.

Podniósł się, coś uwierało go w kieszeni. Włożył tam rękę i wyciągnął...

Papierosy.

?!

W ciemnościach obmacywał nerwowo kartonowe pudełko, wahał, chcąc się upewnić, że to naprawdę lucky strike z filtrem.

Potem wstał i ruszył wzdłuż łóżek. Szybko znalazł się w najciemniejszym kącie baraku, kopnął łóżko z kocem, którym przykrywał się przez pięć dni.

Obudzony więzień wstał, nie spał chyba albo chciał tylko stworzyć takie wrażenie – człowieka, który nigdy nie da się zaskoczyć.

– Czego chcesz? – syknął Żylasty.

Chłopak, nic nie mówiąc, rzucił mu papierosy.

– Dwadzieścia fajek za dwadzieścia ciepłych dni – powiedział, po czym zdarł z niego koc i wrócił na swoje łóżko, nie interesując się reakcją więźnia. Usłyszał tylko po chwili, jak Dwadzieścia Dwa tarł zapalki o siarkę, a potem wyczuł zapach tytoniu.



– Skąd masz koc? Skąd masz ten cholerny koc? – Czteryista histerycznie powtarzał to pytanie niemal jak litanie przez ostatnie kilkadziesiąt sekund. Bał się. – Chyba mu nie zabrałeś?!

– Nie martw się – Trzysta Dwa odparł z uśmiechem.

To jednak nie uspokoiło przyjaciela, ale gdy do ich łóżka podszedł więzień z kromką chleba, a Stürm zapłacił mu kilkoma papierosami, jakby miał gest, Czteryista wszystko zrozumiał.

– Skąd je masz?

– A jak bardzo chcesz to wiedzieć?

Przyjaciel w odpowiedzi wzruszył tylko ramionami. Trzysta Dwa oderwał dla niego kawałek pieczywa.



W dziewiąty dzień nie musiał iść do pracy. Ktoś poszedł za niego. Z innego komando. Nie zastanawiał się, jak więźniowie to zorganizowali, że strażnicy się nie domyślili, cieszył się po prostu tym, że może odpocząć. Wcześniej musiał sięgnąć tylko do kieszeni, by wyciągnąć kolejną paczkę papierosów.



W trzydziestym dniu albo trzydziestym pierwszym, chłopak nie wiedział dokładnie, bo trochę stracił rachubę czasu, w baraku pojawiła się świeża woda. Więźniowie rzucali się na polepę, ci, co mieli jakieś naczynia, próbowali jak najwięcej życiodajnego skarbu zgromadzić do naczyń, inni spijali co się dało wprost z podłogi.

Błokowi skarcili ich wszystkich, komendant nakazał apel, wszczęto dochodzenie, ale nic nie wyjaśniono. Blokowy za karę, że nie upilnował, zginął od strzału w potylicę. Jego następcą, wyrwany z szeregu przypadkowy turysta, dostał pouczenie, aby się bardziej starał.

Dwa dni później woda znów zalała polepę.

Nowy nadzorca zaczął krzyczeć, ale Dwadzieścia Dwa przypomniał mu, co się stało z poprzednim funkcyjnym więźniem, i zasugerował, że lepsze byłoby milczenie. Za plecami Żylatego stało kilku jego oddanych kompanów, każdy ważył kamień w rękę.

Blokowy szybko się zgodził, ale kazał sobie wodę przynosić do

łóżka.

– Żeby nie musiał lizać z polepy. – Splunął.

– Zgoda.

Woda tryskała spod łóżka Stürma, ale tylko przez trzynaście minut.

Czterysta dokładnie odliczał, a potem spytał:

– Co tu się, kurwa, dzieje?

– Gdybym mógł mnożyć chleb i ryby jak Chrystus, wierz mi, że bym to zrobił. Ale nie potrafię – próbował się jakoś wytłumaczyć Stürm.

– O czym ty mówisz?

– O tym. – Pokazał kartofle i kromki chleba, podarunki od więźniów za wodę.

– Aż tyle tego? – zdziwił się przyjaciel.

– To dobra cena.

– Cena.



Dzień czterdziesty nie różnił się od kilku dni poprzednich. Cały barak chodził do pracy niemal z uśmiechem, niektóre komanda wykonywały swoją pracę dużo szybciej, mniejsza tam była śmiertelność.

Pewnego wieczoru po ciężkiej pracy Czterysta, przytulony do pleców Stürma, powiedział:

– Szybko się zadomowiłeś. – Nie mógł ukryć wyrzutu.

– Wolałbym słowo "adaptacja" – powiedział Trzysta Dwa. – Ale chyba nie masz mi tego za złe? – Pomyślał przez chwilę. – Zresztą też na tym korzystasz.

– Mhm – padła odpowiedź, wyłuskana gdzieś z głębi sumienia.

– Powiem ci coś. – Chłopak przysiadł na łóżku. – Jeśli ta wycieczka ma się okazać najgorszym koszmarem mojego życia,

to po prostu chciałem ją przetrwać. Nie będę trapił się pytaniem: dlaczego ja? Nawet gdybym znalazł odpowiedź, nic mi to nie da. Ci, którzy tego nie akceptują, szybciej umierają.

Czterysta podparł się na łokciu. Nie widzieli swoich twarzy, bo Stürm nie odwracał głowy, może tak było lepiej.

– Chciałem teraz siedzieć przy stole i uprawiać seks z moją dziewczyną. – Przyjaciel wyjawiał nagle swe najskrytsze myśli.

– Macie dużo pojemności na dysku? – Chłopak zaciekawiał się; w końcu to seks, pomyślał w duchu, a na twarzy w półmroku baraku wykwitł mu uśmiech. – Nareszcie porozmawiamy choć przez chwilę o normalnym życiu.

– Wystarczy na trzy godziny – wyjaśnił bez skrępowania Czterysta. – Tylko że moja dziewczyna bardzo dużo czasu poświęca na przygotowanie pokoju. Lubi kwiatowe hologramy na ścianach, jaskrawe kolory...

– A ty byś wolał tak od razu postawić chujka i do dziurki? – Stürm się zaśmiał.

– Nie, nie o to chodzi. Ja wolałbym na ławce w parku.

– Ale przecież przygotowanie takiej scenerii też wymaga czasu i dużej pojemności na dysku.

Czterysta zastanawiał się chwilę.

– Wyobraź sobie swoją dziewczynę, kiedy stoicie w pustym pokoju i razem macie go urządzić. A teraz wyobraź sobie was w parku. Parki raczej się nie różnią, jest ławka, ścieżka, wierzba płacząca...

– Właśnie. – Przyjaciel się zaśmiał. – Z moją dziewczyną, aranżując wnętrze pomieszczenia, w którym mamy się kochać, tracimy czas, zamiast, jak ty to mówisz, od razu do dziurki.

– Pomyślałeś, że dla niej to nie jest strata czasu?

– Mhm... – Myślał przez chwilę i nagle powiedział coś, co sprawiło, że szczeka Stürma opadła.

– Gdy stąd wyjdę, stworzę obóz na dysku i każę jej się rznąć w baraku na zapchlonym sienniku.

Chłopak długo myślał, zanim w końcu zdecydował się na krótką uwagę.

– Twoja dziewczyna cię rzuci.

– Mam to w dupie – skwitował Czterysta.

Milczeli przez chwilę, każdy trawił to, co usłyszał.

– Zjadłbym trzy różowe tabletki – odezwał się po chwili przyjaciel. – I popił polnym nektarem.

– To u was to jeszcze sprzedają? – zdziwił się Stürm.

– Nektar czy tabletki?

– To drugie oczywiście.

– Tak, ale nie w sklepach.

– Aha, teraz rozumiem.

Trzysta Dwa sięgnął pod poduszkę i wyciągnął kromkę twardego chleba. Oderwał kawałek i poczęstował przyjaciela.

– Jutro dzień widzeń – przypomniał Czterysta, jakby w podziękowaniu.

– Dzień widzeń? – zdziwił się chłopak. Dotychczas nie słyszał o czymś takim, domyślał się. Tylko dziwny uśmiech na twarzy Czterysta wzbudził w nim podejrzenia. – Przyjdą do nas rodziny? – spytał niepewnie.

– Zwariowałaś! – śmieje się Czterysta. – Będziemy *widzieć* telewizję.



Dzień widzeń minął bardzo szybko, telebim wystawiony na placu apelowym migotał obrazami z całego świata, jeden z blokowych przełączał kanały, komendant nie zgodził się na dźwięk, pozwolił za to więźniom siedzieć na ziemi.

Padał grad.

Tej nocy Trzysta Dwa znów siedział na łóżku, odwrócony plecami do swojego przyjaciela.

– Wiesz, po takim dniu myślę, że to oni zwariowali, nie my – wyznał Stürm. – Ciągłe istnieje świat, który nie pozwoli o nas zapomnieć. Upomną się o nas nasze rodziny. Społeczność międzynarodowa.

– Pewnie kiedyś tak. Szkoda tylko, że wcześniej wielu ucieknie stąd kominem.

Po policzkach pociekły mu łzy i żadna nie była powodem do dumy.

Chłopak sięgnął do kieszeni z nadzieją, że znajdzie chusteczkę, by je otrzeć. Zdziwiło go to, co tam znalazł. Pistolet.

Diabeł chytrą ma minę.



– Skąd to masz? – Czterysta tylko kręcił głową. W ciemnościach baraku jego ślepa wydawały się wielkie i przerażone.

– Nie pytaj.

– Nawet bym nie śmiał.

– Co z tym zrobisz? To niebezpieczne.

– Myślę, że znajdę kogoś, kto będzie wiedział lepiej ode mnie. – Wstał i ruszył między łózkami. W dłoni trzymał Śmierć, Rewolucję, Powstanie, w zależności od tego, kto trzymał broń i na ile miał w sobie odwagi.

Podszedł do więźnia, który podarował mu koc.

Szturchnął go nogą.

– Czego chcesz? – Żyłasty nie spał.

Trzysta Dwa wręczył mu pistolet.

Więzień macał w ciemności broń, mlaskał z zadowolenia i stękał.

– Co za to chcesz? – spytał wreszcie.

– A co możesz dać? – Nie miał odwagi, by powiedzieć mu

prawdę, że właśnie w nim widzi najsilniejszego więźnia, który wie, co z tym żelastwem zrobić.

– A masz tego więcej?

– Tak – skłamał.

Cisza przeciągła się w nieskończoność. Sturm nie dbał o cenę, ale o efekt, więc to, co usłyszał, zdziwiło go bardzo.

– Dobrze więc. Raz dziennie będziesz miał ciupcianie w burdelu – mruknął Żylasty.

– To tu jest burdel? – Był zaskoczony. Zdziwienie wyprzedziło uwagę, że wcale nie ma ochoty na taką wymianę. – Jestem Asem – wyznał.

– Aha, znaczy miłość platoniczna, bez dotykania. – Dwadzieścia Dwa nie krył kpiny w głosie.

– Co w tym złego?

– Może na wolności to normalne, jest tyle podniet. Ale tu... Zastanów się. Wszystkie kobiety są odwszawione. – Tu zamilkł, by podkreślić znaczenie tego faktu, ale na chłopaku nie zrobiło to żadnego wrażenia. – A może chodzi ci o to, że przed nami kobiety zawsze są testowane przez strażników? – spytał. – Oni są pierwsi. O to chodzi?

– Nie, naprawdę jestem Asem.

Żylasty zaczął strzelać na pusto, bawić się magazynkiem.

– To powiem dziwce, że chcesz tylko popatrzeć – odezwał się po chwili – Pogadać – poprawił.

– Zgoda.

Trzysta Dwa pokiwał głową i przypomniał sobie Martę. Siedziała tuż obok w autobusie. Od tej pory jej nie widział. Miała duży biust, czerwone włosy, pełne usta, jasną karnację. Zastanawiał się, gdzie trafiła.

– Załatw mi Martę.

– Słuchaj stary, może mieć na imię Marta, jak tam sobie chcesz.

– Nie, nie rozumiesz. – Zaczął opisywać kobietę z autobusu.

– Stary, tego to ci nawet za armatę nie mogę obiecać. Opisujesz

jakaś boginię.

– Nie rozumiem.

– Zrozum, tępaku, przyjrzyj się sobie, jak ty wyglądasz. Jej piersi już dawno uschły, włosy to może ma długie, ale pod pachami. Daj spokój. – Machnął ręką.

Stürm pomyślał o tym, co usłyszał, i musiał przyznać w duchu, że w sumie to było logiczne.

– Zgoda, niech będzie raz dziennie wizyta w burdelu – oznajmił w końcu. – Przynajmniej porozmawiam z kobietą, zawsze to jakaś odmiana.



Ale człowiek z kocem go oszukał.

Rano, jeszcze przed świtem, wszystkich w baraku zbudził odgłos wystrzału.

Powiem krótko: Życie.

– Bunt? – krzyknął Trzysta Dwa, zrywając się z łóżka.

– Nie, samobójstwo – wyjaśnił krótko przyjaciel.

Blokowy kazał dwóm więźniom wytaszczyć ciało Żyłatego na zewnątrz, potem zarządca obozu zorganizował apel, zliczono obecnych, jakby nic się nie stało, także tego martwego, a potem jego i jeszcze trzydziestu losowo wybranych pokierowano do krematorium.

Chłopak nawet nie zastanowił się, czy pistolet był naładowany.

W baraku zrobiło się dużo miejsca.

Dzień później w obozie pojawili się nowi.



Ci, którzy przyszli po Trzysta Dwa, przeżywali krócej niż jego

"pokolenie". Bo tak nazywano w obozie kolejne transporty. Pokoleniami. Stürm należał do najstarszego.

Miał trzycyfrowy numer i tylko właściciel koca oraz Czterysta posiadali podobny. Żyłasty się zabił, przyjaciel pozostał przyjacielem.

Żaden z więźniów nie mógł pochwalić się dłuższym stażem.

W krótkim czasie Trzysta Dwa stał się wyrocznią dla innych.

Dwa miesiące później w dzień kolejnego transportu, nie pamiętał którego, podszedł do chłopaka jeden z nowych więźniów, który dostał przydział do tego samego baraku.

– Jaki masz numer? – spytał przybyłego.

– Tysiąc sześćset dwadzieścia dwa.

– Czego ode mnie chcesz?

– Mam zegarek.

– Jak udało ci się go przemyścić?

– Przeoczyli go.

– Z tymi strażnikami jest coraz gorzej. Co za niego chcesz?

– Pryczę blisko ciebie.

– Jak blisko?

– Tak, bym rano nie musiał stać w długiej kolejce po wodę.

Stürm doceniał rangę czasu. Marzył o tym, by z kieszeni wyciągnąć kiedyś zegarek. Kieszeń była bez dna. Papierosy, kartofle, cebula, chleb, woda. Chłopak miał wszystko, czego potrzebował. Nie kontrolował jednak niczego, co znalazł w kieszeni. Nie pytał też Boga, dlaczego właśnie on i skąd się biorą te rzeczy.

Nie pytał.

Bo teraz on sam był bogiem.

Łatwo przychodzi branie, gorzej dawanie.

Szturchnął Czterysta, który siedział przy nim, i wskazał chudego więźnia nieopodal.

Czterysta podreptał tam i zrzucił chudzielca z łóżka.

– Teraz to jest twoje miejsce, Czterysta.

– Dziękuję, Trzysta Dwa.

Kolejni nowi przyszli do Stürma tego samego dnia.

– Czego chcecie? – spytał przybyłych.

– Dwa Tysiące Dwa ukradł chleb, który nam podarowałeś – powiedziało dwóch więźniów. Trzymali trzeciego, młodszego od nich, wyraźnie lepiej odżywionego.

– Czy to prawda? – Chłopak skierował na niego wzrok.

Ten przecząco pokręcił głową.

– Kłamiesz, ukamienujcie go – zawyrokował szybko. Wiedział, że wahanie rodzi wątpliwości. Szybko nauczył się, że trzeba rządzić silną ręką.

Zresztą więźniowie wszystko już przygotowali, pewni wyroku. Wcześniej zebrali kamienie z ziemi przy baraku, schowali je pod progiem. Silne ręce skrępowały ofiarę, nieco słabsze wykonały wyrok.

– Dwa Tysiące Dwa zmarł z wycieńczenia – skwitował jeden z więźniów.

– Weźmiesz jego pryczę. – Stürm uśmiechnął się do Czterysta.

– Nie chcę jej.

– Ale ja chcę twoją, a ty nie możesz spać na polepie. Jesteś moim przyjacielem.

Był bogiem. W bloku A.

Ale kilka dni później przekonał się, jak daleko sięga jego kult.



Psy pilnujące więźniów przy pracy jednakowo warczały, odporne na zmęczenie: upał w polu i nocne apele.

Ale jeden, w dzień sto szósty, nagle padł i zmarł w błotnistej drodze.

Strażnik podleciał,

kopnął,
pogłaskał,
znowu kopnął.

Nie wiedział jednak, co zrobić z maszyną. Widok unieruchomionego psa wyraźnie go przeraził.

Stürm zaryzykował i mruknął do esesmana, a ten zrozumiał, że więzień chce mu pomóc. Pozwolił mu zajrzeć w rozwarty pysk mechanicznego trupa, w przygasłe ślepia. Chłopak naprawił przerażającego stwora w kilka minut. Gdy pies poderwał się z ziemi, chłopak nawet go pogłaskał. Ale w podziękowaniu usłyszał tylko ostrzegawcze *chłast*.

Dwa dni później o wszystkim dowiedział się Hans.

Stürm został doceniony i komendant wezwał go do siebie.

Został jego fryzjerem.

Wolność z bloku A zamienił na niewolę u Hansa.

Całymi dniami siedział w komórcie, zamknięty, odcięty od świata. Teraz to był świat. W dzień i noc.

Sięgał do kieszeni, palił papierosy, ale nie miał się nawet nimi z kim dzielić. Jadł cebulę, czasami nawet wyciągnął batonika, banana, wyjadał wszystkie resztki, bo nie miał ich komu dać.

Co wieczór zachodził do niego strażnik, by sprawdzić, czy żyje, niekiedy zakradały się dzieci komendanta.

Rzadko kiedy pozwalano mu wyjść.

Przy domku, w którym go więziono, był ogród. Żona zarządcy dbała, by prócz kwiatów rosły tam marchewki, ziemniaki, buraki, kilka krzaków malin, agrest, drzewa wiśni i śliwy. I wielka grusza. Raz tylko Hans nie wytrzymał i powiesił tam jakiegoś więźnia, ale prócz tego wydarzenia ogród pozostawał oazą spokoju jego żony.

Jedynym obowiązkiem chłopaka było strzyżenie zarządcy obozu raz w tygodniu.

Zawsze wtedy siadali w kuchni, chłopak biegał z nożyczkami wokół nieruchomej głowy, marzył o tym, by ją odciąć, ale

wiedział, że nigdy nie będzie miał na to odwagi.

Niektórzy są zbyt słabi, by przekroczyć granicę. Wtedy stają się nudni. Podoba mi się Nietzsche, który powiedział, że nie zabić człowieka znaczy nie być człowiekiem. Czy coś w tym stylu. Komendant był nadczłowiekiem, a kim byłby fryzjer, gdyby go zabił...

W dwieście trzydziesty szósty dzień celebrowania wzajemnego obrzydzenia i nieufności niespodziewanie się zakończyła. Zarządca obozu miał przyjąć jakichś gości i chciał wyglądać elegancko, ale chłopak zaniemógł. Kaszłał, tłumaczył, że źle się czuje, że to pewnie grypa. Oburzony, w końcu wstał i wyszedł. Po chwili do kuchni wszedł młody esesman, łagodnym tonem oznajmił, że musi odizolować Trzysta Dwa od rodziny komendanta, tak jakby ten nie był dotąd przetrzymywany w komórce.

Okazało się, że chory musi pozostać także w izolacji od innych więźniów, a szpital był przepełniony. Przydzielili go więc do pracy w krematorium.



Stürm głośno przełknął ślinę, gdy wchodzili stromymi schodami do wąskiej piwniczki. Tam wzdłuż ściany mieściły się otwory pieców, ukryte za ciężkimi drzwiami.

Wszyscy wiedzieli, co się pali w tym miejscu, ale wiedzieć, widzieć i czuć nie oznacza, że trzeba w to od razu uwierzyć czy choćby nawet o tym myśleć.

– Co tu będziemy palić? – spytał wychudzonego więźnia.

– Trupy, ale zdarzają się także dogorywający, ranni, chorzy, załamani nerwowo – wyjaśnił obojętnie.

Chwilę później rampą, którą dopiero wtedy dostrzegł, wpadły do środka zwłoki.

Dwa tysiące trzydzieści trzy, odlicza jeden z obsługi krematorium, patrząc na ramię trupa i odhaczając coś w

notesiku.

– To jakiś koszmar! – zaczął krzyczeć chłopak.



– Nie... to zdobycze najnowszej techniki. – Starszy pan podnosi turystę z posadzki w poczekalni. – Mówiłem, nie idź za głosem.

Chłopak z wdzięcznością korzysta z jego pomocy, z trudem łapie oddech. Ze zdziwieniem zauważa, że przewodnik ma na ramieniu wytatuowany numer.

– Ten koszmar... – zaczyna opowiadać Trzysta Dwa, a starzec kiwa tylko głową i wysłuchuje go do końca.

Jeden ze zwiedzających, rudy i piegowaty, który był mimowolnym świadkiem relacji Stürma, chwytą przewodnika za nadgarstek i mówi:

– Ja też poproszę to samo, znaczy taki sam bilet. – Wyciąga z kieszeni nowego canona i pstryka zdjęcie chłopakowi i przewodnikowi. – Mam tylko prośbę – mówi piegus. – Chciałbym być katem, nie ofiarą. Czy można? Jeżeli tak, ile to będzie kosztowało?

Starzec dziwnie się uśmiecha i mówi.

– Musisz usłyszeć głosy.

Jakub Nowak

CIĘŻKI METAL



Punisher War Journal. Noże, garoty, kastety, maczety, katany, granaty, miny, bomby, bazooki i co najmniej jedna staroświecka armata. I giwery, mnóstwo giwer. Duże, wielkie i jeszcze większe, rozdęte do monstrualnych rozmiarów rozpasaną kreską kolejnych rysowników. Wielgaśne giwery, grube jak sterydowe uda głównego bohatera. Wszystkie dzierżone przez niego bez żadnego wysiłku i faszeringujące ołowiem gangsterów wyglądających jak punki (wcześniej) albo alfonsi (później). To już piętnaście lat. Tyle czasu minęło, odkąd pierwszy raz wziąłem do ręki polską wersję komiksu.

Dziennik wojenny Punishera. Tymi słowami zaczynały się kolejne zeszyty. Dialogi i moralne dylematy ograniczone do minimum, ważniejsze były onomatopeje naśladujące eksplozje i trzask pękających zębów, wybijanych lufą pistoletu. Wszystko takie proste.

Dziennik wojenny. Jak opowiedzieć o wojnie?

Nie czuję się dobrze. Serce zasuwa, nadgarstki wibrują, naspidowane mrówki urządzają zawody w żyłach moich przedramion. Mam lodowate palce, gorące uszy i wilgotne oczy. Jądra się kurczą, szukają schronienia w słabym ciele. Jak opowiedzieć o szaleństwie?

Nazywam się Łukasz Ozimczuk. Mam dwadzieścia pięć lat. Przez całe życie mieszkałem w Lublinie. Ostatnie lata w strefie bezpośredniego kontaktu z przedziwnu (mimo wysiłków pogranicze wciąż puchnie, w nasze głowy wlewa się wykrzywica). Służyłem jako stacjonarny prostownik w 2 Lubelskiej Kompanii Pogranicza, którą dowodzi kapitan Andrzej Ozimczuk. Mój ojciec. Kompania wchodzi w skład Pułku Kresowego, na czele którego stoi srogini Michalska.

Srogini. Wystarczyło jedno jej spojrzenie i wszyscy – ja, tata i reszta pułku – wszyscy byliśmy gotowi skoczyć do samego piekła. I skakaliśmy.

Zmuszają mnie, bym wszystko opowiedział. Trzy dni. Całe życie. I jeszcze więcej.



Lublin pachniał, a zmysły mieszały się. Bo Lublin pachniał miękką szeleszczącą zielenią, pachniał przyjemnie orzeźwiająco ciepłą ciemnością. Siedziałem po turecku z piwem w ręku. Był mój, a ja byłem jego. Gdybym teraz zerwał się, rozpedził i skoczył, runął prawie czterdzieści metrów w dół, Lublin nie dałby mnie skrzywdzić. Pochwyciłby mnie i zaniósł z powrotem na dach. Naprawdę tak myślałem. Dlatego wołałem nie zbliżać się do krawędzi. Piłem, słuchałem szumu w dole, rozkładałem ręce, rozkładałem dłonie szeroko, by każdym wolnym porem chwytać lipcowy wiatr.

Siedziałem na dachu wieżowca, w którym mieszkam całe życie. Betonowy moloch, połamany nieregularnie na kilka przylegających do siebie segmentów. Dwanaście pięter, czternaście klatek schodowych i niemal tysiąc mieszkańców.

Nawet teraz, podczas konfliktu. On i jego osiedlowi towarzysze z góry wyglądałoby jak monstrualne kanciaste węże, pławiące się w puszystej zieleni. Siedziałem na grzbiecie betonowego gada, smakowałem piwo i smakowałem bezruch. Spokój był blisko jak rzadko kiedy. Wyczuwałem go tuż za granicą pola widzenia, jakby czał się za moimi plecami.

Czekałem na ojca. Wyruszyli tydzień temu Ułanem, nowym skrzepołamaczem, skierowanym na lubelski odcinek w ramach uzupełnień europejskich sił World Treaty Organization. Test bojowy sprzętu wyprodukowanego w barcelońskich stoczniach: nowe organiczne filtry mają umożliwić efektywne prowadzenie działań na pograniczu przez dobre osiem dni i aż do trzech tygodni w warunkach defensywnych, przy wyłączonym rozkrzepie, w razie kłopotów ze znalezieniem drogi powrotnej. Pierwszym wypadem Ułana dowodził kapitan Andrzej Ozimczuk.

Tata.

Gdy poczułem ucisk w okolicy węzłów chłonnych, odłożyłem butelkę i powoli opadłem na plecy. Zbliżali się. Uśmiechnąłem się do nocnego letniego nieba. Jakie pory roku mają tam, w otchłani? Ucisk narastał. Przymknąłem oczy, wiedząc, co zaraz nastąpi. Kilka chwil bez dźwięku, bez ruchu, wszystko jak na pauzie. I nagle play, nagle znów pomieszanie zmysłów. Niebo pękło, rozdarło się, gwałtownie wyrzygało matowe światło, uwalniając przy okazji lśniący metalicznie, nieregularny kształt. Wiatr rozjęczał się między wieżowcami, zawtórowały mu samochodowe alarmy. Głośno, mocno, wysoko, jak gitarowe solo. Sam miałem ochotę powrzeszczeć.

Chodź do domu.

To był ułamek sekundy. Krócej niż mgnienie oka, nie dłużej niż mgnienie myśli. Wystarczyło. Zanim pogranicze zniknęło, zanim rana na niebie się zasklepiła, zerknąłem ku otchłani. Wtedy zewnętrżności przejrzały się we mnie, polizały od środka moje ciało i duszę. Jezor przedziwnu, kwaśny i włochaty, zostawiał lepkie ślady na wspomnieniach. Wyżerał twarze, roztopiał słowa. Mieszał wszystko. Wykrzywił.

Ostry ból wokół szyi, tępe łupanie w stawach. I ten okropny zawrót głowy. Oparcie zniknęło, spadałem i wzbijałem się jednocześnie, świat wokół zadrżał i zaczął wirować, wirowałem i ja, coraz szybciej i szybciej, coraz krzywiej. Krzywy język uciekał z pokrzywionej gęby, pełził gdzieś po policzku w stronę ucha, tam spierdały pokrzywione oczy. Krzywe struny głosowe rzeziły w wykrzywionej krtani.

Na szczęście odbiło mi się ochronną zupą ze szczawiu i wędzonej pasztetowej. Zacisnąłem oczy, ugryzłem się w język. Mocno. Łzy pomogły, przemyły trochę głowę. Głęboki wdech. Rozchyliłem powieki. Pogranicza nie było. Był Ułan.

Podniosłem się z trudem (członki zrobiły się jak pluszowe, a stawy się rozregulowały), ukradkiem przetarłem mokre oczy. Rozkołysany skrzepołamacz powoli schodził coraz niżej. Odstawił swego kapitana niemal pod próg, zanim podryfuje do aeriny na Majdanku. Wspaniała maszyna. Przypominała skrzyżowanie wielkiego kanciastego jeża z nosorożcem. Tony metalu obsługiwane przez trzydziestu ludzi: dziesiątki ostrych kilkumetrowych wypustek, upstrzony bulajami grubaśny pancerz, rozkrzep na dziobie, wciąż gorący, rozwibrowany i upačkany poskrzepowym flopem. Stabilizatory dyszały cuchnącym wyziewem pogranicza, żółte reflektory skanowały dach i mnie. Niemal fizycznie czułem na sobie spojrzenia rzucające z za firanek ciemnych pokoi w budynkach wokoło. Tak jest, ludzie, tu mieszka wasz bohater. Tu jest dom Andrzeja Ozimczuka.

Duma daje tyle siły. Prostuje ciało, prostuje w głowie.

Ułan zszedł nisko, tuż nade mnie, odciął pół świata. Poczulem zapach paliwa, rozgrzanej stali i otchłań. Mimo woli schyliłem głowę. Ze środka wyskoczył mężczyzna w czarnym mundurze. Gdy szedł po dachu w moją stronę, skrzepołamacz odleciał na kilka metrów i powoli odwrócił się do nas dziobem. Ciemna postać, ledwo widoczna z za jednej z pancernych szyb, uniosła dłoń w geście pożegnania. Pomachaliśmy jej. Ułan sapnął mechanicznie, jakby ze zmęczenia, po czym ruszył w noc, do jednostki.

– To była srogini? – spytałem ojca.

Pokiwał głową, wpatrzony w maszynę i trochę nieobecny, jakby jakaś jego część odlatywała skrzepołamaczem.

W końcu odwrócił się w moją stronę i uśmiechnął. Nie podobał mi się ten uśmiech, szczery i jednocześnie ponury. Tak krzywili się do mnie ludzie w obcych, podrzuconych mi przez wojnę wspomnieniach pogrzebu.

– Jak jest? – spytał, kładąc mi dłoń na ramieniu.

Była ciężka i przyniosła odległy płacz noworodków. Jedno z najokropniejszych ech po przedziwnu.

– Okej – skłamałem, a on nie odpowiedział.

Przypatrywał mi się, jakby sobie przypominał. Albo się mnie uczył.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– Pewnie.

On też nie umiał kłamać. Jego oczy, przekrwione ze zmęczenia, głęboko wycofane w sine bruzdy, nie umiały.

Usłyszeliśmy syreny, wysokie tony ułożyły się w krótki komunikat. Gdzieś na obrzeżach miasta chlusnęło wykrzywicą. Oby nie było ofiar.

– Pewnie – powtórzył ojciec.

Jego dłoń była coraz cięższa. Objąłem go w pasie. Pachniał moim dzieciństwem. Szczęściem.

Powoli ruszyliśmy do zejścia na klatkę.

– Mama już śpi.

– Nie szkodzi.

Chodźmy do domu, tato.



Śniła mi się, kolejny raz. Byliśmy sami, a ona szła w moją stronę. Znowu to wrażenie: znam ją ze świata sprzed wojny, już ją kiedyś spotkałem, zanim stała się tym, kim jest – jedyną wciąż

żywą wśród pierwszych tłumaczy. Jedyłą, która przeżyła samotny powrót z pogranicza. Znów to wykańczające uczucie, że ją poznałem, zanim pokazała światu, jak walczyć, zanim stała się naszą największą bronią. Żywą legendą.

Śniło mi się, że podeszła blisko. I zrobiła jeszcze krok. Wtedy znajoma postać rozproszyła się na kolejne detale. Lśniaca czerń skóry munduru. Refleksy na metalowych sprzączkach pasków na piersiach. Błada, napięta skóra twarzy. Usta. Krzywizna brwi, zdecydowana, ostra. Włosy niknące pod furążerką. Usta. Ostentacyjna opaska na oku, którego nie ma. Długie rzęsy na powiece tego, które jest. Usta. Kości policzkowe, jeszcze ostrzejsze niż brwi. Usta.

Usta.

Obudziły mnie odgłosy zza ściany, na tyle głośne, że przebiły się przez zagłuszcacz. Uprawiający seks rodzice skutecznie przegnali erekcję i senność. Pierwsze dwie godziny świtu były duszne i niewygodne, pociłem się w poszwę, rzucając się w niej na boki jak larwa w lepkiem kokonie. To najbezpieczniejszy sposób spędzania nocy przy obecnej konfiguracji przepływów wykrzywicy na pograniczu przylegającym do mojego pokoju. Spanie pod kołdrą byłoby ryzykowne, groziłoby przeciekiem. Dlatego śpię *na* kołdrze, w bawełnianym niby-śpiworze. Na jednej z grup dyskusyjnych po ciemnej stronie sieci ktoś polecał komplety pościeli z Jyska: specyficzny skład bawełny, z której są zrobione, w połączeniu z farbami pokrywającymi materiał daje podobno dobre wyniki. Najeździłem się za nimi (w mieście musiało być więcej grupowiczów, niż mi się wydawało), ale było warto. Sprawdzają się.

Wiem, jak to wszystko brzmi. Ta wojna krzywi. Czeka, aż będziesz sam, słaby, zmęczony i niepewny. Wtedy wyciąga po ciebie łapsko. Chwyta za kark stalowym uściskiem i rechocząc, przygina do ziemi. A ty osuwasz się coraz niżej i niżej. Mimo że się starasz, że walczysz o pozostanie sobą, o niepodrzucone wspomnienia i prawdziwe twarze ludzi wokoło.

Walczyłem i osuwałem się coraz niżej. Wszyscy walczyliśmy.

O wpół do siódmej wreszcie wygramoliłem się z łóżka. Poranne rytuały: zmiana płyty z zagłuszaczem, włączenie laptopa i logowanie w serwisach z obu stron sieci (jednak tak, by nie przeczytać żadnej wiadomości, jeszcze nie teraz), lektura SMS-ów z centrali, informujących o stanie pogranicza, pięćdziesiąt pompek, prysznic.

Wymruczałem powitanie do krzątającej się po kuchni matki i wszedłem do łazienki. Ojciec golił się przy umywalce.

– Co tak wcześnie? – spytał, nie odrywając wzroku od odbicia w lustrze.

– Wyspałem się.

Wzruszyłem ramionami i sięgnąłem po szczoteczkę do zębów.

– Ja też.

Uśmiechnął się do siebie, a ja zakrztusiłem się pastą.

Pomilczeliśmy dłuższą chwilę. Uciekałem przed jego wzrokiem i ukradkiem przyglądałem mu się.

Bardzo się zmienił od czasów mojego dzieciństwa. Niedawno zszokowało mnie zdjęcie, które znalazłem w jednym ze starych komiksów. Pierwsza komunია: pyzaty chłopiec w przykrótkiej albie (miałem ją po Mariuszkę, który w moim wieku był sporo wyższy) i białych sofiksach, za którym stał korpulentny szpakowaty czterdziestolatek, ubrany w głębokie, odprasowane w kant portki i koszulę z krótkimi rękawami w wielkie, koszmarne kolorowe kwiaty. W ogóle nie pamiętałem go takiego: miękkiego, pogodnego pana o przyjaznej twarzy i ciele napompowanego noworodka. Faceta, którego zawodowe obowiązki ograniczały się przed wojną do organizowania żołnierzom z jednostki kulturalno-oświatowych atrakcji.

Obok mnie stał ogolony na łyso postawny mężczyzna. Cały w tatuażach, które ożywały, gdy – mimochodem, przy najmniejszym ruchu – ożywały silne mięśnie pod nimi. Był wysoki, jakby od czasów zrobienia tamtego zdjęcia rósł razem ze mną. O schlastanej bliznami twarzy kapitana Andrzeja Ozimczuka można powiedzieć wiele, ale nie to, że jest przyjazna.

– Znalazłem jego ślady w kilku skrzepach – powiedział wreszcie ojciec.

Zamurowało mnie. Uderzenie krwi w skroniach, jej echo objające puchnącą głowę. Czekałem na więcej.

– Rzadki, rozległy wzór – dokończył. – Ale słaby, niewyraźny. Oscylował przy skrzepach ściekających do kanałów nienewtonowskich. Mariusz chyba jednak szuka możliwości powrotu przez tryb semantyczny.

Mariuszek. Mój starszy brat. Tyle lat więziony w chorej tkance pogranicza, dręczony przez przedziwnu i niestety w pełni tego świadomy. Wył bezgłośnie misternymi mozaikami, które składałem do kupy z tekstów i obrazów, rozrzucanych pozornie bezładnie po jasnej stronie sieci. Tyle lat niewyobrażalnej tortury.

– Potem podeślę ci koordynaty – powiedział ojciec. – Poszukasz nowych tropów.

– Może uda się złożyć kolejną wiadomość. – Nie potrafiłem ukryć ekscytacji.

– Oby. Musimy się śpieszyć, przedziwnu zbiera siły. Kroci się coś dużego.

Serce zabiło mi jeszcze szybciej.

– Idzie ofensywa – powiedziałem.

Tylko pokiwał głową, niby od niechcenia. Ofensywa. To słowo wracało coraz częściej, jak kolejne symptomy śmiertelnej choroby. Daremnie oszukiwaliśmy się, że sytuacja jest stabilna, że obserwowane w otchłani ruchy wroga to jedynie fałszywy alarm, ale jednocześnie niczego nie obawialiśmy się bardziej. Ofensywa przedziwnu, inwazja ostateczna.

Nie wiedziałem, co jeszcze można powiedzieć. On zresztą też nie.

– Robię jajecnicę! – Dobiegł nas głos z kuchni.

– Tak jest! – odkrzyknął ojciec, a ja wszedłem pod prysznic.

Byłem taki podekscytowany! Nowe ślady Mariusza oznaczały nowe współrzędne miejsc, w których powinniśmy szukać

kolejnych fragmentów wiadomości od niego. Jeńca i ofiary. I najlepszego szpiega, jakiego mieliśmy.

Gdy wyszedłem z kabiny, ojca nie było w łazience.

Ubrałem się i wszedłem do kuchni. Matka zmywała, na stole czekało śniadanie. Jedna porcja. Talerz jajeczniczy plus obowiązkowe sześć parówek.

(Było dobrze, jak zjadałem dwie. Przez ostatnie miesiące coraz więcej żywności było zainfekowanej. Matka musiała zwiększać porcje, bo rosnąca ilość tego, co przygotowywała, trafiała do kosza. Czułem, że ma z tym problem, ale milczała).

Jedna porcja.

– Mamo.

Odwróciła głowę w moją stronę.

– No, jedz.

Drzwi wejściowe trzasnęły.

– Tata...

Wyszedł. Matka wyglądała na zaskoczoną. Kolejny raz wróciła do mnie uporczywa myśl, równie nieprzyjemna jak swędzenie pod gipsem: od jakiegoś czasu w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Nie przy mnie.

– Czasem jesteś do niego taki podobny – powiedziała i odwróciła się do zlewu.

Miałem wrażenie, że próbuje coś wytłumaczyć, chyba bardziej sobie niż mnie. Dotknąłem dłonią wilgotnego czoła, w kuchni było gorąco.

Niektóre wspomnienia zostają jak niechciane fotografie, chowane w kopertach na dnie szuflady albo w piętrowych folderach twardego dysku. Nieprzyjemne i męczące, nie chcą wyblaknąć – pozostają wyraziste i czytelne, wysoka rozdzielczość umożliwia wielokrotny zoom.

Jak tamtego sobotniego ranka. Zbliżenie na stygnącą jajecznicę. Zbliżenie na szerokie plecy matki, białe stokrotki na granatowej poliestrowej łące podomki, pamiętającej jeszcze

nasze śniadania, jedzone przed wybiegnięciem do podstawówki. Zbliżenie na błyszczący w świetle poranka patrolowiec za oknem (model, nomen omen, Lublin), wiszący nad zielenią parku Saskiego i skanujący ją ruchliwymi mackami.

Długie chwile milczenia uwierały niemal fizycznie, ciążyły na żołądku jak zepsute jedzenie. Radio nie pomagało – stacja z jasnej strony: idiotyczne piosenki, fałszywy optymizm serwisów informacyjnych, podejmujących na semantycznym froncie manewr oznaczony jako *znikanie wojny*. Wielka, piętrowa iluzja, tym bardziej obrzydliwa, że konieczna.

Śniadanie rośło mi w ustach. Matka wciąż stała przy zlewie. Tak naprawdę chyba wiedziałem, dlaczego milczy i szoruje ciągle jedną patelnię. Czemu trzęsie się w bezgłośnym, narastającym napięciu.

– Słyszałaś o Mariuszkę? – zapytałem.

Zamarła z dłonią w pół gestu do suszarki.

– Może uda się go...

– Nie żyje!!! – ryknęła, gardłowo, zupełnie nie po ludzku. Ciśnięta przez nią patelnia odbijając się od ściany, rozbiła talerze i szklanki. Wszystko z brzękiem spadło na podłogę. Tłukące się szkło robi tyle hałasu... – Mariusz nie żyje, rozumiesz!?! – wyła w moją stronę, drżąca i zapłakana. – Nie żyje!!!

Odwróciła się, pochyliła nad zlewem i zaniósła głośnym szlochem. Jak syrena ostrzegająca przed wykrzywicą.

Nie wiem, ile trwało, zanim się podniosłem, podszedłem do niej i ją przytuliłem, najmocniej jak umiałem. Cała mokra i rozdygotana, choć cięższa ode mnie, zdawała się być krucha i delikatna, łatwa do połamania. Albo już połamana.

Powtórzę: ta wojna krzywi. Ale walczyliśmy, wszyscy, każdy po swojemu.

Ja nie płakałem. Myślałem o tym, gdzie szukać starszego brata.



Ciężki metal. Od zajebania ciężkiego metalu.

Zgrzyt, trzask, wizg, stal jęczy i wrzeszczy, gnieciona i łamana, rzyga iskrą, kaszle opiłkami, trze o siebie, chrzęszcząc, trze o nas z organicznym chlupotem, wygina się z piskiem, wygina i grzeje, napina i pęka z hukiem, raz za razem siejąc wokoło energią, żarem, ciska kanciastym zniszczeniem, zgrzyt, trzask, wizg, stalowy jęk, ciężki stalowy wrzask.

To był nasz – braci – pierwszy wylot w pogranicze, małym, lekko opancerzonym patrolowcem. Mariuszek za sterami, obok ojciec, ja na tylnym siedzeniu. Dostaliśmy frontalnie wielką metalową paką, szczelnie wypełnioną przedziwnu.

Błysk, ciemność, błysk, bezlitosny stroboskop, z każdym koszmarnym snem coraz wolniejszy. Pisk naszych alarmowych systemów, bojowy ryk rozpędzonej maszyny przedziwnu, jak stada mechanicznych słoni. Gwałtowny wstrząs, a z nim huk szkła i metalu, tnących wszystko wokoło. Wrzeszczymy wszyscy trzej, gdy ostre drobiny tną nam ciała, wbijają się w ręce, nogi, korpusy i głowy. Wrzask Mariuszka szybko przerywa sprężyna rozszarpująca mu gardło. Stalowy fragment pancerza patrolowca zrywa część skóry z głowy ojca, ochlapując mnie jego twarzą, jego ucho wpada za kołnierz, zęby wbijają mi się w policzki, stal podwozia szatkuje łydki. Większe fragmenty obu maszyn łamią nam kości, które pękają i demolują nas od środka, chcąc jak najszybciej wydostać się na zewnątrz. Po czym nadchodzi najgorsze.

Pancerz nie wytrzymuje i rozrywa się pod impetem uderzenia. Zalewa nas przedziwnu, które wyje niemal po ludzku, niemal jak my, miękcy i twardzi jednocześnie. Przedziwnu, niczym zjawy czarniejsza od nocy, przygniata nasze resztki swoim brejowatym jestestwem i chlapie wykrzywicą po naszych umysłach.

Wszystko zaczyna wirować i boleć jakby mniej, zimny, surowy oddech otchłani znieczula aż do czasu nadciągnięcia ekspedycji ratunkowej. Cierpienie przyjdzie dopiero później, wraz z bezlitosnym reżimem rehabilitacji, nadejdzie i będzie narastać.

Cuda dokonane na mnie i ojcu przez pozbawionych ust błękitnych technoszamanów okażą się jednak nic niewarte. Bo zgubili Mariuszka, zostawili go w otchłani.

A on wciąż stara się wrócić. I zmusza mnie do układania kolejnych wiadomości – świadectw swojej tortury. Audiowizualnych wyrzutów sumienia, które odbieram na komputerze.



Wiadomości od Mariusza lepiej z plików, spływających poprzez wyszukiwarki programowane zgodnie z koordynatami lokacji na pograniczu, w których ojciec i jego ludzie trafiają na ślady mojego brata. To pozornie proste programy – rodzaj crawlerów, nieustannie przeszukujących zawartość jasnej strony sieci i przesyłających mi pliki. Mariuszek umieszcza w nich fragmenty swoich komunikatów.

Korzystam z czterech wyszukiwarek, wszystkie mam od ojca. Krajową, opracowaną przez zespół informatyków przy UW i dostosowaną do niuansów polskojęzycznego Internetu, dwie silniejsze, przygotowane przez europejską infosemantyczną komórkę WTO, i czwartą, opartą na dziwnym interfejsie, napisaną przez cyberzapatystów gdzieś w powykrzywianej meksykańskiej dżungli. Co ciekawe, mimo gigantycznych wymagań sprzętowych software monitorujący wykorzystanie procesora i uruchomione procesy w ogóle ich nie rejestruje.

Część ze spływających plików to spam, wysyłany przez anonimowe automaty gdzieś z ciemnych zaułków Internetu.

Część to komentarze pod zdjęciami umieszczanymi w sieci.

Czasem grafiki, pliki dźwiękowe i filmowe. Rzadziej fragmenty kodu.

Zbieram je wszystkie i uploaduję do sieciowego konwertera wiszącego na wyciemnionej witrynie warszawskich infosemantyków. Po jakimś czasie – kilku godzinach, dniach,

tygodniach – dostaję plik wykrzywiony wiadomością od Mariuszka. Wtedy muszę ją tylko znaleźć.

To może być zdjęcie lasu, gdzie dopiero po wielokrotnym zoomie kilkadziesiąt pikseli układa się w jego twarz (tak bardzo stara się nie okazać cierpienia) i dłoń machającą w geście pozdrowienia.

To może być plik dźwiękowy, trzydziestominutowy jednostajny zgrzyt, który puszczam na full i słucham w kółko przez całą noc, aż wreszcie słyszę jego słowa, przebijające się przez ścianę gęstych, raniących uszy trzasków. Z reguły Mariusz próbuje w miarę precyzyjnie nakreślić pozycje przedziwnu, tak byśmy mogli odpowiednio wcześniej wysłać skrzepołamacze na pogranicze. Rzadziej po prostu nas pozdrawia, skarży się, że cierpi i tęskni. Płaczymy wtedy obaj.

To może być plik tekstowy. Kilka słów, nigdy więcej niż pięć, najczęściej trzy.

<Kocham cię brachu>

Ze względów bezpieczeństwa, by nie dopuścić do zawykrzywirusowania mojego sprzętu, tuż po odczytaniu wiadomości usuwam ją i formatuję partycję, na której jest zapisana.



Podczas wojny każdy dzień jest szczególny. Jednak tamten, rozpoczęty awanturą w kuchni, miał okazać się rzeczywiście wyjątkowy.

Zaprogramowałem wyszukiwarki koordynatami, które wysłał mi ojciec, po czym uciekłem z mieszkania, nie mogąc znieść przetaczającej się przez nie ciszy. Ojciec nie wrócił, matka zamknęła się w sypialni. Winda, stękając, zwiozła mnie siedem pięter w dół. Śmierdziało w niej letnim blokowiskiem: potem spod pach, papierosami i psią sierścią. Gdy wyszedłem z klatki, Czechów chlusnął we mnie lepkiem słonecznym światłem.

Poddałem mu się z przyjemnością. Poczłapałem na ławkę w cieniu kasztanowców, rosnących między wieżowcami.

W liceum WOS-u uczył nas profesor Niedzielski. Miał dwa metry wzrostu, stopień magistra i wielkie jądra. Gigantyczną bułą między nogami obnosił z dumą podczas swoich procesji między ławkami, u mnie i kolegów wywołując rodzaj bliżej nieokreślonego dyskomfortu, u moich koleżanek – fascynację pomieszaną z przerażeniem. Kiedyś Niedzielski zapytał mnie, jak opisałbym dzielnicę, w której mieszkam. Odparłem, że Czechów jest sypialnią Lublina.

No dobrze, co jeszcze.

Nic, jest sypialnią Lublina.

No, ale na pewno mogę powiedzieć o nim coś więcej.

Właśnie nie, sypialnia Lublina. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi, co noc układających się piętrowo w gierkowskiej wielkiej płycie.

Do dzisiaj zdania nie zmieniłem. A profesor Niedzielski został jedną z pierwszych ofiar konfliktu – spłonął podczas wycieku przedziwnu do ośrodka wczasowego w Węgorzewie.

Siedziałem na ławce, zanurzony w moim własnym lecie. Przyglądałem się ludziom wokoło i było nieźle. Prawie normalnie.

Piątkowska, wdowa z parteru, plewiła rabatkę z kwiatami, dwadzieścia metrów kwadratowych namiastki podbiłgorajskiego ogrodu, za którym rozpaczliwie tęskniła od prawie trzech dekad.

Wytatuowany byczek z wieżowca naprzeciwko włókł za sobą grubego dzieciaka, który bronił się przed powrotem do domu. Ojciec meł przekleństwa pod daszkiem żółto-niebieskiej czapeczki Motoru Lublin. Gówniarz, by go wkurwić, darł się na całe gardło: Luuubliniankaaa!!!

Wysuszona obca baba podeszła do ławki, na której siedziałem. Z twarzy spływał jej makijaż, wypisz wymaluj jak na cotygodniowy dansing w staromiejskiej Czarciej Łapie. Wokół jej kanciastych łydek snuł się najżałośniejszy pies na świecie: ospałe połączenie owczarka niemieckiego z jamnikiem. Pies uniósł łapę

z wyraźnym wysiłkiem, w skupieniu odlał się niecałe dwa metry ode mnie, po czym oboje odeszli, nawet nie zaszczycając mnie spojrzeniem.

Prawie normalnie. Pod warunkiem że się wiedziało, na co nie zwracać uwagi.

Z kwietnego ogródka, w którym nurzała się Piątkowska, dobiegały ledwie słyszalne nieprzyjemne popiskiwanie. Jakiś czas temu jeden z patroli odkrył tam miejsce przecieku lokalnej organicznej formy przedziwnu (przy okazji zawstydzając mnie, powinienem był się zorientować!) – drobne różowe ośmiorniczki, podobne do malutkich dłoni, przepelzały przez grządki na naszą stronę i skradały się po trawie, kierując się w stronę placu zabaw. Infekowały jednocześnie sferę semantyczną: zbyt długie przysłuchiwanie się ich popiskiwanom wywoływało objawy podobne do afazji. Administracja osiedla w porozumieniu z wojskiem przekazała Piątkowskiej odpowiednie narzędzia i dodatkowe pięć stów do emerytury. Wtedy starsza pani zabrała się do roboty: wypalała przedziwnu podręcznym laserem, noszonym na piersi w kieszonce fartucha. Semankustyczne ataki nie były jej straszne, Piątkowska jest bowiem głucha jak pień. Ot, subsydiarność stanu wojny.

Siedziałem dość daleko, jednak na wszelki wypadek włączyłem zagłuszacz. Powinienem przemyśleć problem z rodzicami, ale wolałem nie myśleć w ogóle. I dopiero kilkanaście piosenek później z przyjemnego zdebilnienia wytrąciła mnie nowa sąsiadka.

Wprowadziła się niedawno i mieszkała gdzieś nad nami, od jakiegoś miesiąca mijaliśmy się w windzie i między blokami. Wyglądała na licealistkę, taką, która uczy się równie pilnie, jak imprezuje i pierwsza przemyca wódkę na szkolnych wycieczkach. Była ode mnie wyższa, miała blade ciało – ni to szczupłe, ni to chude – włosy nieokreślonego koloru i długości. Piegowata twarz nie wyrażała niczego poza uprzejmą nieobecnością. Strasznie mi się podobała.

Teraz szła w stronę klatki schodowej, po drodze mijając mnie. Dałem się zaskoczyć: w ogóle nie usłyszałem pytania, które

zadała, przystanąwszy przy ławce.

– Słucham? – Wyjąłem słuchawki z uszu.

– Pytałam, czy wolne.

Stała nade mną z rękami w kieszeniach dzinsów. Surferka na jej tiszercie atakowała wysoką falę. Przynajmniej ona się uśmiechała.

Ostatkiem sił powstrzymałem się i nie rozejrzałem po ławkach wokół, mając świadomość, że co najmniej połowa z nich jest pusta. Wieżowiec runął mi na głowę.

– Jasne.

Poprawiłem się na ławce, przyjmując pozę równie swobodną, jak na ustnej maturze.

Usiadła obok, wyciągnęła przed siebie nogi, przy okazji tarasując pół ścieżki, po czym zaczęła przyglądać się Piątkowskiej, pracującej przy swoich kwiatach. A mnie ktoś nagle zamknął w niewidzialnej saunie. Żadna dziewczyna, nie licząc przypadkowych pasażerek autobusów, nie usiadła z własnej woli obok mnie od czasów szkoły średniej. Wszystkie trzydzieści osiem sposobów rozpoczęcia rozmowy, długimi wieczorami przygotowywanych na tę właśnie chwilę, wyparowało mi z głowy. Wróć, gdy przestaną być potrzebne.

Z odsieczą przyplłynęły szczyny żalosego owczarkojamnika.

– Uważaj – powiedziałem, wskazując na strużkę psiego moczu, cieknącą z trawnika w stronę jej stóp.

Odwróciłem głowę w kierunku przechadzających się kilkadziesiąt metrów dalej sprawcy kałuży i jego właścicielki.

– Dałeś mu się podlać.

– Myślałem, że mi tu wykituje.

– Jest biedny. Ma raka jelita.

– Znasz tę babę?

– To moja mama – odparła, po czym pomachała właścicielce chorego psa.

Ta odmachala jej dłonią z papierosem między palcami,

dziwacznie ekspresyjnie, niczym stara Indianka wysyłająca dymny komunikat.

Zaczerwieniłem się po najmniejszy wewnętrzny organ.

– Przepraszam.

– Nie ma sprawy. – Uśmiechnęła się do mnie. Naprawdę sporo miała tych piegów. – Dagmara.

– Łukasz.

By podać sobie dłonie, musieliśmy je wyjąć z kieszeni spodni. Na szczęście to chyba jej była bardziej spocona.

– Masz imię jak nasz pies.

– Wabi się Łukasz?

– Yeah. – Przewróciła oczami i spojrzała na matkę. – Patent Kryśki. Wiesz, Lucas.

– Fantastycznie.

– Prawda?

Zamilkliśmy znowu. Nosiła japonki, patrzyłem na jej stopy. Ich długie palce jakby do mnie machały.

– Nie gorąco ci w tych adidasach? – spytała, kolejny raz wywołując u mnie rumieniec.

Ktoś jej chyba zapłacił, żeby mnie dręczyła.

– Nie – skłamałem bez przekonania.

– A japonki?

– Są dla dziewczyn.

– E tam.

– I gejów.

Prychnęła, a ja wzruszyłem ramionami.

– Lubię ten zespół – powiedziała, spoglądając na słuchawki wystające zza ściągacza mojej koszulki. Zupełnie zapomniałem o niewyłączonym zagłuszaczu, dochodziły nas strzępy muzyki. – Kiedyś ogłuchłam na ich koncercie. Musiałam wziąć serię zastrzyków.

– Gdzie?

- W tyłek, a gdzie.
- Gdzie byłeś na koncercie?

Zachichotała.

- W Krakowie.

Uśmiechnąłem się. Do nas obojga.

– Zazdroszczę. – Mówiłem szczerze. Taki show bardzo wzmacnia odporność, szczególnie jeśli mieszka się w tak przeciekającej okolicy jak Lubelszczyzna. – Mimo wszystko niezła szczepionka.

Spojrzała na mnie pytająco, chyba trochę zaskoczona, a ja od razu pożałowałem ostatniego zdania. Bo o wojnie się nie mówi. Wojnę się *znika*. Co prawda wciąż nie udowodniono, że próby jej ograniczania w memosferze sprzyjają walce z przedziwnu, ale pozostawała jeszcze kwestia smaku. Nawiązywanie do niej bez powodu jest jak zdejmowanie butów w restauracji. Albo pierdzenie w windzie.

– Koncert był fantastyczny. Rano obudziło mnie gitarowe solo. W moim mózgu. – Dagmara założyła ręce za głowę, surferka na jej koszulce zakołysała się na fali. – Na szczęście seria zastrzyków z kokarboksylazą załatwiła sprawę.

– O. – To mnie zainteresowało. – Kokarboksylazę ładują w siebie niektórzy moi znajomi.

– Znajomi? Kokarboksylazę?

– Z paki.

– Paki? – Zmarszczyła brwi.

Nie dostrzegłem nadciągającego niebezpieczeństwa.

– Siłowni.

– Chodzisz na siłownię?

Najpierw była szczerze zaskoczona. Potem uśmiechnięta w niewygodnie wieloznaczny sposób.

Ile razy dziennie można palić cegłę?

– No, trochę.

– Aha. – Najwyraźniej pomyślała o czymś zabawnym. – Fajnie.

– Uhm.

– Uhm.

Wtedy zza dachu wieżowca powoli wynurzył się patrolowiec, bezgłośnie strzelając słonecznymi refleksami po oknach wokoło. Rozpostarte szeroko metalowe macki były nieruchome – jednostka zakończyła skanowanie dzielnicy i podryfowała w stronę bazy.

Uniosłem głowę. Kątem oka dostrzegłem, że Dagmara robi to samo. Niemal natychmiast przyszła narcystyczna myśl: czy ona wie, kim jest mój ojciec? Ale gdy na nią spojrzałem, miała zamknięte oczy. Jakby wahała kasztanowiec nad nami.

– Dobra – powiedziała wreszcie, wcześniej westchnąwszy teatralnie.

Zrozumiałem, że teraz albo nigdy.

– Muszę iść.

Powoli podniosła się z ławki.

Teraz albo nigdy.

– Na razie, sąsiedzie.

Teraz albo nigdy.

– Na razie, sąsiadko.

Ruszyła w stronę klatki.

Ozimczuk. Co? Ty palancie.

– Dagmara?

– Tak?

Wyglądała identycznie jak wtedy, gdy spytała, czy może się przysiąść. Chuda, wysoka i blada, a jednocześnie tak bardzo pasująca do tej pory roku. Tylko teraz stała kilka metrów dalej. A może jednak nie?

Pomachałem słuchawką zagłuszacza.

– Masz ich nową płytę?

– Nie.

– Podrzucić ci?

– Pewnie, czemu nie. – Spojrzała na zegarek. Był duży i żółty, przegapiłem go wcześniej. Wyglądał jak bloker przedziwnu. – Może wpadniesz koło siódmej? Mieszkam pod dziewięćdziesiątym siódmym.

– Okej. Dokładnie nad nami.

– Tak myślałam. – Uśmiechnęła się na pożegnanie. – Pa.

I poszła.

Naprawdę dużo miała tych piegów.



Wątpliwości. Pewnie że mam wątpliwości. Całą ich kupę.

Chyba najgorsze jest to, że wynikają z samej natury tej wojny. Że wróg, czający się w otchłani, najeżdża pogranicze i wlewa się do naszego świata w obu trybach. Nie tylko newtonowskim, gdzie rozpierdala nasze ciała i miejsca, w których żyjemy, ale i semantycznym: zawirusowuje memosferę i kaleczy nasze umysły. Zmienia znaczenie słów, obrazów, wspomnień i emocji. Niszczy to, co w nas najważniejsze – umiejętność wzajemnego porozumienia. Odrywa nas od siebie. I czyni to niepostrzeżenie. Minął rok od ukończenia liceum, zanim zorientowałem się, że nie mam już kumpli.

Jeszcze niedawno wiedziałem, jak to wszystko się zaczęło. Jak przez mgłę pamiętam eksplozję nerwowej ekscytacji, oto bowiem ludzie znaleźli sposób wkraczania na pogranicze, za którym była już tylko otchłań. Tak nawiązaliśmy kontakt z innym. Z tak niewyobrażalnie innym, przez każdego z nas i za każdym razem postrzeganym inaczej, że nazwanym przedziwnu. Z fascynacji, strachu i bezradności.

Teraz nie kojarzę ani jednej konkretnej daty, nie umiem przywołać obrazu żadnej telewizyjnej relacji. Pamiętam jedynie strzępy rozmów z ojcem, jego spokojne, ostrożne wyjaśnienia. I pełne emocji nocne rozmowy z Mariuszkiem. Byliśmy już prawie

dorośli, ale gdy wyobrażaliśmy sobie, jak oni mogą wyglądać, chowaliśmy się pod kołdrami przed własnymi wizjami.

Skutki odkrycia pogranicza szybko okazały się drastyczniejsze od najczarniejszych wizji. I trwają do dziś. Mimo że wciąż są tacy, którzy twierdzą, iż tę sytuację lepiej nazywać kontaktem niż konfliktem, że to wszystko jest fatalnym wynikiem niemożności porozumienia. To z tej ambiwalencji wziął się konflikt – termin, którego wszyscy zgodnie nienawidzą. I równie zgodnie używają.

Fascynacja, strach i bezradność.

I wątpliwości. Nie pamiętam, czy technologia umożliwiająca podróże po pograniczu została wynaleziona już po kontakcie, czy to właśnie dzięki niej odkryliśmy pogranicze i otchłań.

Nie pamiętam też, kiedy ludzie porzucili złudzenia i zjednoczyli się, by w ramach World Treaty Organization wspólnie działać przeciw przedziwnu. Jak gdyby pewnego dnia po prostu nadeszły, jak ciężka burzowa chmura pełznąca zza horyzontu: stalowe chrabąszcze patrolowców, syreny, których ostrzegawczego zawodzenia ludzie wyczekują z paradoksalną niecierpliwością, jednostki naziemne, przeczesujące najmniej oczywiste zakamarki naszego świata.

Burzowa chmura przyniosła również ciemną stronę sieci, jedyne medium zawierające informacje dotyczące wojny. To po ciemnej stronie chowają się efemeryczne witryny, wiszące na tajemniczych serwerach, często usuwane, zanim ktoś w ogóle na nie wejdzie. Tam znajdują się grupy i fora dyskusyjne, będące niekiedy źródłem nieocenionych porad, a czasem po prostu cyberprzestrzeniami grupowej terapii. Bo jasna strona mediów wciąż funkcjonuje jako wielkie narzędzie kłamstwa, mającego przywracać równowagę memosfery. Setki tysięcy ludzi konstruuje codziennie gigantyczne iluzje, w które nikt nie wierzy. Odnoszę wrażenie, że jesteśmy jak dziewczynka kuląca się w płonącym domu, którą stać jedynie na zaciśnięcie powiek i zakrycie uszu, mimo że płomień zaczyna już lizać jej włosy.

Wątpliwości. Pamiętam, że tuż po odkryciu otchłani w

pogranicze wysłano tłumaczy, by spróbowali nawiązać kontakt z przedziwnu. Wróciła tylko jedna osoba. Wróciła i została najbardziej zdecydowaną orędowniczką otwartej wojny. Była tam i zrozumiała, że aby dziewczynka uratowała się z pożaru, najpierw musi otworzyć oczy.

Srogini Michalska. Kilka razy wydawało mi się, że trafiłem po jasnej stronie sieci na screeny z filmu, którego bohaterka wygląda dokładnie jak ona. Nie wiem, co o tym myśleć, na wszelki wypadek unikam takich obrazów w obawie przed atakiem wykrzywicy. Szczerze mówiąc, boję się nawet nad tym zastanawiać. Ta kobieta ma w sobie coś z otchłani. Im bardziej podziwiam ojca, tym bardziej mu zazdroszczę. Im bardziej mu zazdroszczę, tym bardziej go podziwiam.



Spotkanie Dagmary i rozmowa na ławce zadziałały na mnie tak, jakbym połknął cały karton tussipectu. Nie mogłem usiedzieć na dupie, łąziłem po mieszkaniu tam i z powrotem niczym bohater zawieszonyj platformówki. Co za dopołudnie! Ojciec wrócił z patrolu, wyciemnione warszawskie serwery miały kolejną wiadomość od Mariuszka, a teraz jeszcze ta dziewczyna. Dagmara. Dziewczyna. Dziewczyna! Takie rzeczy przydarzały się bohaterom seriali z MTV, nastoletnim nadludziom, na których dobrze wyglądały nawet podkoszulki bez rękawów. Nieźle! Dagmara.

Z matką na szczęście sytuacja wróciła do normy – wygodnej niewypowiedzianej umowy, że poranek uznajemy za niebyły. Spytałem ją o nowych sąsiadów. Nie miała pojęcia, ostatnio wychodziła z domu jeszcze rzadziej niż ja.

W ogóle z roku na rok ludzie powoli ginęli z ulic. My traciliśmy miasto, a miasto traciło nas. I chorowało. Wszędzie billboardy, jak pstrokate pryszcze, mieszały w głowach, łuszczyły się śmieciem. Miasto trawiła gorączka. Spacerując ulicami, dotykałem wilgotnych, spoconych murów, jakby zmęczonych

koniecznością utrzymania stałej formy. Czasem czułem drgawki, delikatne drżenie pod stopami, rezonujące skurczami moich jelit. Lublin męczył się, to wszystko dręczyło go, uwierało.

I nie wiem, co by było, gdyby nie jego zielony krwiobieg. Bo o tej porze roku miasto jest niesamowicie kwitnące – puszyste kule drzewnych koron niczym szeleszczące purchawy kradną przestrzeń między blokami. Coraz częściej miałem wrażenie, że tylko dzięki nim dzielnice stały jeszcze całe, opierając betonowe i ceglane szkielety na mocnych organicznych rusztowaniach. Dlatego tak bardzo bałem się zimy i coraz rzadziej zapuszczałem się dalej niż moje osiedle.

Szczęśliwie na siłownię mam niedaleko, tylko trzy przecznice. Idąc tam, minąłem dwa nowe place budowy. Blaszane rusztowania skrywały rany po bezszelestnych gwałtownych potyczkach – miejscach, w których granica, niszczona rozrastającym się z drugiej strony skrzepem, pękała i wykrzywiała ludzkie ciała i umysły.

Takie bitwy z reguły trwają nie dłużej niż minutę. Przedziwnu uderza osobiście albo przez wykrzywicę (niektórzy eksperci twierdzą, że to dwie postaci jednego organizmu), deformując rzeczywistość bądź – gdy atak idzie w trybie semantycznym – zawartość naszych mózgów. Pęknięcie granic uruchamia alarmy, wywołujące podwójną reakcję. Po pierwsze, na miejsce błyskawicznie zlatują się automaty, za którymi ciągną metalowi zaciężni, uzbrojeni w rozkrzepy fizycznie zwalczające intruzów. Po drugie, aktywni w danej chwili infosemantycy walą w zagrożone obszary maksymalnie skoncentrowanymi pakietami prostych wiadomości w celu zlikwidowania odkształceń memosfery.

Najgorsze jest to, że nawet gdy wygrywamy, to przegrywamy. Zasada zachowania energii jest nieubłagana. Tak intensywna wymiana ciosów musi skutkować przynajmniej częściowym rozpiędoleniem wszystkiego wokół. Stąd wirusowe deformacje zawartości mediów: gwałtowne wykwyty szkaradnych witryn, w których łatwo się pogubić; stąd dziecięce wrzaski, lepiące się do programów radiowych po naszej stronie skali. Albo telewizor

włączający się nagle w moim pokoju na kanale zero, emitujący nieme, surowe nagranie VHS, eksponujące w zbliżeniach ubrane w garnitur zmasakrowane zwłoki ojca, złożone do wielkiej trumny.

Stąd też deformacje miasta. Większość przejściowa, usuwana ciężkim sprzętem, pracującym dzień i noc na prowizorycznych budowach, takich jak te, mijane w drodze na pakę. Niektóre jednak zostają, zbyt mocne i trwałe na nasze buldożery – jak niedokończona wieża o pięciu iglicach, wyrastająca z dziedzińca lubelskiego zamku, z naszego kuchennego okna wystająca ponad staromiejską zabudowę niczym wielki złośliwy chwast. To rozłożyste kurewstwo nie trafiło jeszcze na swoją Piątkowską. (Kiedyś ojciec powiedział mi, bym nie rozmawiał o wieży z mamą. Źle na nią reaguje i nauczyła się jej nie dostrzegać. Szczęściara).

Wejście z ulicy, kilka schodów w dół, prosto w matowy blask, smród zmęczonego ciała i teutońskie techno. Panowie na prawo, panie na lewo, nad szatniami wielki plakat agencji detektywistycznej, żyjącej z tropienia niewiernych partnerów. Nie mogłem się zdecydować, do której z płci miał bardziej przemawiać, ale czułem, że jest bardzo na miejscu.

W siłownię wkręciłem się podczas wielomiesięcznej tortury powypadkową rehabilitacją, gdy przyszedł czas zamieniać gumowe piłki na coraz większe obciążenia. I choć mam słabiutką masę (instruktor powiedział mi, że z gówna bicza nie ukręcę), paka jest mi niezbędna. Bez regularnej porcji ćwiczeń czuję, że ciało robi się senne i ślamazarne, przestaje się bronić przed ciągłym naporem wroga. Kiedyś myślałem, że podczas dźwigania żelaza będę mógł przemyśleć sporo rzeczy. Że powtarzalny rytm kolejnych serii pozostawi mnie sam na sam z moim umysłem, pomoże w refleksji. Nic bardziej mylnego.

Kolejne ciężary, kolejne proste ruchy, jeden po drugim, seria za serią, one wszystkie odcinają głowę, fantastycznie redukując mnie do ciała. Zostaje to, co najprostsze – czysta fizyka: masa, ciężar i pęd, wektory i dźwignie. Ludzie zamknięci w ciasnej przestrzeni pełnej ciężkiego metalu współpracują, a

jednocześnie zdani są tylko na własne mięso: mięśnie, kości, więzadła. Wszyscy motywowani bardziej przez swoje lęki i pragnienia niż przez wąsatych atletów o twarzach niemieckich pornoжебaków, wiszących w antyramach na spoconych ścianach wokoło. I wszyscy mają świadomość, kto ćwiczy poziom niżej.

No właśnie. W sobotnie południe jest pusto i wygodnie, więc w trzy kwadransy przerzuciłem swoje. Idąc do szatni, zorientowałem się, że drzwi na dół są uchylone. Drzwi *na dół*. Rozejrzałem się po sali. Byłem sam. Zza drzwi, tych drzwi, dobiegł mnie szcęk stali, odległy i głęboki. Jakby ktoś przerzucał kolejowe wagony. Na myśl, że mógłbym ich zobaczyć, atlasy wokoło zatańczyły polkę. Tylko że zejście jest surowo wzbronione. Ale nikt nie patrzył.

Zszedłem kilkadziesiąt stopni i zajrzałem przez kolejne drzwi.

Trzech mężczyzn ćwiczyło w niedużej sali. Nie, poprawiłem się po chwili, pomieszczenie miało powierzchnię siłowni na górze, tylko jego zawartość była dużo większa. Trzech gigantów wyciskało gigantyczne ciężary. W milczeniu słuchali muzyki poważnej, lecącej z boomboksa.

Bioniczni komandosi, frontowi z bezpośrednich starć z pogranicza. Obdarzeni talentem do zabijania i regularnie karmieni porcjami odżywkii, preparowanej na wywarze ze skrzepu, w celu zwiększenia ludzkich możliwości i łatwiejszej adaptacji do warunków po tamtej stronie.

Stwierdziłem, że zupka działa. Żołnierze, ubrani tylko w szorty, wyglądali, jakby stwórca przeznaczył na nich całą masę mięśniową, której pożałował, projektując Rolling Stonesów. Mieli po dwa metry wzrostu z okładem, bicepsy wielkości piłek lekarskich i karki o masie i rzeźbie kowadeł. Dwóch asekurowało trzeciego, wyciskającego na ławce sztangę, ważącą – policzyłem szybko – niemal tonę. Przy kolejnych powtórzeniach po głazach jego mięśni przebiegały fosforyzujące wyładowania, prześwitujące przez wydziaraną skórę. Gdy zrozumiałem, uciekłem na górę. Znałem te tatuaże.

Na parkingu pod klubem stał wojskowy superhummer,

którego przechodnie zdawali się nie dostrzegać. Symbole WTO stygmatyzują ludziom rzeczywistość i bardziej niż wdzięczność wywołują dysonans. Bo przypominają o lęku.

Ja nigdy nie odwracałem wzroku. Czułem się jednym z nich i jednocześnie rozumiałem, że w każdej sekundzie życia powinienem mieć świadomość toczonej przez nas wojny. Mijając wojskowy samochód, przez grubą szybę dostrzegłem surową kobiecą twarz, przeciętą czarną opaską. Zrobiło mi się niewygodnie i ciężko. Jakby niewielka sztanga, trzymana nad klatą, niespodziewanie okazała się ponad moje siły.

To sama srogini Michalska czekała w superhummerze na mojego ojca, wyciskającego na dole nieludzkie ciężary. Elementy powoli łączyły się całość, w głębi serca niechcianą, niczym pliki składające się na wiadomość od Mariuszka.



– Skąd masz tę bliznę? – spytała Dagmara, wywołując u mnie stan przedzawałowy.

Byłem przekonany, że krótka nogawka starannie odprasowanych na tę okazję bojówek podwinęła się i dziewczyna zainteresowała się szramą na udzie. Musiałbym skłamać. Nie mogłem jej opowiedzieć o moich obowiązkach prostownika.

Gdy podniosłem głowę znad kolekcjonerskiego wydania albumu z jej zbioru (za który zresztą mógłbym przez miesiąc czyścić siłowniany prysznic), odetchnąłem z ulgą. Nie patrzyła na nogę, przyglądała się czółu.

– Bliznę?

– Tę.

Palcem wskazującym dotknęła mojej skroni.

Mój Boże. To było jak elektryczność, tyle że ciepła, przyjemna. Pokój zawirował, a ja nadludzkim wysiłkiem nie zsunąłem się z kanapy na podłogę. Chwilę później z trudem powstrzymałem

ły. Zorientowałem się, że pierwszy raz w życiu poczułem dotyk kobiety innej niż moja matka i łysiejąca internistka, do której ta pierwsza słała mnie z durnymi przeziębieniami.

– To głupia historia.

– Takie są najlepsze.

– Fakt. – Tu zrobiłem intrygującą pauzę. Dagmara uniosła brew, wysoko i uroczo. – Gdy byłem mały, mieliśmy lustro w drzwiach od pokoi. Kiedyś z bratem wydedukowaliśmy, że jeśli stanie się tyłem do lustra i wystarczająco szybko odwróci się w jego stronę, to zdąży się zobaczyć w nim swoją potylicę. Bratu nie szło, więc pomyślałem, że trzeba to zrobić naprawdę błyskawicznie. I przypierdoliłem czołem w lustro całym impetem ciała. Skończyło się na szklarzu i szyciu głowy.

Dagmara zarechotała, szczerze i zaraźliwie. Po czym spoważniała, machając dłonią przed twarzą, jakby opędzała się od natrętnego owada. Wstrzymała oddech, wpatrując się w biurko naprzeciw, i spojrzała na mnie, dziwnie napięta. Nie wytrzymała nawet sekundy. Ryknęła na cały głos, odrzuciła głowę do tyłu i rąbnęła nią o ścianę, co tylko spotęgowało jej śmiech. Przykryła twarz dłońmi i dławiała się, leżąc tuż obok, a ja siedziałem, dramatycznie bezradny. Chciałem się na nią gapić i czułem, że nie powinienem. Już sama myśl, że dzieliło nas dosłownie kilka centymetrów, czyniła logiczne myślenie wysiłkiem fizycznym.

Miałem przyjść koło siódmej, więc wyszedłem z domu przy czołówce "Faktów". Wcześniej siedemnaście razy sprawdziłem, czy płyta, którą nagrałem Dagmarze, nie ma błędów. Dylemat frajera: na randkę piętro wyżej iść w kapciach czy w butach? Ostatecznie zdecydowałem się na tenisówki, które i tak zdjąłem w przedpokoju. Ona, w znajomej koszulce, bawełnianych szortach i boso, wyglądała swobodnie i niezobowiązująco. Obłędnie.

A teraz siedziałem obok niej, patrzyłem na jej śmiech i nie chciałem, by przestała. Okazało się, że niesłusznie. Bo gdy pogodne konwulsje zaczęły mijać i Dagmara, uspokoivszy się,

odjęła dłonie od twarzy, aż mnie zabolalo. Gdzieś głęboko we mnie, najgłębiej. Nie miałem wątpliwości, każdą komórką ciała czułem, że jej pogodna, piegowata twarz, uśmiechnięta i jednocześnie cała we łzach i kropelkach potu, jest czymś najpiękniejszym, najcudowniejszym, co kiedykolwiek widziałem i miałem jeszcze zobaczyć.

I tak było. Tak jest do dzisiaj.

Dostrzegła coś, jej oczy spoważniały.

– No co?

Uciekłem wzrokiem gdzieś w bezpieczną okolicę jej ramienia, bacznie unikając zaczepiającej mnie surferki.

– Nic.

Na swój sposób byłem z siebie dumny. Myślałem, że nie wydam ani dźwięku.

– Nie z ciebie się śmieję.

Odgarnęła włosy z twarzy i wróciła do pozycji siedzącej, wywołującej u mnie mniejszy popłoch.

– Wiem. Spoko.

Przy okazji przyjrzałem się jej zegarkowi. Imitował fikuśnego żółtego swatcha, ale już nie miałem wątpliwości, że to rodzaj bloкера na przedziwnu. Jej krótkie szorty miały ten sam kolor.

Było dobrze. Byliśmy sami, ojciec Dagmary zabrał żonę i psa rencistę na jakąś firmową imprezę nad Piasecznem. Dagmara od początku sporo mówiła, a mnie to pasowało.

Wcześniej całą rodziną mieszkali w Puławach, awans ojca pociągnął za sobą przeprowadzkę do Lublina, która spolaryzowała rodzinę. Żona była niezadowolona, córka nie ukrywała radości, o stanowisko Lucasa nie dopytywałem. Zresztą o wyjeździe poniekąd przesądziła córka, dostając się na psychologię na lubelskim UMCS (czy sześć lat różnicy między nami, policzyłem natychmiast, to zbyt dużo? Czy może w sam raz?). Matka nie pracowała, zawodu ojca Dagmara zdradzić nie chciała. Nie naciskałem, w dzisiejszych czasach o pewnych rzeczach najdobitniej mówiło milczenie. Dlatego wystarczyło jej,

gdy powiedziałem, że po prostu nie poszedłem na studia. Nie musiałem unikać tematu werbunku.

Zanim spytała o bliznę na czole, gadaliśmy o muzyce. Ze trzy razy podziękowała mi za płytę, której tamtego wieczora słuchaliśmy w kółko.

– Spójrz – powiedziała wreszcie, wytarłszy ostatnie łyzy. Pokazała wewnętrzne strony przedramion. One też były piegowate, po obu biegły stare, już słabo widoczne blizny. – Trzecia klasa. Zjeżdżałam z góry na rowerze i zorientowałam się, że kierownica jest trochę krzywo. W połowie zjazdu, żeby ją wyprostować, złapałam stopami za przednie koło.

Teraz ja zarechotałem.

– Powiedz, że podstawówki.

– Co?

– Trzecia klasa podstawówki.

– Uważaj! – Walnęła mnie pięścią w ramię.

Pokazałem jej wypłowiałą nieregularną bliznę na nosie. Gdy przysunęła się bliżej, niemal zapomniałem, co chciałem opowiedzieć.

– Miałem z osiem lat, Mariusz dwa więcej. Nie wiem, co nam strzeliło do łbów. – Przełknąłem ślinę. Nasze kolana stykały się przez kilka chwil, a ja z przerażeniem poczułem budzącą się erekcję. Czas salwować się hardkorem. – Bawiliśmy się w berka. Wcześniej wsadziliśmy sobie do nosów kredki. – Skrzywiła się w odruchu empatii. Albo wyobraźni. – Gonilem go po mieszkaniu i już prawie miałem, gdy zrobił nieoczekiwany zwrot, a ja rąbnąłem twarzą w łóżko rodziców.

Jęknęła, ale po chwili znowu się śmiała.

– Na szczęście mieli miękki materac. Tępa kredka wywołała niegroźny krwotok. Druga, zastrzona taką dużą metalową strugaczką od ruskich...

– Pamiętam je!

– ...przebiła skórę i wyszła tędy.

Skrzywiła się.

– Jakiego była koloru?

– Kredka? Nie pamiętam.

– Na pewno brązowa. Musiałeś nieźle wyglądać.

Nie zdążyłem spytać, czemu akurat brązowa.

– Miałem wielki, spuchnięty nochal, z którego dyndały czarne końcówki szwów. Dzieci na osiedlu mówiły na mnie Gonzo.

Nie wiedziała dlaczego. Sześć lat różnicy wieku między nami wystarczyło. Wytłumaczyłem, co to mupety. Chyba bardziej z uprzejmości przyznała, że coś pamięta. Byłem pewien, że będzie guglać jasną stronę, jak tylko wyjdę.

– A na mnie przez jakiś czas chłopaki z osiedla mówili Sraczka.

– Sraczka? – Nie byłem pewien, czy się nie przesłyszałem.

– Sraczka.

Bałem się spytać dlaczego.

– To przez to. – Dotknęła dłonią policzka. – Przez piegi. Jeden mądrała wymyślił, że gdy się urodziłam, ojciec rzucał we mnie gównem, a mama zasłaniała mnie durszlakiem.

– Boki zrywać.

– Musiałam spuścić mu wpierdol, żeby się skończyło.

Znów byłem pod wrażeniem. Emerytowany śledczy z trzydziestoletnim doświadczeniem, nabytym w bronowickich bramach, nie powiedziałby tego z piękniejszą nonszalancją.

– Takie jest prawo dżungli.

– Otóż to.

Ściemniało się. Jej piegi zniknęły w osiedlowym półmroku, pełznącym do nas zza okna. Odcienie wyrównały się, skóra Dagmary zaczęła wyglądać jak pokryta opalenizną. W niekontrolowanym przyływie romantycznej odwagi powiedziałem jej to. I od razu pożałowałem.

Podniosła się, zawstydzona, i włączyła lampkę na biurku. Wstałem i ja. Zostałem przy kanapie, dwa długie metry dalej. W

pokoju było bardzo duszno.

– Dobra – zacząłem. – Będę się zbierać.

Niczego w tamtej chwili nie chciałem mniej.

– Jasne – powiedziała Dagmara. Światło lampki na nowo obsypało ją piegami. Wołałem tak. Uśmiechnęła się konspiracyjnie. – Niedługo wrócą tamci.

W jej głosie obok ironii dosłyszałem cień zawodu. Wczepiłem się w niego natychmiast. Z całej siły. Serce, mózg, gruczoły potowe – cała maszyna szła pełną parą.

Dajesz, Ozimczuk. Jak w MTV.

– Co robisz jutro?

Napięciem w tym zdaniu można by naładować akumulatory wszystkich rozkrzepów z jednostek po tej stronie Wisły.

– Po obiedzie jedziemy na zakupy. Wcześniej nic.

Pisałem już: siła spokoju i nonszalancja policyjnego wygi.

Sięgnąłem po debilny pretekst. Dobry jak każdy inny.

– W południe na ławce? Mogę przynieść ci trochę zacnych empetrójek.

– Jasne.

Uśmiechnęła się. Palce jej stóp znów do mnie pomachały.

Powiedziała, że nie wypuści mnie bez rewanzu. Gdy wybierała płyty, które miałem zabrać ze sobą, rzuciłem okiem na półkę z książkami. Gdy zobaczyłem kawałek plastiku, wciśnięty między skandynawskie kryminały, niemal ryknąłem z radości. Miałem ochotę zbiec po schodach osiem pięter w dół, wbiec z powrotem na górę, a potem szeroko otworzyć okno, zerwać z siebie tiszert i wyrzucić w osiedle triumfalną radość, wałąc się pięściami po kłacie.

Zamiast tego poszukałem w sobie bronowickiego gliniarza. Spokojnie założyłem tenisówki, na klatce schodowej machnęliśmy sobie na pożegnanie i już byłem u siebie.

Minęły dobre cztery godziny, zanim usnąłem. Spędziłem je, leżąc w łóżku i szczerząc się do sufitu. Słuchałem płyty, której

kopię zaniósłem jej. Oryginalną, tuż przed powrotem do siebie, znalazłem u niej na półce, schowaną między książkami.



Opowiem wam, jak powstały moje blizny: świeża szrama na udzie i stare szramy w głowie, niewidoczne blizny na mózgu.

Już o tym pisałem: jestem żołnierzem. Stacjonarnym prostownikiem w II Lubelskiej Kompanii Pogranicza Pułku Kresowego. Zwerbowała mnie srogini Michalska, kilka lat po rozpoczęciu konfliktu.

Czytałem na jednej z grup po ciemnej stronie sieci, że srogini zawsze dokonuje werbunku osobiście. Nie wydaje mi się. Po pierwsze, nie starczyłoby jej czasu na prowadzenie działań przeciw przestępcy. Po drugie, wolę czuć się wyróżniony.

To była jedna z tych okropnych lubelskich zimowych nocy, podczas których gwałtowne śnieżycy zamieniają osiedle w bure betonowe cementarzysko. Obudziło mnie stukanie do okna, szczęk metalu o szkło. Rozsunąłem żaluzje i, pomimo nieregularnej ściany śniegu, od razu się zorientowałem. Nie mogłem ukryć ekscytacji, czekałem tak długo.

Fregata polskich sił WTO wisiała w ciszy dziesięć metrów od wieżowca, dokładnie naprzeciw mojego okna. Zapraszała do środka stalowym trapez, którego koniec bujał się pół metra od parapetu. Wszedłem na zewnątrz i ruszyłem po trapie, przez śnieżycę, siedem pięter nad ziemią. Nie czułem zimna, tylko pieczenie stóp, dotykających metalowej kraty – bardzo zimnej albo bardzo gorącej.

We fregacie było ciepło i duszno. Pachniało stalą, smarem i czymś jeszcze, przypominającym zapach wnętrza starego pekaesu. Anonimowi aerynarze zaprowadzili mnie na mostek. Do niej. Była dokładnie taka, jaką podglądałem na robionych ukradkiem, rozmazanych zdjęciach, wrzucanych na ciemną stronę sieci. Ona, jej mundur i opaska na oku, maszyny sapiące i

popiskujące wokoło – wszystko było jednością. W tamtej doniosłej chwili, gdy wypowiadała formułę werbunku, srogini była jednością ze wszystkim, co przydarzało mi się podczas konfliktu. Była wojną.

Tak zostałem zwerbowany na prostownika i rozpocząłem nocne patrole po dzielnicy, podczas których swoją skoncentrowaną obecnością staram się stabilizować i ograniczać wykrzyw rozchlapany po okolicy. Szukam śladów przedziwnu i je neutralizuję.

Przedziwnu może być rejestrowane tylko jednym ze zmysłów, może też wszystkimi naraz. W im gorszej jestem formie, tym mocniej je odczuwam. Zmęczenie, strach, smutek czynią chłapnięcia wykrzywicy groźniejszymi.

Czasem je widzę. Małe ośmiorniczki w pełnym słońcu, w przybłokowym ogródku. Częściej jednak dostrzegam je w nocy, w zimnym elektrycznym świetle osiedlowych latarni. Szlam wyciekający z rynien na chodniki, widoczny tylko z pewnej odległości. Pokraczne cienie jak bezpieczeństwa psy, czające się za drzewami. Czarne szkarady, wychudłe parodie ludzi, zwinnie przemykające wysoko po parapetach wieżowców.

Czasem je słyszę. Obce, pokrzywione komunikaty, konwertowane przez mój mózg na doznania, które potrafię odebrać, choć z reguły nie umiem pojąć. Wycie z kościelnej dzwonnicy, zwielokrotniane echem wielkiej płyty. Płacz noworodków dobiegający z daleka, jakby z zamkniętego, bulgoczącego garnka. Złośliwe podszeptywania wysypujące się z rur, gdy wieczorem siedzę na sedesie, towarzyszące mi później przez całą bezsenność noc, wypełnioną brzydkimi obrazami.

Czasem je czuję. Wywęszam. W zainfekowanym jedzeniu, ubraniach, które muszę natychmiast przestać nosić. W ludziach, mijanych w windzie i na ulicy, którzy, choć wciąż mówią, chodzą, oddychają, są martwi. Gniją, zżerani od środka przez obcego najeźdźcę. Brzydzę się ich i żałuję.

Czasem wyczuwam przedziwnu pozazmysłowo, odbieram je w trybie semantycznym. Nie mogę tego opisać. Nie umiem i nie

powinienem. Wszystko się krzywi. Słowa i symbole, ich brzmienie, wygląd i desygnaty, wspomnienia, obrazy, dźwięki, smaki, zapachy, związane z nimi uczucia – wszystko, co jest w mojej głowie, co stanowi o mnie, wszystko to się wykrzywia i zmienia, zamazuje i załamuje, cała moja głowa pierdoli się dokumentnie. Sekundy, minuty, godziny. Coraz dłużej. Moje własne bitwy, podczas których jestem najsamotniejszym człowiekiem na ziemi. Bitwy w mojej wojnie. Prywatnej wojnie światowej.

Walczyłem, mimo że było coraz gorzej. Mimo iż przeczuwałem, że któryś patrol skończy się tak, jak ten miesiąc temu.

Wracałem z niego grubo po trzeciej w nocy. Wyczułem jeden z tych zapachów. Ledwie uchwytna woń dobiegała z boiska obok mojej byłej podstawówki. Ruszyłem w jego stronę i dałem się zaskoczyć, podejść jak dzieciak. Zanim się zorientowałem, chlapnęło po mnie wykrzywica. Silna dawka, od razu poczułem, jak kielkuje w nodze, zabierając mi energię potrzebną do rozwoju.

Wiedziałem, że ta chwila prędzej czy później nadejdzie, a i tak prawie zesrałem się w gacie. Gdy biegłem do domu, tętno rozpędziło się do szaleńczego rytmu blastów, podawanych przez pałkera w zagłuszaczu. Ojca nie było, matka spała w sypialni. Musiałem działać natychmiast – w lewym udzie przelewał się wrzątek. Macając poparzone miejsce, czułem coraz żwawszy ruch.

Co musisz zrobić, gdy kontakt z wykrzywica skutkuje kielkującą infekcją przedziwnu?

Musisz być przygotowany. Mieć pod ręką zestaw do usunięcia zaroda.

Mój – opracowany na podstawie własnych doświadczeń, rad ojca i opinii wymienianych po ciemnej stronie sieci – składał się z:

- pęsety;
- skalpela;

- spirytusu salicylowego;
- noża i widelca;
- chirurgicznych igły i nici;
- niewielkiej ilości oleju spożywczego;
- zagłuszacza: płyty z numerami przygotowanymi specjalnie na tę okazję;
- tabletek przeciwbólowych;
- kompletu plastrów, gazy i bandaża;
- elektrycznego grilla;
- tacy i talerza;
- konserwy z mieszanką tyrolską;
- odrobiny soli;
- butelki niegazowanej wody mineralnej;
- żaroodpornego naczynia;
- dezodorantu;
- zapalniczki;
- jednorazowej golarki;
- ręczników;
- małego blaszanego pojemnika na herbatę;
- mocnego środka nasennego.

Kolejność czynności podczas usuwania zaroda jest następująca:

1. Zamykam się w pokoju. Na klucz.
2. Włączam zagłuszacz.
3. Łykam tabletkę przeciwbólową.
4. Ignoruję coraz gwałtowniejszy ruch pod skórą nogi.
5. Włączam elektryczny grill.
6. Odkazam naczynia i sztucce.
7. Przewyciężam narastające zawroty głowy i nudności.
8. Otwieram tyrolską, kroję ją na kawałki i układam na talerzu.

9. Otwieram okno i jednak wymiotuję, najciszej jak potrafię.
10. Zamykam okno, jeszcze raz sprawdzam, czy drzwi są zamknięte, podkręcam zagłuszacz.
11. Siadam, otoczony narzędziami.
12. Ignoruję drobny krwotok z nosa, mając nadzieję, że to w wyniku skoku ciśnienia, a nie domózgowej infekcji przedziwnu.
13. Pośpiesznie golę włosy na udzie i smaruję skórę spirytusem (staram się nie dostrzegać nieregularnego pulsowania pod nią).
14. Na wszelki wypadek zapycham sobie usta kawałkiem ręcznika. Gwałtownie i płytko oddycham przez nos, pryskając wokół czerwoną lepką mgiełką.
15. Łapię przez skórę coraz bardziej aktywnego zaroda. Bydlak jest ruchliwy jak chrząszcz.
16. Przecinam skórę i wydłubuję pęsetą wijące się przedziwnu, uważając, by nie grzebać zbyt głęboko w mięśniu.
17. Ignoruję popiskiwanie zaroda, zawroty głowy i palący ból, dochodzący bardziej gdzieś z potylicy niż z nogi.
18. Wrzucam zaroda do pojemnika na herbatę, zamykam wieczko.
19. Dezynfekuję ranę spirytusem, wrzeszcząc w bawełnę zapychającą usta (do głowy przychodzi absurdalne wspomnienie "Rambo III").
20. Drżącymi palcami staram się zaszyć skórę na dygoczącym udzie. Szew nie jest najrówniejszy (zszywanie dla wprawy fragmentów słoniny szło mi lepiej), ale krew przestaje lecieć. Zakładam opatrunek.
21. Otwieram pojemnik i pęsetą przekładam zaroda do żaroodpornego naczynia.
22. Opalam go płomieniem z zapalniczki i dezodorantu. Wsłuchuję się w zagłuszacz, ignorując wrzaski skwierczącego przedziwnu.
23. Gdy przestaje się ruszać, polewam go olejem i wrzucam na elektryczny grill.

24. Po chwili przekładam go na talerz, solę i utylizuję najbezpieczniejszym ze sposobów: zjadam z tyrolską.

25. Kiedy żołądek uspokaja się choć trochę, wietrzę pokój, łykam środek nasenny i kolejny przeciwbólowy. Popijam wodą mineralną.

26. Kładę się do łóżka.

Chyba gorączkuję, pocę się i pojękuję bezładnie. Sen przynosi męczący koszmar: podwójny pogrzeb – taty i Mariuszka – podczas którego na cmentarzu mama rzuca się z paznokciami do twarzy księdza.

Obudziłem się wtedy o świcie. Noga była spuchnięta, z rany sączył się bladożółty płyn. Podniosłem się powoli, wyczuwając, że wciąż mam temperaturę. Łatwo nie było: każdy ruch poniżej pasa sprowadzał niewidzialnego sadystę, który walił mnie po kościach tuzinem tępych młotków – wszystkimi naraz, od kolana aż po żebra. Pestka, wzięwszy pod uwagę doświadczenia z powypadkowej rehabilitacji.

Żyłem. I aż za dobrze wiedziałem, kim jestem. Operacja się udała.



Wtedy, nocą po randce, śniła mi się. Podeszła blisko i uśmiechała się do mnie ustami i oczami. Powoli zaczynałem rozpoznawać wzory, jakie na jej policzkach malowały piegi. Smakowałem jej widok i imię. Dagmara. Pasowało do niej, jak włosy o nieuchwytnym kolorze.

Dagmara.

Pierwsza myśl po przebudzeniu była jak zanurzenie w basenie z ciepłym i jednocześnie orzeźwiającym kisiem: zobaczę ją dzisiaj.

Druga myśl po przebudzeniu była jak wrzucona do basenu włączona suszarka.

Powinienem już nie żyć.

Kurwa mać!

Usnąłem przy niewłaściwie ustawionym zagłuszaniu. Zapomniałem o wyłączeniu komórki i odłożeniu jej na półkę, z dala od głowy. Nie wyłączyłem komputera, narażając się na przeciek z sieci. I najważniejsze: spałem przykryty kołdrą, zamiast na niej, w poszwie. Nie miałem prawa przeżyć tej nocy. Przy obecnym stanie pogranicza brak któregośkolwiek zabezpieczenia czynił mnie doskonale widocznym i bezbronnym. Byłem jak królik upačkany fosforyzującą farbą, uciekający przed myśliwymi przy pełni księżyca. Zerknąłem na wciąż niewygojoną ranę na udzie. Jak królik z odgryzioną łapą. I to w obliczu nadchodzącej ofensywy!

Zerwałem się z łóżka, zrzuciłem piżamę i szybko obejrzałem całe ciało. Chyba było w porządku. Nawet rana wyglądała jakby lepiej. Miałem mętlik w głowie, ale to chyba wtedy, tamtego poranka, zacząłem się domyślać. Chociaż nie, nie domyślać. Zacząłem się w ogóle zastanawiać.

Odprawiając poranne rytuały (wciąż nie dostałem przekonwertowanej wiadomości od brata), zza drzwi słyszałem strzępy rozmowy rodziców. Uśmiechnąłem się do siebie, ostatnio brakowało takich chwil. Coraz rzadziej czułem, że jesteśmy rodziną.

Byli w dużym pokoju. Matka prasowała, ojciec, w cywilnym ubraniu, rozwalony w fotelu, oglądał telewizję. Przywitaliśmy się ze sobą, usiadłem na kanapie. I natychmiast dostałem po głowie ciszą. Zapadło milczenie, gęste i ciężkie, wypełnione kłamstwami, artykułowanymi przez spikerkę serwisu informacyjnego. Rodzina. Zachciało mi się płakać. Może chodziło o mnie? Co zrobiłem nie tak?

– O czym gadaliście? – zacząłem najbardziej niezobowiązującym tonem, na jaki było mnie stać. Wyszło, jakbym pytał samobójcę, ile połknął tabletek, bo nie wiem, czy

zdążymy sobie jeszcze pogawędzić.

Matka spojrzała na mnie, jakbym rzeczywiście spytał o tabletki. Dopiero po chwili drgnęła, zrozumiała.

– O niczym ważnym – odparła, wracając do prasowania.

– Pewnie, że o niczym – mruknął ojciec.

– Dzwoniła Boczkowska. Pytała, czy pojedę z nimi wieczorem na zakupy – dokończyła matka. – Nie przejechałbyś się ze mną?

Pytała mnie. Ojciec spojrzał takim wzrokiem... Nie spodobał mi się. Była w nim konspiracja, rezygnacja i coś jeszcze, sugerującego, że obaj gramy w jednej drużynie. Niekoniecznie z dużą kobietą, nachyloną nad deską do prasowania. Prychnięcie żelazka przywołało nieprzyjemną myśl: czy kiedykolwiek widziałem matkę w innej sytuacji niż krzątającą się po domu albo wracającą z zakupami? Była zaprogramowana na aktywność związaną z tymi siedemdziesięcioma metrami kwadratowymi, które mimo jej determinacji nieubłaganie ciążyły ku entropii. To chyba nie było w porządku.

Ojciec westchnął i wyciągnął się w fotelu, stalowe mięśnie zagrały pod obcisłym tiszertem. Wrócił drażniący obraz z siłowni, gdzie, rozjebany do karykaturalnych rozmiarów, wyciskał nieprawdopodobne rozmiary.

Żelazko prychnęło raz jeszcze.

Tak, to nie było w porządku.

– Nie bardzo mogę – odpowiedziałem wreszcie. Matka spojrzała na mnie pytająco. – Mam trochę obowiązków.

– Obowiązków – powtórzyła.

– No.

Nie zadała kolejnego pytania. Nie musiała.

– Przecież wiesz – powiedział do niej ojciec. Jego niski głos delikatnie wibrował, widziałem, że stara się mówić spokojnie i cierpliwie. – Idzie ofensywa. Przygotowujemy się. Trzeba działać.

Nie odpowiedziała, nie podniosła wzroku. Wtedy znikąd

pojawił się gniew. Przysiadł tuż obok i szeptał mi do ucha.

Szantażuje cię, szantażuje was obu. To emocjonalna manipulacja.

Kwaśny oddech gniewu nakręcał mnie.

– To tylko zakupy. Pojedziemy kiedy indziej – mówiłem coraz głośniej.

– Powinnaś się cieszyć z werbunku Łukasza – kontynuował ojciec. – Być dumna z syna.

Za oknem przeleciał jeden z miejskich ścigaczy. Usłyszeliśmy odległe ostrzegawcze syreny. Kolejny przeciek.

– Ja... – zaczęła matka. Wreszcie podniosła na mnie wzrok. Bardzo długo namyślała się, czy to powiedzieć. W końcu przegrała i wygrała jednocześnie. – Martwię się o ciebie, synku. – Jej spuchnięte oczy, utkwione we mnie, mówiły to samo.

– Da sobie radę – powiedział ojciec.

– No – przytaknałem. – Dam sobie radę.

Spróbowałem się uśmiechnąć. Chyba nie wyszło mi to zbyt szczerze.

– Może... – zaczęła niepewnie i urwała w pół zdania. Po kilku sekundach milczenia miałem ochotę doskoczyć do niej i wyszarpać jej z gardła, o co chodzi. – Sama nie wiem. Może powinieneś znów zacząć brać leki.

Wściekłość, gorąca i gęsta, powoli rozlewała się w moich żyłach. A więc to tak.

Zażywałem je kiedyś, lata temu, na samym początku konfliktu, podczas rehabilitacji. Wzmacniały ochronę przed przedziwnu, ale robiły ze mnie kalafiora. Na szczęście – za namową ojca – zdążyłem je odstawić, zanim było za późno. Matka miała swoje obawy, ale ostatecznie była chyba zadowolona. Bo oboje mieli prawdziwego mnie z powrotem (zresztą wkrótce zostałem zwerbowany). A teraz, wobec nadchodzącej ofensywy wroga, ona chciała, bym znów zaczął uciekać. A więc to tak.

Wściekłość jak wrzący olej przelewała się we mnie.

– Nie powinienem brać tych leków.

– Ale...

– NIE powinienem.

Chyba wyszło zbyt głośno.

Długie chwile ciszy. Idiotyzmy w telewizji. Prychnięcie żelazka.

– Jestem zmęczona.

Ledwie ją usłyszałem. Poczułem to zdanie gdzieś głęboko w piersi.

– Wiem. Wiem, mamo.

Spojrzałem na ojca. Udawał, że nie słyszy. Tkwiłem między młotem a kowadłem. Tkwiłem tak latami, między bardzo twardym młotem i bardzo miękkim kowadłem. Na tym polegała ich siła. Moja bezsilność tylko potęgowała frustrację.

– Kurwa! – rzuciłem przed siebie, na odlew, między nich. Jakby to miało w czymś pomóc.

Spojrzeni na mnie zaskoczeni.

– Łukasz! – ofuknęła mnie matka.

Ojciec tylko wzruszył ramionami. Poczułem się jeszcze bardziej zagubiony. Jego obojętność wywoływała niepokój. W dodatku nie rozumiałem dlaczego.

Komórka zapiszczała w kieszeni. Przeczytałem SMS-a. Kolejny newsletter dla prostowników z regionu: centrala informowała o przegrupowaniach oddziałów wroga.

– Ta komórka, ciągle tylko ta komórka – wysyczała matka, a mnie zamurowało.

Spojrzałem na nią zaskoczony. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Co ty w niej czytasz, co? – ciągnęła. – Co w niej takiego jest?

– Maryla – uspokajająco zaczął ojciec. Chyba bez przekonania.

– Kogo w niej szukasz? – Nie dała sobie przerwać. Nakręcała się, przyspieszała. – No, kogo? Powiedz mi. Kogo? Kogo, Łukasz? Kogo, kurwa, kogo?

Wiedziałem, co chce usłyszeć. Chciała usłyszeć prawdę. Dlatego skłamałem.

– To Dagmara. Córka nowych sąsiadów. Tych nad nami.

Tego się nie spodziewała. Zamilkła zaskoczona. A ja zacząłem – w oględny, bezpieczny sposób – opowiadać jej wczorajszy dzień. I robiłem to chętnie. Bo po pierwsze, dzięki temu uniknąłem raniącej nas awantury. A po drugie, wczoraj, gdy tylko wyszedłem od Dagmary, zapragnąłem opowiedzieć o niej całemu światu. Czyli tym dwojgu.

Mówiłem, a matka słuchała, dopytując o szczegóły i starając się ukryć uśmiech, przyjemną mieszaninę zaskoczenia, dumy i radości. Niby przypadkiem zerkałem na ojca. Milczał i kiwał głową, zachowując się tak, jakby chciał, bym myślał, że tylko udaje zainteresowanie. Nie zauważyłem, kiedy sam zacząłem się do nich szczerzyć. Gdy tylko to sobie uświadomiłem, ojciec odebrał telefon i wszystko zepsuł. Nie ruszając się z fotela, długo i wylewnie umawiał się na popołudniowe spotkanie ze srogini Michalską. Matka, co gorsza, udawała, że nie słyszy.

Skończyłem opowiadać wcześniej, niż zamierzałem. Ojciec rozłączył się. Nie było już rozmowy. Tkwiliśmy na swoich miejscach jak figury na szachownicy. Albo jak żołnierze w okopach.

Zanim wyszedłem, matka spróbowała jeszcze raz. Powoli i cicho.

– Moglibyśmy dzisiaj po zakupach podjechać na cmentarz.

– Mamo. Po co?

Zamknęła oczy, nie odpowiedziała. Uciekłem do siebie.



Jeszcze przed południem zadzwonił ojciec. Telefon odebrałem przed monitorem, nawet nie usłyszałem, kiedy wyszedł. Może wciąż jest w mieszkaniu i dzwoni, bo nie chce mnie oglądać. Gównno.

Ta komórka, ciągle tylko ta komórka.

– No, cześć – przywitałem się.

– Co tam?

Na pewno chciał pogadać o Dagmarze. Wolał nie robić tego przy matce, w ramach męskiej solidarności. Rozmawiając tylko ze mną, mógł mnie wypytać o... różne detale.

– Przygotuj się.

– ...

– To już niedługo.

Zaciąłem się w pół myśli i oddechu. Bardzo nie chciałem tego powiedzieć.

– Idzie ofensywa?

– Tak.

A więc to już. Krzesło, na którym siedziałem, zrobiło się gumowe.

– W niektórych miejscach pogranicze jest sztywne od rozkrzepu – kontynuował ojciec. – Rejestrujemy coraz więcej błędów po ciemnej stronie sieci, wykrywacze przedziwnu zaczynają wariować. No i szukamy kretów.

– Kretów?

Westchnął.

– Niektórzy ludzie są zainfekowani. – W jego głosie wyczułem irytację. – Świadomie bądź nie wywołują dodatkowe zaburzenia, krzywiące nasze ośrodki w regionie.

– W czym... Jak... Co mam robić?

– Na razie czekaj na instrukcje ode mnie. I wiadomość od Mariuszka, w obecnej sytuacji staje się bezcenna. I bądź uważny.

– Jasne.

– Nikomu ani słowa. Lepiej unikać niepotrzebnego zaburzania memosfery.

– Pewnie. Jasne.

– I wypatruj szpiegów.

- Dobra.
- Dostaniesz ode mnie instrukcje.
- Dobra.
- Czekał na telefon. Albo mail.
- Dobra.
- Łukasz.
- Tak.
- Na wojnie nie ma kompromisów.
- Wiem.
- To jest proste. Albo my, albo to kurewstwo.
- No.
- Pa.

I już. Tyle.

Ja ciebie też, tato.

Zanim się rozłączył, usłyszałem w tle kobiecy głos. I to nie był głos matki.

A może się przesłyszałem.

Byłem cały mokry. Dosłownie. Wziąłem głęboki oddech i rozkaszałem się jak przepalony astmatyk. Mógłbym iść sprawdzić, czy był jeszcze w domu. Mógłbym. Ale nie ruszyłem się sprzed monitora.

Na wojnie nie ma kompromisów.

Było piękne lipcowe przedpołudnie. Słoneczne promienie, cedzone przez starą firankę, głąskały mnie po karku. Zza okna dobiegał z piaskownicy beztroski dziecięcy rechot.

wojnie



Siedziałem na ławce, czekając na Dagmarę. Czekając na koniec świata.

Najbardziej obawiałem się tego, że wcale nie jestem przerażony. Tyle lat czekaliśmy na ten moment. Odwlekaliśmy go, ile tylko się dało. Wszystko miało wydarzyć się dzisiaj, może jutro. Ofensywa przedziwnu. Jak to będzie? Niebo pęknie jak przy przenoszeniu jednostek do otchłani? Błękit nad naszymi głowami rozerwie się na pół, tamy puszczą i wykrzywica potopi nas, wrzeszczących o litość, walczących o każdy haust powietrza i jedną niepokrzywioną myśl? Czy podejmiemy walkę? Stawimy opór całym naszym ciężkim metalem i siłą woli? Czy stanimy każdy z nas osobno, w swojej prywatnej wojnie, a mimo to razem, ramię w ramię, umysł w umysł?

Chyba najbardziej bałem się tego, że wszystko przegapimy. Że przegramy niepostrzeżenie, nieświadomi porażki. Ból żołądka wywoływała sama myśl, że już jest po wszystkim. Że zostaliśmy spacyfikowani, nawet o tym nie wiedząc.

Gorące letnie południe. Orzeźwiający wiatr pomagał wytrzymać upał, ludzie wylegli na ławki, trawę, chodniki. W sieci nie znalazłem żadnej wzmianki o nadchodzących wydarzeniach, żadnych wskazówek ani znaków. Wciąż tłoczyliśmy iluzję w media jasnej strony, zapychaliśmy wszystkie dziury memosfery kłamliwą informacyjną siecią. I nic po ciemnej stronie. Co nie dziwiło wobec rejestrowanych błędów w systemie, o których wspominał ojciec. Czyżby atak rozpoczął się w trybie semantycznym?

Niepewność napędzała strach. Gdzie kończą się ludzkie wątpliwości, a zaczyna działanie wykrzywicy? Jakby było mnie dwóch. Jeden w stanie wojny. Drugi...

Gdy byłem z Dagmarą, wojna była daleko. Niczym męczący koszmar, wypocony w pomiętą pościel. Albo horror obejrzany w dzieciństwie, wracający w coraz bardziej matowych reminiscencjach.

Dagmara. Dziś rano uświadomiłem sobie, że ta dziewczyna w jakiś niesamowity sposób potrafi zmieniać rzeczywistość. Przez ostatnie lata co godzina dostawałem dwa-trzy SMS-owe raporty z informacjami o stanie pogranicza i ruchach wroga w otchłani. Wczoraj ostatnią wiadomość dostałem dwadzieścia minut przed

spotkaniem z Dagmarą. Kolejną dopiero dzisiaj, po przebudzeniu. I jakby tego było mało, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów wyszedłem z domu bez zagłuszacza w uszach albo przynajmniej w kieszeni. Wcale mi to nie przeszkadzało. A powinienem był siedzieć w swoim pokoju, odciąć się od wszystkiego wokół, czekać na dyspozycje, medytacją zbroić się przed semantycznymi potyczkami. Ta ławka była rodzajem szaleństwa, które nie powinno mieć miejsca. Ale miało, w dodatku wywoływało we mnie rodzaj nerwowej ekscytacji. I czegoś, czego nie czułem chyba od czasów werbunku. Dumi z siebie. Tylko z siebie.

Wyłoniła się zza rogu wieżowca. Do ławki, na której czekałem, miała jakieś trzydzieści metrów. Zanim podeszła, zdążyłem dziesięć razy spojrzeć na nią i odwrócić wzrok. Ubrana w obcisłą czarną koszulkę, białe płócienne spodnie i japonki. Wielkie ciemne okulary, zasłaniające pół twarzy, podniosły się, gdy uśmiechnęła się na powitanie. Ekologiczny napis na torbie wiszącej na jej chudym ramieniu – w obliczu tego, czego dowiedziałem się od ojca – wydał mi się dziwnie nie na miejscu. Zapomniałem o tym, gdy podeszła bliżej.

Stała nade mną. Nogawki jej spodni załopotwały na wietrze, poczułem perfumy. Nie znam się na kobiecych zapachach, nie umiem ich opisywać, ale ten został moim ulubionym.

Gdy wstałem, usiadła. Wyszczrzyła zęby, a ja klapnąłem obok niej z miną pokonanego sportowca, któremu musi wystarczyć satysfakcja z samego udziału w zawodach.

- Cześć – przywitała się.
- Cześć.
- Jak się spało?
- Dobrze. – Dopiero po chwili zorientowałem się, że w jej pytaniu chyba było coś aroganckiego. – A jak miało się spać?
- Wczoraj w nocy było bardzo gorąco.
- Fakt.
- Długo nie mogłam usnąć.

Nie bardzo wiedziałem, czego mogę doszukiwać się w tym, co mówiła.

– Przez upał.

– No.

Zdjęła okulary i założyła je nad czoło jak opaskę, a ja przekonałem się, że dobrze zapamiętałem. Na lewym policzku miała wyraźnie więcej piegów.

– Dzięki za muzę – powiedziałem. – Świetne rzeczy.

Wszystko z tego, co mi dała, i tak miałem na twardym dysku. Większości nie lubiłem. No, ale.

Gadaliśmy o tym prawie godzinę. Popisywaliśmy się przed sobą, wymieniając kolejne tytuły, nazwiska, daty, przerzucaliśmy się opiniami, wchodziliśmy sobie w słowo. Byliśmy podejrzanie zgodni i zbyt głośno śmialiśmy się ze swoich żartów. Było dobrze. Żadnych SMS-ów z frontowymi raportami, żadnych myśli o nadchodzących starciach, żadnych popiskiwań przedziwnu. Nawet po niebie płynęły jedynie nieliczne chmury. Żadnego ciężkiego metalu.

Mówiłem do niej, słuchałem i ukradkiem się jej uczyłem. Linii szyi. Wielokrotnie przebitych, choć pozbawionych kolczyków uszu. Piegowatej skóry opinającej obojczyki. Palców u nóg, pokrytych zabawnym jasnym meszkiem. Dagmara.

Wreszcie spytała, czy po wczorajszym spotkaniu chciałbym ją o coś spytać. Najpierw przyszło mi do głowy, że wciąż nie wiem, czemu myślała, że przebiłem sobie nos brązową kredką. Zrozumiałem dopiero po chwili. Zachęciłem ją do zadawania pytań. To było ciekawe i stresujące zarazem.

– Masz rodzeństwo? Wczoraj wspominałeś o bracie.

No tak. Chyba sam podświadomie do tego dążyłem. Spojrzeliśmy sobie w oczy i zorientowałem się, że ona wie. Patrzyła na mnie, ostrożna, uważna, cierpliwa. Czekwała. Nikt nigdy bardziej niż Dagmara wtedy nie zasługiwał na to, by go wpuścić.

– Ma na imię Mariusz – powiedziałem wreszcie.

Drgnęła, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Jednak milczała. Odłamała drzazgę ze zniszczonej ławkowej deski.

– Wyguglałam cię dzisiaj rano. Przeczytałam o waszym wypadku.

Panika nadeszła nagle i niespodziewanie jak lodowata dłoń łapiąca mnie za kostkę podczas kąpieli, a z nią dźwięk przychodzącego SMS-a. Dagmara go zignorowała, patrzyła na mnie w milczeniu.

Miałem ochotę uciec i jednocześnie bardzo chciałem zostać. Telefon w kieszeni czekał.

– Przeczytałaś w sieci?

– Tak. Tata ma wykupiony dostęp do archiwum "Gazety". Twoje imię i nazwisko pojawiło się w komentarzach pod artykułem.

Zakręciło mi się w głowie.

– Po jasnej stronie!?

Jakby nie zrozumiała.

– Przepraszam – powiedziała.

Chyba ją wystraszyłem. Wzięłem głęboki oddech. Jak przed zanurzeniem w wannie, by stawić czoło istocie trzymającej mnie za nogę.

– Nie, nie ma sprawy. – Spróbowałem się uśmiechnąć. *Mission failed.* – Wiesz, to wszystko jest...

Jak wytłumaczyć całe życie? Niemal dekadę wojny?

– Wiem. – Uśmiechnęła się jakoś tak bardzo, bardzo smutno. Coś w jej spojrzeniu przypominało mi matkę. – To znaczy nie, nie rozumiem, ale okej. – Położyła dłoń na mojej. Była zaskakująco zimna, jednocześnie przyjemna i nie. – Łukasz, muszę iść.

– Jasne.

Wstaliśmy, uciekłem z dłońmi do kieszeni. Pomyślałem, że pocałuje mnie, zanim odejdzie. Przynajmniej w policzek, niezobowiązująco. Poczuję na twarzy jej włosy. Zostawi na mnie swój zapach.

Zawahała się, zastanowiła.

– Jednak nie jedziemy dziś na zakupy – powiedziała.

– Aha.

Znów na mnie zaczęła. Gdzieś między piegami przemknął cień uśmiechu.

– No to może wpadniesz wieczorem – zaproponowałem wreszcie. – Tym razem ty.

– Na pewno?

– Jasne.

Wiedziałem już, że nie należy do osób, które muszą usłyszeć coś kilka razy.

– Koło dwudziestej?

– *Deal.*

– Na razie, Łukasz.

Dopiero teraz zorientowałem się, jak mocno ścisnęła pasek od torby, drobna pięść aż drżała. Zrozumiałem, że nie przyjdzie. To przeze mnie? Może wiedziała o ofensywie.

– Na razie.

Szybko weszła do klatki, zostawiając mnie przy ławce. Komórka w kieszeni zapiszczała, przypominając o nieodebranej wiadomości.



Ofensywa przedziwnu rozpoczęła się o osiemnastej, niemalże ścierając mnie na proch. A wcześniej było niewiele lepiej.

Nie pamiętam zbyt dokładnie, jak minęły ostatnie godziny przed atakiem. Kolejne czynności wymieszały się w głowie, miksując w jedną: zmiany płyt z zagłuszaczem, ćwiczenia fizyczne, medytacje i co jakiś czas marsz po pokoju – dwa kroki po dywanie, jeden po parkiecie, dwa po łóżku, znów na dywan, łóżko, parkiet, zmiana kierunku i od nowa, od nowa, od nowa.

Bałem się, że gdy przystanę na dłużej, mogę się już nie poruszyć. Paranoja podgryzała mnie kęs za kęsem: mosiężny Budda na szafce i wiszący w antyramach natapirowani thorgale, uzbrojeni w gitary i mikrofony – wszyscy wodzili za mną nieczynnym wzrokiem. Ignorowałem zagładającą do pokoju matkę. Jakby dzieliła nas pancerna szyba. Przyszło mi do głowy, że w tej kwestii od dekady chyba nic się nie zmieniło.

SMS-y z centrali przychodziły coraz częściej (kolejne raporty o zmianach pozycji naszych oddziałów w obrębie pogranicza). Ojciec nie dzwonił. Co chwila odświeżałem skrzynkę pocztową, czekając na przekonwertowaną wiadomość od brata. Opanowawszy panikę, poszukałem po jasnej stronie sieci wiadomości o naszym wypadku. Nic nie znalazłem. A to znaczyło, że:

a) informacja została usunięta z archiwum portalu, na którym znalazła je Dagmara;

b) dziewczyna kłamała, o sprawie dowiedziawszy się z innego źródła.

Pierwsza z opcji była możliwa (ojciec ostrzegał przed zaburzeniami sieci), ale mało prawdopodobna – dlaczego taki kontent pojawiłby się po jasnej stronie akurat wtedy, gdy zainteresowała się mną Dagmara? Kto go przygotował i czemu szybko usunął? Czy przedziwnu poradziłoby sobie samo?

No i szukamy kretów.

No właśnie, opcja numer dwa. W jaki sposób dowiedziała się o wszystkim? I po co pokazała mi, że wie? Chciała zaburzyć memosferę? Osłabić prostownika? Zmusić mnie do działania w sieci, dodatkowo wykrzywiającego jej zawartość? Chodziłem po pokoju, przedzierałem się przez duszne, cierpkie od potu powietrze, jednocześnie próbując przedrzeć się przez chwasty kolejnych wątpliwości. Rana na nodze pękła, uwalniając lepki płyn, a od ochronnego żucia skórek po pasztetowej coraz bardziej bolały mnie szczęki.

I wreszcie przyszła osiemnasta, a z nią przedziwnu. Złapało mnie za umysł, ścisnęło go mocno i rozkwasilo jak arbuza.

Zwaliłem się na podłogę, a na mnie zwały się powykrzywiane wspomnienia, zasypując głowę złymi emocjami. Dygotałem na dywanie, dygocząc jednocześnie w stalowej pułapce pełnej krwi, metalu i naszego wrzasku, gdy połamane ręce uniemożliwiały nam obronę przed wysypującym się na nas czarnym przedziwnu. Przypięty do aluminiowych narzędzi tortur wytartymi skórzanymi paskami, w jednej chwili robiłem setki tysięcy powtórzeń podczas ćwiczeń rehabilitacyjnych, drżąc od ukłuc ostrego bólu przy każdym ruchu. I te obrazy, jak w filmie puszczone w przyspieszonym tempie, wywołujące łyżę lęku, wstyd i dezorientację: dwie wielkie trumny, obsypane smutnymi wieńcami; matka niemal wisząca na księdzu, wczepiona paznokciami w jego twarz; samotne noce w szpitalnej sali, wypełnione wsłuchiwaniami się w odległe opętane wrzaski i szum silników maszyn przelatujących za zakratowanym oknem. Leżałem i kulilem się pod kolejnymi ciosami, dryfując ku ciemności wypełnionej tym, co złe.

I wtedy usłyszałem dźwięk przychodzącej wiadomości. Okazało się, że najtrudniej jest otworzyć oczy. Cierpienie zakleja powieki niczym mocny klej.

Ale tam czekała wiadomość od Mariuszka. Od brata.

No, dalej. Przypomnieć sobie mięśnie, odzyskać twarz. Nadludzkim wysiłkiem: jedna powieka, druga. Leżałem na dywanie, koło łóżka, znów u siebie. Żywy. Roześmiałem się i niemal zwymiotowałem, zachłystując się krwią. Rana na przygryzionym języku piekła.

Dowlokłem się do komputera. Plik graficzny, przesłany z warszawskiego konwertera. Serce wrzuciło piąty bieg, słyszałem własne tętno, dochodzące gdzieś zza mnie – jednostajny szum, głośniejszy od riffów zagłuszacza. Pobierz plik. Zapisz. Otwórz.

Grafika wyglądająca jak ilustracja gry komputerowej: zakrwawieni mężczyzna i kobieta, walczący ze sobą w ruinach miasta. Nagi od pasa w górę żołnierz, siwy wytatuowany mięśniak, czekał z nożem na napastniczkę – młodą dziewczynę, która podskoczyła ku niemu, próbując ściąć mu głowę trzymaną oburącz kataną. W tle, pośród ruin, ku brunatnemu niebu

wyrastała asymetryczna wieża, ta sama, która od jakiegoś czasu szpeciła lubelski zamek.

Aż jęknąłem z zaskoczenia i strachu. Znałem te tatuaże, znałem te piegi na twarzy dziewczyny. Monitor i ściana za nim zafalowały. Złapałem się na tym, że odruchowo drapię tępym końcem ołówka po ranie na języku. Zacisnąłem zęby, otarłem łzy. Mariuszkule, o co tu chodzi?

Wtedy do pokoju zajrzała matka, pytając o zakupy. Od razu zorientowała się, że coś jest nie tak. Policzyłem do pięciu i najspokojniej, jak potrafiłem, kazałem jej wypierdalać. Coś w moim głosie, może spojrzeniu, sprawiło, że posłuchała. Drzwi wejściowe trzasnęły, miałem ją z głowy. Zamknąłem podgląd grafiki, usunąłem ją z dysku.

Po jakimś czasie podniosłem się z fotela. Spojrzałem za okno na wieżę, wolno kołyszącą się nad starym miastem jakby w takt melodii, wygrywanej przez wyjące w całym mieście ostrzegawcze syreny. Ludzi pod blokiem było mniej, ci, co zostali, udawali, że nic się nie dzieje. Przyglądałem się im, pierwszym ofiarom, próbując opanować mdłości. W ustach czułem tłusty smak zaroda, którego zjadłem miesiąc temu. Nie mogłem dopatrzeć się na niebie naszego sprzętu. Ani dodzwonić do ojca. Próbowałem co parę minut, lecz ciągle słyszałem komunikat o nieistniejącym numerze. To niepokoiło jeszcze bardziej, miałem mu tyle do powiedzenia.

Nagle usłyszałem dzwonek do drzwi. Fala ulgi, jak wylany na głowę kubał wody. Przyszedł po mnie!

Otworzyłem drzwi i zamarłem.

– Cześć – przywitała się Dagmara.

Pierwszy raz widziałem ją w spiętych włosach. Uśmiechała się jakby mniej pewnie niż przy poprzednich powitaniach.

Popatrzyłem na nią w milczeniu.

– Myślałeś, że nie przyjdę.

To nie było pytanie. Jej twarz zmieniła się, niepewność i obawa zmyły uśmiech bez śladu. Czy mam krew na twarzy?

Odpędziłem tę myśl. To już nie miało znaczenia.

– Nie – wychrypiałem i odchrząknąłem. – To znaczy... – Nie wiedziałem, co powiedzieć. – Wejdz. Proszę.

Chyba chciałem, żeby to zabrzmiało jak prośba o pomoc.

Widziałem, jak się waha, błyskawicznie analizuje obie możliwości. Do dziś zastanawiam się, co by było, gdyby wtedy podjęła właściwą decyzję. Ale Dagmara była na to zbyt młoda, zbyt głupia i zbyt dobra.

Pożałowała, gdy tylko weszła do mojego pokoju. Dopiero teraz poczułem, jak tu śmierdzi. Szaleństwem. Wojną. Zostałem w progu. Obserwowałem lęk, który przeglądał się w jej spojrzeniu. Mój i jej własny.

Witaj na froncie, dzieciно.

– Łukasz...

– Mam...

Nasze głosy zabrzmiały jednocześnie. Chwila ciszy, wypełniona zawodzeniem syren. Odruchowo zrobiła krok wstecz. Była boso. Gdy wdepnęła w wyplutą przeze mnie krew, jej twarz wykrzywił grymas i uczynił brzydką. Jakaś część mnie nie mogła na to patrzeć. Ta mniejsza część. Większa chyba dążyła do tego od samego początku.

– Wiesz co, ja jednak...

– Dagmara, mam prośbę. – Znów zaczęliśmy mówić w tym samym momencie. Tym razem postanowiłem dokończyć. – Możesz znaleźć w necie tę wiadomość, o której mi mówiłaś?

Zawahała się, po czym pokiwała głową. W tym geście nie było już nawet cienia sympatii, decyzję podjęła w wyniku chłodnej kalkulacji. Kontrolowała głowę, ale nie ciało: cały czas nerwowo wycierała stopę w czystą część dywanu, widziałem, jak ścisną telefon w kieszeni dżinsów. Znamienne, przyszła bez zegarka, bez blokera przedziwnu. Wreszcie powoli pochyliła się nad klawiaturą na biurku, starając się mieć mnie bardziej obok niż za sobą.

Gdy otworzyła przeglądarkę, zadzwoniła moja komórka.

Numer zastrzeżony. No, wreszcie.

– Halo.

Dagmara dopiero teraz odwróciła się, zdziwiona. Gdy kiwnąłem głową w stronę monitora, wróciła do pracy. Chyba sam byłem zaskoczony moją nagłą charyzmą.

– Żołnierzu! – wykrzyczała powitanie srogini Michalska, a pode mną ugięły się nogi. – Słuchaj!!! – wrzeszczała, starając się przebić przez hałas.

Dostałem falą gorąca, jak kulą do wyburzania budynków.

– Jesteśmy tu w głębokiej dupie! Tego skurwysyństwa jest więcej, niż się obawialiśmy, przy wylewie może dojść do przenicowania całych kwadratów. Kasują nam zawartość ciemnej strony sieci, backupy nie pomagają. – Eksplozje z tła były coraz głośniejsze. – Muszę się streszczać! – podjęła srogini. Wyobraziłem ją sobie, jak wrzeszczy do hełmofonu, próbując ogarnąć jedynym okiem całe pole bitwy. – Twój ojciec nie żyje. Został zabity przez... – Jęknęła, jakby oberwała. Ale próbowała dokończyć. – Andrzej przed śmiercią kontaktował...

Cisza w komórce trzasnęła mnie w ucho niemal fizycznie.

Twój ojciec

Połączenie przerwane.

nie żyje.

Kawałki układanki powskakiwały na swoje miejsca.

– Już – powiedziała Dagmara, odwróciwszy się w moją stronę.

Zacisnąłem pięść na telefonie i z całej siły uderzyłem ją w skroń. Usłyszałem głośnie chrupnięcie, jakbym rozłupał orzech laskowy. Poczułem je pod dłonią.

Dagmara runęła na szafkę obok biurka, uderzyła czołem o jej kant i upadła na podłogę, twarzą w dywan. Chude kończyny rozrzucone chaotycznie wokół nieruchomego korpusu. Gdzieś zgubiła frotkę, jej włosy rozsypały się w nieładzie jak asymetryczna rozgwiazda w nieokreślonym kolorze. Po kilku chwilach spod rozgwiazdy zaczęła wyciekać krew.

Połączenie przerwane.

Pot wyżerał mi oczy, pulsujący ból szedł z dłoni aż do barku. Miałem jednak wrażenie, że serce zwalnia. Tylko te syreny wciąż wyły głośniej i głośniej.

Nachyliłem się nad monitorem. Tekst prasowy z lokalnego wydania dziennika, zilustrowany zdjęciem wypadku drogowego: stalowa masakra po czołowym zderzeniu dwupiętrowego autokaru i samochodu osobowego.

Witaj na froncie, dziecko.

Doskonale znałem samochód, który na zdjęciu został zredukowany do kilku kłębów połamanej blachy, wrzynającej się w pierwsze metry autokaru. To opel vectra rocznik '92, czerwona vectra na lubelskich blachach, w której zaciniała się lewa tylna szyba i niewygodnie wskakiwała piątka. Miała za to odtwarzacz CD i wypasione nagłośnienie.

Przedziwnu było coraz bliżej. Miałem wrażenie, że wieżowiec obudził się do życia, betonowy wąż otrząsnął się i pełźnie przed siebie, wywołując falowanie podłogi i ścian. Musiałem złapać się krawędzi biurka.

Zacząłem czytać.

Gazeta w Lublinie, 8.06.1996

Kolejna tragedia na trasie Lublin-Kurów

Sześć osób nie żyje, trzynaścioro rannych trafiło do szpitala – to

tragiczny bilans wypadku, do którego doszło w piątek wieczorem na

trasie DK12 w Garbowie. Ofiarami są zakonnice, zawodowy żołnierz

i jego syn.

Autokar pełen sióstr baptystrynek (Zgromadzenie Sióstr Świętego Jana Chrzyciciela) wracał do Lublina z pielgrzymki do portugalskiej Fatimy. Około godziny dwudziestej w miejscowości

Garbów autokar zderzył się z nadjeżdżającym z naprzeciwka osobowym oplem vectrą. Jak udało nam się ustalić, kierowca opla z nieznanых powodów zjechał ze swojego pasa prosto pod poruszający się w przeciwnym kierunku autokar. Samochód wbił się w piętrowego mercedesa, którym podróżowały baptystynki, i został doszczętnie zmiądzony.

Na miejscu śmierć poniosło pięć osób: trzy zakonnice, a także żołnierz zawodowy z jednostki na Majdanku, kapitan Andrzej O., i jego osiemnastoletni syn, prawdopodobnie kierowca opla. Szósta ofiara – kolejna zakonnica – zmarła już po przewiezieniu do szpitala. Rannych jest trzynaście osób, w tym kierowca autokaru i drugi z synów Andrzeja O., mający...

– Coś ty zrobił – powiedziała matka, powoli i cicho. Nie słyszałem, kiedy weszła. Stała w przedpokoju, tuż przy otwartych drzwiach do pokoju, i patrzyła na leżącą nieruchomo Dagmarę. – Coś ty, chuju, zrobił – powtórzyła jeszcze ciszej.

Twój ojciec nie żyje.

Wypuściła z rąk torby z zakupami, zaczęła nerwowo grzebać w torebce. Szukała telefonu.

Złapałem za krzesło i cisnąłem nim w matkę. Poleciało bokiem, odbiło się od futryny i spadło na podłogę. Matka krzyknęła i zrobiła krok w tył.

Odwróciłem się w stronę biurka, zawadzając nogą o korpus. Sekunda namysłu. Monitor – porządny, stary i ciężki. Wyrwałem go z kabli i odwróciłem się w stronę przedpokoju. Wciąż stała tam jak zamurowana, bezradnie grzebiąc w torebce. Podszedłem bliżej otwartych drzwi. Wiedziałem, że tym razem nie spudłuję. Oboje to wiedzieliśmy. Wtedy ona zawahała się, spojrzała mi w oczy.

– Łukasz. – Jej głos drżał, jakby marzła. Było w nim coś, co ścisnęło mnie w gardle. – Łukaszku. – Wypuściła z rąk torebkę. Słyszałem, jak jej zawartość rozsypuje się po wykładzinie. Wciąż patrzyłem jej w oczy. Trzymała mnie nimi mocniej niż pięścią. – Synku.

Trzymała tak mocno, jak tylko ona potrafiła. Miałem wrażenie, że wszystkie moje kości zniknęły, że mięknę, rozpuszczam się. Im bardziej chciałem coś powiedzieć, tym bardziej nie mogłem wydusić ani słowa. Jęczałem tylko, jęczałem od hałasu, setki zdań wrzeszczały mi w głowie, próbując wydostać się na zewnątrz jak rój rozjuszonych szerszeni.

Kobieta przede mną i tak nie zrozumiałaby żadnego z nich. Przeniosła wzrok gdzieś za mnie i westchnęła. Zrozumiałem, gdy usłyszałem głos, pojedynczą sylabę.

– Ej – powiedziała spokojnie Dagmara, bez problemu przebijając się przez brzęczenie szerszeni.

Daję słowo, jak bronowicki gliniarz.

Odwróciłem się w ostatniej chwili. I o chwilę za późno.

Stała tuż za mną. Włosy lepiły się jej do twarzy, jak wtedy, gdy rozśmieszyłem ją do łez opowieścią o rozbitym czole. Tyle że tym razem większość piegów przykryła krew, a jej spojrzenie było czystą nienawiścią.

Nawet nie zauważyłem ciosu. Tuż przy mojej twarzy wybuchła bomba atomowa. Betonowy wąż znów wierzgnął, przewrócił mnie. Gdy upadałem na podłogę, gubiąc monitor i połamane zęby, kątem oka zobaczyłem, że Dagmara szykuje się do kolejnego ciosu. Ścisnęła oburącz mosiężnego Buddę z mojej półki.

Ciekawe. Wyglądała zupełnie jak na grafice przesłanej przez Mariuszka.



Dziennik wojenny Łukasza Ozimczuka.

Mój wojenny dziennik. Czy raczej jego początek. Każdy, kto kiedykolwiek próbował pisać, wie, jak trudno jest zacząć. Że zacząć jest najtrudniej. Nieprzespane, spocone i rozdygotane noce, kwas wyżerający wnętrzości, migreny, od których miałem ochotę tłuc głową o kraty oddzielające mnie od zieleni za oknem.

Stany lękowe ciągnęły mnie za nogi w bezpieczną ciemność pod łóżkiem i wyszeptywały tam do ucha niedobre rozwiązania. Dziura ponownie wygrzebana w udzie, dni i noce spędzane na szarpaninie ze skórzanymi pasami, kolorowa dieta, matująca barwy świata, kolejna rehabilitacja. Bo zacząć jest najtrudniej.

Doktor Baraniecki, irytująco cierpliwy grubas o wielkich uszach i jeszcze większych dłoniach (pozdrawiam, doktorze, pozdrawiam), twierdzi, że najważniejsze już za mną. Że wiem, gdzie chcę dojść, ale zanim zrobię pierwszy krok, najpierw muszę się podnieść. Doktor zabrania mi myśleć o tym wysiłku jako pokucie wobec tych, których skrzywdziłem. Twierdzi, że najpierw muszę pozajątwiać sprawy sam ze sobą. Ale ja wiem swoje, doktorze. Nie umiem nie napisać tego patetycznie. To wsteczne odliczanie, w którym każda kolejna sekunda jest dla niej. Mimo że już się nie zobaczymy. Mama twierdzi, że wyprowadziła się z Lublina. Może kłamie, może nie. Może została okłamana.

Dagmara. Uśmiechnięta piegowata dziewczyna, która zaczęła mnie kiedyś na ławce pod blokiem.

Wciąż nie wiem, dlaczego myślała, że to brązową kredką przebiłem sobie nos.

Tylko dzięki niej wojna wciąż trwa.

Łukasz Orbitowski

KANAŁ



Wiosna 1940

Polscy lotnicy bombardujący Berlin wspominali, że z góry miasto przypominało czarny dywan, pokryty pełzającymi płomieniami. Z ruin Kancelarii Rzeszy, Bramy Brandenburskiej, kościoła Pamiątkowego wystrzeliwały fraktale płomieni. Chwilami wydawało się, że ogień wypełza z wypalonych kamienic wprost na ulice, gdzie jeszcze niedawno ludzie tańczyli i jedli lody. Odbite dzielnice były czarne. Dzielnica Neukölln, przetrawiona i zimna, wyglądała zupełnie jak garść zepsutych zębów wyrwanych z jakiejś ogromnej szczęki. Mieszkańcy wyskakiwali z okien domów ogarniętych pożarem przypominali spadające gwiazdy i gaśli szybko jak one. Czasem, gdy przychodziła ulewa, miasto syczało i biło dymem.



– Opowiadałem ci o mojej dziwce?

Nad ich głowami poszła seria. Anton skulił się i mówił dalej. Joseph obrócił ku niemu puste oczy.

– Nie.

– Czeka na mnie w Treptow. Tam kazałem jej przejść – rzekł Anton. Wystawił głowę, zerknął na wypalone ulice i sylwetki żołnierzy przykucnięte w ruinach. Było ich kilkudziesięciu. Zaterkotał karabin maszynowy. – Jest tłusta i piękna – opowiadał. – Miałem ją w piwnicy. Na stercie śmiecia, całą umorusaną węglem.

Znów ogień, ale wyżej. Z góry Fritz puścił wiązkę przekleństw, gdzieś z boku ktoś wrzeszczał. Chyba Hans. Albo Udo. A może obaj naraz. Joseph przeliczył ocalałych. Próbował ogarnąć, kto żyje, a kto nie.

Zapadał wieczór.

– Powiedziała, że znajdzie dom. Dom tutaj. Łazi po mieście i szuka. Powiedziała, że znajdzie łóżko i cały dzbanek do kawy.

Od lewej, z Alexanderstraße, poszła kanonada, zapewne ludzie Otta przeprowadzili kontrnatarcie od strony Stralauer Straße, tak jak było umówione. Polacy zamilkli na chwilę i wydawało się, że ich dowódca rozważa zwrócenie się ku nowemu niebezpieczeństwu.

– Łóżko? Dzbanek? – mruknął Joseph.

– Ano.

Znowu ogień. Granat odbił się od ściany, trzasnął gdzieś pod nimi. Nie było wątpliwości, to Udo tak wyje. Mieli cztery gniazda: tutaj, w budynku głównym poczty (Anton i Joseph), na górze (Udo, Hans, chyba Marika), Fritz z Heinzem, Guido i Frank ostrzeliwali się z piwnic, czwarte w głębi – Karl i Willi z radiem. Ci milczeli. Joseph nie wiedział, co się z nimi stało. Otto znów strzelał. Ilu ich tam ma? Kilkudziesięciu.

– I co z tą dziwką? – zapytał Joseph.

Wystawił głowę. Przed nim rozwierał się klin ulicy. Prócz Polaków byli też Francuzi, zgrupowani po dziesięciu obstawili

wysoki budynek po prawej. Polacy użyli niedawnych barykad, ich dowódca z wąsem, w przekrzywionej czapce, krzyczał i machał ręką do swoich. Joseph przyłożył dziewięćdziesiątkę ósemkę, wymierzył. Polak jakby o tym wiedział – schował się za załomem. Jego krzyk niósł się aż do budynku pocztowego.

– Niewiele mówi. – Anton zarepetował broń. Tkwili w identycznych pozycjach, okno obok okna. – Ma silny uścisk. Czasem myślę, że mnie zgniecie. Jest jak zwierzę, chwytasz, Jos? Zwierzę parzące się na węglu.

Strzały ucichły. Gdzieś z daleka brzmiał warkot samolotów.

– Czemu w Treptow?

Anton wzruszył ramionami.

– Tam podobno są całe domy. Byłeś przed powstaniem?

– Nie byłem. Nie jestem stąd.

– Trzeba było. Ciiii...

– No, tam są potężne kamienice, słyszałem, że bomby nie dały im rady. Nie walczyliśmy na Treptow, podobno ludzie tam żyją. Gdzieś w środku. Otto słyszał od kogoś, że normalnie pranie tam wisi, palą się świece w oknach. Pędzili ulicą świnie. Taką wielką. Samym środkiem. Widziała to moja dziwka.

– Twoja dziwka?

– Tak.

Joseph najchętniej powiedziała by Antonowi, żeby się zamknął, ale nie potrafił. Komukolwiek innemu tak, ale jemu nie. W słowach Antona znajdował coś, co dawało nadzieję i przynosiło spokój. Anton chyba o tym wiedział. Otworzył dziobatą paszczę i wtedy przed budynek poczty wyszedł Fritz.

– Skurwysyn – szepnął Joseph. Bez złości.

Fritz wyłonił się z wyrwy w murze, bergmann wisiał mu na ramieniu, wisiały też dłonie zaciśnięte w pięści. Lufy przeciwnika zwróciły się ku niemu. Fritz oddalił się od kamienicy na dziesięć kroków. Od drugiej strony nadchodził barczysty Polak. Fritz zapalił papierosa i zaczął chodzić miarowym krokiem przed pocztą. Zaciągał się głęboko,

wypuszczał dym w niebo, tak by łączył się z dymem płonącego Berlina. Polak też palił, tylko stąpał drobniej i wydmuchiwał przed siebie, tak że natychmiast wkraczał w swoje własne opary. Ani razu na siebie nie spojrzeli. Lufy lebeli wodziły za Fritzem. Joseph nie spuszczał z muszki barczystego Polaka.

Fritz skończył pierwszy, skłonił się niemal niedostrzegalnie i zniknął w jamie, z której wypełził. Polak odprowadził go wzrokiem, uniósł rękę i wrócił do swoich.

– Skurwysyn – powtórzył Joseph i zaczęli strzelać.

Francuzi poszli od prawej, Polacy od lewej, wspomagani ogniem swoich. Na domiar złego gdzieś u wylotu Drickenstraße pojawił się kanciasty kształt czołgu. Joseph przypadł do ziemi. Grupy Fritza i Heinza odpowiedziały ogniem. Polak, który wysunął się na czoło, padł, jakby mu ktoś podłożył nogę, reszta przyspieszyła na ten widok, strzelając raz po raz w ciemne okna. Z gniazda Heinza walił już tylko jeden karabin.

Pierwszy wystawił głowę Anton. Posłał kilka kul, przypadł do podłogi, przetoczył się do następnego okna i powtórzył swój wyczyn. Joseph także się poderwał i wypalił, obalając grubego Francuza na ziemię. Jego towarzysz stracił rozeznanie i potknął się o trupa. Nim wstał, Joseph posłał mu kulę między łopatki. A tamci nacierali, byli już u bram poczty, gdy stało się coś, czego nikt nie przewidział.

Milczące dotąd gniazdo Karla i Williego plunęło ogniem, nisko i po nogach, kilku atakujących wiło się teraz na ziemi, wrzeszcząc i łapiąc się za przestrzelone kolana, próbując zatamować krwawienie. Zaraz potem z budynku poczty wypadła ciemna sylwetka z bergmannem. Joseph rozpoznał w niej Udoną. Zwalisty esesman szedł z wyraźnym trudem i przechylony na bok strzelał krótkimi seriami. Przyspieszył do truchtu i pruł dalej. Polacy zaraz go zdjęli.

Natarcie załamało się, polski dowódca z osmaloną twarzą, już bez czapki, nakazał odwrót. Anton strzelił, spudłował, tymczasem sylwetka czołgu nabrała wyrazistości. Właściwie nie był to czołg, tylko TK-szóstka, z trudem kolebiąca się ulicą pełną

dziur. Sprawiała wrażenie zabłąkanego pancernego żuczka, wepchniętego między wielkie ognie.

– Kurwa – zaklął Anton. Patrzył to na pojazd, to na Udonę z przestrzeloną głową.

Polski karabin maszynowy zaterkotał znowu. Rozległ się wrzask i Joseph nie miał wątpliwości: to Frank tak krzyczy. Krótko. A potem, jak w czarodziejskim świecie, gdzie wszystko dokonuje się szybciej lub wolniej, granat ciśnięty ręką polskiego żołnierza sunął w powietrzu jak kamień przez miód i zniknął Josephowi z oczu. Gruchnęło. Tam, gdzie siedzieli Karl i Willi (radio! radio!), z sufitu posypał się tynk.

– Tam nic nie ma, Anton!

– Gdzie?

– Na Treptow.

Ledwo się słyszeli.

– Skąd wiesz?

– Spalili. Do fundamentów. Ona tam nic nie znajdzie!

– Znajdzie – zaśmiał się Anton – To przecież moja dziwka!

Nad głową Josepha coś śmignęło. Anton wrzasnął i zamilkł. Lufa tankietki plunęła ogniem. Przywarli do podłogi. Pocztą zatrzęsło, ściana za nimi runęła w kłębach dymu i ognia, posypał się gruz. Anton trzymał ręce na głowie. Wstali już w ciszy. Brudni. Francuzi i Polacy znieruchomieli. Tankietka jechała prosto na pocztę.

Josephowi kręciło się w głowie. Przytrzymał się ściany, ale nogi i tak uginały się pod nim. Drickenstraße wybrzuszała się w jego oczach, pękała, jakby piekielne stwory wydobywały się na powierzchnię. Tankietka zwolniła z lufą skierowaną wprost na nich. Joseph poczuł ciepły uścisk Antona i wtedy gdzieś przed nimi rozbłysły płomienie. Czerwień, pomarańcz, biel spowiły pojazd wroga. Polacy i Francuzi zaczęli strzelać w zupełnie inną stronę. Otto, pomyślał Joseph, nim opadł w mrok. Otto.



Przed wieczorem znaleźli wśród ruin rannego Polaka. Miał dwadzieścia pięć lat i był przerażony. Joseph kazał mu obciąć obie dłonie i popędzić go przed siebie. Fritz to zrobił. Chłopak przeszedł ze sto metrów, nim upadł. Powstańcy zgromadzili się w ruinach czarnego domu, jedli fasolę i ciemny chleb. Było bardzo cicho.

– Tej nocy powinno być spokojnie. – Heinz zerknął za okno. Jego czarny mundur zlewał się ze ścianą.

– Nie wiadomo – odparł Joseph. Jadł powoli.

Fritz tylko mruknął, grzebiąc przy radiostacji. Wyniósł ją spomiędzy trupów. Nie chciała działać, a on nie wiedział dlaczego.

– Będziemy tak tkwili? – zapytał Anton.

– On mówi, że noc powinna być spokojna – odparł Joseph.

– A jak nie, to co?

– Gówno – mruknął Fritz.

Zapalili. W proggu stanęła Marika z osmalonym, dymiącym czajnikiem w ręku. Popatrzyła na każdego z nich, jak tylko kobieta potrafi, na Heinza dłużej. Nalała herbaty. Joseph zabronił używać świeczek, ale noc była jasna, dymy ustąpiły, przez zdruzgotane okna wlewało się światło księżyca, od płonących domów, tam, daleko, biła czerwona mgiełka.

– Można by iść na północ – zastanawiał się Heinz.

– Tam są Francuzi – rzucił Anton.

Kucał, kubek z herbatą trzymał w obu dłoniach.

– Na północ kraju, nie miasta. Poszlibyśmy naokoło, wydostaniemy się – tłumaczył Heinz, wymachując papierosem. – Tu już się na nic nie przydamy. Miasto padło.

Fritz wzruszył ramionami.

– A co, do cholery, jest na tej twojej północy?

- Wojna. Guderian. Nie słyszałeś?
- Kogo? Radia? Szwajcarii?
- Na przykład – rzucił Heinz.
- Tam nic nie ma.

Heinz poszukał wzrokiem sojuszników. Marika chciała coś powiedzieć, ale zabrakło jej odwagi. W ogóle mówiła niewiele. Stała blisko Heinza, tak że prawie mogła go dotknąć.

– Czekamy na rozkazy. – Joseph wstał, odstawił kubek z herbatą na parapet, oparł się o ścianę, skrzyżował nogi, ręce włożył do kieszeni.

Anton myślał chwilę, nim zapytał:

- Kapitanie?
- Tak.
- Kto nam teraz rozkazuje?

Fritz trącił butem milczące radio.

– Poczekamy do rana – odparł Joseph.

Heinz się ożywił. Herbata go rozgrzewała. Z szarą, dziobatą twarzą i gorącymi oczami, w czarnym mundurze Rottenführera SS kojarzył się z wojennym cwaniakiem, takim, co przedrze się przez każdy szaniec, przepelźnie tam, gdzie chce, przyniesie uśmiech i zwycięstwo.

– Najchętniej przyjmowałbym rozkazy od Leya. Robert Ley to jest ktoś.

– Znowu... – westchnął Fritz – A jak ci powiem, że ten twój Ley to dureń i moczymorda?

– Może i moczymorda. Ale dureń nie.

– O co ci chodzi z tym Leyem? – zapytał Anton.

Joseph nie chciał tego słuchać. Ciągle się o nim mówiło. Wielki doktor Robert Ley. Człowiek duch. Taki połknie granat i wysra go w kwaterze wroga bez żadnej szkody dla siebie. Zorro w partyjnym mundurze. Dzieci uratowane przez Leya. Odbite domy. Ocaleni więźniowie. Oficerowie wroga zastrzeleni albo zarżnięci, w chwili kiedy szczeni lub leżeli na Niemkach. Ley –

władca upiorów. Ley – król skrytobójców.

– Robert Ley dostał w łeb albo gdzieś się zagrzebał. Ludzie gadają bzdury. Jak o Himmlerze.

– O! – Fritz się ucieszył. – Co z Himmlerem?

– Ten mały Max, no, ten, co mu oko przestrelili, mówił, że Himmler ma reductę w Alpach, gdzie może się bronić i dwadzieścia lat – odrzekł niespodziewanie Anton – Całe forty na szczytach. Z jedzeniem, winem i kobietami.

– Czemu więc ten Max tam nie został? – mruknął Joseph. Zerknął na zegarek. – Już czas. Rano ruszamy.

– Rano, ale dokąd? – zapytał Heinz.

Joseph nie odpowiedział. Trwali chwilę w ciszy, popijając herbatę. Tylko Fritz zgarbił się znów nad radiem, dłubał w nim wielkimi palcami, wydawało się, że zaraz coś w nim zmiążdży. Anton rozglądał się. Szukał kąta, w którym mógłby rozłożyć śpiwór.

– Może to prawda – odezwała się Marika.

– Co prawda? – mruknął Heinz.

– Z Robertem Leyem. Czy może być tak, że wszyscy o czymś mówią i to jest nieprawda?

Posłuchaj Goebbelsa z Zurychu, pomyślał Joseph, ale nic nie powiedział.

– Słyszałam – ciągnęła Marika – że Ley ma świeże siły poza miastem. Tylko czekają, aż wreszcie ruszy Mussolini. I jeszcze... – szukała słów – to nie może być kłamstwo, ludzie widzieli na własne oczy. Wielkie magazyny broni. W podziemiach pod miastem. Takiej jeszcze nie było. Nowe karabiny. Działa, ledwo co zrobione. I jeszcze więcej. Cudowna broń.

Heinz otoczył ją ramieniem. Pierwszy raz pozwolił sobie na coś takiego.

– Jeśli jest ta broń, to czemu jeszcze jej nie dostaliśmy?

– Kto wie? – rzucił ze Anton swojego posłania. – Gdzieś sobie leżą te spluwy, tylko ich wynieść nie ma komu? Bo jak? Pod

nosem Polaków?

– Ludzie bredzą tak, gdy nie wiedzą, co robić – powiedział Joseph w pustkę.

– Może rzeczywiście tak jest? – zaryzykowała Marika – albo nie ma inżynierów do obsługi tych nowych karabinów.

– Ha! – warknął Fritz. – Nie masz inżyniera, nie masz i broni.

Zapadła cisza. Anton odwrócił się na bok twarzą do ściany. Joseph kiwnął na Fritza i ten zainstalował się w oknie, ogromny, jeszcze rosnący na tle tężejącej nocy. Brudne palce splótł na MP-38.

– Wyruszamy przed świtem – oznajmił Joseph.

Pozdrowił wszystkich uniesieniem dłoni. Mały palec miał czarny i martwy. Pociągnął za sobą plecak w głąb budynku, między szkło i kamienie. Znalazł rozbity sekretarzyk i wielkie łóżko z nadpaloną pościelą. Leżał na nim gruz, chwycił więc kołdrę za rogi i ściągnął, pospiesznym gestem przetarł ręką dziurawy materac i owinął się kocem. Nim zasnął, słyszał, jak koty buszują po ruinach, jak coś daleko trzeszczy i jęczy, jak strzały wybrzmiewają i cichną w pieśni ognia.



Zawinięty w koc, leżąc na strzaskanym łóżku, na materacu rozprutym przez kule, Joseph trząsał się i spoglądał w sufit. Przez szczeliny i pęknięcia wypełzały złowrogie cienie: potrzaskane twarze i trupy bez kości. Podciągnął koc wysoko pod brodę, aż poczuł drapanie w nos. Przekręcił się na bok i szukał dłonią czegoś, czego mógłby się chwycić, choćby i snu, lecz ten nie chciał nadejść, zjawiał się jak przyływ i odpływ, zalewał gorącą głowę, by zaraz zostawić ją wysuszoną. W tych spazmach śnienia i jawy pojawiały się wydarzenia ostatnich miesięcy, sprasowane na krwawą miazgę.

Hitler szukający śmierci na ostatnich szańcach, załamany, łkający jak dziecko, o wielkich oczach, plotący bzdury o smokach i rycerzach, zabity przez własnego adiutanta.

Göring wywleczony ze swojego samochodu przez rozwścieczonych ludzi, gruba świnia z rozplatanym brzuchem, dyndająca na latarni, wściekle twarze wokół, brudne dłonie miotające kamienie za każdy dom zbombardowany w Berlinie, za każde dziecko strawione przez ogień.

Goebbels, jego donośna mowa spływająca z odbiorników radiowych, na wpół obłąkany człowiek wykrzykujący nonsensy o walce i nadziei, jego szwajcarski pokój pełen notatek rozrzuconych na podłodze, niedokończone odezwy i memoriały pokryte kurzem.

Hess, zastrzelony podczas walki, pochowany wśród ruin przez swoich żołnierzy, bez krzyża i znaku.

Głowa Streichera nabita na kij, łysa czaszka odbijająca słońce na ryneczku w Pleikershof. Wcześniej tłum napędzany cyniczną złością ciągnął niedawnego gauleitera wąskimi uliczkami, ciskał w niego kamieniami i gównem, a potem udusił go zgniecioną w kulę gazetą "Der Stürmer", jakby od tego skalkulowanego mordu miało spłynąć na nich francuskie błogosławieństwo.

Josephowi przyśniło się coś, co nie śniło mu się nigdy wcześniej: wielki potwór ulepiony z ciał żołnierzy z krematoryjnymi piecami w miejscach oczu. Ludzie płonęli w nich żywcem. Widział trzepoczące dłonie i twarze, z których spływała skóra. Potwór wysuwał brązowy niczym kora język z ogromnego pyska i nadstawiał go pod krople gorącego tłuszczu.



Wyłonili się z kamienicy. Joseph pierwszy, z plecakiem przerzuconym przez lewe ramię, obok niego Anton, sztywny i chmurny, Heinz z Mariką, blisko i daleko zarazem, Fritz szedł na końcu i rozglądał się na boki. Było cicho.

Joseph nakazał marsz na wschód przez Strausberger Platz, gdzie, jak się domyślał, mogli okopać się ludzie Otta. Wczoraj ich nie znaleźli, a przecież słyszeli strzały. Joseph nie rozpoznawał

już miasta. Co chwila prosił Marikę, by rozłożyła plan na kawałku gruzu, wodził po nim palcem i spoglądał w niebo. Antonowi szło lepiej. Młody esesman przyglądał się ruinom w skupieniu, kierował wzrok ku wypalonej drodze i mówił: "tam".

Koło dziesiątej zrobili pierwszy postój. Usadowili się w dawnym budynku szkoły. Joseph miał nadzieję, że kogoś tutaj spotkają. Niestety, znaleźli tylko potrzaskane ławki, wielki lej w miejscu boiska i kilka ciał złożonych w korytarzu. Cywile i żołnierze, chłopiec w za dużym na niego mundurze. Ktoś zniósł ich tutaj, ale nie zdążył pochować.

Joseph kazał im usiąść w innej części z widokiem na szeroką ulicę, prowadzącą na plac z resztkami fontanny. Od północy i północnego wschodu dochodziła kanonada, na południu szalał ogień. Zastanawiał się, co dalej, i nagle zrozumiał, że nie ma pojęcia, czemu ci ludzie wciąż za nim idą. Wczorajsza strzelanina zabrała połowę oddziału. Takiemu Fritzowi chyba było wszystko jedno. Czasem Joseph myślał, że ten zwalisty, tępy żołnierz znajduje osobliwą przyjemność w walkach w wyniszczonym Berlinie. Heinz i Marika. W głowie Josepha raz na jakiś czas tłukła się myśl, by zabrać im broń i kazać spieprzać. Niech idą poza miasto, na północ, gdzie stoją Włosi. Mussolini czekał, aż Berlin się wykrwawi, chciał być zbawcą wśród ruin. Podobno przyjmował niemieckich żołnierzy, leczył, dawał jeść i formował dywizję na odpowiednią chwilę.

Anton zaparzył kawę, pili ją z blaszanych kubków. Mieli czerstwy chleb i mięso z konserwy, zupełnie bez smaku. Joseph jadł powoli. Nagle zobaczył patrol podążający w ich stronę. Wywrócił kuchenkę, gestem kazał wszystkim przypaść do ściany. Wystawił głowę. Czterej Polacy. Szli wolno, rozglądając się. Skąd wzięli czyste mundury? Fritz przygotował się do strzału. Joseph zabronił. Położył się na ziemi, inni poszli w jego ślady, Fritz wyraźnie się ociągał. Ruszał ustami, jakby żuł.

– Co? Co? – syczał. – Ich tylko czterech.

Oczy Antona były ciemne.

Joseph liczył sekundy, a gdy się podniósł i wyjrzał przez okno,

okazało się, że miał rację. Patrol zniknął, za to przez plac z fontanną szła kolumna polskiego wojska, świeże siły. Pochód otwierała ósemka kawalerzystów, za nimi zielona piechota, tankietki, cztery czołgi z białymi orłami na wieżyczkach i ponownie piechota z karabinami na ramionach. Śpiewali jakąś piosenkę, Joseph nie rozumiał słów. Widział dosyć. Kazał zebrać ekwipunek i popęzli w głąb szkoły.

– Najwyraźniej Polacy odbili całkiem Pankow – powiedział.

Na ścianie wisiał strzęp mapy Rzeszy z wcielona Austrią, protektoratem Czech i Moraw, przyjemną plamą Prus Wschodnich.

– To już wiemy, czemu tu pusto – stwierdził Anton. – Szlag!

– Nie możemy tu zostać – dodał Heinz. – Konia z rzędem temu, kto wie, co teraz.

– Marzahn się broni. – Anton przyglądał się mapie na ścianie.

– Gówno tam – mruknął Fritz.

Joseph zarządził wymarsz. Wydostali się przez tylne wyjście z budynku szkoły na niewielki plac. Drzewa były połamane, w oknie pobliskiej kamienicy łopotąło pranie, po które już nikt się nie zgłosi, okopcona płachta prześcieradła. Przeszli dalej. Od lewej dochodził warkot czołgów sunących w kolumnie, miarowy stukot żołnierskich butów. Przedarli się przez trzy przecznice, nie napotyając nikogo. Joseph szedł ramię w ramię z Heinzem.

– Gdzie oni się podziali?

– Kto? – zapytał Heinz. Obgryzał paznokcie, czarne jak jego mundur.

– No, ludzie.

– Ja tam nie wiem. Idę o zakład, że tu są. Skurwysyny! Chowają się na ostatnich piętrach i siedzą na żarciu. Spotkasz takiego, to powie, że nic nie ma, pogrzebiesz i zaraz, proszę, jest i czekolada, i papierosy. Palisz, Joseph?

– Palę.

Przystanęli w cieniu bramy. Chwila odpoczynku. Anton musiał słyszeć, o czym rozmawiają, bo powiedział:

– Mówili mi, że ludzie boją się naszych żołnierzy.

– Och, jesteś żołnierzem. – Fritz się uśmiechnął.

Twarz Antona stężała. Fritz roześmiał się i rozczochrał mu włosy.

– Nie bój nic, młody – powiedział. – Tu nie chodzi o mundur.

Usłyszeli kroki i zamilkli.

Kamienica naprzeciwko na pewno ma podwórko i z tego podwórka będzie można przejść dalej, o ile mur nie jest zbyt wysoki, myślał Joseph. Tu chyba zdarzają się wysokie mury, jeśli nie są rozwalone. Uniósł broń. Marika kuciała jak na filmach, z pistoletem wysuniętym przed siebie.

Zamiast Polaków zobaczyli dwóch swoich. Wysokiego szeregowca piechoty i zmaltretowanego czterdziestolatka w mundurze Organisation Todt. Wymierzyli w siebie, ale zaraz opuścili lufy i odetchnęli z ulgą. Wysoki szeregowiec nazywał się Albert, człowiek w mundurze Georg. Przeszli razem kilkaset metrów aż do ruin kościoła przy Volksparku. Wieża upadła, przez cały dach szła wyrwa jak po wyrwanym kręgosłupie. Przycupnęli między ławkami.

– Dokąd idziecie? – zapytał Joseph.

– Teraz to diabli wiedzą. Kazali na Petersburger – rzekł Georg. Kuczał i jadł chleb.

W załomach kościoła ptaki wiły gniazda, miauczenie kotów odbijało się echem od rozszarpanego sklepienia sufitu. Ołtarz zniknął. Twarze świętych zmiotło, ciała osmalił ogień. Ktoś wyniósł tabernakulum. Nie wiadomo, żołnierz czy ksiądz.

– Słyszałem, że Polacy szanują kościoły. Nawet tutaj się modlą – odezwał się Fritz ze swojego kąta.

– Czyli Francuzi tu byli – odparł Anton.

– France, France. – Fritz machnął ręką. – Polak będzie ci się modlił i w zbombardowanym kościele.

– Dacie im dojść do słowa?! – krzyknął Joseph.

Zamilkli. Georg zaczął mówić cichym, niskim głosem. Jego

towarzysz nie odezwał się ani słowem, odkąd na siebie weszli. Siedział na ławie z dłońmi spuszczoneymi między kolana, głowę trzymał nisko, podobny do rzeźby.

– Rozkaz jest jasny. Mamy przebić się na Hellersdorf, gdzie nasi wciąż walczą. Tam sytuacja jest dobra. Model odrzucił cztery szturmy z rzędu. Potrzebuje ludzi. Jeszcze parę dni. Czekamy na Guderiana i Mussoliniego.

– Doktor Ley... – Anton się rozmarzył.

– Otóż gówno! – odparł ze śmiechem Fritz.

Georg popatrzył na niego wściekłym wzrokiem. Joseph rozłożył mapę.

– Od kogo macie ten rozkaz?

– Czy to ważne?

– Od kogo?

Georg oparł się o kolumnę. Zapalił.

– Generał Model puszczał komunikaty przez radio cały wczorajszy dzień. Co godzina. Dziwne, żeście nie słyszeli.

– Straciliśmy radio.

– To posłuchaj. Tam walczą.

Rzeczywiście, od wschodu dochodziła szarpana kanonada.

– Nie kapuję – wyznał Joseph takim tonem, jakby stroił sobie żarty z Georga. – Tydzień temu Model miał garstkę obdartusów i tracił ulicę po ulicy. Myślałem, że już nie żyje.

– Generał Model ma się dobrze i jest o krok od przełamania oporu. Doktor Ley mu pomógł. Ściągnął ludzi. Dał broń. Jest mnóstwo broni i to nie pierdolenie, panie kapitanie. Sam widziałem.

Joseph myślał chwilę. Popatrzył po swoich. Fritz, ponury zbir z głową pełną trupów. Anton, dopiero co wyskoczył z gaci Hitlerjugend. Nieodgadniony Heinz. Marika, która zwyczajnie się uparła i idzie. Tak, ona pierwsza zejdzie pod ziemię.

– Posłuchajcie. – Joseph wskazał na mapę. – Na mój rozum jesteśmy w kleszczach. Od południa, wiadomo. Za nami, bez

sensu. Można ryzykować przebicie się.

– Na rympał – zadudnił Fritz.

– Albo kanałem – podsunął Joseph.

Zapadła cisza.

– Żywy pod ziemię nie pójde – oznajmił Heinz.

– Och, nasi od marca kanałami chodzą i nikomu nic... – nie dokończył Albert.

Kiedyś sklepienie pokrywały kolorowe malunki, teraz osmalone. Spod sadzy wyzierały fragmenty głów i palców. Przy ścianach leżały obrazy przedstawiające drogę krzyżową. Ktoś zabrał ramy.

Joseph mówił powoli.

– Moim zdaniem to najbezpieczniejszy sposób. Przy odrobinie szczęścia przed wieczorem będziemy u Modla. Polacy nie wchodzą do kanałów. Nie wiemy, co się stało z tymi, co ich przed chwilą widzieliśmy.

Fritz wstał. Na tle kościelnych ruin, w mundurze przysypanym popiołem, z łbem kwadratowym niczym hełm, przypominał rycerza, który właśnie zsiadł z konia.

– Na mojego nosa nic tam nie ma. A Model gryzie ziemię.

– Więc kto strzela? – niespodziewanie odezwał się szeregowiec Albert.

– Powiem ci. – Fritz patrzył nań jak na cyrkowe dziwadło. – Polacy strzelają. Do naszych.

– Żywy pod ziemię nie pójde – powtórzył za Heinzem Anton.

– To wypierdalaj! – Fritz wymierzył w niego gruby palec.

Anton się cofnął i zasłonił.

– Myślałem, że nie idziesz.

Fritz splunął. Chciał odejść. Zmięty, zgarbiony Joseph wbijał w niego przygasłe oczy. Albert zgiął się wpół. Fritzowi zakręciło się w głowie, zawirowali bezgłowi święci na rozpadającej się karuzeli, strzały rozbrzmiewały to blisko, to daleko. Zrobiło się gorąco.

Oprzytomniał w chwili, gdy obejmował słup.
Roześmiał się. Do Antona i do wszystkich.



– A co ja, twoja matka? Pewnie, że idę. Mówię tylko, że nic tam nie ma.

Wejście znajdowało się kilkaset metrów za kościołem, na ulicy, której nazwy nikt nie pamiętał, od pozostałych odróżniała ją tylko szerokość. Być może rok temu szły tędy defilady. Teraz stały spalone resztki samochodów. Żadna kamienica nie była cała. Gdzieś u wylotu przemykały wielkie cienie. Powstańcy pełzli, kucali, biegli między hałdami gruzu i kryli się za załomami.

Przedziwne wrażenie – wyrwana ściana trzypiętrowej czynszówki odsłaniała zastygłe, spopielone życie: stół z potrząskaną zastawą i ciałem mężczyzny przy przewróconym krześle. Magiel w piwnicy, jeszcze z pościelą między wałkami. Pracownia jakiegoś dziennikarza z biurkiem pod nieistniejącym oknem, w tle obalone regały, stare gazety, książki z trzepoczącymi okładkami.

Tu strzały brzmiały wyraźniej, od wschodu migotała czerwona luna. Anton z Heinzem podnieśli klapę na trzy-cztery. Owiał ich smród. Stalowa drabinka wiodła jakieś trzy metry w dół. Fritz chciał schodzić, ale Joseph chwycił go za ramię.

– Przy każdym rozwidleniu znajdziecie nazwę ulicy. Idziemy za planem miasta. Nie zamoczcie broni. Niech nikt się nie porzyga – zmrużył oczy – to naprawdę nie jest daleko.

Zeszli po kolei.

Śmierząca gęsta woda sięgała do połowy ud. Joseph nie żałował, że jest tu tak ciemno, świecił latarką po ścianach. Szli jeden za drugim. Georg strasznie sapał, jego ogromny towarzysz musiał się zgarbić i sunął dłońmi po powierzchni wody. Joseph poprosił go, by tak nie robił.

Przystanęli przy pierwszym rozwidleniu, zgromadzeni wokół Josepha. Ten chciał im poświecić po twarzach, sprawdzić w ten sposób, jak się mają. Marika chyba ledwo, ledwo. Odpuścił i przyjrzał się mokrej mapie.

– Cały czas prosto. Skręcamy w lewo przy trzecim rozwidleniu. Nikt nic nie mówił.

Poszli dalej gęsiego. Joseph z przodu, za nim Anton. Heinz zamykał pochód. Joseph co chwila zwalniał i mrugał latarką za siebie, pewien, że tych dwoje przystaje raz po raz i chwytając krótkie chwile w ciemności. Pomyślał o nich. Gdy wszystko się wali, ludzie się pierdolą. Gdzie bądź, z kim bądź. Czy oni też... Nie wiedział. Byłoby nie najgorzej, gdyby zniknęli w tych kanałach, wypełzli poza Berlin. Heinz by chciał. Marika się nie zgodzi. Wciągnął głęboko smród. Zemdlilo go. Tak, byłoby dobrze, pomyślał i zrozumiał, że chyba nie jest już żołnierzem.

Za drugim rozwidleniem natknęli się na ciała. Martwi ludzie unosili się na wodzie białymi brzuchami do góry. Szczury wyżarły im oczy i policzki. Innych ran nie mieli, jakby zmarli z samego przerażenia. Joseph z innymi przysunęli się do ściany. Ciała płynęły środkiem niesłychanie wolno: oficer Luftwaffe z rozpiętą koszulą munduru odsłaniającą podkoszulek, staruszka w rozprutej koszuli nocnej, dwoje dzieci, młody mężczyzna, właściwie chłopak, półnagi, w zachlapanych wapnem spodniach. I inni. Bardzo wolno. Fritz chwycił karabin za lufę i zaczął odpychać ciała w głąb kanału. Wbijał kolbę w brzuch i pchał. Twarz miał zaciętą. Smród bił w oczy. Poszli dalej.

Tam woda była już po pas. Przy rozwidleniu nie znaleźli tabliczki. Stali wszyscy przy ścianie, próbując wywołać ją wzrokiem. Joseph świecił latarką, rozjaśniając napisy namazane kredą: KOCHAM HANSA L. (L skreślone, dopisane W inną ręką), GRUBAS, powyżej tłusta figurka zwisająca z drzewa, JÜRGEN TOMA BAGNET W SPODNIACH, KAŻDA KURWA MU SIĘ ODDA. Głuchy śmiech Georga poniósł się po rozwidleniach kanału. Joseph zgromił go wzrokiem. Też się roześmiał. Bez wesołości. Wskazał kierunek brudnym palcem.

- Tam.
- Skąd wiesz? – zagadnął Heinz.
- Idziemy – powiedział Fritz.

No to poszli pustym, ciemnym kanałem, przez gęstą wodę pełną nieczystości. Pływały nią puste puszkę o blaszanych okrągłych żaglach, papier opadający z wolna na dno i długie pasma włosów. Tak przewędrowali kilkaset metrów. Gdzieś w zasięgu latarki ukazało się kolejne rozwidlenie (będzie tabliczka czy nie będzie?). Woda chlupotała, a Anton chwycił Josepha za ramię. Coś szepnął mu do ucha. Joseph gestem nakazał ciszę. Stali chwilę, czekając, aż rozkołysana woda się uspokoi, i dopiero wtedy wyraźnie usłyszeli. Chlupotanie gdzieś z lewej odnogi przed nimi. Rytmiczne męskie sapanie, kobiece jęki, zgrane w wyobraźalnej sekwencji ruchów. Stali chwilę, zasłuchani. Anton, Fritz i Heinz z trudem opanowali śmiech. Albert otworzył szeroko oczy.

- No, jak oni mogą tutaj? – szepnął Anton.

Joseph uniósł rękę. Poszli dalej. Heinz wygrzebał harmonijkę z kieszeni i zaczął grać. Cicho i rzewnie. Prawie bez melodii. Tylko długie dźwięki, rzucane daleko w kanał, ale szło się przy nich raźniej. Marice nie podobało się, że Albert wędruje za nią z pochyloną głową, dłońmi leżącymi na wodzie, zgarbiony. Troll, który narodził się tutaj, w kanałach. Przy rozwidleniu Heinz przestał grać. Joseph poświecił na ścianę. Z góry na pół sekundy wpadło światło słońca. I coś jeszcze. Tuż pod stopy Georga. Szczęknięta kłapa. Wszystko zastygło. Joseph skoczył w najbliższą odnogę z latarką miotającą światłem. Heinz w półskoku, by przygnieść, ochronić Marikę. Skulony Anton. Sztywny Albert. Fritz już pod wodą. I Georg na lekko ugiętych nogach, z dłońmi wysuniętymi przed siebie, szeroko, jakby właśnie coś upuścił. Przerazone oczy. Błady pysk. I granat zmiatający mu ten pysk z ramion.

Poszedł błysk i kurz, za nim kolejne, przed nimi, za nimi, znów słońce migotało i szczękała kłapa. Joseph odnalazł latarkę, błyskał i wrzeszczał. Za nim trzeba iść. Zaczekał. Podał dłoń i

pobiegli, tam gdzie granaty nie wybuchały lub wydawało się, że nie będą wybuchać. Fritz upadał i się podnosił. Heinz ciągnął Marikę za sobą. Dym snuł się po wodzie. Nie zatrzymali się aż do następnego rozwidlenia. Tam złapali oddech. Pospieszne spojrzenia po sobie. Georg nie żył. Anton zaciskał dłoń na lewym ramieniu, jęczał. Fritz co chwila oglądał się za siebie, a Albert patrzył gdzieś w ciemność kanału i mruzczał coś do siebie.

– Zobacz, co mu jest – powiedział Joseph do Mariki.

Ostrożnie oderwała dłoń Antona od ramienia. Powierzchowne draśnięcie. Szepnęła, żeby nie zachowywał się jak baba, i zmusiła go do uniesienia ręki. Tu gorzej: mięso wyrwane z brzucha od boku do pępka, wielka, nieregularna rana o ostrych brzegach. Anton zachwiał się, podtrzymali go. Marika odwróciła się do Josepha.

– Nie może iść.

Anton zaprzeczył ruchem głowy. Nie, może.

Panowała cisza. Nikt nie wrzucał granatów do kanału i nikt się nie kochał.



Wyszli na powierzchnię przed nocą i gdzie indziej, niż chcieli. Fritz z Heinzem wyciągnęli Antona i zaraz ułożyli w cieniu kamienicy. Czuł się lepiej, mówił z sensem, brudny bandaż nasiąknął krwią. Marika ocierała mu czoło, spojrzała za siebie i tak już została. Z kanału wyłaził Albert. Najpierw wielkie rozczapierzone dłonie, potem podłużny łeb. Barki już przejść nie chciały. Kokosił się pomiędzy dwoma światami bez złości czy zniecierpliwienia. Powstańcy wzięli go pod ramiona i pociągnęli. Stał na nogi i powłókł się w stronę Mariki. Usiadł na kupie gruzu i czyścił sobie paznokcie. Nikt nie zwracał na niego uwagi poza Mariką.

Neue-Welt-Straße była kiedyś jedną z tych starych uliczek, gdzie między budynkami wisi pranie, do czynszówek prowadzą

wysokie stopnie, w oknach stoją kwiaty i po spadzistych dachach ganiają się urwisy. W suterrenach mieszkali staruszkowie, na poddaszach artyści, pierwsze piętra zajmowali mieszczenie nie dość mieszczańscy, by zamieszkać poza Berlinem. Skoro całe miasto zmieniło się w ruinę, to co powiedzieć o Neue Welt? Niektóre domy zniknęły, z innych pozostały samotne czarne ściany, połamane na wysokości pierwszego piętra. Wnętrza też były wypalone. Masa rzeczy leżała na ulicy. Rowery, meble, ubrania. Trupy. Joseph nie wiedział – przeszli tędy Francuzi czy Polacy, ale domyślał się, do czego doszło.

– Powinniśmy zanieść go pod dach – powiedziała Marika.

– Przepraszam – szepnął Anton.

No to go podnieśli, w ciszy, przy zrujnowanych ścianach. W połowie Neue Welt stała kamienica mniej zniszczona od pozostałych. Zniknęło ostatnie piętro, jakby urżnięte tępym nożem. Fritz poszedł na zwiady.

– Nic. Same połamane meble – zameldował, gdy wrócił.

– Materac?

– Rozpruty, ale nada się.

Materac znieśli na parter do pomieszczenia przy podwórzu, kiedyś magazynu. Stamtąd mogli widzieć, co dzieje się na sąsiednich ulicach, sami niewidoczni. Joseph posłał Heinza na ostatnie piętro z lornetką i karabinem.

Ułożyli Antona na materacu. Marika przemyła mu ranę. Zaczął wrzeszczeć, więc Joseph włożył mu szmatę w usta. Potem dał mu wódki i Anton usnął. Bandaż na brzuchu już nie zabarwiał się na czerwono, za to pojawiła się gorączka. Marika przykładła mu okłady do czoła. Coś mówił. Pojedyncze słowa bez związku, coś o blaszanych garnkach, gwiazdach w kuble wody, udach dziewczyny, mocnych jak kleszcze.

Usiedli w ciszy. Noc już zapadła, rozświetlona łunami pożarów. Słysząc było terkot karabinów maszynowych i krzyki. Co pół godziny nadlatywały łosie i spuszczały bomby. Leciąły nisko i ogień odbijał się w ich brzuchach.

– Ostatnio takiego strącili – rzekł Fritz. – Zarył się na Jerusalem Allee, pilot jeszcze nie wykorkował. Palił się w kabinie. Ludzie klaskali.

– Wcale im się nie dziwię.

W progu stał Heinz.

Usiadł i wziął sobie chleba.

Joseph uniósł głowę.

– Nie utrzymają się do nocy.

Nikt mu nie odpowiedział.

Potem rozmowa zeszła na inne tematy. Fritz z rozrzewnieniem wspominał, jak pięknie było w Berlinie podczas letnich festynów. Siedział po turecku, pił zimną kawę i gadał o kwiatach. Joseph przyglądał się jego zwalistej sylwetce i zastanawiał się, czy ten dziwny człowiek w ogóle był na tych festynach, czy może ktoś mu o nich opowiadał. Jakaś kobieta. Jeszcze przed wojną słyszał, że Fritz udusił swoją narzeczoną, ale nie wiedział, czy to prawda.

– Na Starke-Straße o tej porze roiło się od kurew. – Do rozmowy włączył się Heinz. Marika podniosła głowę. Mówił dalej: – Wychodziły właśnie na wiosnę. Czasem przejść się nie dało, ot co. Znałem takich, co zawsze spóźniali się do domu. Nadkładali drogi, żeby sobie popatrzeć. Przez kurwy się spóźniali.

W ciszy słyhać było nierówny oddech Antona. Rzucił głową i jęczał przez sen. Gdy zamilkł, Joseph usłyszał coś jeszcze. Szuranie i chyba szept, gdzieś z góry. Przyłożył palec do ust, poczekał chwilę. Tak. Ktoś kręcił się po kamienicy. Joseph kiwnął na Heinza. Wstali jednocześnie, odbezpieczyli broń. Fritz nawet nie drgnął.

Poszli we dwóch po ciemnych schodach. Joseph nieustannie potykał się o gruz i zastanawiał się, jak Heinz to robi, że przemyka się jak duch, bezgłośnie. Dwa pierwsze piętra były puste, ale z trzeciego, od lewej strony, biło światło świec.

Nie spodziewał się takiego widoku: szerokie pomieszczenie, koce w oknach. Pośrodku stół przykryty obrusem o nadpalonych

brzegach. Cegły jako świeczniki, na nich bezkształtne ogryzki wosku. Talerze, blaszane kubki, dziwnym trafem ze trzy kryształowe kieliszki. Mężczyzna w półcieniu, przerażony. Był w garniturze, miał zegarek na łańcuszku, wąsy, a kiedy wszedł w krąg światła, drżący i bezbronny, okazało się, że próbował ogolić się czymś tępym i zranił się w brodę. Joseph opuścił broń. Heinz zrobił to samo.

Mężczyzna cofnął się w cień. Na moment. Coś szepnął. Wrócili we czworo. Mężczyzna trzymał za rękę kobietę w sukni i żakiecie, z perłami na szyi. Musiała być kiedyś bardzo piękna. Obok nich stała dziewczynka, dziesięcioletnia wersja mamy o identycznych jasnych włosach, okalających pociągłą twarz. I chłopak. Chudy, w koszuli wieczorowej, z muszką, lecz bez marynarki. Wyglądali jak duchy.



Stół był dość duży, by wszystkich pomieścić. Brakowało krzeseł. Ułożyli cegły, przewrócili bielizniarkę, powstańcy usiedli na niej rzędem, musieli tylko wychylać się do okrągłego blatu. Trwały dyżury przy Antonie, co pół godziny zmiana. Marika zaniósła mu śledzie. Wrzeszczał. Dostał trochę wódki. Również na zmianę któryś z powstańców czuwał przy oknie. W sąsiednim pomieszczeniu, niegdyś kąciku dla służby, wydzielono palarnię.

Magda Krattenfern uzupełniła nakrycie, dbając, by między zastawą dla każdego gościa znalazła się wolna przestrzeń na długość przedramienia. Na środku jako dekoracja stanął kryształowy wazon, przestrzelony w dwóch miejscach. Kwiatów zabrakło, ale młody chłopak przyniósł świeżą gałązkę pełną ciężkich liści. Magda Krattenfern szepnęła coś do córki. Na stole przy wazonie pojawiły się dwa lustra różnej wielkości, ustawione w ten sposób, że odbijały gałązkę.

Pomodlono się krótko. Fritz tylko poruszał ustami. Brakowało wina, zamiast niego była rozcieńczona wódka. Fajansowe talerze uzupełniało kilka glinianych misek z margaryną, śledziami i

chlebem. Nikt po nic nie sięgał. Milczeli długą chwilę. Herr Krattenfern usiadł na całej powierzchni krzesła, nie opierał się, głowę trzymał sztywno. Zadbane (jakim cudem?) dłonie rozprostował na stole. Inni zrobili to samo. Joseph dostrzegł, że siedzący obok niego Fritz garbi się i krzyżuje nogi. Trącił go. Pomogło.

Zaczęli jeść. Małymi kęsami, bez słowa. Margaryna była okropna, ale śledzie niezłe. Joseph poczekał, aż wszyscy opróżnią talerze. Dziewczynka nie chciała jeść, pociągała nosem i wrywała się od stołu. Matka karciała ją nieustannie. Wreszcie Krattenfern otarł usta serwetką i zaczął mówić. Jego chrapliwy głos niósł się po pomieszczeniu. Przed wojną prowadził praktykę adwokacką, która podupadła wraz z pojawieniem się prawników nazistowskich. Tuż przed wrześniem Krattenfern rozważał wyjazd na wieś, a gdy front pękł i weszli Francuzi, uznał, że powinien przyjąć swój los i pozostać w mieście. Joseph wyczuł, że ten szczywany lis liczył na jakiś osobisty sukces w wyniku zmiany rządu.

– Uznałem, że w opuszczeniu walczącego Berlina byłoby coś niestosownego – rzekł Krattenfern. – Nie służyłem w wojsku. Jestem za stary, żeby walczyć. Dzieci są za małe.

– Pomagaliśmy powstańcom – dodała Magda. Siedziała sztywno jak mała dziewczynka, jakby trzymała kartki papieru pod pachami. – Gotowałam gary zupy na ulicach i zakładałam opatrunki.

Joseph pokiwał głową. Zerknął w lewo. Tam syn Krattenfernów wdał się w rozmowę z Fritzem. Musiał gadać na jakiś bliski sobie temat. Siedział sztywno wyprostowany, jakby połknął kij od szczotki, omal nie pękła pulsująca mu na skroni żyła. Fritz kiwał głową, dopowiadał. Na płaskim talerzu ułożył z kawałów suchara coś w rodzaju planu pola bitwy. Jego usta układały się w bezgłośnie wystrzały.

Krattenfern nalał wódki. Sobie więcej niż innym, szybciej wypił. Miał oczy człowieka, który nie jadł od wielu dni. Albo nie spał. Przypominał wampira z przedwojennych filmów: blady, z wysokim czołem i wąsem podkreślającym czerwone wargi.

– Oddaliśmy wam wszystko – oznajmiła Magda.

Wykonała dziwny gest, jakby przypomniawszy sobie o perłach i chciała je schować. Joseph skinął głową, niech Magda wie, że zrozumiał. Tak miało być. Uśmiechnęła się do niego jaśniej niż świeczki tutaj i ognie nad Berlinem.

– Żona mówi prawdę – odezwał się Krattenfern. – Zobaczcie.

Z wewnętrznej kieszeni wydobył plik papierów i rozłożył je w wachlarz na stole. Magda zgromiła go spojrzeniem. Pchnął wachlarz w stronę Josepha. Kwity. Całe dziesiątki, opiewające na żywność, złoto, dolary, marki, obligacje, nawet na srebrną zastawę, na lekarstwa, ubrania, pościel. I podpisy, pieczęcie, niektóre zamazane. Wehrmacht. Luftwaffe. SS. Front Pracy. Policja. Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Rząd Tymczasowy. Front Wyzwolenia Niemiec. Komuniści. Kilka innych. Szpitale.

– Pan to zachowa, panie Krattenfern. – Joseph oddał mu złożony plik.

– Wolne żarty. No dobrze. Zachowam na szczęście, panie kapitanie.

Joseph go nie słuchał, odpłynął i nie miał się czego uchwycić, spychany w głąb siebie samego, do serca wojny. Fritz podał młodemu Krattenfernowi pistolet, z którego uprzednio wyjął magazynek, chłopak obracał go w dłoni jak coś znajomego. Dziewczynka nudziła się śmiertelnie. Miała lalkę z dwoma różnymi guzikami na szmacianej twarzy. Joseph zastanawiał się, czy w wachlarzu dostrzegł swój własny kwit.

Magda Krattenfern zniknęła w ciemnych drzwiach po lewej. Wróciła z pokrojonym ciemnym ciastem. Rozłożyła kawałki na każdym talerzu z pomocą córki (Fritz musiał gwałtownie strzepać okruszki do wielkiej garści). Zaczęli jeść. Ciasto było słodko-gorzkie, przypalone, ze zbyt dużą ilością cukru.



Joseph poszedł do Antona na swoją zmianę. Od pierwszego

spojrzenia zorientował się, że nie jest za dobrze, i zaczął żałować, że najbardziej oczywisty pomysł nie przyszedł mu wcześniej do głowy. Wrócił i zapytał Krattenferna, czy nie zostały mu jakieś lekarstwa, bandaże, w ostateczności morfina na uśmierzenie cierpień. Z kąta patrzyli pozostali. Fritz wciąż bawił się MP-38. Mięśnie na twarzy Krattenferna rozluźniły się, był rad, że trafiła mu się okazja do uczynienia czegoś dobrego. Skinął na córeczkę. Zaraz przyniosła zawiniątko, które z pomocą Josepha rozłożyła na podłodze. Były tam bandaże, plastry, morfina w szklanych ampułkach, strzykawki. Joseph chciał to podzielić na dwie części. Krattenfern odmówił ruchem ręki.

Marika zrobiła zastrzyk. Anton wygiął się, zaczął machać rękami, jakby odpędzał od siebie niewidzialne skrzydlate stworzenie. Zaraz zasnął. Joseph posiedział chwilę, rozglądając się po rupieciarni, i rzeczy same zaczęły mu wpadać w ręce. Najpierw drewniany taboret z jedną nogą, którą odłamał. Potem ciężka koszula z plamą krwi na przedniej kieszeni. Przyświecił. Błysnęły miedziane guziki.

Napił się wódki, by odpędzić senność, i poszedł do schodów, gdzie dochodziło światło z góry. Ułożył siedzisko taboretu na krawędzi stopni i złamał je butem na pół. Usiadł i zaczął strugać drewno bagnetem. Nie bardzo mu szło. Dziób wyszedł nawet ładnie, ale rufa już krzywo. Nie potrafił zestrugać brzegów, tak by kawałek deski choć trochę przypominał łódkę. Skręcił papierosa, wypalił i wrócił do porzuconego dzieła. Ciął teraz ostrożniej, zeskrobując cienkie pasy drewna. Wydobył brzytwę i wyrównał dziób. Poczul senność.

Na górze głosy słabły. Zabrzmiały nierówne kroki. To podpity Albert zląził ze schodów. Przysiadł się do Josepha, wyjął mu z dłoni niedokończoną łódkę i poprosił o bagnet. Joseph oddał mu go nie bez wahania. Wielkie ręce Alberta zaczęły dziwaczny taniec: lewa przechylała łódkę, druga szarpała drewno ostrzem, tak że Joseph musiał się odsunąć, by uniknąć uderzenia łokciem. Oczy Alberta śmigają za ostrzem. Wysunął język i ciężko dyszał. W płynnej sekwencji ruchów, w deszczu wiórów i skrawków drewna rodził się statek z opływowo wykreśloną linią burty,

przybudówką na rufie i ostrym dziobem, stworzonym do cięcia fal. Albert przyglądał się swojemu dziełu. Chwycił porzuconą nogę taboretu, zestrugał z niej grubą drzazgę. Trzasnęła. Skroił więc kolejną, grubszą.

– Masz może gumę do żucia? – zapytał.

Joseph go poczęstował. Szczeka Alberta zabrała się do pracy, a sam Albert za żłobienie otworu w środku statku. Pilnował, by drewno nie pękło. W otwór włożył gumę, wetknął w nią drzazgę tworzącą maszt. Bagnetem wykroił czysty kawałek z zakrwawionej koszuli, nadział go na czubek masztu i przywiązał drutem do dziobu. Żagiel wisiał smętnie, ale był. Albert oderwał guziki od koszuli, próbował je wepchać w miękkie drewno, nie udało się. Znalazł gwoździe w oknie, wyrwał je i docisnął nimi guziki. Tak powstała łódź wikingów z opuszczonym żaglem i szeregiem tarcz po boku.

Albert cofnął się, włożył Josephowi łódź w łódkę jego dłoni i wycofał się w ciemność.

Na górze Joseph zastał Krattenfernów sprzątających ze stołu. Dziewczynka wyrwała się, gdy tylko zobaczyła statek, pochwyciła go, podziękowała i rozpoczęła żeglugę po podłodze, ścianach i blacie, śląc co chwila wdzięczne spojrzenie. Joseph skłonił się i wyszedł. Stary Krattenfern miał oczy jak dymiące głązy.



Obudził ich huk wystrzału. Fritz dotarł na górę pierwszy.

Leżały obok siebie, córka z ręką na piersi matki, oczy półprzymknięte, cierpka woń arszeniku. Na stole przeniesionym w róg pomieszczenia, wśród zastawy, z której dziś jedli, leżała ułożona na boku głowa starego Krattenferna. Pistolet jeszcze dymił. W kubie z wodą do mycia taplał się statek. Joseph kopnął, brzęknęło, chlusnęła woda i z nią wypłynęli wikingowie.

Z cienia wynurzyła się biała twarz i chude barki młodego

Krattenferna. Miał broń.

– Ja nie jestem tchórzem – powiedział. – Nie jestem.



Jeszcze w nocy pochowali Kattenfernów w piwnicy, a rano wykopali płytki grób dla Antona. Marika doprowadziła do ładu postrzępiony mundur esesmana, najlepiej jak umiała, palce obu dłoni splotła mu razem, ułożyła na piersi i wetknęła w nie drewniany krzyż. Fritz odmówił modlitwę na tle wstającego słońca. Wyglądał dziwacznie – kwadratowy troll z grymasem świętego na obitej mordzie.

Albert milczał. Nie chciał uczestniczyć w pogrzebie i poszedł gdzieś w głąb budynku. Korytarz był tak niski, że szeregowiec musiał się schylać, podpierając się dłońmi o kolana. Nie oglądał się za siebie, ale gdy zniknął im z oczu, zaczął gwizdać jakąś nieznaną piosenkę. Nie widzieli go. Tylko gwizdanie dobiegało z ciemności, z piwnic kamienicy.

Joseph nie potrafił się skupić. Nie myślał ani o Antonie, ani o tym, co dalej, nie rozumiał nic z modlitwy Fritza. Cały czas patrzył na Młodego – tak w myślach nazwał chłopca. Szesnaście lat. Jeszcze dziecko. Puch na końskiej szczęce. Wagi pobielale, tak je zaciskał. Gniewne oczy starca. Palce splecione, jakby zgniatały niewidzialną szyję. Ani jednej łzy.

Po pogrzebie podszedł do niego. Chciał powiedzieć, że nie weźmie go ze sobą, niech Młody – czy jak mu tam – idzie za Berlin i tam szuka szczęścia. Tu tylko bomby i kule. Przeraził się tym, że nie znajduje w sobie żadnej nadziei, dalsza wędrówka wydawała się nie mieć sensu, to pusty ruch, odepchnięcie śmierci. Więc idź, Młody, odpiardol się od tej wojny. Nikt nas nie wspomni, nie zyskamy chwały, nikt nie rozpozna grobu Antona. Młody stanął na baczność, ale Joseph nie potrafił mu nic powiedzieć. Podał tylko pistolet Antona, pokazał, jak się go odbezpiecza. Młody już to wiedział. Joseph nałożył mu na ramię brudną opaskę ze swastyką.

Odezwał się do niego dopiero w kanale. Szli obok siebie na przedzie kolumny.

– Pierwszy raz jesteś w takim miejscu. Nie ma czego się bać. – Poklepał Młodego po ramieniu; same kości. – W kanałach jest najbezpieczniej.

– Aha – mruknął Młody.

Widać było, że kiedyś już schodził i ma inne zdanie.

Za nimi hałasował Albert. Przy każdym kroku wzburzał mętną wodę i dotykał ścian, rozkrzyżowując szeroko ramiona. Obracał głowę na wszystkie strony i zdawał się rozpoznawać mijane tunele. Czasem wyprzedzał Josepha i Młodego, wskazywał inną drogę. Niewiele mówił, oczy miał półprzymknięte.

– Nie obiecywałbym sobie zbyt wiele na twoim miejscu – westchnął Joseph. – Walki potrwać jeszcze parę dni. Może tydzień. Może zdołamy przebić się do lasu. Do Prus. Do partyzantów. Może...

– Nie – odparł Młody.

– No to co chcesz zrobić?

– Jest jeszcze doktor Ley.

– Och, znowu to.

Młody chwycił go za ramię. Miał gorejące oczy.

– Doktor Ley żyje. Ma armię i broń. Z jego pomocą zabijemy ich wszystkich. Polaków. Francuzów. Powitamy Włochów jako zwycięzcy. A jeśli nie...

– Właśnie. A jeśli nie?

Młody przełknął ślinę.

– Zabiję tylu skurwieli, ilu zdołam. A potem niech mnie zabiją.

Joseph pociągnął Młodego naprzód. Ten nie chciał, ale Joseph był silniejszy.

– Teraz posłuchaj. Ley albo zwiął, albo zginął, albo, co najpewniejsze, leży w jakiejś dziurze urznięty w pesteczkę, wyłazi tylko po wodę, sra pod siebie. Robert Ley, mój chłopcze, nie umiałby wsadzić sobie lufy w dupę, skoro już o nim mowa.

Wiem to. Nigdy nie umiał.

– Nie mów tak – syknął Młody. I zaraz, ciszej: – Niech pan tak nie mówi.

Joseph poczuł się, jakby rozmawiał z synem, ale jego syn już nie żył.

– Słyszałem kiedyś, że to Polacy wymyślili cały ten kram z Leyem. Po to, żebyśmy nie złożyli broni, żeby można było nas wyrznąć jednego po drugim, żeby mogli patroszyć domy. – Podniósł głos do krzyku. – I czasem w to wierzę, gdy patrzę na płonące miasto, gdy patrzę na...

Zacisnął pięści. Zamilkł. Młody nic nie odpowiedział, spuścił głowę i zagryzł wargi. Szli więc dalej w milczeniu. Albert chlupotał, Marika i Heinz coś tam z tyłu szeptali. Gdzieś z głębi kanałów dochodziły przerażające wrzaski, ledwo słyszalne. Z bardzo daleka.

Błyskali latarkami i Joseph dostrzegł coś, co mu wcześniej umknęło: Fritz szedł tuż za Albertem, wpatrując się weń z morderczą nienawiścią. Zaciskał pięści i przechylał całe ciało do przodu, jakby szykował się do skoku. Znów słyszeli krzyki. Na ich dźwięk Albert przyspieszył.



Joseph pierwszy wystawił głowę z kanału i zaraz się cofnął. Złapał głęboki oddech, wyskoczył i usiadł obok ruin spalonej kamienicy. Karabin położył na kolanach. Na powierzchnię wychodzili kolejno pozostali. Nikt nie wyrzekł ani słowa.

Zwłoki były wszędzie. Trupy żołnierzy leżały wzdłuż ulicy, jakby zostali rozstrzelani. Od czarnych kamienic bił smród rozkładających się ciał. W oknach wciąż tkwiły czerwone głowy. Tuż obok Josepha leżał snajper, strącony z dachu. Upadek rozpląszczył go w krwawym rozbryzgu. Nie wypuścił broni. Osmalone drzewa i latarnie obsiadły całe stada ptaków, wszędzie włączyły się głodne koty – na widok grupy Niemców kilkanaście

wychudzonych kształtów zastygło. Młody zaczął łkać. Albert patrzył obojętnie. Heinz zasłaniał oczy Marice, ona chciała to zobaczyć.

– Dziesięć minut – powiedział Joseph.

Rozdzielili się na dwie grupy. Joseph z Młodym i Fritzem skierowali się do kamienicy po lewej, reszta do tej naprzeciwko. Joseph słyszał, jak tamci klną, potykając się o ciała. W rogach kamienicy jeszcze tlił się ogień. Zabrakło nawet resztek wspomnień po dawnym życiu. Żadnych potrzaskanych mebli, garnków, zabawek – nic tylko puste, wypalone pomieszczenia z dziurami w podłogach, o poczerniałych ścianach, z wyrwami w miejscu okien.

Na piętrze ciał było już mniej. Zastali tylko dwa trupy w mundurach obrony przeciwlotniczej, zastygłe, niemal przyklejone do MG-34. Lufy mierzyły w wylot ulicy. Joseph popatrzył w tamtą stronę, na kłęby dymu i resztki potężnej barykady, skleconej z rozwalonych samochodów, worków z piaskiem, mebli. Przez jej środek biegła wyrwa, jakby wybita wielką pięścią. Kilkanaście ciał rozwleczonych po obu stronach ulicy wzdłuż kamienic.

Joseph wskazał drogę na drugie piętro, ale schody były rozwalone. Poświecił tylko latarką na dłonie i głowy, roje much nad nimi. Fritz znalazł przejście do sąsiedniej kamienicy przez dziurę w ścianie. Było tam pusto i ciemno, śmierdziało prochem i uryną. Na wyższych piętrach trzepotały się gołębie. Korytarze były wąskie, pokoje niewielkie, poprzedzielane kruchymi ściankami. Wspinali się, uchwyciwszy się poręczy. Młody wyrwał się przodem, zniknął Josephowi z oczu. No to co? Niech sobie biegnie. Joseph przypomniał sobie Krattenfernów, ciepłe światło, dobrego śledzia. Cokolwiek, wszystko jedno co, byle nie było chłodne. Wydawało się, że u Krattenfernów gościli tysiące lat temu.

Gdy wyszli na ostatnie piętro, znaleźli Młodego. Na dachu. Prawdopodobnie uwiesił się na belce, podciągnął się, wpełzł na dachówki. Teraz stał sztywno, dłonie wisiały mu po bokach jak przetrącone. Joseph cieszył się, że nie widzi jego twarzy. Młody

spoglądał na Berlin, na dzielnice, w których dogasał ogień, może widział nawet smutne kolumny ludzi opuszczających miasto, otoczone kordonem. Nad jego głową terkotały krzyże samolotów.

Pozwolili Młodemu patrzeć. Joseph chciał się wynosić do stu diabłów. Przy diable sto pierwszym siądą i pomyślą, co dalej. Najchętniej pozostawiłby każdemu wolną rękę, niech idą, gdzie chcą. Taki Młody może jeszcze go potrzebował. A nawet Fritz. Joseph już ich nie chciał, bo przecież świat wcale się nie skończył wraz z załamaniem powstania czy samobójczą śmiercią Krattenfernów. Dla nich może było to wyjście dobre. Tylko noc jest długa. Zmrużył oczy. Pociemniało.

Tu, na ostatnim piętrze, zastali ślady czyjejś aktywności. Choćby stary nachtkastlik, po którym najpewniej Młody doskoczył do belki i wdrapał się na dach. Jeszcze szafa dwudrzwiowa, w której można by zmieścić słonia, dwie wysokie lampy stojące, stół z nogą jak u smoka, za to z dziurą w środku. Fritz ruszył naprzód. Joseph już wiedział, o co chodzi: o chlebak ciśnięty w kąt, wyjedzoną miskę, aluminiową łyżkę, ułożoną równiutko na brzegu. Fritz znalazł się przy szafie, otworzył drzwi szarpnięciem, wsadził pistolet w ciemność. Zabrzmiało szuranie i z dna szafy podniósł się facet. Gapił się wprost na pistolet Fritza. Odsunął go palcem. Zaraz wrócił na poprzednie miejsce.

Facet wstał, otrzepał galowy mundur partyjny, kiedyś biały, teraz poczerniały, z oberwanymi końcami rękawów. Tylko opaska na ramieniu była w miarę czysta. Facet miał szeroką twarz i spiczasty nos. Wyglądało na to, że od paru dni próbuje zmienić swój wygląd. Zapuścił niechlujną krótką brodę, we włosach miał popiół. Wyszedł z szafy. Otrzepał się. Fritz nie opuścił broni, pozwolił jednak mężczyźnie zbliżyć się do Josepha.

Facet był niższy o głowę, pękaty, śmierdział wojną. Wyciągnął dłoń i nie wydawał się zdziwiony, że Joseph nie chce jej uścisnąć. Miał piskliwy głos, jąkał się:

– Je-je-jestem do...oktor Robert Ley.



Okazało się, że Fritz rzeczywiście bywał na festynach przed wojną, widywał Leya i rozpoznał go, gdy stanął w dziennym świetle. Jego zdaniem Ley schudł i zmienił mu się wyraz oczu, ale nie dlatego, że wytrzeźwiał. Niemal się nie poruszały. Joseph chciał klasnąć mu przed nosem.

Przed wieczorem przeszli dziesięć przecznic, nie spotykając nikogo. Żadnych ciał. Można by pomyśleć, że żywi zawinęli się w zmarłych, naciągnęli ich skóry na siebie i oderwali się od ziemi. Ogień południowych dzielnic przypominał wachlarz. Albo kleszcze. Różnie myśleli. Co godzina, co czterdzieści minut dochodziła seria wystrzałów, pojedynczy wybuch i dalekie krzyki, do których zdołali już przywyknąć. Gąsienice pojazdów opancerzonych pozostawiały głębokie koleiny w mokrej ziemi. Na ścianach widniały rzędy dziur po kulach, między nimi już zatarte informacje: nazwiska, daty, adresy. Jesteśmy tu i tu. A tam nie było już nic.

Pod wieczór dotarli do miejsca, które wydawało się bezpiecznym schronieniem: nowoczesny budynek biblioteki, w którym – nie licząc wybitych szyb w oknach – ostatnie piętra pozostały nietknięte. Świstał wiatr, gdzieś w głębi migotał ogień. Joseph dał znak ręką, przystanęli, zadarli głowy. Coś walnęło, mocno, kilka przecznic dalej, pewno na Karostraße. Joseph zastanawiał się, co tam jeszcze może być. W niebo poszedł kłęb dymu i ognia, za nim podmuch. Pofrunęły papiery, czarne płyty i coś jeszcze. Prosto na ich głowy spadała wielka czarno-czerwona masa o ognistych brzegach, niczym smok zsuwający się z ostatnich pięter biblioteki. Nim ktokolwiek uskoczył, schronił się w bramie, choćby padł na ziemię, smok rozerwał się na setki papierowych skrzydeł. Płonące książki, zrzucone podmuchem. W większości same okładki, niektóre twarde, składały się i spadały jak kamienie. Inne dopalały się w krótkim locie, inne powiew powietrza rozdmuchiwał w intensywną czerwień. Obsypały ich iskry i popiół. Marika pognała na oślep, przykucnęła w cieniu. Zaczęli kłąć, rzucać kurwami. Najbardziej

doktor Ley, który szedł przodem.

– Ty, posłuchaj go – powiedział Fritz do Młodego.

Doktor Robert Ley, obsypany popiołem z tłących się kartek, z iskrami rozpalającymi resztki skudlonych włosów, przeklinał, składając niepodrabialne związki słów i znaczeń. Ginęły w głowach słuchaczy, wyparte przez następne. Brzmiały w nich i prostota, i bawarska radość wulgaryzmu, dźwięczał romantyzm oraz Hegel, zawilość Jüngera i klarowność Hamsuna, zwieńczona piętrową kurwą, chujem, wieprzem i bucem na kaczych łapach. Ley zamilkł, otrzepał się niedbale, omiółł wszystkich wzrokiem. I zaczęli się śmiać. Nawet Młody z Antonem, nawet Joseph, który zapomniał, jak to jest, patrzył na rozwarte gęby i sam rechotał w głos, w niebo, gdzie jeszcze wirowały resztki książek.

Poszli dalej. Odgłosy walki czy może pogromów grzmiały coraz bliżej, z różnych stron. Kilka, kilkanaście serii, potem pojedyncze wystrzały i cisza. Znów serie i dziesięć minut spokoju, czasem nawet godzina. Zeszli w głąb, do piwnic. Nie rozpalali ognia. Joseph rozdzielił chleb. Otworzyli konserwy, pili wodę. Ley usiadł w kącie, oparty o ścianę. Zamknął oczy. Młody zerkał na niego, chciał się przysiąść. Joseph mu nie pozwolił.

Joseph przyświecił na mapę. Pomyślał o Robercie Leyu.

– Jutro wychodzimy z Berlina. Przeprowadzę was bezpiecznie – mówił powoli. – Tam postanowimy, czy przebijamy się do Prus, czy się rozpraszamy. Nikt nikogo nie będzie oceniał. Każdy sam podejmie decyzję.

– I co w tych Prusach? – zagadnął Fritz.

– Powiedz lepiej, jak przejdiesz? – dodał Heinz.

– Mam przyjaciół w Gdańsku. Gdańsk stoi nieruszony. – Głos Mariki dobiegał z ciemności. Widzieli tylko jej dłonie na ramionach Heinza. Kilka dni temu to by się nie zdarzyło.

– Nie ma sensu tu zostawać. Nie mamy komu się poddać – warknął Joseph. – Walczymy tu sześć tygodni.

– Bez przesady. – Fritz machnął ręką – Padam na pysk, ot co.

– Ja pójdę – odezwała się Marika.

– Gdzie pójdziesz? – Joseph odebrał od niej chleb.

– Do Gdańska.

– Nie ma mowy! – wykrzyknął Młody. Poszło echo. Przestraszył się. Już szeptał. – Nie ma mowy, nie pójde. Tu mam swoich. Choćbym sam miał... No co wy? Jak wy w ogóle... tam...

– Tak. Słyszałem, że mo-mo-można się poddać. – Do rozmowy włączył się Robert Ley. – Moi ludzie rozważali taką możliwość na dzień przed walką. Paru odeszło i myślę, cóż, w tej sy...ytu-tuacji mieli trochę racji. Wiem, co stało się z tymi, co... co wa...alczyli. Domyślam się, jaki jest los uciekinierów. A ci? Pewno siedzą teraz w jakimś punkcie zbiorczym. Potem trafią do ba-ba...araków, będą mieli tam teatr, orkiestrę, ka...aka-karty do gry. Przydział papierosów i czekolady. Raz w miesiącu przeczytają listy od swoich kobiet. A potem wywiozą ich na wschód. Można odrobinę ch-ch-leba?

Podali mu. Przełamał, brał do ust małe kęsy. Ruszał uszami przy każdym nagryzieniu.

– N-n-nie myślcie sobie, że wschód jest zły, n-n-nie mówię o Rosji. Gdzie tam – żuł – raczej o posiadłościach w Polsce. A i to – omal się nie zadławił, popił wodą – wcale nie na długo. Parę latek. Wróca. Może któryś nawet P-p-polkę przeleci. Wiejskie dziewczyny tam, u-uch! Nie ma co! I akurat przyjadą tu. Może Berlin będzie za...orany. Cholera wie. A jak będzie, są inne mia...asta. Wszystkich nam nie zburzą. Może Berlin odbudują, myślę sobie, więc poznajdą swoje stare domy. Wy też poznajdujecie i tam ktoś będzie. Jacyś s-s-starzy mężczyźni. Rozpoznacie w nich ojców czy nie? Albo dziewczyny. Dużo mamy dziewczyn. Wychowacie razem ich p-p-polskie dzieci.

Joseph wstał.

– Mówię, do Prus.

– A idź sobie – warknął Młody.

– Nikogo nie trzymam.

– My chcemy iść – rzucił Heinz.

– Iść gdzie?! – wrzasnął Joseph.

Stali naprzeciw siebie, Joseph z dłońmi wysuniętymi przed siebie, zwalisty Fritz, Heinz z miną, jakby chciał rzucić się na ścianę. Korytarze piwnic zwielokrotniały ich głosy, słowa o Prusach, walce i ucieczce rozpełzły się pod skórą Berlina.

– Jest b-b-bron – rzekł doktor Ley.

Usłyszała go tylko Marika.

– Jest bron – powtórzył.

Fritz i inni obrócili ku niemu zdumione oczy.

– Gówno prawda – stwierdził Joseph.

Robert Ley wyszedł na środek piwnicy między znieruchomiałych, wyprężonych ludzi. Przejął lampę. Poświecił im po twarzach. W powietrzu unosiły się kłęby kurzu.

– P-p-projekt, o którym mówię, dotyczył broni defensywnej, przygotowywanej na wypa...adek sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, to znaczy mam na myśli sytuację p-p-podobną do tej. Gorszej nikt nie przewidział. Nie mogę powiedzieć, że robiliśmy to wbrew Hitlerowi. Jeśli nawet się do-do-do-wiedział, myślę, że częściowo rozumiał, jak bardzo jest to potrzebne. – Oczy mu rozbłysły. – Posłuchajcie mnie. Ale najpierw po-po-słuchajcie siebie.

Wyglądał śmiesznie – okrągły gość wędrujący ze światłem od twarzy do twarzy.

– Siłacz, prawdziwy żołnierz, za-za-zabijaka, może morderca, co nagle wylądował w norze, gdzie – Boże, przebac – nie ma nawet okazji do zabijania. Fritz, myślałeś o naszych ga...ardłach? Umkniesz. Ty umiesz. Zgnijesz gdzieś w partyzantce albo na wsi. Kark masz już przetrącony.

Marika cofnęła się przed nim w ramiona Heinza.

– Zakochani. Będziecie parzyć się na trupach i po-po-rodzisz zmarłych.

Ręka Josepha do ciosu uniesiona.

– Ka...apitan, który powinien być sie-sie-rżantem lub ge...enerałem, zniesie wszystko, tylko nie władzę wymykającą mu się z rąk. Za mały na nasze czasy. Za wielki na ja-ja-

kiekolwiek inne. Jeśli wyprowadzisz nas wszystkich, myślisz, że zapomnisz o tych, którzy tu zo...ostali? Ilu ich mia...ałeś – jego usta tuż przy ustach Josepha – a... ilu masz? Ocaleni będą ci tylko przypominać o zmarłych.

Zachwycony Młody.

– Mo...ożesz zabić dziesięciu. Stu. A ja mówię, że mo...ożesz zabić ich wszystkich. Nie umrzesz, jeśli zostaniesz ze mną.

– Nie mąc mu we łbie – rzucił Joseph. Za słabo.

Albert ponury, o trupim, pociągłym pysku. Robert Ley przyglądał mu się najdłużej.

– Sinobrody – powiedział, ale twarz Alberta zdradzała tylko niezrozumienie.

– Wyobraźcie sobie, że możecie odwrócić o...o...statnie wydarzenia. Cały wrzesień. – Wskazał na ściany piwnicy, na okienko i ognie za nim. – Tego n-nie ma.

– Co ty pieprzysz? – Joseph opierał się o mur, założył nogę na nogę, splótł ręce na piersi. Nie podobała mu się zasłuchana Marika ani otwarta gęba Fritza.

– Nic ci nie ka...ażę. Ty tu dowodzisz. Ja mówię – Ley rozłożył dłonie, jakby chciał się poddać – to nie cu...udowna broń. To znacznie więcej. W-wyobraźcie sobie, że za miesiąc mo...oże być inaczej. Polacy u naszych stóp. Ich kobiety. Ich dzieci. My w Paryżu. W Londynie. W-w-wszędzie. Ja tylko was pytam – żyła wyszła mu na czole – czy macie inną n-adzieję niż moja?



Zebrali się w środku nocy. Berlin ucichł, wróciły dźwięki, których już nie pamiętali. Świergot ptaków. Szum wiatr śmigającego po dachach budynków, jakby jeszcze jakieś dachy były.

Joseph ślęczał nad mapą.

– Musimy dostać się o t-t-tu – Ley wskazał miejsce na mapie

krótkim, drżącym palcem – na Sitzstraße, d-do fabryk.

– Nie ma już fabryk – odrzekł Joseph zrezygnowanym tonem. – Poszły z dymem podczas nalotów.

– Są p-pod ziemią. M-magazyny.

– I tam są te twoje cuda?

– S-am je zwoziłem.

Joseph zapalił. Podsunął papierośnicę Robertowi Leyowi pod nos. Ley odmówił.

– Skoro zwoziłeś, to czemu nie użyłeś ich od razu?

– M-mieliśmy inne środki.

– O kurwa!

– N-nie ja ponoszę odpowiedzialność – rzekł Ley na wydechu. – Mówiłem Heydrichowi i innym. Nie czas, t-tak usłyszałem. Powinienem go zastrzelić. Na Boga, powinienem. J-jestem cywilem.

– Aha. I jako cywil pchałeś tam swoich?

– T-t-tak.

– Na Wille są Polacy. Jeśli gdzieś są, to właśnie tam.

– P-próbowałem się p-przebić. Zaskoczyli nas. Ta...ak nie wejdziemy. Nie górą. M-m-musimy iść kanałem.

Joseph zmarszczył czoło.

– Kawał drogi.

– Przeszedłem więcej.

– Kanałem.

– Ta...ak.

– To czemu masz czyste ubranie?

– Jakbym miał brudne, co byś w-wymyślił? – Ley nachylił się do niego. – Ja ciebie r-ozumiem. Lepiej niż myślisz. Tylko Bóg zna prawdę. O naszych d-d-duszach. My nie...

– Nie nadążam za tobą, Ley.

– M-możliwe, że na Wille jest tyle wojska, że nie przejdziemy.

Albo że b-bomby zawały wejście i nie damy ra...ady.

Josepha złościło to jego jąkanie.

– Albo Polacy już przejęli te twoje cudenka.

Ley roześmiał się i pokręcił głową.

– Nie umieliby. P-popatrz na niego – skinął głową w stronę Młodego – i na nich, Heinza i Marikę. Nie d-daj im się rozsypać. Albo – włożył mu pistolet do ręki, lufę kierując na siebie – r-rozwal mnie, jeśli mi nie w-wierzysz.

– Te czasy już minęły, doktorze Ley. – Joseph odepchnął broń, jak odpycha się coś śliskiego i cuchnącego. – Powiedz mi lepiej, jak tam się dostać. I jak się stamtąd wydostaniemy.

– B-będziemy mieć broń.

– Och...

– Będzie broń, ale jak iść, nie wiem.

Joseph wbił wzrok w plan. Jego strzępy. Nie umiał już odróżnić załamań i zagięć od dróg. Nie wiedział, co stoi, a co płonie. Wrócił myślami do doktora Leya i jego pistoletu.

– Ja wiem – zabrzmiał głos z ciemności.

Poderwali głowy.

Do planu zbliżył się Albert.



Puścili go przodem, kanałowego olbrzyma z głową całą w guzach. Jego plecy to opuszczały krąg światła, to weń wchodziły, wygięte, przechylone w lewo. Wielkimi dłońmi rozgarniał wodę. Josephowi kojarzył się ze ślepym trollem łowiącym ryby w jaskini bez wyjścia.

Joseph kazał zatrzymywać się przy każdym rozwidleniu i szukał tabliczki na mokrym murze. Czasem znajdował, a czasem nie. Albert pędził wówczas dalej, odwracał się i machał na nich, wyraźnie zniecierpliwiony. Potem jeszcze bardziej przyspieszał, rozchlapując przy tym wodę.

Gdy przystawali, żeby odpocząć, rozbrzmiewały różne odgłosy, ale nikt (może oprócz doktora Roberta Leya) nie umiał wskazać ich źródła. Wrzaski, strzały, które już spowszedniały, głuche tąpnięcia, jakby przez Berlin maszerował olbrzym z głową w chmurach. Świst samolotów, pogwizdywanie bomb, bardzo rzadkie, bo niepotrzebne. Śmiechy z dalekich ciemności. Chlupotanie wody, a także zupełnie niewiarygodne odgłosy, wyciszone przez chlupot wody. Szczekanie psa. Płacz dziecka. Melodia piosenki. Dźwięki pianina. I głęboki pomruk, niby spod ziemi. Jakby budził się wielki potwór. Woda filtrowana przez jamy jego nozdrzy. Błędne światło trupich oczu na końcu korytarza.

– Wiesz, na co się cieszę? – Fritz zrównał się z Josephem. – Na palenie ubrań, kiedy to się skończy. Wezmę długą kąpiel. Taką, kurwa, gorącą. A potem wyjdę przed dom, jakikolwiek on będzie, i spalę to, co mam na sobie. Cuchnę, kurwa, gównem.

– Wielkie mi rzeczy.

Milczeli chwilę i w tym milczeniu było coś, czego nikt nie chciał słyszeć. Daleki wrzask.

– Dałbym sobie ucho uciąć, żeby wiedzieć, o czym myślisz w takich chwilach.

– Mówisz jak dziewczyna.

Fritz roześmiał się.

– Myślałem o dziwce Antona. Naprawdę.

Teraz śmiali się obaj.

– Faktycznie. Cały czas o niej gadał. Ciekawe, czy czeka.

– Gdzie tam. Poszła w cholerę.

– No tak.

– Zastanawiam się, jaka była. Czy taka, jak mówił, czy inna. Obiecała mu, że poczeka.

Krzyk znów się powtórzył. Brzmiała w nim straszliwa żałość. Joseph nigdy nie słyszał niczego podobnego.

Tym odcinkiem płynęła w miarę czysta woda. Niby nic, co

przypominałoby o wojnie. Tylko ogryzki jabłek. Taflą sunęły papierzyska i resztki kartonowych pudeł, kawałki drewna. Na kilkadziesiąt metrów przed rozwidleniem niby cudaczny statek wypłynęło pudło ze zdobionych desek, które okazało się kołyską – taką, jaką widuje się w dobrych domach. Lakier błyszczał. W środku na poduszkach leżało martwe niemowlę, już nadjedzone przez szczury. Czarne paluszki zastygły na kartce. Joseph zdusił jęk i odepchnął kołyskę bagnetem. Wszyscy przypadli do ściany i pozwolili jej przepłynąć.

Joseph zabrał ze sobą Młodego i wyprzedził Antona. Świecił przed siebie, słuchał chlupotania wody i obawiał się tego, co jeszcze nią przyplynie. Nigdy nie miał bogatej wyobraźni, wystarczyło mu to, co widział. Nie zastanawiał się nad rodzicami zabitych żołnierzy, nie przywoływał widoku osieroconych dzieci samotnych kobiet. Dziwka Antona zagościła w jego głowie tylko dlatego, że tyle o niej słyszał. Teraz, błyskając latarką po brązowych ścianach, nie mógł przestać myśleć o matce, która włożyła swoje dziecko do kołyski uszczelnionej papierem parafinowym.

Nikt się nie odzywał. Fritz ostentacyjnie żuł gumę. Przy następnym skrzyżowaniu krzyk zabrzmiał po raz trzeci, bardzo blisko. Joseph poszukał tabliczki i powstrzymał Antona, któremu spieszo było do tego krzyku. Dał znak, żeby poczekali. Zabrał tylko Młodego. Zagłębili się w korytarz. Joseph zaryzykował i krzyknął. Poprosił Młodego, by potrzymał latarkę. Wymierzył broń. Coś zachlupotało. Coś mignęło. Łkanie. I czarny człowiek wyskakujący z wody. Wprost na nich i nie na nich, rozsunęli się i mężczyzna, zataczając się i jęcząc, przetoczył się obok.

Był to esesman w brudnym mundurze. Oczy miał wyłupione. Na policzkach zastygły mu dwie smugi krwi. Odbijał się od ścian, jego dłonie szukały ludzi, wszyscy jednak odsuwali się od niego. Jeden Młody chciał iść, ale Joseph mu zabronił. Esesman musiał coś słyszeć, zwolnił bowiem, okręcił się wokół własnej osi, wyciągnął ręce przed siebie, jak mógł najdalej. Natrafił na ścianę. Cofnął się, przerażony, akurat przed Marikę. Chyba słyszał jej oddech. Heinz ją odciągnął i esesman wyrósł przed

nim. Ciemne jamy zamiast oczu. Twarz Heinza zastygła.

Fritz ruszył w stronę esesmana. Podniósł broń. Niemiec musiał coś zważać, bo rzucił się do ucieczki, rozchlapując wodę i wrzeszcząc. Fritz złożył się do strzału, wypalił dokładnie w chwili, gdy esesman uderzył o ścianę i opadł na czworaki. Zniknął pod wodą, próbował płynąć, wynurzył się już na granicy światła. Zniknął, nim Fritz strzelił ponownie.



– Myślałem, że to bujda – odezwał się Fritz podczas postoju. Napił się z manierki, otarł usta.

– Bujda z czym?

Joseph opierał się o ścianę.

– O tych esesmanach.

– Nie chcę tego słuchać – mruknął Heinz.

– Zakochany, no co ty...

– Powiedziałem: nie chcę.

– No dobra – roześmiał się Fritz. Odciągnął Josepha na bok. Podniósł głos, tak żeby wszyscy słyszeli. – Różnie mówią, że Polacy, że Francuzi mają listę tych, co im się narazili przed wojną. Głównie esesmanów. A może nie ma żadnej listy, tylko chodzi o wszystkich z SS? Robią z nimi to, cośmy widzieli. Wyłupują oczy i wrzucają ich do kanałów, żeby... Żeby przestraszyć takich jak Młody albo on. – Wskazał Heinza.

– Nie mów, że się nie bałeś.

Fritz parsknął.

– Pewnie, że tak. Ale oni nie myślą o takich jak ja.

– Niedługo nastanie koniec.

Do rozmowy włączył się Robert Ley. Łysy, stary, okrągły, przypominał partyjnego urzędnika, zesłanego do kanałów za przestępstwo korupcyjne. Nieustannie czyścił sobie dłonie.

Przeciągał pod paznokciem zębkiem grzebyka i spłukiwał ręce wodą.

– Chodźmy – zdecydował Fritz.

– Weźmiemy odwet za tego człowieka. Za to dziecko i za wszystkich. T-t-ty – wskazał na Fritza – masz rację. Takich jest w-w-więcej. Ślep-p-pych. Ro...ozgrzewają bagnety. W-w-idziałem takich, co wyszli na po-powierzchnię. Kilkudziesięciu. Szli jeden za d-d-rugim, trzymając ręce na ramionach poprzednika.

– Dosyć. – Fritz pociągnął Leya dalej, w kanał.



Mimo sprzeciwu Alberta Joseph postanowił, że spróbują wyjść na górę. Ostrożnie zdjął kratkę, wystawił głowę. Świszczał wiatr, unoszący nitki ognia z płonącego budynku. Tu mieścił się jeden z domów partii albo jakiś urząd, znać to po szerokich schodach, kolumnach i swastyce strąconej, z ramieniem roztrzaskanym o bruk.

Bał się podnieść wzrok. Nie widział twarzy idących ludzi. Tylko nogi, brudne dłonie, kurtki, bluzy, koszule do wysokości piersi. Kolumna cywilów maszerowała najpewniej do obozu przejściowego, w każdym razie poza Berlin. Szli bardzo powoli, potykali się, czasem w polu widzenia Josepha znalazła się twarz kogoś, kto upadł, albo dziecko. Uchodźców pilnowali żołnierze w zielonych mundurach. Karabiny trzymali nisko, szli też niemrawo, zmęczeni, choć chyba były to świeże siły.

Jeden polski żołnierz dostrzegł coś, co go zaniepokoiło, może nawet samego Josepha wystawiającego umorusany łeb z kanału. Dał znak innym, podbiegł. Joseph osunął się po drabince, szczęknęła kratka. Popędzili, prowadzeni przez Fritza. Między nimi, od Alberta po Marikę, objął się doktor Robert Ley.

Albert szybko wysunął się na prowadzenie. Niemal pędził, zniknął w ciemności, chlupotał w oddali, nawoływał i sapał. Przy rozwidleniu go nie zastali, Joseph szukał tabliczki, zerkał na plan

i miał ochotę na kogoś wrzasnąć. Albert wyłonił się z rozwidlenia po lewej, oświetlony latarką, długie cienie na plecach układały się w smugi na kształt skrzydeł. Kiwał na nich, coś wołał. Jedynym, który próbował za nim nadażyć, był Robert Ley, z kolei za Leyem sunął Młody i tak to szło. Joseph złapał się na tym, że ma ochotę zmiąć plan i po prostu iść przed siebie.

Marika coraz gorzej znosiła wędrówkę, ale nie obciążała nikogo swoim zmęczeniem. Odtrącała ramię Heinza, zbierała siły i zaczynała pruć naprzód, by za chwilę zwolnić, zamarudzić gdzieś na końcu grupy. Razem z nią zniknął Heinz, wyłaniali się osobno po obu stronach kanału. Odgarniała włosy za uszy i zawsze otrzepywała ręce. Młody wydawał się mieć więcej sił niż pozostali razem wzięci. Skakał wokół doktora Leya, pytał, domagał się odpowiedzi. Do Josepha dochodziły strzępy rozmów. Chciał i nie chciał tego słuchać. Ley, jękając się i klepiąc się po łysinie, plótł coś o ogromnych przestrzeniach na wschodzie, gdzie uzbrojeni po zęby niemieccy rolnicy spoglądają co wieczór na zieleń swych latyfundiów, o swastykach nad Warszawą, Mińskiem, Moskwą, jakby już je widział z kanału. Młody słuchał, chrząkał, pytał. A Ley zdumiewająco gładko przechodził do konkretów. Mówił o sposobach wyniesienia broni z magazynów i pierwszym ruchu po jej wydobyciu.

– O...odbijemy kwartał ulic. P-Polacy będą zaskoczeni, nie wiedzą co, mamy. Da n-n-n-nam to parę dni oddechu. Ludzie napłyną. Z-zdołam ich przeszkolić i użyć. Nikt się n-nie spodziewa, że t-t-t-to mamy.

Głos Leya nikał i powracał, tak samo jak robił to Albert. Duchy kanałowe. W takich miejscach wierzy się ludziom.

Albert krzyknął, że już niedaleko, i znów zniknął. Skręcili w lewo. Kanał schodził lekko w dół i się rozszerzał. Ściany były ledwo widoczne w słabym świetle. Joseph kazał grupie zewrzeć szyki. Szli teraz gęsiego. Blisko na wyciągnięcie dłoni. Minęło kilka minut, nim zorientował się, że słyszy tylko kroki, oddechy, chlupotanie wody. Nie rozbrzmiewał już płacz, nie dobiegały strzały z góry. Odetchnął, poświecił latarką wokół siebie. Otaczały go pociągłe, nieznane blade twarze. Kilkanaście.

Zgarbione sylwetki. Dłonie o połamanych paznokciach. Półdługie włosy, przylepione do szarych policzków usmarowanych w wojenne barwy. Sine zęby w kleszczach wąskich warg. Joseph machnął latarką. Albert był teraz taki sam jak oni – zgarbiony, o mętym spojrzeniu.

Obcy wzięli ich w półokrąg. Nie mieli broni palnej. Jeden karabin w dłoniach grubego mężczyzny, pół rzeźnika, pół małpy z obnażonym włochatym torsem. Trzymał broń jak maczugę, za lufę. Na kolbie zaschła krew. Inni mieli kije i pręty, długie noże, pogrzebacze, bagnety, wszystko, co nadaje się do walki w ciemnościach i nie stanie się bezużyteczne po zamknięciu, coś, czego mogą używać nawet dzicy.

Chwila wahania. W oczach Alberta widzieli odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

Gruby mężczyzna wydał z siebie wysoki skrzek i machnął krótką pałką. Na ten sygnał tamci skoczyli w kilkunastu. Pierwszy strzelił Fritz. Skrzeczącego mężczyznę z krótką pałką otrzepało jak po wypiciu setki i poleciał na plecy z przedziurawionym gardłem. Woda przykryła go bez śladu. Inni, półnagie jaskiniowe potwory, rzucili się bezładną falą, bijąc i gryząc. Joseph stracił orientację. Słyszał wrzaski, przeraźliwy pisk doktora Leya, wystrzały, chlupot. Nie widział swoich. Przed nim wyrastały kolejne dzikie twarze, ruch rozwierał im usta, zmieniał w paszczę bestii. Strzelał w nie, wtedy pękały, nikały, wypierane przez następne. Karabin szczęknął, wydając smutny dźwięk pustego magazynka. Joseph walił kolbą, potem wyrwał kij z czyjejs martwiejącej dłoni i bił nim. Ktoś ugryzł go w ramię. Ktoś inny wbił mu pazury w pierś. Głęboko pod koszulę. Joseph odepchnął go i roztrzaskał mu czaszkę.

Machnął światłem. Przed nim wolna przestrzeń na krok. Skoczył. Zabił. Szukał Alberta, ten zniknął, zlał się z otoczeniem albo umarł, może nawet on sam go unicestwił. Wszyscy tacy podobni. Garby. Ciała skręcone z żył. Rybie oczy. O, kolejna gęba. Joseph uderzył, wcisnął oczy palcami wolnej dłoni, znalazł się na klęczkach z wodą po szyję. Podeptał i rozgniół ciało w agonii, odskoczył i pozwolił mu wypłynąć – to była kobieta. Muskularna

Niemka o kwadratowej szczęce.

Nagle wokół niemal nikogo. Biały morderca osuwający się po ścianie, oko równie mętne jak woda, w której tonął. Szerokie plecy w białej koszuli, mały martwy lewiatan w berlińskim kanale. Przez środek grzbietu kręgi przypominające łuski. Szara rozmazana twarz na powierzchni wody. Bagienny umrzyk ze świetelkiem nad głową.

Joseph chciał zawołać swoich. Stał pośrodku kanału, świecił między cienie. Ktoś tam jeszcze krążył, nie wiedział jednak kto. Układał sobie w głowie słowa, coś o tym, żeby podeszli, kto może, i czy wszyscy żyją (czy pan żyje, doktorze Ley?), ale z jego ust wydobył się tylko jęk. Jak westchnięcie nad pogorzeliem. Zawodzenie żywego wśród umarłych.

W pierwszej chwili nie poznał Fritza. Już chciał uderzyć, wzięwszy go za jednego z tych drani. Fritz trzepotał czymś, co przypominało krwawe chrząstki zawinięte w mundur, a okazało się Albertem. Joseph poznał go po długich ramionach. Nadal nie umiał nic powiedzieć. Fritz cisnął ciało, odepchnął kopnięciem, opłukał dłonie. Otrząsnął się. Chwilę patrzyli na siebie. Joseph odetchnął. Z głębi kanału wyłonił się brudny grubas w towarzystwie stracha na wróble. To Robert Ley ciągnął Młodego albo na odwrót, razem ratowali się przed wywrotką. W wolnych rękach trzymali pistolety. Jakby z nimi zrosnięte. Metalowe przedramiona. Skóra na kolbie. Płacz poszedł z głębi trzewi. Krótki i tym bardziej przejmujący.

Marika podtrzymywała Heinza, żeby nie utonął. Nie radziła sobie z dużym sztywniejącym ciałem. Próbowwała zamknąć kochankowi usta, by nie nalała się do nich woda.



Kilkaset metrów dalej natknęli się na zaimprovizowany obóz dzikich, założony na stacji filtrów. Najprawdopodobniej często się przenosili w obawie przed powstańcami, przemieszczającymi się kanałami. Nic trwałego. Składane krzesła i miejsce na

palenisko, Wokół żadnego drewna. Kupki kości kur, kotów, psów i ludzi. Objedzone czaszki. Joseph strącił je do wody. Bił ręką w ścianę z wściekłości.

W klatce z krzywo pospawanych prętów znaleźli dwie obłąkane kobiety. Nagie, pobite, poranione w okolicach krocza. Dzicy wyrwali im zęby i obcięli dłonie, żeby nie mogły się obronić. Między Josephem a Fritzem rozgorzał krótki spór. Kapitan chciał je ocalić i wyprowadzić na powietrze, Fritz obstawał za błyskawicznym skróceniem cierpień. Kobiety w czasie tej rozmowy poszczekiwały i wypinały się do żołnierzy. Wybrano rozwiązanie Fritza.

Potem, już na górze, Fritz powiedział, że słyszał o tych ludziach. Jego zdaniem w pierwszych dniach okupacji w kanałach znikali szabrownicy i kolaboranci, poszukiwani przez ruch oporu, potem dołączali do nich oficerowie i dygnitarze, plasujący się wysoko na polskiej liście, wreszcie zjawiali się zwykli bandyci i przejmowali dowodzenie.

– Mówili mi, że takie bandy łążą kanałami i ograbiają rannych. Albo nocami wypełzają na miasto i włamują się do mieszkań – powiedział Fritz. – Niektórzy siedzieli rok w tych kanałach, to nie dziwota, że im się w głowach poprzestawiało. Ale żeby coś takiego?



Nikt się nie przyznał, ale Joseph wiedział – tęsknili za słońcem. Kanał przejmował zgrozą. Co chwila przystawali, nasłuchując. Przy rozwidleniu nie znaleźli tabliczki. Joseph wspiał się na drabinę, nasłuchiwał, pchnął kratkę. Dzień był jasny, bezwietrzny.

Wypełzli, przemknęli pod osłoną na wpół zniszczonej barykady i schronili się w jednopiętrowym magazynie. Cokolwiek tu przechowywano, zniknęło bez śladu. Joseph rozprostował płachtę planu Berlina o ścianę i próbował dojść, gdzie właściwie są. Robert Ley przebiegł na drugą stronę

magazynu. Wskazywał coś palcem, nawoływał.

Popatrzyli. Przed nimi ciągnęło się pogorzelnisko dzielnicy willowej, za nim straszyły wystygłe kominy fabryki. Jeden przetrącony przez bombę. Cały kompleks wydawał się być w dobrym stanie. Joseph wymienił kilka zdań z Leyem, razem przyglądali się mapie. Dał znak pozostałym. Zaryzykowali bieg przez otwartą przestrzeń do domu naprzeciwko. Tylko on oraz pas gołej ziemi po drugiej stronie oddzielały ich od celu.

Ktokolwiek mieszkał w willi, opuścił ją w pośpiechu, a ci, którzy ją rabowali, nie znaleźli chyba niczego dla siebie. Wyładowali wściekłość na meblach. Połamali stoły i bieliźniarki, ognisko z książek na piętrze osmaliło nawet wysoki sufit. W kominku wciąż leżało nadpalone drewno. Od dziecinnego pokoju przez schody i korytarz ciągnął się sznur zabawek: drewnianych marionetek, żołnierzyków, koników i innych zwierząt. Jakiś chłopiec chciał ich zabrać ponad miarę i gubił je, poganiany przez rodziców, w drodze do samochodu.

Z okna na piętrze Joseph ocenił sytuację. Polacy najwyraźniej nie mieli pojęcia, co skrywają podziemia fabryki, albo już to odkryli i wywieźli wszystko, co było do wywiezienia. Przed kompleksem stał samotny czołg 4TP, dwa transportery, motocykl. Kręcili się żołnierze. Może ośmiu. Młodzi i podenerwowani, o wąskich barkach. Łopotwały flagi.

Wycofali się w głąb kamienicy i czekali na noc. Podzielili chleb, jedli powoli, bo wtedy nie trzeba nic mówić. Łyk wody z manierki. Usta otarte rękawem. Brudne dłonie czyszczące broń. Młody bardzo chciał pokazać, że potrafi, walther rozsypał mu się w palcach, magazynek, szkielet, iglica, ta ostatnia potoczyła się prawie pod nogi Josepha. Joseph już wyciągnął rękę, ale zmienił zdanie. Odepchnął części z powrotem do chłopca.

– Ty, Ley – rzekł.

Doktor Ley obrócił do niego okrągłą głowę. Wyglądała, jakby zaraz miała zacząć dymić.

– Gdzie to dokładnie jest?

– N-n-a dole. Magazyn. Pod ziemią. D-drzwi zabezpieczyliśmy.

N-nikt nie znajdzie. P-p-patrzcie – kiwnął w stronę okna – t-ta ciężarówka się nada.

– Myślisz, że zdołamy się nią przebić? – zapytał Fritz z cienia.

Joseph ledwo słyszał jego słowa. Rozumiał, że są tu po to, by nie być gdzie indziej, a siła, która ich pcha, mimo całej złowrogości nie prowadzi w pustkę. Nawet o niej nie myślał. Tylko o Marice. Nic o niej nie wiedział. Prawie jej nie znał. Wyłoniła się z wojny i potrząsnęła cyckami. Zabijała jak mężczyzna. Teraz i krucha, i twarda. Zależy, gdzie nacisnąć. Ruina kobiety. Jak to miasto. Boże, taka sztywna, sucha, porusza się jak automat, jakby dusza opuściła jej ciało, a w jej miejsce weszło coś innego, uczyło podnosić dłoń, pić, gryźć.

– Nie wiem – odparł Joseph.

Do granic miasta nie było daleko. Cokolwiek Ley miał na myśli, działa i bomby raczej powinny pomóc.

– Jak myślisz, ile? – zagadnął znowu Fritz.

Daleka luna oświetlała mu twarz, księżycową, pełną kraterów i wyschniętych mórz.

– Co ile?

Tylko Marika, jej oczy, zagłębione w czaszce, jakby tonęły. Wędrują po wszystkich. Teraz spoczęły na nim, na Josephie, bezwstydnie. Jej wzrok spadał na zarośniętą twarz dojrzałego mężczyzny, na mocne dłonie, proste plecy, nawet jak siedział. Zastygli, ona i on. Cofające się spojrzenie, zwierzę niknące w norach oczodołów.

– Ile to jeszcze potrwa? – zapytał Joseph.

Nigdy o to nie pytał.

– N-nie możemy się poddać – odezwał się Ley.

– No to nas zarzną. – Głos Fritza brzmiał głucho i zbędnie.

– Nikt z n-n-n-nas.

– To już nie trwa – przerwał Joseph – sam nie wiem od kiedy. Ja... ja to straciłem, wiecie. Jak szliśmy.

– Ludzie wciąż walczą. – Młody odezwał się po raz pierwszy,

odkąd wyszli z kanałów.

– Tak. Walczą. – Joseph się zgodził.

Marika przewierciła Leya spojrzeniem od bandziocha po czaszkę. Ley w ogóle tego nie zauważył, zajęty odrywaniem skórki od chleba. Najpierw zjadał miękisz, potem skórkę. Wpychał okruszki do małych ust. Joseph pomyślał, że ten mały sukinsyn powinien śpiewać. Wtedy by się nie jąkał. Boże, Marika. Dawno nie miał kobiety. Nawet nie pamiętał, kiedy i gdzie. Jakieś cienie, jeszcze przedwojenne, podobne teraz do ludzi z przeświecionej kliszy. Może oczy Mariki jeszcze wrócą. Zmartwiało. Mówił z wysiłkiem.

– Damy sobie trzy godziny, doktorze Ley.

– W-wystarczy.

– Czy pójdziemy?

– Pojedziemy.

– Z-za miastem mam ludzi. Cz-czekają – wykonał dziwny gest ręką daleko przed siebie, trzepot palców, czary jakieś – n-na nas. Już b-byłoby po wszystkim, gdyby się t-tak nie spierdoliło.

– Gdyby się nie spierdoliło – powtórzył Joseph.

Ley rozłożył plan sytuacyjny na podłodze. Przyglądał się, wybałuszał oczy. Przytknął palec gdzieś piętnaście centymetrów za postrzępionym brzegiem.

Marika zwróciła się ku Młodemu, Joseph widział to, patrząc znad planu. Wygięła się, kotka w ruinach, coś nieznanego musiało się w niej mieszać, to coś kazało wyciągnąć szyję i ściągnąć łopatki, wpić palce w kolana i skrzyżować nogi. Jedno długie smagnięcie spojrzeniem jak suchy język, jak gorący wiatr w twarz. Młody nie wiedział, o co chodzi, i przegrał. Za słaby. Huknęło, gdzieś daleko runął dom.

– Tu – mówił Ley – tu przejdziemy. Do Pankow. M-mam tam ze set-t-tkę. Dobrzy ludzie, świeży, ale d-dobrzy. Dalej, na p-północ jeszcze z t-tysiąc-dwa. I więcej. W uśpieniu.

– Nie sądzisz, że ci ludzie potrzebni są tutaj? – zapytał Joseph.

– Nie. – Głos Leya zmienił się raptownie. – Tu już nikt nie jest

potrzebny.

Teraz Fritz objęty spojrzeniem Mariki. Nie wiedział o tym albo nie dał poznać po sobie. Zwracał uwagę tylko na plan i na konserwę, w której moczył chleb. Krępy, właściwie brzydki z tymi guzami na czole, z brodawką koło ust, blizną przy uchu. Dłonie robotnika. Albo mordercy. Bardzo brudne palce, ale klatka piersiowa pływaka, ramiona drwala, szybkie, mądre ruchy, pozorna obojętność żywego posągu. Marika jeszcze raz spojrzała w stronę Josepha. Zorientował się, że jeśli nie liczyć przedramion, siedzi w cieniu. Zapraagnął się wysunąć, ale tego nie zrobił. Nie wiedział, czy powstrzymał go wstyd, czy było już za późno.

– Dobrze – zgodził się. – Tam pojedziemy.

Marika wstała, piwniczne widziadło w za dużej wojskowej kurtce, umościła się koło Fritza. Posunął się, zrobił miejsce, przywarł do ściany, a ona do niego. W ciszy. Młody chyba nawet tego nie dostrzegł. Ley uniósł brew i wybuchnął piskliwym śmiechem, takim nie do powstrzymania. Chichotał, gapiąc się na mapę, tę potarganą i tę nieistniejącą, pełną wojska ruszającego z odsieczą, gdzie pył na podłodze zmieniał się w samoloty, żuki w czołgi. Marika wtuliła się we Fritza, jeszcze ją do siebie przyciągnął, uśmiechnął się lekko, lecz oczy miał puste, wypalone.



Musieli poczekać do nocy. Cisza spadła na Berlin dopiero przed północą. W rejonie Technische Hochschule wybuchła kanonada. Dziesięć minut później zjawiły się łosie. Joseph dał sygnał.

Poszło łatwiej, niż myśleli, przynajmniej na początku.

Marika wyruszyła przez otwarty teren, tak by ją dostrzeżono. Fritz i Joseph podkradli się pod ciężarówkę. Poderżnęli gardła. Marika zastrzeliła trzeciego. Zaraz potem wywiązała się

wymiana ognia z pozostałą piątką. Młodzi Polacy wyciągnięci ze snu byli kompletnie zaskoczeni. Sądziли, że Niemców jest tylko troje. Dali się zwieść. Ukryci w krzakach Młody z doktorem Leyem zasypali ich kulami. Ręka doktora Leya, zazwyczaj drżąca, uspokajała się, gdy chwytiała broń. Cała strzelanina trwała może minutę z kawałkiem. Joseph miał nadzieję, że stopiła się z kanonadą. Dobili rannych, zabrali broń.

Robert Ley przyczepił sobie granaty do pasa i wysunął się na prowadzenie. Oglądał się za siebie, ponaglał machnięciem krótkiego ramienia. Fabryka była tylko czarnym konturem na tle nieba, ale Ley poruszał się pewnie i bezbłędnie doprowadził ich do wielkiej hali z resztkami rur wysoko pod dachem. Tutaj produkowano obrabiarki, ale zostały tylko tryby, kable i zębate koła. W wodzie po kostki taplały się płachty blachy. Pomieszczenie było bardzo duże, rozwidłone w dwa przemysłowe chramy. Bożki już przetrącono. Cała rozsypana linia produkcyjna: rozwalone głośniki, zapach pyłu, trup twarzą do dołu. Trochę jak w kanale i też mokro. Za to przestrzeń. Tu mogłyby się kłębić ptasie stada, mogłyby walczyć olbrzymy.

Żadnego okna. Mdłe światło wpadało przez trzy szerokie wyrwy w murze po lewej. Pod nimi gruz. I dół, że pluton można pogrzebać bez śladu. Ley przystanął, myślał i pomagał sobie w tym, rzucając kamieniami, bardzo wprawnie. Pchnięcie z barku, szybki ruch nadgarstka. Inni stali wokół niego. Ley znalazł płaski kawałek cegły, cisnął nisko. Kaczka, ginący punkt.

– Tam – powiedział.

Za halą znajdowało się pomieszczenie służące za szatnię. Szafki, duże, z grubej blachy, ułożono w barykadę, którą dawno ktoś przełamał. Ley poprowadził w lewo, między okruchami nieistniejącego świata: zdjęcia dziewczyn, rękawice, młotek, zgniłe jabłko, paczka papierosów, którą podniósł Fritz. Już sucho. I kwadratowe okienko z widokiem na wille, łuny, pasma rozgrzanego powietrza nad miastem. Ley rozglądał się bacznie, sunął przy ścianie, jeszcze skręt w korytarz do maszynowni, do niej jednak nie doszli. Kłapa w podłodze, dobrze widoczna. Nie spodobało się to Josephowi. Sama idea zejścia miała w sobie coś

nieznośnego. Ley wskazał klapę i zrobił krok wstecz – ani myślał się schylać. Młody wygiął plecy.

Na dole pomarańczowe lampy mrugały mdłym światłem. Gąszcz dróg. Ley rzucił się w lewo i zaraz się wycofał, nie próbował ukrywać zakłopotania. Otarł czoło, splunął, wyraźnie usiłował coś sobie przypomnieć, tylko nie miał się czego uchwycić. Dwa splątane korytarze, dwa rzędy świateł rozbiegające się gdzieś dalej.

– Ja z Fritzem pójdę w lewo – powiedział Joseph. Jego głos niósł się daleko.

– Dobrze – powiedział Fritz. Wypuścił dłoń Mariki.

Młody nagle zmężniał i ruszył pierwszy, za nim dziewczyna. Ley zamknął pochód. Jak daleko ciągną się te korytarze? Joseph spoglądał za nimi i poszedł w swoją stronę z Fritzem u boku. Latarka Młodego bladła i nikła, umilkły kroki. Joseph i Fritz rzucili się na siebie bez ostrzeżenia, bezdźwięcznie i w tej samej chwili. Zwarli się. Objęli. Dyszeli sobie w usta. Silniejszy Fritz usiłował wyzwolić się z uchwytu, bił po bokach pleców, w nerki, odpychał się kolanem. Joseph wbił mu palce w szyję, grdyka mu umknęła. Uderzył głową. Chrupnął nos, oczy Fritza, wielkie i dzikie, zmartwiały na moment jak narysowane. Fritz splunął, uniknął ciosu, sapnął, wyzwolił się z uścisku, przestrzeni starczyło na zamach, Joseph rzucił się w bok. Za późno. Dostał w szyję zamiast w szczękę. Nogi się pod nim ugięły. Fritz bił, próbował złamać gardę. Coś się działo w drugiej części korytarza. Dochodziły stamtąd krzyki. Joseph nie bronił się, pozwolił się uderzyć. Opadł na kolana, wyszarpnął bagnet i precyzyjnym ruchem wbił go Fritzowi w pachwinę. Fritz akurat szykował się do zadania ciosu, wyprowadził jeszcze wielką pięść, ale stracił impet. Ramię opadło. Fritz zrobił minę, jakby nagle odebrał nieoczekiwany telefon i usłyszał coś, co wywraca życie na nice. Upadł w poprzek korytarza. Bił nogami w ziemię.

Joseph wstał z klęczek. Począł, aż wyrówna mu się oddech. Nie słyszał niczego prócz bicia własnego serca. Zostawił trupa za sobą. Po paru krokach zrobiło mu się słabo. Spoglądał przed siebie na łańcuch lamp, jakby zdartych z wielkiej choinki. Coś

huczało w korytarzu. Łomot, łoskot, coś spadło, bańka wokół niego pękła. Strzelanina.



To nie byli żołnierze, lecz rabusie, łowcy skarbów. Dwóch Polaków, Francuz i niemiecki cywil, najpewniej przewodnik. Kiedy Joseph przybiegł, już nie żyli, rozwaleni w ciasnym tunelu. Młody klęczał, trzymał broń w obu dłoniach. Doktor Ley już opuścił pistolet. Korytarz zamykały ciężkie drzwi.

Na ziemi, jakby rozplaszczona, leżała Marika. Dostała trzy albo cztery kule. Miazga w miejscu piersi. Otwarta rana, jakby ktoś hakiem przeciągnął. Ley przekroczył ją ostrożnie. Młody za nim. Joseph przyklęknął nad zmarłą. Miał wrażenie, że dłonie, którymi jej dotyka, nie należą do niego. Coś wprawiało palce w skurcz, coś uczyniło kciuk sztywnym. Włożył go do ust. Słony.

Widziany z klęczek doktor Ley był tylko nastroszoną kulką.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł.



Magazyn wydawał się nie mieć końca. Stali we trzech. Joseph zatopiony w myślach. Młody o nerwowych dłoniach, cały brudny. Poważny Robert Ley poszedł przodem między paczki, całe rzędy paczek, drewnianych skrzyń, między ryzy papieru i trociny.

Rzędy lamp dawały słabe światło. Pachniało nadpalonym papierem i prochem. Panowała cisza, drzwi pod Berlinem zostały zatrzaśnięte, każdy krok brzmiał jak wybuch, oddech jak trzask ognia. Wymienili spojrzenia. Młody cały się trząsł. Robert Ley uściśnął im dłonie.

Paczek było co najmniej kilkadziesiąt, trudno stwierdzić, skoro nie umieli nawet określić rozmiarów pomieszczenia. Natrafili na

ciało wciśnięte w ryzy. Młody mężczyzna musiał zginąć niedawno, miał czarne palce i różową twarz dziecka. Dostał w środek piersi z czegoś dużego. Czerwony ukwiał. Kolce z kości. Drugi trup leżał przy ścianie. Prawie go minęli. Taki chudy, szary, niewyraźny, można by pomyśleć, że umarł ze zmęczenia. Albo sam z siebie. Joseph szukał rany, już chciał ustąpić, jednak była. Czerwona kropka na skroni. Pistolet w dłoni. Ci dwaj umarli jednocześnie.

Paczka pierwsza z brzegu. Robert Ley cały się spocił, wybałuszał oczy, żyły wyszły mu na czoło, to dotykał szarego papieru, to się wycofywał. Zaciął się na pierwszej sylabie. Joseph rozdarł bagnetem papier, odrzucił całą płachtę, na moment skamieniał, jakby przed zmęczonymi oczyma świat nagle się rozpadł i równie szybko złożył na nowo. Chwycił, co miał chwycić, i podsunął Robertowi Leyowi pod nos.

Młody zabrał Josephowi bagnet i rozdarł następną paczkę. Rozrzucił zawartość, tylko pierwszych kilka warstw, wyraźnie chciał dogrzebać się do czegoś, co jego zdaniem kryło się wewnątrz. Nic. Jęknął. Bez rozczarowania. Bez gniewu. Tylko pusty dźwięk. Popędził dalej. Rozdzierał kolejne paczki, w każdej to samo: czarne, matowe, w warstwach. Wyszarpywał, ciskał i gnał do następnej. Odbijał się od ścian i bił się w twarz.

– Co to jest? – zapytał Joseph.

Oczy doktora Leya były jasne. Bez strachu i wątpliwości.

– Broń.

– Aha... – Joseph wykonał półobrót. – Aha.

Książka miała jakieś sto pięćdziesiąt stron i została wydrukowana na lichym papierze dużą czcionką. Nierówny skład. Joseph przeciągnął wierzchem dłoni po okładce. Wiedział, kim był Alfred Rosenberg, nie znał polskiego i tytułu: – *Mit XX wieku. Résumé* – przetłumaczył w myślach.

– M-m-mamy francuski przekład. – Leya coś szarpało od środka. Wściekły jeź w żołądku. Drżąca dłoń byłego dygnitarza partyjnego wskazywała rzędy paczek, całe kopy, piramidy. Między nimi miotał się Młody. – P-pracowaliśmy jak szaleni.

Mamy ulotki. Scenariusze audycji ra-ra-radiowych. T-tylko iść z tym.

Iść do kogo, chciał zapytać Joseph, ale miał zaciśnięte gardło. Przed nim Robert Ley trzepotał rączkami bez mięśni, a on, Joseph, zachodził w głowę, czemu nie domyślił się wcześniej. Coś w nim przecież mówiło. Pozwolił, by wyjąkane zdania doprowadziły ich aż do tego miejsca. Marika. Heinz. Fritz. Robert Ley wcale nie wyglądał na człowieka. Skóra, w której trzepocze się kołdun os. Roztrzepotany język. Szalone oczy. Zobaczył. choć tylko przez moment, kim Ley jest naprawdę.

– Wyniesiemy i... i... i... damy im. Pójdziemy do Polaków, do Francuzów z Bogiem na ustach i prawdą w wyciągniętej ręce... Jeśli to przeczytają – Ley mówił mocno – t-to po prostu nie mogą, nie będą mogli nic zrobić... Rozumiecie. K-kiedy wszystko zawiedzie, kiedy nie będziemy mieli ani jednej kuli – wziął książkę, przycisnął do piersi – jedna myśl... jedno słowo pokona naszych wrogów. Czytałeś to?

Ręka Josepha znieruchomiała na kaburze.

– Nie. Nie czytałem.

– Pomyśl o chrześcijanach w Rzymie. O...o...oni mieli tylko słowo. Jak my. Teraz tylko musimy i...iść i dać każdemu. Wyjdziemy z Berlina bezbronni i ś...ś...święci. Będziemy czytać na głos na każdym rogu każdemu, kogo napotkamy. Będzie nas więcej z każdym dniem. Pójdziemy z-zwartą kolumną. Pod Warszawę. Mury miast runą od naszych słów. – Gwałtownym ruchem przyciągnął Josepha do siebie. Łkał mu w ucho. – B-będziemy wielcy. Hitler się m...mylił. Idei nie można wieźć na czczołgu. Musimy się pojednać, kapitanie, musimy się pojednać z Bogiem i cz-człowiekiem. Wyparliśmy się B-boga i dlatego Bóg wyparł się nas... – Zarzucił mu ręce na ramiona. Cuchnące tchnienie. Dziki wzrok. – Nie możemy uciszyć w-wzburzonego morza od ra...azu, ale musimy uspokajać je stopniowo, b-b-bo inaczej konsekwencje będą straszne.

Joseph odepchnął go gwałtownie. Wymierzył w niego pistolet.

Robert Ley zareagował śmiechem.

– N-nie rozumiesz?

Otworzył książkę. Ciepła miłość rozświetliła mu twarz. Przebiegał wzrokiem po liniijkach. Poślinił palec. Joseph widział już nieostro, drgająca sylwetka, człowiek albo brunatny miś.

– Posłuchaj – rzekł Robert Ley i zatoczył ręką koło, jakby szykował się do rzucenia zaklęcia.

Czar prysł. Huknął strzał. Kula przeszła od barku przez szyję na wylot i zaryła się w paczce. Ley się zakrztusił, zamrugął, litery rozmazały mu się przed oczyma, *Mit XX wieku* spadł na ziemię, dłonie Leya wydawały się wciąż trzymać książkę. Opadł na kolana i zaraz przewrócił się na bok. Rozchylił wargi.

Młody stał już nad nim, trzymając walthera w obu dłoniach. Cały drżał. Ley wyciągnął rękę, coś przed sobą rozgarniał, czego nikt poza nim nie dostrzegął. Ze świstem wypuścił resztki powietrza z płuc. Z przestrzelonej szyi tryskała krew. Spróbował jeszcze się unieść. Młody wpakował w niego cały magazynek. Potem tłukł kolbą w głowę doktora Leya, dopóki Joseph go nie powstrzymał.



Na górze musieli przemykać się w cieniu. Leżeli przytuleni do gruzów, a obok nich przetaczały się kolumny opancerzone, szły świeże oddziały polskiego wojska. W zielonych mundurach, z hełmami nasuniętymi nisko na czoło, tak że cień spowijał im oczy. Za nimi ciągnęły bandy maruderów i brudnych niemieckich kobiet. Czasem z okna poleciał kamień.

Łuna rozpałała wieczorne niebo.

O zmroku przeszli przez park pełen szeptów i znaleźli się w szerokiej kłamrze kamienic z początku wieku. Mniej zniszczonych, całkowicie pustych. Joseph poprowadził w dół, po piwnicznych schodach.

– Żywy pod ziemię nie pójdę – szepnął Młody.

– Już tam byłeś.

Podzielili się chlebem. Wody mieli aż nadto. Ponieważ Młody siedział nieruchomy i obojętny, Joseph rozłożył posłanie na twardej ziemi, pomyślał chwilę i wyszedł. Nie odważył się zapalić światła, ale nie było takiej potrzeby. Księżycową noc rozjaśniały dodatkowo płomienie nad miastem. Wyraźnie słabsze. Wszystko dogasało. Joseph chodził po pustych mieszkaniach bez jednych drzwi. Znalazł bielizniarkę, a w niej pościel. Stargał materac z łóżka i zawlókł na dół.

Młody siedział dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej go zostawił: złączone kolana, oplecione ramionami. Joseph mówił do niego, do małego czarnego chłopca z krwią na twarzy. Rozłożył materac i kołdrę, najprawdziwszą, sam puch. Kto pod nią spał? Może ta sama kobieta, której dziecko popłynęło kanałem? Nie wiedział, skąd biorą się w nim te myśli. Namoczył chustkę. Przetarł Młodemu usta, policzki, palce. Młody nadal siedział sztywno. Joseph rozprostował mu ręce w łokciach, zdjął koszulę, rozwiązał buty i rozpiął spodnie, zostawiając chłopca w samej bieliznie i podkoszulku. Podniósł go. Młody splótł mu dłonie na plecach. Ułożony na materacu, westchnął lekko. Joseph się nie rozbierał, zzuł tylko buty, położył się na boku i przytulił głowę Młodego do swojej piersi.

Słuchał jego oddechu, chwilami przechodzącego w łkanie. Młody próbował się nie rozplakać i Joseph wolał, żeby tak się nie stało. Nie wiedział, jak by sam sobie z tym poradził, i przeczuwał, że Młody nie umiałby wybaczyć sobie łez. Ręce chłopaka obejmowały go coraz mocniej, potem ucisk z wolna osłabł. Jego oddech się wyrównał.

Joseph przekręcił się na plecy. Dłoń Młodego szukała go przez chwilę. Joseph zapadł w niespokojny sen, śnił mu się Berlin, w którym nie grzmiały już działa. Niekończące się martwe miasto z wielkim gruzowiskiem na każdej ulicy. Dziurawe place i ciała powieszane na latarniach. Ludzie gromadzili się w małych grupach i patrzyli na miejsca, w których kiedyś żyli. Niektórzy wchodzili do środka, by zaraz się cofnąć. Widocznie w tym śnie ludzie także popełniali błędy i nie umieli rozpoznać swoich dawnych domów.

Od wschodu formowała się armia dzikich, doskonale widoczna nawet przez ruiny. Byli to olbrzymi odziani w ludzkie skóry. Joseph widział wyraźnie przyszyte dłonie i twarze, przykrywające ich paszcze. Nieśli pochodnie, zakrzywione szable, topory i drzewce nabite ostrymi odłamkami kamieni. Ruszyli w chaotycznym szyku z wyciem pod samo niebo. Miastem zatrząśł tupot ich stóp. Ludzie szukali ratunku w ciemnych miejscach, inni po prostu stali, nieliczni szykowali prowizoryczne reduty i liczyli naboje w magazynkach.

Kobieta, kiedyś bardzo piękna, teraz umorusana, lecz nadal zachwycająca, pojawiła się nagle, pchając przed sobą wózek. W wózku spało dziecko. Kobieta jechała ulicami śpiesznie, oglądając się za siebie. Koła wózka toczyły się po ciałach i gruzie, choć dawno powinny się rozpaść. Kratkę studzienki podniosła bez wysiłku. W jej dłoniach wózek zmienił się w kołyskę, zakończoną złotawym kilem. Dziecko obudziło się na chwilę, szukało wzroku matki, ale ta nie pozwoliła się znaleźć. Nie patrząc, trzymając kołyskę daleko od siebie, jakby tam, w środku, czaiło się coś paskudnego. Chlupnęła czarna woda i Joseph stracił kobietę z oczu.

Unosił się tuż nad wodą albo w niej płynął – sen Josepha był równie suchy jak wszystkie poprzednie. Przed sobą widział kołyskę ze śpiącym dzieckiem. Woda rozcinana klinem ukazywała swe srebrne wnętrze. Mijali oślepionych żołnierzy, błakających się bez celu, dziwne człekokształtne istoty o bardzo białej skórze i nerwowych oczach, podobnych trochę do jajek na twardo odartych ze skorupy. Kołyska zdawała się sama wybierać sobie drogę, skręcała w różnych kierunkach, coraz głębiej w ciszę i w słońce.

Blask oślepił go na krótką chwilę. Odnalazł siebie z palcami na kratkach. Kołyska była już po drugiej stronie. Nie umiał stwierdzić, w jaki sposób zdołała się przedostać. Za kratką ściekową rozpościerała się łąka, jej środkiem płynął wartki strumień. Dalej stały niskie parterowe domy. Niebo od wschodu zasnuły kłęby dymu. Joseph zanurkował, chcąc dostać się do tego pięknego miejsca, ale natrafił tylko na muliste dno.

Kiedy się wynurzył, kołyska utknęła w zakolu. Pojawiła się młoda dziewczyna o rumianej twarzy i biodrach zdrowej chłopki. Pod pachą niosła kosz z praniem. Przyklękła nad wodą, uśmiechnęła się do dziecka. Zaczęło płakać w jej ramionach, cisnąć pulchną pierś. Włożyła dziecko do kosza z praniem, przegrzebała kołyskę. Ktoś nawoływał ją z niskiego domu. Joseph zrozumiał, że ta dziewczyna to dziwka Antona, i natychmiast się obudził.

Młodego nigdzie nie było. Zniknęło ubranie i buty. Joseph znalazł tylko jego walthera. Sprawdził magazynek. Zatknął broń za pasek spodni. Przerzucił chlebak przez ramię.

Wstawał stalowy świt. Gdzieś daleko zaterkotał karabin. Joseph poszedł w tamtym kierunku, wypatrywał samolotów i rozglądał się na boki. Za rozwaloną bramą mignęło piaszczyste podwórko i studnia. Skreślił. Nacisnął pompę. Studnia puściła wodę z głuchym kasznięciem. Joseph uklęknął i obmył sobie twarz.



Polscy lotnicy opowiadali, że od połowy lipca miasto zaczęło przygasać. Słońce zapalało się czerwienią na bezchmurnym niebie, popioły się wypaliły i o zmierzchu ruiny kamienic spowijała delikatna mgiełka. Potem ciemniało. Z rzadka błyskał reflektor samochodu, płomyk w oknie, czasem jeszcze wybuchł pióropusz ognia, czasem mignęły sylwetki podobne ożywionym gruzom, potworom uwolnionym wprost z cegły i smoły. Z każdym kolejnym dniem słońce zachodziło wcześniej, ciemność zapadała głębsza i już nic jej nie rozpraszało.

Paweł Paliński
WSZYSTKO, CO
PRZYJDZIE, JUŻ POZOSTANIE



Numer sto dwudziesty szósty ma coś nie tak z głową. Numer sto dwudziesty ósmy wciąż jest za mały. Numer sto trzydziesty drugi, sto trzydziesty trzeci i sto trzydziesty czwarty wyraźnie różnią się od pozostałych numerów kolorem. Numer sto pięćdziesiąty trzeci porusza się niemrawo. Numer dwieście drugi przestał jeść. Numer dwieście piętnasty cały czas leży brzuchem do góry. Numer dwieście siedemdziesiąty zgubił gdzieś jedną kończynę. Numer trzysta czwarty... numer trzysta czwarty nie żyje. Numer trzysta pięćdziesiąty siódmy pomimo wzmocnionego ogrodzenia znowu przeszedł do kojca numeru sto pięćdziesiątego dziewiątego; próba rozdzielania nie przyniosła rezultatu. Numer czterysta pierwszy wciąż przyjmuje postawę obronną. Numer czterysta piętnasty opycha się zwiędłymi liśćmi.

Numer pięćset dwudziesty
dość

WIEDZA

Oskar przerwał notowanie. Złamał ołówek, wystrzępiony zeszyt zmiął i cisnął w kąt. Nie opanował się.

WRZAASK!

Niespodziewany wybuch nie przyniósł jednak ani odrobiny ulgi. Jak na złość w pustej klasie dziecięca skarga zabrzmiała słabo i bezbrinnie, więc chłopiec, wciąż zły, ponownie zaczerpnął tchu.

Umilkł, gdy gardło wypełnił mu szorstki, metaliczny posmak, gdy uznał, że furia sprzed paru chwil ulotniła się bez śladu, gniew wypalił się doszczętnie.

Gdzieś za ścianą, w ciszy, jaka zapadła tak samo nagle, jak on poderwał się do krzyku, niewidoczny zegar rozpoczął mozolne wybijanie godziny: dziesiąta przed południem raz, dziesiąta przed południem dwa – do wtóru odległemu kurantowi Oskar zamrugał nieprzytomnie. Dziesiąta przed południem pięć, dziesiąta przed południem sześć – wstrzymał oddech – dziesiąta przed południem osiem, dziesiąta przed południem dziewięć...

Dziesięć. Punkt. Ostatni senny gong.

Oskar drgnął. Rozejrzył się po pustej klasie. Ostrożnie niczym lunatyk zbliżył się do spękanej czarnej tablicy. Po głębokim namyśle podniósł z podłogi kredę, skruszył ją i dmuchnął w dal ciężkim białym pyłem. W skupieniu odczekał, aż pył opadnie, i przemierzył cztery razy salę: tyłem, bokiem, kłusem i stopa za stopą. Z westchnieniem podniósł zmięty notatnik. Od niechcienia policzył stłoczone w przeszklonej szafie wyblakłe podręczniki. Zorientował się, że było ich tam za mało, aby rachunek stanowił dla niego jakiegokolwiek wyzwanie. Znudzony, wyjrzał przez okno, lecz niebo odwróciło się od niego, skąpiąc chmur, którymi zająłby głodny odmiany wzrok. Zapatrzył się w odległy pusty

horyzont.

Po jakimś czasie jego uwagę przykuł suchy chrobot. Rozejrzał się w poszukiwaniu źródła dźwięku i zauważył, że z postawionego na ławce tekturowego terrarium zbiegło kilka co zwawszych okazów *Leptinotarsa decemlineata*. Oskar przyjrzał się spode łba pełzającej zwawo żółto-czarnej menażerii. W poczuciu beznadziei rzucił się w tamtą stronę. Wzniósł z okrzykiem ramię – zaraz rozbije ten szmelc w drobny mak! – lecz pięść zawisała milimetry nad chrząszczami i zamiast je zmiażdżyć, chłopiec tylko pogroził im palcem.

Pokonała mnie najpospolitsza stonka, pomyślał. Rozczarowany własną niemocą, opadł na kolana.

– *Leptinotarsa* – wyrecytował bezmyślnie. – Świetny rym do "farsa".

Zaśmiał się gorzko. Zagwizdał. Cmoknął. Wreszcie z ciężkim westchnieniem ostrożnie pozbierał wielonogich uciekinierów, uwięził na powrót w skrzętnie ponumerowanych przegródkach terrarium i przykrył podziurkowanym cienkim pleksi. Odstawił tekturowe pudło na szeroki parapet.

W jasnym świetle dnia zauważył, że miękki grafit ołówka posrebrzył mu opuszki palców. Odszukał wśród szkolnych przyborów szkło powiększające i dokładnie obejrzał własne dłonie. W powiększeniu linie papilarne błyszcząły niczym księżycowe kaniony. Poślinił każdy palec z osobna, a następnie tarł nimi o siebie tak długo, aż spod grafitu wyjrzała czysta skóra.

Niespodziewanie ze szpaleru kominów na granicy szkolnego boiska buchnęły jęzory tłustego dymu. Cisza pękła – świat za oknem beknął nisko, przyziemnie i w powietrzu rozszedł się cierpki swąd. Oskar pośpiesznie wrócił na miejsce. Dokładnie zaostrzył ołówek, na jego ostry koniec nabił okaz numer trzysta cztery. Powąchał truchło owada: pachniało czymś kwaśnym, nieokreśloną przykrą stęchlizną. Zgniółł je ze wstrętem pod podeszwą buta.

Wiele rzeczy nie podobało się tego dnia Oskarowi.

Przede wszystkim zaś wszechobecna nuda i śmierć.

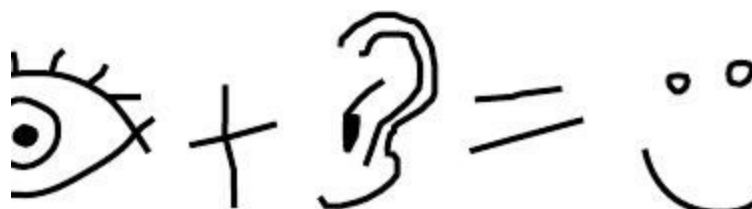
Oskar, lat jedenaście. Jedyne wolne dziecko w obozie koncentracyjnym "Świt".

Matylda już dawno temu odkryła własną szkołę magii.

Najpierw zaczarowała swoje oczy i uszy.

Oczy – aby widziały wszystko wokół; uszy – by wszystko słyszały. To dlatego wciąż żyła. Nikt nigdy nie zaskoczył jej, skradając się ukradkiem, już z daleka zdradzało go bicie podstępного serca. Matylda z łatwością łowiła każdy dźwięk na świecie – od ostatniego spazmu konającej mrówki po głuchy łoskot zawieszonych wysoko planetarnych torów.

Oczy nie pozostawały gorsze, patrzyły bystro. Żaden najmniejszy nieprzyjazny gest nie umykał ich uwadze.



Poza tym Matylda bez trudu chowała się w cieniach rzucanych przez dorosłych. Czasami nurkowała w ich włosach (choć ostatnio miała z tym kłopoty; wszyscy nowi dorośli, których spotykała, mieli ogolone na łyso głowy), kiedy indziej kryła się w co obszerniejszej kieszeni lub odnajdywała dogodne schronienie w luźnej nogawce spodni.

Oczywiście nikt nigdy nie dowiedział się, jak odważnie poczyną sobie Matylda, wiedziała o tym tylko ona sama. Po prostu wypowiadała zaklęcie i ważyła tyle co piórko, dla zabawy unosił ją byle wietrzyk. I na odwrót: gdyby przyszli po nią źli ludzie, ci w mundurach palaczy, o złych, nienasyconych oczach i uczernionych sadzą dłoniach, wystarczyłoby wypowiedzieć zaklęcie wstak, a ciężar jej ciała wzrósłby tak niepomierne, że za nic nie ruszyliby jej z miejsca.

Kto jak kto, ale Matylda była spokojna o swój los. Magia stała po jej stronie.

Gdyby tylko tak mocno nie doskwierał jej głód.

Gdyby tak bardzo nie martwiła się o Pełzaka...

Odkąd znalazła go i objęła opieką, wydawanie posiłków przerodziło się w koszmar.

W obozowej stołówce nie było miejsca dla słabych, panowało tam podszyte bezprawiem zamieszanie, tym bardziej przerażające, że zawieszona w absolutnej ciszy. Walka w kolejce po ochłap mięsa – w ciszy. Walka o stanowisko blisko koszy z czerstwym chlebem – w ciszy. Bójki i zabójstwa – w absolutnej ciszy.

Złodziei traktowano wyjątkowo surowo, ale Matylda była czujna. W każdym stęknieniu, w ledwie słyszalnym szurnięciu butów umiała rozpoznać zagrożenie. Lub szansę. O, właśnie zachwiał się i przewrócił jakiś stetryczały staruszek, więc szybko zajęła jego miejsce w kolejce. Złapała dodatkowe trzy kromki nadpleśniałego chleba, umoczyła w rozwodnionej zupie i połknęła je łączywie. Gdy jednak wyciągnęła rękę do misy z rozgotowanymi ziemniakami po porcję przeznaczoną dla przyjaciela, ktoś złapał ją od tyłu za włosy i odciągnął od stołu.

– Ty suko! – wychrypiał i wymierzył kilka kopniaków. – Ty suko, nie wszystko jest dla ciebie!

Bolało. Ale Matylda była czujna, Matylda wiedziała, że nie ma innej zbroi nad cierpliwość. Skuliła się na podłodze, czekając, aż ustaną razy, i gdy tylko pojawiła się szansa ucieczki, zerwała się i pobiegła w odległy kąt stołówki. Tam, przyczajona, prosto z talerza ukradła samotną przylepkę i błyskawicznie wsunęła do ust. Z pełną buzią pomknęła do swojego baraku.

Trudno, dzisiaj Pełzak obędzie się tą odrobiną.

Strażnik palił papierosa i z wysokości wieży obserwował więźniów. Palił w sposób szczególny, jedynie na poły świadomy. Zaciągał się głęboko nawykowo, z wręcz uduchowionym wyrazem twarzy, może nawet rozpaczliwym, jak gdyby brak wypełniającego płuca kwaśnego dymu oznaczał brak potwierdzenia, że on sam żyje, że jest. Palił, bo chciał, bo musiał,

bo tego potrzebował, bo smród nikotyny był mu bliższy niż wszechobecny smród lazaretów. Palił, bo siny dym choć odrobinę odgradzał go od rzeczywistości. Palił w sposób wyrachowany i zacięty. Z papierosem w ustach pożółkłymi palcami gładził spust karabinu, palił i obojętnie przyglądał się obozowej krzątaninie.

I jak co dzień mierzył do wybranych przez siebie obdartusów, tam w dole.

Strażnik nie był złym człowiekiem. Tak naprawdę nigdy jeszcze nikogo nie zastrzelił. Na wartę – to tajemnica, z której nikomu się nie zwierzał – siedł z nienabita bronią.

Mierzył, bo podczas wieloletniej służby odkrył, że jakimś szóstym żołnierskim zmysłem wyczuwa w szamotaninie bladych ciał u stóp strażniczej wieży zapowiedź rychłego końca, że przejrzał arytmetykę śmierci. Mierzył, ponieważ odkrył w sobie mroczną żyłkę rywalizacji, która z upływem czasu zmieniała się w pewną grę. Sposób na nudę. Wyprzedzanie zamiarów śmierci zaczęło sprawiać strażnikowi przyjemność. Reguły były proste. Ona losowała, on odgadywał.

Rozgrywka rozpoczynała się w południe obok garkuchni. Wystarczyło nieco więcej rozgotowanych warzyw w czyjejs misce, by wygłodniali ludzie wpadli w szal. W ruch szły drewniane szpikulce i te straszne szklane noże o rękojeściach owiniętych szmatami. To było naprawdę ciekawe, tak mierzyć w skupieniu. Czasami strażnik świetnie wyczuwał nadchodzący powiew przeznaczenia, celował, szeptał: paf! i osoba, którą miał na muszce, jak na komendę padała w kałuży krwi. Wypalał wtedy papierosem na ścianie wieżyczki kolejną kropkę – punkt zarobiony w tym ponurym meczu bez górnej granicy wyniku. Czasami śmierć była górą, lecz walczyli fair; czasami ktoś – strażnik albo śmierć – wysforował się do przodu, czasami remis przedłużał się męcząco. Zawsze jednak ona bezszelestnie krążyła na czarnych skrzydłach, on stał w gotowości, paląc i celując w ciszy.

Tamci w dole też załatwiali swoje porachunki w ciszy. To było najdziwniejsze. Świat wokół krzyczał w agonii, a tutaj wszystko

zawsze odbywało się w absolutnej ciszy. Tak było, jest i będzie...

O, ktoś właśnie bije dziecko. Cel, pal!

0:1

Strażnik tym razem się pomylił.

WĄTPLIWOŚCI

Oskar dreptał szkolnym korytarzem, otoczony przez wszechobecny rozkład. W strzaskanych oknach podzwaniały resztki szyb. Rozrzucone tu i ówdzie ogromne odłamy betonu, wykrojone z sufitu przez dawno zapomnianą artyleryjską ofensywę, barykadowały przejście. Oskar omijał każdą taką przeszkodę w skupieniu, wolno i nieufnie, jak świeżo wzniesione kamienne nagrobki. Szedł i nasłuchiwał.

Ponad wilgotnym gruzowiskiem unosił się delikatny szmer – to we wszechobecnych przeciągach szumiały wyschnięte kikuty juk. Ustawione po dwie przy wejściu do każdej klasy, ich grube pnie przypominały o czasach dawno minionej świetności. Teraz połamane i szare zwiędłe liście zaścielały brudną posadzkę. Z popękanych donic sypała się sucha, jałowa ziemia. Niektóre rośliny tuż przed uschnięciem rozpaczliwie puściły świeże pędy. W ich gąszczu odznaczały się drobnutkie tropy myszy. Poskręcane suche korzenie, rozczapierzone w poszukiwaniu wody, przypominały palce rozbitka, uczepione ostatniej deski ratunku. Osypujący się tynk przyprószył je, zmroził, nadał szorstkiej korze ton trupiej bledości.

Ściany, choć nadgryzione ostrzałem, wciąż stały nienaruszone. Na nich – czarno-białe wizerunki mędrców. Oskar siedł z zadartą głową i czytał: Einstein, Byron, Newton, Nobel. Brodate podobizny wyblakły, lecz oczy wciąż spoglądały karcąco, jak gdyby szklana nieśmiertelność będąca ich udziałem uprawniała do wszelkiej krytyki, niesłabnącej, chociaż słanej z za grobu. Oskar nie lubił tej galerii portretów. Miał wrażenie, że

uwiecznione na nich postacie coś mu zarzucają, czynią milcząco wymówki. Minął je pospiesznie, wdychając ten szczególny rodzaj cmentarnej wiedzy, jakiej nie skąpią ruiny, i podreptał środkiem korytarza.

Wybór marszruty nie był przypadkowy. Na samym końcu tego właśnie korytarza znajdowało się okno, za nim strażnica, a na niej znajomy strażnik. Oskar chętnie by z nim dzisiaj porozmawiał. Wiedział co prawda, że regulamin na to nie pozwala, ale z drugiej strony wszelkie regulaminy złamano wokół już tyle razy, że przestało to robić na kimkolwiek wrażenie.

Gdy dotarł na miejsce, bez namysłu pchnął okiennice i do połowy przewiesił się przez parapet.

– Ilu dzisiaj? – zawołał bez zbędnych wstępów.

– Czterech – odkrzyknął strażnik. – A u ciebie?

– Jedna.

– Padają szybciej, niż można by przypuszczać – odpowiedział strażnik.

Oskar nie był pewien, czy chodziło mu o owady, czy o ludzi. Miał ochotę doprecyzować swoje pytanie, lecz niespodziewanie język uwiązł mu w gardle, gdy na lewo od strażnicy między pomieszczeniami gospodarczymi dostrzegł znajomą smukłą sylwetkę. Na jej widok błyskawicznie schował się z powrotem w budynku. Serce biło mu jak oszalałe. Po kilku chwilach noga za nogą poczłapał do położonej na parterze świetlicy. Szedł ze spuszczoną głową, z wyraźnym przeświadczeniem, że odgradzeni szkłem gablot wyniosli, wiecznie martwi profesorowie obserwują go z wyrazem kpiącej przygany na wykrojonych z czerni obliczach.



Matylda tak długo trzymała w ustach czerstwy chleb, aż namiękł i nasiąkł śliną, wtedy wypluła na dłoń galaretowatą kulkę, językiem odcisnęła z niej nadmiar wilgoci, zawinęła w szmatkę i schowała w majtkach. Ostrożnie wyszła na plac przed barakiem.

O tej porze obóz świecił pustkami. Na obrzeżu deptaka dostrzegła otoczoną tłumkiem wiernych sylwetkę chromego kapelana; stary kruk jak co dzień zaganiał swoją wynędzniałą owczarnię na poranne nabożeństwo. Matylda pochyliła głowę i szybko wyminęła jego obszarpany zbór. Ruszała do opuszczonej części obozu. Do starych piwnic. Do kryjówki Pełzaka. Nie potrzebowała świadków.

W podziemiach panowały półmrok i wilgoć i zachodząc tam, Matylda za każdym razem musiała odczekać kilka chwil, zanim wzrok przyzwyczał się do ciemności. Teraz niemal po omacku zsunęła się ze schodów. Z przegrodzonej kratą niszy dobiegał znajomy słodkawo-mdły zapach. Kucnęła i zawołała Pełzaka. Nie otrzymała odpowiedzi. Nabrała więc na palec odrobinę chlebowej papki i pstryknęła nią w ciemność. Wabiła Pełzaka tak długo, aż doczołgał się do jej rąk i nadstawił wiecznie głodny bezzębny pyszczek. Nakarmiła go, słuchając, jak krztusi się podczas łykania co większych porcji. Na koniec dotknęła jego wzdętego gładkiego brzuszka. Miękki sopel, do tej pory dyndający pośrodku, od kilku dni stwardniał i naprężył się niepokojąco. Matylda cofnęła palce z obrzydzeniem.

Abrakadabra, wyszeptała. Hokus-pokus. Niech wszystko będzie dobrze.

Strażnik pożegnał chłopca przyjaznym gestem i zapalił kolejnego papierosa. Ależ urwis wiał, ciekawe, co go tak przestraszyło? Śmieszny mały, pomyślał, zaciągając się. Dorosły jak na swój wiek, zadumany. Jak to możliwe, że takie dzieci jeszcze w ogóle istnieją? To znaczy: szczęśliwe; w dzisiejszych czasach – szczęśliwe dzieci. Jak to możliwe, że istnieją szczęśliwe dzieci, podczas gdy wokół trwa wojna? Jak to możliwe? Jak to w ogóle możliwe? Jak to możliwe, że podczas gdy trwa wojna,

istnieją szczęśliwe dzieci? Strażnik zaciągnął się dymem z pomarańczowego ustnika. Mógłbym całą wieczność obracać w głowie takie pytania, pomyślał. Jak to możliwe, że podczas gdy istnieją szczęśliwe dzieci, trwa wojna? Albo: jak to możliwe, że wokół istnieje tylko wojna, a szczęśliwe dzieci trwają mimo to? Albo...

Z głośnym wizgiem parowych dud rozpoczęto zapewnianie ciśnieniowych palenisk w sektorze spopielania. Ten wizg wypełnił umysł strażnika niczym straszliwe śnieżnobiałe tsunami. Wyparł każdą, najmniejszą nawet myśl.

Inżynier zmagał się z bliżej nieokreślonym niepokojem. Wytrwale poszukiwał źródła tego niepokoju, lecz jego wysiłki spęły na niczym. Od kilku tygodni, od czasu pewnego... zobowiązania bolały go skronie, trzęsły mu się ręce.

Dzisiaj jednak postanowił, że wszelkie problemy odłoży na bok. W ramach demonstracji dobrego samopoczucia wspiął się na budynek pieca. Zzuł buty, zdjął skarpetki. Ucieszył się tym, jak przyjemnie pancerny beton promieniuje ciepłem. Wspiął się na palce, opadł na pięty, wreszcie jak najmocniej przycisnął stopy do podłoża. Na ramionach wyskoczyła mu gęsia skórka. Ku zdziwieniu inżyniera piec nie tylko grzał, lecz także śpiewał. Dudnił: wyraźnie, podskórnie. Jak gdyby zamknięte wewnątrz martwe ciała biły sztywnymi kłykciami na alarm, przemknęło inżynierowi przez głowę. Niecierpliwym gestem poprawił druczane okulary własnej roboty. Odkasznął. Nie spodobało mu się to porównanie. Każda rzecz ma swoje wytłumaczenie – to ledwie złudzenie, huk płomieni. To tylko martwe skorupy, na Boga, coś trzeba z nimi zrobić!

$$a^2 + b^2 = c^2$$

W poszukiwaniu czegokolwiek, co odwróciłoby jego uwagę od procesu spalania, zlustrował okolicę. Ze zdziwieniem zauważył

własnego syna, przewieszzonego przez parapet w oknie zbombardowanej szkoły. Oskar w najlepsze gawędził ze strażnikiem.

Inżynier chrząknął znacząco. Wsunął stopy w buty i ruszył w poprzek pieca.

Coraz mniej podobała mu się zażyłość, jaką jego dziecko darzyło osoby w mundurze. Nie wróżyło to nic dobrego. Dla tych wymusztrowanych do bólu brutalni cywil zawsze pozostanie cywilem. Nie bez powodu sklecił Oskarowi tekturowe terrarium. Nie bez powodu dał mu takie zajęcie, nakazał prowadzenie dziennika hodowli. Nie bez powodu poświęcił dla niego własne... Zadzwoił kościelny dzwonek. Otóż to. Kościelny dzwonek.

Ktoś okrzykiem wezwał inżyniera, przerywając jego niespokojne rozmyślenia. Mężczyzna zsunął się po drabince i ruszył w kierunku warsztatów, w kierunku nawoływań. Jakiś problem ze sprzętem. Opróżniający paleniska więźniowie z bloku piątego znowu zepsuli taczkę i ze strachu ją porzucili.

Jakiś problem, ucieszył się inżynier. Mijając zawór bezpieczeństwa, szarpnął rozpaczliwie gorącą dźwignię. Powietrze rozdarł drapieżny syk.

Jakiś problem. Całe szczęście. Nie oszaleję.

NIEPEWNOŚĆ

Oskar poczekał, aż kapelan odprawi mszę i opuści świetlicę. Potem pokręcił się po pustym pomieszczeniu, krzywiąc się raz po raz. Oleisty zapach kadzideł kręcił w nosie. Bez entuzjazmu przewertował całego Larousse'a, kilka podręczników do biologii, jakiś tomik poezji, niekompletny atlas anatomii. Wybrane pozycje rozłożył na podłodze i zasiadł nad książkami w ramach jakiejś bliżej nieokreślonej pokuty, sam do końca nie wiedząc, za co na siebie nałożonej. Chociaż nie, nie do końca był szczery. A może szczerłość nie miała tu nic do rzeczy?

Wertował strony, jakby przesuwając w palcach paciorki różańca. Białe kartki na rogach znaczyły brązowe plamy brudu. Gdy znudziło mu się czytanie, z półeczki w kąciek papierniczym zdjął

opasłe pudełko z kredkami i odszukał potrzebne mu kolory: żółty, czarny i biały. Wyciągnął zza paska zeszyt z notatkami, otworzył na ostatniej stronie z napisem CMENTARZ POŁOWY i pod kolejną niewielką, wyrysowaną długopisem nagrobną płytą z numerem trzysta czwartym zaczął malować odwróconą do góry nogami martwą stonkę. Tata będzie zadowolony, pomyślał.

Formalności pogrzebowe pochłonęły czas aż do popołudnia.

Matylda nasłuchiwała, przycupnięta na ostatnich stopniach piwnicznych schodów. Dwóch mężczyzn szeptało za drzwiami. Jeżeli zaraz sobie nie pójdą, Matylda wpadnie w kłopoty. Nie przypominała sobie innego wyjścia z piwnicy jak przez te drzwi właśnie.

– Idźcie sobie, idźcie – powtarzała pod nosem. – Idźcie. Abrakadabra.

Nic z tego, podniesione głosy nie oddalały się, mało tego, przybierały na sile. Mężczyźni nie odchodzili. Niedobrze. Bardzo niedobrze.

W ciemności u jej stóp raz i drugi rozległo się postękiwanie Pełzaka.

Nagle coś ciężkiego walnęło w drzwi, rozmowa ucichła. Matylda odczekała minutę i ostrożnie nacisnęła klamkę. Klamka poruszała się, drzwi nie. Naparła na nie ciałem. Zablockowane. Ze ściśniętym gardłem zsunęła się po stopniach na powrót w mrok. Podeszła pod niewielki otwór wentylacyjny pod sufitem. Podskoczyła. Za wysoko. Rozplakała się. Za wszelką cenę musi stąd wyjść. Z rozrzuconych wokół rupieci rozpoczęła mozolne budowanie platformy.

W połowie pracy dobiegło ją dziwne miarowe stukanie, jak gdyby w oddali lekkostopy olbrzym pochylał się nad każdym budynkiem i opukiwał go ogromnym palcem. Stukot pojawiał się z przerwami, lecz wyraźnie się zbliżał. Matylda przyśpieszyła ruchy, rzucając teraz na stos wszystko, co wpadło jej w ręce. Hokus-pokus! Widziała go, widziała w grzywie z piorunów bajkowego olbrzyma, który porwie ją i pożre Pełzaka. Abrakadabra! Abrakadabra! Niespodziewanie stukot rozległ się

tuż-tuż. Matylda rozpoczęła rozpaczliwą wspinaczkę.

Hurgot, jakby grochu walącego o dno garnka, przestraszył ją; najpierw na bardzo długo znieruchomiała, potem, poddając się impulsowi, bez zastanowienia zaczęła wdrapywać się na chwiejną konstrukcję. W połowie drogi do okienka spiętrzone klamoty usunęły się spod jej stóp i runęły z łoskotem. Wczepiona palcami w drewnianą ramę, Matylda jednym susem wydostała się na zewnątrz, prosto w cierpki smród spalenizny.

Strażnik poślinił śmierzące nikotyną palce i zdrapał niewielką plamkę ze srebrnego pagonu. Zbliżała się pora zmiany warty. Nie powiedziałby, że czuł się z tego powodu szczęśliwy, ale nie nazwałby też owej zmiany nieszczęściem. Służba. Nic ponadto. Może tylko odrobinę za bardzo lubił wystawać tu, na drapieźnym bocianim gnieździe, uzbrojony i wszechpanujący, może tylko ciut za bardzo podobała mu się świadomość sprawowanej władzy. Ale czy ktoś inny na jego miejscu nie poddałby się temu uczuciu chociaż raz, tak dla zaspokojenia własnej ciekawości?

Strażnik był przekonany, że niewielu odpowiedziałby: nie. On sam w związku z tym uważał się właściwie za człowieka dobrego – dramatyczny przypadek dobrego człowieka żyjącego w złych czasach, żołnierza tragicznego, który ponad siebie samego przedkłada solenne wypełnianie rozkazów.

Niegodziwa była przecież sama wojna, nie żołnierze.

Walczone nimi, nie przez nich, nieprawdaż?

Rozejrzał się wokół, jak gdyby w poszukiwaniu potwierdzenia własnych wniosków. Kątem oka dostrzegł kulawego księdza i natychmiast przeżegnał się gorliwie. Powtórzył gest, uznając, że za pierwszym razem uczynił go z przyzwyczajenia, nie zaś z potrzeby. Przyłożył do oczu lornetkę i po raz ostatni przed złożeniem raportu objął jej szklanym spojrzeniem cały obóz. Tknięty dziwnym przecuciem, zatrzymał na chwilę wzrok na ogromnej łacińskiej cyfrze V, wymalowanej na jednym z baraków, ale przez zakratowane okna nie dostrzegł nic godnego

uwagi. Rozglądał się zatem dalej. W warsztatach trwały prace naprawcze. W piecach gorzał ogień. Niedaleko ogrodu dwójka dzieci bawiła się w najlepsze – jedno się chowało, drugie szukało. Wojna? Niemożliwe.

Pod wieżą zadudniły kroki zmiennika. Strażnik ze smutkiem odłożył lornetkę i sięgnął po broń. Jakiś ciężar niespodziewanie przygniótł mu serce. Strzelił niedopałkiem w przymocowany do wieży reflektor. Brzęknęła metalowa obudowa.

– Wojna – szepnął. – Jednak wojna.

Inżynier osobiście udał się na poszukiwania taczki. Uznał, że chwila samotności, takiej kontrolowanej samotności, chociażby i w formie spaceru, przywróci mu równowagę. W swoim ścisłym umyśle opracował dokładny plan przeczesania całego obozu, składny, logiczny plan. Namacalny. Taki plan, jakiego potrzebował, aby pewne sprawy skierować z powrotem na właściwe tory.

Wiało. Wiatr podnosił gęste chmury piasku. Inżynier co chwila przecierał okulary. W pewnym momencie pomyślał, że gdyby nie te natrętne podmuchy, ślady butów, które pozostawiał za sobą, nie znikająby tak szybko i w końcu cały obóz pokryłyby przecinające się pod kątem prostym równiutkie ścieżki. Jednak wszelka symetria okazywała się nietrwała w tym dziwnym świecie bez zasad. Mimo to inżynier szedł dalej. Po kilku minutach zauważył, że bezwiednie omija wydłużone cienie wartowniczych wież. Że kluczy. Jak kurczak przed wzrokiem jastrzębia, zaśmiał się w duchu. Dobre sobie.

Wiatr wzmógł się, przybrał na sile.

Taczkę odnalazł w starych barakach na skraju obozu. Stała porzucona, wsparta o piwniczne drzwi. Zrudziała od żaru. Guma na obręczy koła całkowicie stopiona. Z niedowierzaniem pokręcił głową. Tyle razy powtarzał palaczom, żeby podczas pracy nie zbliżali się do świeżych hałd popiołu. Przewrócił taczkę i kopnął ją ze złością – skąd teraz weźmie drugą? Ludzi – tak, ludzi do pracy znalazłby w bród, wystarczyło poprosić o

nowy transport. Ale sprzęt? Sprzętu z dnia na dzień ubywało, stawał się coraz cenniejszy.

Pomiędzy kolejnymi uderzeniami wiatru niespodziewanie rozbrzmiały czyjeś szybkie kroki. Inżynier odwrócił się, zaskoczony. Zziębnięty i zlany potem Oskar biegł ku niemu z wyciągniętymi rękoma, dygocząc jak w febrze.

Blokowy stanął w przejściu pośrodku baraku i oparł się o piętrową pryczę. W ciemnym oparze popołudnia jego wysoka chuda postać przypominała pająka kosarza. Długie ręce i nogi, chudy tułów, wczepione w zbutwiałe, przeżarte przez korniki drewno. Kiwająca się na boki zła głowa. Zaraz zaczęła pleść swoją sieć. Brud za paznokciami upodabniał je do czarnych pazurów. Błada skóra twarzy, perłowa w świetle wpadającym przez okno.

– Dzisiaj nasz ksiądz wygłosił wyjątkowo udane kazanie – zaczął i schował się pośród cieni, jak gdyby poczuł na sobie czyjś wzrok. – Dzisiaj podczas nabożeństwa doznałem oświecenia. – Pająk zabójca wyrzucał z siebie bez namysłu słowa nasączone trucizną. – Kolejny raz złapałem tę małą idiotkę na kradzieży – oświadczył blokowy i wyszczerzył długie zepsute zęby. – Trzeba coś z tym zrobić. Albowiem napisano na kamiennej tablicy: Nie kradnij! Nie możemy zapominać o dziesięciu przykazaniach. Nie możemy zejść z raz obranej drogi. Wiem, gdzie znaleźć tę małą grzesznicę. Jesteście ze mną?

W dusznym półmroku osobliwie wąskie głowy nieskończenie wolno przytaknęły.

ZWĄTPIENIE

Oskar ziewnął. Po kilku godzinach żmudnej lektury zdrętwiały mu plecy, rozboleły barki; wstał z podłogi, przeciągnął się, wykonał nagły skłon. Przejrzane książki odstawił na półki. Potem zamknął świetlicę, zgasił światło. W chwili, gdy miał opuścić szkołę, wiedziony dziwnym przecuciem wrócił do klasy na piętrze. Podeszedł do parapetu i dokładnie obejrzał terrarium.

Okazało się, że nakrycie z pleksi nie spełniło swojej roli. Po porannej niedyspozycji kolekcja owadów uszczupliła się, hodowla wymagała uzupełnienia. Braki w okazach oznaczały jedno – wyprawę na kartoflisko. Oskar nie miał dzisiaj ochoty na mordęgę wśród karłowatych krzaków, po kostki w miękkiej ziemi. Zastanawiał się przez chwilę, czy gdyby odłożył całą sprawę na później, tak jawne zaniedbanie uszłoby mu na sucho. Doszedł do wniosku, że po przyłapaniu go na pogawędce ze strażnikiem raczej nie. Z nosem na kwintę jak niepyszny podreptał w znanym sobie kierunku.

Po drodze powrócił widok dymiących o poranku kominów, a to obudziło w nim iskierkę nadziei. Jeżeli dzisiaj piece wypełniono należycie, to nagromadzi się w nich tyle popiołu, że jego nadmiar wywieziony zostanie na otaczające obóz pola uprawne. W tym ziemniaczane zagony. Uciekając przed tłustym ciepłem, stonki wpelzną na wierzchołki roślin i łatwo będzie je zebrać.

Kartoflisko znajdowało się na końcu nieużywanego sektora obozu. Mijając szpaler zrujnowanych budynków, Oskar podnosił gruby żwir, którym wysypana była ścieżka, i ciskał nim w przegryzione wilgocią mury w bezskutecznej próbie wywołania echa w ich pustych wnętrzach. Po jakimś czasie dojrzał wspartą o wypaczone drzwi jednego z budynków taczkę. Nabrał garść kamieni. Zwielokrotniony głośny trzask sprawił mu wiele radości.

Wychodząc zza rogu, dostrzegł, że zgodnie z przewidywaniami całe poletko pokrywa warstwa sypkiej szarości. Humor znacznie mu się poprawił. Skierował się ku drewnianej szopie gospodarczej z nieczynnymi polewaczkami. Wyjął skobel, rozsunał drzwi i zanurzył się w ciemny, przepojony zapachem saletry mrok. Za jedną z beczek wymacał dwa przewiązane sznurkiem kawałki grubej gumy. Założył je na buty jako ochraniacze przed żarem popieliska. Guma była twarda, miejscami nadpalona. Sznurek natomiast trzymał mocno. Właśnie obwiązywał sobie nim kostki, gdy usłyszał dobiegający zza zasieków hałas. Odruchowo przywarł do zimnego cielska

polewaczki. Nadstawił uszu. Hałas nie powtórzył się, mimo to Oskar nie dał za wygraną; ostrożnie podkrał się do uchylonych drzwi szopy, zbitych z nieoheblowanych desek. Doskonały punkt obserwacyjny. Wyjrzał na zewnątrz. Nie wierzył własnym oczom – z jednego z umieszczonych tuż nad ziemią piwnicznych świetlików wygramoliła się, a następnie uciekła w popłochu nieznajoma dziewczynka. Oskar nie marnował czasu, kierowany ciekawością ruszył w pogoń. Wśród starych baraków dostrzegł jednak ojca i zwolnił, rezygnując z pościgu.

Powie mu.

Matylda zanurkowała pod brudny koc. Stłumiła szloch, przygryzła śmierdzący materiał; gałgan, którego używała jako poduszki, przycisnęła do piersi. Tak mało brakowało, a jej tajemnica zostałaby odkryta! Przetrwać, przetrwanie. Siedź cicho. Tak przecież zawsze powtarzała matka, zanim została skrzywdzona, zanim zamilkła, zanim znikła na dobre. Matylda dobrze pamiętała jej usta, czerwone ładne usta. Potem, gdy odcisnęły się na nich brutalne pocałunki, wykrzywiły się, zamieniając w ziejącą ranę. Pamiętała wysoko noszoną głowę, która po tym, co się matce przytrafiło, pochyliła się i chwiała na chudej szyi jak uczepiona jej udręczona narośl, pragnąca pożegnać się z balastem wykorzystanego ciała. Plamy krwi na prześcieradle, osowiała twarz, wzdęty brzuch. I zaklęcia. Zaklęcia szeptane po nocach. Zaklęcia skargi. Boże, Boże, Boże. Proszę, proszę, proszę. Modlitwy i imię Boga zlane w jeden gorzki strumień.

Abrakadabra. Abrakadabra. Czy mam w sobie jeszcze jakąkolwiek moc? Nakreśliła palcem w powietrzu najsilniejszą ze znanych sobie magicznych formuł.

Pełzak

Pełzak – Boże, co też się z nim teraz stanie?! Abrakadabra,

abrakadabra, abrakadabra.

Strażnik stanął w progu swojego mieszkania. Był głodny, burczało mu w brzuchu, mimo to pierwszym, co zrobił, było odstawienie karabinu do zamykanej na klucz szafki w przedpokoju. W trakcie przekręcania kluczyka w zamku znieruchomiał. Właściwie sam nie wiedział, dlaczego z takim uporem zamyka tę szafkę – przed kim? Przecież od dawna mieszka sam. Siła przyzwyczajenia? Jakaś siła na pewno.

Od dawna. Na pewno. Jakaś siła.

Zrzucił mundur i wszedł do kuchni. Nastawił wodę na herbatę. Zauważył, że gdy ostatnio dosypywał cukru do cukierniczki, odrobina rozsypała się na blat. Dwie muchy skorzystały z jego nieuwagi i teraz w najlepsze lizały leniwie przezroczyste sześcianiki. Przyjrzał im się ze zmarszczonymi brwiami. Okruch. Dla nich prawdziwa uczta. Splótł ręce na podołku i zapatrzył się na czarną nerwową parkę. Woda w czajniku zabulgotała, wzniósł się pióropusz pary, a on bał się poruszyć w obawie, że spłoszy niespodziewanych gości. Ciekawe, co taka mucha czuje, pomyślał. Nie banalnie, lecz w głębszym sensie tego pytania. Czy zastanawia ją coś ponad to, co trzyma właśnie w chudych łapkach?

Strażnik ostrożnie sięgnął ku niewielkim ciałkom – nie zauważył, kiedy umknęły.

Gorącą wodę wylał do zlewu, głód przepalił papierosem.

Kładł się właśnie do łóżka, gdy zaterkotał telefon.

Inżynier zmienił przepaloną oponę na kole taczki, a potem odprawił ostatniego z majstrów. Zamknął drzwi. Smar na sworzniach tokarek skwierczał i stygł. Za oknem równo ustawione pod falistym dachem przybudówki rzędy butli z gazem technicznym wpatrywały się w nicość niczym korowód szarych zjaw.

Inżynier sięgnął za szafę z narzędziami i wydobył zakurzoną

butelkę. Zębami wyciągnął korek i pociągnął spory łyk ciemnego płynu. Zakrztusił się. Odetchnął z ulgą. Potrzebował odrobiny ukojenia, spokoju. Musiał przemyśleć pewne sprawy.

Rozpoznał tamto miejsce. Może w pierwszej chwili nie zdawał sobie z tego sprawy, gdy złorzeczył nad zepsutą taczka, ale to wszystko, co opowiedział Oskar, otworzyło inżynierowi oczy. Przypomniało. To na tamtym podwórku została zgwałcona jedna z więźniarek. Obrazy wracały tak żywe, jak gdyby wydarzyły się wczoraj. Był tam. Przyglądał się. Sześciu mężczyzn gołych od pasa w dół, mężczyzn ze sterczącymi przyrodzeniami, znęcających się nad zakrwawioną kobietą. Sześciu mężczyzn oddających mocz w górę, tak mocno napięte mieli lędźwie. Był tam. Przyglądał się. I nie zrobił nic. Pamiętał twarze. I nie zrobił nic. Bał się. Sześciu palaczy z bloku piątego. Ubił z nimi interes. Sam przyprowadził tę kobietę. Ubił z nimi interes – na jego życzenie przeczesali zniszczoną szkołę, przekopali zgliszcza, umeblowali klasę. W zamian prosili jedynie o odrobinę rozrywki. Zapewnił im ją. Tak, właśnie on im ją zapewnił.

Zgodziłem się. Zrobiłem to dla Oskara, pomyślał inżynier. Pociągnął łyk, lecz gorzki alkohol nie przyniósł zapomnienia. A teraz mój syn w tym samym miejscu podejrzwał przeciskającego się przez piwniczne okienko brudasa. Dziecięca ciekawość jest nie do powstrzymania. Pewne kroki muszą zostać podjęte. Inżynier sięgnął po słuchawkę telefonu. Wykręcił numer. Nie pamiętał, co mówił. Mówił dużo, nieskładnie.

Gdy opuszczał warsztat, otarła się o niego wysoka, milcząca postać. Odruchowo cofnął się o krok, niespokojnie, jak na krótkowidza przystało, uniósł gardę. Wokół ani żywego ducha, tylko cykady zachichotały histerycznie w imieniu nocy.

Był tam ktoś? Czy mu się przywidziało?

Na wszelki wypadek inżynier sięgnął po torbę z narzędziami.

Blokowy czekał.

Schowany za załomem muru, uważnie obserwował deptak. Wieczór zapadał powoli, zamiast ciemności sączył niespotykaną

atramentową mgłą, przejrzystą i świecąca własnym blaskiem. Wszelki kształt, nad którym się ów opar przelał, nabierał ostrości, stroszył kontury. Bardzo dobrze. W taką noc jak ta nic nie umknie wyteżonej uwadze. Blokowy został natchniony, a sprzyjające okoliczności utwierdziły go w przekonaniu, że sobie na to zasłużył.

Nie usłyszał jej, nie zobaczył, ale wiedział, że się zbliża. Poczuł. Zagarnął przestrzeń szerokim gestem, schwytał, palcami odnalazł rozdziawione do krzyku usta.

– Jedno słowo, a skręcę ci kark – warknął. – Jedno słowo, a będzie to twoje ostatnie słowo.

Po krótkiej walce drobne ciało sflaczało. Blokowy posadził je na ziemi, związał drobne ręce. Na zmierzwioną głowę naciągnął worek.

– Jak masz na imię?

Z głębi worka nadeszła cicha odpowiedź.

– Ładne imię. Ile masz lat?

Dziecko nie odpowiedziało. Blokowy uderzył je otwartą dłonią.

– Pytałem, ile masz lat, dziewczyno? Nie musisz odpowiadać. Skoro sięgasz po cudze, jesteś wystarczająco duża. – Wziął małe ciało w ramiona i przycisnął usta do worka w miejscu twarzy dziewczynki. – Zanim sprowadzę cię na ścieżkę prawdy, dam ci małą naukę – warknął. Jedną ręką ściągnął spodnie, podciągnął połataną spódniczkę, rozłożył na boki chude jak patyki nogi. – Leż i nie ruszaj się! – rzekł z naciskiem.

Wsparty na rękach, gwałtownie wziął dziewczynkę pod siebie.

Ostatnie, co zapamiętał, to błysk klucza francuskiego, który bezdźwięcznie runął na niego spośród odległych, obojętnych gwiazd.

Kapelan odpoczywał w skromnej zakrystii. Siedział nagi na brzegu łóżka i powoli, dokładnie nacierał zniekształcone udo maścią przeciwbólową. Ruchy dłoni były płynne i stanowcze, jakby wierzył, że w ten sposób cudownie ożywi suchy kikut.

Przypominały modlitwę ślepcy, pełną cierpienia biblię spisaną brajlem; święty dotyk, którego przekaz ginął wśród nieczytelnych znaków blizn i strzaskanego ciała.

Nad obozem "Świt" powoli zapadała noc. Kapelan wiedział, że on sam pasuje do tego miejsca. Wrak pośród wraków. Czasami myślał, że przez całe życie tak chciwie szukał cierpienia, któremu mógłby zaradzić, że Bóg Ojciec oddał mu swoją część. Czasami myślał, że padł ofiarą kpiny.

Całymi dniami słyszał krzyki tych potępieńców za drutem kolczastym i przeciwstawiał im Dobrą Nowinę. Z sektora spopielania idziecie prosto nieba, głośił. Zastrzeleni, idziecie prosto do nieba. Pobicci na śmierć, do nieba. Co z tego, skoro nikt nie chciał iść do nieba. Wszyscy chcieli żyć tu, na ziemi. Wszyscy syczeli: "Niech cię piekło pochłonie" – jego, kapłana. Zdarzały się dni, ponure dni, gdy brakowało mu sił.

Kapłan uniósł głowę i wciąż błędząc dłońmi po okaleczonej nodze, odczytał zawartą wśród jej występów i rozpadlin wiadomość:

W przedsionku zakrystii czyjeś pięści niecierpliwie załomotały w drzwi wejściowe.

Po twarzy kapłana ukradkiem spłynęła samotna łza.

• • | • • | • • | • • | • • | • •
• | • | • | • | • | • | •
• | • | • | • | • | • | •

STRACH

Oskar skradał się w cieniu baraków, wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego. Za zasiekami rozstawione na drewnianym rusztowaniu punktowe reflektory dyndały nad pasmem ziemi niczyjej. Otwarta przestrzeń wołała, wabiła ku sobie skołatane

dusze więźniów majakiem wolności; Oskar raz po raz nerwowo spoglądał w jej kierunku.

Płaski trawiasty bezmiar wydawał mu się straszny, straszniejszy niż świadomość, że mógłby zostać odkryty podczas samotnej nocnej wycieczki. Wiedział, że pozwala sobie na zbyt wiele.

Czy reflektory odnajdą go i pożą jak jakiegoś zbłąkanego desperata, szalonego na tyle, że zlekceważył mordercze zasieki? Wyobraził sobie siebie złapanego w okrągłą jasną plamę światła, komendy wykrzykiwane podniesionym głosem, przeładowywane karabiny. Jeżeli zostanie zauważony, strażnicy pewnie go rozpoznają i tylko pogrożą palcem, ale tak czy siak dużo ryzykował. O tej godzinie nikomu spoza obozu nie wolno było przebywać na jego terenie. Nikomu, a zwłaszcza dzieciom. Dzieciom, a zwłaszcza jemu – synowi inżyniera. Przypomniał sobie słowa ojca: palimy tych ludzi, nie oczekuj od nich niczego dobrego. Daj im szansę, a zjedzą cię żywcem. Na to wspomnienie coś boleśnie przekręciło się Oskarowi w brzuchu. Co z tego, musiał rozwikłać zagadkę. Za wszelką cenę dowie się, dlaczego ta mała więźniarka myszkuje po piwnicach.

Niespodziewanie doszedł go huk wystrzału. Odruchowo zakrył uszy, przywarł do ziemi. W ustach zachrząścił mu piach. Gdzieś rozległ się wysoki krzyk, niezrozumiałe gniewne słowa. Po chwili zawtórował im tupot nóg. Leżąc na ziemi, Oskar uniósł głowę. Ktoś biegł w jego stronę, ale jakoś tak nieskładnie, zataczając się.

Ze zdumieniem Oskar dostrzegł, że to dziewczynka, że ma związane ręce i przesłoniętą czymś twarz. Biegła bez tchu przed siebie, ledwie utrzymując równowagę. Gdy w pewnej chwili upadła na kolana, dopadł do niej i pociągnął za sobą w wąski zaułek. Potrząsnął wychudzonym ciałem.

– To do ciebie strzelali?

Brudna szmata stłumiła odpowiedź. Zerwał ją jednym ruchem.

– Och!

– Do ciebie strzelali, smarkulo?! – naciskał.

- Nie, nie, chyba nie...
- Ciemne włosy. Ciemne oczy.
- No to siedź cicho. Zaraz będzie tu niezłe zbiegowisko.
- Nie mogę! – zaprotestowała dziewczynka. – Abrakadabra. Muszę biec na pomoc.
- O czym ty mówisz? – Oskar przyjrzał się uważnie umorusanej twarzy. Uśmiechnął się szeroko. – To ty – zawyrokował z niedowierzaniem. – To ciebie szukałem.
- Nie, nie widziałeś mnie, nie widzisz. Abrakadabra, abrakadabra!
- Nie bredź! Wiem, dokąd biegniesz. Do piwnicy, prawda? W porządku. Biegnij dalej. Ale ja pobiegnę razem z tobą. W przeciwnym wypadku... – Oskar wyjął zza pazuchy latarkę i błysnął dwukrotnie światłem. – Dam znać, komu trzeba. Rozumiesz?

Matylda nie wiedziała, czego chciał tamten mężczyzna. Śmierzący worek, brak powietrza. Głodne palce, które dotykały ją tam, w dole brzucha. Mdlący trzask, a potem huk. Wyrwała mu się. Jakim cudem? Nie wiedziała, nie potrzebowała tej wiedzy, dopóki nogi niosły ją jak najdalej od okrucieństwa, którym ten mężczyzna promieniował. Jeszcze parę metrów i udałoby się jej dotrzeć do kryjówki. Jeszcze parę długich metrów.

Pech chciał, że teraz była zdana na widzimisię kroczącego z nią ramię w ramię chłopca. Ten chłopiec wymusił na niej ujawnienie tajemnicy Pełzaka. Trudno, pokaże mu go, nie ma innego wyjścia. Wiedziała, że każde zakłęcie traci kiedyś moc. Widocznie moc jej zaklęcia wygasła szybciej, niżby tego chciała. Raz i drugi starała się wymknąć chłopcu, ale czy to ze strachu, czy ze zmęczenia nie potrafiła dość szybko przebierać nogami i padała jak długa na ziemię. Kiedy rozbiła sobie wargę na tyle mocno, że językiem podzieliła jej płatek na dwie części, zrezygnowała z jakiegokolwiek oporu. Niech się dzieje, co chce.

Hokus-pokus.

Abrakadabra.

Do piwnicy zeszli razem, ona pierwsza, on tuż za nią. Wyraźnie słyszała głuchy jęk, który wydał, gdy owiało go zawiesiste powietrze.

– Co tu tak śmierdzi? – spytał.

Jakżeby mogła odpowiedzieć mu inaczej niż: miłość.

Zatrzymali się przed zakratowaną wnęką. Matylda kucnęła i zawołała Pełzaka. Nie otrzymała odpowiedzi.

– Rozwiąż węzeł i uwolnij mi ręce – poprosiła.

Chłopiec zawahał się.

– Inaczej nie sięgnę po niego...

– Jeżeli zbiera ci się na sztuczki...

– Hokus-pokus. Zdejmij, proszę.

Chłopiec posłuchał.

Matylda włożyła całe ramię przez oczko kraty – daleko, tak daleko, że metalowe pręty boleśnie wcisnęły jej się w policzek. Palce dotknęły jakiejś miękkiej lepkiej hałdy, lecz nie znalazły przyjaciela.

– Mam na imię Oskar.

– Potrzebuję czegoś, żeby go dosięgnąć. – wyszeptała.

Chłopiec oddalił się na chwilę i wrócił z długim kijem od szczotki.

– I latarka, daj mi latarkę – poprosiła Matylda.

Kijem przyciągnęła do siebie bezwładne ciało. Wzięła je na ręce, opatulila w sukienkę i wyniosła na świeże powietrze. Odwinęła zawiniątko.

– To Pełzak. – powiedziała z przejęciem. – Chciałabym być z nim na zawsze.

Chłopiec szeroko otworzył usta. Zwymiotował.

– To tylko Pełzak, chyba śpi. Nie bój się. On nie zrobi ci krzywdy...

– O Boże! On ma taki kolor? Czy ty wiesz, co to jest?!

Zrobiło jej się żal chłopca. Przeczekała najgorsze targające nim znowu wymioty, otarła sople podbarwionej żółcią śliny mankietem sukienki. Odepchnął ją od siebie jak najdalej.

– Proszę, proszę, nie rób tego. Ja chcę jedynie ukryć się z moim maleństwem.

– Spokojnie – wychrypiał Oskar. – Widzę, że bardzo wam na sobie zależy. Znam specjalną kryjówkę. Zaprowadzę cię tam. Nikt was nie złapie, nikt cię nie skrzywdzi. Zaufaj mi. Wiem, co mówię. Jestem synem inżyniera.

Strażnik opuścił karabin. Dzwonienie w uszach ustało, rozplynęło się w ciszy i tylko odzwyczajony od siły odrzutu bark tętnił szaleńczo w rezonansie bólu. W powietrzu unosił się swąd prochu. Kilkanaście metrów od miejsca, w którym stał strażnik, na ziemi spoczywały dwa bezwładne ciała. Poskręcane i czarne w zapadającym zmroku, nie przypominały istot ludzkich. Ale to byli ludzie, co do tego nie było wątpliwości. Jednego z tych ludzi strażnik właśnie zastrzelił. Właśnie odebrał mu życie. Jakby w kontrapunkcie dla zbrodni, którą popełnił, w całym obozie zapanował przejmujący bezruch.

– Przegrałem – wyszeptał z niedowierzaniem. – Słyszysz mnie, kostucho? Przegrałem. Złamałem zasady. Nasza gra jest skończona.

Postąpił krok do przodu. Zachrząścił żwir i ten dźwięk jakby na nowo pchnął tryby czasu. Zawyły syreny, z suchym trzaskiem po kolei rozjarzyły się reflektory. Na ziemi błysnęły dwie sadzawki – okulary. Strażnik znał te okulary. Wiedział, do kogo należały...

Znowu zrobił krok. I następny. Dalej poszło jak z płątka. Lewa, prawa, lewa, prawa, lewa-prawa, lewa-prawa-lewa-prawa. Biegł, ile sił w nogach. Biegł w kierunku jedynej osoby, której mógł się z tej śmierci wytłumaczyć.

Inżynier spojrział na swoje zakrwawione dłonie. Doszło do pomyłki, do strasznej pomyłki. Ta krew należała do niego.

Mężczyzna u jego stóp, mężczyzna, którego głowę rozłupał, drgał konwulsyjnie jeszcze przez chwilę, nim wreszcie umarł. Przecież tylko stanął w obronie... Ale on... Czemu jego? Kula przeszła przez brzuch, wypruła [] mam w sobie tyle [] to niemożliwe przecież ja [] zastanawiam się skąd [] ona nie wie [] [] szans nie [] ma [] już [] po [] białe zimne tak []

Inżynier upadł. Wokół noc skruszyła się na kształt tafli czarnego lodu.

W czarnej głębinie nie kryła niczego. Nawet pustki.

Blokowy



Kapelan zapiął lśniący guzik sutanny. Alarm. Żołnierz, który przed paroma minutami pojawił się tak niespodziewanie w przedsionku, przemknął w głąb salonu i stanął przy kontakcie. Raz po raz zapalał i gasił po kolei wszystkie światła. Wyglądał na strażnika. Kapelan nie był pewien, czy go zna, nigdy zbytnio nie zwracał uwagi na obsługę obozu. Miał szczerą ochotę wyprosić go, podejrzewał, że wraca pijany z kantyny, ale doszedł do wniosku, że dla spokoju własnego sumienia upewni się co do jednej rzeczy:

- Czy jesteś wierzący? – zapytał.
- Co?

– Czy wierzysz?

Strażnik uważnie przyjrzał się duchownemu. Trzeźwy, ocenił kapelan.

– W śmierć. Dzisiaj wierzę w śmierć.

– Jak my wszyscy, synu. Kto wierzy w śmierć, zwykle wierzy też w życie. Życie zaś pochodzi od Boga...

Nie skończył. Syreny załkały ze zdwojoną mocą, rozniósł się ostry szczek megafonów. Niespodziewanie strażnik zaszlochał im do wtóru. Unisono krzyku i płaczu drugiego człowieka obudziło w kapelanie nagłą złość: tej nocy płakał także ktoś oprócz niego, poczuł, że nie był wyjątkowy.

– Do cholery, weź się w garść! – zaczął twardo, lecz strażnik zamiast odpowiedzi błyskawicznie przeładował broń i wymierzył ją w duchownego.

Kapłan wbił wzrok w czarny otwór lufy. Przełknął ślinę.

– Słyszysz? Podniesiono alarm. Zabiję każdego, kto nie będzie na swoim miejscu.

– Czy to ciebie właśnie szukają, synu?

Strażnik przetarł zaczerwienione oczy, zupełnie jakby obudził się ze snu.

– Co masz zamiar zrobić? – dopytywał się kapelan. – Zastrzelić i mnie?

Strażnik przechylił głowę, łowił uchem odległy szmer.

– Dzieci. – wychrypiał. – Jasna cholera, wydaje mi się, że widziałem dwoje błakających się po obozie dzieci.

ŚMIERĆ

Oskar podniósł grudkę węgla i narysował na plecach Matyldy pionową kreskę.

– Co robisz? – spytała dziewczynka, oglądając się przez ramię.

– Nadaję ci numer. Jesteś pierwszą osobą, której pomagam uciec.

– Musisz mnie numerować jak jakąś paczkę?

– Wszystko ma swój numer. – odparł Oskar

– Kto tak powiedział?

– Mój ojciec. Z nim się nie dyskutuje. Właź.

Dziewczynka pochyliła się i zajrzała do wnętrza kryjówki.

– Nisko – zauważyła nieśmiało.

– Podwiniesz nogi pod siebie. Powinnaś się zmieścić.

– A jak nie?

Oskar wskazał na czeszące niebo snopy wojskowych reflektorów.

– Chyba nie masz wyjścia.

– Chyba nie mam...

Matylda kucnęła, położyła przed sobą zawiniątko z Pełzakiem i na czworakach wsunęła się w długi mroczny korytarz.

– Hej, tu jest naprawdę bardzo ciasno!

– Wytrzymasz. To tylko na chwilę – odparł Oskar i pośpiesznie zamknął stalowe wrota. Zakręcił korbą zamka. Gdy mechanizm zatrzymał się i szczęknęła zapadka, stanął na palcach i przez okrągły bulaj zajrzał do wnętrza. Pomachał dziewczynce. Odpowiedziała mu tym samym.

– Wszystko w porządku? – krzyknął i zastukał palcem w zaśnieżone szkło.

Dziewczynka wzruszyła ramionami i zaśmiała się bezgłośnie. Nie słyszała. Odpowiedziała coś, śmiesznie poruszając ustami.

– Tak, tak. Nikt was nie znajdzie.

Szybko pobiegł do panelu sterowania i odkręcił zawory. Miedziane rury szczęknęły na spoiwach, powoli wypełniając się gazem. Oskar położył dłoń na przycisku ręcznego zapłonu pieca.

– Abrakadabra – zaśmiał się. – Nikt już was nie znajdzie, nikt was nie zobaczy.

Matylda wiedziała, że teraz będzie bezpieczna. Do nowej

kryjówki nie miał wstępu nawet dźwięk. Rozejrzała się po ciemnym pomieszczeniu. Dotknęła osmalonych ścian. Dobre miejsce, ciche miejsce. Zawiniątko z Pełzakiem wcisnęła w najdalszy ciemny kąt. Uniosła głowę i wyjrzała przez niewielkie okrągłe okienko. Wydawało jej się, że w stronę jej nowej kryjówki biegną dwaj nieznajomi mężczyźni. Jeden wymachiwał karabinem, drugi rozpaczliwie kreślił w powietrzu znak krzyża. Czy to nie dziwne? Dorośli ludzie, a w ich sercach tak mocno wyryte są krzyż i broń. To pewnie ze strachu, przywidzenie.

Nie zaprzętała sobie nimi głowy. Oskar obiecał pomóc. Ufała Oskarowi.

– Abrakadabra – wyszeptała i pogłaskała Pełzaka.

Coś zazgrzytało. Powietrze wypełnił przedziwny zapach. Wciągnęła go głęboko do płuc. Poczowała zawrót głowy. Ucałowała i przytuliła bezwładne ciało.

– Abraka...

Nie dokończyła. Świat stanął w powodzi płomieni.

Numer sto dwudziesty piąty śpi. Numer sto dwudziesty dziewiąty drepcze w kółko. Numer sto trzydziesty wyraźnie podupada na zdrowiu. Numer sto pięćdziesiąty ósmy kuleje. Numer dwieście czwarty je jak oszalały. Numer dwieście dziesiąty cały czas chowa się w kącie. Numer trzysta pięćdziesiąty złożył jajeczka. Numer czterysta trzeci przegryzł ściankę kojca. Numer czterysta dwudziesty...

Jacek Piekara

ARTUR POTTER LWIE SERCE



Starzec miał brodę koloru światła księżyca i tej samej barwy włosy sięgające aż za ramiona. Śnieżnobiała szata, w jaką był odziany, spływała szerokimi fałdami niemal do samej podłogi. Uśmiechnął się, widząc, że chłopiec się obudził.

– Jestem przyjacielem, Sebastianie – powiedział miękko i uniósł otwartą dłoń w geście pokoju. – Nie musisz się mnie obawiać.

Sebastian miał czternaście lat i bujną fantazję, lecz niewielkie wyobrażenie o tym, co robić, kiedy w środku nocy kilka kroków od jego łóżka pojawia się wysoki starzec, który wygląda tak, że mógłby być zaginionym bratem Gandalfa i kuzynem profesora Dumbledore'a. Na wszelki wypadek chłopiec na razie cofnął się tak daleko, jak na to pozwalało oparcie łóżka, i podciągnął kolana pod brodę. Przybysz nie wyglądał co prawda na mordercę ani porywacza (prędzej na staruszkę, który lubi pobawić się w kosi, kosi, łapci z małymi hobbitami), ale gdyby mordercy i porywacze mieli na czołach wymalowane znaki, na

świecie nie byłoby tylu zabójstw i porwań.

– Kim... kim pan jest? – wyjąkał Sebastian i wściekł się na samego siebie, gdy tylko usłyszał własny głos.

Nie ma co ukrywać: słaby i drżący.

Powinien wstać, podejść do obcego, stanąć z nim twarzą w twarz, skrzyżować z nim wzrok (starzec oczywiście nie wytrzymałby ostrego jak sztylet spojrzenia Sebastiana) i powiedzieć: "Co robisz w moim pokoju, człowieku?! I radzę ci: lepiej szybko znajdź dobre wytłumaczenie, jeśli nie chcesz zbierać zębów z podłogi".

Ostatnie słowa Sebastian wypowiedziałby z papierosem przyklejonym do ust, po czym dmuchnąłby dymem obcemu w twarz. Oczywiście ten natychmiast żałośnie by się rozkaszał. Potem jednak Sebastian pomyślał, że groźenie pobiciem srebrnowłosemu staruszkowi może nie do końca byłoby godne prawdziwego twardziela. Prawdziwi twardziele nie znęcają się nad klonami Gandalfodumbledorów. Prawdziwy twardziel powinien zapytać: "W czym mogę ci pomóc, stary człowieku?". Albo jeszcze lepiej: "Powiedz no, stary człowieku, w czym może ci pomóc Sebastian?".

Mówienie o sobie w trzeciej osobie dodawało oczywiście całej wypowiedzi twardzielskiego sznytu, a wtrącone "no" znamionowało odpowiedni dystans do świata i ludzi, jakim powinien charakteryzować się prawdziwy madafaka.

– Przyszedłem ofiarować ci pomoc, Sebastianie – rzekł starzec.

Ujął w dwa palce tyranozaura stojącego na siedzeniu krzesła (O matko, jaki obciach! – wrzasnęło coś w Sebastianie), przyjrzał mu się ze zmarszczonymi brwiami, odłożył na blat biurka i usiadł na jego miejscu. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął długą ciemnozieloną fajkę z szerokim cybuchem, przypominającą poskręcany korzeń dziwnego orientального drzewa.

– Po-pomoc?

Gdy chłopiec ponownie usłyszał własny głos, pomyślał, że ludzie powinni być przygotowywani na odwiedziny srebrnowłosych starców w śnieżnobiałych szatach. Gdyby

wiedział wczoraj wieczorem, że spotka go taka niespodzianka, opracowałby błyskotliwe odpowiedzi, zabawne zagajenia, inteligentne wtrącenia, kapitalne puenty oraz odpowiednio wyćwiczyłby mimikę, by osiągnąć takie efekty jak odważne skrzywienie ust czy brawurowe zmarszczenie brwi. A tak, jak to wyglądało teraz, mógł zaledwie jąkać się i w myślach kląć własną nieporadność (strasznie kląć!).

– Pomóc ci spełnić marzenia – wyjaśnił starzec z uśmiechem. – Pomóc ci stać się tym, kim zawsze pragnąłeś być: bohaterem, odważnie walczącym ze złem w imię dobra. Bohaterem zdobywającym miłość oraz szacunek ocalonego przez siebie ludu. Czyż nie o tym zawsze marzyłeś?

Starzec uniósł się z krzesła i ciężko, z wyraźnym trudem uklęknął na jedno kolano.

– Mój panie Sebastianie, czy zostaniesz naszym bohaterem? Czy spróbujesz pomóc w ratowaniu mojej krainy i mojego ludu?

Sebastian dopiero po chwili zorientował się, że zastygł niczym rzeźba z półotwartymi ustami (Jeeezu, pewnie wyglądam jak ostatni przygłup – przemknęło mu przez myśl).

– Eee, znaczy się... nie... rozumiem...

Z ogromnym wysiłkiem przełknął ślinę. Czuł, że serce bije mu tak mocno, jakby chciało wylecieć gardłem albo wyrwać się z piersi i szukało sobie najbardziej dogodnej drogi, by przebić się przez kości, mięśnie i ciało.

Nagle przyszła mu do głowy okropna myśl. A jeśli ta wizyta jest jedynie głupim żartem? Jeśli siwobrody starzec to wynajęty aktor? W Boże Narodzenie udaje świętego Mikołaja, a teraz zgrywa nie wiadomo kogo, pewnie czarodzieja z odległej krainy. Zaraz, zaraz... Kogo byłoby stać na podobny wygłup? Przecież nie kolegów ze szkoły, dla których szczytem wysiłku intelektualnego było posmarowanie krzesła klejem albo podłożenie na nim pinezki. No tak, raz udało im się przejść samych siebie: zapłacili jakiemuś dziesięciolatkowi, żeby poskarżył się przy całej klasie Sebastiana, że Sebastian zrywa młodszym chłopcom skarpetki z nóg i wacha je potem po

kryjomu w łazience. Ten psikus bawił ich do łez przez następne pół roku.

Ale, ale... To mógł być przecież program telewizyjny! Ukryta kamera! Mamy cię! Tylko czy ekipie telewizyjnej wolno wtargnąć w nocy do czyjegoś domu bez wiedzy właścicieli? Bo co do tego, że rodzice nigdy nie pozwoliliby na podobnie głupi żart, Sebastian nie miał żadnych wątpliwości.

Starzec uniósł się z kolan i usiadł z powrotem na krześle.

– Wiem, że jesteś zdumiony, Sebastianie – rzekł. – Zdumiony, zaskoczony i, jak każdy ostrożny i przewidujący człowiek, na pewno masz wątpliwości co do szczerości moich intencji. Pozwól, że coś ci pokażę.

Spomiędzy fałd szaty wyciągnął wielką kulę zrobioną z czegoś w rodzaju mieniącego się pastelowymi barwami kryształu. W pokoju od razu pojaśniało, wewnątrz zdawał się zalewać ciepły, przyjazny blask.

– Oto Kula Magii. – Starzec z szacunkiem postawił kryształ na stole. – Jeden z naszych wielkich artefaktów, naszych wielkich skarbów. Pozwól, Sebastianie, że zaprezentuję ci jej moc.

Przybysz dotknął powierzchni kuli końcami palców, a wtedy cały kryształ w jednej chwili zmienił barwę i zaczął przypominać nocne niebo rozjarzone gwiazdami. Sebastian widział podobne niebo na wakacjach w górach. Najgłębsza czerń przemieszana z najczystszym srebrem. To było piękne...

Nagle jedna z gwiazd rozjarzyła się mocniejszym blaskiem niż inne. Wąziuteńki promyczek światła pomknął i zatrzymał się na ścianie pokoju niczym nić utkana przez gwiazdnego pająka. Następnie koniec nici zamienił się w kropeczkę, później w srebrną plamkę, która rozlała się w kałużę połyskliwej rtęci i w jednej chwili zamieniła w trójwymiarowy, ostry jak brzytwa obraz, przedstawiający wewnątrz jakiejś komnaty. Kamienne ściany, tarcze i miecze przytwierdzone do muru, grube polana płonące w kominku i dwa wielkie... hmm... zwierzaki? wygrzewające się przy ogniu. Sebastian przysięgłby, że nigdy nie widział podobnych stworzeń. Komuś z bujną wyobraźnią

przypominałyby psy, gdyby nie to, że zamiast dwojga oczu miały złożoną ze źrenic obręcz dookoła głowy. Widzą wszystko z każdej strony, pomyślał natychmiast Sebastian. Zaraz jednak przestał zastanawiać się nad tymi dziwnymi zwierzętami, gdyż w pokoju pojawiła się piękna ciemnowłosa dziewczyna. Była ubrana w czarną, ściśle dopasowaną suknię (Bardzo, bardzo ściśle! – pomyślał Sebastian, nie mogąc oderwać od niej wzroku). Na jej piersi kołysał się czerwony kryształ zawieszony na złotym łańcuchu. Poza tym nie miała żadnych ozdób. Dziewczyna spojrzała Sebastianowi prosto w oczy (tak jakby widziała, gdzie on jest!) i powiedziała:

– Szukaliśmy cię i wreszcie znaleźliśmy. Ratuj nas – obraz na moment zamigotał – Sebastianie. Ratuj moje królestwo, przyjacielu! – Dziewczyna złożyła błagalnie dłonie. – Mój doradca i nadworny czarodziej, sir Rimlen, wszystko ci wyjaśni i odpowie na każde pytanie. – Księżniczka odgarnęła włosy z czoła i uśmiechnęła się z nieśmiałym wdziękiem. – Czekam na ciebie, ale pamiętaj, przyjacielu – spoważniała – jeśli nie przybędziesz mi na ratunek, nie uznam cię wcale za tchórza. Każdy ma prawo się bać. Nawet ty. Przecież nie mogę cię zmusić, żebyś odrzucił całe swoje życie i zaryzykował tak wiele dla nieznanej księżniczki, która nie wiadomo nawet, czy za miesiąc lub dwa będzie jeszcze żyła...

W ogromnych oczach dziewczyny zabłyśły łzy (O mamó – pomyślał Sebastian – jakie ona ma piękne rzęsy, o niebo ładniejsze niż w reklamach Mejbelin), księżniczka machnęła dłonią i trójwymiarowy obraz zniknął. Na ścianie znów rozlewała się jedynie srebrna plama gwiazdowego światła, która zaraz zmniejszyła się, zwinęła w promień, po czym wróciła do kryształowej kuli.

Starzec westchnął ciężko.

– Biedna Leilanna – powiedział z czułością i smutkiem. – Moja biedna mała księżniczka.

– Co się dzieje? Co zagraża... księżniczce?

Sebastian poczuł się głupio, wypowiadając słowo

"księżniczka".

– To, co zawsze zagraża ludziom dobrym, prawym i uczciwym – odparł sir Rimlen – a więc wrogowie, których pożywieniem i paliwem jest nienawiść. Nikczemnicy, mordercy, złodzieje i oszuści. Nie ma dla nich żadnej świętości. Taaak... Nasi odwieczni nieprzyjaciele – opuścił głowę – wysłannicy zła... – Milczał długą chwilę, wreszcie uniósł wzrok i spojrzał na Sebastiana. Oczy miał tak niebieskie jak rozświetlone słońcem jezioro. – Przegrywamy tę wojnę, przyjacielu, i potrzebujemy wybawiciela. Potrzebujemy ciebie.

To była chwila jak z bajki, to było lepsze, a przynajmniej porównywalne z misjami Froda, Bilba, Pottera, Skywalkera i Buffy. To było jak przybycie Merlina do młodego Artura, gdy ten jeszcze nie wiedział, że jest potomkiem króla i prawowitym spadkobiercą tronu.

Czy nauczą mnie magii? – pomyślał Sebastian. Czy będę jednym ruchem posyłał ogniste kule w atakujących wrogów? Czy będę latał na grzbiecie śnieżnobiałego smoka? Czy ujmę w dłoń miecz, którego blask oślepi nieprzyjaciół? Czy kiedy już wygram dla nich tę wielką wojnę, księżniczka padnie mi w ramiona, szepcząc: "Sebastianie, jesteś miłością mojego życia. Nigdy nie mogłabym pokochać nikogo tak jak ciebie"? I co wtedy zrobi Sebastian? Uśmiechnie się powściągliwie i powie: "Wiele jest jeszcze ludów, które cierpią, i takich, które potrzebują bohatera. Nie wolno mi korzystać z osobistego szczęścia, póki na świecie ludzie żyją w niewoli strachu". Ujmie księżniczkę pod brodę, złoży na jej czole braterski pocałunek, a potem odjedzie w stronę zachodzącego słońca na grzbiecie wiernego rumaka. Albo... albo nie, nie na grzbiecie rumaka, a na grzbiecie smoka. Tak jest! Smoka! Smoka, który kilkoma ruchami gigantycznych skrzydeł wzbije się pod samo niebo. Granatowe niebo. Stamtąd, z chmur i spod słońca, Sebastian po raz ostatni uniesie rękę, by pozdrowić księżniczkę. A ona będzie patrzeć przez łzy, dopóki bohater i jego smok nie znikną za linią horyzontu. Aha, i będzie padał deszcz, tak jakby samo niebo płakało z tęsknoty za oddalającym się herosem.

Sebastian tak bardzo wzruszył się własnymi myślami, że ze słodkiej, szlachetnej zadumy wyrwało go dopiero pochrząkiwanie przybysza. Lekko spanikowany spojrzał na niego.

– A więc... a więc... ten, no... jest pan, jest pan, że tak powiem, czarodziejem? – zapytał. Wymawiając słowo "czarodziej", znowu poczuł się tak głupio, że ściszył głos niemal do szeptu.

– Owszem – odparł starzec – jak ojciec mojego ojca i dziad mojego dziada. Jak wszyscy z mojego rodu. Na mnie jednak kończy się linia. Chyba że... – jego spojrzenie zdawało się przewiercać Sebastiana na wylot – chyba że zastąpi mnie ktoś, w czyich żyłach nie płynie krew magów, ale okaże się godzien wielkiego daru magii...

– To ja? To mógłbym być ja?

– Nie wiem. – Starzec smutno potrząsnął głową. – Może tak, może nie. W przypadku czarodziejów znaki są zawsze niejednoznaczne, przepowiednie zagmatwane, proroctwa niejasne. Jeśli udasz się ze mną do Kalindry, będziemy mogli to sprawdzić. Będziemy mogli stwierdzić bez wątpienia, czy jesteś bohaterem, na którego czekamy. Nawet jeśli nie zostaniesz czarodziejem jak ja, zawsze możesz stanąć na czele naszej armii.

– Kalindra – powtórzył chłopiec. – Tak nazywa się pański kraj? Kalindra?

– Właśnie tak. – Przybysz skinął głową. – Cudowna i wspaniała Kalindra, nad którą nigdy nie zachodzi słońce. Kraina tajemnic, sekretów i zagadek. Kraina najświętszych praw i odwiecznych reguł, wyznaczających bieg naszego życia. Kraina najwaleczniejszych mężów i najpiękniejszych dziewcząt. Och tak, moja piękna Kalindra... – Sir Rimlen zamilkł z przymkniętymi oczyma.

Gdy cisza zbyt długo się przedłużała, Sebastian pozwolił sobie na chrząknięcie. Jedno, a ponieważ nie przyniosło ono skutku, to również drugie.

– Tylko proszę pana, wie pan, nie bardzo rozumiem, co ja mam z tym wszystkim wspólnego. – Postanowił przerwać zadumę

przybysza. – No bo skoro macie walecznych wojowników, to jak ktoś taki jak ja może wam pomóc?

Sir Rimlen pokiwał głową, jakby zgadzał się ze słowami chłopca.

– Każdy może być piórkiem – powiedział – które przeważy szalę na wadze dobra i zła, Sebastianie. Każdy może znaleźć własną, osobistą drogę do bohaterstwa, do nieskończonej chwały, do szacunku i miłości. Każdy, choćby z początku wydawał się słaby. A ty... – starzec zawiesił spojrzenie na chłopcu – przecież ty nie jesteś słaby, prawda? Skoro ja przeczuwam w tobie prawdziwą moc, ty też ją czujesz. Czujesz, Sebastianie?

– N-n-nie wiem...

Sir Rimlen pokiwał głową, jakby odpowiedź Sebastiana potwierdziła jego wcześniejsze podejrzenia.

– Jesteś skromnym i rozumnym młodzieńcem, Sebastianie. I bardzo dobrze. Właśnie to pozwala zarówno tobie, jak i nam żywić nadzieję, że oprzesz się siłom ciemności, zło nie zawładnie tobą, nie przejdziesz na stronę... Czarnej Cytadeli. – Ostatnie dwa słowa wypowiedział szeptem.

– Czarna Cytadela? – Sebastian mimowolnie zniżył głos do szeptu.

– Wrogowie od zawsze i na zawsze – wyjaśnił gorzko starzec. – Ci, którzy łamią przysięgi, plują na obietnice i nie dotrzymują umów, ci, którzy rabują, mordują i zdradzają, ci, dla których słowo honoru jest warte tyle co plwocina na gorącym piasku. To właśnie oni. Nikczemni służalcy Czarnej Cytadeli.

– Łał – powiedział tylko cicho Sebastian.

Przez chwilę obaj milczeli. Pierwszy odezwał się chłopiec.

– Chciałem, wie pan, spytać... No bo przyszło mi coś do głowy. Czy... nie możecie najać żołnierzy? Wie pan, takich z czołgami, karabinami maszynowymi... O, może z helikopterem! – Sebastian zapalił się do tego pomysłu. – Wie pan, oglądałem kiedyś taki film, że bohaterowie cofnęli się w czasie i...

– Niestety, Sebastianie. – Sir Rimlen nie czekał, aż chłopiec skończy zdanie, i przerwał mu stanowczym tonem. – Każda wojna toczona w naszym świecie rządzi się prาดawnymi regułami, których nikomu złamać nie wolno. W przeciwnym razie czeka nas niechybna zagłada.

Sebastian z mądrą miną pokiwał głową. Był co prawda ciekaw, jakie to reguły zabraniają szukania opartej na wysokiej technice pomocy w innych światach, ale rozumiał, że przybysz nie wygłosi teraz referatu na temat historii i kultury swojego narodu. Jakby na potwierdzenie tych myśli sir Rimlen zerknął na zegarek. Ścisłej mówiąc, zerknął na przegub lewej ręki, na którym połyskiwało coś okrągłego i bardzo błyszczącego. Sebastian domyślił się, że jest to wskaźnik czasu. Zresztą nietrudno było do tego dojść, słysząc zaniepokojony głos starca:

– Musimy się spieszyć, Sebastianie. Portal łączący nasze światy niedługo się zamknie. Nie masz już wiele czasu na podjęcie decyzji. I uwierz mi – sir Rimlen spojrzał chłopcu głęboko w oczy – że uszanuję ją, jakakolwiek by była. Będę ci wdzięczny nawet wtedy, jeśli nie zdecydujesz się podążyć za mną. W takim wypadku myśl o nas ciepło, Sebastianie.

Chłopiec zagryzł usta. Podniósł z nocnego stolika niemal na śmierć zaczytany pierwszy tom "Władcy Pierścieni" i zaczął przerzucać książkę z lewej dłoni do prawej. Chciał myśleć szybko, intensywnie i mądrze, ale jak zwykle w chwili zdenerwowania, w chwili gdy trzeba podjąć trudną decyzję, miał w głowie całkowitą pustkę. "Uspokój się, uspokój się", powtarzał sobie. "Trzeba uporządkować myśli". Przymknął powieki. "Zacznijmy od naturalnych satelitów Jowisza: Ganimedes, Kallisto, Io, Europa, odkrytych w 1610 roku. Dobrze. Dalej Amaltea, Himalaja, Tebe, Elara... Zaraz, zaraz, Himalaja czy Himalia? Hima... Hima... Himalia! Tak jest, Himalia! Potem Pazyfae, Karme i Metis". Sebastian otworzył oczy.

– Nie mogę tak po prostu skoczyć w niewiadome – rzekł już uspokojony i pewny siebie (przynajmniej pewniejszy niż przed chwilą). – Powiem panu, jak ja to widzę: Frodo dobrze znał Gandalfa i ufał mu, Obi-Wan Kenobi uratował życie Luke'owi

Skywalkerowi... – Sebastianowi zrobiło się trochę głupio, że wymienia bajkowe postacie, więc dodał: – Merlin był wychowawcą Artura... I tak dalej, i tak dalej. A ja nic nie wiem. Kim jesteście, o co walczyacie, dlaczego mam stanąć po waszej stronie? No i co mi, co mi...

– Co ci grozi, tak? Ależ to oczywiste, Sebastianie. Twoja ostrożność nie przynosi ci wcale wstydu. Gdybyśmy mieli więcej czasu, chętnie zostałbym twoim nauczycielem albo uratował ci życie. – Starzec uśmiechnął się szeroko. – Chociaż z drugiej strony, może lepiej, żeby nie doszło do tego, bym musiał ratować ci życie, czyż nie?

Sebastian po chwili namysłu przyznał mu rację skinieniem głowy.

– Nie sądzisz, że gdybym miał złe intencje, potrafiłbym zainscenizować takie wydarzenie, które by cię do mnie przekonało? Na przykład by zdobyć twoje zaufanie, wysłałbym przodem jakiegoś posłusznego mi potwora, a potem udał, że go pokonuję.

Sebastian znowu nie mógł się z nim nie zgodzić.

– A przecież w naszym świecie żyją zwierzęta, które wyglądają jak potwory, choć pełnią rolę waszych psów czy koni. Powiem więcej! – Starzec klepnął się w kolano. – Gdy pierwszy raz zobaczyłem na Ziemi krowę, aż zdrętwiałem ze strachu. U nas dość podobnie wyglądają dzikie, krwiożercze bestie, żyjące w najbardziej odludnych górskich ostępach. A u was pasą się stadami po kilkaset sztuk. – Sir Rimlen wzdrygnął się teatralnie. – Dla mieszkańca Kalindry, powiadam ci, to naprawdę wyjątkowo przerażający widok.

Sebastian nie był pewien, czy starzec żartuje, czy nie, ale pomyślał, że tak spokojne zwierzę jak krowa mogłoby wzbudzić strach na przykład u Eskimosa. Czy na widok żywiącego się planktonem wieloryba większość nurków nie dostałaby ataku serca? A przecież wieloryby nie atakują ludzi. Krzywdę człowiekowi mogą zrobić jedynie przypadkiem albo w obronie własnej.

– Bardzo często boimy się nie konkretnych zjawisk, rzeczy czy istot, lecz jedynie naszych wyobrażeń o nich – powiedział sir Rimlen poważnym tonem. – Strach budujemy – dotknął czoła palcem wskazującym – we własnych głowach. I zazwyczaj świetnie nam to wychodzi. – Uśmiechnął się.

Sebastian znowu nie widział innego wyjścia, jak zgodzić się z tymi słowami. Przy okazji zauważył, że sir Rimlen nie ma paznokcia na palcu wskazującym. Starzec dostrzegł wzrok chłopca.

– To nie wypadek przy magii ani wojenna kontuzja – powiedział wesoło. – Po prostu przytrzasnąłem go sobie okiennicą. Dobrze, że nie straciłem palca, tylko paznokieć. Niestety, coś kiepsko odrasta. – Westchnął i przyjrzał się bliźnie z troską w oczach. – No taaak, ale przecież nie o tym mamy rozmawiać. – Oderwał wzrok od swojej dłoni. – Drogi Sebastianie, wysłuchaj jeszcze, co będzie miała ci do powiedzenia nasza księżniczka. Może jej słowa przekonają cię do towarzyszenia mi w podróży.

I znowu odbył się ten sam rytuał z pomocą kryształowej kuli. Tym razem obraz wyświetlany na ścianie ukazywał co prawda wnętrze tej samej komnaty, ale księżniczka siedziała w fotelu i ze smutną miną czytała jakieś dokumenty, których wysoka sterta leżała na stole. Uniosła oczy i uśmiechnęła się. Po jej twarzy widać było, że jest zmęczona.

– Witaj raz jeszcze. – Coś cicho szcęknęło i obraz na króciuteńką chwilę zamigotał. – Sebastianie. Chcę cię zapewnić – powiedziała księżniczka miękko i ciepłym głosem – że bardzo, ale to bardzo liczymy na twoją pomoc. – Wyciągnęła rękę, tak jakby chciała podać chłopcu dłoń. – Ja na nią liczę. Obiecuj, że poświęcisz mnie i mojemu królestwu czas do końca dnia. Przysięgnij, że dopóki słońce nie zajdzie, będziesz należeć do nas. Potem możesz wracać do siebie, niezależnie od tego, co się będzie dalej działo. – Dziewczyna podniosła się z fotela, jej głos nabrał stalowego brzmienia: – Ja, księżniczka Kalindry, której słowo jest prawem, przysięgam na krew moich rycerzy, na pamięć moich przodków, na wszystkich bogów widzialnych i

niewidzialnych, że jeśli zechcesz, umożliwię ci bezpieczne opuszczenie mojego królestwa i powrót do twojego świata, zanim skończy się dzień. – Uśmiechnęła się i znowu była tylko śliczną dziewczyną o ciepłym głosie, a nie władczynią. – Poznasz moją krainę i jej sprawy, poznasz moich rodaków. Może... może nas pokochasz? – Zawiesiła głos. – A teraz wybacz, muszę wracać do dokumentów – westchnęła. – Sprawy państwowe – westchnęła znowu jeszcze żałośniej. – Żegnaj albo do widzenia. Wierz mi, że wołałabym "do widzenia".

Jej pożegnalny uśmiech był olśniewający.

Obraz zniknął ze ściany, a Sebastianowi wydawało się, że ciągle ma przed oczyma twarz uroczej księżniczki.

– Coś mi mówi, że nasza księżniczka bardzo cię lubi. – Sir Rimlen pokręcił głową. – Rozumiem, że potrzebujesz trochę czasu na zastanowienie. Ale naprawdę – uniósł palec – mogę ci go ofiarować tylko trochę. Powiedzmy – zerknął na zegar wiszący na ścianie, z którego tarczy lord Vader prezentował swe najmroczniejsze oblicze (Ale obciach! – znowu wrzasnęło coś w Sebastianie) – piętnaście minut. Potem tak czy inaczej będę musiał wracać. Sam albo z tobą. – Sir Rimlen ułożył się wygodnie w fotelu, złożył dłonie na udach i przymknął oczy. Po chwili je otworzył. – Och, jestem coraz starszy i pamięć mi szwankuje – odezwał się przeproszającym tonem. – Jeśli zdecydujesz się udać ze mną w podróż, nie będzie to wcale oznaczać, że wyruszymy razem. Czeka cię sprawdzian, Sebastianie...

Chłopcu nagle zrobiło się nieprzyjemnie zimno, bo przypomniał sobie niesłychanie bolesny test, jakiemu poddano księcia Atrydę. Tymczasem starzec wyjął z zanadrza czarny, połyskliwy walec, nieco tylko większy od papierosa.

– Oto Sfera Kalindry. – Położył przedmiot na dłoni i wyciągnął rękę w stronę Sebastiana. – Gdybyśmy uznali nasz świat za osobę, to Sferę można by nazwać jedną z jej dłoni. Kalindra może ci tę dłoń podać albo – cofnął rękę – cię odrzucić. Kto nie przejdzie testu, nigdy nie ujrzy mojej zachwycającej krainy. Kto nie przejdzie testu – głos starca spotęźniał – ten nie tylko nie będzie opiewany w naszych bohaterskich pieśniach, ale nie

otrzyma szansę, by stać się bohaterem.

– Czy... czy to będzie bolało? – Sebastian musiał zadać to pytanie, chociaż zdawał sobie sprawę, że bohaterowie nie przejmują się tak trywialnymi sprawami jak ból. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi ratowanie pięknej księżniczki i ocalenie jej krainy.

– Nieee... – Sir Rimlen potrząsnął srebrną grzywą. – Nie bardziej niż trzymanie mokrego mydła, jeśli wolno mi użyć tak nieodpowiedniego porównania. Jeżeli Sfera cię nie zaakceptuje, po prostu nie dasz rady utrzymać jej w dłoniach. Cokolwiek byś zrobił, wyśliznie ci się z palców. W innym natomiast wypadku utrzymasz ją tak pewnie, jakby była kawałkiem chropowatego granitu.

Sebastian z mądrą miną pokiwał głową. Musiał przyznać, że bardzo, ale to bardzo mu ulżyło, bo nie był zbyt odporny na ból. Gdy niedawno na treningu siatkówki (jak zwykle nieprzyjemnym z powodu uwag w rodzaju "O rany, psorze, czy ja naprawdę muszę mieć tego łacha w swojej drużynie?") Sebastian źle odebrał piłkę i wywichnął sobie palec, nie mógł powstrzymać się od płaczu, mimo że koledzy stali nieopodal i zaśmiewali się do rozpuku przy każdym jego jęku i skrzywieniu ust. Nawet trener prychnął mu do ucha: "Przestań się mazać, Seba. Co ty, nie masz jaj, chłopaku?".

Ciekawe, co by powiedział trener na wieść, że to u Sebastiana pojawił się wysłannik błagającego o pomoc królestwa? Tak, tak właśnie – u Sebastiana! Nie u któregoś z tych umięśnionych, naładowanych testosteronem byczków z jego klasy, ale właśnie u niego!

– To dobrze – powiedział. – Wiem, że z bólem należy umieć sobie radzić, tak więc – potrząsnął głową – jakby co, to trudno. Jak trzeba, to trzeba, prawda?

Sir Rimlen skinął głową, odłożył walec na blat biurka i znowu przymknął oczy. Ku zdumieniu Sebastiana nie minęła nawet minuta i starzec cichutko zachrapał. O rany! Sebastian mimo woli parsknął śmiechem i szybko zakrył usta dłonią. Mógłbym go

teraz ostrzyc do gołej skóry i ani by drgnął. Ciekawe, co by powiedział, jakby się obudził? Spojrzał na szarą, zmęczoną i pooraną zmarszczkami twarz starca i zrobiło mu się głupio, że w ogóle mogło mu coś takiego przyjść do głowy. Jeezusie, a co by powiedziała księżniczka, gdybym tak urządził jej przyjaciela? I aż zrobiło mu się zimno, gdy wyobraził sobie, co pomyślałaby ta piękna, smutna dziewczyna na wieść o tym, że Sebastian, którego prosiła o pomoc, zachował się jak ostatni kretyń i smarkacz. Tego można by się spodziewać po jego głupawych kolegach z klasy, a nie po kimś, kto miał szansę zostać... no, na przykład Sebastianem Mądrym albo Sebastianem Wielkim. Skoro Piotr, Edmund, Łucja i Zuzanna, czworo zwyczajnych angielskich dzieciaków, mogło zostać Wielkimi Królami Narnii, to dlaczego Sebastian nie mógłby zostać Wielkim Królem Kalindry? Jeśli nie królem, to bohaterem, takim jak Eragon. W końcu Eragon miał zaledwie piętnaście lat, gdy zaczął walczyć ze złem! I doskonale mu to wychodziło!

Sebastian pogrążył się w myślach na temat literackich oraz filmowych bohaterów. Obiecał sobie, że nie popełni błędów Chrisa Parkera i Clarka Kenta i świetnie połączy obowiązki superbohatera ze szczęśliwym życiem osobistym. Bo przecież prawdziwie oddanym Sprawie herosem może zostać jedynie człowiek zadowolony z tego, kim jest i co robi, a nie dziwadło rozdarte pomiędzy odmiennymi tożsamościami.

– Czy mogę wiedzieć, jaką podjąłeś decyzję, Sebastianie?

Zadane poważnym tonem pytanie gwałtownie wyrwało chłopca z zamyślenia. Omal nie podskoczył na łóżku. O Boże! Naprawdę już minęło piętnaście minut!? Spanikowany, zerknął na zegarek. Rzeczywiście, równiutko kwadrans. Ani minuty dłużej, ani minuty krócej. I co teraz?

Sebastianowi znowu mocniej zabiło serce. To była pierwsza prawdziwie poważna decyzja w jego życiu! Do tej pory, zaraz, no tak, nie miał okazji o czymkolwiek zdecydować. Oczywiście pomijając takie nieistotne sprawy jak kolor ścian w pokoju, o co pytał ojciec, czy wybór wakacyjnej szkoły językowej w Londynie albo w Paryżu, co omawiał z mamą. Żadna z tych decyzji nie

miała większego wpływu na życie ani jego, ani innych osób. Teraz otrzymał szansę od losu. Mógł zachować się jak dorosły. Wszystko, dosłownie wszystko spoczywało w jego rękach. To on rządził teraz własnym życiem.

– Chcę... – przełknął ślinę – życzę sobie... – wskazał palcem czarny walec – spróbować.

– Właśnie takiej decyzji spodziewałem się po młodzieńcu o mężnym sercu. – Sir Rimlen głośno wyraził swoją aprobatę. Wstał i ze Sferą Kalindry w dłoni zbliżył się do Sebastiana. – Jest chłodna i bardzo śliska. Nie martw się, że ulegnie zniszczeniu, gdy ją upuścisz. Sfera Kalindry wygląda jak szklana, lecz wiele wytrzyma.

Chłopiec skinął głową, wpatrując się w smoliście czarną Sferę. "Błyszczą jak nawoskowane krukże skrzydła", przyszło mu do głowy nie wiadomo z jakiego powodu. Bo niby jaki kruk byłby na tyle cierpliwy, by dać sobie pociągnąć skrzydła woskiem? Starzec cierpliwie trzymał walec w wyciągniętej dłoni, czekając, aż Sebastian przejmie go od niego.

– Spokojnie – powiedział sir Rimlen łagodnym tonem. – Nie ma się czego bać...

Ramiona Sebastiana poruszały się tak, jakby ktoś zajmujący się oliwieniem stawów zapomniał o swoich obowiązkach. Albo jakby powietrze zamieniło się w gęstą zupę. W końcu jednak udało mu się wyciągnąć dłonie. "Ganimedes, Kallisto, Io, Europa, Amaltea, Himalia, Tebe, Elara" – bezgłośnie poruszał ustami. Gdy dopowiadał słowo "Elara", walec wylądował w jego rozwartych dłoniach niczym jajko w gnieździe. Rzeczywiście był zimny, jakby wyjęty z lodówki, i śliski. Tak śliski jak, jak... nie było słowa na określenie tego, jak był śliski! Ta niezwykła śliskość utrzymywała się zaledwie przez chwilę, przy której czas pomiędzy dwoma uderzeniami serca mógłby uchodzić za wieczność, i już Sebastian poczuł Sferę Kalindry w swoich dłoniach, spoczywającą w nich spokojnie i pewnie. Niczym kawałek granitu. Dokładnie tak, jak zapowiedział sir Rimlen.

– Zdałem! – wrzasnął Sebastian. – Zdałem!

Z zachwytem spojrział na walec, który spokojnie i bezpiecznie leżał w jego dłoniach. Uniósł go przed oczy.

– Dzięki ci, Sfero – powiedział. – O rany! – Podniósł wzrok na starca. – Zdałem. Wie pan: zdałem! Znaczy, zdałem, tak?

– Oczywiście, Sebastianie. Sfera Kalindry pokazała nam, że droga do naszej krainy stoi przed tobą otworem. O ile zechcesz wyruszyć w taką podróż.

Sebastian zacisnął dłonie tak mocno, że nieobcinane przez kilka dni paznokcie boleśnie wbiły mu się w dłonie. Muszę zdecydować, muszę zdecydować. Ta myśl kołatała mu w głowie jak opętana blaskiem ćma. Co powinienem powiedzieć? Co zrobić?

– Powiedział pan: jeden dzień? Jeśli uznam, że jednak nie, to mnie odeślecie?

– Wieczorem będziesz wolny jak ptak – obiecał sir Rimlen. – Albo ja, albo któryś z moich kolegów czarodziejów przeprowadzi cię do twojego świata. Tak samo bezpiecznie jak ja teraz przeprowadzę cię do Kalindry.

– Bezpiecznie, czyli jak? – Sebastian uśmiechnął się blado. – Jak bardzo bezpiecznie jest bezpiecznie dla pana?

– Sebastianie, nigdy nie ośmieliłbym się oszukać cię w żadnej sprawie. Zbyt wiele jest we mnie szacunku – przyłożył dłoń do serca – i dlatego powiem szczerze: pierwszy etap podróży przez Bramę jest stuprocentowo bezpieczny. Zatrzymamy się w czymś, co nazywamy międzyświatem. Podróż z międzyświata do Kalindry jest obarczona pewnym ryzykiem. Stosunkowo niewielkim. Tak jak rejs samolotem. Teoretycznie te wasze latające maszyny są najbezpieczniejszym środkiem lokomocji w historii ludzkości, w praktyce czasem występują większe lub mniejsze awarie, prawda? Ale dlaczego miałyby się to zdarzyć właśnie tobie? Zostałeś natychmiast i z łatwością zaakceptowany przez Sferę Kalindry, więc i sama podróż może się dla ciebie okazać bułką z masłem.

– Tak pan mówi?

Sebastian ku swojemu zdziwieniu zauważył, że bardzo chce

zostać przekonany do podróży, która mogła się okazać najcudowniejszą przygodą jego życia. Raaany! Kto nie marzy o wyzwoleniu uciśnionej krainy, zwłaszcza gdy na tronie tej krainy zasiada niezwykła piękność?

Starzec skinął głową bez słowa i spokojnie czekał, aż chłopiec podejmie decyzję.

– No to... – Sebastian opuścił stopy na podłogę i stanął na równe nogi – ...chyba pójdę z panem. Tylko czy nie powinienem się przebrać?

Spanikowany spojrział w lustro, znajdujące się na przeciwległej ścianie. W tafli odbijał się rozczochrany, chudy chłopak w okrągłych okularach i pasiastej piżamie o przykrótkich rękawach i nogawkach sięgających ledwo do połowy łydek. W dodatku bluza od piżamy miała u dołu kompromitująco wyglądającą plamę, która powstała dzisiaj wieczorem, gdy Sebastian zagapił się i wylał na siebie całą łyżkę jeszcze ciepłego budyniu. Tak, budyniu! Tak właśnie było, mimo że pozory mogły świadczyć o czymś zupełnie innym...

– Nie trzeba, Sebastianie. Otrzymasz nowy strój. Taki, w którym będziesz mógł godnie pokazać się w zamku Kalindry.

– Aha. No to dobrze. Ale może chociaż założę spodnie...

Sebastian podbiegł do krzesła, chwycił spodnie od dresu i podskakując na jednej nodze, naciągnął je na siebie. Bluzę od piżamy włożył w spodnie i od razu poczuł się lepiej.

– Uświęconym tradycją zwyczajem jest to, że każdy rycerz na dworze naszej księżniczki przybiera nowe imię, aby właśnie pod nim, jeżeli jego czyny na to pozwolą, po wsze czasy został zapamiętany w Księstwie Kalindry. Jakie imię chciałbyś przybrać, Sebastianie?

No cóż, skoro tak potężny bohater jak Aragorn mógł nazywać się raz tak, raz siak w zależności od tego, gdzie właśnie mieszkał – a to Thorongil, a to Elessar, a to Obieżyświat, a to Estel – podobna zmiana na pewno nie zaszkodzi Sebastianowi. Tylko jakie imię wybrać, by wzbudzało szacunek? By wrogowie drżeli na sam jego dźwięk? Coś twardego? Coś z dużą liczbą głosek "r",

"g" i "h"? Ragharr! Nie, może nie, bo żołnierze skandujący jego imię połamali sobie języki... Khurghan? Nie, nie, też nie, bo chyba jakoś podobnie miał na imię ten gość, z którym bił się Christopher Lambert. Voldemort, Vader i Sauron też oczywiście odpadali w przedbiegach.

Dlaczego najfajniejsze imiona zawsze mają ci źli – krzyknęło coś w Sebastianie – a ci dobrzy nazywają się Bafi, Makłód, Bilbo czy podobnie? A jak już nawet mają jakieś normalne imiona, to biegają w czerwonych rajtuzach albo przywdziewają tanie kostiumy niczym podrzędni wrestlerzy.

Jeeezu! Wybór imienia to na bank podstawowa sprawa. Raz powiedziane i koniec. Przecież nie będzie można go co chwila zmieniać jak butów albo rękawiczek. Aslan brzmi fajnie, ale czy wypada komukolwiek nazwać się imieniem kogoś, kto, jak by na to nie spojrzeć, jest bogiem? A może nawet, kto wie, Bogiem?

– Imię nie musi być wymyślone – odezwał się starzec, przerywając Sebastianowi galopadę myśli. – Równie dobrze możesz przybrać miano bohatera pochodzącego z twojego świata. Kogoś, z kim się identyfikujesz, kogo cenisz, kto wywarł na tobie wrażenie... – Szybko zerknął na przegub ręki.

Sebastian nerwowo podrzucił książkę i rozpaczliwie rozejrzał się po pokoju. Przebiegł wzrokiem ściany, podłogę, biurko...

Tyranozaur! – wrzasnęło w nim coś złośliwie. Nazwij się sir Tyranozaurem! "Ach, ty mój Tyrusiu słodki", będzie szeptała mu do ucha księżniczka.

Oderwał spojrzenie od figurki jaszczura i przebiegł wzrokiem półki nad biurkiem. Spojrzał niżej na stojącą obok lampy niewielką rzeźbę rycerza w srebrnej zbroi. Taaak, rycerz! To jest to! Imię sławnego rycerza! Kto był najodważniejszym, najsłynniejszym rycerzem? Jasne, już wiem!

– Artur... – szepnął Sebastian i powtórzył głośniej: – Tak jest: Artur! Artur Pendragon!

– Artur. Bardzo pięknie. – Sir Rimlen rozpromienił się. – Powiedz więc, czy jesteś gotów do podróży, sir Arturze? Czy ślubujesz do końca dnia dochować wierności naszej krainie i

naszej księżniczce?

Sebastian z wrażenia nie mógł wykrztusić słowa, więc tylko skinął głową. Raz, a potem drugi już mocniej, bo wydawało mu się, że jedno skinięcie było zbyt nieznaczne.

– Gdy trafisz do Kalindry i pobędziesz z nami dłużej, całe życie tutaj wyda ci się zaledwie nieprawdopodobną bajką. – Sir Rimlen uśmiechnął się szeroko. – Będziesz miał wiele czasu, by obejrzeć sobie to i owo. Nie martw się, nikt cię nie wypuści z zamku bezbronego. A nasz zamek... O, nasz zamek jest niedostępny i niezdobyty. W nim będziesz bezpieczny jak orzeł w gnieździe na górskim szczycie.

Czarodziej podszedł tak blisko, że Sebastiana załaskotała po nosie fałda jego szaty. Rany, nie wiedziałem, że on jest taki wysoki – przemknęło chłopcu przez myśl. Poczul, jak starzec ujmując jego dłoń, zrobiło mu się najpierw gorąco, potem zimno, słabo i wreszcie bardzo, bardzo niedobrze (zupełnie jak po zjedzeniu tortu z kremem i popiciu go ciepłą coca-colą). Już myślał, że nie wytrzyma i zwymiotuje, gdy myśli zgasły.



Ocknął się z bólem głowy. Głowa bolała go tak, jakby ktoś wbił w nią gwoździe jak w czaszkę Pinheada, a potem stalowymi palcami pstrykał w główki tych gwoździ. Ból emanował z taką intensywnością, że Sebastian nie był w stanie skoncentrować myśli na niczym innym poza cierpieniem (a ściślej mówiąc, na błaganiu, by wreszcie przestać cierpieć). Przekonał się, że gdy trzyma zamknięte oczy, ból nieco maleje (ale było to zaledwie tak, jakby od Giewontu oderwać krzyż i powiedzieć, że góra się skurczyła), więc zaciskał mocno powieki, nic nie widział i tylko od czasu do czasu słyszał własne bolesne skomlenie.

W pewnym momencie ból znacząco się zmniejszył, jak pod wpływem lekarstwa. Najpierw zmuszająca do płaczu męka zamieniła się w intensywny ból, potem intensywny ból przeszedł w ból doskwierający, następnie ból doskwierający zamienił się w

drażniącą bolesność, by wreszcie drażniąca bolesność stała się tylko i zaledwie obrzydliwie nieprzyjemnym wspomnieniem.

Sebastian odetchnął ze szlochem, lecz wciąż bał się otworzyć oczy. Niezwykle ostrożnie dotknął głowy, jakby opuszkami palców chciał wymacać, czy wszystkie kości są na swoim miejscu i czy w głowie nie ziele jakaś straszliwa rana.

Przypomniawszy sobie, jak doktor Lecter otwierał czaszkę takiemu skorumpowanemu facetowi z efbiaja, i zrobiło mu się słabo. Przypomniawszy sobie również, jak doktor Lecter wykrawał z głowy tego człowieka plastry mózgu i smażył je na patelni, i znowu zrobiło mu się niedobrze. Odważył się otworzyć oczy, bo sądził, że dzięki temu ciemne plamy przestaną wirować mu przed oczami jak na jakiejś upiornej karuzeli.

Odetchnął głęboko i starał się dojrzeć coś w mroku. I wreszcie, gdy wzrok już się nieco przyzwyczaił, rzeczywiście coś dojrzał. Wokół niego leżały ciała. Na plecach, na boku, twarzą do dołu. Skulone, rozciągnięte, skurczone, splątane. Usłyszał szcęknięcie własnych zębów i cały drżał jak w febrze. Chciał się poruszyć, wstać, ale nie mógł. Nie był w stanie drgnąć, zupełnie jakby był małą sparalizowaną przez hipnotyzującego wzrok wielkiego Ka.

Co robił wśród tych martwych ciał?! Dlaczego trafił do pomieszczenia, w którym nie było nic oprócz trupów?! Wtedy usłyszał jęk. Potem następny i jeszcze jeden. Zobaczył, że ktoś obok niego rusza stopą, ktoś inny ręką. Ktoś wyprostował nogę tak gwałtownie, że boleśnie kopnął Sebastiana czubkiem buta w goleń, ale chłopiec nie zwracał uwagi na ból. Spłynęła na niego nieprawdopodobna ulga, kiedy się przekonał, że leżące obok ciała nie są zwłokami, lecz po prostu ich właściciele byli pozbawieni przytomności. Tak samo jak ja przed chwilą – pomyślał trzeźwo. Następna myśl nie była już taka radosna. Bo przecież z czego miał się cieszyć ktoś, kto budzi się z potwornym bólem w obcej sali pełnej ciał? I oczywiście świetnie, że te ciała nie są zwłokami, ale dlaczego w ogóle są w tym miejscu? I, na Boga, co znaczą słowo TO miejsce? TO, czyli jakie? Gdzie?

– Sir Rimlen – wyszeptał.

Przypomniął sobie teraz – dopiero teraz! – rozmowę ze starcem z Kalindry. Przypomniął sobie również, jak wysłannik księżniczki ujął jego dłoń, późniejsze mdłości i utratę przytomności. Czy starzec nie wspominał coś o miejscu zwanym "międzyświatem"? Sebastian uniósł się na kolana i rozejrzał wokół. Czymkolwiek było pomieszczenie, w którym przebywał, nie wyglądało na "międzyświat". Przypominało wielką ciemną salę gimnastyczną, w której okna, przysłonięte kotarami, ledwo wpuszczały światło. Nawet... nawet zapach był tu podobny jak w sali gimnastycznej.

I wtedy Sebastian dostrzegł, że towarzyszami jego niedoli są chłopcy. Tacy jak on. Podobni mu wiekiem. Może czternasto-, może piętnastoletni. Obok leżał i chlupał dzieciak, który na bank miał nie więcej niż trzynaście lat. Wkoło coraz bardziej słabły jęki, prośby o pomoc i szloch, a wszczął się gwar rozmów. Właściwie nie rozmów, lecz bezładnie zadawanych pytań, na które nikt nie potrafił odpowiedzieć. Sebastian rozpoznał język angielski, niemiecki i francuski, a nawet rosyjski. Ba, ktoś nawet zabawnie seplenił po czesku, a ktoś inny trajkotał po włosku z szybkością karabinu maszynowego.

Chłopiec wbił się plecami w kąt sali. Przynajmniej był w tym dobrym położeniu, że miał jakieś konkretne zabezpieczenie, coś, na czym mógł polegać. W końcu nie na darmo komandosi i tajni agenci zawsze wybierają takie miejsce, żeby siedzieć plecami do ściany i mieć na oku całe pomieszczenie – pomyślał. Sebastian co prawda nie mógł mieć na oku całej sali (na to było zbyt ciemno, a sala zbyt duża), lecz widział z lewej i prawej strony co najmniej kilkudziesięciu chłopców.

– Wszyscy na swoje miejsca! – zagrzmiął po angielsku niemal ogłuszający komunikat. Głos dobiegał gdzieś spod sufitu. – Pod żadnym pozorem nie wolno wstawać. Usiąść z kolanami podciągniętymi pod brodę i objąć łydki ramionami. W czasie odliczania zamknąć oczy i otworzyć usta. Pamiętajcie: tylko stosując się do tych zaleceń, macie szansę przeżyć!

Trzynastolatek siedzący obok zaszlochał tak przejmująco, że Sebastianowi aż zrobiło się go żal.

– *Qu'est-ce qu'il dit? Qu'est-ce qu'il dit?*

Nikt nie raczył mu odpowiedzieć, gdyż z góry znowu zahuczało:

– Pięć, cztery, trzy...

– *Pourquoi il compte?* – zapiszczał trzynastolatek. W jego głosie rozbrzmiewała panika.

Sebastian chętnie by mu wytłumaczył, ale po pierwsze, za słabo znał francuski, po drugie, musiał zająć się samym sobą: podciągnąć kolana, otworzyć usta i zamknąć oczy. "Ganimedes, Kallisto, Io, Europa, Amaltea, Himalia, Tebe, Elara", zaczął recytować w myślach i zaciskał powieki tak mocno, że aż zobaczył złote gwiazdy.

– ...zero, start!!!

Tym razem nie pojawiły się mdłości ani zawroty głowy. Po prostu Sebastian poczuł się tak, jakby ktoś chwycił go zimnymi palcami za żołądek i próbował ten nieszczęsny żołądek wywlec na zewnątrz. W uszach zadudniły tam-tamy, przez palce stóp i dłoni przeszło elektryzujące mrowienie, które zamieniło się w ból, jakby ktoś wbijał mu igły pod paznokcie. Sebastian znał podobny ból, bo kiedyś koledzy pozwolili mu udawać Jamesa Bonda (tyle że nie powiedzieli, iż zaplanowali na ten dzień wymuszanie zeznań od Bonda, a jako narzędzia tortur używali między innymi cyrkla). Wreszcie, kiedy ból stał się nie do wytrzymania (zabawy z cyrklem można by przy nim uznać za łagodne muskanie), Sebastian zemdłał.

Nigdy dotąd nie stracił przytomności, natomiast tego dnia zdarzyło mu się to już dwa razy. Gdy kiedyś pielęgniarka pobierała mu chyba z pięć próbek krwi, przyglądał się całemu zabiegowi z wyniosłym uśmiechem na ustach. Co prawda nie bardzo pamiętał, jak doszedł później do drzwi, za którymi czekała mama, no ale przynajmniej nie zemdłał. Teraz już dwa razy mdlał i dwa razy budził się z omdlenia. Na szczęście ta druga pobudka nie była tak straszna jak pierwsza. Czuł jedynie suchość i niesmak na języku oraz podniebieniu, jak po wyjęciu z ust knebla z zapiaszczonej, używanej skarpetki (cóż, przyznaje:

zdarzył mu się taki incydent).

Przeraził się, gdy spostrzegł, że ma nie tylko gołe ramiona (gdzie podziła się bluza od piżamy!?), ale także gołe nogi. Ba, cały był nagi. Od stóp do głów. Obok materaca, na którym leżał, zobaczył szare gacie, takiego samego koloru bluzę z urwanym lewym rękawem, wymiętoszone brązowe spodnie, wyraźnie za duże sandały oraz coś w rodzaju skórzanej tuniki. Pomacał materiał – był twardy jak pancerz.

Sebastian chciał kiedyś zrobić mamie niespodziankę i wyprał w pralce jej kożuszek (można powiedzieć, że niespodzianka się udała, choć nie do końca tak, jak spodziewał się tego Sebastian). Efekt był podobny do tego, co miał przed sobą, tyle że tunika była obszerna i długa. Chłopcu o wzroście Sebastiana sięgała co najmniej do połowy ud.

Rozejrzał się w wokół. Cienki materac, na którym siedział, był jedynym sprzętem w małym pomieszczeniu (jedynym i zajmującym niemal całą jego powierzchnię). Pomieszczenie miało jeszcze drzwi (raczej otwór zasłonięty nieokreślonego koloru kotarą), ale za to nie było w nim sufitu. Sebastian złapał się na myśli, że przypomina mu to boks publicznej toalety: jak się podskoczyło, można było zajrzeć do sąsiedniej kabiny.

– Liczę do dziesięciu. W tym czasie musicie się ubrać i przygotować do wyjścia. Równy z liczbą "dziesięć" stajecie na baczność przed kotarą. – Głos, który zahuczał w górze, brzmiał inaczej niż poprzedni, ale tak samo jak w tamtym dominowała w nim rozkazująca nuta. – Pamiętajcie, że jesteście żołnierzami Kalindry, nieposłuszeństwo będzie karane śmiercią.

Sebastian mimowolnie się roześmiał, a właściwie z niedowierzaniem prychnął śmiechem. Jak to, żołnierzami Kalindry? Przecież Kalindra jest krajem, z którego pochodzą sir Rimlen oraz urocza księżniczka. Krajem, którego bohaterem miał zostać właśnie Sebastian! Tymczasem, najwyraźniej omyłkowo, trafił do koszar dla prostych żołnierzy. O, nie – rzekł twardo do siebie. Zrobię z tym porządek. To nie do pomyślenia, żeby nawet prostych żołnierzy traktować w taki sposób. Przecież to poniżające. Kiedy będę rozmawiał z księżniczką, powiem jej to

dobitnie! Tak, dobitnie! Jeśli chce, abym jej pomógł, musi ucywilizować swoją armię. Jak można drugiemu człowiekowi grozić śmiercią?!

– Pięć! – zahuczał głos.

Sebastian zorientował się, że nadal siedzi nago na materacu, gdyż tak pogrążył się w myślach, że nie zwracał uwagi na odliczanie. Teraz pospiesznie zaczął wkładać to, co mu przygotowano. "Nie chcę mieć żadnych kłopotów, dopóki nie udowodnię, kim jestem i że przybyłem tu na zaproszenie samej księżniczki. O rany! Dam ja im za to do wiwatu!".

Mocując się z niepasującym ubraniem, wyobrażał sobie, jak ochrzania, a nawet lepiej: "opieprza" albo, mówiąc po żołniersku, twardo i bezkompromisowo: "opierdala" nie tylko odpowiedzialnych za pomyłkę, ale także tych, którzy pozwolili w tak niegrzeczny sposób traktować zwykłych żołnierzy. Urągający ludzkiej godności – przemknęło Sebastianowi przez myśl zdanie zasłyszane w telewizji albo radiu.

Równy z komendą "dziesięć!" wyprężył się, niemal dotykając nosem kotary, która (co zauważył ponieważ) nieprzyjemnie śmierdziała zgnilizną.

– Odsunąć zasłony i postąpić krok naprzód – rozkazał dudniący głos.

Chłopiec posłusznie wykonał polecenie. Gdy wyszedł przed swoją celę, zobaczył, że na prawo i na lewo od niego w odstępach długości ramienia stoją dziesiątki postaci, poubieranych w takie same żalosne odzienie, jakie Sebastian miał na sobie. I oni myślą, że ja tu zostanę!? – pomyślał z wściekłością. Przecież to wygląda jak obóz koncentracyjny.

– W prawo zwrot! – zahuczał głos. – Naprzód marsz!

Sebastian usłuchał (tak jak wszyscy) i zaczął spokojnym krokiem iść za chłopakiem, który stał po jego prawej stronie. Chłopak szurał po posadzce podszwą sandała, tego, który miał zerwane paski.



Dziedziniec był ogromny. Na pewno większy niż warszawski plac Piłsudskiego. Składał się z kilku płaszczyzn połączonych szerokimi schodami. Z otaczających go murów sterczały masywne okrągłe baszty. Nad jedną z nich wisiało gigantyczne brudnoczerwone słońce. Teraz dopiero Sebastian zrozumiał i naprawdę uwierzył, że nie jest na Ziemi. Na Ziemi, niezależnie od pory dnia, pory roku i strefy klimatycznej, słońce tak nie wyglądało. Na Ziemi słońce sprawiało przyjazne wrażenie, tutaj zdawało się groźnie dominować nad całą planetą i zasnuwało niebo ciemnoczerwonym poblaskiem, tak jakby chmury odbijały lunę dalekich pożarów.

Na wysokiej ambonie wzniesionej pośrodku dziedzińca stał opasły mężczyzna z mikrofonem w ręku.

– Witajcie w Kalindrze, bohaterowie! – Jego głos zadudnił z głośników ustawionych na murach zamku. – Zanim wyruszyście bronić naszego kraju, przejdziecie krótkie szkolenie. W tym celu zostaniecie najpierw podzieleni na oddziały. Uwaaaaga! Słuchać mnie uważnie! Czy widzicie sztandary na masztach? Wszystkie Pottery zbiórka pod czerwonym sztandarem, wszystkie Artury pod żółtym, wszystkie Conany pod zielonym, wszystkie Gandalfy pod niebieskim. Pozostali zostają na dziedzińcu, będą podzieleni później. Zrozumieliście, małe padalce? – Spokojny głos mężczyzny rozbrzmiał niespodziewaną furią. – Jeśli tak, to ruchy, ruchy, ruchy!

Artury? O matko, chodzi mu o imię, które wybrałem? Zaraz, to znaczy takich jak ja jest więcej? – przemknęło Sebastianowi przez myśl.

– Gdzie jest żółty? Gdzie jest żółty sztandar? – zawył ktoś z rozpaczą tuż przy uchu Sebastiana.

Ktoś inny go potrącił, ktoś inny celowo popchnął, tak że Sebastian o mało się nie przewrócił. I wtedy przypomniał sobie, co słyszał o zachowaniu spanikowanego tłumu. Jeżeli cię przewrócą, już nie żyjesz. Czasami w pożarze więcej ludzi ginie

zadeptanych niż uduszonych czy spalonych. Sebastian chwycił kogoś za ramię, by odzyskać równowagę, i pobiegł w stronę żółtego sztandaru, powiewającego na tle brudnoczerwonego słonecznego dysku.

To był bieg przez mękę. W pełnym przekleństwie i szturchańców tłoku, w paraliżującym strachu, by nie upaść. "Ganimedes, Kallisto, Io, Europa, Amaltea, Himalia, Tebe, Elara", Sebastian niemal wypłakiwał w myślach te nazwy i cały czas pilnował tylko dwóch rzeczy: po pierwsze, nie przewrócić się, po drugie, kierować się w stronę żółtego sztandaru. Wreszcie znalazł się kilkanaście kroków od grubego masztu, przy którym stał barczysty mężczyzna w skórzanym pancerzu. Miał długie skołtunione włosy i szeroką bliznę, przebiegającą od prawej skroni do lewej szczęki. Zamiast prawego oka miał nierówno zszyte wgłębienie w twarzy. Sebastian pomyślał, że ten człowiek mógłby bez przygotowania i bez najmniejszego trudu zagrać Kostucha, gdyby ktoś zdecydował się sfilmować przygody inkwizytora.

– Jesteście wreszcie, Artury, kurwa wasza mać! – krzyknął ochryłym głosem i z pogardliwie wykrzywioną twarzą rozejrzał się po gromadzie chłopców – W dwuszeregu zbiórka! Raz, raz!

Minęło co najmniej kilkadziesiąt sekund, zanim tłumek uformował w miarę porządną dwuszeręg. Jednooki obserwował ich bez słowa z zastygniętym na ustach szyderczym półuśmiechem.

– Nazywam się sir Robin – rzekł tubalnym głosem, gdy wszyscy stali już mniej więcej równo. – Jestem sierżantem armii Kalindry i waszym instruktorem. Powiem więcej! Jestem waszym papieżem i Panem Bogiem! Jak rozkażę wam, żebyście się schylili i ugryźli w jajca, to macie się schylić i ugryźć w jajca! Zrozumieliście, gnoje?! Ty tam, zrozumiałeś mnie?

Podszedł do chłopca stojącego kilkanaście metrów na prawo od Sebastiana i stanął tuż przy nim. Chłopiec sięgał mu zaledwie do brody.

– Zrooozumiałem. – Sebastian z trudem usłyszał drżący głos

chłopaka.

Jednooki wyciągnął go za ucho przed szereg, wyjął zza pasa krótką pałkę na skórzanej pętli i przyłał mu kilkakrotnie po łydkach. Chłopiec przewrócił się i rozplakał.

– Odpowiada się: "Sir, yes, sir!" – wrzasnął Jednooki i kopnął rozpaczającego chłopca w brzuch. – Do szeregu, gnoju, do szeregu!

Gdy chłopak dowlókł się na miejsce i stanął na baczność, Jednooki przesunął wzrokiem po twarzach żołnierzy, od lewej do prawej.

– Kalindra to najwspanialsze i najsprawiedliwsze księstwo świata! – oznajmił donośnym głosem – Pewnie macie wiele pytań. Kalindra pozwala wam w swej łaskawości je zadać. Daję wam na to piętnaście minut, gady! – Ostentacyjnie spojrzął na zegarek – Piętnaście minut, potem zaczynamy trening. No co? Nie ma pytań?

– Ja! – krzyknął Sebastian, nie wiedząc, skąd wzięła się w nim, po pierwsze, odwaga, po drugie, siła, by krzyknąć: – Ja mam pytanie!

Jednooki spojrzął na Sebastiana, a jego ponura, toporna twarz przybrała na chwilę wyraz udawanej ciekawości. Jednak zaraz potem znowu zastygła w odpychającą maskę.

– Chodź tu, padalcu – rozkazał nieznoszącym sprzeciwu, opryskliwym głosem.

Sebastian nawet gdyby chciał, nie potrafiłby się oprzeć sile tego głosu. Zresztą czyż nie krzyknął właśnie po to, by ktoś się nim zainteresował? Podszedł do mężczyzny na sztywnych nogach, lecz z wysoko podniesioną głową, chociaż najchętniej skuliłby się, zgarbił i schował głowę w ramionach. Strasznie się bał. Czuł, że koszula przylepiła mu się do pleców.

– Gadaj! – burknął Jednooki. – O co chcesz zapytać?

– Miałem być... miałem być bohaterem.

Żołnierz skrzywił się.

– Wszyscy możecie zostać bohaterami – rzekł głośno. – Każdy z

was, szczeniaki, może zostać bohaterem. Pamiętajcie!

– Sir Rimlen powiedział, że mogę stanąć na czele armii.

– Sir, niby że co? Aaa... No dobra, wyjaśnię wam wszystko, karaluchy, więc słuchajcie. Nasze prawa są najsprawiedliwsze na świecie! – Podniósł głos do wrzasku, tak by wszyscy go słyszeli. – Nie znosimy żadnej nietolerancji. Ani z powodu płci, ani wyznania, ani pochodzenia, ani rasy. Możecie nawet walić się nawzajem w tyłki, a nam nic do tego. Każdy z was, gnojki, może zostać oficerem. Czarnuch, pedryl, żydek czy mormon, nam wszystko jedno. Powiem więcej: każdy oficer może zostać generałem i każdy generał może zostać naczelnym wodzem. Obecnie naszym wodzem jest mój imiennik, sir Robin, który zaczynał tak jak wy, a teraz ma już pięćdziesiąt pięć lat.

– To wojna trwa tak długo? – Sebastian wytrzeszczył oczy.

Instruktor zarechotał.

– Ta wojna trwa od zawsze, od wieków. Nikt nie pamięta, kiedy się zaczęła. No dobra. – Oparł dłoń na rękojeści wiszącej u pasa pałki. – Jeszcze coś, szczeniaku?

– Obiecał mi! Obiecał mi, że jeśli będę chciał, wrócę do domu! Tak powiedział!

Przez szeregi chłopców uważnie przysłuchujących się Sebastianowi oraz Jednookiemu przeszedł szmer. Szmer głosów zaskoczonych, podenerwowanych i niespodziewanie pełnych nadziei. Instruktor zbliżył się o krok i położył Sebastianowi dłoń na ramieniu. Chłopiec niemal ugiął się pod jej ciężarem.

– Tak właśnie jest, Artury. To najświętsza prawda. Właśnie to obiecano każdemu z was. Bez wyjątku. Ale czyż księżniczka nie poprosiła: "Poświęć mi czas tylko do końca dnia. Przysięgnij, że dopóki słońce nie zajdzie, będziesz należeć do mnie i mojego królestwa"?

Jednooki wypiszczczał dwa ostatnie zdania, w nieudolny sposób naśladowując kobiecy głos. Z całą pewnością jego groteskowy falset nie miał nic wspólnego z zachwycającym tembrem głosu Leilanny, miękkim jak aksamit i słodkim jak miód.

– Czyż nie obiecałeś jej tego, parszywy szczeniaku?

Oko żołnierza spoglądało na Sebastiana z wyjątkową złośliwością.

Sebastian poczuł bijący od tego człowieka smród potu i nieprzetrawionego czosnku.

– Tak! Do zachodu słońca! Właśnie! Patrz! – krzyknął.

Chciał się cofnąć, ale żołnierz trzymał go bardzo, bardzo mocno, więc jedynie dramatycznym gestem wyciągnął rękę w kierunku wielkiej czerwonej kuli, przeciętej na pół strzelistą wieżą strażniczą.

– Gdy słońce zniknie za horyzontem, jestem wolny! – Szarpnął tak mocno, że udało mu się wyrwać spod ręki żołnierza. Stracił co prawda kawałek drugiego rękawa u bluzy od piżamy, ale to nie było przecież istotne. – Wszyscy będziemy wtedy wolni! – Spojrzał na Jednookiego rozplómiętym wzrokiem. – I co na to powiesz?

Instruktor zaczął się śmiać. Śmiał się tak, że aż podtrzymywał brzuszysko obiema rękami, a potem z wielkiej radości zaczął klepać się po udach. On to robi specjalnie, pomyślał Sebastian nadspodziewanie trzeźwo. Wcale nie jest mu wesoło. To tylko marny teatrzyk na użytek nas wszystkich. I oni... oni dadzą się nabrać na to widowisko.

– Zawsze mnie to bawi. Przysięgam – klepnął się w pierś – zawsze mnie bawi jak cholera, kiedy wy – Artury, Pottery, Lwie Serca czy inne Muad'Diby – wyciągacie łapska w stronę zachodzącego słońca. A wiecie, dlaczego mnie to bawi? Dlatego, że gdy nasz dostojny generał sir Robin trafił na ten dziedziniec, a było to czterdzieści waszych lat temu, krawędź naszego słońca dotykała wieży. – Wyciągnął dłoń w stronę barwiącego niebo czerwienią olbrzyma. – Teraz, jak widzicie, wieża przecina nasze słońce na pół. Jak sądzą, ile minie czasu, zanim słońce całkowicie zajdzie? Powiem wam, Artury, żebyście zrozumieli, o co tu biega. W całym naszym państwie nie ma nikogo, kto byłby na tyle stary, żeby pamiętać południe. Rozumiecie, Artury? Ty, gnojku, też rozumiesz?

Sebastian doskonale rozumiał. Najwyraźniej ta planeta niemal nie obracała się wokół własnej osi, a co za tym idzie, pory dnia trwały na niej wieczność (przynajmniej w porównaniu z Ziemią). Oznaczało to również, że nie zostali oszukani. Zwiedzeni? Tak. Wyprowadzeni w pole? Owszem, ale z prawnego punktu widzenia nie zostali oszukani. Obiecali wierność księżniczce do końca dnia, a że ten dzień miał trwać do końca ich życia, to już inna sprawa.

Ręka Jednookiego wystrzeliła z taką szybkością, że Sebastian nawet nie miał co marzyć, by się odsunąć. Żołnierz chwycił go boleśnie za ramię i potrząsnął nim jak szmacianą lalką.

– Odpowiadaj, parszywcu! Rozumiesz, co powiedziałem?

Chłopiec skinął jedynie głową, bo ból zgniatanego ramienia niemal pozbawił go tchu, a wiedział, że oprawca puści go tylko wtedy, gdy uzyska satysfakcjonującą odpowiedź.

– Tak, proszę pana, tak! – wrzasnął.

Popchnięty Sebastian upadł na wyłożony kamiennymi płytami dziedzińca. Nie zdążył się podeprzeć i uderzył łokciem o twardy granit. Paralizujący prąd przebiegł mu przez rękę od czubków palców aż po ramię. Oczy zaszczyły mu łzami.

– Waszą jedyną szansą jest wygrać tę wojnę, Artury! – wrzeszczał Jednooki, przechadzając się wzdłuż szeregu. – Tylko wtedy wróćcie bezpiecznie do domu. Chyba że w którymś z was zakocha się nasza księżniczka – zarechotał.

Śmiał się, odchylając głowę do tyłu, bardzo z siebie zadowolony.

Sebastian przyglądał mu się, leżąc na dziedzińcu. Pomyślał, że gdyby był prawdziwym bohaterem, prawdziwym twardzielem, skoczyłby teraz i walnął instruktora pięścią w odsłonięte gardło. Cios w grdykę powinien skutecznie obezwładnić żołnierza. Sebastian miał jednak tylko czternaście lat, głowę pełną marzeń, słabe pięści i był przerażony. Cała jego odwaga uszła wraz z pytaniami, które zadał. I tak okazał się najodważniejszy ze wszystkich zebranych tu chłopców... A może – ta myśl pojawiła się niespodziewanie – może nie był najodważniejszy, tylko

najgłupszy z nich wszystkich? Może trzeba było siedzieć cicho i czekać na okazję do ucieczki? Nie, nieprawda, należy walczyć o swoje. Musi znaleźć jakiś wyłom w logice tych ludzi. Czytał o takich wypadkach. Potwory nie łamią wyznaczonych przez siebie reguł. Jeśli wygrasz ze Sfinksem pojedynkę na zagadki, pozwoli ci iść dalej. Szansa na zwycięstwo była tu i teraz, potem będzie za późno...

– Miałem przejść test magii! Miałem być czarodziejem! – krzyknął. – Obiecano mi!

Jednooki zmarszczył brwi, co nadało mu wygląd zamyślnego goryla.

– Masz rację, chłopaku – powiedział. – Test magii. To ci się należy zgodnie z prawem. – Odwrócił się i spojrzał na sandał leżący podeszwą do góry na dziedzińcu. – Przywołaj ten but siłą swojej woli.

– Co takiego? Ależ...

– No już! Przywołaj!

– Przecież to niemożliwe... Ja...

– Oblałeś pierwszy test. Przechodzimy do testu numer dwa. Zbuduj wokół siebie magiczną zasłonę, tak byś nabrał chociaż chwilowej odporności na ciosy. – Jednooki postąpił szybko trzy kroki do przodu i znalazł się o krok od Sebastiana. – Szybko, karaluchu, szybko! Wróg nie będzie czekał. Jesteś gotowy?

– Ależ...

Jednooki błyskawicznym ruchem wyrwał zza pasa pałkę i uderzył Sebastiana w szyję, tuż nad obojczykiem. Ból ogłuszył i sparaliżował chłopca. Nawet nie wiedział, jak to się stało, że sekundę po tym strasznym uderzeniu leżał na płycie dziedzińca i tuż obok swojej twarzy miał szeroki, okuty czubek żołnierskiego buta.

– Sir Artur nie zdał testu magii, przeprowadzonego zgodnie z tym, co mu obiecano. – Tubalny głos Jednookiego dobiegał jak zza ściany. – Może któryś z was, Artury, chce spróbować? No, pytam? Kto jeszcze jest niezadowolony? Hmm? No dobrze, skoro

wszyscy są zadowoleni, możemy iść dalej. Zapamiętajcie sobie, szczeniaki, że Kalindra jest najsprawiedliwszym państwem na świecie. Co obiecane, zostanie dotrzymane!

Żołnierz trącił Sebastiana czubkiem buta.

– Masz piętnaście minut – rzekł ostrym tonem – żeby dołączyć do nas na dziedzińcu w kwadracie B3, gdzie zostanie wam wydana broń ćwiczebna. Jeśli cię nie będzie, zostaniesz uznany za dezertera i zaćwiczony. Dezertarów batoży się u nas na śmierć! – Żołnierz podniósł głos do wrzasku, najwyraźniej chcąc, by wszyscy chłopcy go słyszeli. – Rozumiecie, co to znaczy, karaluchy? To znaczy, że tłucze się takiego gnojka batem tak długo, aż mu ciało odpadnie od kości. A to boli, karaluchy! Wierzcie mi, to naprawdę boli, nawet jak się tylko słucha wycia dezertera. – Przerwał na chwilę, by zrozumieli i zapamiętali groźbę zawartą w jego słowach. – Powiem więcej, parszywcy. Jeśli jeden z was, Artury, zdezerteruje, z oddziału wybieramy trzech innych chłopaków i również batożymy na śmierć. A wiecie dlaczego? Dlatego, że zawiedli. Że nie przypilnowali kolegi. "Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!" – krzyknął tak, że chyba słyszano go na drugim końcu zamku. – Oto święte hasło Kalindry! Wyryjemy je w waszych sercach, parszywcy. A jeśli będzie trzeba, to wypiszemy je krwią na waszych dupach!



Sebastian z trudem rozpoznał sir Rimlena. Starzec bowiem wcale nie wyglądał teraz tak jak wtedy, kiedy zjawił się w sypialni Sebastiana. Nie miał długiej siwej brody, długich siwych włosów ani nastroszonych siwych brwi. Jego twarz nie była już poorana zmarszczkami. Chłopiec poznał go jednak po głosie, zaraz potem zerknął na dłoń mężczyzny, by upewnić się w swych przypuszczeniach. Tak, to był sir Rimlen. Zdradzał to palec wskazujący pozbawiony paznokcia.

– Mój drogi, nie bądź beczelny, bo to ja mam skuteczność na poziomie 98 procent...

Sir Rimlen prowadził dyskusję z towarzyszącym mu mężczyzną, ubranym jedynie w skórzane spodnie oraz stalowy napierśnik. Zza głowy wystawała mu rękojeść przewieszzonego przez plecy dwuręcznego miecza. Jego bicepsy przypominały bochny chleba.

– Wygląda na to, że rzeczywiście muszę popracować nad zmianą image'u – zgodził się osiłek.

Sir Rimlen odwrócił się w stronę podnoszącego się z kamiennych płyt Sebastiana.

– O, jeden z moich nowych nabytków, jeśli mnie pamięć nie myli – mruknął. – Wstawaj, chłopaku, wstawaj! – Kopnął Sebastiana boleśnie szpicem buta w zębra.

Sebastiana opanowała wrząca wściekłość. Wrząca i jednocześnie beznadziejna. Bo cóż mógł uczynić? Co najwyżej...

– Oszukałeś mnie! – wrzasnął, zawierając w tym wrzasku całą nienawiść do człowieka, który przyprowadził go do tej przerażającej krainy.

– Nie sądzę. – Sir Rimlen z uśmiechem wzruszył ramionami. – Jesteśmy poddawani bardzo surowej kontroli. Akceptowani są tylko ochotnicy i zanim podejmą decyzję, nie wolno ich okłamywać ani odurzać. Takie są reguły, chłopaku, przestrzegane przez obie strony. Są zresztą sprawiedliwsze niż w twoim parszywym świecie. Niczego nie obiecujemy na pewno, opowiadamy tylko, co może się wydarzyć.

Sebastianowi nagle z całą wyrazistością przypomniało się, jak ojciec, wysłuchawszy kilka dni temu telewizyjnego przemówienia premiera, machnął zrezygnowany ręką i burknął: "Jedyne, co ten ryży chuj potrafi, to zagadać człowieka na śmierć. Naobiecuje Bóg wie czego, byle mu się wskaźnik w sondażach podniósł". Ojciec zauważył, że Sebastian słucha, a ponieważ w ich domu nie było zwyczaju przeklinania, zarumienił się, skrzywił, wreszcie machnął ręką jeszcze raz, westchnął i wyłączył telewizor. Tu jednak telewizora nie było. Stąd nie da się uciec do innego kraju, zapomnieć o wszystkim, poświęcając się pracy czy hobby. To było... to było jak...

Sebastianowi przypomniała się czytana chyba przed dwoma laty książka o osiemnastowiecznej Anglii, w której główny bohater podpisał kontrakt z werbownikiem floty. A może nie? On chyba nie podpisywał żadnego kontraktu! Po prostu ktoś przyłożył mu pałką po głowie i chłopak obudził się już na pełnym morzu, gdzie na pokładzie niepodzielnie rządził okrutny kapitan. Każde nieposłuszeństwo karane było batami lub śmiercią.

No i proszę, czyż sir Rimlen nie miał racji? On nie tłukł nikogo pałką po łbie. On jedynie opowiadał, co może się stać, i wybierał przy tym same pozytywne ewentualności. Czyli tak samo jak politycy. Bo politycy nawet kiedy kradną emerytury najstarszym i najbiedniejszym, powiadają, że wyświadcniają im dobrodziejstwo.

Sir Rimlen uśmiechnął się, jakby czytał w myślach Sebastiana.

– Tak to już jest, chłopaku – powiedział. – Nasz świat naprawdę diabelnie potrzebuje bohaterów...

– Taaak, kilkuset dziennie – zarzął osiłek.

Sir Rimlen też się roześmiał.

– Nie popadajmy w przesadę – powiedział rozbawiony. – Chociaż rzeczywiście, coraz trudniej zrównoważyć popyt za pomocą podaży.

– Bo ostatnio konsumpcja zbytnio się nasiliła. – Osiłek zarzął jeszcze głośniej. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu bardzo, ale to bardzo podobają się własne dowcipy.

– Mówił pan, że jest czarodziejem.

– Bo jest – rzekł osiłek. – I ja, gdybyś chciał wiedzieć, też jestem czarodziejem. Właśnie tak nazywamy tych, którzy potrafią wędrować pomiędzy światami...

– ...którzy potrafią zsynchronizować swoje umysły z bramami przestrzennymi – dodał sir Rimlen mentorskim tonem.

– Bo widzisz, zadaniem czarodzieja jest werbowanie takich słodkich, naiwnych chłopaczków jak ty... – dokończył osiłek i znowu zaprezentował garnitur zdrowych białych zębów. Z takim

uzębieniem mógłby wystąpić w reklamie pasty.

Sebastian nie zamierzał się obrażać. Był zaskoczony, że tych dwóch rozmawia z nim tak długo, i zamierzał wykorzystać fakt, że stanowi dla nich coś w rodzaju maskotki, którą można się przez chwilę pobawić. Albo niezdarne go kłowna, z którego można się pośmiać.

– A moja próba? A Sfera Kalindry?!

– Test synchronizacji – wyjaśnił sir Rimlen. – Gdybyś go nie zdał, nie byłoby sensu zabierać cię do Kalindry, bo po drodze...

– ...rozprysnąłbyś się jak dojrzały pomidor pod butem.

Sebastian zerknął na osiłka i pomyślał, że to chyba cud, iż ten człowiek nie ma na zębach śladów po rozgniecionych muchach.

– Co zresztą byłoby całkiem zabawne, chociaż zupełnie nieefektywne – dokończył sir Rimlen.

– Nie zgadzam się! Mówicie, że przestrzegacie reguł, a pańskie obietnice to zwykłe oszukaństwo. Mówił pan, że tylko do zachodu słońca, a skąd miałem wiedzieć, jak tutaj jest? – Oskarżycielskim gestem wskazał na czerwoną tarczę.

– Czyż nie wyjawilem ci, że Kalindra jest krainą, nad którą nigdy nie zachodzi słońce? – zapytał łagodnie sir Rimlen.

– Myślałem, myślałem, ja myślałem... – jękał się Sebastian – że, że pan, no wie pan, że to tylko takie powiedzenie...

– Nie odpowiadam za twoje myśli, chłopaku, jedynie za własne słowa. – Sir Rimlen pokiwał Sebastianowi ręką. – W każdym razie życzę ci powodzenia. Jak przeżyjesz dwie-trzy pierwsze bitwy, dalej pójdzie już z górki.

Towarzyszący sir Rimlenowi osiłek roześmiał się ochryple.

– Czego rżysz, głupku? – obruszył się sir Rimlen. – Tak mówi statystyka. Możesz sprawdzić te dane na zamku. Największą śmiertelność rekrutów notujemy w czasie pierwszej i drugiej bitwy. Potem jest coraz lepiej.

Odeszli, nie zwracając już uwagi na Sebastiana, pogrążeni w dyskusji na temat liczb i procentów oraz konieczności zatrudnienia nowych werbowników, bo starzy, jak to ujął osiłek,

"urabiają sobie ręce po łokcie".

– A księżniczka?! – krzyknął Sebastian, kiedy byli już kilkanaście kroków od niego – Czy księżniczka wie, co robicie?

Sir Rimlen odwrócił się.

– Jej Wysokość sama to wymyśliła – odparł z uśmiechem – jakieś sto dwadzieścia lat temu. Nie mylę się, przyjacielu? – Zerknął na osiłka, lecz ten tylko wzruszył ramionami. – Według waszej rachuby czasu.

– I... i ciągle jest taka młoda? – Sebastian wytrzeszczył oczy.

– Nie, chłopcze, to nie ona jest młoda, tylko nagranie stare.

Tym razem ani oni się nie odwrócili, ani Sebastian już ich nie wołał. Podniósł się z granitowej płyty dziedzińca. Bolały go mięśnie i kości zarówno od uderzeń Jednookiego, jak i od kopniaka sir Rimlena, który to kopniak, na pozór niedbały, okazał się jednak bardzo dotkliwy.

– Przeżyję – powiedział sam do siebie, zaciskając zęby, żeby powstrzymać się od płaczu. – Przeżyję i wrócę do domu.

Przed oczami pojawił mu się jego własny pokój. Z lordem Vaderem na tarczy zegara, z dinozaurom Tyrusiem na fotelu, z komputerem i peestrójką. Ze zbiorem filmów i pieczołowicie dobieraną biblioteką. Pojawili się też rodzice. Gdy pod powiekami zobaczył ich twarze, gdy pomyślał, że najprawdopodobniej już nigdy, nigdy ich nie zobaczy, wybuchnął rozpaczliwym płaczem. Nie mógł się opanować i szlochał, szlochał, szlochał, rozmazując brudnymi dłońmi łzy na policzkach. Nagle zobaczył koło siebie cień, a kiedy poderwał głowę, dostrzegł stojącego tuż obok Jednookiego. Niewiele myśląc, uciekł na czworakach pod ścianę i tam się skulił, osłaniając brzuch łokciami. Jednooki wcale nie palił się do bicia. Zbliżył się do Sebastiana i kucnął tuż przy nim.

– Jesteś z Mokotowa, chłopaku? Tak? To prawda, co napisali w aktach? – zapytał po polsku.

Sebastian, zdumiony i zaszokowany, pokiwał szybko głową.

– Znasz może Kowalczyków z Rakowieckiej? Annę i Roberta

Kowalczyków? Znasz?

Sebastian jak zahipnotyzowany pokręcił wolno głową, nie odrywając wzroku od zmartwionej, a jednocześnie pełnej nadziei twarzy żołnierza.

– Tak myślałem. – Jednooki wstał. Z jego twarzy zniknęły wszelkie uczucia. – Zbieraj się – rzucił ostrym tonem. – Dość tego wylegiwania się. Pałac zmienił plany. Jutro wychodzicie na pierwszą bitwę. Cholera! – Splunął i roztarł płwocinę podeszwą buta. – Za moich czasów mieliśmy przynajmniej kilkanaście dni na trening, a wy – machnął ręką – szkoda gadać. Jak było na rzeź...

– Długo... długo pan tu jest? – Sebastian poderwał się na równe nogi.

– Mamy dwa tysiące jedenasty? No to będzie jedenaście lat. Czternaście bitew, chłopaku, czternaście cholernych bitew. I jestem tu, gdzie teraz. – Skrzywił usta. – Z wami, świeżaczki. – Zerknął w stronę wielkiej kuli czerwonego słońca. – Mówią, że do wieczora zleci jakieś trzydzieści latek. I ja spokojnie tu przeczekał. A potem... – oczy mu rozbłysły – wróć do domu. – Potrząsnął głową i popchnął Sebastiana tak mocno, że ten omal nie upadł. – Szybciej, parszywcu! – wrzasnął. – Raz, dwa, raz, dwa! Przebieraj nogami, gnido!



Brama twierdzy wyrastała z dwóch gigantycznych kamiennych wież. Sebastian obserwował z mimowolnym podziwem, jak skrzydła tej bramy powoli się otwierają, ukazując najpierw grubą kratę, a potem szeroki drewniany most, sięgający przeciwległego brzegu fosy. Za krańcem mostu rozpościerał się bezdrzewny step, porośnięty brudnoczerwoną trawą i kępami szarozielonych krzaków.

– Naprzód, Artury! – wrzasnął oficer – Naprzód!

Ktoś popchnął Sebastiana od tyłu, a on popchnął chłopca

stojącego przed nim.

– Naprzód, Robiny! – usłyszał, gdy już biegł.

Potem dołączyły głosy innych oficerów, wrzeszczących: "Naprzód, Conany! Naprzód, Pottery! Naprzód, Gandalfy!". I tak dalej, i tak dalej. Step aż po horyzont pokrył tłum maszerujących, truchtających, biegnących i wkrótce ślaniających się na nogach chłopców.

Gdy po kilku godzinach pozwolono im na chwilę wytchnienia, Sebastian uniósł głowę. Gdzieś daleko na nieboskłonie spomiędzy pasm brudnoniebieskiej mgły wyrastały skaliste zbocza gór. To tam, otoczona granitowymi murami, czekała na nich Czarna Cytadela. Sebastian zmrużył oczy. Nie, nie mylił się, Pod powiekami nie wyrósł mu wywołany zmęczeniem miraż. Niestety... Na samej granicy wzroku ujrzał rozlewający się po stepie tłum. Ludzie wyłaniali się zza widnokręgu, schodzili z łagodnie pofałdowanych wzgórz. Tysiące. Dziesiątki tysięcy. Mrowie. Dowódcy Kalindry zobaczyli to samo, co Sebastian, gdyż wokół rozległ się przenikliwy świergot gwizdków.

- Do broni, Robiny!
- Dawać równo, dawać, Artury!
- Formować szyk, Pottery!
- Trzymać linię, Gandalfy!
- Naprzód, Lanceloty!
- Kurwa wasza mać, Conany!

Jakiś rosły podoficer smagnął Sebastiana kańczugiem po plecach, inny zaganiał jego towarzyszy, by ustawili się w szeregu. I w końcu stanęli na pozycji. Nierówny szereg chłopców osłoniętych tarczami i wyciągających przed siebie drzewca włóczni. Jedne były uniesione ku górze, inne niemal oparte na ziemi, kolejne chwiały się na boki jak szarpane wiatrem gałęzie drzew.

- Trzyyyymaj szyk!
- Róóównaj, Artury, róóównaj!
- Krok naprzód!

- Raz, dwa, Artury, raz, dwa!
- Trzymać szyk, skurwiele!
- Raz, dwa, raz, dwa!
- Teeeraz bieeeegiem!

Sebastian wyciągnął włócznię przed siebie. Miejsce po uderzeniu kańczugiem zapiekło jak przyżegane żywym ogniem. Jęknął, zacisnął zęby i pobiegł przed siebie. "Ganimedes, Kallisto, Io, Europa, Amaltea, Himalia, Tebe, Elara", recytował w myślach. Ciągłe. W kółko i w kółko. "Co to jest: zielone w czerwonym, pływa w kółko i w kółko, i w kółko? Ganimedes, Kallisto, Io, Europa, Amaltea, Himalia, Tebe, Elara". Pędził zdyszany, z czerwonymi kołami wirującymi przed oczyma, z bijącym sercem i mdłościami rodzącymi się gdzieś pod sercem. Przez pot spływający mu z czoła na oczy dostrzegł kilkadziesiąt kroków przed sobą tłum biegnących ludzi. Wielu z nich zasłaniało się tarczą, wszyscy mieli w rękach włócznie. Byli młodzi, bardzo, bardzo młodzi! Na ile Sebastian mógł dostrzec, żaden chyba nie miał więcej niż piętnaście lat! Krzyknął, by dodać sobie otuchy, i ścisnął mokre od potu drzewce. Chłopcy biegnący obok niego też krzyczeli, wrzeszczeli, wyli, przeklinali... "Ganimedes, Kallisto, Io, Europa, Amaltea, Himalia, Tebe, Elara. Nie, nie Himalia, chyba Himalaja!". Krzyk z setek wrogich gardeł niemal go ogłuszył. Zobaczył przed sobą nadbiegające postacie i nawet nie celując, dźgnął włócznią w stronę najbliższej z nich.

Krzysztof Piskorski

PRAWO LOSU



CZTERYSTA SIEDEMNASTY DZIEŃ KAMPANII,
DZIEWIĘTNASTY ROK PO KOŃCU ŚWIATA

Po bezwietrznej ciszy, po dziwnym spokoju wieczoru odgadliśmy, że Bizantyjczycy schwytali Megakorimosa. Przestraszeni, drętwieliśmy od zimnego milczenia zmierzchu, a cały świat usiłował pogrążyć nas w rozpacz. Dalmacki horyzont zdawał się nagle odleglejszy, nieboskłon – wyższy i nawet słońce schodziło ku horyzontowi wolniej, żałobnym jakby tempem.

Potem do obozu wróciły niedobitki ze wschodniego kotła, gdzie już od trzech dni Konstantyn Apostata próbował oskrzydlić nasze legiony. Mówili: Megakorimos przepadł razem z dwudziestym i siedemnastym legionem, nikt nie uszedł z życiem, bo Bizantyjczycy sprowadzili *scholae palatinae*, straż przyboczną Konstantyna. Nad polem widziano nawet świetlistych, jak szybowali na szeroko rozłożonych skrzydłach, szyjąc z ognistych łuków.

Widać bardzo zależy im na Dalmacji, skoro narażają się w bitwie. Nic dziwnego, że złamali naszych – jeden Megakorimos nie mógł dać rady całej potędze Byzantionu*.

Znałem jednego człowieka z siedemnastego. To był Meseńczyk, zawsze uśmiechnięty. Gdy go zwerbowali, zostawił bratu rybacką łódź. Opowiadał, że zaraz po wojnie wróci na złote wybrzeża łowić czerwone cefale i morskie okonie, długie jak ramię. Inni myśleli o dziwkach i winie, a on o łódeczce, która pewnie dawno zbutwiała na plaży. Zapalę mu lampkę, chociaż nie potrafię przypomnieć sobie jego imienia.

To zabawne. Bizantyjczycy mają Megakorimosa, a ja myślę o jakimś przekętym Meseńczyku. Czy dlatego, że boję się zastanawiać nad tym, jak bardzo mamy teraz przesrane?

Tacyt powiedziałały: "Peior est bello timor ipse belli"* , ale pieprzyć Tacyta, pieprzyć wszystkich myślicieli, których pisma wbijano mi do głowy, kiedy byłem szczeniakiem. Boję się. Po tylu latach powinienem już przywyknąć, widziałem przecież dużo. Widziałem obwieszczenie, kiedy na niebie Rzymu pękały ogniste pieczęcie, widziałem śmierć Trzeciego Jeźdźca w Germanii, kiedy niebo waliło się na ziemię, a jego ostatni krzyk odebrał rozum kilku tysiącom. Widać jednak nie da się przywyknąć; siedzę na pieńku przed namiotem, u stóp mam ubłocony hełm z postrzępioną kitą, ściskam w dłoniach parującą miskę i boję się, boję jak jasna cholera.

Obok przechodzi Domitius, staje w pół kroku, rozpina płaszcz, pedantycznie zwija go w rulon i siada na nim obok mnie. Widzę, że chce o coś spytać, ale nie wie, jak zagaić rozmowę. Mam nadzieję, że tylko posiedzi i pójdzie precz. Mam ochotę milczeć.

Gdzie dwóch, tam szybko pojawia się trzeci. Krassus, który snuje się jak duch po obozie, w pewnym momencie zauważa nas. Dosiada się bez pytania. Co to, na czarnego Plutona! Posiedzenie senatu? Jak się nazywa ta dziwna siła, która w chwilach nieszczęścia przyciąga ludzi do siebie pewniej, niż przyciągają się dwa kawałki magnetytu?

– Żyje jeszcze – zaczyna Domitius. – Byłem w obozie i

słyszałem, że legat pytał wróża, a wróż powiedział, że żyje.

Wzdycham. Tyle to sam wiem, czuję jeszcze aurę Megakorimosa – słabą, odległą, ale wyraźną.

– Lepiej, gdyby zginął – odpowiada Krassus. – Skoro go trzymają, planują coś specjalnego. Jak w Solium.

– Co w Solium? – pyta Domitius, a my patrzymy na niego zdziwieni.

Wolno mu pytać, do legionów trafił ledwie pół roku temu.

– Wulkanion Starszy. Pamiętasz? Musieli mówić o nim w Rzymie. – Krassus ścisza głos.

– Nie. Nic nie wiem...

– Nie słyszałeś o Wulkanionie? Herosie armii północy, synu pana podziemnej kuźni, którego Grecy zwali Hephasteusem?

– No, słyszałem, ale o co chodzi z tym Solium?

– Szkoda, że tego wam, gówniarzom, nie mówią. Bo to pouczająca historia. Było tak, że Wulkanion ubzdurał sobie...

– Dość – przerywam. – Nie będziemy o tym mówić.

Krassus kiwa głową, rozumie. Nie nam rozprawiać o tym, jakie wieści senat chce zataić, niejeden plotkarz trafił na krzyż, *flamen martialis** oraz jego uczniowie wiedzą, gdzie i kiedy tajemnica wyjdzie na jaw, potrafią to odczytać ze zwierzęcych jelit. Podobno za sztabem ciągnie kolumna obitych żelazem wozów, gdzie wiszą przykuci do ścian obłąkani akolici. Legat mówi o nich "kontrwywiad".

Skrobie drewnianą łyżką dno miski, ale zdaje sobie sprawę, że od dawna jest pusta.

– Jak myślisz, kiedy? – mówi Krassus ni to w próżnię, ni to do mnie.

– Wkrótce – odpowiadam. – Nie będą długo trzymać Megakorimosa, na wypadek gdyby legat Avitus próbował go odbić.

Noc potwierdza moje podejrzenia. Krzyk wzbiera powoli, zaczyna się od ledwie słyszalnego jęku. Z początku oszukujemy

się, że to wiatr albo daleki odgłos gromów. Widać zabierają się do niego powoli; mija chwila, nim dobywają z niego wrzaski jak u zarzynanego barana. Krzyki omiatają nas gorącym wiatrem, poruszają koronami drzew i łanami trawy za obozem.

Megakorimos umiera.

Jesteśmy dobre pięćdziesiąt mil od północnego kotła, ale i tak nie da się spać. Ludzie siedzą przed namiotami, próbują zagłuszyć rozmową straszne odgłosy. Ja też wychodzę na zewnątrz, w chłód. Wdycham dalmacką noc pełną pierśią, a ona transmutuje w płucach, zmienia się w białe opary, których kłęby wyrzucam z każdym tchnieniem. Nieopodal Krassus poleruje miecz szmatą z odrobiną oleju, dosiadam się więc. Pomilczymy sobie, posłuchamy ostatnich chwil kapitolińskiego herosa.

My, weterani z pierwszego rzutu, trzymamy się razem. Z pierwszej dziesiątki zostaliśmy tylko my dwaj. Mnie zrobili dziesiątnikiem, bo umiem czytać i pisać, ale to był błąd – Krassus jest twardszy, jego bardziej poważają ludzie. Nic dziwnego. Ja wychowałem się wśród słonecznych winnic i łagodnych wzgórz Galia Narborensis*, mój dom był bogaty i pełen wygód. On jest z pogranicza – krępy, bardziej muskularny, dorastał w surowych warunkach. Wojna zatarła między nami wiele różnic, zretuszowała nasze twarze bliznami, zarostem, brudem, ale niektóre rzeczy trudno zmienić. Nie zrobisz z kuca wołu. "Natura non facit saltum"*- jak pisał Tyriusz.

Podchodzi do nas Cielak tym swoim niezręcznym, ciężkim krokiem.

– Dziesiątniku, a kto to tak krzyczy? – pyta.

– Twoja matka. W dupę ją rzną świetliści, aż dym idzie – odpowiada za mnie Krassus.

Tłumię śmiech. Cielak patrzy na niego wytrzeszczonymi oczyma, w rozdziawionej gębie wiszą pasemka śliny.

Cielak. Przysłali go miesiąc temu, gdy legion stracił połowę stanu w oblężeniu Salony. Wystarczyło, że spojrziałem mu w oczy, i już wiedziałem – kretyn. Pochodzi z Rzymu, z radośnie kazirodczego Rzymu, ze słabego Rzymu, gdzie pod opieką

pięknolicej Juno nawet upośledzone dziecko dożywa dorosłości. W zasadzie powinienem go odesłać. Niby do uzupełnienia ściągają nawet starców, co pamiętają jeszcze pierwszą tetrarchię*, ale są zasady, są wymogi, na które nie można przymknąć oka. Żeby służyć w lekkiej piechocie, trzeba udźwignąć miecz, tarczę, zbroję, trzeba dobrze biegać i rozumieć rozkazy. Z czterema pierwszymi punktami Cielak nie ma problemu. Oprócz *lorica squamata**, tarczy oraz *pilum** mógłby dodatkowo nieść wołu na plecach, a i tak byłby najszybszy w całej centurii. Z ostatnim wymogiem nie jest już tak dobrze. Raz przekradaliśmy się nocą wzdłuż bizantyjskich linii, przez ciemny, mokry las. Powiedziałem ludziom, żeby trzymali się blisko ziemi. No i pół godziny później musieliśmy wrócić do tego cholernego zagajnika, tuż pod wrogie linie, żeby odszukać Cielaka, który leżał rozplaszczony jak żaba w kałuży błota.

Jeśli chodzi o sam wygląd, to mógłby spacerować po deskach rzymskiego teatru, cały w oliwie i jedwabiach, albo jeszcze lepiej – popisywać się w zapasach podczas *ludi apollinares**. Mógłby mieć każdą Rzymiankę, od młodych patrycjuszek po stateczne matrony, o ile wcześniej nie otworzyłyby gęby. Która kobieta chciałaby iść do łóżka z ośmioletnim chłopcem?

A jednak zatrzymałem go. Coś mi kazało. Większość weteranów, jakich znam, ufa intuicji i przeczuciom, tak jakby najpierw ginęli ci pozbawieni szóstego zmysłu, a innym pomagał on dożyć starości. Miałem przeczucie co do Cielaka. I ledwie w tydzień potem uratował mi życie. Gołymi pięściami zatłukł greckiego piechura, który już miał przyszpilić mnie *spathionem** do ziemi. Wypadł z boku, pocięty i zziębnięty, bez broni, rzucił się na Greka z gołymi rękoma. I zatłukł. Nie przeszkadzało mu nawet, że bije pięściami po jego hełmie, który na koniec wyglądał jak stratowany cynowy garnek.

Teraz Cielak patrzy na mnie ze łzami w oczach. Rozumie, że Krassus go obraził, ale nie wie, co odpowiedzieć. Pozostała siódemka rechocze. Widzę, że Cielak najchętniej zapadłby się pod ziemię – on, czterystulibrowy* potwór, który mógłby zabić każdego z nas.

– Jego matkę – mówię – przynajmniej biorą świetliści. Twoja musiała włóczyć się nocą po zaułkach Subury*, żeby ktoś ją zerznął.

– Coś ty powiedział? – warknął Krassus.

– To, co słyszałeś.

– Taki jesteś? Mamusię mi będziesz obrażał?

– To nie obraza, tylko prawda historyczna. Wielu kronikarzy o tym pisało. Widać też się zabawiali.

– Dziesiętnik czy nie, zaraz wszystko odszczekasz!

– Musisz mnie wpierw nauczyć. Ponoć w szczekaniu jesteś dobry. Masz to we krwi po tatusiu. Dziw, że nie masz ogona.

– Ja cię zaraz...

– Tylko spróbuj!

Kładę dłoń na rękojeści gladiusa, on wyciąga nóż. Twarze ludzi są blade jak kość słoniowa. Cielak wywalił oczy jak bagienna ropucha.

– Tym nożykiem możesz sobie najwyżej czyraki przecinać – mówię.

– A przetnę i ciebie, od jaj po gębę, bo mieczem machasz jak cepem.

– No to chodź.

– No, chodź, zatańczymy.

Mierzymy się wzrokiem i wybuchamy śmiechem – naraz, głośno. Broń wraca na miejsce, ludzie gapią się oniemiały, nim z ich twarzy powoli zaczyna znikać przerażenie. Dopiero kiedy stukamy się z Krassusem kubkami, widzą, że to nie było naprawdę, że dali się nabrać.

– Dziesiętniku? – pyta po chwili Servilus. – Jutro będziemy kontratakować?

– Jutro będziemy spieprzać, aż się będzie za nami kurzyło – odpowiada Krassus.

Może i powinienem coś powiedzieć, dać dobry przykład,

zapewnić, że legat na pewno ma plan, ale kiwam tylko głową i wchodzę do namiotu.

Tam, leżąc na pokrytym niedźwiedzią skórą sienniku, wsłuchuję się w krzyki Megakorimosa. Z ich faktury, kadencji, tempa i dramatycznych rozwarstwień próbuję odgadnąć, co też mu robią świetliści. Zawsze uważałem go za nadętego dupka, ale teraz mi go żal. Giął w palcach metalowe sztaby, a ginie bezsilny jak dziecko.

Ta wojna nie jest tylko starciem armii, to starcie dwóch kosmosów, dwóch panteonów, dwóch genesis, wykluczających się wzajemnie światów, jak liczba ujemna z dodatnią. Tam, gdzie przejdziemy, jest Rzym. Tam, gdzie oni wetkną sztandary, jest Bizancjum. U nas rzeczywistość jest rzymska, u nich – wschodnia, grecko-bizantyjska.

Widziałem kiedyś świetlistego, który zdychał na pobojuisku daleko za linią frontu, w blasku Wiecznego Rzymu. Nie świecił już, miał ohydną bladą skórę, pokrytą perlistym potem. Srał pod siebie jak człowiek, cuchnął i wył jak bydlę. A te jego skrzydła wcale nie miały kilkunastu stóp rozpiętości, wyglądały tak jakoś żałośnie, ptasio, ze sterczącymi na wszystkie strony postrzępionymi piórami. Z tego, co wiem, zabrali go do Rzymu na pośmiewisko, rzucili na arenę dzikim psom. Jego, który kiedyś latał nad światem z ognistym mieczem w koronie czystego światła i jednym spojrzeniem zatrzymywał serca wrogów, wyznawców starych bogów.

To działa również w drugą stronę. Nie wykuto jeszcze łańcuchów, zdolnych powstrzymać Megakorimosa. U nas, w Rzymie, popisywał się, łamiąc na pół stalowe sztaby. Na granicy światów nie był już taki mocarny. Gdy świetliści go schwytali i zaciągnęli w głąb Bizancjum, stał się bezbronny. Przeklęci! Dobrze wiedzieli, gdzie się zatrzymać, żeby stracił większość mocy, ale wciąż mógł zdychać jak Prometeusz, bez końca, bez wytchnienia.

Tylko bogowie wiedzą, ile jeszcze wytrzyma. Mam nadzieję, że niedługo, bo od tych wrzasków zaczyna mi pękać głowa. Umieraj już, Megakorimosie. Teraz, kiedy jesteś w łańcuchach, Rzym już

cię nie potrzebuje. Miej trochę przyzwoitości, zdechnij.

CZTERYSTA OSIEMNASTY DZIEŃ KAMPANII

Krassus mówi mi, że krzyki ucichły przed świtem. Podobno nie zmrużył oka. Wierzę, wygląda jeszcze gorzej niż zwykle – prostokątna gęba z wąskimi wargami jakby zapadła się do środka. Oczy ma czerwone, mętne, leży na skórzanym barłogu ze wzrokiem wbitym w płótno namiotu.

– Żałuj, że nie słyszałeś, Na koniec on...

– Wyobrażam sobie – mruczę i wychodzę na zewnątrz, w chłodny blask poranka, ubrany tylko w lnianą tunikę z zarzuconym na ramiona futrem.

Obóz zmienił się w otoczony palisadą kipiący kocioł. Przez chwilę nie rozumiem, co się dzieje, a potem dociera do mnie: połowa kohorty już zwinęła namioty, wyładowane wozy wylewają się obiema bramami na równinę. Odwrót! Śpi chyba tylko nasz legion w namiotach przytulonych do wschodniej palisady obozowiska.

Mam złe przeczucia. Już raz widziałem coś takiego, jeszcze w Germanii. W środku dziczy trafiłem na most, przy którym mieszkali w szałasach zarośnięci, obszarpani legionieści, jakieś pół centurii. Dwa lata temu trybun ze sztabu Maksymiana kazał im strzec przeprawy. Dwadzieścia cztery miesiące czekali na nowe rozkazy albo na zluzowanie. Może jeszcze tam są – zapomniani, w spokoju odsługują swoje szesnaście lat, wrócą jako weterani z mosiężnym *diploma*^{*}, z prawem do kawałka ziemi w prowincjach, z *conubium*^{*} oraz dożywotnią pensją.

Nie uśmiecha mi się spędzić szesnaście lat na wzgórzach Dalmacji. Wracam szybko do namiotu, zakładam płaszcz z masywną fibulą, miękką koszulę, zaciągam paski napierśnika i nagolenników, wkładam hełm pod pachę.

– Już idziemy? – pyta półprzytomnie Krassus.

– Pędzę do sztabu, coś się dzieje.

– Coś?

– Myślę, że miałeś rację. Spieprzamy, aż się kurzy.

Idę do primus pilus* Flawiusza, dowódcy mojej centurii. To porządny człowiek, nie jakiś zadufany synek patrycjusza, który dostał czerwoną kity po dwóch latach służby u pretorian. Na szczęście jego namiot ciągle stoi w samym środku obozu, przy via principia*. Zastaję go z kilkoma innymi centurionami. Staję więc z boku i czekam. Dla swoich jestem oficerem, ale dla nich dziesiętnik nie jest wart więcej od legionisty.

Gdy centurioni wychodzą, Flawiusz krótko przedstawia mi sytuację. Przegrywamy. Bizantyjczycy zaatakowali przed świtem, dwa legiony są w odwrocie, trzeci rozbity. Z północy przyszły jedynie grupki niedobitków, Nie wiadomo, co się tam właściwie stało, bo każdy opowiadał inną historię. Legat Avitus uznał, że sam nie powstrzyma całej potęgi Bizancjum, i nakazał odwrót. Nasz legion idzie w stronę fortu Vinodium. Legat wyznaczył nowe pozycje na linii Cetiny; fort, od kilku miesięcy będący naszym zapleczem, znowu stanie się frontową cytadelą.

W Vinodium mają lazaret z kilkunastoma Wenusjankami, wysokimi na trzy metry dziewczynami, które potrafią zajeździć zdrowego mężczyznę na śmierć. Wytrzymają napór aury świetlistych. My będziemy musieli wytrzymać napór kilkudziesięciu tysięcy Bizantyjczyków. Jeśli pęknie którykolwiek z tych dwóch elementów, wszystko będzie stracone.

My, to znaczy oni, legion. Bo my, to znaczy centuria lekkiej piechoty, idziemy na wschód pojedynczymi dziesiątkami. Stu ludzi rozsiansych na szerokości kilkunastu mil. Rozrzucą nas jak piasek po kamiennej posadzce, by potem z chrzestu dowiedzieć się, skąd nadchodzi wróg. Sypną nami tam, gdzie nie poszłyby nawet konie, we wrogą aurę, pod duszący wpływ Konstantyna Apostaty. Mamy przeprowadzić zwiad, zlokalizować wroga, poszukać niedobitków i przyprowadzić ich do armii.

To nie koniec radosnych wieści. Flawiusz mówi, że ma dla mnie uzupełnienie. Jestem trochę zdziwiony, już od dawna nie przysyłali mi rekrutów, przywykłem, że zamiast pełnej dziesiątki mam tylko ósemkę. Drugie zdziwienie, gdy pokazuje mi zagubionego chłopaczka nieopodal namiotu. Na oko ma z piętnaście lat.

Mało mi było idioty, dostałem jeszcze smarkacza.

Podchodzę do nowego. Jego błyszcząca *lorica hamata** nie ma żadnych ozdób, żadnych złotych kółek na brzegach, ale po pieczołowitym podwójnym splocie z drobniutkich oczek poznaję, że musiała być bardzo kosztowna. Podobnie ma się sprawa z mieczem – masywny amertyn w głowicy oraz pięknie wykończony jelec zdradzają drogiego płatnerza.

– Jak się nazywasz? – pytam.

– Wasseniusz. *Pedes** Wasseniusz – mówi z irytującym rzymskim akcentem.

Czuję, że gdybym poprosił, wyrecytowałyby mi Platona nienaganną greką. Dziwne, jeśli jest z bogatej rodziny, powinien zostać oficerem. Było o jednego za dużo do podziału spadku? Przeleciał kogoś, kogo nie powinien? Ograł w karty tego małego dupka, niedoszłego cesarza Dominika Waleriusza?

– Idziesz ze mną – rozkazuję.

Salutuje z zabawną gorliwością. Takiego salutu nie widziałem już od dawna. Tu, na froncie, nawet dekurioni przymykają oko na byle jakie machnięcie ręką.

Wędrujemy w ciszy przez topniejący obóz. Patrzą na sznury piechoty wychodzącej główną bramą. Jutro wieczorem będą bezpieczni za murami fortu, który wytrzymał dwie ofensywy. My tymczasem idziemy w paszczę wroga, w nieznanne.

– Dlaczego lekka piechota? – pytam nowego, żeby oderwać się od ponurych myśli.

– Nie wiem...

Jest zupełnie zdezorientowany.

– Jak to, nie wiesz? Nie wiesz, gdzie się zaciągnąłeś?

– Miałem iść do trzeciego legionu, do ciężkiej... – odpowiada. – Jechałem tu z Vinodium na wozie z prowiantem, ale kiedy rano przybyłem do obozu, trzeci już wymaszerował. Jakiś oficer kazał mi się zameldować u *primus pilus* Flawiusza.

Uśmiecham się dyskretnie. Dzieciak miał pecha, rodzice –

niewątpliwie wpływowi obywatele – załatwili mu miejsce w pierwszej kohorcie legionu, wśród sztandarowych albo *immunes**, ale spóźnił się o parę godzin i teraz jest z nami, w zasranej centurii lekkiej piechoty, i pewnie nie przeżyje miesiąca.

Powinienem go polubić, przecież podobnie było ze mną. Kłótnia przy kościach z nieodpowiednim człowiekiem i zamiast garnizonu ekwitów przy moście Wespazjana, skąd droga wiodła do oficerskich szarż, trafiłem do surowej szkoły dla rekrutów, dla ludzi z plebsu, z piętnem legionu wypalonym na ramieniu. Chciałem być poetą albo kronikarzem, po kilku latach służby w randze oficera wrócić do Rzymu zmęczniały, bogatszy o nowe doświadczenia. Wszyscy myśliciele w Rzymie mówili, że tylko służba w armii pomaga stać się pełnoprawnym obywatelem, prawdziwym mężczyzną. Zamiast tego stałem się rębaczem mięsa, trafiłem na szesnaście lat do liniowych oddziałów.

Powinienem polubić tego dzieciaka; tyle nas łączy, ale przepaść jest zbyt duża, nie do przeskoczenia. Tą przepaścią są trzy lata służby w Germanii i rok w Dalmacji, które narosły mi na duszy siecią grubych blizn.

– A więc chciałeś do ciężkiej? – wracam do początku rozmowy.

– Chciałem...

Nie winię szczeniaka. Ciężka piechota to zaprzęgowe konie rydwanu Marsa, dobrze odkarmione, trzymane w wygodnej stajni. Kohorty ciężkiej śpią w warownych obozach, w suchych namiotach, armia prowadzi ich od bitwy do bitwy jak po sznurku, pcha w odpowiednią stronę. Oni muszą tylko ginąć i zabijać wśród zgrzytu metalu, łomotu prostokątnych tarczy, aż po dniu takiej pracy, umęczeni jak drwale, wracają do obozowiska pić wino i wspominać poległych.

My śpimy, gdzie popadnie, często pod gołym niebem, często w ogóle nie śpimy, bo wróg jest zawsze tuż obok, w tamtym zagajniku, za tym załomem skały. Obozu nie widzimy tygodniami. Płyniemy jak żeglarz przez zamglone morza dalmackich wzgórz, wypełniając rozkazy przestarzałe już w

chwili wydania. Ich jest chwała i krew, ich są urznięte głowy bizantyjskich potworów, wstęgi, medale, parady pod Kapitołem. Nasza jest śmierć – niewidoczna, daleko od własnych linii – nasze są długie listy zaginionych, naszym sarkofagiem jest kępa trawy, płytą nagrobną szare niebo. Nasza śmierć jest nagła, tchórzliwa, w zasadzce, ucieczce albo nagłej potyczce.

A jednak bez nas byliby ślepi, błyszczące stałą prostokątą zagubione w przestrzeni bitewnych pól, zdane na pastwę sztuczek świetlistych oraz bizantyjskich pontifeksów*. Mówię sobie, że za nic bym się nie zamienił. Mówię sobie, że mamy coś, czego nie ma stłoczony w ciasnym czworoboku piechur: wolność, wielkie przestrzenie dzikich krain, ale tak naprawdę zazdroścę prostym trepom. I tego, że walczą, podczas gdy my się głównie chowamy, i poczucia, że są częścią wielkiej wojennej maszyny, ktoś o nich dba, wokół zawsze mają zbrojnych towarzyszy.

Wracam z nowym na kraniec obozu, pod nasyp i palisadę, gdzie stoją nasze namioty. Przedstawiam go Krassusowi, który na widok chłopaka krzywi się jeszcze bardziej niż ja. Nie będą się lubić, widzę to wyraźnie. I dobrze, młodego trzeba oszlifować.

– Przegrywamy – rzucam krótko ludziom, którzy tymczasem zebrali się wokół nas. – Zbierajcie rzeczy, zaraz wymarsz.

Nie wydają się zaskoczeni. To oczywiste, śmierć Megakorimosa nie mogła przejść bez śladu. I nie chodzi nawet o to, że przez nią armia podupadła na duchu. Najważniejsze, że przesunęła się granica; Megakorimos był przecież filarem Rzymu. Wystarczyło obok niego połknąć kawałek drewna, a z dupy wyskakiwał faun z fujarką, przy nim każdy czuł się jak antyczny heros. A teraz owionęło nas Bizancjum, ich wypaczone psyche.

Kiedy przed wymarszem, złożywszy już wszystkie rzeczy, siadam ułożyć parę strof, zamiast znajomych szesnastozgłoskowców wychodzą mi jakieś dziwne hymny, pieśni z przestawnym rymem. A więc i my jesteśmy poza granicą, zatrwały mnie myśli świetlistych, mam ochotę wlać sobie do ucha kocioł wrzącej wody, wyparzyć to plugastwo.

Nienawidzę Bizantyjczyków tak, jak tylko mogą się nienawidzić sprzeczne żywioły. Nie cierpię ich religii, tej dziwnej mieszanki żydowskiego mistycyzmu z mitraistycznymi bajaniami o mesjaszu i egipskim podaniem o narodzinach z dziewicy. Nie zrozumieję i nie chcę zrozumieć ich pojęcia grzechu ani absolutnego poddaństwa umysłów, oczekiwanego od wiernych. W Rzymie wszystko jest proste. Religia to racja stanu, to nasza tożsamość. Nieważne, kogo wyznajesz w skrytości własnego domu, ważne, czy pokazujesz się publicznie w święta i składasz ofiary bogom panteonu. Nawet jeśli nie wierzysz, traktuj to jako ofiary składane Rzymowi, jego tradycji i kulturze. Może bogowie posłuchają, może nie. Póki ich czcimy, Rzym trwa, choćbyśmy błędzili myślami, gdzie nam się żywnie podoba. W Rzymie jedyny sposób, w jaki możesz wystąpić przeciw państwu, to czyn nieprawy. Chrześcijanie natomiast stworzyli nieprawomyślność, grzech popełniony rozumem. Żyją w świecie nieustannej wewnętrznej kary, strachu przed zatruciem duszy, strachu przed własnymi instynktami. Brzydzi mnie to.

Na szczęście nie muszę długo się męczyć z rysikiem oraz tabliczką, której gładką niegdyś powierzchnię pokrywa mgła zmazanych słów, wzgardzonych pism i poematów.

Ludzie są już gotowi, centuria szykuje się do wymarszu, dziesiątnicy formują marszową kolumnę, sztandarowy już stoi w pierwszym szeregu. Zbieram swoich, a potem zajmujemy odpowiednie miejsce. Cielak jak zwykle nie potrafi ustać prosto, rozgląda się i przestępuje z nogi na nogę. Krassus daje mu kuksańca pod żebro, żeby się uspokoił. Nowy jest blady i przerażony. Patrzy na wzgórza Dalmacji widoczne nad palisadą jak na mitycznego potwora, który zaraz go połknie.

Niedługo potem opuszczamy obóz, pobrzękując ekwipunkiem, szurając butami po suchej, udeptanej ziemi. Palisada zostaje w tyle, gdy wspinamy się na pierwsze wzgórze. Tak ciężko pracowaliśmy, wznosząc wały i pas umocnień, a posłużyły nam ledwie trzy dni.

Na płaskowyżu krótka przerwa. Kolumna rozpada się na kilkuosobowe grupki, ludzie siadają na trawie i białych

kamieniach. Zauważam, że nowy jest już czerwony na twarzy i spocony, a nie uszliśmy nawet dwóch mil. Mówię sobie, że jeśli będzie nas spowalniał, to go po prostu zostawię, nie mam czasu bawić się w żłobek, życie reszty jest ważniejsze.

Wkrótce centurion zaczyna pokrzykiwać, znowu zbieramy się w długi dwuszereg. Flawiusz staje na wysokim kamieniu, bierze się pod boki i wyjaśnia wszystkim nasze zadanie. Niespokojny szum przechodzi przez szeregi. Nikt nie lubi rozpoznania, zwłaszcza że mamy iść bardzo rozstrzeloną falą, poszczególne dziesiątki niemal pół mili jedna od drugiej.

Kiedyś rzymscy generałowie uznaliby coś takiego za szaleństwo – słać tuzin ludzi prosto na linie wroga – ale nie dało się inaczej. Przybycie świetlistych zmieniło zasady wojny. Tam, gdzie na ziemi osiada ciężka aura Bizancjum, nie chcą iść konie ani zwierzęta pociągowe, a front tej aury przybliża się jak burzowe chmury. Nawet na płaskich równinach nie widać dokładnie, co jest pod nim. Światło się załamuje, dziwne zorze skrzą się ciemnym amarantem. No i świetliści... potrafią przemieszczać całe wschodniorzymskie oddziały z niezwykłą prędkością, ukrywać je przed wzrokiem, tworzyć dziwaczne iluzje. Nic nie jest pewne, póki nie zobaczysz tego z bliska, nie pošlesz tam zwiadowców, synów cesarstwa, rodowitych Rzymian, którzy niosą ze sobą własną aurę.

Nigdy nie przestałem się dziwić, jak sprawnie adaptujemy się do nowych warunków. Jak łatwo po objawieniu ludzie przyjęli fakt, że bogowie kroczą razem z nami, że zaczyna się wojna końca świata, że Konstantyn, z głową napakowaną chrześcijańskimi bzdurami, próbuje sprowadzić na nas *apokalypsis*. Wśród tych zmian armia okazała się najszybsza, najbardziej praktyczna. W odpowiedzi na ruchy Bizantyjczyków natychmiast pączkowały nowe doktryny: płodzeni przez bogów herosi, antyczne behemoty, taumaturgia i atomozofia, klucze bojowych harpii, merkuriony, wiatr Hadesu.

Tymczasem Flawiusz wzywa do siebie dziesiątników, pokazuje nam coś palcem na starej mapie prowincji, jeszcze z czasów Aureliusza. Próbuje wskazać trasy pododdziałom, ale i tak

wiemy, że każdy poprowadzi swoich jak chce, byle bliżej drzew czy skał, byle bardziej przy ziemi, jak robaki, które boją się dziennego światła. Niektórzy w ogóle nie wypełnią rozkazu, przejdą milę-dwie i ukryją się w jakimś ciemnym jarze. Pozwolą innym odnaleźć wroga. Tak jest bezpieczniej, tak łatwiej przeżyć długie szesnaście lat służby.

Na koniec salutujemy. Ludzie Flawiusza ściągają z wozu klatki z merkurionami. Każę Domitiusowi wziąć naszą, po czym ruszamy w drogę jako jedni z pierwszych. Na płaskowyżu jesteśmy zbyt odsłonięci, nie chcę tu sterczeć dłużej niż potrzeba.

Za nami centuria szybko się roztopia, dzieli się na małe drużyny, które wsiąkają w surowy krajobraz. Z każdym krokiem czujemy, jak rozluźnia się więź łącząca nas z kohortą. Jeszcze pół mili, jeszcze ten stok i centurion straci nas z oczu. Nie będziemy już żołnierzami, tylko grupką zagubionych obszarpańców, pragnących po prostu przetrwać.

Schodzimy w ciszy w dół kamienistego stoku. Wszyscy są skupieni, zamknięci w jakimś wewnętrznym świetle, do którego inni nie mają dostępu. Długie samotne marsze, puste krajobrazy, rozpląszczone pod jałowymi obrotami słońca, dni spędzone na wpatrywaniu się w horyzont – to wszystko zmienia ludzi. Nawet ci, co przychodzą do służby głośni i jowialni, po roku zmieniają się w pustelników. Myślę, że dzicz pozwala nam odnaleźć swoją pierwotną stronę, budzi uspiiony instynkt nomada, cierpliwego wędrowca.

Tylko Cielak nic sobie nie robi z moich teorii. Nuci debilną piosenkę, postukując do rytmu o kolbę drewnianej kuszy. W całkowitej ciszy ten odgłos wwierca mi się w głowę jak szpila chirurga. Jeszcze trochę, a urwę Cielakowi łeb.

Przyspieszam i wchodzę na osmagany wiatrami kamień. Rozglądam się, osłaniając oczy przed południowym słońcem. Przede mną łagodne linie wzgórz i plamy lasu stapiają się w typowy dalmacki krajobraz. Ani jednej osady, ni żywego ducha. Samotny sokół kołuje po pustych przestworzach.

Nie widzę frontu aury Apostaty. Dziwne. Niemożliwe, żebyśmy

byli już pod nią, obecność Rzymu wydaje się wyraźna. To nie jest dobra wróżba, znaczy, że legat się myli i główne siły Konstantyna nie są już tam, gdzie się spodziewaliśmy.

Już mam zejść z kamienia, kiedy w górze, na sklepieniu jasnego błękitu, coś przyciąga moją uwagę. Wydaje mi się, że gdzieś na wschodzie, między płynącymi leniwie chmurami, widzę błysk. Potem drugi. Wydaje mi się, że ktoś na nas stamtąd patrzy, pokonując wzrokiem dziesiątki mil.

Czy to on? Dlaczego ryzykował drogę aż pod nasze linie? Muszę się upewnić.

– Krassus – mówię, doganiając oddział. – Gdy dotrzemy do krawędzi lasu, przejmiesz dowodzenie. Mam coś do zrobienia.

Odpowiada mi chłodne, podejrzliwe spojrzenie.



Siedzimy naprzeciw siebie: dziesiętnik w spatynowanym napierśniku i jasnopióry, wielkoskrzydły wróg Rzymu. W ciepłym, żółtawym blasku dojrzałego popołudnia nie wydaje się tak świetlisty jak zwykle. Byłby prawie ludzki, gdyby nie złożone skrzydła, wystające zza pleców, ale las, który mamy za sobą, chyba czuje, że mój rozmówca nie należy do tego świata, bo ptaki umilkły, znieruchomiały korony drzew. Sama natura zamarła i przygląda się nam bezgłośnie.

– Nierozsądnie przylatywać tak blisko rzymskich linii – mówię.
– Słyszałem, że Avitus ściągnął z Rzymu angelofagosów.

– Angelofagosi... Pieski polujące na lwa. Myślisz, że się ich boję?

– Powinieneś. Może gdybyś widział oderżnięte skrzydła, które rzucili cesarzowi do nóg pod Kapitołem podczas ostatniego *tubilustrium**...

– Nie mierz nas wszystkich tą samą miarą, dziesiętniku. *Kataphraktos** Konstantyna też sądzą, że dokonali niezwykłego

czynu, chwytając Megakorimosa, ale ty wiesz, jak z nim było, prawda? Wiesz, że był już stary, zużyty od rozpusty, wina...

Przeszywa mnie wzrokiem, jakby czytał w moich myślach.

Zmieniam temat:

– Nie czekałeś do nocy. Masz mi więc coś ważnego do powiedzenia.

– Może. To zależy od tego, co oferujesz w zamian.

Słyszałem, że świetliści przewyższają nas intelektem, są zdradliwi i niezwykle przebiegli. Wiem, że nie powinienem w ogóle z nim rozmawiać, ale gdy spotkaliśmy się pierwszy raz, nie mogłem się powstrzymać. Od tamtej pory widzieliśmy się wielokrotnie, czasem po prostu rozmawialiśmy, czasem wymienialiśmy informacje.

– Wyłożyłem karty na stół – odpowiadam. – Angelofagosi. Trzy drużyny. Będą polować na tego, którego zwiecie archaniołem Michałem, ale nie pogardzą pośledniejszą zdobyczą. Teraz ty. Teraz twoja część umowy.

Uśmiecha się tajemniczo. Wiem, że mógłby po prostu odlecieć albo skłamać. Do niczego nie jestem w stanie go zmusić, ale z jakiegoś powodu, podobnie jak ja, utrzymuje ten dziwny układ przy życiu.

W końcu opiera brodę na pięści i mówi:

– Avitus myśli, że wszystkie siły Konstantyna uderzyły od frontu, zamknęły wasz kocioł i osaczyły Megakorimosa. To nieprawda. Tam była tylko gwardia i piechota z Byzantionu. W tym czasie perscy *auxiliaries** oskrzydłili wasze pozycje od południa. Zaatakują cofające się legiony. Avitus nigdy nie dotrze do Vinodium, a twoja centuria znajdzie się w środku tego wszystkiego. Nasze armie wyrosną po obu stronach jak Scylla i Charybda.

– Nie wiedziałem, że świetliści znają Homera – zadrwiłem.

– Nie znają. Mówią, że to pogańskie brednie. Ale ja lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia. Powiedz, Tuluszu, czy ojciec czytał ci te wszystkie epopeje, gdy byłeś mały? Czy zastanawiałeś

się, co cię różni od dziecka germańskiego, które w przeciwieństwie do ciebie wyrastało na sagach o ludziach-niedźwiedziach? Opowieści to wielki i fascynujący temat, Tuluszu. I to, jak nas kształtują.

– Jeśli to wszystko, co masz mi do powiedzenia, to wracam do oddziału – przerywam, wiedząc, że zaraz ucieknie w jakąś długą, mętną dygresję.

– Nie, to nie koniec. Jeśli teraz skróćcie na południowy zachód, przemkniecie tyłami drugiej armii. Potem dotrzecie do morza, do Carium, gdzie wylądują posiłkowe legiony. Bo Vinodium padnie, zapewniam. Zrób, jak mówię, dziesiątniku, a uratujesz siebie i...

– Pogawędki to jedna rzecz – ucinam. – Ale prędzej zdechnę, niż przyjmę rozkazy od świetlistego.

Nigdy jeszcze nie posunął się do tego, żeby tak wprost mi rozkazywać. Wściekłość dławi mnie w gardle.

– Nie rozkazuję – odpowiada spokojnie. – Ostrzegam tylko. Idziecie między żarna, które zetrą was na miazgę.

– Teraz z kolei ty nie doceniasz nas – odpowiadam. – Na froncie spędziłem dość czasu, wyczuwam was nosem, wasz smród, waszą aurę... Prześliźniemy się między oddziałami Konstantyna. Niełatwo nas złapać, Satarielu.

On uśmiecha się tylko tym dziwnym półuśmiechem, mogącym znaczyć wszystko. Słońce błyszczy w jego poznaczonych czarnymi pręgami piórach.



Doganiem swoich o wiele szybciej, niż się spodziewałem. Nagle z gęstwiny wyławiam barwę ich brązowych płaszczy, jeszcze kilka kroków i widzę – stoją półkolem wokół czegoś na ziemi i debatują ściszymi głosami. Wystarczyło jedno głośne stąpienie, a już odwracają się w moją stronę z wyciągniętą bronią.

Są czujni, to dobrze.

– Gdzie dziesiętnik był? – pyta zaraz Cielak.

Odpowiadam i wszystkim natychmiast robi się niezręcznie. Mnie, bo nie lubię kłamać, im – bo nauczyli się już ignorować moje nagłe zniknięcia. Głupie pytanie Cielaka sprawia, że wszyscy musimy od nowa stawić czoło oczywistości: w jakimś tajemnym celu opuściłem oddział – oddział, który powinien mi ufać.

– Co tu macie? – Zmieniam temat.

– Sam popatrz. – Krassus odsuwa się na bok.

Dopiero teraz widzę dokładnie. To rzymski żołnierz, dosłownie porwany na strzępy, naszpikowany kawałkami gałęzi, wprasowany w leśne runo; krwawa szmata. Oczy wypłynęły mu od uderzenia, wokół głowy rozkwitło halo z krwi i kawałków mózgu, jelita rozpełzły się jak sine węzowisko.

Spoglądam w górę na połamane konary.

– Świetlisty. Zrzucił go z wysoka, z bardzo wysoka. Nic więcej nie ma w pobliżu?

– Nie – odpowiada Krassus. – Przyleciał pewnie z daleka, skurwysyn. Nie wierzę, że rzucił nim tylko raz, cała zbroja jest poszarpana.

Wzruszam ramionami. Przynajmniej wiem, że idziemy w dobrym kierunku.

– Dalej! Nie ma co tu sterczeć. Trzeba wejść głębiej w las, nim nas zobaczy jeden z tych skurwieli.

Idziemy. Nowy zbliża się do mnie i pyta cicho, tak żeby reszta nie słyszała:

– Dziesiętniku... Czemu oni robią coś takiego? Dlaczego po prostu go nie zabili?

– Dla zabawy, nowy. Dla czystej zabawy.

Patrzy na mnie zdziwiony, a ja widzę, że jeszcze zupełnie nie rozumie wojny.

Nie dziwię się, sam też długo jej nie pojmowałem.

Tak wiele razy zmieniało dla mnie znaczenie to proste słowo.

Pierwsze lata służby, pierwsze wyprawy z legionem do Vinodium, na północne granice, to było wielkie zachłyśnięcie się potęgą Rzymu. Zdawało się, że nie istniała kraina, w której nie było naszych warownych castra* oraz kamiennych dróg. Światło Wiecznego Rzymu było jedynym śladem cywilizacji w dzikich ostępach północy, wschodu i zachodu, zaludnionych przez brudne plemiona. Gdzież byli germańscy filozofowie, frankońscy poeci, wizygockie polis? Gdzie były przestronne, jasne i zdrowe domy, łaźnie z ciepłą wodą, murowane szkoły? Wierzyłem, że Rzym ma misję, że bez niego świat pogrąży się na wieki w barbarzyństwie.

A potem było De officiis Cyncerona – rozważania o sprawiedliwej wojnie, którą można podjąć tylko dla obrony własnych ziem. "Pax melior est quam iustissimum bellum"*. Jakże kłóciły się te słowa z obrazami wyciętych w pień wiosek, ze szczątkami kobiet zgwałconych przez naszych żołnierzy, a potem rzuconych niczym w pogańskim rytuale do płonących domów, gdzie skwierczały już ciała ich dzieci. Przyszło zwątpienie w to, czy naprawdę niesiemy światło, czy jesteśmy siłą cywilizacji. Zacząłem czytać niebezpiecznych, wywrotowych myślicieli, którzy mówili, że nie ma ludów lepszych i gorszych, są tylko ludy różne, które przywiązują inną wagę do różnych rzeczy.

W czasie półrocznej służby w Galii często jeździłem do pobliskiej wioski przyglądać się tubylczym obyczajom, zacząłem się nawet uczyć ich języka.

I to minęło, okazało się równie głupie jak szczeniackie fascynacje złotymi orłami. Galijskie obyczaje okazały się okrutne, kultura prostacka, zadufanie w sobie tak samo wielkie i niczym nieusprawiedliwione jak zadufanie Rzymian. Na dodatek ci łagodni tubylcy wypruwali naszym młodym żołnierzom flaki, rozrywali ich między naciągniętymi drzewami, własne kobiety i dzieci składali jako ofiary w okrutnych pogańskich rytuałach. Coraz trudniej było mi doginać rzeczywistość tak, aby pasowała do szlachetnych teorii. I oto musiałem stawić czoło oczywistej prawdzie – ludzie, których próbowałem w myślach usprawiedliwiać, byli dzikim bydłem.

I wtedy nagle poczułem się dziwnie samotny, z jednej strony mając Rzym, depreczący butem słabe, ubogie ludy, z drugiej – odpychających barbarzyńców, którzy żyli jak zwierzęta i jak zwierzęta zabijali, bez litości, bez zastanowienia. Nigdzie nie było głębi ani piękna. Nigdzie nie było sprawiedliwości. Wszędzie tylko brud i krew.

Wtedy nauczyłem się brać wojnę taką, jaka ona jest, podobnie jak Krassus. Bezrefleksyjnie żyć z dnia na dzień, myśleć tylko o tym, żeby przetrwać. Niczemu się nie dziwić.

Uśmiecham się na myśl, że nowy ma całą tę drogę jeszcze przed sobą. O ile, naturalnie, pożyje dostatecznie długo.

Po wielu godzinach marszu zapada noc, którą spędzamy pod skalnym nawisem, dobrze osłonięci od ciekawskich oczu. Pozwalam nawet rozpalić małe ognisko – prawdziwy luksus w naszej służbie. Siedzimy z rękoma wyciągniętymi ku płomieniom i grzejemy się, ale rozmowa znów się nie klei. Po twarzach widzę, że wszyscy czują to samo co ja. Jest za spokojnie. Za cicho.

Wyznaczam warty, po czym wciskam się w skalną szczelinę, owinięty derką i brudnym płaszczem. Nie śpię długo, budzę się koło północy. Księżyc stoi wysoko na niebie, gwiazdy są bardzo ostre i wyraźne, jak wykłute szpilką w niebiańskim firmamencie. Wydaje mi się, że gdzieś w oddali słyszę odgłosy bitwy.

Sprawdzam warty, a potem znowu zasypiam.

CZTERYSTA DWUDZIESTY PIERWSZY DZIEŃ KAMPANII

Idziemy długo, o wiele za długo. Cały dzień szybkim marszem to trzydzieści mil – albo jakimś cudem rozminęliśmy się z ofensywą Bizantyjczyków, albo poszli w inną stronę.

Rano, przed wymarszem, siadam do swojej tabliczki i układam kilka pięknych strof w stylu Horacego. Myśli mam czyste, jasne. Wciąż jesteśmy w Rzymie. Gdzie się podział Konstantyn Apostata i jego stutysięczna armia? Gdzie przytłaczające aury świetlistych?

Przed wymarszem Krassus odciąga mnie na bok; siadamy na

zbutwiałym pniu, naradzamy się chwilę.

– Oddaliśmy się od nich czy tylko mi się zdaje? – pyta.

– Oddaliśmy. W obozie czułem Bizancjum bardziej niż tutaj. Dam głowę, że Konstantyna nie ma w promieniu wielu mil.

– Nie odlecieli chyba! Nie wyparowali.

– Może się minęliśmy. – Wzruszam ramionami. – Może uderzył wzdłuż linii Cetiny, minął nas na wschodzie i teraz jest za nami.

– Wtedy i tak bylibyśmy pod aurą, i to głęboko, bo daleko od frontu. Coś się stało, Tuluszu. Coś, czego nie rozumiem, czego się boję.

Pierwszy raz Krassus przyznał się do strachu.

– Ja też nie rozumiem. – Znowu wzruszam ramionami. – Wiem tyle, co ty.

Patrzy na mnie dziwnie, jakby chciał coś dodać, ale tylko kręci głową i odchodzi. Nie podoba mi się to.

Wkrótce ruszamy. Marsz, tak samo monotonny jak poprzedniego dnia. Choć linia zalesionych wzgórz skręca nieco, trzymamy się jej, bo daje dobry widok, a jednocześnie skrywa nas przed obcym wzrokiem. Za każdym razem, kiedy między drzewami otwiera się panorama dalmackiego krajobrazu, przystaję i próbuję dostrzec front aury albo wyczuć choćby najlżejsze zachwianie równowagi.

Nie potrafię.

Dopada mnie dziwna myśl, że może wszystko się już skończyło. Może świetliści jakimś cudem dotarli do Rzymu, zabili cesarza, zabili Jowisza oraz Juno, którzy od uchYLENIA zasłony byli filarem naszej rzeczywistości. I świat się skończył. Chrześcijanie dopełnili swojej apokalipsy, pomścili mesjasza i tylko my o tym nie wiemy; zagubione w dalmackich pustkowiach duchy, skazane na wieczną wędrówkę.

Pod wieczór teren się zmienia. Teraz schodzimy w dół łagodnym stokiem, las jest rzadki i pełen słońca. W oddali widzę prześwitującą między drzewami równinę – dotarliśmy więc do samego końca pasma.

I wtedy Germanicus, idący na szpicy kilkanaście kroków przed resztą, zatrzymuje się gwałtownie. Natychmiast przypadamy do ziemi. On nadal stoi jak kamienna rzeźba, ze wzrokiem wbitym przed siebie.

– Co jest? – syczę do niego. – Co się dzieje?

– Dziesiątniku... Chyba coś widzę. Między drzewami.

Podkradam się do niego i patrzę tam, gdzie wskazuje. Przez zielen liści prześwitują dziwne kolorowe plamy. Wydaje mi się, że wiatr niesie stamtąd stłumione głosy. Daję znak reszcie, ruszamy do przodu, kuląc się nisko przy ziemi, przeskakujemy od drzewa do drzewa. Wkrótce docieramy na skraj lasu.

I wtedy otwiera się przed nami niesamowita panorama. Jakieś pół mili dalej na łagodnych trawiastych stokach wyrosło morze kolorowych namiotów, poprzedzielanych placami i szerokimi alejami. Chorągwie łopoczą na wietrze, konie rżą w wielkich zagrodach. Po niebie kołują jasne sylwetki, dziwaczne bestie tkwią w klatkach wielkości domów.

– Na Jowisza! – szepcze nowy.

– Cholera, cholera, cholera! Widzicie to? – mówi Domitius. – Świetliści, wszystkie pieprzone bestie wschodu, a tam to na pewno namiot Konstantyna. Zaraza! Jak mogliśmy się tak wpakować?

– Cisza! – rozkazuję.

Spokój. Trzeba zachować spokój. Też jestem przerażony, też nie rozumiem, jak mogliśmy nie wyczuć aury obozowiska, ale nie pora się nad tym zastanawiać, kiedy w każdej chwili mogą nas zauważyć.

Daję znak do odwrotu, opornych ciągnę za karki. Cofamy się na słoneczną polankę w bezpiecznej odległości od obozu. Rzucam na ziemię swoją sakwę, wypakowuję przybory do pisania i szybko skrobię notę do sztabu.

Germanicus ściąga z pleców żelazną klatkę.

Otwieram drzwiczki. W środku śmierdzi gównem, mój merkurion leży utyłany we własnym kale. Odwraca w moją

stronę twarz noworodka z trójkątnymi, ostrymi zębami.

Wsadzam dłonie w ten odór, w ciemność.

Nie gryzie. Każdy dziesiętnik jest szkolony na mistrza merkurionów; na koniec nauki nacinają mu dłonie, wcierają w nie krew Merkurego, oczywiście rozwodnioną, kropla na kocioł krwi bawolej, ale to wystarczy, zapach zostaje do końca życia. Kiedy dotykam jego nastroszonych piór, merkurion wydaje dziwaczne przeciągłe ćwierknięcie. Poznaje mnie.

Wyciągam na światło dzienne żalosne ciało o skrzydłach kruka, łapach i ogonie szczura.

– Usłysz mnie, synu Merkurego – mówię.

– Słysz. Słysz.

– Masz zameldować: znaleziono główny obóz amii, dwadzieścia regimentów, gwardia, ciężka konnica, Konstantyn, świetliści, nieznane behemoty. Wszystko trzydzieści pięć mil na północny wschód od *castrum* Augateum. Słyszałeś?

– Słysz.

– Teraz leć!

Wyrzucam go w powietrze.

Przez chwilę bije pokraczynymi skrzydłami, a potem spada kilka kroków dalej, podrygując.

– Kurwa! – kwituje Krassus.

– Dlaczego upadł dziesiętniku? – Germanicus staje nad merkurionem. – Może chory?

– Gównno tam chory – odpowiadam. – Chuje ze sztabu przebierają w nich, do ważnych zadań idą silne i zdrowe. Chuchra – na linię, bo większość i tak się marnuje. Żyją tylko parę miesięcy, a my widać dostaliśmy starego. Nic z niego nie będzie. Germanicus!

Germanicus uśmiecha się i unosi but nad szkaradną istotką.

– Nieee!

Cielak z rykiem rzuca się między niego a merkuriona.

– Dziesiętniku, nie wolno go krzywdzić – mówi. – On jest taki

malutki, chory. Ja proszę, dziesiętniku.

– Nie możemy go zostawić – tłumaczę spokojnie. – Jeśli go znajdą i zabiorą do chrześcijańskiego *pontifeksa* albo do świetlistego, będą mogli zobaczyć wszystko, co widział: nasz obóz, liczebność oddziałów, imiona dowódców i herosów, usłyszą, o czym mówiło się przy klatce.

– To ja go wezmę, zaopiekuję się...

– Cielak, nie czas na sceny. To głupie bydlę cię pogryzie. Zarazisz się jakimś świństwem, a ja nie mogę stracić człowieka. – Kręcę głową.

– Będę się nim opiekował, na pewno mnie nie...

– Słuchaj rozkazu, dymany knocie! – Krassus nie ma tyle cierpliwości co ja.

Widzę, jak Cielakowi czerwienieje twarz, potężne dłonie otwierają się i zaciskają.

– Ja nie pozwolę... Nie pozwolę!

Atius sięga dyskretnie po kuszę.

– Uspokój się, Cielak, inaczej...

Przerywam, bo kątem oka widzę ruch na skraju lasu.

Odwracam się.

Oni wychodzą spomiędzy drzew i zamierają – wydaje się, że czas stanął, wszyscy jesteśmy zaskoczeni. Jest ich sześciu. Nie, dziesięciu. Czterech wyłania się dopiero z krzaków. To Macedończycy o ciemnej karnacji, w kolczugach wschodniego typu. Na plecach dźwigają zwierzynę: sarny ze związanymi nogami, dzika. Kilku ma dwubrzusne łuki.

Cielak otwiera gębę, Germanicus zatrzymuje się w pół ruchu.

Nie wiem, co bardziej mnie paraliżuje – to, że jest ich więcej, niż przypuszczałem, czy myśl o tysiącach Bizantyjczyków obozujących ledwie pół mili stąd. Tak czy inaczej, nie jestem w stanie zmusić do ruchu najmniejszego mięśnia, nie potrafię zrobić niczego, co mogłoby przełamać ten dziwny bezruch.

Krassus reaguje pierwszy. Podrywa kuszę i strzela prawie z

biodra, trafiając jednego z łuczników w oko. Potem rusza do ataku, ja wyrywam z pochwy gladiusa i pędzę za nim. Cielak ryczy coś niezrozumiale, po czym rzuca się do przodu jak wściekły byk. I już zaraz biegniemy wszyscy, Atius i Domitius strzelają, trafiając tego samego Greka w pierś i brzuch. Tamci napinają łuki, z kilkunastu kroków wypuszczają nam strzały w twarz.

Germanicus, który mnie wyprzedził, pędząc długimi susami, zwija się dziwnie i upada. Kropelki krwi z jego przebitego gardła pryskają mi na twarz. Strzała zgrzyta na moim napierśniku, ale to już koniec. Grecy odrzucają łuki i chwytają za miecze. Teraz już będzie walka wręcz, teraz ich mamy.

Podnoszę do góry ostrze swojego gladiusa. Wpadamy między nich cicho, bez jednego okrzyku, jak wilki.

Krótkim, mocnym cięciem odrąbuję jednemu dłoń w nadgarstku, potem wymierzam pchnięcie w szyję, ale nie trafiam, ostrze wbija się w otwarte usta, zgrzyta na wyłamywanych zębach, wychodzi gdzieś pod uchem. Obok Juliusz upada, trzymając się za przebity włócznią brzuch.

W półobrocie widzę, jak cios strąca nowemu hełm z głowy, a on kuli się odruchowo, ale na szczęście obok jest Krassus, który rzuca mu się z pomocą. Dłużej nie patrzę, bo i mnie ktoś atakuje, jakiś niski, zacięty chłopak z czarnymi włosami. Jest szybki, naładowany tą kontrolowaną agresją, najgroźniejszą u szermierza. Wymieniamy mocne ciosy, po czym Domitius bezceremonialnie wbija mu ostrze w plecy.

Szybko rzucam wokół wzrokiem. Juliusz zwija się na ziemi, Servilus leży na plecach z głową połączoną z ciałem tylko paskiem skóry, Krassus ściska rozcięte przedramię, Cielak klęczy na kimś i wali go po głowie głowicą miecza, reszta rozgląda się tak samo jak ja. Kiedy nasze oczy się spotykają, wiemy – wygraliśmy, żyjemy.

To jednak nie koniec.

Jest jeszcze jedenasty, który szedł z tyłu. Wyłania się między drzewami, w chwili gdy pod ciosem Cielaka pęka czaszka

ostatniego Greka. Od naszej umazanej krwią, rozgrzanej gromady dzieli go jakieś czterdzieści kroków. Sięga do pasa, gdzie wisi coś długiego.

Klnę. Wiem już, że nie zdążę, mimo to zrywam się do biegu.

Jak w sennym koszmarze widzę jego dłoń, unoszącą do ust wojenny róg. Atius siłuje się z kuszą – on też nie zdąży. W ostatniej chwili, zdesperowany, rzucam mieczem, używając całej siły ramienia. Krótkie ostrze furkocze, obraca się w powietrzu i mija Bizantyjczyka o dobre pięć kroków, uderzając z brzdękiem w drzewo.

Długi ryk wibruje w powietrzu, tak głośny, że aż dzwoni mi od niego w uszach. Urywa się w chwili, gdy Krassus dobiega do Bizantyjczyka. Ten rzuca róg, próbuje uciekać, ale Krassus skacze szczupakiem i chwytą go za nogi. Dobiegam sekundę później i wbijam Grekowi nóż w tył głowy. Robię to z mściwą złością, bo wiem, że wygrał – w ostatniej chwili zmienił losy potyczki.

Z obozu, od tej piekielnej zbieraniny, dobiegają odgłosy kolejnych rogów. Dziesięć, dwadzieścia, trudno policzyć. Może to tylko wyobraźnia, ale wydaje mi się, że słyszę też szum ogromnych skrzydeł, zrywających się do lotu.

Obudziliśmy smoka.

– Spieprzamy! – krzyczę. – Co się gapicie? Domitius, zostaw klatkę, rzucamy wszystko, bierzemy tylko broń i prowiant. Słyszycie? Tak, kurwa, derkę też zostaw. Dalej, dalej!

– Kusze?

– Zostaw, zaraz będą tu świetliści.

– Nie, kusze!

– Kurwa, dokąd biegniesz? Nie idź za nim, Krassus. Dogoni nas, reszta do przodu, do przodu! Nie oszczędzamy się!

– Dziesiętniku, tam! Nad drzewami!

– Już nas widzą, zarazy. W krzaki!

– Zostawiliśmy go tam, zostawiliśmy małego ludzika, dziesiętniku.

– Zamknij... ryj... Cielak... – dyszę.

Biegniemy. Za nami jest cała potęga Bizancjum, nad nami na niebie błyszczą sylwetki świetlistych, którzy już nas szukają w gęstwinie nieładzko bystrym wzrokiem. Mówią, że archanioł Michał zabija jednym spojrzeniem. Zaraz będziemy mieli okazję się przekonać.

Biegniemy. Krew pulsuje w skroniach, powietrze gwizdże w płucach. Prowadzę ludzi w ciemny jar, gdzie gałęzie chłostają nas po twarzy, a długie kolce malin drą spodnie i kaleczą nogi. Zwalniamy nieco, bo trudno przedzierać się przez gąszcz, ale tu nie pójda za nami konie i świetliści nie wypatrzą nas z góry.

Biegniemy. Jesteśmy w tym dobrzy, do tego szkolony jest lekki zwiad. Każdy z nas potrafi truchtać godzinami. Cali stajemy się biegiem, tracimy głos, tracimy myśli, są tylko płuca i nogi, grające razem w jednym rytmie. I tylko nowy potyka się co chwila, rżąc jak stary koń. Wiem, że powinienem go zostawić – takie są zasady wojny – jednak ciągnę go, pomagam forsować przeszkody, poganiam. Walczył dobrze, może jeszcze coś z niego będzie, może żal go zostawiać na pastwę świetlistych.

Przystajemy dopiero po godzinie w leśnym wykrocie, gdy nawet Krassus zatacza się ze zmęczenia.

– Mamy chwilę – sapię. – Tylko chwilę.

Ludzie osuwają się na ziemię, siadają na błotnistej ściółce. Dobrze wiedzą, że przerwa nie potrwa długo – jeśli pozwoli się zbyt długo odpoczywać mięśniom, zaczną sztywnieć. Nie możemy do tego dopuścić.

– Chyba już nas nie ścigają – mówi Domitius, wysuwając głowę ponad krawędź wykrotu.

Przez chwilę wszyscy pocieszamy się myślą, że ma rację, ale wiatr przynosi odległe nawoływania, odzewy, krzyżane po grecku rozkazy. Próbuję ocenić odległość – najdalej dwie mile. Jak na godzinę biegu zyskaliśmy bardzo niewiele.

– Nie odpuszczają... Niech ich mór! – mruży Krassus.

– Już pewnie znaleźli merkuriona – odpowiadam. – Wiedzą, że

nie zdołaliśmy jeszcze powiadomić sztabu. Jeśli nas dopadną, nikt się nie dowie o ich pozycji.

– Dziesiątniku... – zaczyna Cielak, ale nie kończy, bo tuż nad koronami drzew przemyka skrzydlaty kształt, rzucając na nas cień.

Wstrzymujemy oddechy, nieruchomiejemy jak posągi, ale świetlisty chyba nas nie dostrzegł. Znika za horyzontem.

– Są ponoć tacy potężni – szepcze nowy, wiodąc za nim wzrokiem. – Dlaczego po prostu nas nie wyczuje?

– Rzym. Z jakiegoś powodu wciąż jesteśmy pod aurą Rzymu – mówię. – Ich moc działa tylko w Bizancjum. No, dość się nasiedzieliśmy. Wstawać, wstawać!

Biegniemy.



Zatrzymujemy się dopiero po zmierzchu, i to wcale nie ze zmęczenia. Po prostu nie ma już dokąd uciekać. Pas lasu, który przez ostatnią godzinę stopniowo się zwężył, teraz znika, roztapiając się w łagodnej wyżynie. Piękne, szumiące, napęczniałe światłem księżycy łąki przypominają krainę umarłych. Przyzywają nas na zgubę.

Siadamy w leszczynowym zagajniku na mchu i paprociach. Większość porzuciła po drodze płaszcze i teraz, spocona po długim biegu, trzęsie się z zimna. Dzielimy się ostatnimi kroplami wody, sprawiedliwie kroimy na sześć części kilka pasków suszonego mięsa, które jakimś cudem miał przy sobie Atius. Cielak jęczy, trzymając się za pusty brzuch. Atius rusza więc poszukać jeszcze jagód lub grzybów.

Nowy, Krassus, Domitius i ja siadamy obok siebie. Odpoczywamy, patrząc na falujące trawy.

– Musimy zaraz ruszać – mówi Krassus. – Jeśli dzień zastanie nas na równinie...

– Podobno świetliści widzą w mroku jak koty – ponuro spostrzega Domitius.

– Nawet ślepy by nas znalazł na tym cholernym płaskowyzu. – Wzruszam ramionami. – Nie trzeba do tego świetlistego. Musimy znaleźć następną kryjówkę, zanim któryś tędy przeleci.

– Tam. – Nowy wskazuje dłonią horyzont. – Wydaje mi się, że tam są drzewa.

Wszyscy wysilamy wzrok, ale chłopak albo ma bystrzejsze oczy, albo przywidzenia.

– Tak czy inaczej, tu nie możemy zostać.

Nie odpoczywamy długo. Mroźna noc szybko odbiera nam siły, wszyscy wiedzą, że wkrótce nie będziemy się już w stanie ruszyć; Cielak zasypia na stojąco, nowy już pochrapuje.

Krassus spogląda na mnie pytająco, daję znak głową, więc podrywa oddział na nogi ostrym głosem.

Znowu biegniemy równym, spokojnym tempem, po kolana w trawie. Co jakiś czas odwracam się nerwowo za siebie, patrzę na szybko oddalający się las. A jeśli oni idą naszym śladem, jeśli zaraz zobaczą sylwetki greckich jeźdźców? Nie ma nic gorszego dla zwiadowcy, przywykłego do skrytości, niż otwarte pole. Czuję się okropnie, jak zwierzyna łowna, jak mysz zastana przez kota na środku podłogi.

Nowy krzyczy, wskazując coś dłonią. Rzeczywiście, miał rację. W oddali widać w zagłębieniu terenu pasmo drzew – pewnie jakiś parów albo koryto strumienia.

Każę wszystkim przyspieszyć, choć sam ledwo nadążam. Jest taki stopień zmęczenia, gdy nogi po prostu drewnieją, mięśnie wydają się ulepione z gliny.

Jesteśmy w połowie drogi.

Znów zerkam do tyłu, ale okazuje się, że szukam niebezpieczeństwa nie tam, gdzie trzeba. Bo niebezpieczeństwo przychodzi z góry, z rozgwieżdżonego nieba. Pojawia się nad horyzontem jak wielki ptak i szybko się zbliża.

– Tam! – krzyczy Domitius.

– Na ziemię! Świetlisty! – rozkazuję.

Rozpłaszczamy się w trawie, a on przelatuje tuż nad nami. Czuję na karku podmuch jego skrzydeł. Potem wzbija się w górę ostrą świecą, przelatuje na tle tarczy księżyca, jakby chciał mieć pewność, że dokładnie go sobie obejrzymy, i znika.

– Widział nas. Musiał widzieć – szepcze Krassus. – Dlaczego odleciał?

Nie odpowiadam. Wydaje mi się, że pióra miał ciemne, ale w nocy wszystkie koty są czarne, mogło mi się wydawać. Jeśli to Satariel, dopisało nam szczęście, ale lepiej nie kusić losu.

– Powstań! Biegiem marsz! – Poganiam ludzi.

W końcu dopadamy do drzew, do wąskiego pasa zieleni wzdłuż rzeki, złobiącej sobie koryto wśród pól. Zwalamy się półżywi na żwir przy srebrzystym, szumiącym potoku. Dźwięk wody obmywającej kamienie jest jak kołysanka, jak pieśń syren. Po całodniowej ucieczce ciało zdaje się rozpływać na ziemi, nie mam nawet siły unieść ręki.

Wiem, że muszę wyznaczyć warty. Zaraz to zrobię. Tylko najpierw muszę chwilę odetchnąć, przymknąć powieki, żeby ukoić to dziwne ciągnięcie za oczami.

Mówię sobie, że zaraz wstanę. Potok szumi. Zasypiam.

CZTERYSTA DWUDZIESTY DRUGI DZIEŃ KAMPANII

Jesteśmy w pułapce. Dopiero dzień odsłania beznadziejność naszego położenia – to, co uznaliśmy za pas drzew ciągnący się wzdłuż rzeki, jest tylko malutkim zagajnikiem, plamką zieleni na rozproszonej wyżynie. Dalej rzeka płynie wśród nagich wzgórz. Ucieka ku horyzontowi, kpiąc sobie z nas, bo wie, że nie możemy za nią podążyć.

Co jakiś czas widzę na niebie ciemne kształty, ale są zbyt wysoko, żeby stwierdzić, czy to ptaki, czy świetliści, ale i tak nie zaryzykuję dalszego marszu przed zmrokiem.

Siedzimy beczynn timer, kryjąc się w krzakach przed słonecznym żarem i wrogimi oczyma. Cielak kwili z głodu. W całym

zagajniku znaleźliśmy tylko trochę jagód. Jestem tak głodny, że zaraz zacznę ogryzać korę z drzew. Przynajmniej wody jest pod dostatkiem, napełniając nią sobie żołądek, można choć trochę oszukać głód.

Koło południa na równinie, tam, skąd przyszliśmy, pojawiają się ludzie. Najpierw paraliżuje nas strach, że to pościg, ale kiedy od horyzontu odlepiają się kolejne czworoboki i kolumny, zdajemy sobie sprawę, że nikt nie ślałby za nami tyle wojska. Mamy przed sobą główną armię Konstantyna Apostaty, która zajmuje pozycje jakieś dwie mile od naszego zagajnika.

– Jak myślisz, czemu się zatrzymali? – pyta Domitius.

– Formują się do bitwy – odpowiadam. – Gdzieś w pobliżu muszą być i nasi.

Niedługo potem dostrzegamy błyski na wschodzie i wkrótce mamy już w zasięgu wzroku nasze legiony. Jakby w odpowiedzi Bizantyjczycy przysuwają się trochę bliżej, poszerzając front.

Jesteśmy otoczeni. Satariel miał rację – trafiliśmy między dwa żarna. Wystarczy jeden nieostrożny ruch, a zetrą nas na pył. A najgorsze jest to, że ratunek mamy niemal na wyciągnięcie ręki – widzimy *aquila** legionów, zajmujących pozycję na skraju równiny, rozpoznaję nawet poszczególne godła: trzeci hiszpański, piąty sardyński. Kusi, żeby zerwać się do ostatniego biegu i dotrzeć do swoich. Jeśli jednak Bizantyjczycy spostrzegą nas na pasie ziemi niczyjej, między dwiema armiami, wyślą *scutarii** albo jeszcze gorzej – świetlistych.

Pozostaje nam tylko czekać. Każę wszystkim kopać doły w zaroślach na prawym brzegu strumienia i zakryć je gałęziami. W ten sposób mamy coś do roboty, nie myślimy o kilkudziesięciu tysiącach Bizantyjczyków, którzy stoją ledwie milę stąd. Poza tym jestem pewien, że przyślą tu zwiad. Konstantyn nie zostawi nierozpoznanego terenu na swojej flance.

Przez dobrą godzinę nic się nie zmienia. Nasze legiony idą dalej na zachód, pewnie nie wiedzą, że główne siły Konstantyna są tak blisko, po drugiej stronie zagajnika. Co jakiś czas chodzę to na jeden, to na drugi kraniec, żeby mieć ogląd całej sytuacji.

Podczas jednej z takich wycieczek znajduję Krassusa, który siedzi pod krzakiem i gapi się na równinę.

– Zakazałem łaźnić bez potrzeby – mówię, stając nad nim. – Dotyczy to i ciebie.

– Chciałem zobaczyć naszych – odpowiada. – Patrz, kto idzie.

Spoglądam tam, gdzie wskazuje jego dłoń, i aż zapiera mi dech. Długim sznurem pod dojrzałym słońcem popołudnia idą do boju najstraszliwsi wojownicy Rzymu, angelofagosi. Błyszcą długie piki o ząbkowanych grotach, stalowe sieci z drutu tak cienkiego i mocnego, że można nim kroić człowieka na plasterki. Na ramionach dźwigają kusze z bełtami, które w locie rozpadają się na dziesiątki małych drzazg. Na plecach niosą miecze, kute i ostrzone przez samego Wulkana, przecinające stalowe sztaby. Jedni mają nietoperzowate skrzydła albo ostre rogi, inni ptasie dzioby w miejscu ust.

Podobno gdy upolują świetlistego, karmią się jego mięsem i piją jego krew w upiornej parodii chrześcijańskich rytuałów. Czyni ich to bardziej odpornymi na aurę Konstantyna.

Wzdrygam się. W zwykłym wojsku do dziś krążą opowieści o tym, ilu wyśmienitych gladiatorów i legionistów zginęło w mękach, zanim kapitolinscy bogowie stworzyli *equus astra*, rycerzy niebios – swoją broń przeciw świetlistym.

– Nie wiedzą, co ich czeka. – Kręcę głową. – Nie wiedzą, że jest tu sam archanioł Michał ze swoją świtą. Pewnie żaden z nich nie wróci do Rzymu.

– I co z tego? – W głosie Krassusa wyczuwam złość. – Wolałbym iść z nimi, niż chować się jak szczur w tej dziurze, niż dać się tak zaszczuć. Już prędzej stanąłbym do walki z samym Apostatą.

Z trudem powstrzymuję uśmiech. Krassusowi marzą się heroiczne czyny? Znudziła mu się proza służby? Takiemu cynikowi, który dawno wyrósł z opowiastek o bestiach i bohaterach?

Po części go rozumiem. I ja czuję się jak gnany wiatrem paproch, jak ziarenko piasku – nieważny, zapomniany. Różni nas

tylko to, że ja już do tego przywykłem.

Zawsze tak się składało, że wielkie i ważne rzeczy działy się tuż obok mnie, za tym wzgórzem, na drugim skrzydle, w twierdzy, którą dopiero co opuściłem. W Germanii brałem udział w słynnej krwawej ofensywie Liciniususa i ani razu nie miałem okazji wyciągnąć miecza. Potem pod Valentium, kiedy Mars i jego synowie zabili Trzeciego Jeźdźca, leżałem złożony chorobą na dalekim posterunku. Moja germańska centuria zdobyła odznaczenia tydzień po tym, jak ją opuściłem. Z kolei moja nowa centuria została zdziesiątkowana w ciężkich bojach na dalmackiej granicy kiedy ja leczyłem się w lazarecie z ciężkiej czerwonki. Gdy po trzech latach służby dostałem przepustkę, przyjechałem do miasta tydzień po rewolcie pretorian i egzekucji Bassianusa oraz po zamieszkach, które obróciły dużą część Zatybrza w pogorzelsko.

Najcenniejsze, co zabrała mi wojna, to poczucie, że jestem głównym aktorem we własnym życiu. Odkąd założyłem zbroję i płaszcz, przeznaczenie chciało, bym już zawsze pełnił rolę tła, włączył się gdzieś na obrzeżu wielkich zdarzeń, był spóźnionym o pół kroku obserwatorem. Czuję się marionetką w rękach losu, na nic nie mam wpływu i pewnie umrę tak, jak żyłem – przypadkiem, niezauważenie, jak żołnierz w rogu bitewnego malowidła, na którego nikt nigdy nie patrzy.



Po południu Grecy ruszają do ataku. Zaraz potem musimy chować się w kryjówkach, bo do zagajnika zbliża się macedońska kompania konnych łuczników. Chwilę krążą nad potokiem; słyszymy ich głosy oraz rżenie koni dosłownie tuż nad głowami. Potem odjeżdżają – nawet nie podejrzewając naszej obecności.

Nie mamy okazji wygrzebać się z ciasnych dziur, bo zaraz po nich tuż przy linii drzew przemaszerowuje falanga ciężkiej piechoty, dowodzona przez tyczkowego mężczyznę o bladej karnacji. W jego długich, pałakowatych plecach i chudej

sylwetce, wyższej o dwie głowy od reszty żołnierzy, poznaję znamię świetlistych.

– Nefilim – szepcze nowy, który leży tuż obok. – Słyszałem o nich w Rzymie.

Jakby na zawołanie mieszaniec przystaje w pół kroku, odwraca się ku nam, ku zagajnikowi. Zamieramy, ale nie widzi nas, choć uważnie lustruje gęstwinię. Po minucie rusza ze swoimi dalej. Potem obok przechodzą jeszcze trzy pułki i w końcu zaczynają do nas docierać odgłosy bitwy.

Jest słoneczne popołudnie. Nieopodal zaczyna się starcie, które zadecyduje o losach tej wojny. Powinienem być wdzięczny losowi, nie mogę jednak pozbyć się wrażenia, że znowu sobie ze mnie zakpił.



Godzinę później nadal siedzimy w zagajniku, głodni, przestraszeni, obserwujemy bitwę. Z daleka wygląda to tak, jakby ścierały się ze sobą dwie ziemne masy, dwa morza żelaza i sztandarów. Nad nimi widać podążające chwiejnym krokiem dziwaczne bestie, a wyżej – śmigają sylwetki świetlistych. Z tej odległości odgłosy walki zlewają się w wielki rumor.

Tam Avitus próbuje przełamać okrążenie zmasowanym atakiem. Tam walczą nasze ciężkie pułki, angelofagosi, tam *scholae palatinae* prowadzi on, którego zwą archaniołem Michałem, księciem świetlistych. Patrząc w tę plątaninę kształtów i kolorów jak zaczarowany. Teraz ktoś mógłby podejść do mnie na kilka kroków, a i tak bym go nie spostrzegł.

Wydaje mi się, że któryś ze świetlistych wzlatuje w górę, ku słońcu, otoczony jasnymi błyskami pancerzy angelofagosów.

I nagle świat umiera.

To wybuch mroku, gwiazda antyświatła rozciemnająca się na horyzoncie, ponad kłębowiskiem bitwy – pęcznieje, zacinając połacie ziemi, dusząc świat opasłym cielskiem. Patrząc w nią, póki

przed oczyma nie zaczynają mi latać białe plamy – dziwna odwrotność tego, czego doznaje się, patrząc zbyt długo w płomień świecy.

Niektórzy krzyczą ze strachu. Domitius – sądząc po zapachu – zlał się w spodnie.

Potem przychodzi wiatr: podmuch z ust samej śmierci, który obmywa nas jak wody Styksu – lodowaty, paralizujący. Rzucony w tył, padam na plecy i odruchowo wciągam do płuc to dziwne powietrze – ostatnie tchnienie świetlistego. Czuję dziwny, ostry smak. Ciało drętwieje. Na chwilę osuwam się w krainę lodu i mroku, pod niebo wirującej szarości, przed ponure oblicza czterech czarnych słońc i nieboskłon rozpaczy, górujący nad krainą zatracenia, gdzie horyzont zakłócają tylko kształty monumentalnych świątyń, poprzecyłanych, popadłych w ruinę.

Jedno mrugnięcie zmazuje ten dziwny obraz, tak jak deszcz zmywa akwarelę namalowaną na szkłe.

Co widziałem? Miejsce, z którego przyszli świetliści? Hades? To, co nastanie, jeśli Apostata doprowadzi do końca swoją apokalipsę?

– Dziesiątniku, wszystko w porządku? – Krassus szarpie mnie za ramię.

Odkasuję i siadam, z trudem unosząc tułów, przygwożdżony do ziemi ciężarem zbroi. Przecieram twarz.

– Co to było? – Gdzieś z lewej dochodzi głos Atiusa.

– Chroń, Jowiszu!

– Kurwa, kurwa, jasna kurwa! Aż mi włosy na jajach stanęły.

– Dziesiątniku? Dziesiątniku? Co się dzieje?

Pięć par oczu patrzy we mnie jak w wyrocznie, tak jakby czerwona kita na hełmie czyniła mnie mądrzejszym. Wiem, że muszę coś odpowiedzieć, choćby były to tylko fantazje.

– Załatwili świetlistego, skurwysyna – mówię.

– Jak? Bez Megakorimosa?

– Widać dorwali go angelofagosi. – Krassus wzrusza

ramionami. Dla niego wszystko wróciło już do normalności.

Przypomniałem sobie dziwne ząbkowane włócznie, sieci z ostrymi jak brzytwa kolcami, tarcze jak jeże, hełmy jak gladiatorskie przyłbice. Ciekawe, czy któryś przeżył? Gdy zabito jednego ze świetlistych pod Mahrejmosem, ginąc, wyssał ze wszystkich wokół całe życie, całe ciepło, zostało tylko parę setek sztywnych ciał. Może i na to angelofagosi mieli sposób? A może byli jednorazowym pionem – dziesięciu za świetlistego? Dobry kurs na targu wojny.

Krassus też o tym myśli, poznaję to po jego skrzywionej gębie.

– Nadal żałujesz, że nie poszedłeś? – pytam.

Nie odpowiada, słuwa i ociera usta wierzchem dłoni. Tymczasem obudził się szum, który szybko przybiera na sile. W dali dwie masy żelaza otrząsnęły się z szoku i znowu próbują zetrzeć się w pył. Ludzie giną, krzyczą. Śmierć półboga niczego nie zmienia, jakby nigdy nie istniał. Chwilę patrzę na to, ale po nieprzespanej nocy, po dniu ciągłego strachu z trudem trzymam otwarte powieki. Bitwa, i tak niewyraźna z tej odległości, to dla mnie już tylko jedna wielka rozmazana plama, na której nie jestem w stanie zogniskować wzroku.

Idę spać do swojej nory, pod okrycie ze świeżej leszczyny.



Budzi mnie Atius. Wystarczy mi jeden rzut oka na jego twarz i już wiem, że dzieje się coś bardzo złego. Podnoszę się ciężko, otrzepuję z liści.

– Dziesiętniku, dziesiętniku – mówi, niemal połykając słowa. – Krassus kazał obudzić... Bizantyjczycy odepchnęli naszych na południe!

– I co z tego? – pytam, przecierając oczy.

– Teraz ich odwody idą do ataku na całej linii. Idą przez nas, dziesiętniku!

Resztki snu opadły ze mnie jak węzowa skóra. Zrywam się na równe nogi, przeskakuję strumień i biegnę na drugą stronę zagajnika, gdzie czeka już reszta, ponuro przypatrując się zwartym szeregom, coraz bliższym, coraz wyraźniejszym w żółtawym świetle wieczoru.

– Nie możemy tu tkwić – rzuca Krassus na przywitanie. – Wdepczą wszystko w ziemię.

– Może skręcą w bok – mówi cicho nowy. – Po co mieliby przedzierać się przez las?

– Jak chcesz, możesz tu zostać i sobie gdybać, dopóki któryś nie nadeptnie ci na ten pusty łeb – mruczy Krassus.

– Krassus ma rację – odpowiadam, osłaniając dłonią oczy, żeby lepiej widzieć wroga. – Nie będą łamać szyku na tak trywialnej przeszkodzie. Wiemy, gdzie są teraz nasi?

– Daleko – odpowiada Atius. – Przynajmniej dwie mile na południe. Zostali zepchnięci z płaskowyżu.

Czuję na karku zimny pot. Jeśli teraz podejmę złą decyzję, wszyscy jesteśmy zgubieni. W końcu postanawiam: w ostatecznym zrywieniu desperacko biegniemy do naszych pozycji w nadziei, że w chaosie bitwy nikt nie zwróci uwagi na sześć osób.

Wracamy na południowy kraniec zagajnika. Porzucamy ostatnie rzeczy, jakie jeszcze ze sobą mieliśmy: ciężkie pasy, pochwy, hełmy. Atius zrzuca nawet zbroję. Nie winię go, teraz już wszystko albo nic.

– Nie widać świetlistych. – Krassus uważnie lustruje niebo. – Zlecieli się do bitwy, sępy.

Daję znak i zaczynamy biec.

Pędzimy tak wieczność. Przeklęty zagajnik ciągnie się i ciągnie. Skryte kłębamii kurzu kłębowisko bitwy jak na złość wcale się nie przybliży. Co jakiś czas zerkamy nerwowo za siebie, żeby sprawdzić, czy bizantyjska piechota dotarła już do zagajnika, ale to nie oni pojawiają się w końcu za nami, krocząc chwiejnie nad koronami drzew.

To bizantyjskie kościenie.

Idą w naszą stronę, chude jak patyki. Jest ich dużo, zbyt dużo, żeby liczyć. Pod czarnymi szmatami migają czasem ręce albo nogi – zdumiewająco kościste, ledwo obciążone skórą, jak u zagłodzonych na śmierć. Głowy zaszyte są w czarnych workach. Jeden przechodzi nad nami. O bogowie! Jest wyższy od wież Vinodium. Teraz widzę, że szpony u jego dłoni są dłuższe od mojego miecza.

Kościenie, kroczące kukły apokalipsy, twory Jeźdźca Śmierci, które przeżyły swojego pana.

Zdyszani pędzimy przed siebie, a za nami płaskowyz tytanów idzie na wojnę powolnym, chwiejnym krokiem, jakby gnany przez ciemne chmury oraz zimny wiatr. Tego widoku nie zapomnę do końca życia.

Nie zauważyły nas jeszcze; wzrok – czy cokolwiek, co pełni jego funkcję – wbity mają w pole walki. Nie chcę myśleć, co może się stać, jeśli nas spostrzegą. Przyspieszamy, dobywając ostatnich sił, choć wiem, że ich nie przegonimy, że na tych swoich przeklętych szcudłowatych nogach otoczą nas zaraz ze wszystkich stron. Już sięgają ku nam ich długie cienie.

A więc jednak. Zła decyzja. Koniec.

Na ratunek przychodzi nam sama Dalmacja. Nagle widzę, że pole się rozdwaja, przecięte jasną spękaną linią. Nieco przed nami wyżyna załamuje się i schodzi w dół stromym uskokiem, gliniastą skarpą, której krawędź ulewne deszcze wypłukiwały tak długo, aż zostawiły po sobie szereg głębokich wąskich jarów, lejów i osypisk.

– Na dół, wszyscy na dół! – krzyczę.

Skrzypienie długich nóg kościeni rozbrzmiewa coraz bliżej.

Wpadamy do wąwozu, ślizgamy się na piasku i przywieramy do wysokich, nieregularnych ścian z ziemi oraz gliny, które wznoszą się po obu stronach. I zaraz przechodzi nad nami pierwsza fala kościeni, stawiając ostrożnie karykaturalnie długie nogi. Lodowaty podmuch obmywa mnie jak górski strumień, drzę, skulony w cieniu potężnych istot. Po chwili wszystko się kończy.

Za kościeniami idzie piechota, odwodowe pułki Konstantyna Apostaty, które już minęły naszą poprzednią kryjówkę. O ile kościenie zeszły z płaskowyzu po stokach, o tyle piechurzy będą musieli zsunąć się w dół wykrotami, przez naszą kryjówkę. A my nie możemy iść dalej – nizina, na którą wychodzi jar, pełna jest już wielkich chybotliwych kształtów i jakby tego było mało, nieopodal stoków przegrupowuje się dobra setka macedońskich jeźdźców, którzy sądząc po liczbie koni z pustymi siodłami, dopiero co wyrwali się z kłębowiska bitwy.

Nie możemy iść do przodu, nie możemy się cofnąć, a miejsce, w którym jesteśmy, zaraz zaleją ciężkozbrojni Bizantyjczycy. To koniec.

Wszyscy zdają sobie z tego sprawę. Widzę to po ponurych twarzach.

– Bronimy się tutaj – mówię i sam się dziwię, jak zmęczony i słaby jest mój głos.

– Nie, nie! – przerywa nowy. – Zginiemy, to nie ma sensu. Nie możemy przemknąć się u podnóża skarpy?

Krassus patrzy na niego groźnie. W normalnych warunkach walnąłby go od razu w mordę za kwestionowanie rozkazów, ale nawet po nim widać, że spodziewa się już tylko jednego.

– Nawet jeśli nie zobaczą nas kościenie, na pewno zobaczą jeźdźcy – odpowiada cicho Atius. – Ani jednych, ani drugich nie prześcigniemy.

– Bronimy się tutaj – powtarzam bardziej zdecydowanym tonem. – Nie ma innej możliwości.

– Pieprzysz. Jest wyjście – słyszę nagle.

Nie spodziewałem się takich słów ze strony Krassusa. Zamurowało mnie.

– Tak? – mówię w końcu – Oświeć mnie.

– Nawet teraz, na progu Hadesu, chcesz nas oszukiwać? Poproś go. Poproś świetlistego.

Domitius i Cielak zaraz przytakują, a ja patrzę na nich dłuższą chwilę i nie wiem, co powiedzieć.

- Świe... tlistego? – wyduszam z siebie. – Wiecie?
- Chyba zdurniałeś do reszty, jeśli myślisz, że cię nikt nie śledził podczas nocnych wypraw. Tak, wiemy wszystko.
- Od jak dawna? – Nie mogę wyjść ze zdumienia.
- Od dwóch miesięcy. Najpierw chcieliśmy uciąć ci łeb z litości, a dopiero potem donieść Flawiuszowi, ale uznaliśmy, że skoro to robisz, musisz mieć cel. Że nie możesz być zdrajcą. Dość głupich pytań, nie mamy czasu. Jeśli wezwiesz świetlistego – przyjdzie?
- Patrzę na nich i przez chwilę walczę z dziwnym uczuciem, które kręci mnie gdzieś w żołądku. Wiedzieli, że spotykam się z najgorszym wrogiem Rzymu, a jednak ufali mi. Ufali do samego końca, kiedy zaprowadziłem ich w pułapkę bez wyjścia.
- Przyjdzie – odpowiadam. – Musi przyjść.



Nie czekam długo. Kiedyś się dziwiłem, dlaczego Satariel pojawia się za każdym razem, kiedy chcę z nim rozmawiać, choć go nie wzywam, nie daję żadnych sygnałów. Potem zrozumiałem. Jest jak sęp – wyczuwa słabość, desperację, rozpacz. Widać w tej chwili cuchnę tym szczególnie mocno. Poczuję tę woń z kilku mil, zasrany ścierwojad, bo już widzę ciemną plamkę na niebie, wyraźnie zmierzającą w moim kierunku.

Siadam w cieniu przy wylocie jaru i chwilę patrzę na bitewny chaos, na wrogich jeźdźców w siodłach na pierwszym planie. Wkrótce rozlega się łopot skrzydeł. Myślę, że na pewno go zauważyli, ale choć kilku Macedończyków patrzy w naszą stronę, żaden nie reaguje. Zupełnie jakby Satariel był dla nich niewidzialny. Wzdrygam się na myśl, jak bardzo jest potężny.

– Miałem rację, dziesiętniku. – Śmieje się drwiąco, składając przede mną pręgowane skrzydła. – Nie potrafisz się beze mnie odejść. Ledwie dwa dni minęły, a już mnie wzywasz. Czego chcesz tym razem?

– Wiesz przecież. Jesteśmy otoczeni, za kilka chwil wdepczą nas w ziemię. Potrzebujemy twojej pomocy, Satarielu.

– Potrzebujemy? A cóż mnie obchodzą ci rzymscy żołdacy?

– Obchodzą mnie. Pomogłeś mi już wiele razy, a teraz potrzebuję cię najbardziej. Nie odmawiaj, Satarielu. Wiem, że nie będziesz się musiał nawet wysilić.

Podchodzi do mnie. Jestem trochę zdziwiony, widząc, jak blade i niezdrowo wygląda jego skóra. Nie jest już górujący i wysmukły, tylko ptasi i patykowaty. Zniknęła nawet świetlista aura, którą zawsze był spowity. Zmęczyła go bitwa? A może jesteśmy pod mocnym wpływem Rzymu? Czy to znaczy, że starcie idzie po myśli Avitusa?

Kusi mnie, żeby spytać, ale nauczyłem się mówić przy Satarielu jak najmniej. Z moich pytań dowiedział się nieraz więcej niż z odpowiedzi.

– A co ty wiesz o wysiłku, rzymski dziesiętniku? – Jego głos przechodzi w nieprzyjemny syk. – Powiem ci. Wysilek to rozmawiać z tak głupim bydłem jak ty, zniżać się do pogaduszek z żołdakiem zdrajców z cuchnącego szamba zwanego Rzymem.

– Bawisz się mną, Satarielu, ale obaj wiemy, że potrzebujesz mnie do czegoś. Inaczej w ogóle byś ze mną nie rozmawiał.

– Ja ciebie? – mówi tonem, który zmienia mi krew w płynny lód. – Przecież sam w to nie wierzysz, nie jesteś aż tak głupi. Sięgnij do własnej duszy, dziesiętniku. To ty mnie przywołałeś za pierwszym razem, w germańskim lesie, dwa lata temu. Pamiętasz? Pamiętasz to poczucie beznadziei, wrażenie, że jesteś najmniej ważnym człowiekiem na świecie? To ono mnie przywabiło, a ty kurczowo się mnie uchwyciłeś, byłem bowiem jedyną istotną rzeczą, jaka przydarzyła się w całym twoim zasranym życiu. Mogłem ci dać wiedzę niedostępną dla prostego rzymskiego trepa.

Odwraca się i robi kilka kroków, a ja dopiero teraz czuję, że wszystkie mięśnie napięte mam do granic możliwości. Oddycham głęboko, staram się uspokoić.

– Lecz to już koniec, mój rzymski dziesiętniku. To, na co liczyłem cały ten czas, właśnie się wydarzyło. W jednym niezwykłym przytrafieniu wyczerpałeś moc, jaką latami bezwiednie gromadziłeś. Żegnaj więc i bądź zdrow. Jesteś już tylko pustym naczyniem. Zostawiam cię własnej nieważności.

Otwieram szeroko usta. Więc to nie okrutne żarty. On naprawdę odchodzi, zostawia mnie na pastwę losu! Dostał wreszcie to, czego chciał. Tylko co to było, na wszystkie demony Hadesu? W czym mu pomogłem? O jaką moc chodzi?

Satariel śmieje się głośno, odrzucając głowę do tyłu, a potem wzbija się w powietrze. Podmuch ciemnych skrzydeł sprawia, że łyzy wściekłości spływające mi po policzkach zmieniają się w bryłki lodu.

Już z góry, z czerwonego nieba, krzyczy do mnie:

– Nie myśl, że jestem całkiem niewdzięczny, prosty człowieczku. Pomogłeś mi, nawet jeśli nigdy nie zrozumiesz tajemnych praw losu. Zasłużyłeś na nagrodę. Tylko użyj jej dobrze, bo uratuje się tylko jeden!

Zarechotał i odleciał, znikając nad krawędzią płaskowyżu.

Zastanawiam się, jaką nagrodę miał na myśli, gdy z lewej dobiega mnie ciche rżenie. Pod skarpą, tuż obok, stoi koń. Macedoński rząd wisi na nim w strzępach, boki ma mokre od potu i krwi z płytkich ran, mimo to widać, że to wspaniałe, silne zwierzę. Patrząc na jeźdźców, stojących jakieś sto kroków od skarpy. Nim zorientowaliby się, co się dzieje, nim wskoczyliby na siodła, byłbym już daleko.

"Wybierz dobrze, dziesiętniku" – dzwonią mi w uszach słowa Satariela. Ściskam uzdę i prowadzę konia do naszego wąwozu, przeklinając ostatni okrutny żart demona.



Zastaję swoich skulonych za piaszczystym osypiskiem, pogrążonych w myślach. Cielak ponuro rysuje patykiem po

ziemi, Domitius siedzi z przymkniętymi oczyma i mieczem na kolanach, Krassus wspiął się po ścianie rozpadliny i co chwila zerka na płaskowyż. Nowy siedzi najbliżej i modli się do małych figurek, które ściska w dłoni, do swoich przodków. Kiedy spoglądam na jego ręce, natychmiast zawija je w kawałek skóry. Wydaje mi się, że rozpoznaję te figurki, ale chyba wyobraźnia płata mi figle.

Tymczasem wszystkie oczy odwracają się w moją stronę, na konia.

– To wszystko, co dał mi Satariel – wyjaśniam.

Atius wstaje i klepie wierzchowca po boku.

– Lepsze to niż nic. Może uniesie dwie osoby.

Jeszcze raz spoglądam na spocone boki, rany i skaleczenia wierzchowca. Bądź przekłety, Satarielu!

– Nie – odpowiadam. – Dużo przeszedł, a Macedończycy pewnie ruszą w pościg. Może się uratować tylko jeden.

– Jak to? – pyta Krassus, ześlizgując się do nas po stoku.

Milczę, bo nie znam odpowiedzi.

Walczyłem, zabijałem, ale nie umiem, patrząc na pięciu ludzi, wydać na czterech wyrok śmierci. Mogę sobie wmawiać, że Juliusz Cezar albo Marek Aureliusz nie uchyliliby się od takiej decyzji, ale nie jestem żadnym z nich. Nic, co przeżyłem przez cztery lata w legionach, nie przygotowało mnie na tak trywialną okoliczność.

Pierdolcie się, mędrcy starożytnego Rzymu!

– Los – mówię. – To jedyne sprawiedliwe rozwiązanie.

Z płaskowyżu dochodzą coraz wyraźniej krzyki bizantyjskich oficerów. Są już blisko, mamy tylko kilka chwil. Podnoszę z ziemi kilka wysuszonych źdźbeł trawy, przygnanych przez wiatr. Jedną słomkę skracam, po czym zaciskam wszystkie w dłoni.

– Powinno być sześć – mówi Krassus. – Inaczej się nie zgadzam.

Otwieram usta, ale zdaję sobie sprawę, że nie czas na kłótnie.

Dodaję jeszcze jedno długie źdźbło.

– Nie rozumiem, dziesiątniku. Co losujemy? – pyta Cielak, gapiąc się na słomki durnymi oczyma.

– Losujemy tego, kogo już nie chcemy w oddziale – bez zastanowienia odpowiada Krassus. – Długie słomki mogą zostać i walczyć z Bizantyjczykami, krótka musi wrócić do Vinodium.

– Ale dlaczego? – pyta dalej Cielak. Podchodzę do niego i bez słowa wyciągam dłoń.

Obrzucam szybkim spojrzeniem ogromne bary Cielaka, jego wysoką, potężną sylwetkę, a potem delikatnie wysuwam palcem jedną z długich słomek. Chwyta ją z wyrazem wdzięczności na twarzy.

Wybaczcie mi, bogowie.

– Wygrałem! – Cielak cieszy się jak dziecko. – Wygrałem, dziesiątniku!

Podchodzę do pozostałych. Żaden nie chce ciągnąć pierwszy. Spoglądam im kolejno w oczy. Nowy się trzęsie, ze strachu poblądł jak kość słoniowa, mamrocze coś pod nosem. Przypominam sobie figurkę, do której się modlił, i nagle mam przeczucie. Wiem, że to głupie, że to niemożliwe, ale po latach spędzonych w legionach zaczyna się ufać przeczuciom.

– Pieprzyć to! – Rzucam słomki na ziemię. – Jebać w dupę Fortunę, decyduję ja. Konia dostanie nowy. My zostajemy.

Krassus uśmiecha się, Domitius oddycha z ulgą. Rozumieją, nie mają żalu. To jedyne sprawiedliwe wyjście. Tylko nowy nie wydaje się przekonany.

– Dziesiątniku, nie można tak, każdy powinien dostać szansę – mówi słabo.

– Zamknij się, na bogów! Jesteśmy w rzymskiej armii, a nie w burdelu. Decyduje najstarszy stopniem.

– Nie chcę, nie zgadzam się...

– Dziesiątnik kazał, więc pojedziesz, głupi szczyłu! – krzyczy Krassus.

Wciskam nowemu w ręce wodze. Czuję, że Biznatyjczycy zaraz będą atakować. Ucinam dyskusję.

– Uważaj na świetlistych, nowy. Pędź wzdłuż skarpy, nie daj sobie strzelić w plecy. Jedź prosto do Vinodium. Nie do armii, bo dzisiaj przegramy, a w odwrocie łatwo zginąć.

Widzę, że jest mu ciężko. Widzę, że bardzo chciałby coś powiedzieć, ale nie dbam o jego zwierzenia ani sekrety.

– Idź już – rozkazuję. – Idź!

Niemal siłą spychamy go w dół, gdzie w cieniu skarpy wskakuje na siodło. Odwraca się do nas, dolna warga mu drży.

– Dziesiątniku – mówi. – Rzym o was nie zapomni.

Salutuje nam wyciągniętą dłonią, a ja uśmiecham się krzywo. Nawet w ostatniej chwili zdążył jeszcze z siebie zrobić głupka. Z tego cholernego gliniastego rowu do Rzymu jest bardzo daleko. Nikt w Rzymie nigdy się nie dowie, co tu zaraz nastąpi.

Oddaję salut, nowy pogania konia i rusza z kopyta. Jeździ świetnie, mam przecucie, że mu się uda. Dość już o tym chłystku, bo głosy na płaskowyzu rozbrzmiewają coraz bliżej.

Bez słowa zajmujemy pozycję w najwęższej części wąwozu, po bokach mając spękane ściany z gliny i czerwonej ziemi. Ja tymczasem wspinam się na samą górę, wychylam ostrożnie głowę, by sprawdzić, jak blisko są szeregi wroga. Okazuje się, że Bizantyjczycy minęli już połowę pola. Mamy jeszcze minutę, może dwie.

Kładę dłoń na rękojeści swojego gladiusa, na chwilę przysmykam oczy i staram się myśleć o czymś innym, żeby nie oszaleć ze strachu.

Gladius... Słyszałem kiedyś o chirurgu, który tak kochał skalpele oraz lancety, że poświęcał im więcej czasu niż własnej małżonce. Rozumiem go; gladius jest dla mnie jak brat. Nie ma w nim nic szczególnego, ot, zwykły podoficerski miecz, może trochę poprawiony – powiększyłem nieco głowicę i wymieniłem rzemień u rękojeści, bo stary przecierał się i rozklejał. Płatnerzowi, który go wykonał, tak się spieszyło, że nie zostawił

nawet puncy.

To tylko kawałek metalu, ale w ręku dobrego, doświadczonego wojownika ożywa i zmienia się w doskonale narzędzie. Nigdy przedtem nie miałem tak dobrego miecza. Wygląda trochę śmiesznie przy ogromnych ostrzach barbarzyńców, nie jest tak sprężysty jak bułaty z Bizancjum. Gdzie mu do gracji wspaniałych szabli ze Wschodu! Jest brzydki, szeroki, krótki, z malutkim jelcem; przygłupie dziecko o grubych rysach, zrodzone z kazirodczego związku. Na dodatek w pojedynku na otwartej przestrzeni walczący gladiusem szermierz w siedmiu przypadkach na dziesięć przegra z równym mu barbarzyńcą albo Bizantyjczykiem. A jednak nie zamieniłbym tego miecza na żaden inny. Swoją przewagę pokazuje dopiero w brudzie i chaosie bitewnego pola.

Prawdziwa bitwa to nie seria pojedynków, to zderzenie dwóch pędzonych furją i paniką stad bydła, to uderzające o siebie spocone torsy, potykające się nogi, to dłonie dzierżące broń, których nie da się połączyć z twarzami, dłonie, z którymi walczy się jak z hydrą lernejską. A z bliska gladius jest najszybszy. Krótki – więc nie trzeba miejsca do zamachu. Wyważony przy jelcu – więc łatwy w manewrowaniu. Walczy się nim oszczędnymi, zdecydowanymi ruchami, paruje instynktownie, jak przedłużeniem ręki, jak żelazną dłonią.

Wiele razy znalazłem się z przeciwnikiem twarzą w twarz, czułem jego skisły oddech, widziałem żyłki w wytrzeszczonych oczach. On mógł mnie tylko tłuc rękojeścią swojego mieczyska, ja tymczasem prulem mu bebechy szerokim na dłoń ostrzem. Wiele razy, ściśnięty przez fale dzikiego tłumu, wtłoczony między własnych żołnierzy, nie mogłem ruszyć ramionami, ale gladius wciąż tańczył. Wiele razy w długiej, wyczerpującej bitwie widziałem wrogich piechurów uginających się pod ciężarem tarcz i masywnej broni, podczas gdy ja mogłem machać gladiusem godzinami.

Nie widziałem oręza, który by tak doskonale zrastał się z żołnierzem jak gladius. Cały geniusz rzymskiej doktryny wojennej streszcza się w tym ostrzu – solidnym, prostym i

niezwykle skutecznym. To nie broń, to idea, to zaklęcie służące do przemienienia wrogich ciał w bezwładne kukły.

Kocham mojego gladiusa dziką, szczerą miłością, wszystkie pozytywne uczucia, dla których nie ma miejsca w tej brudnej wojnie, przelałem na niego, mojego brata, moje dziecko, moją dziewczynę.

Teraz kładę dłoń na wyslizganej gałce i czuję miły dreszcz. Znam na pamięć odgłos ostrza wysuwanego z pochwy; stal trąca o drewno, przetykana fakturą cichutkich dźwięków, jakie na krawędzi pochwy wygrywają zadziory i szczyrby miecza. Ta radość jest jak ostatni posiłek skazańca, jak spojrzenie w niebo przed skokiem z wysokiego klifu. Próbuję ją przeciągnąć, przedłużyć najbardziej, jak się da, bo wiem, że zaraz zacznie się piekło.

W końcu dociera do mnie, że wróg jest już blisko. Zza szeregów piechoty wybiegają zwiadowcy, lekka piechota Bizantyjczyków – będą tu dosłownie za chwilę.

Zsuwam się więc na dno wąwozu.

– Idą – mówię.

Przez chwilę łudzimy się, że wybiorą jedno z sąsiednich zejść, ale nie, na tle odgłosów niedalekiej bitwy wyraźnie słyszę chrzęst butów, zsuwających się po piaszczystej ziemi. Przed wzrokiem schodzących w dół chroni nas zakręt i kilka głązów. Czekamy. Już słychać ich obcojęzyczne przekleństwa. Wkrótce wyłaniają się zza krzywizny wąwozu – siedmiu lekkich zwiadowców w zbrojach z metalowych kółek naszytych na skórzane bezrękawniki. Są tak zajęci patrzeniem pod nogi, na zdradziecki stok, że nie zauważają nas do ostatniej chwili. Gdy wypadamy na nich z krzykiem, paru przewraca się od razu ze strachu, inni próbują się cofnąć albo sięgają po broń, którą schowali, by mieć wolne ręce podczas schodzenia do parowu.

Nie dajemy im najmniejszych szans. W kilka chwil wszyscy leżą na ziemi, rannych natychmiast dorzynamy. Nieruchomiejemy.

– Stać, stać! – Słyszę okrzyki z góry.

Nikt więcej już nie schodzi.

Może myślą, że to zasadzka, że jest nas więcej niż w rzeczywistości. Nieważne, następnym razem będą przygotowani, nie zaskoczemy ich. Następnym razem nas dostaną.

Kolejny atak przychodzi od dołu. Ci, którzy zeszli sąsiednimi wąwozami, słyszeli odgłosy walki, kilkunastu próbuje się bowiem wspinać do nas po piaszczystej stromiźnie. Cielak staje na szeroko rozstawionych nogach jak tytan z legend, a potem ciska w Greków ciałami ich własnych towarzyszy z siłą, która miażdży kości. Odpiera ich sam, możemy tylko przyglądać się z podziwem. Krótką chwilę czujemy smak tryumfu. Na górze i na dole rozlegają się krzyki, ale nikt nie ryzykuje ataku.

Walka ustaje, ale po chwili wyraźnie czuję, że zaczynamy przegrywać. Aura przesuwana się coraz wyraźniej. Spadamy powoli w Bizancjum. Czyżby świetliści zabili Avitusa? Czy nasze legiony się wycofują? Trudno powiedzieć.

Wkrótce atakują znowu. Z góry zbiega dwadzieścia – trzydzieści osób z okrągłymi tarczami i krótkimi mieczami w dłoniach.

Pokonujemy ich. Sam nie wiem jak, zbyt pogrążony jestem w amoku, w desperackiej walce o życie, żeby śledzić potyczkę. Czasem tylko kątem oka dostrzegam Cielaka. Bije się jak antyczny heros, rozgarniając wrogów szerokimi, kolistymi ruchami miecza. Czasem tylko miga mi Krassus, który cicho i podstępnie jak wilk dopada kolejnych Greków, paruje niezdarne pchnięcia i śle ich po kolei na ziemię brutalnymi, potężnymi ciosami.

Jeszcze jeden przeciwnik, jeszcze jedna wymiana ciosów, którą mój wróg kończy z rozplatanym brzuchem, a ja z rozciętym czołem, i wszystko cichnie.

Rozglądam się niepewnie. Wśród zabitych stoi Cielak, ciężko dyszy, zlany potem i ubrudzony krwią. Krassus dorzyna jednego z rannych, Atius opiera się o ścianę parowu z oczyma wbitymi w mały pasek czerwonego nieba. Krew płynie mu spomiędzy zaciśniętych na boku palców. Domitius nie żyje, leży między

trupami Greków.

Jeszcze raz wygraliśmy, ale tym razem nie czuję satysfakcji, tylko niewyobrażalne znużenie, słabość i strach.

Na górze ktoś krzyczy, wiem, że będą zaraz atakować znowu. Aura Rzymu staje się coraz słabsza. Bizancjum wdiera mi się do głowy. To dziwne wrażenie – jakbym był jedynym człowiekiem na ziemi, którego każdy ruch śledzą z niebios potężne, niezrozumiałe siły. Światło i symetrię zastąpiły tajemnicze szmery, półcienie, ciężki zapach kadzideł.

Drżącymi ze zmęczenia, śliskimi od krwi palcami sięgam za pazuchę do zawiniątka, które noszę ze sobą od czasów Germanii. Jest tam jeszcze, czeka na chwilę desperackiej potrzeby, taką jak teraz. Wyciągam je, ważę na dłoni.

– Co to? – charczy Krassus, wycierając czoło przedramieniem.

– Popioły. Popioły po wielkim całopaleniu ekwiriów* – mówię, rozsypując zawiniątka.

Podrzucam je wysoko, pod wiatr, jakbym wyciągał dłoń do nieba. Owiewa nas szara chmurka, czuję na języku smak sadzy i spalenizny.

Na chwilę czujemy się lepiej, to wrażenie zguby, bezsensowności na chwilę nas opuszcza. Niebo nie jest już tak przytłaczające, puste i straszne; ściany nie wznoszą się już tak wysoko. Zaczynam wierzyć, że przeżyjemy, wygramy – legiony Avitusa, zdyscyplinowane, zahartowane legiony Rzymu, rozpędzą tę bandę religijnych fanatyków oraz ich cyrkowe karykatury. Pobijemy ich, jak barbarzyńców bił Juliusz Cezar, Scypion Afrykański, Trajan. Patrzę na swoich ludzi. Nagle spotężnieli, wyglądają jak posągi atletów i gladiatorów. Razem pójdziemy, razem...

Na bogów, bredzę! Zupełnie zwariowałem.

Widać to gwałtowne wahnięcie między Rzymem a Bizancjum, błysk światła na samym dnie ciemności, pozbawiło mnie rozumu. Powoli wraca jednak świadomość, że nie jesteśmy żadnymi zasranymi herosami, że to nie Termopile, tylko pieprzona gliniasta dziura. w której zostaniemy już na zawsze, w

której wdeptną nas w czerwoną ziemię pod czerwonym niebem i nikt się o tym nie dowie.

Nie mówię tego głośno. Po rozjaśnionych twarzach widzę, że ten krótki błysk światła wiele dał naszej garstce.

Tylko Cielak beczy jak baran i przeciera oczy, do których dostał się pył.

Niedługo potem powolnym marszem schodzi kolejna fala, tym razem przy dźwięku mieczy bijących o tarcze. Gdy z za zakrętu ukazują się ich łuskowe pancerze, smoliste jak noc nad Germanią, czuję lodowate muśnięcie strachu.

Scholae palatinae! A więc w pobliżu jest i Konstantyn! Dlatego tak upadliśmy na duchu. Owionęła nas aura wodza upadłego cesarstwa wschodniorzymskiego, człowieka, który pierwszy rozmawiał ze świetlistymi, człowieka, który sprowadził Czterech Jeźdźców i na przekór starym bogom rozpoczął apokalipsę.

Na czele ciężkich piechurów idzie pokraczny nefilim – ten sam, który minął nas w zagajniku przed dwiema godzinami. Nawet nie próbuję się zastanawiać, jakie to dziwne, że chaos bitwy rzucił nas znów naprzeciw siebie. Bardziej mnie martwi to, jak go zabić. Słyszałem, że nefilimowie są niewiele słabsi od świetlistych.

Grecy atakują zwartym szykiem. Nefilim rzuca się na Cielaka. Jest szybki, piekielnie szybki. Po raz kolejny tego dnia myślę, że to już koniec, bo czy kilku zmęczonych piechurów może wygrać z synem świetlistego?

Cielak po prostu chwytą go i urywa mu łeb.

Trudno powiedzieć, kto jest tym bardziej zaskoczony – my czy ciężkozbrojni, którzy szli za nefilimem. Teraz przystają zdumieni, a my natychmiast to wykorzystujemy, wbijając się między ich szeregi. Znów pogrążam się w walce jak w krwawym transie. Opancerzonych ciał, uzbrojonych ramion jest tak wiele, że każda wymiana ciosów wydaje się małym cudem. Jak to możliwe, że jeszcze nas nie zgnetli, nie wdeptali w ziemię?

Cielak ryczy, Krassus krzyczy coś do mnie, ale nie rozróżniam słów. Walczę.

W końcu moje szczęście się kończy. Gdzieś z lewej spada na mnie cios jak grom; z bólu ciemnieje mi przed oczyma, słyszę trzask własnej kości, krew tryska na szyję z rozłupanego obojczyka. Nogi nagle miękną, nie mogę już unieść miecza. Ledwo czuję kolejną ranę – pchnięcie w bok, które rozrywa blachy zbroi. Ktoś wali mnie w głowę czymś tępym i już leżę na piaszczystej ziemi, deptają po mnie ciężkie buty. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie miałem czasu w pełni zdać sobie sprawy z tego, że mnie dostali, że to koniec.

Ostatni obraz, jaki widzę, to Cielak przeszyty kilkoma włóczniami, otoczony rojem Greków, który ryczy jak ranny niedźwiedź i młóci na lewo i prawo gołymi pięściami. Potem zapadam się w zimne, czarne wody Styksu.

Budzę się w masowym grobie. Ze wszystkich stron dotykają mnie dłonie umarłych, jedną mam na twarzy, drugą na piersiach. Duszę się od ciężkiego odoru krwi. Jak tonący rozpaczliwie łapię oddech i niemal tracę przytomność z bólu. Trafiłem chyba do najniższych, najstraszliwszych otchłani Hadesu.

Czerwone niebo i ściany parowu szybko przypominają mi, że nie umarłem. Z jakiegoś powodu Bizantyjczycy mnie nie dobili. Słyszę odgłosy bitwy – słabe, dochodzące jakby przez gruby mur. Wojna przetoczyła się po mnie, łamiąc jak słomianą kukielkę, a teraz poszła dalej, bawić się nowymi zabawkami.

Chcę umrzeć. Ból rozłupanego barku jest nie do zniesienia, jestem za słaby, żeby wstać, przywalony trupami, nie mogę się nawet obrócić na bok, przy każdym oddechu wydaje się, jakby miecz rozcinał mnie na nowo.



Wkrótce tracę przytomność.



Budzę się znowu. Pozornie nic się nie zmieniło, bitwa dalej szaleje, czerwone niebo wisi nade mną jak sklepienie straszego grobowca, gdzie bezbożni rabusie wyrzucili z trumien wszystkie ciała, usypując z nich sterty na ziemi.

Jest mi potwornie zimno. Zbroja, w której zamknięte jest moje napuchłe od bólu, ociekające krwią ciało, zdaje się wykuta z lodu. Nie czuję palców. W płucach bulgocze coś przy każdym oddechu i zaczynam się bać, że utopię się we własnej krwi.

Jęczę.

– Kto tam? Swój czy wróg?

Głos dochodzi gdzieś z boku.

– Krassus? – wyduszam z siebie.

Próbuję się obrócić, ale jestem przyszpilony do ziemi. Kręcę głową wokół, lecz widok zasłaniają mi spiętrzone ciała.

– Tuliusz... Byłem pewien, że tylko ja... że resztę dobili...

Głos jest słaby. Krassus, połyka zgłoski, jakby dławił się każdym słowem.

– Jeszcze żyję – odpowiadam. – Trochę mnie podziurawili, ale widać za mało się starali. Co z tobą?

– Bywało gorzej.

– Możesz do mnie podejść?

Długa chwila ciszy, przzerwana stłumionym, bolesnym postękiwaniem.

– Nie mogę się ruszyć. Kiedy przestaję przyciskać rękę, wszystko wypływa... Nie mogę, Tuliuszu. Przepraszam.

– No to nas załatwili.

– Ano. Ale daliśmy im, daliśmy. Lekka piechota, psiamac, a zatrzymaliśmy pół centurii. Gdybyś widział, co robił Cielak...

– Gdzie on?

– Nie wiem, pewnie pod tą stertą, sam utłukł ze dwudziestu.

Chwilę milczymy, tylko bezruch uśmierza nieznośny ból. Im bliżej śmierci, tym bardziej ciągnie mnie do posągowej nieruchomości.

– Tuliusz? – słyszę w końcu.

– Tak.

– Ten młody... było warto?

– Myślę, że tak. Myślę, że było.

– Ja... Ja też tak...

Znów milczymy. Każde słowo to rwący ból. Nie chce się rozmawiać, chce się tylko zasnąć. Mijają minuty. Pograżam się w malignie, ból, duchota i smród trupów odbierają mi powoli rozum. Przypomina mi się historia o Akteonie zmienionym przez mściwą Dianę w jelenia i osaczonym przez myśliwskie psy; o Akteonie, któremu przyszło zdychać jak pospolite zwierzę, krzycząc żałosnym zwierzęcym krzykiem. Ja chciałbym umrzeć jak człowiek, chcę krzyczeć jak człowiek, lecz to, co wydobywa się z moich ust, to nie krzyk człowieka – to wycie poharatanego rębajły, pogardy godne jęki żołdaka...

Jak Akteon konał we wstrętnym sobie jelenim futrze, tak ja zdycham w obrzydliwych okowach zbroi.



– Tuliuszu... – Z majaków budzi mnie głos Krassusa. – Tuliuszu! Żyjesz?

Jest bliżej niż poprzednio. Otwieram oczy, kręcę głową na boki, lecz wciąż nie widzę niczego prócz trupów.

– Żyję.

– Dzięki bogom! Nie odpowiadałeś, myślałem, że... Próbowałem się doczołgać, ale bliżej nie mogę... Widzisz mnie?

– Nie.

– Poczekaj.

Słyszę zgrzyt metalu o metal, bolesny jęk; martwy Bizantyjczyk, celujący w niebo trójkątną bródką, przesuwa się trochę.

– Teraz?

– Widzę – odpowiadam.

W moją stronę nad szyją trupa wyciąga się czerwona od krwi dłoń. Znajoma dłoń.

Nagle czuję potrzebę chwycić ją, pożegnać się ostatnim uściskiem, pokonać tę straszną, przerażającą samotność, która powoli mnie osacza.

Wyteżam wszystkie siły i wyciągam lewą rękę, Krassus robi to samo, unosząc się nieco; ponad trupem widzę przez chwilę czubek jego głowy. Nasze dłonie – moją trupioblada i jego umazaną we krwi – dzieli jakieś pół stopy. Chwilę wyteżamy mięśnie, a potem obaj opadamy, dysząc ciężko.

Pół stopy, a odległość wydaje się nie do pokonania, i to dla nas, którzy przewędrowaliśmy pół świata.

– Tuliusz, nie zasypiaj tak więcej, słyszysz?

– Słyszę.

– Jak zaśniesz, to już się nie obudzisz, rozumiesz?

– Tak.

Jakby to miało jakieś znaczenie... Nie będzie pomocy, nikt o nas nie wie, nikt do nas nie przyjdzie, ale nie chce mi się tego mówić głośno.

Czas zatrzymuje się, bezchmurne niebo trwa w bezruchu i tylko moje serce bije jeszcze rozpaczliwie, jakby ktoś mu nie powiedział, że z klepsydry wypadło już ostatnie ziarenko, że wszystko wokół znieruchomiało na wieki.

Znowu tracę przytomność.

– Jestem zmęczony.

Mija dłuższa chwila, nim dociera do mnie, że ktoś mówi, i

rozpoznaję głos Krassusa.

– Ja też – odpowiadam, ledwo poznając własny głos.

Czy to zmierzch, czy ciemnieje mi przed oczyma? Zapach skrwawionych ciał wydaje się odleglejszy. Nie czuję zupełnie nóg.

– Nie wyjdziemy z tego, Tuluszu. Za bardzo... nas pokieroszowali.

– Tak, przyjacielu.

– Trochę żal... Przeżyliśmy objawienie, widzieliśmy, jak starzy bogowie wrócili... na Kapitol i jak Konstantyn... otworzył pieczęcie na niebie. A teraz... zdychamy w jakimś rowie...

Robi coraz dłuższe przerwy, coraz ciężej dyszy. Czy to już?

– A myślałeś, że to się skończy inaczej?

Próbuję podtrzymać rozmowę, choć najchętniej zasnąłbym znowu.

– Nie... chyba nie. Lekka piechota... psiamać... Gówniana służba.

Obaj próbujemy się zaśmiać, obaj zaraz się dławimy.

Myślę, że to już koniec, ale Krassus ostatkiem sił zdobywa się na kilka słów, wymamrotanych gasnącym głosem:

– Tulusz, jesteś tam?

– Jestem.

– Ja mdleję... Słuchaj, jakby wracali... jakbyś widział, że idą... krzycz... Nie chcę, żeby mnie żywcem...

– Dobrze – mówię i coś ściska mi gardło. – Dobrze, jak będą szli, to cię obudzę.

– Obiecujesz?

– Tak.

– Przepraszam – załkał. – Przepraszam... to ja powinienem czuwać.

– To nie ma znaczenia. Nie martw się.

– Dziękuję, Tuluszu. Za te... dobre... czasy.

- Ja też. Dziękuję.
- Tuliuszu... nie mogę... mówić...
- Wszystko już zostało powiedziane. – Krew bulgocze mi w gardle. – Teraz... doumierajmy sobie spokojnie.

Przymykam powieki.

Wydaje mi się, że słyszę jeszcze jakiś cichy dźwięk, tłumiony szloch, ale odległy szum bitwy przykrywa go litościwie grubym całunem. Chwilę potem wszystko milknie, nawet odgłosy walki, nawet łomot mojego serca, który prawie rozsadza mi głowę; pogrążam się w ciepłej ciszy. Nade mną dalmackie niebo – takie ogromne, takie wysokie – czernieje powoli.

Krassus nie żyje, jestem ostatnim człowiekiem na ziemi. Jeszcze chwilę walczę o oddech, pisząc w myślach ostatnie słowa kroniki końca świata.

Potem nicość wchłania mnie jak grząskie bagnisko.



CZTERYSTA DWUDZIESTY SIÓDMY DZIEŃ KAMPANII

Odratowali mnie, przekłęci dranie. Wyrwali z kojących objęć czarnego Plutona, zaciągnęli w świat rwącego bólu. A tak bardzo chciałem zasnąć... Zaprawdę, bogowie sobie ze mnie drwią! Leżę teraz w lazarecie fortu Vinodium, gdzie ściany zdają trząść się od krzyków, i przeklinam sprawców mojego ocalenia.

Na pewno jednym z nich jest przeklęty Avitus, niech zdechnie w otchłaniach Hadesu. Jakimś cudem przemógł Bizantyjczyków, obronił pozycje, a wieczorem ruszył do kontrataku. Były heroiczne sceny, łopoczące sztandary i sterty ciał, jeziora krwi, porąbane ciała bizantyjskich maszkar. Nie wiem, znowu tego nie widziałem, przeleżałem czas wielkich zdarzeń nieprzytomny na dnie gliniastego parowu.

Oprócz Avitusa winni też są żołnierze, którzy mnie znaleźli i zaciągnęli do fortu. Dlaczego? Po co? Przecież każdy legionista

wie, że jeśli zostanie ciężko ranny, może najwyżej pomodlić się i pożegnać w myślach z domem. Po bitwie zbyt wielu błaga o pomoc, żeby ktokolwiek przy zdrowych zmysłach się tym interesował. Czasem ktoś przejdzie się po pobojuwisku przeszukać wrogie trupy, i przy okazji dobije kompanów – to wszystko. Na medyków stać tylko oficerów i dzieci bogaczy.

Kiedy nas znaleźli, był późny wieczór. Wśród trupów przeleżeliśmy cały dzień, Krassus podobno już nie żył, ja dogorywałem. Zabrali mnie najpierw do tymczasowego obozu przy polu bitwy, później – na zachód, do fortu.

Teraz leżę w lazarecie i przeklinam ich wszystkich, a w szczególności złotowłosą Serwilię, Wenusjankę, która poskładała moje połamane kości, wyciągnęła z płuc odłamki, zlepiała ciało jak glinę. Potem poila mnie jakimiś paskudnymi wywarami o żelazistym smaku, karmiła ziołową papką. Budziłem się i przysypiałem co chwila. Za oknem widziałem raz noc, raz dzień. Straciłem zupełnie poczucie czasu, który w tej dziwnej malignie mogłem odmierzać jedynie wizytami Serwili.

Ale na Serwili, żołnierzach i Avitusie lista się nie kończy. W południe przychodzi do mnie bowiem niespodziewany gość. I wtedy poznaję największego złoczyńcę.

Na początku myślę, że oto przyjechał z Rzymu jakiś nowy bękart – ogromny, barczysty, ubrany we wspaniałą zbroję, której blask sprawia, że muszę mrużyć oczy, ale spod złotego hełmu z czerwoną kitą patrzy na mnie znajomy tępy wzrok Cielaka. Przekłęty głupiec dopada do łóżka, omal nie miażdży mi kości w uścisku. Jego napierśnik przygniata mnie jak żelazna płyta.

– Dziesiątniku! Mówili, że nic z dziesiątnika nie będzie, ale ja się uparłem. No, uparłem. Powiedziałem, że im dach na głowę zawalę, jeśli zaraz nie dadzą najlepszej Wenusjanki, żeby dziesiątnika opatrzyła!

– Cielak, puść! Chcesz mnie udusić?

– Przepraszam, dziesiątniku.

– Co tu robisz! Zaraz, to ty mnie...? Gdzie się podziałeś tam, w parowie?

– Ja walczyłem, walczyłem do końca, panie dziesiątniku, ale nagle popatrzyłem i nie było już nikogo, wszyscy nie żyli. Wszyscy, dziesiątniku. Smutno mi się zrobiło. Poszedłem, dziesiątniku, na równinę odszukać wrogów, bo za dziesiątnika i za resztę chciałem ich wszystkich, co do jednego... Na równinie spotkałem kilku naszych legionistów, bardzo się mnie bali, bo byłem cały w strzałach, jak jeź, dziesiątniku, jak jeź. Potem walczyliśmy aż do nocy. Na koniec kazałem im wrócić do wąwozu. Bo nie mogłem tak dziesiątnika i reszty zostawić. No to poszliśmy. Na miejscu taki jeden zbadał wszystkich i powiedział, że dziesiątnik oddycha. Zabraliśmy dziesiątnika tutaj, położyli między rannymi, a był nimi zasłany cały dziedziniec fortu, strasznie dużo, to pomyślałem sobie, że nie można czekać. Zagroziłem, że tak zatrzęsę ścianami, że się dach zawali, no i zacząłem trząść. Wtedy przyszedł legat Avitus z kapłanką, zabrali dziesiątnika, a legat wziął mnie do komnaty. Tam coś dużo mówił, potem kazał mi założyć tę zbroję i kazał stanąć na podium, przed trzema legionami. Najpierw znowu coś długo mówił, a potem kazał mi powtórzyć to, czego mnie wcześniej nauczył. Powiedziałem, że zrobię to, jeżeli zaprowadzi mnie do dziesiątnika. No i on się zgodził, a na koniec wszyscy krzyczeli, podrzucali w górę hełmy.

– Legat Avitus...

Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę.

Wtem zza pleców Cielaka dochodzi głos, który stawia mi włosy na głowie:

– Nie wiedziałeś, dziesiątniku Tuluszu Septimucie, że w swoim oddziale masz prawdziwego bohatera Rzymu.

Wchodzi w światło; jego rozwichrzoną siwą czuprynę, siwą bliznę pod okiem zna każdy żołnierz armii dalmackiej. Twarz, zwykle surowa, karząca, niemal rozpromieniła się w uśmiechu. A może to tylko demoniczny grymas?

Wyciągam przed siebie dłoń w salucie i natychmiast zwijam się z bólu w piersiach i boku.

– Wystarczy – mówi spokojnie Avitus. – Nie wymagam od

ludzi, którzy byli po drugiej stronie Styksu i czują jeszcze na języku smak obola, żeby oddawali mi honory.

– Nie żyłem? – pytam, kiedy ból przestaje mnie mroczyć.

– Umarłeś u samych bram fortu, dziesiątniku. I pozostałbyś martwy, gdyby nie ten człowiek, który prawie obalił północną ścianę lazaretu. Arcykapłanka spędziła przy tobie wiele dni. W tym czasie mogłaby uratować dziesięciu innych. Mam nadzieję, że będziesz pamiętał, ile jesteś winien Rzymowi. Nie myśl, że spłaciłeś dług, pomagając nam odkryć nowego herosa.

– Marsjańczyk? – Kiwam głową w stronę Cielaka.

– Syn Wulkana, bastard, o którym nikt w Rzymie ani na Panteonie nie wiedział. I nie dowiedzielibyśmy się pewnie nigdy, gdyby nie to, że wczoraj na polach Demetrium zabił siedemdziesięciu piechurów wroga i czterech kościeni, gdyby nie to, że nie mówiąc ani słowa, zdołał zgromadzić wokół siebie resztki kilku rozbitych centurii.

– Gdy dziesiątnik wyzdrowieje, pójdziemy znowu na pierwszy front i zabiję kolejnych siedemdziesięciu! – Cielak wyprężył się dumnie, a Avitus kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Nie odbierasz już rozkazów od dziesiątnika, Wulkanionie Potężny. Dostaniesz gwardię przyboczną, którą będziesz dowodził.

Cielak patrzy to na legata, to na mnie i najwyraźniej nie wierzy w to, co słyszy. Potwierdzam skinieniem głowy, a wtedy on uśmiecha się szeroko; wygląda teraz jak groteskowy pogański bożek.

– A teraz zostaw mnie samego z dziesiątnikiem, Wulkanionie – mówi Avitus. – Czekają na ciebie płatnerze i centurion Dakus, a my tu sobie pogawędzimy o sprawach Rzymu.

Cielak odchodzi, machając mi ręką na pożegnanie. Avitus tymczasem patrzy badawczo z rękoma złożonymi na piersiach, nieruchomy jak rzeźba na katafalku.

– Powinienem ci dziękować, Tuluszu Septimusi – mówi.

– I tak w końcu prawda wyszłaby na wierzch. Jak nie w tej

bitwie, to w następnej – odpowiadam.

– Nie mam na myśli Wulkaniona.

Uśmiecha się tajemniczo, chyba chce potrzymać mnie chwilę w niepewności, ale ja już wiem, już się domyślam. Przypominam sobie młodego chłopaka modlącego się do figurki z kości słoniowej, któremu dałem naszego jedynego konia.

– Nowy, z uzupełnienia. Nie trafił do mnie przez pomyłkę, prawda? I nie był zwykłym synalkiem patrycjusza?

– Owszem. To, że poszedł na linię, to nie była pomyłka, lecz spisek, który godził w przyszłość cesarstwa i mógł kosztować mnie głowę. Dlatego winni tego spisku już potracili swoje, a dzieciak jest bezpieczny, w drodze do Rzymu. Domyślasz się chociaż, kim był?

Przytakuję. Zacząłem się domyślać, kiedy wpakowaliśmy się tuż pod obóz Konstantyna i nie wyczuliśmy bizantyjskiej aury. Coś ją stłumiło – bardzo skutecznie. Nic dziwnego, był z nami Cielak, to znaczy Wulkanion, ale teraz wiem, że i tego byłoby mało, aby przełamać emanację Konstantyna Apostaty, wszystkich jego aniołów i strategów. To mógł zrobić tylko sam bóg, Jupiter albo Mars we własnej osobie. Albo...

– Ten dzieciak to Dominik Waleriusz, młodszy syn tetrarchy Maksymiana – głośno odpowiadam sam sobie. – To nasz przyszły cesarz.

– Marnujesz się, dziesiętniku. – Avitus szczyrzy zęby. – Gdy staniesz na nogi, pomyślę o jakimś lepszym miejscu dla ciebie. Tak, to dzieciak Maksymiana. Maksymian w swojej ostatniej woli zażądał, by nim syn przejmie po nim tron *augustusa*, *posmakował* prawdziwej wojny. Żeby wiedział, co niosą ze sobą armie Apostaty. Senatorzy dali przyzwolenie, wielu liczyło na to, że chłopak nie wróci. Kilku bardzo się starało, żeby nie wrócił – podmienili rozkazy, zamiast do gwardii germańskiej posłali Dominika Waleriusza na front, prosto w burzę, którą ściągnął tu Apostata, ale ty zadbałeś o to, żeby wyszedł z tej burzy cało, dziesiętniku. Za to muszę ci podziękować. A teraz odpoczywaj. Porozmawiamy, jak wydobrzejesz.

Już się odwraca, już ma odejść, ale widać coś jeszcze zaprzęta mu głowę, bo staje w pół kroku.

– Powiedz mi, Tuluszu Septimucie... Jak to jest? – zaczyna. – Walczyłeś u boku syna Wulkana, z przyszłym władcą zachodniego Rzymu pod komendą. Zawsze miałeś takie szczęście?

– Nigdy – odpowiadam cicho. – Przez całe życie Fortuna mi nie sprzyjała, spóźniałem się o włos na wszystko, co ważne.

– Hmm...

Avitus odchodzi, zostawiając mnie z dziwnymi myślami i z gorączką, która znowu zaczyna wzbierać w moim umęczonym ciele.

CZTERYSTA DWUDZIESTY ÓSMY DZIEŃ WOJNY

W nocy przychodzi do mnie Cielak. Nie ma już na sobie zbroi, tylko przeszywaną złotem i szmaragdami tunikę, włosy ufryzowano mu jak posągom greckiego Apollina, pachnie kadzidłami, winem. Przez chwilę myślę, że to nie człowiek przyszedł do mnie prosto z uczyty legata, lecz jakieś widmo minionych czasów, duch Achillesa albo Heraklesa.

Wrażenie pryska, gdy Cielak otwiera gębę:

– Dziesiątniku, dziesiątniiku, niech dziesiątnik nie śpi, ja muszę z dziesiątnikiem porozmawiać.

– Nie śpię, Cielak. Co tu robisz?

– Dziesiątniku, ja musiałem poczekać, aż będziemy sami, bo ja nie ufam nikomu poza dziesiątnikiem, a jak to znalazłem, to się najpierw bardzo przestraszyłem i od razu pomyślałem, że trzeba z tym pójść do dziesiątnika, bo Krassus zawsze mówił, że jak coś, to do dziesiątnika.

Przecieram zaspane oczy, siadam na łóżku.

– Uspokój się, Cielak – przerywam ten słowotok. – Co znalazłeś? O co chodzi?

– Ten nowy wyjechał wczoraj do Rzymu z pretorianami opancerzonym powozem, bo Avitus mówi, że to przyszły cesarz...

– Przecież wiem!

– Ale ja nie o tym, dziesiątniku. Jak nowy odjechał, to mnie dali komnatę, w której mieszkał. I, dziesiątniku, przy oknie znalazłem to.

Kładzie mi coś na pledzie. Serce przyspiesza rytm, ledwo zagojona rana zaczyna tętnić i swędzieć. Światło księżyca błyszczący na piórze – białym, ale pokrytym siecią czarnych żyłek. Takie widziałem jedynie raz w życiu.

Satariel.

Ręce zaczynają mi się trząść. Czuję, że zaraz upadnę z powrotem w pościel. A więc to było zdarzenie, o którym mówił? Czy przewidział, że tajemnicze prawa losu postawią mnie na krótką chwilę w centrum wydarzeń podczas całej tej wojny, w centrum całego świata? Czy porzucił mnie, bo ma nowego rozmówcę, którego wkrótce owinie sobie wokół palca?

Przypominam sobie jeszcze raz jego pożegnalny prezent i ogarnia mnie wściekłość. Bydlę! Wiedział, komu dam konia. Widział moją duszę na wskroś, zdawał sobie sprawę z sentymentu, jaki miałem do nowego.

– Nie wiem, co robić – kontynuuje Cielak. – Może powinniśmy powiedzieć o wszystkim Avitusowi? Że był tu ten świetlisty, że nachodzi teraz nowego?

– Nie! – prostuję ostro. Nie po to przeżyłem to piekło, żeby zdechnąć na krzyżu. – Nie mogą wiedzieć, że rozmawiałem z Satarielą – mówię. – Albo że nie doniosłeś o tym, komu trzeba.

Chwilę myślę, patrząc za okno na pusty placzyk fortu.

– Cielak? – mówię w końcu. – Boisz się świetlistego? Myślisz, że mógłbyś z nim walczyć?

– Ja? Ja, dziesiątniku, rozerwałbym tego chudzielca na sztuki. Gołymi rękoma.

Szczęśliwi ludzie małego umysłu, o ile łatwiej przychodzi im

odwaga!

– Dobrze. – Kiwam głową. – Teraz słuchaj, to bardzo ważne, ważniejsze od naszej poprzedniej misji. Musisz dogonić Dominika i ostrzec przed Satariem. Powiedz, żeby mu nie ufał, żeby w ogóle z nim nie rozmawiał. Albo jeszcze lepiej ubij świetlistego gada.

W półmroku oczy Cielaka rozpalają się jak ognie.

– A teraz weź najszybszego konia i jedź – mówię. – Im szybciej dogonisz kolumnę, tym lepiej.

– Dziesiątniku, ale ja przecież nie pojedę sam. Nie jestem tak sprytny jak dziesiątnik. Dziesiątnik musi pojechać ze mną. No i wtedy razem złapiemy świetlistego, pokażemy mu, że nie zadziera się z lekką piechotą.

Pomysł, żebym ścigał anioła, jest tak absurdalny, że chce mi się śmiać. Po chwili myślę: dlaczego by nie? Jeśli naprawdę jest dla mnie miejsce w historii tej wojny? Dlaczego miałbym kryć się w krzakach jak sznur, szczać ze strachu za linią wroga w aurze Bizancjum tak gęstej, że można ją rąbać mieczem? Dlaczego zamiast tego nie miałbym pojechać do Wiecznego Miasta z misją, która przesądzi o losach cesarstwa?

– Dobrze – odpowiadam po chwili, nie wierząc, że to powiedziałem. – Pojedziemy razem, trzeba tylko poczekać, aż wszyscy usną po uczcie. Znajdź dwa dobre konie. Jakby ktoś pytał, powiedz, że na nocną przejażdżkę, nie zatrzymają takiego bohatera. Przygotuj prowiant i załatw mi płaszcz, miecz oraz zbroję. Za dwie godziny spotkamy się na tyłach stajni.

Cielak aż się trzęsie z dziecinnej ekscytacji. Nagle obejmuje mnie i ściska tak, że trzeszczą mi kości.

– Dobrze, dziesiątniku! Za dwie godziny! Wszystko będzie gotowe!

– Ciszej już, ciszej. Idź.



Zaczyna się godzinę potem od dziwnego świstu nad dachami śpiącego Vinodium. Czyjś gardłowy krzyk ogłasza alarm, w odpowiedzi niebo budzi się od dziesiątków krzyków. Coś zaczyna łomotać w główną bramę, groty strzał stukają o ściany lazaretu jak metalowy deszcz.

Atak!

Tego się nikt nie spodziewał. Myśleliśmy, że Konstantyn cofa się na macedońską granicę lizać rany i czekać na posiłki. Z jakiegoś powodu zebrał się do kolejnego natarcia. Rzuca się na nas jak wściekły pies, który nie dba o to, że stracił łapę.

W lazarecie wszyscy się budzą, unoszą niepewnie i wsłuchują w odgłosy bitwy. Na szczęście nie jestem skazany na to, by czekać tu na rozwój wydarzeń jak większość rannych nieszczęśników. Wykopuję się spod futra i opuszczam stopy na lodowatą kamienną podłogę. Rozglądam się, ale przy pryczy nie ma ubrania ani sandałów. Zawijam się więc w skórę i ruszam naprzód w ciemne korytarze fortu, zostawiając za sobą salę pełną bladych twarzy i przerażonych okrzyków.

Kilka razy mijają mnie grupki żołnierzy, biegnących gdzieś w pośpiechu. Raz potrąca mnie centurion, od którego wieje jeszcze winem. Przez okno wyglądam na północny krużganek – świetliści lśnią na niebie jak błyskawice, ich ogniste strzały wyglądają jak spadające gwiazdy. Czuję, jak wokół tężeje aura Byzantionu. Sam Apostata musi być pod murami.

Ruszam dalej w poszukiwaniu zbrojowni. Nie wiadomo kiedy Grecy dostaną się do fortu. Wolałbym, żeby nie zastali mnie gołego, bezbronnego. Poza tym muszę przebić się do Cielaka. Trzeba nam uciekać, gdy tylko fort padnie. Świetlisty u boku cesarza to większa groźba niż utrata Vinodium.

W kolejnym z niskich, ciemnych korytarzy wpadam na grupkę żołnierzy, na których czele idzie ktoś znajomy w hełmie z czerwoną kitą i niebieskim płaszczu. Salutuję. To Flawiusz, *primus pilus* mojej centurii.

– Tulusz? Co tu robisz? – pyta. – Możesz już walczyć?

– Chyba tak, centurionie – odpowiadam, zmieszany nagłym

spotkaniem.

– Świetnie, chodź ze mną. Teraz każdy człowiek potrzebny, szczególnie dziesiętnicy, bo mamy dużo rezerwowych, a brak oficerów.

– Tak jest – odpowiadam.

Wojna sama wyciąga do mnie rękę, widać tęskniła.

Wiem, że gdzieś czeka Cielak, że bitwa może nas bezpowrotnie rozdzielić, ale przecież nie mogę odmówić. Avitus wspominał o awansie, ale na razie wciąż jestem pod rozkazami Flawiusza. Kiwam więc głową i ruszam za nim w dół korytarza. Ktoś podaje mi miecz, ktoś inny zarzuca mi na ramiona płaszcz.

Wkrótce wychodzimy na wschodni dziedziniec, który wygląda jak Pompeje w swoich ostatnich chwilach. Ludzie – część uzbrojona, część jeszcze półnaga – biegają bez celu, kilku próbuje zwrócić przeciw świetlistym masywne balisty, ale masakrują ich celne strzały z nieba.

Na murach fortu są już łucznicy i desperacko usiłują powstrzymać grecką nawałę. Coś potężnego łomocze o bramę, w mroku migają straszne kształty kościeni.

– Ku chwale Rzymu! – krzyczy Flawiusz i rzucamy się w sam środek piekła.

Gdzieś tam, daleko od płonącego Vinodium, świetlisty jedzie do Rzymu w wyłożonym jedwabnymi poduszkami wozie, ściga go rzymski heros, toczy się gra o przyszłość cesarstwa, o przyszłość naszego świata, ale nie mnie brać w tym udział.

Teraz rozumiem, co miał na myśli Satariel. Mój los, moje przeznaczenie, całe zebrało się na jeden moment, na ostatnie siedem dni. Nie zdawałbym sobie z tego sprawy, gdyby przekłety anioł nie odsłonił przede mną sekretnych praw losu. To już koniec. Tajemny potencjał, gromadzony przez wiele lat, ten właśnie potencjał, który wyczuł we mnie Satariel i wiązał z nim swoje plany, wyczerpał się w jednym niezwykłym zbiegu okoliczności.

Miałem swoją chwilę, swoje Wielkie Przytrafienie. Teraz nie

czeka mnie nic, moja historia dobiegła końca i wiem, że odtąd będę jedynie tłem dla innych wydarzeń. Owija mnie dziwne zimne uczucie zguby, zatracenia.

Podobno gdzieś tam dzieją się rzeczy ważne i doniosłe – ale ja ich nie zobaczę. Czekają na mnie tylko błoto, strach i krew.

Andrzej W. Sawicki

BÓG JEST Z NAMI



Chmura brązowego dymu, gęsta i ciężka, sunęła tuż przy samej ziemi. Mogła się kojarzyć z wielką spuchniętą gąsienicą, pożerającą wszystko na swojej drodze. Śnieg topił się kilkanaście metrów przed nią, a ziemia buchała parą, zanim jeszcze ogarnął ją opar. Chmura pozostawiała ją popękaną i zbrukaną brunatną, lepką cieczą. Spowite dymem drzewa wykręcały się i wykrzywiały, pnie pękały z trzaskiem przypominającym wystrzały. Strach pomyśleć, jak koszmarna śmierć spotka nieszczęśników, którzy znajdą się w tej brudnej, ciężkiej mgłę. Emilia widziała już jej ofiary, a właściwie ich poczerniałe, pozlepiane krwistym śluzem szczątki. Bezwolnie poprawiła pasek hełmu pod brodą i mocniej ścisnęła w garści pepeszkę. W gardle czuła chropowatą suchość i dławiącą coraz bardziej kulę strachu.

Oddech Adolfa, jak sowieli nazywali niszczycielski opar, pożerał wszystko, dopóki nie powstrzymał go kierujący nim esesmag, ewentualnie chmurę rozwiać mogły wybuchy

pocisków, opieczętowanych pakietem antyfaszystowskich zakłęb. Tylko że mogące je miotać "suczki", jak pieszczotliwie żołnierze nazywali samobieżne działa SU-76, utkwiły kilkanaście kilometrów stąd razem z całym pancernym wsparciem. O pomocy artylerii nie było zatem co marzyć. Zdawał sobie z tego sprawę każdy z pięciu fizylierów 4 Pomorskiej Dywizji Piechoty Ludowego Wojska Polskiego, siedzących w rowie przed leśniczówką Leżenica.

Z tyłu, od strony lasu, zbliżał się do nich magiczny opar, z przodu mieli umocnione zabudowania, obsadzone przez kompanię grenadierów SS, i równie liczny oddział ochotników z Volkssturmu. O odskoczeniu w bok nie było mowy, bo teren był niemal zupełnie odsłonięty. Nie przebiegliby kilku kroków, a już ścięłyby ich serie z cekaemów, o czym dobitnie świadczył przykład szeregowego Jankowskiego, leżącego kawałek dalej z trzema dziurami w piersi.

To był dopiero początek najtrudniejszej bitwy, jaką przyszło stoczyć ludowemu wojsku. Pierwsze dni lutego 1945 roku zapowiadały wyjątkowo krwawy czas. Jak tak dalej pójdzie, przełamanie umocnień Wału Pomorskiego i zepchnięcie faszystów do morza okaże się niewykonalne. Radzieccy przyjaciele niechętnie udzielali wsparcia lotniczego czy pancernego, pozostawiając polskie dywizje samym sobie. Powodzenie bitwy zależało od piechoty, która musiała krok po kroku utorować drogę mozolnie brnącym pancerniakom. A tu w każdym pagórku tkwił przyczajony bunkier, niepozorne łachy piachu naszpikowane były uśpionymi golemami, na co drugim drzewie siedział snajper lub wysysacz dusz, w wykrotach kryli się zaklinacze ognia, a weterani z Waffen-SS, jeźdźcy z Drache-SS przemienieni z Werwolfa i ochotnicy z Volkssturmu bronili zajadle każdej najbardziej nędznej chałupy. O byle wioskę stoczyć trzeba było regularny bój i okupić zwycięstwo dziesiątkami poległych.

Pluton, dowodzony przez podporucznik Emilię Gierczak, miał obejść z flanki dopiero co zlokalizowany bunkier i spróbować go zniszczyć, by otworzyć drogę nadjeżdżającym czołgom. Robili to

już kilka razy w ostatnich dniach. Nikt jednak nie spodziewał się, że mijając niepozorną leśniczówkę, natkną się w niej na silne oddziały nieprzyjaciela, w dodatku wspierane przez esesmaga. Trzech chłopców poległo, zanim Emilka kazała reszcie się wycofać. Sama razem z czterema pechowcami utknęła w dziurze powstałej chyba po wydobyciu gliny, bez szans na ucieczkę. Liczyła na to, że pluton wróci ze wsparciem, a jak nie, to po zmroku będą mogli się wydostać i cofnąć do swoich. Diabli jednak nadali cholernego nazistowskiego czarodzieja! Zakłęła głośno z bezsilności.

Drzewa na skraju lasu trzaskały jedno po drugim, pożerane Oddechem Adolfa. Opar zbliżał się nieubłaganie do kryjówki fizylierów. Niespodziewanie zagrzecotała karabinowa seria, pociski pacnęły w ziemię przed wykopem. Wyraźnie któregoś Niemca strasznie świerzbiał palec na spuście. Emilia ze wszystkich sił starała się zachować spokój. Jeszcze raz wyjrzała na przedpole. Tkwili jakieś pięćdziesiąt metrów od płotu leśniczówki, od którego dzielił ich płaski teren z jedyną osłoną w postaci kępki rachitycznych krzaków. Z lewej i prawej ciągnęły się takie same nieużytki, najbliższe drzewo było jakieś dwadzieścia metrów na zachód. Jednym słowem wyglądało to beznadziejnie. Tuż obok jej hełmu gwizdnął karabinowy pocisk. Dziewczyna natychmiast zsunęła się na dno dziury.

– Emilka, co robimy? – nerwowo spytał szeregowy Zieliński. – Poddajemy się?

– Nie, tylko nie to! – Szeregowy Raban kucał skulony w kącie wykopu. – To nie ma sensu, rozwalą nas jak chłopców z trzeciej kompanii. Jesteśmy trupami, mówię wam. O Jezu, co to będzie? Emilka, kurwa, wymyśl coś.

– Wyrażajcie się, szeregowy! Co ma znaczyć to nieregulaminowe zachowanie? Dlaczego rzuciliście karabin? Weźcie się w garść, Raban.

Emilia miała nadzieję, że chłopcy nie słyszą drżenia w jej głosie.

– Tak jest, obywatelko porucznik. Przepraszam.

Raban chwycił swego mosina i energicznie go przeładował. Niewiele brakowało, a stanąłby na baczność.

Dziewczyna odetchnęła, przynajmniej jeszcze panowała nad oddziałem. Tylko co z tego? Raban ma rację, poddanie się nie miało sensu. Kilka dni temu w kocioł wpadła trzecia kompania strzelców i część z niej dostała się do niewoli. Dwóch chłopców zdołało uciec, pozostałych trzydziestu Niemcy związali drutem kolczastym, zamknęli w stodole i podpalili. Rozstrzelanie na miejscu lub śmierć w męczarniach – po esesmanach nie można się było spodziewać niczego dobrego. Emilii pozostało zatem dać się strawić potwornej chmurze lub próbować się przebić.

– Dobrze, chłopcy, idziemy. – Podjęła niełatwą decyzję. – Wypadamy na trzy, cztery i chyłkiem do tamtego drzewa. Potem dalej skokami, aż do linii lasu. Może choć jedno z nas się przebije. Gotowi?

Patrzyły na nią cztery pary przerażonych oczu. Fizylierzy zdawali sobie sprawę, jak się to skończy, żaden jednak nie zaoponował. Kapral Krawczyk przeżegnał się i zaczął szeptem modlić. Emilka nie skarciła go za to, choć żołnierzowi ludowej armii nie wypadało zachowywać się w tak uwsteczniony sposób. W szkole oficerskiej w Riazaniu nie raz i nie dwa powtarzano, że religia to opium dla mas. Próbowała te podstawowe prawdy zaszcześcić swoim żołnierzom, od czasu do czasu w obozie odbywały się też pogadanki oficera politycznego, ale starych wierzeń i nawyków nie da się tak łatwo wytrzebić. Emilia doszła do wniosku, że jeśli im to pomaga w trudnej chwili, to niech się modlą. Sama już od dawna w Boga nie wierzyła.

Wstrzymała oddech, przymknęła powieki i sięgnęła po moc promieniującą od serca. W jednej chwili poczuła w piersi falę gorącą, wypełniającą żyły ryczącą wściekłością i niespożytą siłą. Skóra załśniła wewnętrznym blaskiem i po chwili przygasła.

Emilka została skierowana do szkoły oficerskiej nie bez powodu, jeszcze w obozie werbunkowym wykryto u niej nosicielstwo mocy. Okazało się, że nie da się ustalić jej charakterystyki, a zatem przypisać do konkretnego kanonu. Dziewczyna była niestabilnym, niespecyficznym źródłem, przez

co nie nadawała się na ludową czerwoną czarownicę, ale przynajmniej nauczono ją w razie potrzeby sięgać po moc i ją ukierunkować. To przydawało się w boju, Emilka potrafiła zamienić się w prawdziwą furję, co to się kulom nie kłania.

– Trzymajcie się, chłopaki – powiedziała i ruszyła jako pierwsza.

– Czekaj! – Zieliński chwycił ją za ramię i zatrzymał w wykopie. – Słyszycie?

Podporucznik zamarła w pół ruchu. Słyszała. To było basowe, nasilające się z każdą chwilą buczenie. Oczy dziewczyny błysnęły nadzieją, spojrzała w górę, ponad las i brunatną chmurę.

– Iły! Iły nadlatują! – wrzasnął radośnie Raban.

Pierwszy szturmowik wystrzelił z drzew, niemal otarł się podwoziem o wierzchołki. Luk otworzył się i maszyna zrzuciła cały ładunek – cztery bomby kasetowe, które rozsypały się na kilkaset małych pocisków z kumulacyjnymi głowicami. Gruchnęły o ziemię na całym odcinku pomiędzy lasem a dołem, w którym kryli się fizyliery. Piechurzy rzucili się na dno wykopu, jeden na drugiego. Ziemia zadygotała, szarpana kaskadą wybuchów. W niebo wzbily się słupy zmarzniętej ziemi i odłamków. Sypnęło piachem na kulących się żołnierzy.

Emilka poderwała się pierwsza. Brunatna chmura właśnie rozwiewała się na wietrze. Bomby uzbrojono w antyfaszystowskie zaklęcia! W moc mającą łamać czary ochronne niemieckich czołgów i inne plugastwa, stworzone przez nazistowskich mistrzów sztuk tajemnych. Ta przełamała czary esesmaga! Byli uratowani!

Drugi ił śmignął nad jej głową. Pięcioramienne gwiazdy na jego skrzydłach błysnęły czerwienią ludowych czarów. Ich widok odganiał strach i napełniał serca mocą. Emilka nieświadomie wyszczerzyła zęby, kiedy działko szturmowika ryknęło wściekle i radzieckie pociski wgryzły się w zabudowania leśniczówki. Sekundę później nadleciał trzeci samolot, który zrzucił na esesmańskie gniazdo bomby kasetowe. Błysnęły serie

eksplozji, dach leśniczówki zapadł się, strzeliły płomienie. Niemcy nie kryli się już za opłotkami, rozbiegli się przerażeni, kilku cywilów z Volkssturmu przesadziło płot i rzuciło się do ucieczki. esesmani skierowali broń w niebo, gdy nad lasem pojawił się czwarty ze szturmowików. Zagrzmiała kanonada, na pozycje hitlerowców znów spadły bomby. Po chwili powtórnie nadleciał pierwszy z samolotów. Rosjanie krążyli po okręgu, by razić nieprzyjaciela nieustannym ogniem.

– Wiejemy? – spytał Raban. – Droga jest wolna.

Emilka machnęła niecierpliwie ręką. Na dachu stodoły, jednego z budynków gospodarczych leśniczówki, pojawił się człowiek w czarnym mundurze oficera SS. Złożył ręce jak do modlitwy i zamarł w bezruchu. Ił posłał serię w strzelających doń żołnierzy i przemknął nad stodołą. W tej samej chwili od czarnej sylwetki wystrzelił piorun wyładowania, który z trzaskiem uderzył w kadłub szturmowika. Czerwone gwiazdy na jego skrzydłach zbladły w jednej chwili, z silnika samolotu strzelił snop iskier i czarnego dymu. Równe buczenie urwało się, motor kaszlnął kilka razy i zgasł. Ił znikł gdzieś za zabudowaniami. Po dłuższej chwili Emilka usłyszała głuchy rumor i huk.

– Zestrzelił go, sukinsyn! – wycedziła z wściekłością. – Za mną, chłopcy. Do ataku!

Wydostała się z wyrobiska i nie oglądając się za siebie, pomknęła wprost na pozycje nieprzyjaciela. Moc dudniła w jej żyłach bitewnym szaleństwem, ryczała nienawiścią i żądzą zabijania. Emilia skoczyła nad pochylonym płotkiem, wymierzyła pepeszkę w dwóch żołnierzy Waffen-SS, unoszących ciężki karabin na trójnogu, tak by dało się nim ostrzeliwać samoloty. Pociągnęła za spust i skosiła obu grenadierów jedną serią. Drogę zastąpił jej chłopak z Volkssturmu, może piętnastoletni, z twarzą umazaną sadzą i wymierzył w nią dubeltówkę. Odepchnęła lufę i trzasnęła szczeniaka kolbą pepeszy w twarz. Obejrzała się na swoich.

Ruszyli do ataku, nie stchórzyli. Zieliński oberwał postrzał w brzuch i zwinął się wpół, zanim dobiegł do pozycji wroga. Reszta

wpadła na podwórko leśniczówki i zwarła się z Niemcami w walce wręcz. Pociski z pepesz szatkowały esesmanów na równi z przerażonymi cywilami z Volkssturmu. Trzy łąy raz po raz nalatywały i pruły z pokładowych działek. Jedna z serii skosiła kilku esesmanów razem z szeregowym Rabanem. Dym z płonących zabudowań gryzł w oczy. Ludzie krzyczeli, klęli po niemiecku i po polsku. Wszędzie wały się trupy, krew z porozrywanych sowieckimi bombami faszystów zbryzgała wszystko wokół. Śmierdziało strachem, śmiercią, spalenizną.

Emilka szła przez pobojuwisko, strzelając na prawo i lewo. Zagryzała wargę do krwi. Odpięła i cisnęła precz pusty magazynek bębenkowy i założyła do pistoletu kolejny. Kopniakiem otworzyła drzwi stodoły. Esesmag akurat zląził z góry po drabinie. Po jego mundurze pełzały wężyki wyładowań, skóra parowała smugami białego dymu. Był mężczyzną w średnim wieku, śmiertelnie bladym z wyczerpania. Z nosa ciekły mu dwie strużki krwi. Zbyt dużo użytej magii naraz dało mu w kość. Mimo to na widok Emilii zrobił groźną minę. Dziewczyna wymierzyła w niego broń i poczuła uderzenie w bok. Zgniatające żebra, wypychające powietrze z płuc. Padła natychmiast na ziemię i przeturlała się na bok. Kilka pocisków z pistoletu maszynowego wgryzło się w polepę, tam gdzie przed ułamkiem sekundy leżała.

W stodole było jeszcze trzech grenadierów. Emilka, leżąc, wymierzyła w najbliższego, ale ten zdążył kopnąć ją w ramię i wybić broń z ręki. Objęła go oburącz za nogi i pociągnęła do siebie. Upadł. Przeturlali się. Był znacznie od niej większy i cięższy, do tego zaprawiony w boju. Wymierzył jej kilka ciosów pięścią w twarz. Były niczym uderzenia młotem, miażdżyły i oszałamiały. Usta wypełnił dziewczynie metaliczny smak krwi. Przez chwilę nic nie widziała, tylko białą mgłę. Słyszała śmiechy, ktoś mówił po niemiecku. Nie miała już sił na dalszą walkę, ciągle jednak kurczowo trzymała przeciwnika. Wiedziała, że kiedy go puści, szkopy ją zastrzelą.

Miała mało czasu i żadnych szans na ratunek. Przed oczami stanął jej obraz modlącego się kaprała Krawczyka. Ciekawe, czy

modlitwa mu pomogła, czy jeszcze żył? Ona modlić się nie będzie, bo przecież nie ma Boga. Wzywanie go było bez sensu. Choć z drugiej strony, tak bardzo chciała żyć... Nie umrze tu, w tej cholerniej stodole, jest na to za młoda. Zrobiłaby wszystko, byle tylko przeżyć, mogłaby się modlić nawet do samego diabła. O, tak. W tej chwili bez wahania oddałaby swoją duszę szatanowi, gdyby dał jej jeszcze jedną szansę. Jeszcze jedną szansę!

Śmiechy umilkły, rozległy się zdumione okrzyki, rumor. Trzymający Emilkę blond olbrzym próbował się uwolnić z uścisku, wymierzył jej jeszcze jeden cios. Lewa ręka podporucznik niespodziewanie trafiła na rękojeść niemieckiego bagnetu, przypiętego do pasa esesmana. Wyszarpnęła go z pochwy i dźgnęła na oślep. Ostrze wśliznęło się gładko między żebra i weszło głęboko w płuca. Siłacz jęknął, usta wypełniła krwawa piana, która bryznęła na twarz fizylierki. Emilka z potwornym wysiłkiem odepchnęła konającego, rzuciła się w bok po swoją pepeszkę. Nie mogła jednak jej sięgnąć, nie miała sił. Moc znikła bez śladu, wyparowała. Dziewczyna była sama, zmęczona i bezbronna. Wbiła twarz w pył i kłosa siana. Zamarła, czekając na kojącą serię. Niech to wszystko wreszcie się skończy.

– Panienko, nic się wam nie stało?

Usłyszała nad sobą głos mówiący czystą polszczyzną.

Odwróciła powoli głowę, zdumiona. Pochylał się nad nią przystojny mężczyzna o wesołych oczach, lekko się uśmiechał. W jednej ręce trzymał zakrwawioną szablę, drugą wyciągał do Emilii. Machinalnie podała mu dłoń i już po chwili stała, podtrzymywana przez niego pod ramię. Na ziemi w kałużach krwi leżało trzech grenadierów, jeden z wbitym w bok bagnetem, dwóch zarąbanych szablą.

Podporucznik nie mogła otrząsnąć się z szoku i zebrać myśli. Uśmiechnięty przystojniak ubrany był w białe spodnie i niebieski archaiczny surdut z karmazynowymi wyłogami i srebrnymi epoletami. Na głowie nosił wysoką rogatywkę z trójkolorowym pomponem. Skąd się tu wziął szaleniec przebrany za żołnierza z czasów wojen napoleońskich? Mundur

z tamtego okresu Emilka rozpoznała na pierwszy rzut oka – pamiętała takie stroje z podręcznika historii.

Odwróciła głowę, by sprawdzić, co dzieje się z esesmagiem. Wisiał z wywalonym, posiniałym językiem na grubym skórzanym biczu, owiniętym wokół szyi i przerzuconym przez belkę stropową. Rękojeść knuta bez widocznego wysiłku trzymał mężczyzna jeszcze dziwniejszy niż napoleoński żołnierz. Ubrany był w zbyt krótkie pasiaste spodnie, jedwabną kamizelkę i szary surdut, na nogach miał wysokie sznurowane buciory, a na głowie cylinder. Najbardziej jednak wzrok przyciągała jego twarz o nieludzkich, trochę drapieżnych, lecz regularnych i idealnie harmonijnych rysach. Emilia przełknęła ślinę. Nie sądziła, że mężczyzna może być aż tak urodziwy. Osobnik w cylindrze był po prostu piękny. Doskonały.

Niepokój budziły tylko jego oczy, błyszczące i nienaturalnie jasne. Przyszpilił spojrzeniem Emilkę, tak że poczuła się naga. Poruszył niedbale rękojeścią kańczuga, rzemień rozplątał się i uwolnił ciało esesmaga. Nazista runął na ziemię. Dżentelmen nawet na niego nie spojrział, sprawnie zwinął bicz i przypiął go sobie do paska.

– Wzywałaś mnie, towarzyszeko – powiedział i uśmiechnął się tak, że Emilia poczuła ciarki na plecach. – I oto jestem, do usług.

– Ktoś ty? – wychrypiała.

– Jestem Hutriel, Bicz Boży. Książę piątego kręgu piekieł. – Ukłonił się i uchylił cylindra.

Na jego czole czerniały dwa krótkie rogi.

Emilia zemdląła.



Bolało ją całe ciało, było jej zimno i niewygodnie. Otworzyła oczy, a właściwie jedno oko, bo drugie było tak spuchnięte, że nie dało się otworzyć. Dotknęła pokancerowanej twarzy i syknęła z

bólu. Zorientowała się, że siedzi w toczącym się po wertepach samochodzie, w metalowym foteliku z wysokimi bocznymi ogranicznikami, dzięki którym nie przewróciła się jeszcze na kierowcę. Był nim przystojniak z szablą, tym razem ubrany w zakrwawiony mundur grenadiera SS z opaską Märkisch Friedland, zgrupowania, które broniło leśniczówki. Szabla leżała mu na kolanach obok pistoletu maszynowego MP-40.

Emilka zamrugnęła zdrowym okiem, rozglądając się niepewnie. Z tyłu szwabskiego kübelwagena, terenowej i opancerzonej wersji garbusa, siedział rozparty niedbałej pozie Hutriel. Ubrany był w czarny mundur esesmaga, na głowie miał czapkę z totenkopffem, promieniującym poświatą mocy, w rękę trzymał opróżnioną do połowy butelkę koniaku. Spał.

– Proszę mi wybaczyć nieporadność w powożeniu tym wehikułem, panno Emilio, ale robię to pierwszy raz w życiu. – Przystojniak uśmiechnął się. – Ściśle mówiąc, pierwszy raz po śmierci.

– Co to wszystko ma znaczyć? Dokąd jedziemy? Kim ty właściwie jesteś?

Przed oczami podporucznik krążyły mroczki i było jej niedobrze. Chyba doznała wstrząśnienia mózgu.

– Jestem psem tego tam drania. Ordynansem, służącym, ochroniarzem i przewodnikiem w realnym świecie. Poza tym potępionym, który przypadł do gustu Jego Ekscelencji Hutrielowi – westchnął przystojniak. – Za życia Ignacy Reinhold, kapitan jednej z kompanii Legionów Polskich. Poległem w Hispanioli w roku Pańskim

1802. Miło mi pannę poznać. – Niech mnie diabli, ja chyba śnię! – Niestety nie. – Kapitan Reinhold z żalem pokręcił głową. – Niewymownie mi przykro, ale w obliczu śmierci wezwała panna moce piekielne. Tak się złożyło, że w pobliżu był akurat ten skur... Jego Ekscelencja. Bardzo mu się spodobała panienki wojowniczość i brawura, w dodatku bardzo potrzebowaliśmy kogoś z lokalnej rzeczywistości. Hutriel postanowił zatem potraktować panienki deklarację jako formę cyrografu, umowy

niepodlegającej negocjacom. On ratuje panience życie i przejmuje rząd nad duszą, w zamian będzie panienka mu służyć i weźmie udział w wojnie, którą on prowadzi. Niestety, nie da się już tego odkręcić, bardzo żałuję, ale nie mogłem nic zrobić, by temu zapobiec.

– Nie, to niemożliwe. Ja nie wierzę w takie rzeczy. Nie wierzę w diabły, one nie istnieją.

– Brakiem wiary w ich istnienie nie poprawi panienka swojej sytuacji. – Ignacy uśmiechnął się przepraszająco. – Proszę dostrzec jasne strony swojego położenia. Jeszcze panienka oddycha, czuje, może patrzeć w błękitne niebo, cieszyć się życiem. Gdyby nie Hutriel, leżałaby panienka teraz martwa, a dusza panienki wyłaby z tęsknoty za Bogiem. A to bardzo nieprzyjemny stan, proszę mi wierzyć. Wiem, co mówię.

Emilka dłuższą chwilę rozważała słowa kapitana Reinholda. Miała mętlik w głowie, potęgowany bólem poobijanej twarzy i zimnem. Trudo było jej zaakceptować to, co się wydarzyło. Zatem prawdy głoszone przez Lenina są fałszywe? Bóg istnieje.

– Może się panienka napije? – Ignacy wskazał butelkę koniaku turlającą się na podłodze garbusa.

– Ja nie piję – burknęła. – I nie nazywaj mnie panienką, do cholery!

– Dobrze, Emilio – zgodził się grzecznie. – Do mnie też proszę mówić po imieniu, w tej chwili jesteśmy jak rodzina. Dwa psy na łańcuchu potwora.

– Jaki on jest?

Podporucznik spojrzała na chrapiącego najpiękniejszego mężczyznę na świecie.

– Nie taki straszny, jak go malują. – Ignacy uśmiechnął się. – Znacznie gorszy.

Samochód podskoczył na wyboju, kapitan gwałtownie skręcił, w ostatniej chwili omijając pień zwalonego drzewa. Kübelwagen zakołysał się i dalej potoczył po wertepach, taranował krzaki, prychał i sapał. Emilka wykrzywiła usta w grymasie bólu,

zbladła jeszcze bardziej. Gdyby miała czym, zwymiotowałaby przez otwarte okno pojazdu.

– Gdzie my właściwie jedziemy?

– Na wojnę! – radośnie odparł Reinhold. – Nie możemy się afiszować, bo Hutriel jest tu incognito. Każda otwarta ingerencja w rzeczywistości i jej materializacja wymaga autoryzacji. W praktyce nikt nie przestrzega tych zasad, ale do dobrego tonu należy nierzucanie się zbyt w oczy. Stąd te przebrania. Gdybyśmy natknęli się na Niemców, będziesz udawała naszego jeńca, a jeśli na Polaków lub Rosjan, odwrotnie – to my będziemy jeńcami. To pozwoli nam nie zabijać każdego, kogo napotkamy na swojej drodze.

Dopiero teraz Emilia dostrzegła swoją pepeszkę wystającą spod fotela. Schyliła się, wyciągnęła ją stamtąd i położyła sobie na kolanach. Od razu poczuła się pewniej. Sięgnęła też w głąb serca, musnęła źródło mocy. Odpowiedziało niemrawo i zgasło.

Jako czarownica Emilka była beznadziejna.

– Powinnam wrócić do oddziału, do swoich – mruknęła. – Inaczej będzie to dezercja.

– Zapomnij o swoim dotychczasowym życiu – powiedział poważnie Ignacy. – O swoich obowiązkach i powinności wobec ojczyzny. Od dziś jest tak, jakbyś umarła, nie istniejesz już dla tego świata. Twoja misja na tym padole łez się zakończyła. Od teraz jesteś żołnierzem innej armii i prowadzisz zupełnie inną wojnę.

– Jaką wojnę? Z kim?

– Z cholerstwem, które pożera ten świat – wtrącił się do rozmowy diabeł.

Zaskoczona Emilka aż podskoczyła. Hutriel nadal leżał z przymkniętymi powiekami, na jego ustach błędził groźny, zły uśmieszek.

– Jestem Biczem Bożym, Aniołem Kary – dodał. – Mam swoje obowiązki. Muszę zrobić porządek z tym, który mieni się bogiem – z szaleńcem, który tworzy światy takie jak ten i na nich żeruje.

Mamy ze sobą na pieńku, nadeszła pora na ukaranie go. Tworzenie rzeczywistości równoległych i alternatywnych jeszcze bym mu darował. To nie mój interes, tylko tych z góry. – Wskazał na niebo. – To oni są zazdrośni o rząd dusz. Nie przeszkadza mi też, co ten łobuz wyprawia w tworzonych przez siebie światach ani jak się nimi bawi. Szkodnictwem jest natomiast pazerne pożeranie własnych tworów i opychanie się ludzkimi duszami. Rośnie przez to w siłę i staje się zbyt niebezpieczny. Stanowi także zagrożenie dla bytów astralnych, powoli zamienia się w podrzędnego bożka. Jeśli się go nie uspokoi, może stać się bogiem. Najwyższa pora złapać go i wtrącić do piekła.

Coś w głosie diabła, jakaś groźna nuta, wzbudziło respekt nawet w ateistce podporucznik Gierczak. Emilia zdawała sobie sprawę, że ma do czynienia z naprawdę groźną istotą, z prawdziwą bestią. Ciarki przebiegły jej po plecach. Jak się uwolnić od tego potwora, jak przed nim uciec?

– A teraz przestańcie wreszcie gadać – rozkazał diabeł i przekręcił się na bok, wypinając do swych sług tyłek. – Jedź wolniej i ostrożniej, Ignacy, bo strasznie rzuca autem. A ty, dziewczeczko, natrzyj twarz maścią, którą znajdziesz w kieszeni płaszcza. Ten wysokochłonny biopolimer z substancjami łagodzącymi i klejem tkankowym naprawi ci buziuchnę. Nie mogę już na ciebie patrzeć, zbyt jestem wrażliwy.

Parsknął śmiechem. Ignacy gorliwie mu zawtórował. Emilia wsunęła rękę do kieszeni, jej dłoń natrafiła na podłużne pudełeczko. Przełknęła ślinę.

– Tak jest, eee... Wasza Ekscelencjo – powiedziała.



Było już ciemno, kiedy wyjechali na drogę. Hutriel kazał się kierowcy zatrzymać, a Emilii zamienić się z nim miejscami. Chodziło o to, by w razie zatrzymania przez Niemców zrobić na nich odpowiednie wrażenie. Diabeł liczył, że sam mundur esesmaga wystarczy jako przepustka i nikt nie będzie śmiał

zadawać pytań ponuremu czarownikowi. Podporucznik wysiadła z wozu i przeciągnęła się z ulgą. Tyłek bolał ją od stalowego siedziska, ale za to rany na twarzy zupełnie przestały doskwierać. Opuchlizna zesza, dziewczyna znów widziała na drugie oko. Trochę jeszcze bolała ją szczeka i kość policzkowa, ale tkanki miękkie zostały cudownie uleczone. Maść miała niesamowite właściwości.

Mrok kusił, by rzucić się w niego biegiem i wiać jak najdalej od tych dwóch dziwaków. Na początek Emilia poprosiła o możliwość oddalenia się w krzaki za potrzebą. Hutriel skwitował jej prośbę niecierpliwym machnięciem ręki. Kucając kilkanaście kroków od drogi, zastanawiała się gorączkowo, czy zaryzykować ucieczkę. Obawiała się jednak, że w ciemnościach diabeł czuje się jak u siebie i błyskawicznie ją dopadnie. Poza tym znajdowali się na terenie wroga, spory kawałek od linii frontu. Powrót do swoich mógł okazać się bardzo trudny. Podciągnęła więc portki, zapięła płaszcz i z westchnieniem rezygnacji wróciła do auta. Czowała się zbyt zagubiona, by zdecydować się na desperacki krok, jeszcze nie oswoiła się z nietypową sytuacją. Po chwili kiwała się na tylnym siedzeniu garbusa, który prychnął, mknął rażno przed siebie.

Po kilku kilometrach natknęli się na szlaban zagradzający drogę. Po jego obu stronach stały dwa masywne bunkry, patrzące groźnie czarnymi otworami strzelniczymi. Przycupnęło na nich kilka kamiennych gargulców z wypalonymi na czołach swastykami. Emilka znów poczuła dławiący strach, gdy do wozu podeszło czterech esesmanów z bronią gotową do strzału. Ledwie jednak zobaczyli Hutriela, który warknął coś do nich po niemiecku, natychmiast wyprężyli się na baczność. Szlaban uniósł się i kübelwagen ruszył dalej.

W świetle jego reflektorów dziewczyna dostrzegła ciągnące się na poboczach przeciwczołgowe betonowe zapory zwane Zębami Smoka. Za nimi kłębiły się kolczaste zasieki, w pagórkach tkwiły owalne łby bunkrów, z okopów wystawały lufy dział, a wzdłuż drogi przebiegali na czworakach szczerzący kły żołnierze z patroli Werwolfa.

Hitlerowcy czekali na nadejście Armii Czerwonej.

– Do czego jestem ci potrzebna, Hutrielu?

Emilka powoli się uspokajała, wracała też jej naturalna śmiałość.

– Polubiłem cię, moje dziecko – odparł, nie odwracając głowy. – Spodobało mi się, jak zabijasz. Lubię patrzeć, jak wy, ludzie, się zabijacie. Nie ukrywam też, że zaimponowało mi, kiedy poprowadziłaś swoich czterech żołnierzy do ataku na dwie kompanie nieprzyjaciela. Trzeba mieć jaja, żeby zrobić coś takiego, prawda, Ignacy? Co my jeszcze o tobie wiemy, dziewczeczko? Jesteś córką prostych chłopów, trafiłaś do sowieckiej niewoli i nie dałaś się stłamsić. Nawet zbiorowy gwałt na tobie pijanych czerwonoarmistów tylko cię zahartował. Przeżyłaś piekło – no, niemal piekło – w kolchozie na Syberii, ale się nie załamałaś. Na ochotnika wstąpiłaś do formujących się polskich oddziałów. Byłaś na tyle dobrym i twardym rekrutem, że skierowano cię do szkoły oficerskiej. Jako jedna z nielicznych kobiet zostałaś dowódcą plutonu, z którym skierowano cię na front. Szło ci całkiem nieźle aż do wczorajszej feralnej potyczki. Skoro tak zdolny żołnierz z własnej woli pcha mi w ręce swoją duszę, to jakże nie skorzystać? Zdyscyplinowana, wierna, odważna. Myślę, że będziesz równie dobrym psem jak Ignacy. Mam nosa do ludzi, przekonasz się.

– Ale jak ja, zwykła dziewczyna, mogę ci pomóc w wojnie z jakimś bogiem? Chyba się co do mnie mylisz.

– On nie jest żadnym bogiem, choć uważa się za boga – warknął Hutriel. – W rzeczywistości jest człowiekiem, przynajmniej częściowo. Opowiem ci o nim, a co tam, mamy czas. Był kiedyś zdolny, choć jak to nastolatek, trochę zagubiony i wyobcowany. Pewnego niedzielnego poranka włamał się do transmitera danych. To było w czasach, gdy ludzkość przenosiła zasoby sieci do infopola, nieskończenie chłonnego adiabatycznego kontinuum, znajdującego się poza wymiarami. Młodzieniec, włamując się do transmitera danych, niechcący znalazł się w wojskowym programie strażniczym i antywirusowym, który nie rozpoznał w nim ludzkiej osobowości,

wziął go za szpiegowskie AI i próbował skasować, co nie było takie proste, bo chłopiec bronił się bardzo dzielnie, zaatakował nawet antywirusa. Doszło do sprzężenia tych dwóch bytów: człowieka i sztucznej świadomości. Obaj runęli przez transmiter w infopole. I tak powstał on – nastolatek uwięziony w wirtualnym, odizolowanym od rzeczywistości wymiarze, ale obdarzony mocą wpływania na środowisko. Po jakimś czasie znalazł wejście do routera i przez niego zaatakował kolejny transmiter. Udało mu się odwrócić bieguny urządzenia. Chciał w ten sposób uciec z infopola i wpisać się w rzeczywistość, wrócić do domu. To się jednak nie powiodło, za to jego wyobrażenie rodzimego świata wypaliło się przez transmiter i wygenerowało rzeczywistość równoległą. Inny świat, będący odbiciem prawdziwego, zdeformowany przez umysł nastolatka.

Emilia stwierdziła głośno, że nic z tego nie rozumie, ale diabeł nie zwracał na nią uwagi i mówił dalej.

– Młodzieniec zorientował się, że może przenieść się w swój własny świat. Szybko też odkrył, że ma w nim potężne moce. Stworzył kolejną rzeczywistość, świadomie ją zniekształcając, potem jeszcze jedną i następną. Swawolił, jak to dzieciak. W swoich światach był zawsze wielkim władcą, otoczony pięknymi hurysami, toczył wojny i podboje, powoływał do istnienia imperia i je obalał, modyfikował historię, przeinaczał ją i zniekształcał. Ot, chłopiec, który bawi się w wojenkę. Jak dla mnie nic szkodliwego, mimo że powołane przez niego światy były jak najbardziej prawdziwe. To nie były wirtualne zabawki, ale realne kontinua z prawdziwymi, czującymi ludźmi. Takimi jak ty, Emilio. – Hutriel mówił, nie oglądając się na dziewczynę, gestykulował przy tym żywiołowo. – Któregoś razu w bitewnym szale chłopiec pochłonął duszę jednego z pokonanych wojowników. I się zaczęło. W tym momencie wszedł na nasz teren, na płaszczyznę bytów astralnych. Okazało się, że pożeranie istnień może być wyjątkowo radosną zabawą, poszerza perspektywy i daje niezłego kopa. Coś jak kwarta mocnej gorzały wypita duszkiem, rozumiesz? Tylko nie ma kaca, za to otwierają się przed tobą drzwi do niezwykłych potęg, świadomość rośnie, nabiera mocy. Tworzone światy są coraz

bardziej udane i znaczące. A stąd już tylko krok do uznania się za boga. Takiego bluźnierstwa nie tolerujemy nawet w piekle. Będzie sobie, młokos jeden, urządzał własny wszechświat bez nas? Niedoczekanie!

– Co na to wszystko niebo, znaczy prawdziwy Bóg? – spytała Emilia.

– Skąd mam wiedzieć, co On myśli? Jego wyroki są niezbadane, jak powszechnie wiadomo. Za to jego przydupasy, ta banda pierzastych lizusów, jak zwykle obudzą się z ręką w nocniku – prychnął diabeł. – Pewnie uważają, że Bóg i tak jest wszędzie, przylecą nawracać młokosa, będą zwiastować, ewangelizować i głaskać po główce. Zresztą co mnie to obchodzi? Od czasów biblijnych mamy ze sobą na pieńku, jesteśmy po przeciwnych stronach barykady. Z piórowatymi toczyliśmy nieustanną wojnę, wojnę o władztwo nad ludzkimi duszami. Nowo powstałe światy są dla nas niebywałym kąskiem. Chcielibyśmy zagarnąć te dominia, urządzić tu prawdziwe piekło, zanim zwałą się pierzaści, ale ich stwórca, ten szczeniak, ma nas za nic i śmie się stawiać. Pierwszy ruszył na niego Azazel ze swymi demonicznymi zastępami, próbował zająć jeden ze światów i zmienić w kolejny krąg piekła. Chłopiec tak go załatwił, że szkoda gadać. Do tej pory nie możemy odnaleźć naszego brata, a większość jego demonów odeszła w niebyt. Podejrzewamy, że młokos wszystkie je pożarł.

– Młodość musi się wyszumieć – wtrącił Ignacy.

– Bardzo śmieszne – mruknął Hutriel. – Lepiej skup się na jeździe, bo wpakujemy się na pole minowe!

– Potem straciliśmy Ezekiela i Tyfona, nie licząc pomniejszych diabłów. Rozumiesz, to regularna wojna i ponosimy w niej większe straty niż w starciach z piórowatymi, ale to się niedługo skończy. Postanowiłem zająć się tym osobiście.

Emilka siedziała oniemiała i próbowała poukładać sobie w głowie usłyszane rewelacje. Zupełnie jej to nie wychodziło.

Tymczasem wjechali do jakiegoś zaciemnionego na wypadek nalotów miasteczka. Ignacy zwolnił i garbus sunął teraz powoli

ciasnymi uliczkami, mijał milczące, pogrążone w ciemności kamienice i wojskowe posterunki z gniazdami ciężkich karabinów. W bramach i na chodnikach walały się jakieś rupiecie i poniewierały szmaty. Wyglądało na to, że część mieszkańców w pośpiechu opuściła swoje domy. Po paru chwilach kübelwagen dotarł do rynku ze starym gmachem magistratu, udekorowanym czerwonymi chorągwiami ze swastyką. Na placu stało kilka transporterów opancerzonych i dwa działa przeciwlotnicze. Pomiędzy nimi kucał potężny golem. Przed wrotami ratusza wartę pełniło kilku powarkujących werwolfów, a na dachu przycupnęły esesharpie w starych pruskich hełmach typu pikielhauba na głowach.

– Tego szukaliśmy. W magistracie siedzi sztab dywizji, znajdziemy sobie miejsce na nocleg gdzieś w pobliżu – zdecydował Hutriel. – O, tam będzie dobrze.

Po drugiej stronie rynku stał trzypiętrowy imponujący budynek z szyldem Krone Vergewaltigung Hotel nad wejściem. Potężne dwuskrzydłowe wrota zamknięte były na głucho, a okna zasłonięto czarnymi płachtami. Ignacy zatrzymał auto przed schodami hotelu. Hutriel wyskoczył energicznie i ku zaskoczeniu Emilii otworzył przed nią drzwi, kłaniając się nisko, gdy wysiadała. Objął ją wpół i pociągnął po schodach, załomotał pięścią w drzwi i wywrzeszczał po niemiecku rozkaz otwarcia drzwi.

Harpie poruszyły się na dachu, jedna z nich załopotała skrzydłami. Przechodzący patrol zatrzymał się i skierował się w stronę źródła hałasu. Ignacy wyłączył silnik i reflektory, wysiadł z garbusa z zarzuconymi przez ramię dwoma pistoletami maszynowymi: swoim i Emilii. U pasa dyndała mu szabla.

Wrota uchyliły się i w szparze ukazała się blada twarz jakiegoś mężczyzny. Na widok Hutriela w mundurze esesmaga bez słowa otworzył szerzej drzwi i kłaniając się, wpuścił gości. Znaleźli się w przestronnym holu z mozaikową drewnianą podłogą, ozdobionym kwiatami w wysokich donicach i wielkim portretem Hitlera nad kominkiem. W kominku pełgał ogień, a w otaczających go fotelach siedzieli oficerowie. Z zaciekawieniem

spojrzeli na przybyłych, jeden z nich wstał i ze szklaneczką czegoś mocniejszego w dłoni ruszył w ich stronę. Hutriel nie zwrócił na niego uwagi.

– Najlepszy apartament, i to migiem. Mam nadzieję, że ma co najmniej dwie sypialnie – zwrócił się płynnym niemieckim do gospodarza, szczupłego mężczyzny w liberii. – I nie chcę słyszeć, że hotel jest zamknięty. Jesteśmy głodni. Obiad ma być solidny, dla mnie podwójna porcja jakiegoś krwistego mięsa, na wpuł surowego. Dla mojej dziewczyny – przyciągnął Emilię do siebie – i dla mojego ordynansa trochę mocniej wysmażone. Do tego kilka butelek koniaku, tylko żeby nie był szachrowany!

– Rozkaz, panie oficerze. – Hotelarz skłonił się, wyraźnie przerażony obcesowym zachowaniem Hutriela. – Niestety, cała służba nas opuściła, łącznie z kucharzem. Zostałem tylko ja z żoną. Przygotujemy państwu posiłek, ale to trochę potrwa. Natychmiast zaprowadzę pana do apartamentu.

– Sieg heil, Sonderführer! – Nadchodzący oficer niedbale machnął ręką. Mundur miał rozchełstany, a oczy mętne od wypitego alkoholu. – Jestem major Bering, dowódca pierwszego pułku Märkisch Friedland. Co pana do nas sprowadza, jeśli można spytać?

– Nie można – burknął diabeł. – Tajemnica.

– Ech, wy czarodzieje – prychnął major. – Wydaje się wam, że pozjadaliście wszystkie rozumy, co? A co to za dzierlatka? – Obrzucił Emilię ciekawym spojrzeniem. – Jeniec? Szpieg?

– Nie wsadzaj pan nosa w nie swoje sprawy – syknął Hutriel. – Bo jeszcze ktoś zapyta, co się stało z kasą rozformowanej drugiej brygady i czemu polska robotnica skończyła w Schwerin z kulą w głowie, wystrzeloną z waszego pistoletu. Może dlatego, że zmajstrowaliście jej bachora i mogło się wydać, że skalaliście czystą krew rasy panów?

Major zachwiał się i cofnął o kilka kroków. W jego oczach pojawił się strach. Chyba dotarło do niego, z jak niezwykłym mężczyzną rozmawia. Wyprostował się jednak natychmiast i wykrzywił usta w grymasie niechęci.

– Cholerne sztuczki przeklętych magików – mruknął. – Idź pan z tą nieszczęsną dziewczyną, ale nie chcę słyszeć krzyków, gdy będziesz ją torturował. Ciekaw jestem, czy wasz przełożony wie, że się rozbijacie po apartamentach, podczas gdy on kisi się w ratuszu u boku pułkownika.

– Mój przełożony? – zainteresował się Hutriel.

– Sam SS-Obermagführer Leopold von Lichtstärke jest tutaj. I co na to powiesz, magiku? Masz teraz pietra?

Księżę piekieł odpowiedział uśmiechem tak ponurym, że przygasł ogień w kominku. Odwrócił się i pociągnął Emilię w kierunku schodów na górę, przy których czekał hotelarz. U ich stóp zatrzymał się jeszcze i po raz ostatni spojrzął na dziwnie onieśmiałego majora.

– Twoja żona zginęła w bombardowaniu trzy dni temu – powiedział. – Belka ze stropu zmiażdżyła jej uda i unieruchomiła. Biedaczka nie miała szans wydostać się z płonącego domu. Skonała w męczarniach, wzywając twoje imię. Nie było cię przy niej. Akurat wtedy pieprzyłeś na pace ciężarówki z zaopatrzeniem Helenę Bragg z kwatermistrzostwa. Gratuluję.

Major spąsował ze zgrozy i wściekłości.

– Skąd... Jak śmiesz?! – ryknął i sięgnął do kabury, ale jego pas z bronią leżał na podłodze przy kominku.

Dwaj młodszy oficerowie zerwali się ze swoich foteli, doskoczyli do majora i odciągnęli go, starając się go uspokoić. Jakikolwiek był powód spięcia z esesmagiem, dążenie do otwartej konfrontacji z nim nie miało sensu. Nazistowscy czarownicy stali ponad wszystkim, odpowiadali jedynie przed Himmlerem i Lichtstärkem, poza tym władali siłami, z którymi lepiej nie zadzierać. Żołnierze bez słowa pozwolili odejść Hutrielowi i jego dwojgu przybocznych.

Apartament był czymś najpiękniejszym, co Emilia kiedykolwiek widziała. Choć oświetlał go jedynie blask dwóch lamp naftowych przyniesionych przez Ignacego, wydawał się jej bajkowym pałacem. Lśniące, lakierowane meble, komoda i

trzydrzwiowa szafa z lustrem, łoże z baldachimem, stoliki, barek na kółkach i do tego dywan w każdym pokoju, nawet w łazience.

Hutriel kazał jej się ogarnąć, bo ponoć śmierdziała, jakby się nie myła od miesiąca. Co zresztą było zgodne z prawdą.

Dziewczyna była zszokowana i onieśmielona białą łazienką z wielką wanną. Wyszorowała się pachnącym mydłem, splukała zimną wodą i wytarła oszałamiająco miękkim ręcznikiem. Gdy wróciła na pokoje, mężczyźni już jedli kolację. Poczowała zapach mięsa i usta w jednej chwili napełniły jej się śliną. Przejmująca pustka w żołądku stała się nagle niesłychanie bolesna – Emilia nic nie jadła cały dzień. Kapitan Reinhold wstał na jej widok i odsunął krzesło, kłaniając się grzecznie. Dygnęła, zmieszana staroświeckim zachowaniem potępionego, i zasiadła do stołu.

Diabeł rozlał koniak do pękatych kielichów i wypił swój duszkiem, po czym znów go napełnił. W ciągu kilku minut powtórzył ten proceder kilka razy i w rezultacie sam opróżnił całą butelkę. Natychmiast zębami zerwał lak z następnej flaszki i również zębami wyciągnął z niej korek. Emilia tymczasem opychała się gorącym pieczystym, chlebem i piklami. Jadła szybko, łapczywie i niechlujnie, Opanowała się, gdy zauważyła, z jakim niesmakiem patrzy na jej wyczyny Ignacy. Otarła otłuszczone usta rękawem, żuła wolniej, złapała też sztucce w taki sam sposób jak on. Potrafiła szybko przystosować się do sytuacji, to była jej wrodzona cecha, która nieraz ratowała ją z kłopotów.

Hutriel włożył palcami do ust płat parującego krwistego mięsa i rwał go zębami. Opróżnił talerz i półmisek, a gdy na stole już nic nie zostało, rozparł się wygodnie, wyciągnął z kieszeni złotą papierośnicę, otworzył i podsunął swoim niewolnikom. Przypalił im papierosy ognikiem, który pojawił się znikąd między jego palcami. W powietrzu zapachniało siarką.

– Długo prowadzicie wojnę z chłopcem tworzącym światy, Ekscelencjo? – zagadnęła Emilia.

– Daruj sobie tytuły, towarzyszko – rzekł diabeł. – Mówmy sobie po imieniu, będzie bardziej familiarnie. A w wojnie biorę

udział już jakiś czas, trudno oszacować, bo światy nie są zorientowane w głównej linii czasowej. Dwa razy już niemal go dopadłem. Za pierwszym razem sprytnie mnie załatwił, za drugim uciekł. Może Ignacy ci opowie, ja się jeszcze rozejrzę. Spróbuję wśliznąć się do kwatery sztabu i przyjrzę się oficerom. Coś mi mówi, że ten obermag może być naszym celem. Pa!

Wychylił jeszcze jeden kielich, podszedł energicznie do drzwi balkonowych i otworzył je na całą szerokość. Do środka wdarł się podmuch lodowatego wiatru. Hutriel wyszedł w ciemność i jednym susem wskoczył na balustradę. Jego sylwetka zlała się z ciemnym tłem, ale Emilia przez mgnienie oka dostrzegła wielkie czarne skrzydła, rozkładające się na barczystych plecach diabła. Poczowała ciarki strachu. Ignacy zatrzaskał drzwi.

– Napij się jeszcze, Emilio, to ci pomoże znieść tę noc w miarę przyjemnie – powiedział, podając jej kieliszek.

– Ja nie piję, przecież już mówiłam.

– Hutriel lubi w pełni korzystać ze swojej cielesności, rzadko ma okazję wydostać się z piekła i szaleć w rzeczywistym świecie.

– Ignacy uśmiechnął się smutno. – To dlatego żre i chleje jak szalenciec. Nie ogranicza się jednak do spożywania, inne chucie też lubi zaspokajać jak najintensywniej. Rozumiesz? Jesteś kobietą i wiesz...

– Wiem, nie jestem głupia – parsknęła, przyjęła kielich i pociągnęła z niego tęgi łyk. – Myślisz, że kobieta jest w stanie zachować czystość na wojnie? W obozie szkoleniowym, w okopie, nawet w batalionie kobiecym, do którego zostałam początkowo przydzielona, wszędzie było pełno wyposzczonych chłopów. Niektórzy oficerowie, jak sobie popili, zamieniali się w opętanych żądzą dzikusów. Różnie bywało, czasem dało się jakoś odpędzić, ale nie zawsze. Jakbym nie dawała, już bym nie żyła.

Kapitan Reinhold pokiwał w zadumie głową. Wojna to okropność, dobrze o tym wiedział. Sam też miał wiele na sumieniu. Nie trafił przecież do piekła bez powodu.

– Hutriel wspomniał, że już dwa razy starł się z tym młodym bogiem. – Dziewczyna zmieniła temat.

– Tak, zgadza się. – Ignacy rozparł się na krześle, w dłoni obracał pusty kielich. – Na pierwszą wojnę wybrał się sam, w pojedynkę, i znam ją tylko z jego opowiadań. Nie chciał zabierać ze sobą armii demonów, bo to nie przynosiło pozytywnych rezultatów. Wymyślił, że samemu będzie mu łatwiej dotrzeć do młodzieńca i załatwić go z marszu. Ponoć świat, w którym go odnalazł, był dotkliwie okaleczony i zdewastowany. Młody bóg bawił się w nim w okropnie wyniszczającą wojnę totalną. Realia cywilizacyjne osadzone były w drugiej połowie dwudziestego drugiego stulecia, w czasach, z których pochodził chłopiec. W wojnie użyto więc broni, o jakiej w moich czasach nie śniło się największym szaleńcom. Hutriel opowiadał o bombardowaniach z wykorzystaniem pocisków mogących obrócić w ruinę połowę kontynentu. Ponoć całe krainy zamieniały się po takim ostrzale w spopielone pustkowia przesączone śmiertelnościami promieniowaniem, zeszkłone i całkowicie pozbawione życia. Hutriel namierzył bożka już po wojnie na żarzących się gruzach wielkiego miasta, gdzie chłopiec napawał się orgią zniszczenia. Chyba celowo, w przyływie frustracji, obrócił w perzynę wierne, wręcz bliźniacze odbicie swojego własnego świata. Musiał być naprawdę nieszczęśliwym i zagubionym dzieckiem, skoro tak nienawidził miejsca, w którym się urodził i wychował. Pewnie wiele wycierpiał, był niekochany przez rodziców, nie potrafił znaleźć się wśród rówieśników, którzy go krzywdzili. Możemy zgadywać, to zresztą nieistotne. Książę piekieł nie docenił chłopca mimo tego, co spotkało jego druhów z otchłani, i stanął przed nim otwarcie, uraczył przemową i groźbami lub czymś równie głupim. Nasz drogi Hutriel, niech go piekło pochłonie, jest zadufanym w sobie, pełnym pychy gnojkiem. Czasem zdarza mu się zrobić coś z klasą, ale raczej rzadko. Tak czy inaczej, zamiast z zaskoczenia załatwić chłopca, pozwolił mu przejąć inicjatywę. Stoczyli pojedynek, który dokończył dzieła zniszczenia. Ponoć kontynent, na którym odbyło się starcie, pękł na pół i zapadł się, a wzburzone fale oceanu przetoczyły się przez całą planetę. Niebo zapłonęło żywym ogniem, atmosfera została odrzucona w kosmiczną pustkę, z dna mórz podniosły się wulkany, skorupa ziemską trzasnęła jak skorupka zgniecionej

jajka. Lawa, wrząca woda i chłód kosmicznej pustki zderzyły się ze sobą i spowodowały ostateczną katastrofę. Hutriel został zalany stopionym piaskiem, który natychmiast zastygł i uwięził go w gigantycznej, ważącej tysiące ton szklanej kuli. Spędził w niej kilka lat realnego czasu, to mu naprawdę dało w kość!

Reinhold parsknął śmiechem i ponownie napełnił kielichy. Emilia opróżniła swój do dna. Czuła się przyjemnie błogo, zrobiło jej się wesoło. Zawtórowała Ignacemu śmiechem całkiem szczerze. Dawno się nie śmiała, zapomniała już, jakie to miłe.

– Nie wiem, jak się wydostał i jak długo lizał rany na dnie piekła, ale do następnego świata zabrał mnie ze sobą. Tak się złożyło, że miałem wątpliwą przyjemność znać księcia jeszcze za życia, w prawdziwym, pierwotnym świecie. Z jakiegoś powodu mnie zapamiętał, chyba nawet polubił, bo przypomniał sobie o moim istnieniu kilkaset lat po ostatnim spotkaniu – kontynuował kapitan. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jakim szczęściem było znów poczuć podmuch wiatru na twarzy, wziąć oddech pełną pierś, rozprostować stare gnaty. Byłem tak zachwycony i wdzięczny Hutrielowi za zwrócenie mi cielesności, że skoczyłbym za nim w ogień. Trzeba przyznać, że zrobił mi niebywałą frajdę. Wracając jednak do samego konfliktu: tym razem znaleźliśmy się w dziewiętnastym stuleciu. Trwały wojny napoleońskie. Nasz chłopiec pod postacią dorosłego mężczyzny pełnił funkcję marszałka Francji, najbardziej zaufanego dowódcy Napoleona. W kontinuum panowała zaraza żywej śmierci, umarli wstawali z grobów i pożerali żywych. Coś okropnego. Jako marszałek Francji prowadził do boju regimenty umarłych. Obserwowaliśmy, jak pod Waterloo rozbił w pył połączone armie brytyjskie i pruskie. Wyobraź sobie tysiące kiwających się i potykających nieżywych żołnierzy w podziurawionych i zakrwawionych mundurach, idących bezgłośnie i niestrudzenie, niezważających na karabinowe salwy. Nawet gęsty ostrzał artylerii nie był w stanie ich zatrzymać. A co się działo w bezpośrednim starciu na bagnety! Prawdziwa makabra. Nieżywi przegryzali gardła Prusakom i Anglikom, krew lała się strumieniami. Osaczyli gwardię Wellingtona i po prostu ją pożarli. Samego księcia ściągnęli z

konia, rozpruli mu brzuch i jeszcze żywemu wywlekli z wnętrza jelita.

– Fuf! – Emilia wykrzywiła usta, a potem wybuchła śmiechem.

– W przebraniu francuskich szwoleżerów wśliznęliśmy się do świętującego zwycięskiego obozu w noc po bitwie. Zająłem się strażami, a Hutriel zaskoczył chłopaka w czasie pijackiej orgii. Niewiele brakowało, a dopadłby go wtedy, ale szczeniak miał szczęście i zwiął. Potem przywołał swoje umarłe zastępy i to my musieliśmy się ewakuować. W jego rzeczywistości nawet książę piekielny nie jest nieśmiertelny ani nietykalny. Truposze dotkliwie go pokąsały i chyba tylko dzięki piekielnej krwi nie zapadł na chorobę, która zmienia ludzi w bezrozumne, martwe potwory.

Emilia pokiwała głową.

– Ciekawe, w jaki sposób użyje mnie w walce z młodym bogiem?

– Lepiej o tym nie myśl. – Reinhold uśmiechnął się smutno. – Nie chcę cię straszyć, ale bądź gotowa na wszystko. Hutriel nie ma skrupułów.

– Nie możemy mu uciec?

– Za późno, spętał nasze dusze, wszędzie nas znajdzie. Nie widziałas go jeszcze rozwścieczonego lub podczas wykonywania, że tak powiem, swoich obowiązków. Nie zapominaj, kim jest. To Anioł Kary, Bicz Boży. Potrafi zadawać ból, jakiego ludzie nigdy nie zaznali.

Emilia przełknęła ślinę. Koniak zostawiał mocny, nazbyt aromatyczny posmak w ustach, palił w gardle i wyciskał łzy z oczu. Podporucznik otarła wargi rękawem, zauważając przy tym, że ręka jej drży. Teraz naprawdę zaczęła się bać.



Obudziła się cała obolała, z tępym łupaniem w skroniach i wyschniętym gardłem. Kiedy się poruszyła, okazało się, że ma poobcieraną skórę, a krocze płonie żywym ogniem. Leżała w

miękkim łożu z baldachimem obok pochrapującego przez sen Hutriela. Na wspomnienie tego, co nocą zrobił jej diabeł, z ust dziewczyny wyrwał się głośny jęk. To nie był sen, kopulowała z księciem piekiel! Emilce zrobiło się gorąco ze wstydu, gdy przypomniawszy sobie, jak ochoczo rozłożyła przed nim nogi i jak wrzeszczała z rozkoszy na cały hotel. W najśmielszych snach nie wyobrażała sobie, że kobieta może przeżyć takie uniesienie, że mężczyzna może dać jej tyle przyjemności. Bzykanie w wykonaniu pijanych oficerów Ludowego Wojska Polskiego było przy tym czymś żałośnie śmiesznym, ledwie ohydnie zwierzęcym zaspokojeniem potrzeb fizjologicznych, niczym więcej. Zbliżenie z Hutrielem okazało się czystą poezją, brutalną, pełną agresji i emocji, a jednak poezją. Diabeł nie tylko ją brał, ale i wprowadzał ekstazę, rozrywał na strzępy i kształtował na nowo. Drzemiąca w dziewczynie moc wybuchła niemal żywym ogniem. Tym razem nie przyniosła jednak wściekłości, nie zmieniła jej w furję, lecz napełniła żyły ciepłym, lepkiem miodem. Słodką błogością. To było niesamowite doznanie.

Patrzyła na szlachetne, regularne rysy śpiącego upadłego anioła niemal z czcią. Był taki piękny, doskonały, nieludzki. Można go było pokochać całym sercem albo całym sercem znienawidzić, ale człowiek nie mógł pozostać obojętny w kontakcie z tą niezwykłą istotą. Czuć w nim było dotyk samego Boga. Zanim upadł, musiał przebywać blisko Niego, a to czyniło go czymś nadzwyczajnym.

Drzwi balkonowe eksplodowały z łomotem i brzękiem tłuczonego szkła. Grad odłamków rozbryzwał się po dywanie. Emilia w jednej chwili stoczyła się z łóżka na podłogę, wyciągnęła ręce po pepeszę opartą o fotel. Hutriel otworzył oczy i usiadł z westchnieniem. W roztrzaskanych drzwiach stał anioł. Miał ponad dwa metry wzrostu, jaśniejącą twarz o rysach równie szlachetnych jak Hutriel, tylko pozbawionych drapieżności, łagodniejszych i promieniujących dobrocią i potęgą. Ubrany był w czarny mundur oficera SS ze złotym ryngrafem na piersi. Z pleców wyrastały mu dwa śnieżnobiałe skrzydła.

Drzwi sąsiedniego pokoju otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł kapitan Reinhold. W jednym ręku trzymał pistolet maszynowy, w drugim szablę. Jednym susem znalazł się między aniołem a diabłem. Emilka doskoczyła do swojej pepeszy, chwyciła ją i stanęła obok Ignacego. Jej twarz płonęła rumieńcem, nie zdążyła nic na siebie zarzucić, stała całkiem nago.

– Odwołaj swoje potępione psy, Hutrielu, bo będę musiał je spalić – zahuczał anioł potężnym głosem.

– Witaj, Puruelu, braciszku – odezwał się diabeł, zakładając ręce za głowę i wyciągając się wygodnie na łóżku. – Co za niespodzianka! Myślałem, że obermagiem jest ten cholerny młody bożek, a tu klops. Leopold von Lichtstärke to sam Anioł Sądu, Ogień Boży. I co ja teraz, niebożę, pocznę? Hę? A wy, dzieci moje, odejdźcie, bo mój braciszek lubi bawić się ogniem i jest jeszcze bardziej bezlitosny ode mnie.

Ignacy opuścił broń i wycofał się pod ścianę, gdzie zastygł, ciągle trzymając pistolet w garści. Emilka skoczyła po swoje ciuchy, leżące skołtunione na podłodze, i zaczęła się pośpiesznie ubierać. Czowała się fatalnie bez ubrania, choć żaden z mężczyzn nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

– Co tu robisz, sukinsynu? – syknął Puruel. – Jakim prawem wchodzisz mi w paradę? Umówiliśmy się z Lucyferem, że to dominium pozostawiacie nam. Sami zajmujemy się tym błędzącym chłopcem.

– Po pierwsze, nie nazywaj mnie sukinsynem, bo wiesz, kogo obrażasz. Po drugie, nic nie wiem o żadnej umowie, a ze szczeniakiem mam na pieńku i zamierzam zabrać go tam, gdzie jego miejsce.

– Ta ja decyduję, gdzie jest jego miejsce! – zagrzemiał anioł. Jego piękna twarz wykrzywiła się w grymasie złości i pogardy. W pomieszczeniu rozszedł się swąd, to tlił się dywan pod stopami Puruela. – Ja zaglądam w głąb ludzkich dusz i kieruję je, gdzie należy.

– Co tu badać? – Hutriel zdecydował się jednak wyleźć z

pieleszy. – Chłopak popełnił bluźnierstwo pierwszego stopnia, sięgając po boską władzę. Tworzył i unicestwiał światy, pożerał ludzkie dusze. Potępienie mu się należy z urzędu, twoje sądy niczego tu nie zmienią. Zabieraj się do Bozi, pióraku, no już! Nic tu po tobie.

Po skórze anioła przemykały ogniste płomyki. Puruel pokręcił głową z niesmakiem. Emilia czuła bijące od niego gorąco jak od otwartego hutniczego pieca. Musiała zasłonić twarz ramieniem.

– Znów knujecie, bydlaki. Ale niedoczekanie wasze, nie przechwycicie sztucznych kontynuów. Wszystkie żyjące istoty należą do Pana!

– To się jeszcze okaże – mruknął pod nosem Hutriel.

Puruel wściekł się, w jednej chwili zapłonął białym żarem. Emilka musiała schować się za łóżem. Kątem oka dostrzegła, jak tapeta na ścianach pokrywa się bąblami i odłazi całymi płatami. Ignacy stał twardo, choć mundur na nim zaczynał się tlić. Hutriel wyszedł aniołowi naprzeciw nago, z podniesioną głową. Jego skóra lśniła potem i lekko parowała. W dłoni trzymał wijący się, jakby był żywy, pleciony bicz.

– Nie unoś się tak, braciszku – warknął.

Dla podkreślenia swych słów trzasnął biczem. Jego koniec uderzył w podłogę u stóp anioła i wyrwał z niej fontannę potrzaskanych kawałków parkietu i pokruszonego betonu. Puruel przygasł w jednej chwili. Emilkę wypełniło przerażenie i podziw jednocześnie, czuła się mała i nic nieznająca. Potęga tych dwóch istot ją przytłaczała. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

– Może ogłosimy małe zawieszenie broni, co? – zaproponował Hutriel. – Moim celem jest dopadnięcie tego smarkacza. Jeśli potem dojdzie do kolejnej wojny w niebiesiech, to już nie mój interes. Umówmy się, że razem dopadniemy gnojka, a potem ja się stąd wyniosę. Nie będę próbował nic knuć, po prostu zniknę.

– Zostawicie nam światy równoległe? – Puruel całkiem zgasł, złożył ręce na piersi, patrząc podejrzliwie na diabła.

– Powiedzmy, że ten świat. Nie mogę decydować o pozostałych,

to nie należy do moich kompetencji. – Bicz Hutriela pełzał niecierpliwie po podłodze.

– Zgoda, ale pod warunkiem, że ja biorę chłopaka. I tak jest duża szansa, że trafi do was.

– Akurat! Zbyt dużą mocą włada, byście tak łatwo go wydali! – prychnął Hutriel. – Pewnie będziecie go ewangelizować i przeciągać na swoją stronę. Przygarniecie błędzącą owieczkę, przytulicie do piersi jak syna marnotrawnego. Będzie tańczył, jak mu zagracie, może nawet zrobicie z niego cherubinka. Już ja was znam!

Puruel z niesmakiem pokręcił głową.

– To się dopiero okaże, gdy spojrzę w jego duszę. Jeśli są tam zło i nienawiść, będzie twój. Jeśli natomiast to cierpiący, zagubiony nieszczęśnik, który żałuje swych czynów, nie mogę niczego obiecać.

Hutriel machnął ręką i zwinął bicz.

– Dobra, i tak nic nie utarguję. Niech będzie, nie wejdę ci w paradę, a w starciu z bożkiem wesprę.

Puruel łaskawie skinął głową.

– Mam niemal pewność, że jest jednym z dowódców sowieckich dywizji – powiedział. – Do bitwy z prowadzonymi przez niego oddziałami dojdzie jeszcze dziś. Zamierzam przebić się do sztabu komunistów i dopaść chłopca. Bądź w pobliżu, ale nie próbuj atakować w pojedynkę, bo go spłoszysz albo ściągniesz na siebie zgubę. Poczekaj na mój ruch.

Odwrócił się i nie czekając na reakcję diabła, wskoczył na balustradę balkonu. Ogromne białe skrzydła wzbiły śnieżną kurzawę, gdy nimi załopotał. Emilka musiała przyznać, że jest jeszcze piękniejszy niż Hutriel. Szczególnie gdy majestatycznie szybował nad miastem.

– Nie gap się tak, dziewczeczko – mruknął diabeł. – Przejdźmy do innego apartamentu, bo tu się nie da pracować. – Wskazał na dziurę w podłodze, przez którą widać było pokój piętro niżej. – Ignacy zamówi nam śniadanie, mamy chyba jeszcze chwilę, by je

zjeść.

Wyrzwał przez strzaskane drzwi balkonowe. Nad rynkiem krążyło kilka skrzeczących harpii, wozy opancerzone z rykiem grzały silniki, kręcili się przy nich żołnierze. Sztab szykował się do odjazdu.

Na korytarzu natknęli się na przerażonego hałasami właściciela. Hutriel kazał mu udostępnić inny pokój i zmiatać. Znaleźli się w zwykłym pojedynczym pomieszczeniu, już nie tak wystawnym jak zdemolowany apartament. Diabeł wziął zimny prysznic i włożył mundur esesmaga. Rzucił się na przyniesione z kuchni jajecznicę i chleb, jakby nie jadł od miesięcy. Emilia towarzyszyła mu z równym zapalem. Postanowiła korzystać z życia tak jak diabeł. W sumie nie wiadomo, ile czasu jej zostało.

– Kto by się spodziewał? – Hutriel odchylił się na oparcie krzesła i popukał w kłamrę pasa z wytłoczoną starą sentencją i credo niemieckiej armii: Gott mit uns. – Bóg jest z nami. A właściwie z nimi! Bóg jest po stronie faszystów. Z jednej strony zabawne, a z drugiej – wiele wyjaśnia. W jednym ze swoich światów młody bóg już się bawił w drugą wojnę, stanął po stronie państw Osi i poprowadził je do miażdżącego zwycięstwa. Założyłem, że znów to zrobi, tylko w innej stylistyce – magicznej. Dlatego szukałem go w sztabie niemieckiej dywizji. A tu zamiast szczeniaka spotykam piórowatego, jak zwykle nadętego do granic możliwości. Armia Boga stanęła po stronie nazistów, bo bożek tym razem prowadzi sowietów! Aniołki chcą go pokonać w otwartej bitwie, tak jak moi nieodżałowani kompanii z piekła, przekłętej pamięci Azazel, Ezekiel i Tyfon. Nasz drogi braciszek Puruel też się sparzy, jestem o tym przekonany. Partacze z nieba nigdy nie uczą się na błędach, zbyt są zadufani.

– Poczekasz, aż anioł dostanie łomot od bożka, a potem sam się do niego dobierzesz? – zgadywał Ignacy.

– A co, to zbyt przewidywalne? Najlepsze pomysły to te najbardziej banalne. Tak mniej więcej zrobimy! – Hutriel zatarł ręce. – Nie wiem tylko, czy ten idiota Puruel przy okazji nie obróci w perzynę połowy tego nieszczęsnego świata. Głupich nie sieją. Pod pozorem czynienia dobra gotów jest mordować bez

opamiętania i umiaru. Nic nie zostanie dla mnie do zepsucia i deprawacji! Powinniśmy zatem dopaść szczeniaka, zanim zrobi to Ogień Boży. Taktyka będzie prosta. Ruszycie na niego we dwoje i spróbujecie go zabić. Jesteście na tyle zdolni i drapieżni, że przynajmniej wprawicie go w zakłopotanie. Gdy on skoncentruje się na was i będzie usiłował was zgładzić, wtedy zajdę go do tyłu. Spętam Biczem Bożym i zaciągnę na samo dno piekła. Ha!

Oczy rozzarzyły mu się krwistą czerwienią, grymas zwierzęcej wściekłości zniekształcił szlachetne rysy. Wyglądał demonicznie i ze śladami jajecznicy na ustach już nie tak pięknie. Poderwał się z krzesła i kazał swoim niewolnikom się zbierać.

– Teraz już wiesz, do czego jesteśmy mu potrzebni i jak zamierza nas użyć – mruknął Ignacy do dziewczyny.

– Mamy odciągnąć uwagę młodego boga... – Emilia westchnęła.

– Rzuci mu nas na pożarcie – dodał Reinhold, zacisnął pięści i ruszył za wychodzącym z pokoju diabłem.

Emilka dogoniła ich na schodach. Po chwili znów siedzieli w kübelwagenie. Ignacy próbował uruchomić silnik. Tymczasem wszystkie niemieckie samochody znikły w uliczce, rynek w jednej chwili zupełnie opustoszał, tylko w pojedynczych oknach pojawiły się twarze przestraszonych mieszkańców. Hutriel warknął i trzasnął pięścią w deskę rozdzielczą garbusa. Silnik kaszlnął, ryknął, zaperkotał znajomym rytmem. Kapitan Reinhold wrzucił bieg i ruszyli za oddalającymi się Niemcami.

– Moja droga czerwona czarownico, skup się teraz, proszę... – zwrócił się diabeł do podporucznik.

– Nie mam funkcji czarownicy, jestem na to zbyt słaba – nieśmiało zaprotestowała Emilka.

– ...i powiedz, który z radzieckich lub polskich dowódców mógłby być naszym młodym bogiem, jak myślisz?

Dziewczyna zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Jestem młodszym oficerem liniowym, ledwie dowódcą

plutonu, nie znam osobiście sztabowców – odparła. – Rozmawiałam kiedyś z dowódcą mojej dywizji, generałem Kieniewiczem. To jeszcze młody, całkiem przystojny mężczyzna, mówiący z mocnym rosyjskim akcentem. Z tego, co wiem, władza aspektem ludowej magii zwanym Robotniczą Wiernością Partii, jednym z kanonów Siły Proletariatu. Pewnie został namaszczonej na maga w samej Moskwie, i to osobiście przez towarzysza Stalina, Czerwonego Smoka. Te aspekty nie są wrodzone, jak mój, tylko nadane przez potęgę ludu.

– Brzmi obiecująco. – Hutriel oblizwał się. – Młody i władający wielkimi siłami... Pasuje, prawda, Ignacy?

– Równie dobrze mógł być jednym z pozostałych kilkunastu sztabowców albo ordynansem któregoś z nich, pociągającym za sznurki z ukrycia.

– Nie, to nie w jego stylu. Szczeniak lubi być w centrum zdarzeń, spijać chwałę i doświadczać wszystkiego osobiście. Tak jak ja.

– Może zastępca dowódcy albo szef sztabu? – zastanawiała się Emilia. – Jeden władza aspektem Jedności Narodu, a drugi jest chyba związany z mniej ważnym kanonem Chleb i Praca. Dowódca mojego pułku raczej nie pasuje, to starszy wiekiem major Truchanow. Nie ma żadnej mocy, jest zwykłym żołnierzem.

Hutriel machnął niedbale ręką.

– Zobaczmy na miejscu, gdy Polacy i Sowieci ruszą do ataku. Tam, gdzie będzie najbardziej gorąco, tam z pewnością pojawi się nasz bożek.

Kolumna aut ze sztabem SS skierowała się na polną drogę w asyście motocyklowego patrolu. Trzy wozy oddzieliły się. Hutriel kazał kapitanowi jechać z nimi. Pojazdy zatrzymały się jakieś trzy kilometry dalej na niewielkim wzniesieniu, skąd roztaczał się widok na naszpikowane bunkrami i umocnieniami wzgórze, pola z pasami betonowych Żębów Smoka i zasiekami. Z transporterów wybiegli żołnierze i kilku jaśniejących mocą esesmagów, wśród których wyróżniała się skrzydlata, potężna

sylwetka Puruela.

– Zatrzymaj się przy tamtych sosenkach! – rozkazał Hutriel Ignacemu. – Nie będziemy się zbytnio rzucali w oczy.

Minęło ich czterech mierzących niemal pięć metrów wzrostu golemów, przygarbionych i ciągnących po ziemi łapy z ogromnymi, okutymi stalą pięściami. Towarzyszyło im stado krążących nad głowami esesharpii, które skrzeczały z podniecenia. Golemy zagrzebały się w ziemi między zasiekami a gniazdami ciężkich karabinów i działami przeciwpancernymi. Magowie rozbiegli się wzdłuż linii obrony i pletli jakiś wspólny ogromny czar. Powietrze skrzyło się, co chwila przeskakiwały pioruny elektrostatycznych wyładowań, aż Emilka musiała odsunąć się od blaszanego nadwozia samochodu.

Hutriel usiadł na masce garbusa i z uśmiechem przyglądał się przygotowaniom do bitwy, przejeżdżającym wozom opancerzonym, biegającym żołnierzom i śmiertelnie bladym cywilom z Volkssturmu, dźwigającym pancerna fausty. Z ciężkich ołowianych chmur wyfrunęły dwie świetliste postacie o białych skrzydłach i dołączyły do Puruela – jego przyboczne anioły. Na ich widok diabeł splunął pogardliwie na ziemię. Ignacy spokojnie nabił fajkę i zapalił, przysiadłszy na przednim zderzaku u stóp Hutriela.

Emilka czuła ciepło rozniecające się w piersi, choć nie sięgała po moc. Wzrok wyostrzył jej się w jednej chwili, złość i gniew wypełniły umysł. W ustach pojawił się metaliczny smak krwi z przygryzionej wargi. Miała ochotę unieść pepeszę i ruszyć do ataku na faszystowskie zastępy choćby w pojedynkę. Naziści szykowali się do zabijania jej rodaków, przyjaciół i towarzyszy broni. Polskie oddziały pewnie nie były świadome, na jak wielkie siły nieprzyjaciela lada chwila się nadzieją. Emilia z trudem wzięła się w garść. Odetchnęła głęboko, zapanowała nad furją. Całym ciałem czuła nadchodzącą bitwę, była wszak prawdziwym psem wojny. Usiadła na zderzaku obok Ignacego. Czekwała.



Czas włókł się niemiłosiernie. Esesmagowie położyli iluzje kamuflujące na owalne łby bunkrów, zamieniając je w niepozorne pagórki, sterty polnych kamieni i kępy krzaków. Podobnie zostały ukryte gniazda cekaemów i okopane działa przeciwpancerne. Zęby Smoka porosły kolczastymi krzewami, wytworzonymi przez jakąś wiedźmę z NSDAP, także zasięki całkiem znikły w płataninie zieloności. Zaklinacze ognia, czyli kilku niższych stopniem żołnierzy SS z odznakami złotego płomienia na patkach, rozpalili bezdymne ogniska, przy których grzały się grupki grenadierów i ochotników z Volkssturmu. Aniołowie tkwili na szczycie wzniesienia od północy, skąd mieli nadejść komuniści, osłonięci iluzją rozwalonej chałupy.

Hutriel, pólęcząc na masce garbusa, grał z Reinholdem w mariasza talią niezwykle starych kart, pamiętających jeszcze wojny napoleońskie. Obaj sprawiali wrażenie całkowicie spokojnych, ot, dwóch starych wojaków, cierpliwie czekających na rozpoczęcie bitwy. Wojna była bowiem dla nich głównie niekończącym się czekaniem, przemarszami i znów czekaniem, co nie zmieniało się wraz z epokami i realiami, w jakich przyszło im walczyć. Obaj wyćwiczyli w sobie specyficzny dla starych żołnierzy rodzaj cierpliwości. Potrafili na zawołanie osiągnąć stan umożliwiający zasypianie w najróżniejszych pozycjach i porach dnia, pożywianie się i wypróżnianie na rozkaz, chciwe łapanie każdej najdrobniejszej przyjemności i stoicki spokój w obliczu nadchodzącej śmierci. Obaj byli znacznie bardziej doświadczonymi psami wojny niż Emilka.

Mimo krótkiego wojennego stażu w porównaniu z tymi dwoma weteranami podporucznik zdążyła już nieco liznąć wojskowego życia, przynajmniej na tyle, by nie miotać się w nerwach i bezsensownym podnieceniu. Mogli tak czekać na spodziewany szturm nawet kilka dni, zajmując myśli choćby idiotyczną grą w karty. Obserwowała zatem rozgrywkę, choć początkowo nieco ją irytowała, potem jednak patrzyła na oszukujących się nawzajem graczy z rozbawieniem.

– Ty mi tuza, a ja ci wyżnikiem!

Diabeł z rozmachem przebił damą asa rzuconego przez Ignacego.

– Biorę lewą.

Kapitan sięgnął po karty.

– Gdzie z łapami? Toż ja ci wyznikiem kozernym przyfasoliłem, ciemna maso. To moja lewa!

– Kozerem jest trefl, a ty dałeś wyznika pikowego – oburzył się Ignacy.

– Sam nie wiesz, jaki jest kozer.

Diabeł wyciągnął kartę leżącą koszulką do dołu na spodzie kupki dobieranych kart. To była dziesiątka pik.

Emilia parsknęła śmiechem. Pamiętała, że na początku partii była to dziesiątka trefl.

– Stary numer z zamianą kolorów, Hutrielu. Czuję się urażony, traktujesz mnie jak nowicjusza. Następnym razem kantuj z większą klasą. Zabieram lewą.

Ignacy położył dłoń na kartach i próbował je przeciągnąć na swoją stronę. Hutriel złapał go za rękę i ryknął wściekle. Emilka aż podskoczyła, krzyk był bowiem upiorny, nie pochodzący z ludzkiego gardła, basowy i ciężki jak dudnienie gromu. Harpie siedzące na konarze pobliskiego drzewa zaskrzeczały wystraszone. Skupieni przy ogniu esesmani odwrócili się w stronę hałasu. Czterech z nich doskoczyło do dwóch motocykli BMW z koszami i odpaliło silniki.

– No i masz – jęknął poblady Reinhold. – Sprowadziłeś na nas kłopoty.

– Trzeba było nie cyganić, tylko grać uczciwie – prychnął diabeł. – Po co się miotales, przecież nie graliśmy o twoją duszę, mam ją już od dawna w kieszeni. Wyprowadziłeś mnie z równowagi, człowieku.

Emilka sięgnęła po pepeszkę i przeładowała ją. Gorąco bitwy znów zaczęło dudnić jej w żyłach.

– Mogę ich rozwalić?

Przyłożyła kolbę do ramienia.

– Też sobie wybrałem psy – mruknął Hutriel, kładąc dłoń na lufie pepeszy. – Oba wściekłe. Nie strzelajcie, dopóki nie powiem. Zależy nam, by niepostrzeżenie dotrzeć do młodego boga. Do tego czasu żadnych awantur.

– Rozkaz. – Dziewczyna skinęła głową i z żalem opuściła broń.

Motocykle wyjechały na otwarty teren, pięły się po wzniesieniu, kierując się na kępę sosenek, za którymi stał kübelwagen. Huknął pojedynczy strzał, pierwszy z motocyklistów fiknął z siedzenia. Zaterkotał karabin maszynowy i drugi pojazd zarył w ziemi na poboczu, kierowca i strzelec w koszu zalegli w bezruchu. Strzały padały od strony lasu, z północy. Po chwili odpowiedział im niemiecki cekaem, siekając na drzazgi krzaki i drzewa. Zaległa głucha cisza.

– To był zwiad, chłopcy z rozpoznania – ucieszyła się Emilia. – Nasi idą.

– Nie nasi, tylko ludzie bożka – sprostował Hutriel. – Wygląda na to, że wreszcie lada chwila zetrą się z armią prawdziwego Boga. Szkoda, że nie mamy czekoladek i po lampce szampana. Byśmy miło sobie pooglądali rozpoczęcie bitwy.

Bitwa jednak się nie zaczynała. Rozpoznanie znikło gdzieś bez śladu, harpie krążyły nad lasem w poszukiwaniu Sowietów, Niemcy zalegli na pozycjach, gotowi do walki.

Minęła kolejna godzina ciszy, lodowaty wiatr wzmógł się jeszcze bardziej. Hutriel zaproponował Ignacemu dokończenie rozgrywki, kapitan bez wahania sięgnął po karty.

– Może zagramy o moją duszę, co? – zaproponował.

– A co postawisz w zamian? Masz tylko zardzewiałą szabelkę – szydził Hutriel.

– Oficerska, zabytkowa, z najlepszej stali, kuta przez mistrza kowalskiego. Prawdziwy rarytas – zachnął się Ignacy.

Po dłuższych targach diabeł zgodził się postawić przeciw szabli swój bicz. Emilka zauważyła, że oczy mu błyszczą podnieceniem. Hutriel był namiętym graczem, może nawet hazardzistą. Jeśli

Reinhardowi dobrze pójdzie, miał szansę wygrać od niego nie tylko bicz i swoją duszę, ale także krąg piekła, w którym Anioł Kary był księciem.

– Hutrielu, ponoć Bóg stworzył nas na swoje podobieństwo – zagadnęła diabła Emilia, by ułatwić Ignacemu szachrajstwo w trakcie rozdawania kart. – Sam jednak mówiłeś, że najmocniejszym impulsem ludzkiego działania jest chęć walki, upodobanie do mordowania, wojna, którą mamy w żyłach. Jaki zatem On jest? Czy ta część ludzkiej natury jest też częścią Jego charakteru? Czemu na to wszystko pozwala i tylko beczynnie się przygląda? Czym się właściwie różni od tego zagubionego chłopca, który się nami bawi?

Diabeł wsadził nos w karty, podrapał się po głowie w okolicy rogu, zsuwając na bakier nazistowską czapkę.

– Zasadniczo jest wszechmocny, doskonały, nieskończenie, tego... Co jest kozerem? Karo. Może być. Bóg jest po prostu Bogiem, nie pamiętam dokładnie jakim, dawno go nie widziałem. Jakbyś przed nim stanęła, doświadczyła światłości, mocy i potęgi, nie zadawałabyś głupich pytań. Różni się od tego chłopca, tak jak światło słońca od płomienia świeczki. Czemu obdarzył was impulsem do ciągłego toczenia wojen? Dał wam wolną wolę, a cywilizację śmierci stworzyliście już sami. Pac, niżnikiem. O, masz kralkę? A niech cię!

– Wolna wola należy do zespołu cech wrodzonych, związana jest z charakterem człowieka – kontynuowała Emilia. – Decyzje, które podejmujemy, to, jakie stworzymy społeczeństwa i cywilizacje, zależy od naszej osobowości. Dusza z kolei jest ponoć odbiciem Boga, została stworzona na jego obraz i podobieństwo. Zatem zło, wojna, przemoc pochodzą także od Niego.

– Nie, to nie tak. – Diabeł pokręcił głową. – Bóg dał wam zdolność rozpoznawania dobra i zła. Dał wam do wyboru całą paletę uczuć: miłość i nienawiść, opiekuńczość i przemoc, współczucie i zawiść, radość i złość. To, że wybieracie plugawe emocje, spiętrzacie je i przekuwacie w wojny, to już sprawa waszej wolnej woli.

– Młody bożek też daje nam swobodę, tylko przy okazji bawi się w przesuwanie ołowianych żołnierzyków. Ogólnie nie ingeruje w to, co się tu dzieje, tak samo jak Bóg. Pozwala nam kochać i zabijać, decydować o sobie. Różnica między nim a prawdziwym Bogiem jest zatem tylko w skali. Nasz bożek jest młodszy i mniejszy, czasem popełnia błędy.

– Ech, znowu wyżnik?! Masz wszystkie wyżniki czy co? – zazgrzytał zębami diabeł i oddał kolejną lewę. – Bredzisz, dziewczyno. Twój bożek to samozwaniec i bluźnierca, nic ponadto. Czego ty właściwie chcesz, do cholery?!

Emilia zacisnęła zęby.

– Pozwól mu poprowadzić polskie dywizje i rozbić faszystów – powiedziała. – Choć tyle, daj mu stoczyć ostatnią zwycięską bitwę, potem go sobie zabierzesz.

– Miło byłoby patrzeć, jak bożek kopie w dupsko tego gogusia Puruela, ale nie mogę ci niczego obiecać. – Pokręcił głową. – Moim priorytetem jest dopaść go za wszelką cenę.

– Poświęcę swoje życie i oddam duszę bez wahania, pomogę ci pokonać szczeniaka, rzucę się na niego nawet z gołymi rękoma, ale pozwól mu najpierw pobić szkopów. – Zacisnęła pięści. – Daj nam tę bitwę, to ważne dla mojej ojczyzny. Dla ludu.

Ignacy na chwilę oderwał wzrok od kart, spojrzał na Emilię z podziwem i jakby ze wzruszeniem. Uśmiechnął się do niej smutno i po raz pierwszy z niekłamaną sympatią. Hutriel tylko prychnął ze zniecierpliwieniem.

– Zobaczymy, mała, zobaczymy. – Machnął ręką.



Ofensywa rozpoczęła się kilka kilometrów na wschód od linii fortyfikacji i głównych sił, na których czele stał Puruel. W oddali zagrzmiały działa, rozjazgotały się karabiny, niebo załśniło czerwienią i piorunami rozładowujących się czarów. Krwista luna wzniosła się wysoko, rozlała się po nieboskłonie, zabarwiła

chmury na złowróżbny kolor. Ziemia drżała i jęczała, rwana pociskami i magią.

Hutriel był zaskoczony i po raz pierwszy okazał nerwowość. Odłożył karty.

– Akurat uzbierałem sto dwadzieścia – westchnął z żalem Reinhold. – Jeszcze jedno rozdanie i wyszedłbym na swoje.

W kolejnych rozdaniach wygrał diabelski bicz i trzy lata urlopu w spokojnym, słonecznym świecie. Potem na szali ważyła się jego dusza, ale wtedy Hutriel okazał się lepszym kanciarzem – Ignacy wszystko stracił. Próbował właśnie się odegrać, aż wreszcie rozpoczęła się bitwa.

– Archanioł się pomylił, nie wywęszył bożka – mruknął diabeł i stanął na masce samochodu. Patrzył na wschód, na kaleczące niebo pioruny. – Co gorsza, ja też źle wytypowałem, przyciągnął mnie tu zapach magii, jej duże nagromadzenie. Ofensywa idzie jednak skądinąd.

– Zbieramy się?

Kapitan zgarnął karty i schował talię do kieszeni.

– Puruel czeka – zauważyła Emilia. – Wysłał swojego przybocznego.

Rzeczywiście, jeden z aniołów poderwał się do lotu i skierował na wschód.

Po paru minutach wsłuchiwanie się w odległą kanonadę strzały rozległy się niespodziewanie z drugiej strony, gdzieś na południowym zachodzie. Emilka rozpoznała stłumione odległością terkotanie pepeszek i pojedyncze trzaski mosinów. Odpowiedziały im szwabskie mausera i ciężkie karabiny.

– Polacy stosują ciekawą taktykę – zauważył Hutriel. – Zamiast skupić się na jednym punkcie w linii fortyfikacji, rozciągnęli front na dobrych dziesięć kilometrów. Zrezygnowali z zaskoczenia i zaatakowali w różnym czasie, pewnie po to, by zagrać Niemcom na nerwach.

– Uderzyli bez przygotowania artyleryjskiego – dodał Ignacy. – Poniosą przez to spore straty. Chyba że to część taktyki, przebicie

się z marszu dużą siłą. Coś jak szarża husarii pod Wiedniem.

– Niestety, obaj się mylicie – warknęła Emilia. – Nie ma wsparcia artylerii, bo ta ciągnie się wiele kilometrów stąd. To trochę skomplikowane... Wojsko Polskie prowadzi ofensywę w drugim rzucie i ma za zadanie osłonić skrzydło frontu. Armia Czerwona prze naprzód, ile sił w nogach, zatrzyma się dopiero po oparciu się o Odrę. Naszym zadaniem jest chronić ich flankę, zepchnąć faszystów do morza. Jesteśmy niżej uprzywilejowani w hierarchii potrzeb, więc mamy gorsze zaopatrzenie. Pierwszym, czego dla nas zabrakło, było paliwo. Mój oddział drałował na piechotę kilkanaście kilometrów, bo ropa w samochodach się skończyła. To dlatego uderzenie jest chaotyczne, bataliony docierają na front w różnym czasie, bo poruszają się, czym się da.

– Nikt tego nie koordynuje? – zdziwił się diabeł. – Zresztą co ja się dziwię, to przecież takie polskie. Huzia z szabelką, byle do przodu!

– Hulaj dusza, piekła nie ma! – dodał Ignacy.

Książę piekieł uśmiechnął się ponuro na tę uwagę.

– Kupa was polegnie. A wystarczyłoby poczekać, podciągnąć armaty.

– Marszałek Żukow byłby niezadowolony ze zwłoki. – Emilia pokręciła głową. – Dalibyśmy czas faszystom, mogliby poprowadzić kontrofensywę i uderzyć w bok i na tyły Armii Czerwonej. Natychmiastowe przełamanie Wału Pomorskiego jest taktycznie konieczne, straty nie mają znaczenia. Przelana krew nie pójdzie na marne.

– Twarda jest, nie? – Hutriel klepnął podporucznik Emilię w plecy.

– Mhm – przytaknął Ignacy i znów zapalił fajeczkę. – Morowa dziewczyna.

– Morowa. Celna uwaga.

Chwilę zadumy przerwało Hutrielowi narastające basowe buczenie. Oczy wszystkich skierowały się na linię lasu na

północy. Brzoźki i sosny jak na zawołanie zaczęły kłaść się pokotem, łamać się jak zapalki. Z radosnym rykiem silników, drąc gąsienicami zmarzniętą ziemię i demolując wszystko na swej drodze, z lasu wyjechały czołgi. T-34 z białymi polskimi orłami na pancierzach jakby na rozkaz jednocześnie grzmotnęły z luf swoich siedemdziesięciosześcimilimetrowych dział.

– A gdzie osłona, gdzie fizylierzy? – zastanawiała się głośno Emilia.

Przybyli trochę spóźnieni. W szarozielonych płaszczach, z pepeszami w garściach, biegli co sił za oddalającymi się pancerniakami. Powitały ich serie z otworów strzelniczych w niemieckich bunkrach, skosiły kilku, kilkunastu, ale piechurzy się nie zatrzymywali. Dwa czołgi wjechały bezpośrednio na Zęby Smoka. Jeden staranował część zapór, wbił się głęboko, zanim zatrzymał go pocisk z przeciwpancernego działa. Kolejny zawisł pod ostrym kątem na Zębie Smoka, jedna jego gąsienica meła bezradnie powietrze. Zza osłony wychylili się ochotnicy z Volksturmu, by dobić go pociskami pancerfaustów, ale fizylierzy byli szybsi i skosili ich seriami z pepeszek.

Pozostałe czołgi skręciły przed zaporami, obróciły wieżyczki i grzmociły raz po raz, jadąc wzdłuż Zębów Smoka. Przed pierwszym z nich wystrzelił spod ziemi wielki golem. Zamachnął się, grzmotnął pięścią w pancierz pojazdu i zmiażdżył go jak blaszaną zabawkę. Z silnika czołgu buchnął czarny dym i wściekłe płomienie. Włazy się otworzyły, ale golem kolejnym ciosem rozmazał próbujących uciekać pancerniaków. Zanim dokończył dzieła, spod ziemi wylazł następny kolos i w milczeniu ruszył do ataku. Załapał lufę przejeżdżającego T-34, urwał ją razem z wieżyczką, zakręcił nią nad głową jak maczugą i cisnął w nadbiegających fizylierów.

– Jedność Narodu! Wierność Partii! – wrzasnęła Emila, zaciskając pięści.

Ignacy spojrzał na nią pytająco.

– Wzywa kanony ludowej magii – wyjaśnił Hutriel. – Niewiele pomogą, skoro jest tu armia Boga. Ciekawa sytuacja. Puruel

czeka, aż pojawi się nasz gagatek. My też. Nie miotaj się tak, dziewczyno, i nie wrzeszcz po polsku, bo ściągniesz uwagę esesmanów.

Jeden z polskich żołnierzy zdjął przewieszony przez plecy wielki młot, stanął w rozkroku, zamachnął się nim i rzucił. Broń rozżarzyła się i pomknęła z furkotem nad głowami piechurów. Trafiła golema prosto w kanciasty łeb. Skalne odłamki ze świstem przecięły powietrze. Kolos opuścił ręce i opadł na kolana, po chwili z łomotem zwałił się na bok.

– Siła Proletariatu – wyjaśniła nieco spokojniej Emilka. – To młodszy mag ludowy, chłopcy dadzą sobie teraz radę z reakcyjnymi kamieniakami.

Młot znów znalazł się w garści żołnierza-czarodzieja. Po chwili kolejny golem runął ze strzaskanymi nogami, następny padł na ziemię ze zgruchotanym w pył ramieniem i pęknięciami biegnącymi przez cały bark. Natarcie się nie zatrzymywało. Czarodziej cisnął broń, celując w Zęby Smoka. Młot zrobił w nich wyrwę, wzbijając chmurę szarego pyłu.

Czołgi ruszyły wprost na bunkry. Armaty ryknęły śpiewnie. Wysoki gwizd układał się w pieśń mocy – Międzynarodówkę. To działonowi załadowali opieczętowne antyfaszystowskimi zaklęciami pociski burzące. W locie ich melodyjny, wzniosły gwizd nasilał się, w powietrze bryznęły fontanny barwnych iskier, kolumny czerwonego światła wystrzeliły wysoko w niebo, gdy pociski trafiły w zapory postawione przez esesmagów. Część ładunków ugrzęzła w tarczy lub eksplodowała w locie, część przebiła się i spadała na bunkry. Zbrojony beton darł się na strzępy, pruł się, jakby siekały go sierpami radzieckie kołchoźniczki.

Na piechurów spadły harpie, stalowymi szponami zrywały fizylierom głowy, unosiły w powietrze i ciskały nimi w rozproszone szeregi nadbiegających. W czołgi uderzyły pioruny miotane przez esesmagów, ziemia zapłonęła białym ogniem wywołanym przez zaklinaczy. Odpowiedzią ludowego wojska był wzniosły śpiew i nieustające serie z pepeszek. Kanony Jedności Narodu i Siły Proletariatu zderzyły się z faszystowskimi

czarami. Niebo, pokryte czernią magicznych chmur miotających pioruny i kolumnami czerwonych świateł, pękało i rozrywało się na kawałki. Ziemia trzęsła się i dudniła, w jednym miejscu rozerwała się, pochłaniając polski płonący czołg razem z niemieckim bunkrem. Piechurzy dopadli okopów i starli się w brutalnej walce wręcz z esesmanami. Bryznęła krew z roztrzaskiwanych kolbami twarzy i dziurawionych bagnetami brzuchów. Walczący skoczyli sobie do gardeł.

– Nici z barier postawionych przez anioły – zauważył ze zdumieniem Hutriel. – Boska moc nie działa. Ścierają się tylko czary wytworzone przez ludzi. I sami ludzie.

W powietrzu syczały wściekle karabinowe pociski, dudniły o pancerz garbusa. Trójka pasażerów musiała porzucić bezpieczny pojazd. Chyłkiem przemykali w stronę wzniesienia, na którym ciągle stali aniołowie, chyba równie zaskoczeni brakiem efektów ich mocy jak Hutriel.

– Co to znaczy? – zapytała Emilia, przekrzykując ryk wybuchów i śpiew ludowych czarów.

– Moc niebieska miała spopielić komunistyczne wojska, ledwie się zbliżą. Gromy z jasnego nieba powinny spaść na nie jak na Sodomę i Gomorę – wyjaśnił Ignacy. – A nic takiego się nie dzieje!

– Boga tu nie ma! – ryknął Hutriel. – Nie ma!

Pognał przed siebie jak szalony. Skakał przez zasieki i okopy, nie zwracając uwagi na furkoczące pociski i pioruny pękających czarów. Dwójka niewolników próbowała dotrzymać mu kroku.

– Dokąd biegniemy? – dociekała dziewczyna.

– Mój braciszek wie, o co w tym chodzi, gdzie jest młody bożek! – odparł diabeł. – Już ja to z niego wycisnę.

Tymczasem Puruel wysłał swoich dwóch przybocznych do boju. Aniołowie, długowłosi blondyni z błyszczącymi kirysami na piersiach i z płonącymi mieczami w dłoniach, wzbili się wysoko i lotem nurkowym spadli na nadjeżdżające polskie czołgi. Pierwszy uderzył mieczem w wieżyczkę pojazdu, ale święte ostrze zamiast rozplatać komunistyczną maszynę, odbiło się od niej z żalonym brzękiem. Drugi ze skrzydlatych wpadł

między fizylierów, rozrąbał jednego na pół, zabił w locie drugiego, odciął głowę trzeciemu i... oberwał kolbą pepeszy prosto w piękną, szlachetną twarz od czwartego. Runął na ziemię, przekoziółkował, jedno skrzydło złamało się i syjąc białymi piórami, wygięło się nienaturalnie. Jedną z piechurów doskoczył i dźgnął leżącego bagnetem w gardło, drugi poprawił kolbą. Kompan skrzydlatego wzbił się w powietrze, by powtórzyć nurkowy lot, ale w chwili gdy osiągnął pułap, trafiły go pociski z ciężkiego karabinu zamontowanego w czołgu. Pociski, zamiast odbić się od niebiańskiej zbroi, podziurawiły ją jak sito i czerwone od krwi wyleciały z pleców anioła.

– Załatwili ich bez pomocy bożka, nawet bez czarów! – gorączkował się Hutriel. – A oto co robi mój drogi brat, by pomóc swoim przydupasom. Tak naprawdę lizusy nic innego nie potrafią.

Puruel klęczał za maskującą iluzją chałupy i modlił się, wznosząc rozanielony wzrok do krwawiącego czarami nieba i mamrocząc półgłosem zaklęcia w staroaramejskim lub jakimś innym biblijnym języku. W tle ludowe pociski nieustannie gwizdały Międzynarodówkę. Na widok diabła Ogień Boży oprzytomniał i spojrzał groźnie na przybyłego.

– Ty! Znowu ty, to twoja sprawa! – zadudnił, podrywając się na równe nogi. – Jak to zrobiłeś? Dogadaliście się z młodym bogiem i próbujecie nas wykończyć, tak? Przyszedłeś napawać się moją porażką?

Hutriel zatrzymał się w pół kroku.

– Też nic nie wiesz, piórowaty. – Machnął z rezygnacją ręką. – Bożek zrobił nas obu w konia. Jego tu nie ma, tym razem nie bierze udziału w wojnie. Napełnił świat magią neutralizującą zarówno was, jak i nas. Pewnie teraz wszystko obserwuje i śmieje się. Nie jest już głupim, bawiącym się w wojenkę szczeniakiem. Zaczyna działać z większym wyczuciem, rozmysłem i coraz bardziej niejednoznacznie. Dojrzał. Zamienia się w prawdziwego boga.

– Kłamiesz, psie piekiel – syknął Puruel, rozpalając się żywym

ogniem. – Mamisz mnie tylko, a tak naprawdę wspierasz bluźniercę. Wy nigdy nie mówicie prawdy. Dość tego! W imię Pana, skończę to wszystko.

Ogień Boży rozłożył szeroko ramiona i zaśpiewał. Jego głos był mocny jak dzwon. Jak tysiące dzwonów. Powietrze wokół świetlistej postaci anioła zafalowało, gdzieś w niebiosach rozległy się wtórujące mu trąby. Oślepiający blask wykwitł wysoko w zenicie, przyćmił błyski i krwawe poświaty bitewnych czarów. Niebo rozstało się. Ignacy i Emilka padli na kolana, zasłaniając rękami uszy.

– Co on wyprawia, Hutrielu?!

Podporucznik osunęła się na czworaki, sięgnęła po upuszczony pistolet. Czowała się tak, jakby napierał na nią huragan, jakby ciężenie w jednej chwili wzrosło stukrotnie i przygwoździło ją do ziemi. Potężna siła wypierała powietrze z płuc, odbierała przytomność.

– Sprowadza apokalipsę na ten świat – odparł Hutriel. – Próbuje go zniszczyć.

– Powstrzymaj go! Powstrzymaj, do diabła!

Księżę piekieł wahał się tylko przez chwilę. Uśmiechnął się ponuro, wstał z kolan.

Do pozycji na klęczkach sprowadziła go boska moc.

– Cała przyjemność po mojej stronie, dziewczyno. Podstawianie im nogi i krzyżowanie planów to zasadniczo moja robota.

Mundur esesmaga trzasnęła na jego plecach w szwach. Czarne skrzydła rozłożyły się jak u nazistowskiego orła. Diabeł rósł, jego mięśnie tężały, puchły. Po chwili miał trzy metry wzrostu i skórę pokrytą czarną szczeciną. Niepozorne dwa kolce na czole zmieniły się w skręcone wielkie bawole rogi. Z dolnej szczęki wystawały kły, a twarz z pięknej stała się potworna i szkaradna. Bicz w jego ręku przemienił się w ogromny i gruby kańczug, nabity ostrymi żelaznymi hakami i szpikulcami. Diabeł trzasnęła nim w świetlistą postać.

Puruel wrzasnął ze zgrozy i bólu. Rzucił się na księcia piekieł. Oślepiający biały ogień starł się z lepką i brudną czernią. Dwaj aniołowie zwarli się ze sobą, splekli w morderczym nacisku. Ziemia pod ich stopami zeszkliła się, zamarzła i pękła z trzaskiem. Przez rozdarte niebo na walczących lała się biała kolumna blasku. Zerwał się huraganowy wiatr, zawirował wokół dwóch istot.

Emilia poczuła tąpnięcie, miażdżące klatkę piersiową. Osunęła się na ziemię i zamknęła oczy. Oprzytomniała pod wpływem wstrząsów i tarcia ciałem o ziemię. Ktoś ciągnął ją za obie ręce, byle dalej od ścierających się żywiołów. To Ignacy. Kapitan miał osmaloną twarz pokrytą pęcherzami poparzeń lub odmrożeń, niemiecki mundur wisiał na nim w strzępach. Na widok przytomniejącej dziewczyny uśmiechnął się i usiadł ciężko na ziemi. Był ledwo żywy.

– Dalej uciekaj sama, ja nie mam siły – powiedział. – Może ci się uda, choć wątpię. Nawet jeśli nasz piekielny sukinsyn powstrzyma anioła, to przy tej okazji razem obrócą w ruinę pół kontynentu.

Emilia zmrużyła oczy, spoglądając na wzgórze. Po jego zeszkłonych stokach pływała lawa, nieba sięgała kolumna blasku, wewnątrz której kotłowały się dwie wielkie postacie. Wiatr ryczał wściekle. Wokół toczyła się śmiertelna bitwa, ludowe wojsko biło się zajadle z faszystami, nie zważając na pojedynek nadistot.

– Miło było cię poznać, panienko Emilio. – Ignacy pochylił głowę w ukłonie. – Szkoda, że tak przykro się to skończy.

Fizylierka podniosła się na kolana, a po chwili walki ze słabością wstała. Nie potrafiła się tak po prostu poddać. To nie mogło się skończyć w ten sposób, jakąś szaloną totalną zagładą. Musiała coś zrobić.

Zacisnęła powieki i sięgnęła po gniew pełgający w sercu. Gorąco popłynęło usłużnie i wypełniło jej żyły ognistą wściekłością. Emilia spojrzała w głąb siebie, skupiła się na mocy. Czowała, że jest w niej coś więcej, nie tylko sama energia. Wyczuła

czyjąś obecność, rosnącą i coraz bardziej namacalną. Nagle jej umysł musnęła obca myśl, potężna nieludzka świadomość.

To on. Mały samozwańczy bożek, stwórca tego świata, kiedyś zagubiony chłopiec, a obecnie prawdziwy Bóg. Był tu cały czas, nigdy jej nie opuszczał. Zrozumienie wypełniło Emilkę w jednej chwili, wystarczyło samo otarcie się o Jego umysł. Bóg zawsze był z nią, z nimi wszystkimi. Pod postacią magii wypełniał wszystko wokół.

Pokrzepiona trwającym ułamek sekundy objawieniem i obdarzona częstką Jego mocy, wysłała wezwanie do swoich dowódców. Runęła na umysły oficerów prowadzących natarcie, wdarła się w aspekty ich magii. Odpowiedź przyszła niemal natychmiast ze wszystkich stron. Cała potęga dywizji pancерnej i dwóch dywizji piechoty, baterie radzieckiej artylerii, szwadrony lotnicze, umysły dowodzącymi tymi siłami ludowych czarodziejów skupiły się na Emilce.

Gdy otworzyła oczy, ostrzał wokół ucichł. Polskie oddziały powstrzymały atak, szybko zaczęły się cofać i przegrupowywać. Na niemieckich pozycjach zaległa pełna zaniepokojenia cisza. Tylko dwie postacie na wzgórzu ryczały wściekle, aż trzęsła się ziemia.

– Teraz dopiero się zaczniesz! Wstawaj, Ignacy. – Emilka podała dłoń kapitanowi.

Stanął obok chwiejnie, nie puszczał jej ręki.

– Co zrobiłaś?

– Wezwałam pomoc, wsparcie artyleryjskie, o którym wspominałeś. Są już niedaleko. Ostrzelają nasze pozycje, teraz zobaczysz prawdziwą moc.

Ponad huk i ryk ogarniętych szaleńcami aniołów zaczął przebiegać szum. Coś jak łopot tysięcy skrzydeł, groźny i piękny niczym nadjeżdżająca husaria. Zza lasu wystrzeliły dziesiątki czarnych strzał, ciągnących za sobą ogniste ogony. Przemknęły nad polem bitwy, zostawiając za sobą dymne smugi, i wbiły się we wzgórze. W niebo uderzyły fontanny ziemi i ognia.

– Katusze! – wrzasnęła Emilka. – Trzymaj się, Ignacy!

Rakietowe pociski, miotane ze stojących kilka kilometrów dalej wyrzutni, spadały całymi dziesiątkami, nadlatywały z ogłuszającym wizgiem i dziurawiły wzgórze. Wściekle, z pasją, promieniując ludowymi czarami przełamującymi. Przygotowano je do niszczenia barier magicznych i burzenia umocnień. Miały posłużyć do przebicia się przez linię Odry, ale wezwanie Emilii zmieniło sytuację. Przejeżdżające w pobliżu radzieckie baterie zmieniły kurs i wypaliły ze wszystkiego, co miały. Mijały minuty, a wizg rakiet i huk eksplozji nie ustawały, zdawały się nawet nasilać.

Wzniesienie niemal zupełnie znikło, zdemolowane i rozniesione seriami wybuchów. Niektóre rakiety błędziły, spadały na pola, kilka grzmotnęło niedaleko miejsca, w którym stała Emilka z Ignacym. Podmuch rozprężającej się magii cisnął nimi o ziemię, przykrył tumanem dymu i odłamkami.

Kapitan Reinhold objął dziewczynę, zasłonił własnym ciałem, przycisnął do ziemi. Bombardowanie nie ustawało, rakiety gryzły wściekle, spadały nieustającym deszczem. Setkami, tysiącami. Emilka zacisnęła powieki. Przestała cokolwiek słyszeć i czuć.



Kolumna jeńców rozciągała się na całą szerokość drogi. esesmani szli wymieszani z ochotnikami w cywilnych ubraniach, wszyscy ubrudzeni krwią i błotem, wystraszeni i bladzi, ale w ich oczach malowała się ulga i nadzieja. Przeżyli tę koszmarną bitwę, już nic gorszego nie mogło ich spotkać.

Emilia stała na skraju drogi obok oficera żandarmerii. Wpatrywała się w twarze jeńców, błędziła po nich wzrokiem. Warowała tak już pół godziny i coraz bardziej zaczynała wątpić, że dostrzeże znajomą postać. Może powinna szukać kapitana Reinholda wśród trupów? Służby pomocnicze już zbierały ciała szkopów, by je pochować w zbiorowej mogile.

– Pani porucznik, ratujcie nas! My swoi!

Z tłumu wybiegł przystojniak w obszarpanym mundurze grenadiera SS.

Emilka uśmiechnęła się na widok Ignacego, w myślach odetchnęła z ulgą. Żył! To było najważniejsze. Teraz wyciągnie go z kolumny jeńców. Uprzedziła oficera żandarmerii, że na polu bitwy pomógł jej pewien Kaszub, siłą wcielony do niemieckiej armii. Teraz nieszczęśnik okaże skruchę i wyrazi chęć służenia w ludowym wojsku, przejdzie gruntowne szkolenie polityczne i zostanie wcielony do polskiej dywizji. Zapewni uzupełnienie w plutonie Emilii. Armia potrzebowała doświadczonych żołnierzy i już nieraz rekrutowała ich spośród polskich dezertersów z Wehrmachtu. Ignacy był uratowany.

Ale co to? Reinhold ciągnął za ramię bezwolnie idącego człowieka z opuszczoną głową. Emilia poczuła ciarki na plecach. Hutriel! Dawny diabeł wyglądał na zdruzgotanego. Twarz miał poszarzałą, znikła też otaczająca go aura niezwykłości, jego rysy nie wydawały się już tak szlachetne. Potykał się i pociągał nosem. Emilia wahała się tylko chwilę, potem na jej ustach pojawił się uśmiech.

– Tych dwóch! – Wskazała jeńców. – To Polacy, idą ze mną.

Po paru chwilach przepychanek i kłótni z żandarmem służbistą, który koniecznie chciał przesłuchać jeńców przed wydaniem ich Emilii, udało się uwolnić obu nieszczęśników. Stanęli we trójkę na poboczu. Mieli tu poczekać na ciężarówkę i przewiezienie do obozu.

Hutriel dygotał i mamrotał coś pod nosem. Ciągle nie mógł się pozbierać. Nic dziwnego, właśnie stał się zwykłym człowiekiem. Bóg tego świata oszczędził go, ale huraganowy ostrzał magiczny zupełnie pozbawił go mocy, tak samo jak Puruela, i tym samym uwięził obu w tym świecie. Prawdopodobnie w taki sam sposób bóg zneutralizował wcześniej Azazela, Ezekiela i Tyfona.

– Przestańcie się mazgać, szeregowy! – huknęła Emilka. – Weźcie się wreszcie w garść, od teraz jesteście kandydatem na żołnierza polskiej armii. Będziecie dzielnie i z oddaniem służyć, to dochrapiecie się awansów i zaszczytów. Przed nami długa

droga i wiele bitew, zanim przejdziemy Odrę, podbijemy Berlin i zgnieciemy Adolfa, a potem u boku Czerwonego Smoka Stalina rozniecimy płomień rewolucji na cały świat. Wyzwolimy masy robotnicze w Paryżu i Londynie, zajmiemy Rzym i Madryt, przez ocean zaniemiemy czerwony sztandar braciom Amerykanom. Czekają nas piękne chwile, a was możliwość odpokutowania wszystkich win.

– Jestem skończony – jęknął Hutriel. – Jestem nikim, wypaloną skorupą. Zwykłym śmiertelnikiem. To koniec.

– O nie. – Emilia pokręciła głową. – To dopiero początek. Postaw się w jego sytuacji. – Wskazała głową Puruela, prowadzonego na łańcuchu przez dwóch fizylierów. Aniołowi sterczały z pleców kikuty skrzydeł, twarz miał nabrzmiąłą wściekłością z powodu poniżenia, jakie go spotkało. – Dla niego przyszłość maluje się w ponurych barwach. Na początek przesłuchania, i to szczegółowe prowadzone przez towarzyszy śledczych, potem wyjazd do łagru gdzieś na Syberii, ciężkie roboty w kopalniach wolframu i uranu. Ponury los sanacyjnego reakcjonisty. Wy macie szansę!

Hutriel uniósł głowę i uśmiechnął się, rad z krzywdy, jakiej doznał jego wróg. Powoli godził się z losem i planował ucieczkę do piekieł. Znów stał się diabłem, choć pozbawionym mocy, ale nadal chytrym i złośliwym. Oczy błyszczały mu energią, wyzierała z nich milcząca groźba wobec całego świata.

Ignacy westchnął i mrugnął do Emilki. Odpowiedziała mu uśmiechem. Już ona da popalić byłemu diabłu, już ona weźmie go do galopu! Wybije mu ze łba knowania i kombinacje. Niech no tylko wrócą do oddziału.

– Młody bożek załatwił nas, nawet nie kiwnąwszy palcem – zazgrzytał zębami Hutriel. – Wyręczyliście go w robocie. Cały ten świat był cholerną pułapką, każdy jego element czyhał na nasze potknięcie. Niech no tylko odzyskam swoje moce i zabiorę się stąd. Już ja pokażę temu szczeniakowi, już ja mu...

– Lepiej wybijcie to sobie z tego pustego łba, szeregowy – warknęła Emilka. – Jeszcze nie rozumiecie? On naprawdę się

zmienił, nie jest już człowiekiem. Stał się Bogiem, a ten jest tylko jeden, rozumiesz?

– Nie – syknął Hutriel.

– Stał się Nim, Jedynym, Nieskończonym – wyjaśnił Ignacy. – Pewnie każdy pogański bożek, osiągnąwszy boską moc, łączył się z Nim w jedno. Nasz też został wchłonięty, stał się częścią prawdziwego Boga.

– Dlatego nie próbuj więcej go tropić – dokończyła Emilka. – Zagubionego chłopca, którego ścigałeś, już nie ma. Nie istnieje. Teraz jest tylko jeden Bóg i to on odebrał wam moc. Nikt inny. Przyjmij karę z pokorą, dobrze ci radzę.

Hutriel wyglądał na oszołomionego. Po raz pierwszy zabrakło mu słów, nie miał sił nawet przeklinać.

Zdezelowana, prychająca ciężarówka, zdobyta na Niemcach, zatrzymała się przy nich z bolesnym rżeniem. Siedzący na pace ranni pomogli wdrapać się pani oficer. Dwaj rekruci spojrzeli na siebie i bez słowa ruszyli jej śladem. Nic innego im nie pozostało.

Marcin Wełnicki

LATO KSIĘŻYCOWYCH CIEM



*Nie wiem, czy byłem wtedy człowiekiem śniącym, że jest motylem,
czy też jestem teraz motylem śniącym, że jest człowiekiem.*
Zhuāngzǐ

Pogórze Hindukuszu, Afganistan, luty 1981 roku

Jestem absolutnie przekonany, że przyjdzie nam tu umrzeć.

Nie wygramy tej wojny. Kontrolujemy miasta, ale oni trzymają w garści resztę kraju. W górzystym terenie ciężki sprzęt jest zupełnie nieprzydatny, a krótkie linie zaopatrzeniowe wykluczają masowe użycie pancernych dwunogów. Jest zimno. W dzień. W nocy czuję się tak, jakbym był już martwy. Lemann twierdzi, że jest tylko minus dwadzieścia, ale ja mu nie wierzę. Pamiętam najbardziej srogie zimy w Lyonie i teraz wiem, że wtedy to była

fraszka, chłodnawa bryza klimatyzatora. A tu – tu Bóg chce chyba zmrozić nam serca.

Nie jesteśmy sami. Jesteśmy okrążeni. Nasz wróg zna te góry lepiej niż my. Żyje tu od tysiącleci. Za dnia chowa się w jaskiniach, a przemieszcza nocą. Przeprowadza wypadki na nasze konwoje. Dręczy nas, kłuje jak tysiąc żądleń. My nie możemy mu nic zrobić. Nie staję do otwartej walki.

Mudżahedini. Są jak szczury, jak robactwo. Nienawidzę ich.

Przez pół roku, odkąd tu jesteśmy, mój pluton stracił jedną trzecią stanu pierwotnego. Jedni zginęli od bomb, inni weszli na minę. Jednego zjął snajper, a dwóch żołnierzy z patrolu po prostu zamarzło, gdy zostali odcięci od obozu przez burzę śnieżną. Głupia śmierć.

Obawiam się, że wdepnęliśmy w amerykańską pułapkę, pułapkę, którą jest sam Afganistan. To będzie nasza wojna wietnamska. Będziemy tu umierać jeden po drugim, niebohaterowie tej niewojny, dopóki Führer nie przyzna, że to był błąd. A to może zająć wiele miesięcy.

Jestem więc absolutnie przekonany, że przyjdzie mi tu umrzeć i że tym razem fortuna się ode mnie odwróciła. Co dzień rano i wieczorem modłę się za siebie i swoich żołnierzy, nigdy nie rozstaję się z różańcem, który od ciebie dostałem, ale czuję, że święty Alain nic tu nie poradzi.

Nie znośm smrodu i prostej architektury Kabulu, ale teraz, kiedy przenieśli nas w góry Hindukuszu, szczerze za nim tęsknię. Za świeżym jedzeniem i bieżącą wodą. Korpus ekspedycyjny prze coraz głębiej w górską dzicz. Partyzanckie ataki mudżahedinów nasilają się. Początkowo odgłosy wystrzałów i krzyki budziły mnie późno w nocy. Teraz budzę się sam. Leżę i słucham ciszy. Obserwuję latające pod sklepieniem namiotu ćmy. Mamy w plutonie przyszłego lepidopterologa, Oberhagena. Błyskotliwy chłopak, ale nie nadaje się na żołnierza. Zaciągnął się ze względu na wojskowy kredyt, jakiego udziela Rzesza. Chyba liczył na to, że trafi do rezerwy. Trafił do Afganistanu. Oberhagen mówi, że te wysokogórskie nocne motyle nazywane są ćmami jastrzębimi i że

ich obecność o tej porze roku jest bardzo osobliwa, bo zwykle pojawiają się tylko na przełomie czerwca i lipca. Teraz jest dla nich za chłodno, a niewiele gatunków jest aktywnych w zimie. Według niego to wybryk natury. Ja lubię trzepot ich skrzydeł. Czasem podkręcam światło i przyglądam się, jak tańczą wokół żarówki.

Robię wszystko, żeby nie myśleć o tym, co się dzieje.

Myślami każdej nocy uciekam do Ciebie.

Zawsze Twój

KL



Na przełęczach ginęły patrole. Nie od kul czy min. Po prostu znikwały. Dowództwo podejrzewało mudzahedinów, ale to nie było w ich stylu. Nie znajdowaliśmy śladów walki ani porzuconego ekwipunku, nawet jednej zamarznętej kropli krwi czy pozostawionej w śniegu łuski. Tak jakby rozpływali się w ogromie Hindukuszu.

Krążyły plotki.

Niektórzy sądzili, że to sprawka ekstremalnego odłamu rebeliantów – fanatyków wśród fanatyków – chcących zasiać w naszych sercach strach. Niepotrzebnie, już sraliśmy w gacie przy najcichszym gwiździe wiatru prześlizgującego się nad granią. Inni twierdzili, że CIA testuje nową broń opartą na technologii "czerwieni". Wątpię. Wcale nie zależy im na wojnie z nami. Chcieli, żebyśmy się tu wykrwawili, a do tego nie musieli nawet kiwnąć palcem.

Były też inne... hipotezy. Wielu żołnierzy zarzekło się, że widziało w zamieci sylwetkę. Wysoką postać, ale szczupłą, tak szczupłą, jakby była zbudowana z samych patyków. Mówili, że snuje się czasem na granicy widoczności po szczególnie zajadłej potyczce. Inni widzieli, jak przemyka nocą po górskich grzbietach. Dowództwo utrzymywało, że wiklinowy człowiek nie

może być prawdziwy, że to wytwór paranoi i długotrwałej służby w warunkach rozrzedzonego powietrza. Ja w to nie wierzyłem.

Widziałem go, raz. Było bardzo wcześnie. Wpakowaliśmy się w sam środek zakamuflowanego obozu mudżahedinów. Okopany na skarpie powyżej cekaemu przygwoździł nas w niedużej kotlinie. Wezwaliśmy śmigłowiec, ale musieliśmy wytrzymać do jego przybycia. Bojownicy zaczęli schodzić w dół zbocza, chcieli nas okrążyć. Pomiedzy skałami dostrzegłem wylot jaskini. Skoczyłem do przodu, potknąłem się i poharatałem o ostre kamienie, ale przynajmniej uniknąłem ostrzału i na czworaka podpełzłem do otworu.

On tam był. Ledwo go widziałem – czarna postać na tle ciemności. Nie dostrzegłem oczu. Nie słyszałem oddechu. Sięgnąłem po pistolet, ale kiedy uniosłem wzrok, już go nie było, a ja nie byłem już pewien, czy to nie był jakiś powidok. Powietrze wypełnił huk nadlatującego śmigłowca.

Oczywiście nikt by nie dał wiary moim słowom, więc milczałem. Żołnierze nie pytali, czemu jestem taki blady, tylko pogratulowali mi niebywałego szczęścia. Gdybym się nie potknął, cekaem z pewnością poszatkowałby mnie na plasterki. Jest pan w czepku urodzony, plutonowy Glücker, mówili, chociaż nie nazywam się Glücker, tylko Lambert. Żaden ze mnie szczęściarz. To jakiś okrutny żart, wzięwszy pod uwagę, jak się tu znalazłem.

Próbowałem zapomnieć o tym, co mnie spotkało, ale o niczym innym nie mogłem myśleć. Każdego wieczoru wypatrywałem Czarnego Człowieka na pobliskich wzgórzach, podczas każdej misji bacznie obserwowałem horyzont, bojąc się, że gdzieś ujrzę patykowatą sylwetkę, ale nie. Nikogo nie było.



Wiedziałem, że coś się święci, gdy w obozie pojawił się cichociemny, tajniak z Abwehry albo politbiura. Rozpytywał,

notował, obserwował. Plotki o nieludzkiej istocie, opowieści o Czarnym Człowieku z Hindukuszu rozrosły się do rozmiarów obozowych legend. Morale było niskie, żołnierze rozkojarzeni, dowództwo musiało szybko poradzić sobie z tą sytuacją, zanim wymknie się spod kontroli. Nie przepadam za szpiclami, ale ten Worthington wydawał się inny.

– Glücker, wiesz coś o tym całym Worthingtonie? – spytał mnie Lemann, jak tylko dowiedział się o agencie. – Tym cichociemnym.

Wzruszyłem ramionami. Podziękowałem, gdy chciał mnie poczęstować papierosem jakiejś taniej tutejszej marki. Przez chwilę obaj wpatrywaliśmy się w poszarpaną linię gór. Pokręciłem przecząco głową.

– Nie. A ty?

Lemann nie odpowiedział.

– Lemann? Wiesz coś? – naciskałem.

– Mmm – mruknął sierżant. – Może tak, może nie. Gdy stacjonowałem w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej, słyszałem różne rzeczy. Wiesz, takie głupoty, jakie sobie ludzie opowiadają z nudów i strachu. – Lemann wyraźnie czuł się skrępowany.

– No? Mów, sam zacząłeś.

Sierżant zaciągnął się łapczywie, trzęsąc się z zimna, szybko wypuścił dym ustami i nachylił się do mnie.

– Podobno to świr. Takie krążą plotki. Słyszałem – Lemann obliznął usta, ale szybko tego pożałował – że to odznaczony weteran drugiej wojny. Cudem wyszedł bez żadnego draśnięcia, prawdziwy szczęściarz, prawie taki jak ty. Dostał ziemię z przydziału gdzieś w koloniach, zdaje się w Azji, tam zresztą miał ukochaną, jakąś aktoreczkę czy piosenkarkę, nie wiem. I słuchaj: biorą wielki ślub. Zjeżdża się cała rodzina – jego z... nie wiem, Worthington, to pewnie z Anglii, jej cały polinezyjski klan, a ślub, słuchaj, katolicki. I wszyscy są w tym kościele, rozumiesz, i oni składają sobie przysięgę małżeńską... – Lemann zawiesił głos. Para oprawia jego drżące usta w białą ramę.

– I?

Sierżant ponownie się zaciągnął.

– Trzęsienie ziemi. Sklepienie kościoła wali im się na głowy. Facet widzi, jak kamienny blok miażdży jego nowo poślubioną żonę. Giną wszyscy: ksiądz, świadkowie, ojciec, matka, bracia, wszyscy goście, a facet, słuchaj, wychodzi z tego żywy. Połamany, straszliwie poraniony, ale żywy. I już nie taki sam jak przedtem.

Uniosłem brwi.

– No wiem, wiem, to tylko plotka...

Adam Worthington sprawiał, że w jego obecności wszyscy czuliśmy się nieswojo. Był za młody, żeby pasować do opowieści Lemanna, ale twarz rzeczywiście pokrywały mu szpecące blizny. Na plecach nosił dziwny orientalny miecz. Zachowywał się bardzo formalnie, sam z siebie mówił niewiele. Miał zwyczaj zakradać się i podsłuchiwać rozmowy. Rozpytywał o Czarnego Człowieka, te jego wywiady przypominały raczej przesłuchania – niewykluczone, że należał kiedyś do rozwiązanego już gestapo – i to nie dlatego, że był niemły czy nieprzyjemny w obejściu, ale dlatego, że indagowany czuł się tak, jakby próbowano wyciągnąć mu odpowiedzi prosto z głowy.

Sam nie wiem czemu, ja nie czułem do niego takiej niechęci jak pozostali żołnierze. Może było coś w sposobie, w jaki godzinami wpatrywał się w górzysty krajobraz, w samotnych kolacjach, które jadał w stołówce, a nie w swoim namiocie, albo w muzyce puszczonej cicho po zmroku, kiedy sądził, że nikogo nie ma w pobliżu. To była jakaś klasyka, raczej smutne.

Worthingtona otaczała aura osobistej tragedii.

– Plutonowy Karl Lambert – powiedział, zerkając do notesu, gdy przyszła moja kolej na wywiad. – Słyszał pan opowieści o Czarnym Człowieku z Hindukuszu?

– Tak.

– Wierzy pan w nie?

Zadając te pytania, bawił się małą srebrną papierośnicą.

Nie odpowiedziałem od razu. Wreszcie wypaliłem:

– A pan?

Przez usta Worthingtona przemknął uśmiech.

– Proszę nie zapominać, komu przypisano jaką rolę.

– Widziałem go – odparłem, zaskoczony własną szczerością. Ale przecież mogłem się tego spodziewać, prawda? W tym powszechnie nielubianym cichociemnym znalazłem idealnego konfidenta. – Za przełęczą Faresbiad. Myślę, że on też mnie widział. Ale uciekł.

– Uciekł? Jest pan pewien?

W jego głosie nie było niedowierzania. On tylko pytał i zapisywał odpowiedzi. Słyszałem skrobanie pióra o papier.

– Tak. Zniknął.

Worthington przez chwilę milczał.

– Chcę dołączyć do pańskiego plutonu, *Unteroffizier* Lambert, a gdy wyrażam chęć, tak naprawdę wydaję rozkaz. Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza.

– Nie, ale... czy mogę spytać dlaczego?

Worthington zakręcił nasadkę pióra i zamknął notes, schował papierośnicę do kieszeni.

– Zapolujemy na Czarnego Człowieka.



Przez następne tygodnie Worthington towarzyszył nam podczas każdego wypadu. Żołnierze mieli mi to za złe, jakbym miał w tym względzie coś do powiedzenia. Bali się chyba, że przysłano go na przespiegi. Może tak rzeczywiście było? Jeśli tak, dobrze się maskował. Nosił ze sobą półautomatyczny karabin snajperski dragunow i wspierał nas ogniem zaporowym, jakby od zawsze był członkiem oddziału. Miał własne mapy, na których cyrklem i linijką kreślił jakieś zawile kształty, i nie zwracał uwagi na nasze nieprzychylnie spojrzenia.

Wciąż było zimno, zaciął lodowaty wiatr, a mudzahedini nie

ustępowali. Mimo nieustającej ofensywy na Dolinę Pandzszere i tam, i tu potrafili zorganizować skuteczny opór. Chowali się po wsiach, a gdy paliliśmy wsie, wycofywali się głębiej w niedostępne rejony kraju, zabierając ze sobą pozbawionych domów wieśniaków. Nigdzie nie było śladu Czarnego Człowieka. Wdaliśmy się w kilka starć z bojownikami, każde kolejne coraz bardziej zażarte.

– Granat, Hanzel! – wrzeszczał Lemann, przekrzykując szczękanie karabinów. – Na litość boską, Hanzel!

Wzbita wybuchami ziemia na chwilę zasłoniła sierżanta i żołnierzy, ukrytych za ciężarówką.

– Hanzel nie żyje! – odpowiedział mu ktoś zza drugiego pojazdu.

Zastawili na nas pułapkę na przełęczy, może piętnaście minut za obozem. Siedzieli na zboczach z obu stron traktu i zdejmowali nas jak kaczki. Z płonącego g-wagena, który tarasował drogę, wznosiły się kłęby gęstego dymu. Nie było gdzie się schować, chyba że pod ciężarówkami, ale nikt nie chciał ryzykować: bojownicy mogli mieć drugą bazookę. Pieprzone amerykańskie pieniądze!

Podjąłem decyzję.

– Odpalę blaszaka. Osłaniajcie mnie!

Pobiegłem przed siebie do następnego samochodu. Wokół świszczały kule, ale byłem dziwnie pewien, że mi się uda.

– Jezu, Glücker – szepnął Fassbinder – naprawdę jesteś taki szalony, jak mówią!

Chciałem coś powiedzieć, ale wtedy usłyszałem przeciągły syk. Zdążyłem się odwrócić.

Druga rakietka uderzyła w g-wagena, za którym jeszcze chwilę temu się chowałem. Samochód podskoczył, jakby był piłeczką pingpongową. Ogień buchnął na wszystkie strony. Wszyscy, którzy chowali się za terenowcem, zginęli na miejscu, rzuceni na boki jak niechciane zabawki.

– Jezu Chryste!

Nie mogłem się zawahać.

– Idę po blaszaka!

– Zapewnię ogień zaporowy – odezwał się Worthington, który dopiero co pojawił się przy Fassbinderze.

Mówił spokojnie, chociaż wyraz twarzy miał zacięty. W rękach ścisnął dragunowa.

Skinąłem głową i zacząłem się wdrapywać na ciężarówkę. Kątem oka widziałem, jak agent wychodzi zza osłony i przymierza się do strzału. To było niesamowite – strzelał i namierzał, strzelał i namierzał, wszystko w ruchu. Po stokach staczały się kolejne ciała.

Wślizgnąłem się pod plandekę.

Stała tam lśniąca, metalowa, wielokrotnie złożona rama. Pod lekką, pokrytą kevlarem karoserią kryły się tłoki, amortyzatory, resory i jeden cholernie potężny dieslowy silnik. Wskoczyłem do klaustrofobicznego kokpitu, nie kłopotalem się pasami ani procedurą przedstartową, tylko od razu przekręciłem kluczyk w stacyjce. Maszyna obudziła się do życia. Nie czekając na sygnał gotowości, przełączyłem regulatory bliźniaczych turbosprężarek. Poczułem, jak pojazd drży od rosnącej mocy.

– Odsunąć się!

Wcisnąłem przycisk wymuszonego startu. Dwunóg rozłożył się jak składany leżak – patykowate ramiona rozsunęły się na boki, ciśnienie hydrauliczne w dolnych kończynach obróciło i podniosło kokpit. Maszyna krocząca rozdarła materiał pokrywający przyczepę jak motyl wydobywający się z kokonu. Wrzuciłem pierwszy bieg i ująłem drążki sterownicze.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie: kilkoma długimi susami wbiegł na stromy stok. Te lekkie maszyny nie były stworzone z myślą o wysokogórskiej wspinaczce, ale montowane we wszystkich modelach mechanizmy dźwigowe zakładów ThyssenKrupp podolały zadaniu, chociaż na pulpicie sterowniczym zapaliło się kilka czerwonych lampek. Świsnęła kolejna rakietka, pozostawiająca za sobą warkocz dymu. Na szczęście minęła mnie o dobrych kilka metrów.

Czując perlący się na czole pot – jakbym to ja sam, a nie dwunóg, wykonywał całą pracę – wrzuciłem dwójkę, zaciągnąłem ręczny hamulec i otworzyłem ogień z przymocowanego do kokpitu cekaemu.

Równie gwałtownie, jak się zaczęło, było po wszystkim. Ci, których nie zabiłem, uciekli, a oddział po drugiej stronie przełęczy wycofał się, najwyraźniej niekorzystnie oceniając swoje szanse. Dziękowałem Bogu, że już nie mieli więcej rakiet.

W oddali, na samotnej turni, zobaczyłem tulącą się do skalnej ściany patykowatą sylwetkę Czarnego Człowieka. Był tu, obserwował.



Któregoś wieczoru wpadłem na Osterhagena. Nie wyglądał za dobrze. Dotychczas odniósł tylko kilka płytkich ran, ale sama świadomość, że w każdej chwili mogło być gorzej, zżerała go od środka. Najpierw się zmieszał, a następnie konspiracyjnym tonem szepnął:

– Proszę spojrzeć.

Wyciągnął w moją stronę niewielki pojemniczek. W środku spoczywały dwa kokony.

– To cudowne istoty, rozumie pan.

– Motyle?

– Te konkretne motyle. – Z każdym oddechem z jego ust wydostawały się obłoki pary. – Tutejsza odmiana gatunku actias, księżycowych ciem. Czy wie pan, ile czasu potrzebuje księżycowa ćma, żeby rozwinąć się od jajeczka do dorosłości? Cztery miesiące.

– To fascynujące, naprawdę.

Chciałem jak najszybciej znaleźć się w namiocie. Wiosna dopiero nadchodziła, powoli i nieśmiało, a ja miałem nadzieję do niej dotrzeć z nosem na swoim miejscu i wszystkimi czubkami

palców.

– Tak, ale czy wie pan, jak długo potem żyje? Kilka dni, góra. – Osterhagen zasepił się. – Te wkrótce wydostaną się z kokonów, a ja nie mam odpowiedniego sprzętu, żeby to zarejestrować. Nie wiem, czy w tej temperaturze w ogóle przeżyją.

– Na pewno coś pan wymyśli, Osterhagen.

– Lambert, Osterhagen. – Worthington przywitał się formalnie.

Właśnie odpalał papierosa marki Weißmeer-Kanal, cienizna, ale łatwo dostępna. Schował obdrapane zippo do kieszeni i skinął głową.

– Panie Worthington, czy wie pan, że księżycowe ćmy...

– Nienawidzę motyli.

Osterhagen spieszył się i szybko zniknął w swoim namiocie.

– Plutonowy Lambert, chciałbym, żeby pan na coś spojrzął. – Worthington powiódł mnie do stołówki. Na pokrytym ceratą blacie rozłożył pokreśloną liniami mapę i zapytał: – Gdzie widział pan Czarnego Człowieka? Po raz pierwszy.

Postukałem palcem w mapę.

– Tutaj, na przełęczy Faresbiad.

– A gdzie pańskim zdaniem mógłby pojawić się znowu?

– Słucham?

– Ma pan jakieś rozeznanie, coś pan słyszał od kolegów. Proszę mi pokazać.

Niechętnie wskazałem jakieś miejsce na mapie.

– Dziękuję – odparł i wyciągnął przybory kreślarskie, nie zwracając już na mnie uwagi.

Adam Worthington był bardzo dziwnym człowiekiem. Zupełnie nie przypominał tajniaków z politbiura, których spotkałem na swojej drodze. Nie interesowało go nasze zdanie o Rzeszy, o wojnie czy o nim samym, całą uwagę poświęcał Czarnemu Człowiekowi. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że on wierzył w istnienie tej istoty, o której miał wiadomości tylko z drugiej ręki.

Zaintrygowało mnie to, zacząłem pytać o niego w obozie. Kucharz Anton powiedział mi, że słyszał kiedyś o jakimś agencie, który jako osierocone dziecko wychowywał się na ulicach powojennego Kairu albo Casablanki. Anton uważał, że to był Worthington.

– Pasuje do opisu – burknął, kiedy go przycisnąłem. – Jakiś oficer go przygarnął i opiekował się nim jak własnym synem, ale chłopak nigdy nie zapomniał, co musiał robić, żeby przeżyć na ulicy.

Cokolwiek to miało znaczyć.

Wiedziałem, że to nieprawda, bo któregoś wieczoru zobaczyłem, jak ogląda poźółkłe ze starości czarno-białe zdjęcie. Podszedłem zwawym krokiem – żeby sobie nie pomyślał, że się skradam – i zagadnąłem:

– Miał pan piękną matkę, panie Worthington.

Spojrzał na mnie tak jakoś dziwnie, schował zdjęcie do wewnętrznej kieszeni płaszcza, skinął głową i odszedł. Byłem jeszcze bardziej skołowany niż przedtem. Później kilkakrotnie próbowałem do niego zagadać, szukając jakiejś nici porozumienia, ale bezowocnie.

– Widzę, co pan próbuje zrobić – powiedział któregoś dnia – ale ja nie chcę się zaprzyjaźnić. Ani z panem, ani z nikim innym w tym obozie.

Dowództwo otrzymywało coraz więcej doniesień o Czarnym Człowieku z Hindukuszu, nie tylko od nas, ale i z sąsiednich obozów. Ludzie wsiąkali bez śladu, podwojono siłę patroli, ale to niewiele dało. Legenda stała się straszniejsza od mudzahedinów, żołnierze znajdowali tysiąc wymówek, żeby nie ruszać w teren, administracja została zasypana podaniami o przeniesienie. Byliśmy na krawędzi załamania.



Padął gęsty, lepki śnieg, pogarszający i tak kiepską widoczność.

Zacisnąłem mocniej zęby, żeby nimi nie szczekać. Czułem, jak zarost na twarzy zamienia się w łamliwe sople.

Obok mnie stał Worthington. Osłonięta futrzanym kapturem twarz jak zwykle pozostawała bez wyrazu. Wokół krzatali się żołnierze: rozkładali płachty kamuflujące, kopali doły w zmrożonym śniegu, w których mieli się później ukryć, minowali teren. Nie byli z tego zadowoleni, nikt nie chciał pracować na takim ziąbie, wysoko w górach, na spornym terenie.

Nie było innej rady, terror Czarnego Człowieka musi się skończyć.

Tym razem postanowiliśmy spróbować czegoś innego: zamiast się za nim uganiać, zastawiliśmy na niego pułapkę. Worthington był pewien, że się uda, ja miałem nadzieję, że nie nadziejemy się na jakiś zbłąkany oddział bojowników.

Zapadł zmrok, rozeszliśmy się do naszych kryjówek.

Na otwartej przestrzeni pozostała tylko przynęta: dwie zarżnięte kozy, które zarekwirowaliśmy miejscowym Pasztunom. Byłem temu przeciwny, ale Worthington nalegał, a ja nie zamierzałem się z nim spierać. Z mojego miejsca niewiele było widać. Mróz nie pozwalał mi się skupić. Wyobrażałem sobie, jak przebija się przez warstwy grubego odzienia, jak odmraża mi palce u stóp i rąk.

Coś zaczęło się dziać przed północą. Najpierw poczułem dziwne drżenie w piersi, jakby serce chciało mi wyskoczyć z klatki, potem zobaczyłem sunącą po śniegu czarną sylwetkę. Poruszała się sztywno, ale zwinnie, miałem wrażenie, jakby część jej ruchów umykała mojemu spojrzeniu. To było on, strzelisty człowiek z patyków. W jakiś sposób ominął wszystkie miny i doły. Zatrzymał się nad ciałami kóz, jakby kontemplował widok martwych zwierząt.

Wydałem stosowne polecenia. Po cichu opuściliśmy nasze pozycje i zaczęliśmy go okrążyć. Zdawał się nas nie widzieć. Stał nieruchomo jak jakaś postmodernistyczna rzeźba, płatki śniegu nie siadały na jego wiklinowym ciele.

Worthington zakazał nam wdawać się z nim w otwartą walkę,

ale oczywiście wielu z moich żołnierzy w ogóle nie wierzyło w istnienie Czarnego Człowieka z Hindukuszu. Jak go zobaczyli, ogarnęła ich trwoga i palce zadrżały im na spustach.

To była recepta na katastrofę, teraz to wiem.

Istota poruszyła się nieznacznie. Komuś puściły nerwy, ktoś krzyknął, ktoś wystrzelił. Pocisk zrykoszetował od wystającego ze śniegu kamienia i trafił Lemanna, który z bólu nacisnął spust karabinu. Ktoś inny został ranny, ktoś krzyknął "Mudzahedini!" i otworzył ogień, ktoś wpadł na jedną z naszych min. Próbowałem ich powstrzymać, ale było za późno. Czarny Człowiek rzucił się do ucieczki – był zadziwiająco szybki i niezwykle sprawny i wkrótce zostawił nas w tyle. Tylko Worthington dotrzymywał mu kroku, chociaż co chwila przystawał, żeby oddać strzał, ale chyba za każdym razem pudłował.

W pewnym momencie agent zniknął nam z oczu za załosem skalnym. Rozległy się nawoływania, a potem seria urywanych strzałów.

Mudzahedini!

Wpadliśmy do wąwozu, na którego drugim końcu dostrzeegliśmy pochód bojowników. Byli równie zaskoczeni jak my. Worthington przywarł od stożka piargowego, ciągnącego się wzdłuż południowej ściany, i eliminował partyzantów jednego po drugim. Przyłączyliśmy się do walki i odepchnęliśmy ich od siebie – najwyraźniej sami nie szukali zwady – a potem, korzystając z chwili wytchnienia, wspięliśmy się wyżej.

Straciliśmy trzech ludzi – w tym jednego w wyniku własnego ognia i drugiego od miny – ale wszyscy byli zbyt wstrząśnięci tym, co zobaczyli, żeby opłakiwać poległych. Czarny Człowiek istniał naprawdę. Worthington również wydawał się poruszony – nie przerażony, tylko zdziwiony.

– Powinno było zadziałać... – powtarzał. – Powinno było zadziałać. Chyba że...

– Co powinno było zadziałać?

Spojrzał na mnie tymi swoimi smutnymi oczami. Nic nie powiedział.

Czułem na sobie wzrok moich ludzi: przestraszonego Osterhagena, rannego Lemanna, poirytowanego Fassbindera i pozostałych.

– Do tej pory – powiedziałem – wykonywaliśmy pańskie rozkazy co do litery, zgodnie z dyrektywą dwieście siedemnaście, ale teraz... Jeśli mamy nadstawić karku, żeby to coś złapać czy zabić... musimy wiedzieć, panie Worthington, z czym mamy do czynienia.

Byłem tak zaaferowany tym, że przeciwstawiłem się cichociemnemu, że dopiero po chwili uświadomiłem sobie, co on mówi:

– ...są patykowatymi bytami. Starożytne teksty głoszą, że przyciąga je śmierć i cierpienie. niesprawiedliwość. Wojny toczą się w tym regionie niemal nieustannie od ponad stu lat. Zbudziliśmy Czarnego Człowieka, a on jest głodny.

– Zjada naszych ludzi? – zapytał z obrzydzeniem Oberhagen.

– Nasze emocje.

– A co robi z ciałami?

– Nie wiem. – Worthington wstał. – Musimy za nim podążyć.

– Jesteśmy w środku zasranej dziczy! – warknął Fassbinder. Spierzchnięte wargi popękały mu na mrozie do krwi. – Może być wszędzie!

– Nie – odparł Worthington spokojnie.

– I tak kule go omijają – zawtórował Fassbinderowi Lemann, ściskając obolałe ramię. – Żadnemu z nas nie udało się w niego trafić, a staliśmy od niego tylko kilka metrów.

Worthington wskazał miejsce na mapie oddalone o jakiś kilometr. Wiatr targał futrzanym wykończeniem jego kaptura.

– Będzie tutaj.

– Skąd pan wie? – zapytałem.

Worthington milczał.

– Czy któryś z was słyszał o teorii chaosu? – rzucił w końcu. – Tak myślałem. – Rozłożył mapę na śniegu i gestem ręki nakazał,

byśmy się zbliżyli. – Te falujące linie – powiódł po nich palcem – łączą miejsca, w których widziano Czarnego Człowieka. A te...

– Wyglądają jak skrzydła motyla – wtrącił Osterhagen.

– Tak. Zebrałem więcej danych i teraz jestem pewien, że to atraktor Lorenza. Czarny Człowiek nie postrzega świata tak jak my, nie porusza się tak jak my. Porusza się po tych liniach jak po torach. Wiem, ponieważ... – zawahał się – patykowate byty były w posiadaniu przedmiotów, które... – urwał i po chwili znów podjął myśl – nazwaliśmy tychańskimi kurantami.

– To jakiś bełkot – warknął Fassbinder.

– W posiadaniu czego?

– Tychańskich kurantów. Wpływają na efekt motyla. To jest – Worthington poprawił się szybko – potrafią łamać zasady prawdopodobieństwa. Dlatego żaden z nas nie mógł go trafić. "Pech" tak chciał.

– Więc jak go powstrzymać? – spytałem rzeczowo.

– Pomyliłem się w obliczeniach. Nachodzące na siebie dwie przeciwstawne fale wzajemnie się wykluczają. Źle oceniłem punkt tego wykluczenia, ale nie pomyliłem się tak bardzo. Jesteśmy bardzo blisko rozwiązania, ale to musi się zdarzyć teraz.

– Pan jest tą drugą falą, prawda? – powiedziałem powoli. – Gdy się tu pan pojawił, doskonale pan wiedział, czego szukać. Istnienie Czarnego Człowieka nigdy nie podlegało dyskusji. Patykowate byty, tychańskie kuranty, tego się nie wymyśla na poczekaniu. Był pan idealnie przygotowany do tego zadania.

– Tak. A teraz potrzebuję ciebie i twoich ludzi, żeby dokończyć robotę.

Popatrzyłem po twarzach moich żołnierzy. Gdybym kazał im sprzeniewierzyć się rozkazom, zrobiliby to. Widziałem, że niektórzy właśnie tego ode mnie oczekują. Przypomniałem sobie słowa Fassbindera:

"Mówię ci, Glücker, ten Worthington jest niebezpieczny. Popytałem o niego kilku znajomych z wywiadu. Wiesz, co mi

powiedzieli? Że facet przez długie lata był podwójnym agentem, naszym człowiekiem w amerykańskim korpusie w Japonii. Cały czas żył w fałszu, wzenił się w potężną korporacyjną rodzinę, miał dzieci, pracę, cały ten kram. I bam! Wybuchła pierwsza wojna pacyficzna. Japończycy mają dosyć jankeskiego buta na gardle. Teść Worthingtona dowiaduje się, że zięć przez cały czas ich szpiegował, i myśli, że to na rzecz Orła. Rodzina postanawia go zabić we śnie. Ale Worthington nigdy nie śpi. Chwyta za rodzinną katanę i wyrąbuje sobie drogę na wolność. W amoku zabija wszystkich: teścia, żonę, dzieci. Bezwzględny psychol. Mówię ci, Glücker, uważaj na niego, bo źle skończysz".

Jakakolwiek była prawda, stojący przede mną mężczyzna nie był zwykłym funkcjonariuszem Abwehry czy politbiura.

– Panie Worthington – zacząłem – muszę wiedzieć jedno. Czy powiedział nam pan prawdę? Całą prawdę?

– Tak.

Powoli skinąłem głową.

– Niech pan prowadzi.



Noc nie sprzyjała wędrowni.

Gdy dotarliśmy do miejsca zaznaczonego na mapie, była późna noc albo – jak kto woli – wczesny ranek. Byliśmy zziębnięci i zmęczeni, nikomu nie uśmiechało się stawiać czoła jakiejś prehistorycznej czy mitycznej istocie. Mówią, że zobaczyć znaczy uwierzyć, ale czasem nawet zobaczyć to za mało – zwłaszcza jeśli prawda jest tak straszliwa lub dziwna. Połowa moich ludzi próbowała sobie wmówić, że wszystko, co się wydarzyło, było przywidzeniem. Niestety dla nich, znaleźliśmy się u wylotu jaskini i wycofanie się nie wchodziło w grę.

– To baza mudzahedinów – zawyrokował Fassbinder, zerkając do środka. – Strażnicy są martwi.

Nie mylił się. Jeden z bojowników postrzelił się w udo, akurat

w tętnicę, i się wykrwawił, a drugi przewrócił się tak nieszczęśliwie, że złamał kark. To było bardziej przerażające od śmierci na polu bitwy i takie bezsensowne.

Włączyliśmy latarki i ruszyliśmy w głąb systemu jaskiń. Pieściły nas podmuchy wiatru. Co jakiś czas napotykaliliśmy ofiary jakiegoś nieszczęśliwego wypadku. Żołądek zacisnął mi się w węzeł. Zastanawiałem się, czy możemy z czymś takim walczyć.

Gdy weszliśmy do głównej pieczary mieszkalnej, poczułem się jak bohater slapstickowej komedii. Wszędzie wały się ciała, przewrócone polowe łóżka i skrzynie z żywnością i bronią, a ja byłem w stanie prześledzić ciąg makabrycznych śmierci. Przypadkowy strzał, spadający stalaktyt, przewrócona beczka z naftą, śliskie klepisko, przemienione w groteskową pułapkę na myszy.

– Czemu nie zabrał ciał? – spytałem.

– Nie wiem – odparł Worthington. – Może dlatego, że wciąż tu jest. Trzymaj się blisko mnie, Lambert. Nie odstępuj mnie na krok.

Ruszyliśmy dalej szerokim, opadającym w dół tunelem. Tu było całkiem ciepło, może znajdowaliśmy się blisko jakiegoś gorącego źródła, choć było to mało prawdopodobne.

Worthington szedł przede mną i pomimo wysokiego stropu z pochyłą głową. Ociągał się.

– Czasem to nie nasza wina – powiedziałem, sam nie wiem po co. – Czasem można odpuścić.

Zadrżał zauważalnie, ale nic nie powiedział. Ja nie wiedziałem, co mógłbym dodać. Nagle zatrzymał się, dając nam znak, byśmy postąpili podobnie.

Wyciągnął rękę w stronę ciemności na dnie tunelu.

Czarny Człowiek.

Nie mogliśmy wiedzieć, czy nas widzi, czy w ogóle ma taki zmysł jak wzrok. Schodziliśmy powoli, ostrożnie, z zabezpieczoną bronią, żeby nie powtórzyła poprzednia katastrofa. Ale katastrofy mają to do siebie, że nie można ich

przewidzieć. Zdarzają się albo nie, wedle zachcianek losu – albo reguły prawdopodobieństwa.

Pamiętam kroplę potu, która ściekła mi po czole i nosie i spadła na nierówne dno tunelu, popychając do przodu ziarenko piasku. Cóż mogło działać toczące się ziarenko piasku? Ale ja byłem zbyt przerażony, żeby o tym myśleć, i ze strachu zatrzymałem się gwałtownie. Na mnie wpadł Fassbinder. Na niego Osterhagen. Chłopak zabezpieczył karabin, ale przybocznego pistoletu już nie, bo przecież ten spoczywał bezpiecznie w kaburze. Pasek od kabury był bardzo stary i wytarty i właśnie w tej chwili puścił.

Efekt motyla.

Chwilę później kule latały we wszystkich kierunkach. Ludzie wrzeszczeli.

– Chodź! – Worthington pociągnął mnie ku tej czarnej kreaturze, czekającej na nas na dole.

Wystrzelał w nią cały magazynek, ale za każdym razem pudłował. Odrzucił karabin na bok i z mieczem w rękę doskoczył do Czarnego Człowieka. Ten odtrącił go bez żadnego wysiłku. Wtedy wpadłem na niego ja.

Był zimny, gładki i nieprzyjemny w dotyku, jak świeżo wymyta podłoga. Wszystkie części ciała miał z wiklinowych patyków, wskutek czego ramię niczym się nie różniło od tułowia czy głowy. Na szyi Czarnego Człowieka coś rozbłysło i zaraz rozpadło się na miriady drobnych kawałków. W tej samej chwili poczułem ukłucie w klatkę piersiową. Sekundę później zaliczyłem glebę, podobnie jak Worthington.

Wylądowałem twardo na plecach, ból rozszedł się po całym ciele. Próbowałem wstać, ale cierpienie mnie przytłoczyło. Wszystko widziałem jak przez mgłę. Worthington podniósł się z ziemi i kopnął istotę w sam środek tułowia. Tym razem nie spuszczał. Czarny Człowiek potoczył się w jeden z bocznych tuneli. Worthington rzucił za nim granat. Huk mnie ogłuszył. W uszach mi dzwoniło. Strop nad nami zaczął pękać.

Worthington wziął mnie na ręce i zaczął biec. Mijaliśmy ciała

moich żołnierzy: Fassbindera, Lemanna, młodego Osterhagena i innych. W powietrzu w snopie światła latarki fruwały ćmy – dwa piękne motyle. Osterhagen by się ucieszył.

Zatrzymaliśmy się dopiero na zewnątrz, gdy zderzyliśmy się ze ścianą zamieci. Worthington rzucił szybkie spojrzenie na walące się wejście do jaskini, a potem położył mnie na śniegu.

– Zimno – szepnąłem.

– Wiem.

– Skończone?

– Tak myślę.

– Dobrze.



Worthington siedział przy biurku w malutkim gabinecie na trzecim piętrze szarego, niczym niewyróżniającego się gmachu przy Schillingstraße. Bębnił palcami o blat i wpatrywał się bezmyślnie w starą mapę na ścianie. Różnymi kolorami przedstawiono na niej państwa sprzymierzone, stowarzyszone, neutralne i wrogie wobec Rzeszy. Z gramofonu wydobywała się cicha melodia.

W końcu wyrwał z kajetu czystą kartkę, wyjął z szuflady wieczne pióro – nie lubił maszyn do pisania – i zaczął notować. Przerwał, kiedy zmęczyła mu się dłoń, zbyt mocno przyciskał bowiem stalówkę do papieru. Rozprostował palce i wrócił do pisania.

...jeśli zaś idzie o Czarnego Człowieka z Hindukuszu, pogrzebałem go w jaskini mudzahedinów. Nie potrafię określić, czy w ogóle żył w taki sposób, w jaki to rozumiemy, trudno mi więc jednoznacznie uznać go za zmarłego. Z pewnością uwięziłem go na dłuższy czas. Zdobyte przez nas informacje okazały się dobre, zapiski barifian służyły mi nieocenioną pomocą przy ustalaniu przyszłych ruchów tej istoty.

Nie mogę też przecenić znaczenia szkiców tychańskiego kurantu. Tak jak przypuszczaliśmy, plutonowy Karl Lambert miał drugi egzemplarz, wkomponowany w różaniec prawdopodobnie jeszcze w czasach średniowiecza. Moim zdaniem należy prześledzić drogę, jaką przebył, zanim dostał się w ręce Lamberta.

Niestety, przeciwstawne pola, jakie wytwarzały oba kuranty, doprowadziły do ich wzajemnego zniszczenia. Nie pozostało nic, co pozwoliłoby nam ustalić ich wiek i miejsce pochodzenia.

Ostateczne straty wyliczono na dziewięćdziesięciu ośmiu żołnierzy, w tym trzydziestu, którzy zginęli w jaskini. Nie udało się ustalić, gdzie Czarny Człowiek poniósł ciała swoich ofiar.

W obliczu wszystkiego, czego dowiedzieliśmy się o patykowatych bytach i o właściwościach tychańskich kurantów...

Worthington zawahał się. Wolną ręką podrapał chropowatą, grawerowaną powierzchnię srebrnej papierośnicy, leżącej na biurku.

...podtrzymuję swoje wcześniejsze stanowisko: otwarcie krypty było słuszną decyzją i zarekomendowałbym ją ponownie. Tychański kurant był zbyt cenny, ażeby go zlekceważyć. Poznanie jego właściwości mogło odkryć przed nami tajemnice Ziemi i tych enigmatycznych istot. Pozostawiając kryptę nietkniętą, ryzykowalibyśmy odkrycie jej przez mudzahedinów. Podjąłem wszelkie środki ostrożności, aby nie przerwać letargu spoczywającej w krypcie istoty podczas operacji odpieczętowywania; niestety nie przewidziałem, że zareaguje na częstotliwość naszego sonicznego wiertła – ze zgromadzonych przez analityków informacji wynikało, że patykowaty byt nie posiada zmysłu słuchu. Następcza próba zamknięcia krypty nie powiodła się, reszta wydarzeń potoczyła się tak, jak opisano to w stosownym raporcie.

Podsumowując, mimo poniesionych strat operację należy uznać za umiarkowany sukces.

Muzyka ucichła, a on skończył pisać. Odłożył pióro, rozparł się w fotelu.

Zabębnił palcami o blat.

Sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej pogniecioną kopertę. W środku spoczywał list, ale Worthington nie znał jego treści. Nadawcą był Karl Lambert, adresatem jego żona. Na kopercie nie było adresu.

Postukał kopertą o krawędź biurka. Wreszcie pochylił się nad blatem i wziął teczkę leżącą na wierzchu sterty. Akta osobiste, nie lubił tego robić. Otworzył ją niechętnie i zaczął wodzić wzrokiem po wypełnionym drobnym pismem formularzu.

Czytał coraz wolniej. Gdy skończył, zamknął teczkę, ale nie odłożył jej na miejsce.

Karl Lambert był niezwykłym szczęściarzem – ożenił się ze swoją pierwszą miłością. Któregoś dnia w fabryce, gdzie pracował, doszło do pożaru. Cudem uniknął śmierci. Niedługo potem w narodowej loterii wygrał dwa miliony marek. Stać go było dosłownie na wszystko: wielką posiadłość, podróże, sportowy samochód. Lambert uwierzył w swoje szczęście. Którejś nocy podczas brawurowej jazdy spowodował wypadek. On wyszedł z tego bez jednego zadraśnięcia. Jego żona zginęła na miejscu.

Worthington przyjrzał się kopercie jeszcze raz.

– Wiedziałeś. – powiedział do siebie. – Poznałeś mnie mimo wszystkich masek kłamstw, jakie przywdziewałem. – Wiedziałeś.

Worthington zapłakał.

[1] Stolica cesarstwa wschodniorzymskiego, późniejszy Konstantynopol.

[Powrót](#)

[2] Gorszy jest strach przed wojną niż sama wojna.

[Powrót](#)

[3] Arcykapłan Marsa.

[Powrót](#)

[4] Galia Narboreńska, tereny obecnej Prowansji oraz Langwedocji.

[Powrót](#)

[5] Natura nie robi wielkich skoków.

[Powrót](#)

[6] Rządy czterech cesarzy, Dioklecjana, Galeriusza, Maksymiana i Konstancjusza Chlorusa, rozpoczęte w roku 286.

[Powrót](#)

[7] Zbroja łuskowa, typowa dla późnego cesarstwa.

[Powrót](#)

[8] Ciężki oszczep używany przez rzymskich legionistów.

[Powrót](#)

[9] Coroczne lipcowe igrzyska ku czci greckiego Apolla.

[Powrót](#)

[10] Bizantyjska odmiana miecza prostego.

[Powrót](#)

[11] Łac. *libra* – jednostka wagi używana w Rzymie, zwana też rzymskim funtem (ok. 330 g).

[Powrót](#)

[12] Najuboższa dzielnica starożytnego Rzymu.

[Powrót](#)

[13] Wryty na blasze certyfikat, potwierdzający, że jego właściciel odsłużył wymagany okres w legionach.

[Powrót](#)

[14] Prawo do ślubu. W trakcie służby legioniści nie mogli się żenić, a ich pozamałżeńskie dzieci nie miały praw obywatelskich.

[Powrót](#)

[15] Dosł. "pierwsza włócznia" – dowódca pierwszej centurii, stojący ponad resztą centurionów kohorty.

[Powrót](#)

[16] Główna droga rzymskiego obozu.

[Powrót](#)

[17] Kolczuga.

[Powrót](#)

[18] Szeregowy piechur armii cesarstwa.

[Powrót](#)

[19] Legioniści wyłączeni z walki i pełnienia ciężkich obowiązków z racji funkcji sprawowanych w legionie.

[Powrót](#)

[20] Kapłanów.

[Powrót](#)

[21] Coroczne święto ku czci Marsa, celebrowane wczesną wiosną w celu przygotowania armii do nowej kampanii.

[Powrót](#)

[22] Łac. *cataphracti* – wschodnia ciężka jazda, której żołnierze wraz z końmi pokryci byli w całości pancerzem; pierwowzór średniowiecznych rycerzy.

[Powrót](#)

[23] Dosł. "pomocnicy" – oddziały sojusznicze oraz prowincjonalne.

[Powrót](#)

[24] Umocnione obozy rzymskich legionów.

[Powrót](#)

[25] Pokój jest lepszy od najsprawiedliwszej wojny.

[Powrót](#)

[26] Godło legionu, najczęściej w postaci złotego orła, niesione do boju przez aquilifera.

[Powrót](#)

[27] Lekka, szybka kawaleria wschodniorzymska, uzbrojona w tarcze i włócznie.

[Powrót](#)

[28] Łac. *equirria* – coroczny festiwal ku czci Marsa.

[Powrót](#)